

PRAWDZIWA HISTORIA

*Opowieść
o tym, jak trudno
wyrwać się z toksycznego
związku.*

*Georgia
Durante*

*W złym
towarzystwie*

*Piękna modelka,
która z powodu miłości do mężczyzny trafiła
do przestępczego świata.*

Georgia Durante

W złym
towarzystwie

Humaczenie
Michał Strąkowi

znak *litera*
nova
KRAKÓW 2014



Dla mojej córki Toni, której zmagania z życiowymi przeciwnościami stały się impulsem do napisania tej książki. A także dla mojego syna Dustina, który jest dla mnie niewyczerpanym źródłem radości.

Dla moich rodziców, Tony'ego i Angeli Durante. Gdyby nie wasza bezwarunkowa miłość i wsparcie, zapewne nigdy nie miałabym szansy dedykować tej książki nikomu.

Wreszcie, dla Sharon - mojej siostry, najlepszej przyjaciółki i niezawodnej podpory.

Podziękowania

Moje podziękowania należą się Scottowi Dealowi, który w moim ogrodzie, przy niejednej lampce wina, wysłuchał historii mojego życia, a następnie zachęcił mnie do przelania jej na papier. Bez zachęty z jego strony książka ta nigdy nie zostałaby napisana.

Dziękuję także Gail Stewart, redaktorce wczesnej wersji mojego maszynopisu; staranne wykształcenie zdobyte w Radcliffe College nie mogło żadną miarą przygotować jej do pracy nad taką książką. Tak, Gail - usunęłam wszystkie wulgaryzmy, które cię raziły. Żałuję, że nie ma cię z nami i nie możesz zobaczyć owoców naszej pracy. Tęsknię za tobą.

Buddy'emu Hackettowi dziękuję za jego opinie, które bardzo sobie cenię. Miałeś rację, Buddy; wprowadziłam zmiany, które mi doradziłeś. Sherry Hakckett, mojej najdroższej przyjaciółce, dziękuję za pozytywne nastawienie i za to, że zawsze stała za mną murem. Twoja wiara w tę książkę przyczyniła się do jej powstania.

Muszę również podziękować Barry'emu Lundowi z agencji reklamowej Lintas Cambell Ewald oraz Barry'emu Meierowi ze studia filmowego Avalon, którzy w czasie jednego z naszych corocznych pięćdziesięciodniowych maratonów kręcenia materiałów reklamowych dla Chevroleta znosili fakt, że „między ujęciami” zajmowałam się pisaniem książki.

Dziękuję także Sidneyowi Sheldonowi, który przerwał pracę nad własną książką, żeby krytycznym okiem przyjrzeć się mojej. Zawsze będę pamiętać o twojej życzliwości.

Wdzięczność jestem winna także Ralphowi Cosseyowi, prawdziwemu przyjacielowi, który przez trzy lata bezinteresownie poświęcał swój czas, uwalniając mnie od kieratu codziennych obowiązków i pozwalając mi poświęcić się wyłącznie pisaniu. O ile więcej książek mogłoby powstać, gdyby wszystkie osoby noszące się z zamiarem ich napisania miały swoich Ralphów.

Jimmy'emu Breslinowi chciałabym podziękować za wszystkie bezcenne wskazówki. Jestem zaszczycona zainteresowaniem, jakie mi okazałeś, oraz wdzięczna za rady, jakich mi udzieliłeś. Bardzo to doceniam.

Dziękuję też Frankowi Aloiovi, którego książka *The Hammer Conspiracies* pomogła mi odświeżyć pamięć i uporządkować wydarzenia z mojego życia we właściwej chronologii.

Marty'emu Allenowi i jego pięknej żonie Katie dziękuję za przyjaźń i wiarę we mnie, okazaną wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Wasze niestrudzone wysiłki, żeby pomóc mi w ukończeniu tej książki, nadały nowy wymiar słowu „przyjaźń”.

Quincy Jones uważał mnie za „bogobojną osobę”, dopóki nie przeczytał tej książki. Dzięki, Q - za to, że zachęcałeś mnie do konsekwentnej realizacji mojego marzenia.

Specjalne podziękowania należą się wszystkim moim przyjaciołom, którzy znaleźli czas na lekturę mojego maszynopisu i wskazali jego słabe punkty. Osób tych było zbyt wiele, żebym mogła wszystkie tutaj wymienić. Zainteresowani wiedzą, kogo mam na myśli. Bez was i bez waszej wiary we mnie ta książka nigdy by się nie ukazała.

Chciałabym także podziękować wszystkim ludziom z wydawnictwa Hambleton-Hill Publishing, którzy pracowali długo i ciężko, żeby ta książka mogła zostać wydana w ciągu siedmiu miesięcy. Tworzycie wspaniały zespół! Dziękuję Vanowi Hillowi, piekielnie zdolnemu biznesmenowi. Dziękuję Bethany Snyder, redaktorce tej książki, za wszystkie weekendy, które straciła, żebyśmy zdołali zmieścić się w terminie. Wykonałaś świetną robotę, Bethany. W szczególny sposób pragnę podziękować Sandrze Laughlin, która otrzymała mój maszynopis w poniedziałek i czytała go przez całą noc (czy twój mąż mi już wybaczył?). We wtorek podpisaliśmy umowę dotyczącą publikacji. Dziękuję ci za twoją otwartość i przenikliwość, Sandro. Byłaś źródłem inspiracji, dzięki której cały projekt mógł się urzeczywistnić. Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką.

Na koniec dziękuję Chuckowi Woolery'emu, który z miłością poprowadził mnie z powrotem ku mojej duchowej stronie.

Od autorki

Niniejsza książka powstała w oparciu o moje wspomnienia. I chociaż moja pamięć zaskakiwała mnie samą, to zdarzały się momenty, w których nie potrafiłam sobie przypomnieć dokładnego brzmienia rozmów czy też precyzyjnego czasu wydarzeń. W takich razach byłam zmuszona improwizować, żeby posunąć akcję naprzód. Mam wyrobione zdanie o osobach pojawiających się na kartach tej książki i nie wahałam się go prezentować. Są to moje osobiste opinie i uważam, że miałam prawo je wyrazić.

Nieliczne nazwiska zostały zmienione, żeby chronić niewinnych... jak również winnych.

Prolog

„Przepraszam, czy twoje jeansy to Bugle Boy?”

Jeśli zdarzyło się wam oglądać telewizję na początku lat dziewięćdziesiątych, na pewno widzieliście tę reklamę. Przystojniak w jeepie jedzie na północ biegnącą pośród wzgórz Pacific Coast Highway. Kruczowłosa piękność w klasycznym czerwonym kabrioletcie Dino Ferrari przyspiesza do 135 kilometrów na godzinę, zrównuje się z jeepem na zapierającym dech w piersiach wirażu i pyta przystojniaka o producenta jego spodni.

„No tak... To jeansy Bugle Boy”.

„Dziękuję” - odpowiada kruczowłosa piękność.

Następnie gwałtownie hamuje, wykonuje perfekcyjny nawrót o sto osiemdziesiąt stopni i rusza tam, dokąd jadą piękne kobiety w egzotycznych sportowych samochodach, gdy kończy się ich trzydziestosekundowy występ.

W tym wypadku podróż zakończyła się na oddalonym o kilkadziesiąt metrów od szosy stromym zboczu, gdzie zatrzymał się odwrócony do góry kołami samochód.

Kruczowłosa piękność spokojnie sączyła dietetyczny gazowany napój, plotkując z członkami ekipy filmowej. Tymczasem pod poskręcany metalowymi szczątkami tego, co chwilę wcześniej było bardzo droгим włoskim sportowym samochodem, tkwiła dublująca ją kaskaderka, blondynka w peruce.

To byłam ja.

Nawet nie pytajcie, co poszło nie tak. Zbyt duża prędkość na zakręcie, podjęta w ułamku sekundy niewłaściwa decyzja, błąd reżysera, załogi przygotowującej samochód, a może mój własny - kto to wie? Takie rzeczy po prostu się zdarzają.

Samochodem zarzuciło. Tylne koła zaczęły z piskiem ślizgać się po gładkiej nawierzchni i złapały kontakt z miękkim poboczem, a ja straciłam panowanie nad obracającym się pojazdem. Próbowałam skontrolować kierownicą, ale bez wspomaganie układu kierowniczego i naramiennych pasów bezpieczeństwa - szlag by trafił te klasyczne samochody - okazało się to niemożliwe. Ferrari poderwało się w górę, po czym opadło z impetem, odbiło się od nawierzchni i przekoziółkowało raz, drugi i trzeci.

To, że nie miałam naramiennego pasa, prawdopodobnie uratowało mi życie. Kiedy samochód frunął w powietrzu, zanim jeszcze po raz pierwszy uderzył o ziemię, miałam wystarczającą swobodę ruchów, żeby zdołać rzucić się w bok, na siedzenie pasażera, i wtulić się w wąską przestrzeń pod schowkiem.

W mojej maleńkiej trumnie panowała kompletna ciemność. Byłam pokryta kawałkami rozbitej przedniej szyby i dość mocno poobijana, ale udało mi się przeżyć i nie skręciłam karku. Ledwo zdążyłam pomyśleć o tym, ile miałam szczęścia, gdy nagle usłyszałam syczący dźwięk i poczułam zapach wyciekającej benzyny. Odszukałam krótkofalówkę i wrzasnęłam do niej:

- WYCIĄGNIJCIE MNIE STĄD!

Przy samochodzie błyskawicznie pojawiło się kilkunastu członków ekipy filmowej. Postawienie ferrari z powrotem na kołach i wyciągnięcie mnie z mojej kryjówki zajęło im około trzydziestu sekund, mniej więcej tyle, ile trwa reklama - możecie mi wierzyć, że tamta była wyjątkowo długa.

O czym myślałam przez cały ten czas? O swojej córce? O swoim synu? O matce? Nie. Czy widziałam białe światło i przywołujące mnie anioły? Nie. Czy dziękowałam Bogu za ocalenie? Zrobiłam to później. W tamtej chwili moją pierwszą myślą było: o cholera, rozwaliłam wóz za 250 000 dolarów. Czy muszę wam mówić, że tamto wydarzenie okazało się punktem zwrotnym w moim życiu?

Ekipa znalazła w Los Angeles identyczne dino ferrari rocznik 1973 i następnego dnia udało się nam dokończyć zdjęcia. Reklamę emitowano w telewizji przez dłuższy czas, a honoraria za kolejne emisje pozwoliły mi sfinansować którąś z rzędu przebudowę mojego domu. Sam wypadek przeszedł do legendy w środowisku kierowców kaskaderskich. Aż do dziś ludzie opowiadają mi historię o wywróconym do góry kołami dino ferrari i o tym, jak nie mogli uwierzyć, że kierowca uszedł z życiem.

Zawsze znajdzie się jakieś inne ferrari - oto prawdziwa lekcja płynąca z tej historii.

W pewnym sensie jest to również lekcja, jaką dało mi całe moje życie.

Jeśli macie więcej niż trzydzieści lat, moja twarz pewnie wyda się wam znajoma. W 1969 roku, w epoce „lata miłości”, w drogeriach i sklepach turystycznych w Ameryce i w Europie pojawiło się osiemdziesiąt tysięcy kartonowych sylwetek naturalnych rozmiarów, przedstawiających dziewczynę Kodaka. To byłam ja: ubrana w biało-niebieskie bikini w kropki (dość skąpe jak na lata sześćdziesiąte, dziś uznano by je za całkiem niewinne) stałam z wdzięcznie ugiętą prawą nogą, a moje osiemnastoletnie brązowe oczy rzucały wyzywające spojrzenie.

Studenci wykradali moje sylwetki ze sklepów, słyszałam, że jedną z nich wystawiano nawet w wyborach królowej balu na Uniwersytecie Pepperdine (byłam wówczas o włos od zwycięstwa). Studentki natomiast używały tych kartonowych manekinów jako wieszaków na swetry.

Widywaliście mnie także w innych kampaniach reklamowych o ogólnoamerykańskim zasięgu - na billboardach oraz w reklamach prasowych papierosów More i Kent, hotelu Las Vegas Sahara, Coca-Coli, zabawek Mattel, wódki Smirnoff, sportowych ubrań Adidasa, sieci sklepów JC Penney, butów L.A. Gear i herbaty Lipton, a także na okładce pisma „American Woman Motor Sports” i na pierwszych stronach katalogów wielu domów towarowych. Lista jest długa.

W roli kierowcy kaskaderskiego mogliście mnie zobaczyć między innymi w reklamach Pepsi, w których Cindy Crawford zachłannie pije swój napój, obserwowana przez dwóch małych chłopców, przypatrujących się jej z zapartym tchem - moja rola polegała na dublowaniu Cindy za kierownicą czerwonego lamborghini. Brałam też udział w nagrywaniu serii telewizyjnych spotów dla marki Oldsmobile - były one częścią kampanii „Nowa generacja oldsmobili”, znanej lepiej z reklamowego sloganu „To nie jest oldsmobile twojego ojca”. W jednym z tych spotów wystąpiłam jako dublerka Priscilli Presley: jeździłam samochodem po plaży i przedzierałam się przez fale przyboju, filmowana z pokładu lecącego tuż obok helikoptera. Na siedzeniu pasażera towarzyszyła mi skamieniała z przerażenia córka Priscilli, Lisa Marie. Ale prawdziwym wyzwaniem była kręcona na Hawajach reklama filmu o agencji 007, w której byłam dublerką córki Rogera Moore’a. Praca z helikopterem dostarczała mocnych wrażeń - przez osiem szalonych dni zdjęciowych jedynie centymetry dzieliły śmigłowiec od zderzaka mojego samochodu. Musiałam niezwykle precyzyjnie dobierać prędkość jazdy, bo w przeciwnym razie helikopter wbiłby się w bagażnik samochodu, a moja głowa wylądowałaby piętnaście metrów dalej. W trakcie zdjęć wykorzystaliśmy każdy kaskaderski numer, jaki tylko przyszedł do głowy autorom scenariusza: motocyklowe kraksy, eksplozje, a także przelatujące tuż nad samochodem dwupłatowce, z których wydobywał się ograniczający widoczność dym.

Ale dość już o reklamach. Po dwudziestu latach w tej branży moje CV liczy osiemnaście stron, a ja nie zabiegam tu o kolejny angaż.

Pracowałam też przy wielu filmach, które pojawiły się na dużym ekranie. W *Kacprze* byłam dublerką odtwórczyni jednej z głównych ról, roztrzaskałam samochód o drzewo i zaliczyłam upadek w przepaść. W rzeczywistości było to zaledwie dwanaście metrów, ale dzięki wykorzystaniu techniki blue box wyglądało to tak, jakbym runęła z wysokości sześćdziesięciu metrów. W *Okruchach wspomnień* o włos uniknęłam zderzenia z innym pojazdem, pędząc z prędkością 110 kilometrów na godzinę. W komedii *Szklanką po łapkach* brałam udział w scenie ulicznego pościgu w centrum Los Angeles. W *Dziewczynie gangstera*, filmowej klapie z udziałem Tony’ego Danzy, rozbiłam pick-upem szklaną witrynę solarium

i uczestniczyłam w większości pościgów samochodowych.

Pracowałam też przy produkcjach telewizyjnych, między innymi przy wielu odcinkach serialu *Melrose Place*; byłam też dublerką Lindy Evans w *Dynastii*. Później przeniosłam się do seriali *Unsolved Mysteries* i *Diagnoza morderstwo*. W swoim ostatnim odcinku *Diagnozy morderstwo* dublowałam aktorkę Piper Laurie podczas nagrywania kaskaderskiej sceny ucieczki samochodem.

Przez lata brałam udział w kręceniu setek filmów i reklam, w których to ja wykonywałam zadanie, a laury zbierała aktorka - ale czy to ważne? Zdążyłam już ogrzać się w blasku jupiterów. Mój uśmiech nie pojawia się co prawda na ekranie, ale za to gości na mojej twarzy, gdy idę do banku.

Możliwe, że natknęliście się kiedyś na moje zdjęcia w plotkarskich rubrykach niektórych gazet lub w brukowcach, o ile czytujecie takie rzeczy. „Tajemnicza towarzyszka”. To ja. „Blondynka”. To również ja. W przeszłości paparazzi fotografowali mnie w towarzystwie Petera Lawforda i Davida Janssena - dwóch mężczyzn, którzy umarli młodo, ponieważ żyli zbyt szybko. Jest też zdjęcie, na którym przytulam się do O.J. Simpsona (pracowaliśmy razem przy kręceniu reklamy dla firmy Hertz; później, przy okazji spotkań w rozmaitych hollywoodzkich klubach, poznałam O.J.-a i jego żonę Nicole na stopie towarzyskiej). Kolejne zdjęcie i ponownie ja, tym razem przytulona do aktora Hugh O'Briana podczas przyjęcia w Aspen. I znowu ja, na kolacji w towarzystwie Quincy'ego Jonesa w Drai's, modnym klubie w Beverly Hills. A zdjęcie w towarzystwie będącego świeżo po ślubie syna byłego prezydenta? No cóż, w tym wypadku to mogłam być ja - wystarczyłoby, że ktoś puściłby parę i dał cynk paparazzim - gdyby nie to, że nie mam w zwyczaju wsiadać do limuzyn (wynajętych przez najpilniej chronionych ludzi w Waszyngtonie) z zonatymi mężczyznami, zwłaszcza jeśli nie wiem, dokąd jadę. Powiedziano mi, że chodzi o kolację. Ale ze względów bezpieczeństwa nie chciano mi zdradzić, gdzie się ona odbędzie. Trzy małżeństwa i trzy rozwody czegoś mnie nauczyły.

Dziewczyna jednego gangstera i żona innego; kobieta, która większość swojego życia spędziła w mroku przestępczego półświatka; świadek morderstw i aktów niewymownego okrucieństwa; osoba, której życie nieraz znajdowało się w niebezpieczeństwie. To także ja.

Byłam też kierowcą na usługach mafii - to wtedy nabrałam wprawy w samochodowych ucieczkach, dzięki czemu mogłam później zarabiać na życie kaskaderskimi wyczynami za kierownicą. Widziałam „złych chłopców” robiących dobre rzeczy i „dobrych chłopców”, którzy popełniali przestępstwa - to wykrzywiło moje spojrzenie na rzeczywistość. Mój młody umysł padł ofiarą manipulacji ze strony potężnych ludzi,

których wpływy obejmowały nie tylko ich własny, mroczny świat, ale sięgały także kręgów rządowych.

CIA nie ma żadnych dowodów przeciwko mafii, rzecz jednak w tym, że nawet nie próbuje ich zdobyć. W czasach gdy mieszkałam w Nowym Jorku, CIA utrzymywała trwające od szesnastu lat związki z mafią, poczynając od samego Carla Gambino - obie strony blisko współpracowały przy praniu brudnych pieniędzy, wymuszeniach i zabójstwach. Mafia pociągała za spust, ale to CIA ładowała broń. Nie wiem, czy ta sytuacja trwa nadal, bo nie obracam się już tych kręgach i nie jestem świadkiem tego, co się tam dzieje. Opuszczenie tamtego świata nie było łatwe i przypuszczam, że już na zawsze pozostanę jakoś z nim związana.

Poza tym jest jeszcze tamta dawna Georgia, czyli ja z czasów, zanim stałam się Wakacyjną Dziewczyną Kodaka i zanim zostałam poślubiona mafii: grzeczna katolicka dziewczynka w pierwszokomunijnej sukience, onieśmielona i przypominająca aniołka z wianuszkiem białych stokrotek, otaczających welon.

Kiedy już ściągnięto ze mnie rozbite ferrari i zdjęcia się skończyły, wróciłam samolotem do domu w Los Angeles i zaczęłam zastanawiać się nad własnym życiem. Uderzyła mnie łatwość, z jaką byłam gotowa spoglądać w oczy śmierci. Czyżby życie nie miało dla mnie znaczenia?

Jak to się stało, że moje losy tak się potoczyły?

Zdałam sobie sprawę, że stworzona przeze mnie zawodowa tożsamość funkcjonowała w oderwaniu od mojego życia prywatnego - zamiast być dla niego oparciem, była jego zaprzeczeniem. Kariera stała się dla mnie świetnym sposobem na unikanie tych prawd o moim życiu, którym nigdy nie chciałam stawić czoła. Gdy byłam w kryzysowej sytuacji, bardzo często myślałam wyłącznie o jej zewnętrznych, nieosobowych aspektach, zamiast o kobiecie, która znalazła się w tym położeniu. Ucieczki na złamanie karku przed złymi facetami to coś, co praktykowałam nie tylko przed kamerami, ale i przez całe swoje życie. Zbyt duża prędkość na zakrętach, zbyt wiele niewłaściwych decyzji podejmowanych w ułamkach sekund, błędy innych lub moje własne - kto to wie? Przyjmowałam po prostu, że pewne rzeczy się zdarzają.

I właśnie wtedy zaczęłam pisać tę książkę.

Rozdział pierwszy

W pewnym sensie urodziłam się sławna. Po matce odziedziczyłam nie tylko urodę, ale także niezasłużoną reputację. I tak jak moja matka i jej siostry nigdy nie czułam się wystarczająco dobra. Nigdy do końca nie rozumiałam, skąd się to bierze, ale doskonale pamiętam to poczucie z czasów, kiedy byłam dzieckiem.

Po matce przejęłam również zamiłowanie do przygód. Ona nigdy nie trzymała mnie krótko. Miała do mnie zaufanie i pozwalała swobodnie otwierać drzwi do ekscytującego i pełnego tajemnic świata, którego sama nie mogła kiedyś odkrywać z powodów finansowych, z uwagi na swoją pozycję społeczną, a może dlatego, że była więźniem małomiasteczkowej mentalności.

W Rochester w stanie Nowy Jork, w dzielnicy zwanej Małą Italią - gdzie się wychowałam - moja matka szybko zdobyła opinię najpiękniejszej z czterech sióstr Perrone. Wszystkie kobiety z rodziny Perrone były przedmiotem plotek tej małej społeczności.

Zacząło się od mojej babci, Rose Mazzo. Wyszła za mąż za mafiosa, który ją bił. W tamtych czasach rozwód był nie pod pomyślenia, ale moja babcia w końcu porzuciła męża i uwolniła się od jego przemocy. Wkrótce potem poznała mojego dziadka, Vincenta Perrone. Zakochali się w sobie i rozpoczęli wspólnie nowe życie. Takie postępowanie było nie do przyjęcia dla ludzi przywiązanych do tradycyjnych włoskich wartości. Moja babcia pragnęła jednak szczęśliwszego życia i pogodziła się z ceną za swoją decyzję: - z wykluczeniem z Kościoła, i stała się głównym obiektem plotek.

Rose i Vincent zamieszkali w East Rochester mniej więcej w 1920 roku. Włoscy imigranci przybywający do Ameryki na początku wieku chętnie osiedlali się na północy stanu Nowy Jork. Tamtejszy okręg przemysłowy dynamicznie się rozwijał i przybysze mogli liczyć na pracę w okolicznych fabrykach. Poza tym w społecznościach zamieszkujących East Rochester i inne podobne osiedla w północnej części stanu można było funkcjonować bez znajomości angielskiego, co czyniło je szczególnie atrakcyjnymi dla imigrantów z Włoch.

Mój dziadek znalazł pracę jako kowal w warsztatach kolejowych. Całymi dniami harował w piekielnym upale, żeby zapewnić utrzymanie swojej powiększającej się rodzinie. Nie wiem, ile dokładnie zarabiał, ale nie mógł sobie pozwolić na kupienie za 300 dolarów domu, w którym mieszkali - co miesiąc musieli więc płacić czynsz wynoszący 17 dolarów. Podobnie jak większość mieszkańców East Rochester, Rosa i Vincent byli biedni - że aż piszczało. W domach nie było toalet, tylko wychodki, i do tego po jednym na cztery rodziny.

Zabudowa dzielnicy składała się z maleńkich, ciasno ściśniętych domków. Przestrzeń między nimi ledwo wystarczała do zaparkowania samochodu, o ile należało się do tych nielicznych szczęśliwców, którzy go mieli.

Wszyscy wokół wiedzieli, co dzieje się w życiu sąsiadów. W gorące letnie wieczory, gdy otwierało się na oścież okna, wszystkie odgłosy tego życia docierały do sąsiednich domów. I tak jak dzieje się to we Włoszech i we wszystkich małych miasteczkach na całym świecie, w East Rochester plotki rozkwitały w najlepsze.

Angela, moja matka, była jednym z dziewięciorga dzieci - trzech chłopców i sześciu dziewczynek - w rodzinie Perrone. Bliźnięta, chłopiec i dziewczynka, zmarły wkrótce po urodzeniu z powodu braku odpowiedniej opieki lekarskiej, na którą nie było pieniędzy. Jedna z młodszych córek zginęła w wieku trzech lat potrącona przez samochód podczas zabawy przed domem. Moja dwudziestokilkuletnia wówczas babcia była naocznym świadkiem tamtego wypadku. Mówiło się, że w ciągu jednej nocy jej włosy stały się zupełnie białe, a ona sama postarzała się o dwadzieścia lat.

Moi wujkowie byli pracowitymi, porządnymi chłopcami, którzy co tydzień dorzucali do domowego budżetu po 3 dolary - zarobione na rozwożeniu mleka i wykonywaniu różnych dorywczych prac - żeby pomóc w utrzymaniu rodziny, ale to na ich siostrach skupiała się uwaga mieszkańców East Rochester. We Włoszech u córek najbardziej ceniono posłuszny charakter i siłę fizyczną. Tymczasem w Nowym Świecie w najwyższej cenie była uroda. Piękna dziewczyna mogła liczyć na znalezienie zamożnego męża, a poślubienie mężczyzny o wyższej pozycji społecznej oznaczało społeczny awans dla całej jej rodziny. W East Rochester nie było co prawda żadnych bogatych mężczyzn, ale i tak wszędzie, gdzie pojawiły się siostry Perrone, oglądano się za nimi. A ponieważ w tamtych czasach kobiety były tak samo zazdrosne jak dzisiaj, rozchodziły się pogłoski o rzekomej rozwiązłości sióstr - ludzie słyszeli je tak często, że w końcu uznali je za prawdę.

Moja ciotka Theresa, najstarsza z sióstr, była drobną brunetką o olśniewającym uśmiechu, pełną zaraźliwej energii. Ciotka Sunda była nieśmiałą piękną, która sama nigdy nie uważała się za urodziwą kobietę. U ciotki Dolly, najmłodszej z sióstr, naturalne piękno szło w parze z jeszcze wyraźniejszym niż u pozostałych brakiem pewności siebie. Ale to Angela, moja matka, przyciągała większość spojrzeń. Już jako dziecko, wyjątkowo zresztą psotne, zapowiadała się na prawdziwą piękność. W roku 1945 skończyła dziewiętnaście lat, a jej uroda zapierała dech w piersiach.

W tym samym roku w wieku czterdziestu trzech lat moja babcia, której nigdy nie było mi dane poznać, zmarła niespodziewanie na atak serca, gdy tańczyła polkę w jednym

z miejscowych lokali. Z rodzinnych opowieści dowiedziałam się, że ona również była piękną kobietą o wielkim sercu i o usposobieniu, które kazało jej szukać jasnych stron nawet w najbardziej mrocznych momentach życia. Była to jedna z cech charakteru, które przekazała swoim dzieciom.

Dziadek był zdruzgotany śmiercią żony. Do tego zły stan zdrowia nie pozwalał mu pracować na utrzymanie rodziny. Gdy moja babcia odeszła, najmłodsze z jej dzieci miało dziewięć lat, a najstarsze dwadzieścia trzy. Starsze zaopiekowały się więc młodszymi. Jakimś cudem udawało im się wykarmić całą gromadę za 2 dolary tygodniowo. Śmierć matki odcisnęła na całym rodzeństwie piętno w postaci ogromnego poczucia niepewności i emocjonalnego opuszczenia. Mogli wówczas polegać wyłącznie na sobie nawzajem i przypuszczam, że to dlatego wciąż pozostają sobie tak bliscy.

Zdrowie mojego dziadka jeszcze bardziej się pogorszyło, a on desperacko zapragnął zobaczyć się z rodziną we Włoszech. Pojechał do ojczyzny i tam umarł. Jego dzieci, które nie miały ani pieniędzy, ani wykształcenia, nie były w stanie zebrać funduszy na sprowadzenie ciała do Stanów Zjednoczonych. Z powodu częstych w tamtych czasach kłopotów z łącznością nie zdołały się nawet dowiedzieć, gdzie dokładnie pochowano ich ojca. Rodzeństwo Perrone zostało bez wsparcia rodziców. Wkrótce potem moja matka i ciotki padły ofiarą podłych plotek. Brak pewności siebie oraz nieumiejętność odpierania pomówień doprowadziły w końcu do tego, że siostry same zaczęły podświadomie wierzyć, że są takie, jak twierdzili wszyscy wokół.

Moja mama wyszła za mąż za ojca mojej przyrodniej siostry. Małżeństwo przetrwało zaledwie kilka lat. „Jest taka jak jej matka, do niczego się nie nadaje”. Parę lat później poznała mojego ojca i zakochała się w nim do szaleństwa. Kiedy była ze mną w ciąży, on wyjechał z miasta, nie zostawiając nowego adresu. Od tamtej pory ani razu nie dał znaku życia, a ja nigdy nie poznałam swojego biologicznego ojca.

Gdy najmłodsze z rodzeństwa dorosło i usamodzielniało się, moja matka została w rodzinnym domu. Pracowała na dwa etaty jako kelnerka i dodatkowo dorabiała sprzedając kosmetyków, żeby móc utrzymać mnie i moją siostrę. Ciotki opiekowały się nami na zmianę, dzięki czemu zawsze byliśmy otoczone miłością.

Miałam sześć miesięcy, gdy w naszym życiu pojawił się Tony, który po pewnym czasie został moim ojczymem. Przez wszystkie kolejne lata Tony był dla mnie ojcem, ale w oczach małomiasteczkowych plotkarzy na zawsze pozostałam nieślubnym dzieckiem jednej z sióstr Perrone.

Nasze najbliższe sąsiedztwo składało się z dwóch niewielkich kwartałów zabudowań,

przylegających do Apple Street i Taft Street. Naprzeciwko mojego domu rozciągały się kukurydziane pola, a tuż za nim biegingy kolejowe tory. Ta część miasteczka, znana jako „Northside”, była światem mojego dzieciństwa. Choć żaden z mieszkańców East Rochester nie był zamożny, to nawet oni uważali okolice Northside za slumsy. Wszystkie tamtejsze domy zbudowano w ten sam sposób: wszystkie były liche i bardzo ciasne, o powierzchni mniej więcej osiemdziesięciu metrów kwadratowych. Tak wyglądało miejsce, w którym przysła na świat moja matka i w którym dorastałam ja i moja siostra.

O dziwo, nawet ci, którzy mieszkali po gorszej stronie torów, odczuwali potrzebę ponizania innych. Pamiętam, jak pewnego dnia bawiłam się na Apple Street w towarzystwie jednego z dzieci z sąsiedztwa (miałam wtedy nie więcej niż pięć lub sześć lat), gdy nagle na ulicę wybiegł kurczak bez głowy. Nie spodobało mi się to. Dlaczego musieli ucinać im głowy? Na ulicy pojawiła się babcia mojej koleżanki, szukając bezgłowego kurczaka. Kiedy zobaczyła wnuczkę w moim towarzystwie, odezwała się stanowczo: „W tej chwili wracaj do domu. Mówiłam ci już, że nie chcę, żebyś bawiła się z tą puttana!”. Dziewczynka niechętnie ruszyła ku drzwiom, a jej babcia wciągnęła ją za ucho do środka.

Po powrocie do domu usiadłam przy mamie i przyglądałam się, jak szykuje się do wyjścia.

- Mamusiu? Co to jest „puttana”? - zapytałam.

Matka spojrziała na mnie tak, jakbym wbiła jej nóż w serce. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, a oczy zaszyły jej łzami.

- „Puttana” to po włosku „dziwka” - odrzekła wreszcie.

- A co to znaczy „dziwka”?

- Dzwka to zła dziewczynka, skarbie.

- Ja nie jestem złą dziewczynką, prawda, mamusiu?

- Nie, kochanie, nie jesteś - odparła moja matka. - Mnie też ludzie wyzywają. Uważają, że jestem zła, bo kiedy cię urodziłam, nie miałam męża. Chcieli, żebym cię oddała, ale ja nigdy bym tego nie zrobiła. Zostałaś poczęta z miłości, a ja zbyt mocno cię kochałam, żeby cię oddać. Mogą mnie wyzywać, ile tylko zechcą, ale nigdy nie odbiorą mi radości, jaką mi dajesz.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła przed wiszące w łazience lustro.

- Popatrz i powiedz mi, co widzisz.

- Widzę siebie.

- A ja widzę piękną małą dziewczynkę, oto, co widzę. I to samo widzi każdy, kto na ciebie spojrzy. Jesteś piękna i dlatego ludzie będą cię wyzywać. To nie znaczy, że jesteś zła.

Oni są po prostu zazdrośni. Nie lubią osób, które mają coś, na czym im zależy i czego sami nie mogą mieć. Na tym polega zazdrość. Nieważne, co inni będą o tobie mówić, zawsze pamiętaj o jednym: twoje prawdziwe piękno pochodzi z twojego wnętrza. Jeśli będziesz dobrym człowiekiem, pewnego dnia wyzywanie się skończy. Postaraj się współczuć tym, którzy cię nimi obrzucają. Oni nie mają tyle szczęścia co ty.

Ubóstwiałam swoją mamę. Poruszała się z taką gracją, że miałam wrażenie, jakby zamiast chodzić, unosiła się nad ziemią. Wydatne kości policzkowe i krótkie kruczoczarne włosy idealnie harmonizowały z owalem jej twarzy. Ale tym, co najbardziej przyciągało uwagę, były jej oczy - ciemnobrązowe, przyjazne, pełne miłości i troski. Miała łagodny głos, a jej śmiech przypominał śmiech dziecka.

Uwielbiałam obserwować, jak szykuje się do wyjścia na randkę z mężczyzną, który wkrótce miał zostać moim tatą. Jej gładka twarz nie potrzebowała żadnych upiększeń, więc kiedy kończyła nakładanie makijażu, wyglądała wręcz olśniewająco. Mogłam godzinami przyglądać się jej przygotowaniom i wyobrażać sobie, że sama jestem dorosła, czarująca i piękna. W trakcie tych zabiegów mama zawsze mi śpiewała wymyślane na poczekaniu piosenki o tym, jak bardzo mnie kocha. Na koniec całowała mnie mocno, po czym lekkim krokiem wybiegała z domu, zostawiając w powietrzu ulotny ślad perfum Avon.

Prawdziwe piękno mojej matki było jednak pięknem wewnętrznym i brało się z jej niesamowitej szczodrości. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ona. Potrafi dzielić się wszystkim, co posiada, i robi to z głębi serca, zupełnie nie dbając przy tym o to, jak bardzo obciążą ją to finansowo czy emocjonalnie. W pamięci utkwiło mi pewne Święto Dziękczynienia z czasów, gdy byłam jeszcze nastolatką. Mama oznajmiła nam, że musi wyskoczyć do sklepu po sos żurawinowy, bez którego, jak stwierdziła, posiłek nie będzie kompletny. Jedzenie stało już na stole, a my właśnie skończyliśmy odmawiać modlitwę. Matka kazała nam siadać do posiłku bez niej i obiecała, że dołączy do nas za chwilę. Po czterdziestu pięciu minutach kolacja była zjedzona, a mamy nadal nie było.

Ojciec wyruszył na poszukiwania, a ja z siostrą zaczęłam obdzwaniać lokalne szpitale w obawie, że mama miała wypadek. W końcu jednak dwie godziny później wróciła do domu. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Najwyraźniej nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogliśmy się martwić ani że przegapiła jeden z najważniejszych posiłków w roku, na którego przygotowanie poświęciła kilka dni. Okazało się, że w drodze do sklepu zauważyła spazmatycznie szlochającą kobietę, która pchała wózek na zakupy z małym dzieckiem w środku. Moja mama oczywiście musiała się zatrzymać i zapytać, co się stało. Kobieta pomiędzy kolejnymi atakami płaczu wyjaśniła, że została pobita przez męża i idzie do

odległego o ponad sześćdziesiąt kilometrów domu swojej siostry. Moja matka kazała kobiecie wsiąść do swojego samochodu i zawiozła ją na miejsce. Ktoś potrzebował pomocy. Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Cała mama.

Kiedy miałam pięć lat, moja matka poślubiła Tony'ego, nazywanego przez wszystkich „Psiakiem”. To przezwisko przyłgnęło do niego jeszcze w dzieciństwie, gdy biegał za przejeżdżającymi wozami strażackimi, tak jak robią to młode pieski. Psiaczek (jak go nazywałam) był mężczyzną niskiego wzrostu - miał zaledwie około metra siedemdziesięciu centymetrów - ale w moich oczach był wielki. Ubóstwiałam go. Był cichą osobą o łagodnym, niezwykle serdecznym usposobieniu. Tony, tak jak my wszyscy, wychował się w East Rochester. Nie był zamożny, ale był uczciwy. Zawsze traktowałam go jak ojca. Był przy mnie od moich najmłodszych lat. Był wspaniałym człowiekiem, a przy tym dobrym, kochającym tatą, który wspierał mnie i moją siostrę w każdej sytuacji. Moja matka miała olbrzymie szczęście, że udało się jej znaleźć kogoś, kto nie tylko otoczył ją miłością, ale także szczerze pokochał jej dzieci.

Po ślubie mama nadal musiała pracować, żeby związać koniec z końcem, ale nie była już zmuszona do pracy na trzech różnych posadach. Pracowała w ciągu dnia, kiedy ja i moja siostra byłyśmy w szkole, a wieczory mogła wreszcie spędzać wspólnie z nami w domu. Nasza sytuacja finansowa nie poprawiła się jakoś wyjątkowo, ale dla mamy życie stało się łatwiejsze.

Moja siostra Sharon była ślicznym dzieckiem. Miała ciemne włosy i delikatną, anielską twarzyczkę. W porównaniu ze mną naprawdę była aniołem. Ja byłam bardziej przebojowa. Sharon wolała trzymać się blisko domu, podczas gdy ja włóczyłam się po lasach albo pakowałam się we wszelkie możliwe tarapaty. Sharon lubiła bezpieczeństwo rodzinnego gniazda. Mama miała w niej swoją małą pomocnicę, natomiast ja, nieustannie wpadająca w kłopoty, byłam jej małym utrapieniem.

Wraz z siostrą miałyśmy zwyczaj śmiać się w najbardziej niestosownych momentach. Chichotałyśmy na pogrzebach, gdy wszyscy dookoła lamentowali. Czasami zdarzało się nam wybuchnąć śmiechem w kościele. W każdy piątek po szkole chodziłyśmy do spowiedzi, żeby oczyścić nasze dusze i przygotować je na przyjęcie komunii świętej. Podczas niedzielnych przedpołudniowych mszy w kościele Świętego Hieronima Sharon i ja zajmowałyśmy wraz z przyjaciółmi miejsca na balkonie. Wyrzywałyśmy zmechacone kulki z naszych identycznych różowych sweterków z angory i urządziłyśmy zawody, której z nas uda się wrzucić najwięcej kulek na najśmieszniejsze kapelusze kobiet siedzących pod nami. A potem zanosiliśmy się śmiechem. Próbowaliśmy się opanować, ale sami wiecie, że śmiech najtrudniej jest

powstrzymać właśnie wtedy, kiedy nie powinno się śmiać.

Pewnego razu śmiałyśmy się tak głośno, że musiałyśmy zanurkować pod ławkę, żeby ukryć się przed wzrokiem ludzi z dołu, którzy ze skwaszonymi minami zadzierali głowy, próbując dostrzec, kto robi takie zamieszanie. W końcu ksiądz kazał nam wstać. Kiedy to zrobiliśmy, roześmiałyśmy się jeszcze głośniej niż poprzednio. Po chwili śmiał się z nami cały kościół. Ksiądz próbował jeszcze przywrócić porządek, ale było już na to za późno. Nikt nie był w stanie się powstrzymać od śmiechu. Kiedy sytuacja zaczęła się uspokajać, Sharon i ja ponownie wybuchnęłyśmy śmiechem, zarażając nim wszystkich pozostałych. Owej niedzieli msza skończyła się około dwudziestu minut wcześniej niż zazwyczaj.

Od tamtej pory mnie i Sharon obowiązywał w kościele zakaz siadania obok siebie. Poza tym miałyśmy też pewność, że w piątki po spowiedzi będziemy musiały odmawiać w ramach pokuty aż trzy różańce. To całkiem sporo zdrowasiek jak na odrobinę śmiechu. Wolałabym nie wiedzieć, ile różańców musiałybyśmy odmówić, gdybyśmy popełniły grzech śmiertelny!

Nie odstępowałam starszej siostry na krok. W dzieciństwie nieustannie się kłóciłyśmy, ale także kochałyśmy się i opiekowałyśmy się sobą nawzajem. Dziś, jako dorosłe kobiety, jesteśmy sobie wyjątkowo bliskie.

Większość moich wczesnych wspomnień związanych z Rochester wiąże się z miłością, śmiechem i poczuciem bezpieczeństwa. Za polami kukurydzy rozciągającymi się przed moim domem rósł las. Żeby się tam dostać, musiałam przejść przez kukurydziane pole, co niesamowicie irytowało farmera, który był jego właścicielem. Uwielbiałam biegać po należącym do starego piernika polu i podkraść pomidory z jego ogródka. Największą radość sprawiało mi, gdy się wkurzał i ścigał mnie aż do lasu. To był mój las. Miałam tam mnóstwo sekretnych kryjówek i farmerowi nigdy nie udawało się mnie schwytać. Zdarzało się, że zanim się spostrzegłam, zapadał zmrok. Lubiałam te chwile, bo w lesie robiło się wtedy strasznie. Dziwne odgłosy dobiegające z zarośli i szelesty w leśnym podszyciu jedynie pobudzały moją ciekawość. To w tamtym lesie po raz pierwszy poczułam, że jestem zdana wyłącznie na siebie. Uświadomiłam sobie, że tylko ja sama mogę się obronić. Wówczas chodziło o ochronę przed leśnymi stworzeniami, ale ta świadomość przydała mi się także w przyszłości, gdy stałam się celem ludzkich drapieżników.

Moja matka co roku wcielała się w rolę lokalnego odpowiednika Szczurołapa z Hameln. Nasz dom dzieliło od szkoły około trzech kilometrów i zazwyczaj z siostrą i innymi dziećmi z sąsiedztwa szłyśmy do niej na piechotę, jednak podczas surowych zim czasami trzeba było skorzystać z samochodu. Za każdym razem wyglądało to tak samo -

mama kilkakrotnie zatrzymywała się po drodze, żeby zabrać do samochodu każde wędrujące na mrozie dziecko. Któregoś dnia podwiozła do szkoły kilkoro dzieci, które nie miały wysokich butów. Kazała całej czwórce poczekać na nią po lekcjach i obiecała odwiedzić je do domu. O trzeciej po południu zjawiała się pod szkołą z czterema parami zimowych butów, po jednej dla każdego z dzieci. Bóg jeden wie, jak je zdobyła. A kiedy dowiedziała się, że rodzina dzieci mieszka w nieogrzewanym domu, z własnej kieszeni opłaciła ich zaległe rachunki, dzięki czemu ponownie włączono im ogrzewanie. Mama zawsze robiła takie rzeczy za plecami ojca i martwiła się, jak ma za to wszystko zapłacić bez jego wiedzy.

Chociaż nie byliśmy zamożni, święta Bożego Narodzenia w naszej rodzinie zawsze były wystawne. Sądząc po ilości prezentów pod choinką, można by wziąć nas za milionerów. Nasi rodzice pracowali przez cały rok, żeby spłacić bożonarodzeniowe długi. Prezenty, jakie Sharon i ja dostawałyśmy na Gwiazdkę, sprawiały, że byłyśmy obiektem zazdrości wszystkich dzieciaków z sąsiedztwa. Myślę, że moja matka chciała w ten sposób powetować sobie te wszystkie lata, gdy jedynym prezentem, na jaki mogła liczyć w Boże Narodzenie, była pomarańcza.

Kiedy miałam osiem lat, mama zawołała mnie i moją siostrę, po czym kazała nam usiąść. Było to na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem.

- Dziewczynki, czy zdajecie sobie sprawę, jak wielkie mamy szczęście? - zapytała. - Na świecie są dzieci, które nie mogą najeść się do syta i nie mają ciepłego łóżka. Potraficie sobie wyobrazić, jak byście się czuły, gdyby pod choinką nie czekał na was żaden prezent?

- Nie - odparłyśmy zgodnie.

- Więc zastanówcie się nad tym przez chwilę.

Sharon zmarszczyła brwi, a delikatne rysy jej twarzy ściągnęły się.

- To byłoby dość straszne - stwierdziła.

- Tak, chyba nie czułabym się najlepiej - dodałam.

- W takim razie co powiecie na to, żeby oddać część waszych prezentów i urządzić wyjątkowe święta dzieciom, które nigdy dotąd ich nie miały? - zapytała mama.

Początkowo Sharon i ja podeszłyśmy do tego pomysłu niechętnie, ale ostatecznie w bożonarodzeniowy poranek mama przebrała się za świętego mikołaja, a ja i moja siostra za małe elfy w zielonych rajstopach i dopasowanych do nich spódniczkach, po czym wypełnionym prezentami samochodem pojechaliśmy do domu dzieci bez zimowych butów. Stał on przy naszej ulicy, mniej więcej kilometr dalej. W porównaniu z tamtą nędzną ruderaś nasz dom był jak pałac. Schodki prowadzące na werandę były połamane, a obłuzowane okiennice zwisały z powybijanych okien. Łuszcząca się farba odsłaniała surowe drewno. Cały

dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Patrzyliśmy, jak jego mieszkańcy otwierają przywiezione przez nas paczki. W środku było trochę zabawek dla najmłodszych dzieci, jednak prezenty składały się głównie z ubrań, których ta rodzina najwyraźniej bardzo potrzebowała. Matka tamtych dzieci stała obok nas, a po jej twarzy spływały łzy. Tamtego dnia odkryłam, co oznacza prawdziwy duch świąt Bożego Narodzenia. Mama dała mnie i mojej siostrze najlepszy podarunek - radość płynącą z obdarowania innych. Nic dziwnego, że ma na imię Angela - naprawdę jest aniołem. Nasz ojciec nigdy nie dowiedział się o tej małej świątecznej wyprawie i pewnie dlatego nie mógł zrozumieć, jakim cudem splata świątecznych długów zajęła aż tyle czasu, skoro pod choinką wcale nie znalazło się aż tak wiele prezentów.

Jako dziewczynka miałam w sobie coś z chłopczycy. Moja mama zawsze usiłowała ubierać mnie jak małą księżniczkę, ale ja tego nie znosiłam. W tych głupich sukienkach nie mogłam grać tak twardo jak chłopak. Chłopcy z sąsiedztwa walczyli między sobą o to, w czyjej drużynie będę grała. Przypuszczam, że robili to dlatego, że grałam lepiej od większości z nich. Tak, na pewno chodziło im właśnie o to. Byliśmy wtedy zbyt młodzi, żeby myśleć o innych rzeczach. Kiedy już raz załapałam, jakie są zasady danej gry, rywalizacja o moją obecność w drużynie szybko się kończyła. Sama obwoływałam się kapitanem i odtąd to ja decydowałam o tym, kto znajdzie się w mojej drużynie. Grywaliśmy na ulicy całymi godzinami - w football, baseball, koszykówkę albo po prostu w "kopnij puszkę".

Potrafiłam też skutecznie walczyć o swoje. Nikt ze mną nie zadzierał. Jeśli jakiś chłopak próbował mi dokuczać, szybko dostawał cios w kark albo błyskawicznego kopniaka w tyłek. Tę postawę, polegającą na dążeniu do „przejęcia kontroli” nad sytuacją, rozwinęłam w sobie w bardzo młodym wieku i chociaż przez pewien czas pozostawała ona w uśpieniu, to w późniejszym okresie mojego życia ponownie wzięła we mnie górę.

W letnie, parne noce często zdarzało się, że sen nie chciał do mnie przyjść. Leżałam w łóżku w małym pokoju, który dzieliłam ze starszą siostrą, i próbowałam zasnąć. Po pewnym czasie łóżko zaczynało drgać w znajomy sposób, zapowiadając zbliżający się pociąg. Czułam jego dudnienie, zanim jeszcze z oddali dobiegł gwizd lokomotywy. Dudnienie, początkowo niewyraźne i odległe, z każdą chwilą przybierało na sile, aż wreszcie cały dom zaczął drżeć w posadach. Zerkałam wtedy na Sharon, pogrążoną w głębokim, spokojnym śnie. Dźwięki pociągu zaczynały stopniowo cichnąć, po czym w oddali ponownie rozległ się gwizd lokomotywy. Dopiero wówczas mogłam zasnąć. Śniło mi się, że pewnego dnia to ja będę jechać tym pociągiem - podróżując do wszystkich odległych miejsc, do których zmierzał.

Kiedy miałam dwanaście lat, ni z tego, ni z owego postanowiłam spełnić swoje marzenie o przygodzie i o podróży pociągiem, który każdej nocy przejeżdżał obok naszego domu. Moją najlepszą przyjaciółką była wówczas mieszkająca na Apple Street dziewczynka imieniem Kathy. Była moją wierną współpracowniczką w realizacji wszystkich moich pomysłów - czasem robiła to z oporami, ale ostatecznie zawsze szła w moje ślady. Udało mi się ją namówić także do udziału w tamtej niebezpiecznej wyprawie. Wyruszyliśmy zatem w drogę. Przelazliśmy przez płot odgradzający mój dom od linii kolejowej, a następnie przez jakiś czas szliśmy po torach, dopóki w końcu nie nadjechał pociąg towarowy. Sunął z prędkością około 30 trzydziestu kilometrów na godzinę, gdy złapałam za metalową drabinkę, podciągnęłam się i przez otwarte drzwi dostałam się do krytego wagonu. Kathy wciąż biegła wzdłuż pociągu, zbierając się na odwagę, by chwycić się drabinki. W końcu to zrobiła - po tym jak kilkakrotnie nazwałam ją tchórzem - ale wtedy jej dłonie ześlizgnęły się po metalu i pociąg powłókł ją po ziemi, a jej nogi znalazły się pod wagonem, niebezpiecznie blisko stalowych kół.

- Pomóż mi, George! Nie utrzymam się! - wrzasnęła z przerażeniem w oczach.

Moje serce biło jak szalone, gdy wyciągnęłam rękę i dźwignęłam Kathy do góry, wykorzystując przypływ adrenaliny, która zwielokrotniła moje siły. Dysząc ciężko, uklęknęłam obok leżącej na podłodze wagonu przyjaciółki. Przez minutę panowała cisza, po czym Kathy spojrzała na mnie i zapytała:

- To dokąd jedziemy?

Wstałam i odwróciłam się twarzą do kierunku jazdy, a pęd powietrza odgarnął włosy z mojej twarzy.

- Gdziekolwiek się zatrzyma! - wykrzyknęłam, podniecona oczekiwaniem na nieznaną i oszołomiona poczuciem wolności.

Nie zamierzałam uciekać z domu, kierowało mną po prostu pragnienie przeżycia przygody. Kathy i ja doszliśmy do wniosku, że wyskoczymy z wagonu, kiedy tylko poczujemy, że mamy już dość, a następnie złapiemy inny pociąg, jadący w stronę domu. Nie dotarliśmy nawet do Buffalo, gdy spostrzegł nas konduktor z mijającego nas pociągu. Musiał skontaktować się przez radio z załogą naszego składu i poinformować ją o ładunku, jaki przewozi. Wkrótce potem nasz pociąg zatrzymał się, a na nas oczekiwał już policyjny radiowóz. Kathy ogarnął strach. Jej ojciec bił ją bez powodu, a ona zdawała sobie sprawę, że tym razem lanie może zakończyć się krótkim pobytem w szpitalu. Ja natomiast uważałam, że sytuacja jest fajna. Nie mogłam się doczekać przejażdżki radiowozem. Nie miałam wówczas pojęcia, że tamta pierwsza podróż w policyjnym samochodzie wcale nie będzie ostatnia.

Kiedy wróciliśmy do domu, moi rodzice wpadli w furję. Nigdy nie widziałam taty tak wściekłego. Ściągnął pasek i wymierzył mi kilka naprawdę mocnych razów, z których każdy pozostawiał wielki ślad na moich plecach. Teraz zaczęłam się bać. Mojemu pobłażliwemu ojcu nigdy wcześniej i nigdy później nie zdarzyło się mnie uderzyć. Nie rozplakałam się jednak. Wiedziałam, że zasłużyłam na lanie. Kiedy znalazłam się sama w swoim pokoju, usłyszałam krzyki Kathy, dobiegające z z pobliskiego domu. W jednej chwili mój ból ustał, a jego miejsce zajęło współczucie dla tego, co musiała przeżywać przyjaciółka. A także świadomość, że to wszystko była moja wina.

Dostałam miesięczny szlaban. Ale to mnie nie powstrzymało - moja żądza przygody okazała się silniejsza od obaw przed konsekwencjami. Kiedy rodzice kładli się spać, ja wymykałam się przez okno w łazience na piętrze, przechodziłam na dach szopy i stamtąd zeskakiwałam na ziemię. Spotykałam się z przyjaciółmi w sekretnym forcie, który zbudowaliśmy w lesie. Paliliśmy papierosy i cieszyliśmy się myślą, że udało nam się wywieść wszystkich w pole. Żadnemu z rodziców nigdy nie udało się mnie nakryć. Zaczynałam stawać się buntownikiem, chociaż wciąż nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie dlaczego.

Miałam dwanaście lat, choć wyglądałam na znacznie starszą, kiedy moja mama zabrała mnie do studia Eastman Kodak. Zaprosił mnie tam fotograf, który chciał zrobić mi próbną sesję zdjęciową w charakterze modelki. Zauważył mnie w Braemar's Country Club - dzierżawionym przez moich rodziców ośrodku rekreacyjnym położonym w Spencerport, około 50 kilometrów od mojego rodzinnego miasteczka. Latem przeprowadzaliśmy się całą rodziną do mieszkania na piętrze klubowego budynku. Ojciec był w klubie instruktorem gry w golfa i zajmował się utrzymaniem pola golfowego, natomiast mama trzymała pieczę nad restauracją i gotowała dla gości jadających w klubie lunch i urządzających tam prywatne przyjęcia. W tamtych czasach Eastman Kodak był największym pracodawcą w Rochester i wielu spośród biurowych pracowników tej firmy było członkami prowadzonego przez nas klubu. Cały czas szukali lokalnych talentów z myślą o wykorzystaniu ich w ogólnokrajowych kampaniach reklamowych. Znalezienie się w bazie modelek Kodaka stanowiło nie lada zaszczyt.

Kodak miał liczne studia rozsiane po całym mieście. To, do którego trafiłam, było studiem filmowym. Już sama wielkość tego miejsca onieśmielała. Weszłam do ogromnego pomieszczenia, w którym odbywało się jednocześnie kilka różnych sesji zdjęciowych, a liczne modelki były strojone przez fotografów i stylistów. Co ja tu właściwie robiłam? Miałam ochotę się ukryć. Ledwo zdążyłam o tym pomyśleć, zjawiała się przy mnie kobieta i zaprowadziła mnie do garderoby, gdzie już czekała wizażystka. Podczas gdy ona zajmowała

się moim makijażem, garderobiana ściągnęła z wieszaka sukienkę, przyłożyła ją do moich ramion, po czym pokręciła z dezaprobatą głową i wróciła do wieszaka poszukać innych rozwiązań. Ostatecznie jej wybór padł na sweter w jaskrawym kolorze i parę spodni. Kiedy kobiety skończyły pracę, wyglądałam na osiemnastolatkę. Nie poznawałam sama siebie.

Zaprowadzono mnie do studia i posadzono na wysokim stołku. Rozpoczęłam próbną sesję całkowicie przytłoczona całą sytuacją - przed obiektywem aparatu czułam się zawstydzona i zakłopotana. Musiano mi podpowiadać, jak mam ułożyć ręce, jak przechylać głowę, kiedy się uśmiechać, a kiedy nie. Byłam bardzo skrupowana i było to widać. W głowie miałam tylko baseballowy mecz, który opuściłam z powodu sesji. Czy moja drużyna zdoła wygrać beze mnie? Gdyby moi koledzy mogli zobaczyć, jak wówczas wyglądałam, popękaliby ze śmiechu. Wreszcie zdjęcia dobiegły końca i fotograf - niski, chudy mężczyzna z aż nazbyt miłą twarzą i sposobem bycia - wszedł do garderoby, żeby ze mną pomówić.

Wyczuł, że to zajęcie niezbyt mi odpowiada, i zagadnął:

- Kochanie, chodzisz w szkole na jakieś kursy dla przyszłych sekretarek?

- Tak, mam taki zamiar.

- To dobrze. Myślę, że na tym powinnaś się skoncentrować, bo nie wydaje mi się, żebyś poradziła sobie jako modelka.

No cóż, to przesądziło sprawę. Ktoś twierdził, że jest coś, do czego się nie nadaję! Nie należało mówić mi takich rzeczy. Potrafiłam zrobić cokolwiek, jeśli tylko naprawdę mi na tym zależało. Teraz zamierzałam udowodnić fotografowi, że się mylił. To, co tak naprawdę miał na myśli, albo raczej to, co ja usłyszałam, sprowadzało się do stwierdzenia: „Nie jesteś wystarczająco dobra”. W pierwszej chwili poczułam się dotknięta i odrzucona, ale te uczucia dość szybko zastąpił gniew. Podziękowałam mu uprzejmie, pamiętając o manierach, jakie wpajała mi mama, po czym wyszłam ze studia. Kiedy znalazłyśmy się w samochodzie, oświadczyłam mamie, że teraz już wiem, czego się ode mnie oczekuje, i sądzę, że następnym razem poradzę sobie lepiej. Poprosiłam, żeby sprawdziła, w jakich innych studiach organizowane są próbne zdjęcia, i żeby spróbowała załatwić mi kolejną sesję. Po powrocie do domu zmyłam makijaż, włożyłam swoje stare ubrania i poszłam szukać swojego gangu z Apple Street.

Mamie udało się zorganizować dla mnie drugą próbną sesję w następnym tygodniu. Tymczasem ja przejrzałam wszystkie magazyny dla nastolatek, jakie tylko wpadły mi w ręce. Chociaż czułam się dość głupio, to kiedy tylko zostawałam w domu sama, całymi godzinami wytrwale ćwiczyłam, pozując i uśmiechając się przed lustrem. Tak naprawdę wcale nie zależało mi na karierze modelki, moja uparta natura kazała mi jednak udowodnić tamtemu

facetowi, że się pomylił. Byłam urodzonym zwycięzcą. Porażka w ogóle nie wchodziła w grę.

Do drugiej sesji przystąpiłam znacznie bardziej odprężona i pewna siebie. Pomyślnie przesłam test i zostałam zarejestrowana w bazie modelek Kodaka. Wkrótce potem zaczęły się regularne telefony z propozycjami.

Początkowo większa część mojej pracy polegała na udziale w testowaniu klisz. Było to monotonne, nudne zajęcie - siedziałam w tej samej pozie, podczas gdy fotograf wypstrykiwał dziesiątki rolek filmu - był to jednak dobry trening, przygotowujący mnie do tego, co czekało mnie w przyszłości.

Dopiero gdy zaczęłam pracować jako modelka, dotarło do mnie, że nasza rodzina jest biedna. Inne dziewczyny robiły zakupy w eleganckim domu towarowym Sibley's. Tymczasem moje ubrania były kupowane zawsze w tanich sklepach Grants i J.M. Fields. O ile pamiętam, początkowo płacono mi 80 dolarów dziennie. W 1962 roku większość znanych mi dorosłych zarabiała tyle przez cały tydzień.

Byłam najmłodsza w całej grupie modelek. Pozostałe dziewczęta wydawały mi się mądrzejsze i bardziej elokwentne. A ponieważ godziny pracy modelki pokrywały się z zajęciami w szkole, opuściłam się w nauce. Ledwo udało mi się skończyć liceum i nie zanosilo się na to, żebym w przyszłości poszła na studia.

Dzięki temu, że w tak młodym wieku weszłam w świat dorosłych, dorastałam o wiele szybciej niż moi rówieśnicy. Wyglądałam i zachowywałam się jak osoba znacznie starsza, niż byłam w rzeczywistości, ale pod tą fasadą nadal pozostawałam dzieckiem, które musiało się jeszcze wiele nauczyć. Przypuszczam, że poziom mojego wykształcenia wpłynął na niektóre wybory, jakich dokonywałam w późniejszych latach, ostatecznie jednak wiele nauczyło mnie samo życie.

Chłopcy w liceum nigdy nie zapraszali mnie na randki. Dziś wiem, że czuli się po prostu onieśmieleni, ale wtedy sądziłam, że mnie nie lubią. Przekonanie to brało się z mojego braku pewności siebie - śladu, jaki pozostawiły we mnie plotki z czasów dzieciństwa. Moje kolejne sukcesy prowokowały jeszcze więcej złośliwych pogłosek. Dzięki temu mogę zrozumieć, przez co musiała przechodzić w przeszłości moja matka. Spędzałam czas z innymi modelkami i coraz częściej decydowałam się na wypadki do centrum miasta, gdzie zawierałam znajomości z ludźmi spoza East Rochester. Czułam się bardziej akceptowana, przebywając wśród osób, które nie miały pojęcia, że pochodzę z miejsca po „złej stronie torów”.

Poza pracą dla Kodaka miałyśmy także inne możliwości. Otrzymywałyśmy sporo zleceń od innych firm w okolicy, na przykład od Xeroxa, Bausch & Lomb, producenta musztard French's, producenta sportowej odzieży Champion, browaru Genesee, firmy

jubilerskiej Sara Coventry, Cornighware, operatora telekomunikacyjnego Rochester Telephone, a także od domów towarowych i różnych mniejszych przedsiębiorstw, które potrzebowały reklamy. W wieku piętnastu lat zarabiałam już od 250 do 300 dolarów dziennie. Wydawało mi się, że dotarłam na sam szczyt - dopóki nie zaczęłam pracować poza rejonem Rochester, gdzie moja dniówka wynosiła 1000 dolarów, a nawet więcej, w zależności od reklamowanego produktu.

Zanim skupiłam się na karierze modelki, w czasie letnich miesięcy spędzanych na polu golfowym mój tata trenował mnie z myślą o moich przyszłych startach w kobiecych turniejach golfowych. W wieku jedenastu lat udało mi się dwukrotnie trafić do dołka już przy pierwszym uderzeniu. Ojciec uważał, że taki wcześnie odkryty talent to szansa na osiągnięcie wielkich sukcesów, ja jednak odkrywałam w sobie inne talenty. Gra w golfa była dla mnie sposobem na sprawienie przyjemności tacie i zabicie czasu. Najwięcej radości dawały mi te chwile, gdy po zaliczeniu pierwszego dołka mogłam zniknąć z zasięgu wzroku ojca, usiąść za kierownicą elektrycznego wózka golfowego i pędzić nim po alejkach, przyprawiając moich młodych pasażerów o palpitacje serca.

Na polu wybudowano małe mostki, szerokie akurat na tyle, by mógł się nimi przeprawić niosący torbę na kije golfista. Dla tych graczy, którzy zdecydowali się poruszać elektrycznymi wózkami, wytyczono inną trasę. Przejechanie wózkiem golfowym przez owe mostki stało się moją misją (jak mówią, dla chcącego nic trudnego). Po zmierzeniu szerokości mostka oraz rozstawu osi wózka stwierdziłam, że margines błędu wynosi nie więcej niż 2,5 centymetra, ale samo zadanie jest wykonalne, o ile tylko uda mi się wjechać na mostek pod odpowiednim kątem. Po wielu próbach, które kończyły się wylądowaniem na boku lub na dachu w strumieniu, drobnymi kontuzjami oraz uszkodzeniem około jednej trzeciej klubowych wózków, wreszcie udało mi się wykonać idealny przejazd.

W związku ze skargami członków klubu oraz kosztami naprawy pojazdów mój tata ostatecznie zakazał mi korzystania z wózków. Zaczął chować przede mną kluczyki, ale to nie zdołało mnie powstrzymać, ponieważ nauczyłam się uruchamiać wózki, zwierając na krótko kable. Kiedy moi rodzice spokojnie spali, ja dzwoniłam po przyjaciół i urządzaliśmy sobie w alejkach wyścigi równoległe. W ciemnościach zdarzało się nam czasem przejechać po trawie, przysparzając mojemu ojcu katorżniczej pracy.

Moje zamiłowanie do jazdy szybko się rozwijało i z czasem przerodziło się w obsesję. W końcu przestało mi wystarczać wykradanie golfowych wózków i zaczęłam podprowadzać samochód, którym wypuszczałam się na nocne przejażdżki. Robiłam to wielokrotnie, ale tylko raz zostałam przyłapaną. Odcierpiałam karę, a po kilku tygodniach wróciłam do swoich

pomysłów. Ojciec złościł się, ale ponieważ kochał mnie bez względu na wszystko, zaakceptował moją nieposkromioną naturę. Mama również dała za wygraną, uznając, że najwidoczniej odziedziczyłam po niej nieokiełznaną naturę. Nigdy nie pojmę, jak moim rodzicom udało się wytrzymać ze mną przez te wszystkie lata i nie ukatrupić mnie. To był dla nich istny horror.

Jedna z zatrudnionych w klubie kelnerek miała szesnastoletniego syna Mike'a oraz czternastoletnią córkę Patty, moją rówieśniczkę. Mieszkali oni nieco dalej przy tej samej ulicy, przy której leżało pole golfowe. Moi rodzice lubili Mike'a i Patty. Były to przyzwoite dzieciaki, spędzające czas tak samo, jak robią wszystkie nastolatki w ich wieku - tak przynajmniej wydawało się moim rodzicom. W piątkowe wieczory mama Patty była zajęta obsługiwaniem wielkich przyjęć, nad których organizacją czuwała moja mama, my tymczasem wymykałyśmy się do położonego mniej więcej 15 kilometrów dalej klubu 414. Byłyśmy nieletnie, ale Tom Torpey, wielki gość stojący tam na bramce, wpuszczał nas do środka.

W weekendy w 414 grywały najlepsze kapele w mieście. Ja i Patty bawiłyśmy się tam długo po rozpoczęciu wyznaczonej nam przez rodziców godziny policyjnej, tańcząc i pijąc piwo w towarzystwie starszych od nas chłopców, a ponieważ nasi rodzice zajęci byli pracą, nigdy się o tym nie dowiedzieli. Zaprzyjaźniłam się wówczas z całkiem nowym kręgiem ludzi, a granice mojego świata nagle się poszerzyły.

Mike z kolegami budował w garażu samochody wyścigowe. Ja i Patty przesiadywałyśmy tam w gorące letnie dni, sącząc zimne napoje, słuchając ryczącego wściekle radia i przyglądając się pracującym chłopakom. Patty była uroczym, drobnym rudzielcem o mocno umalowanych oczach i delikatnych rysach twarzy. Uwielbiała śmiać się, flirtować i urządzać draki. Od pierwszej chwili poczułyśmy ze sobą więź, jak przystało na dwie dziewczyny z tak samo szelmowskim usposobieniem.

Chłopcy z garażu byli naprawdę fajni i wydaje mi się, że oni to samo myśleli o mnie, bo pozwalali mi uczestniczyć we wszystkim, co robili, cierpliwie tłumacząc swoje kolejne kroki. Kiedy już nauczyłam się nazw poszczególnych narzędzi, podawałam im to, o co poprosili. Czulałam się tak, jakbym była uczestnikiem całego przedsięwzięcia. Zaczynałam też zdawać sobie sprawę, że przyciągam uwagę chłopców i że ja sama zaczynam do nich Igrać. W sobotnie wieczory Mike i reszta zabierali swój sportowy wóz na lokalny tor wyścigowy, gdzie co weekend odbywał się wielki wyścig. Patty i ja jechałyśmy z nimi, dopingując ich z alei serwisowej. Tor Spencer Speedway stał się moim weekendowym domem. Nie minęło wiele czasu, a "dopingowanie z alei serwisowej" przestało mi wystarczać...

Wyścig równoległy lada moment miał się rozpocząć. Moje dłonie zacisnęły się na kierownicy i wyraźnie słyszałam, jak serce wali mi w piersi. Wkręciłam silnik na wysokie obroty i zerknęłam na swojego rywala; dwudziestolatek odwzajemnił spojrzenie, uśmiechając się przy tym zuchwale. Moje spojrzenie wyrażało pewność siebie, ale tak naprawdę wcale nie czułam się pewnie - byłam po prostu odważna i zdeterminowana. Chwilę później opuszczono flagę i wystartowaliśmy. Wrzuciłam drugi bieg i wysforowałam się do przodu o długość samochodu. Mój przeciwnik nie zdołał już mnie dogonić. Kiedy pojawiłam się w alei serwisowej, tłum zaczął wiwatować, a ludzie z mojej paczki rozplýwali się w pochwałach. Zdobyłam ich zaufanie i od tamtej pory ścigałam się co tydzień przez resztę sezonu, ani razu nie przegrywając.

Tamtego lata wydarzył się tragiczny wypadek. Moja przyjaciółka Patty została potrącona przez samochód i zginęła na miejscu. Stało się to w chwili, kiedy szła z domu na pole golfowe, żeby mnie odwiedzić. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami przez zbyt krótki czas, żebyśmy zdążyły dobrze się poznać. Zetknięcie ze śmiercią w tak młodym wieku było dla mnie szokiem. W pewnym sensie sprawiło też, że psychicznie się postarzałam. Straciłam towarzyszkę, a wraz z nią radość, jaką czerpałam ze ścigania się.

Po tamtym pierwszym sezonie nie startowałam już zbyt często, nie tylko z powodu śmierci Patty, ale także dlatego, że praca modelki zabierała mi latem coraz więcej czasu. Moje życie niczym wiatr zaczęło podążać w innym kierunku, jednak zawsze miałam poczucie, że pewnego dnia znowu usiądę za kierownicą.

Rozdział drugi

W Rochester połowy lat sześćdziesiątych klub Living Room był jednym ze stałych przystanków na trasie, którą w piątkowe wieczory pokonywali bywalcy nocnych lokali. Między Blue Gardenia Restaurant, Fountain Blue i Ben's Café Society można było napotkać dobrze znane twarze z szemranego towarzystwa Rochester. Wszystkie te lokale były ulubionymi miejscami spotkań członków mafii we wschodniej części miasta. W latach sześćdziesiątych alkohol można było spożywać legalnie po ukończeniu osiemnastego roku życia, ale do tamtych klubów wpuszczano także wiele nieletnich dziewcząt. Właściciele nie obawiali się, że mogliby zostać przyłapani na łamaniu prawa i w rezultacie stracić licencje na sprzedaż alkoholu. Nie mieli powodów do obaw, ponieważ stróże prawa zostali przekupieni; żeby się o tym przekonać, wystarczyło zajrzeć do tych lokali po urzędowej godzinie zamknięcia - w środku można było natknąć się na pijących gliniarzy w cywilnych ubraniach.

Kiedy miałam piętnaście lat, moi rodzice byli przekonani, że spędzam weekendowe wieczory na szkolnych potańcówkach albo że siedzę bezpiecznie w domu którejś z przyjaciółek; ja tymczasem tańczyłam w Living Room w towarzystwie starszych koleżanek. Rochester było małym miastem. Tutaj wszyscy nie tylko znali się z widzenia, ale często mieli ze sobą również jakieś powiązania. Jeśli o mnie chodzi, to wszyscy wiedzieli, że jestem modelką, wszyscy też wiedzieli, jak się nazywam. Jeśli nawet nie znali mnie osobiście, to zachowywali się, jakby było inaczej - zagadywali mnie jak dawno niewidzianą przyjaciółkę i próbowali rozmawiać ze mną tak, jakbyśmy znali się całe życie.

Barmani znali zarówno mnie, jak i moje preferencje odnośnie do alkoholi. Kiedy udawało mi się w końcu przecisnąć przez tłum i dotrzeć do baru, zawsze czekała już tam na mnie szklaneczka szkockiej, a obok niej dwa lub trzy mniejsze napełnione kieliszki. Tamci faceci wiedzieli, jak postępować z dziewczyną. Nie miało przy tym znaczenia, że nie zdołasz wypić wszystkich tych drinków. Dla gości, którzy za nie płacili, liczyło się tylko to, że mogli sprawiać wrażenie grubych ryb szastających forszą. Wtedy tego nie dostrzegałam. Czułam się wyjątkowa - takie poczucie to część powabu, jaki roztacza tamten świat. Nie przypominam sobie, by przez te wszystkie lata kiedykolwiek zdarzyło mi się zapłacić za swojego drinka.

Z perspektywy bujającej w obłokach nastolatki przebywanie w Living Room było niemal tak atrakcyjne jak zorganizowanie wielkiego przyjęcia i zaproszenie wszystkich znajomych. Lokal był otwarty dla każdego, kto tylko odważył się wejść. Ponieważ jednak powszechnie było wiadomo, że jest to teren gangsterów, niewielu postronnych gości

decydowało się wpaść tam na drinka. Klub ulokowany był w nieciekawej okolicy przy Norton Street, o kilka przecznic od czynnej przez całą noc taniej knajpki Skinny's, mieszczącej się w skromnym budynku z nieotynkowanymi cegłami, sąsiadującym z nieczynną stacją benzynową. Z zewnątrz Living Room sprawiał niezbyt zachęcające wrażenie, ale za jego progiem zaczynał się świat, który bardzo chciałam odkryć.

Wystrój nadawał wnętrzu przyjemny, przytulny klimat. Po obu stronach wejścia znajdowały się wielkie panoramiczne okna z ciężkimi bordowymi kotarami, ściągniętymi grubym złotym sznurem w taki sposób, że układały się w miękkie fałdy. Pod oknem znajdującym się najdalej od baru ustawiono kanapy wyściełane dekoracyjną tkaniną w stonowanym kolorze. Większą część sali barowej zajmowały dwuosobowe stoliki, nakryte porządnymi czerwonymi obrusami. Stożące na nich tanie czerwone świeczniki dawały bardzo niewiele światła, co jednak odpowiadało klienteli tego lokalu. Dyskrecja była tu jak najbardziej pożądana. Living Room ze swoimi bywalcami o nieposkromionych charakterach był niczym beczka prochu i w powietrzu nieustannie wisiała groźba wybuchu przemocy.

Naprzeciwko drugiego z panoramicznych okien znajdował się bar, przylegający do tylnej ściany lokalu. Wzdłuż kontuaru stało dwadzieścia barowych stołków, okupowanych zazwyczaj przez klientów palących papierosy, a za ich plecami tłoczyli się w trzech rzędach ludzie pogrążeni w pijackich dyskusjach. Barmani nigdy nie przestawali polewać - robili to nawet po zamknięciu lokalu, gdy zaciągano kotary i wyłączano muzykę. To właśnie wtedy robiło się tam naprawdę interesująco.

Stojąc przy barze, można było dostrzec położoną w głębi klubu salę z niewielką, ciasną sceną. Poza tym znajdowało się tam kilka dodatkowych stolików rozstawionych na pluszowym czerwonym dywanie; otaczały one wyłożony szarymi płytkami taneczny parkiet o powierzchni około trzech metrów kwadratowych. Nad głowami wisiał niski podwieszany sufit, pomalowany czarną farbą. Jeśli nie liczyć kolorowych reflektorów, skierowanych na występujących na scenie muzyków, sala taneczna była oświetlona równie słabo co reszta klubu. Kilka razy zdarzyło mi się oglądać tamto miejsce za dnia, przy włączonych światłach, i wyglądało ono wówczas dość tandetnie.

Przez całą noc ludzie przemierzali się z jednej sali do drugiej, zatrzymując się po drodze i usiłując przekrzyknąć dźwięki zespołu, żeby móc zamienić kilka zdań. Żaden z obecnych w klubie facetów nie liczył się z pieniędzmi - każdy starał się pokazać, że ma gest szerszy niż pozostali. I muszę przyznać, że bardzo mi to imponowało. Moim rodzicom z trudem wystarczało pieniędzy na jedzenie, a tymczasem ci goście płacili w barze studolarowe rachunki, zupełnie jakby mieli do dyspozycji niewyczerpane źródło gotówki.

I przypuszczam, że tak właśnie było.

Pamiętam, jak któregoś wieczoru goście siedzący w Living Room odebrali telefon z informacją, że do klubu jadą jacyś ludzie z zamiarem zastrzelenia Sammy'ego G. Zabarykadowali wejście, nikt nie mógł opuścić klubu, dopóki nie nadciągnęły z odsieczą posiłki (i nie chodziło tu bynajmniej o siły prawa i porządku). Byłam naprawdę przestraszona - głównie dlatego, że widziałam ich niepokój. Demonstrowana przez nich zwykle pewność siebie ustąpiła miejsca zdenerwowaniu. Z wyciągniętymi pistoletami kręcili się po lokalu, wyglądali zza kotar na zewnątrz i ustalali, co kto ma robić na wypadek, gdyby wróg pojawił się przed oczekiwanymi posiłkami. Dopiero kiedy okolice klubu zostały zabezpieczone przez wezwanych na miejsce uzbrojonych ludzi, pozytywni bohaterowie (a w każdym razie ci, którzy przebywali w lokalu) bezpiecznie wyprowadzili kobiety na zewnątrz.

Większość osób po takim doświadczeniu natychmiast wskoczyłaby do pierwszego lepszego autobusu jadącego w dowolnym kierunku. Ale nie ja. Tamta historia tylko podsyciła moje zainteresowanie tajemniczym życiem tych ludzi.

Sammy'ego G spotkałam po raz pierwszy w roku 1963 - miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Co prawda na jego twarzy nie było jeszcze wyraźnie widać oznak stresu, ale i tak wydał mi się starszy, niż wskazywał jego wiek. Jasnobrązowe włosy opadały mu swobodnie na czoło, a niewinny wyraz jego twarzy szedł w parze z malującą się na niej pewnością siebie.

Niedługo po moich trzynastych urodzinach wybrałam się do swojej koleżanki Rosalie, która mieszkała w Rochester. Poznałyśmy się na Apple Street, dokąd Rosalie przyjeżdżała w odwiedziny do ciotki. Tamtego dnia poszłyśmy jak zwykle na colę do mieszczącej się tuż za rogiem knajpki Skinny's. Lokal, położony na uboczu, w niespokojnej okolicy we wschodniej części miasta, był szczególnie popularny wśród młodocianych „twardzieli” i pełnił funkcję wylęgarni przyszłych chuliganów. Skinny's idealnie nadawało się dla poszukiwaczy niebezpiecznych przygód, mój nienasycony apetyt na mocne wrażenia sprawiał więc, że lokal wydawał mi się fascynującym i kuszącym miejscem. Nigdy nie byłam tam nocą, ale słyszałam, że kiedy wszystkie bary były już pozamykane, lubili tam wpadać na śniadania osobnicy będący starszą wersją tych, którzy przesiadywali w Skinny's za dnia.

Zamiast usiąść w jednym z obitych czerwona imitacją skóry boksów, kołyszac biodrami, podeszłyśmy do baru i klapnęłyśmy na wysokich stołkach, możliwie najbliżej dużych okien. Miałam na sobie białe szorty, eksponujące szczupłe, opalone nogi, a do tego wzorzystą kusą bluzkę, zawiązaną tuż pod przedwcześnie rozwiniętym biustem, i wyglądałam na znacznie starszą niż moje trzynaście lat. Rosalie wyglądała natomiast na swój wiek. Jej

krótkie ciemne loki tworzyły nijaką fryzurę, a na twarzy miała spore pryszcze, które bez powodzenia usiłowała zamaskować makijażem.

Gdy już zamówiliśmy colę, naszą uwagę przykuli nastoletni chłopcy, którzy kręcili się na zewnątrz, nie zdając sobie sprawy, że przyglądamy się im przez szybę. Zaintrygował nas ich europejski styl, wąskie spodnie i spiczaste buty na wysokim, ściętym obcasie. Tak jak większość trzynastoletnich dziewcząt, które dopiero co zaczęły interesować się chłopakami, uznałyśmy, że ich zaczesane do tyłu, lśniące włosy i trzymane w kącikach ust papierosy są odjazdowe.

Podczas gdy pożerałyśmy ich wzrokiem, przysiadło się do nas dwóch dwudziestolatków, którzy zaczęli nas ordynarnie podrywać. Próbowaliśmy nie zwracać na nich uwagi, ale byli tak natarczywi, że okazało się to niemożliwe.

- Hej, lalczko, nie znajdziesz tam tego, czego szukasz, mam to tutaj - powiedział jeden z nich, chwytając się przy tym za krocze. Sprawiał wyjątkowo obleśne wrażenie.

- Jesteś obrzydliwy - rzuciłam w odpowiedzi i odwróciłam się do niego plecami.

Jego towarzysz gapił się pożądliwie na Rosalie, która cała zeszytniała, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- No, daj nam popatrzeć na te apetyczne cyczuszki - nalegał ten o obleśnym wyglądzie i odwrócił mój stołek z powrotem w swoją stronę.

Sammy obserwował tę scenę z pobliskiego boksu. Zdawał sobie sprawę, że pod grubą warstwą makijażu jesteśmy po prostu dziećmi, i postanowił stanąć w naszej obronie. Wywiązała się gwałtowna kłótnia, która skończyła się na parkingu, gdzie Sammy w pojedynkę poradził sobie z tamtymi dwoma. Rosalie i ja z nosami przyklejonymi do szyby patrzyłyśmy, jak Sammy przeprowadza z nimi własną wersję rozmowy wychowawczej. Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem tak brutalnej przemocy i wzdygałam się na widok każdego kopnięcia. Kiedy Sammy skończył, twarze tamtych przypominały krwawą miazgę. Obaj zwiali ulicą z podkulonymi ogonami, a Sammy wrócił do środka.

- Jeśli ktoś jeszcze tak was potraktuje, dajcie mi znać. Łatwo mnie znajdziecie, zawsze tutaj siedzę. Rozumiecie? - powiedział stanowczym głosem.

Sammy był młodym spryciarzem, szybko wspinającym się po kolejnych szczeblach kariery w mrocznym świecie, z którego istnienia nie zdawałam sobie wówczas sprawy, ale który miałam w przyszłości poznać aż nazbyt dobrze.

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg Living Roomu, Sammy akurat tam był. Zbliżył się do mnie wielkimi krokami i serdecznie się ze mną przywitał.

Byłam już nieco starsza niż podczas naszego pierwszego spotkania i dobrze

wiedziałam, że podobam się mężczyznom. Nigdy nie musiałam zabiegać o ich zainteresowanie. Ono po prostu zawsze mi towarzyszyło - wydawało mi się to tak samo naturalne jak codziennie mycie zębów. Lubiłam być adorowana, ale wciąż pozostawałam nieświadoma własnej seksualności i tego, jak ona działa na mężczyzn. Nie miałam pojęcia, co dzieje się w ich głowach. Sammy - owszem. Wiedział znacznie więcej ode mnie o nieczystych intencjach, jakie miewają mężczyźni, zdawał też sobie sprawę z mojej naiwności. Z jakiegoś powodu zdecydował się chronić moją niewinność.

Mało brakowało, a w czasie mojej pierwszej wizyty w Living Roomie doszłoby do powtórki z wydarzeń, do których doszło podczas mojego pierwszego spotkania z Sammym G. Kiedy staliśmy w tłumie przy barze, jakiś mężczyzna obok mnie zaczął się lekko chwiać. Oparł się o kontuar, żeby odzyskać równowagę, rozlewając przy tym część zawartości swojego kieliszka. Następnie, oblizując zęby koniuszkiem języka, zaczął mi się przypatrywać spod opadających powiek.

- Masz całkiem ładne cycki, młoda damo. Prawdziwe? - powiedział przeciągle.

Usłyszał to Sammy i w mgnieniu oka się odwrócił. Pijany mężczyzna umilkł pod jego morderczym spojrzeniem, po czym wycofał się i chwiejnym krokiem zszedł nam z oczu. Mimo to Sammy jeszcze przez kilka minut był wyraźnie wzburzony. Ciarki przeszły mi po plecach. Widziałam już Sammy'ego w akcji i byłam pewna, że to jeszcze nie koniec, ale tym razem napięcie powoli opadło.

Rzadko zdarzało mi się oglądać go od takiej strony. Sam, którego znałam, był miłym facetem - przynajmniej dla mnie. Miał wielkie serce, choć okazywał je tylko wybranym. Nie mógł postępować inaczej. Musiał dbać o swój wizerunek. Był przecież jednym z "chłopaków z ferajny", którzy nikomu nie schodzą z drogi.

Nie, Sammy nie był stereotypowym, popalającym cygaro gangsterem. Był klasą sam dla siebie, bardzo przystojny, zawsze nienagannie ubrany. Trudno było nazwać go wysokim, miał około metra siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, ale nosił drogie ubrania i dobrze się w nich prezentował. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek widział go dwa razy z tą samą diamentową spinką do krawata i dopasowanymi do niej spinkami do mankietów. To samo dotyczyło jego butów za 300 dolarów oraz szytych na miarę koszul. Poruszał się po mieście niczym gwiazdor filmowy w otoczeniu swojej świty. Zawsze kroczył dumnie, a jego prezencja sprawiała, że gdziekolwiek się pojawił, wzbudzał zainteresowanie, natomiast to, kim był, sprawiało, że budził szacunek.

Sammy słynął z hojności - rozdawał studolarowe napiwki, opłacał czynsz dziewczynom, które znalazły się w trudnej sytuacji, i bez okazji obdarowywał przyjaciół

kosztownymi prezentami. Taki już miał charakter. Na moje szesnaste urodziny zorganizował mi wielką fetę na Bahamach. Zaproszenie dostała także moja siostra Sharon i moja przyjaciółka Vicky. Obecność mojej zamężnej siostry w charakterze przyzwoitki przekonała moją mamę do dania mi zgody na ten wyjazd.

Z całej podróży najlepiej pamiętam konną przejażdżkę brzegiem morza. Już samo dosiadanie koni przez naszą dziesięcioosobową grupę było przekomiczną sceną. Chłopcy z miasta, wyrwani z naturalnego środowiska, wystroili się w spodnie od garniturów i drogie włoskie buty. Sammy, wspinając się na siodło, rozerwał swoje obcisłe spodnie, po czym skłął na czym świat stoi biednego konia, tak jakby miał on cokolwiek wspólnego z jego wypadkiem. Joey Tiraborelli wyśmiewał się z Sammy'ego, ale gdy sam spróbował dosiąść konia, przytrafiło mu się dokładnie to samo.

Chłopcy przetarli swoje wyglansowane na wysoki połysk buty i podwinęli nogawki spodni, odsłaniając markowe skarpetki, a przy okazji także owłosione łydki, po czym wyruszyliśmy na białą piaszczystą plażę. Przerażenie malujące się na twarzach chłopaków, kiedy nasze konie puściły się pełnym galopem, byłoby świetnym materiałem na kadr dla Kodaka, ale niestety żadne z nas nie miało przy sobie aparatu.

Jeden z chłopaków zgubił w panice pierścień z diamentem, który nosił na małym palcu, i psioczył z tego powodu przez resztę wycieczki. Bohaterem najzabawniejszego incydentu został jednak Sammy, który postanowił zaimponować pozostałym i wjechał konno w morskie fale. Pech chciał, że noga jego konia uwięzła w przybrzeżnym koralowcu i próbujące uwolnić się z pułapki zwierzę zrzuciło Sammy'ego, który wpadł głową do wody. Wyliśmy ze śmiechu jak potępieńcy, zwłaszcza kiedy koń wyswobodził w końcu nogę i uciekł, skazując jeźdźca na powrót do stajni piechotą. Myślę jednak, że Sammy był tak naprawdę zadowolony z takiego obrotu sprawy. Kiedy wymęczeni dotarliśmy w końcu na miejsce, prychnął ze złością:

- Co za gówno! Wolałbym mieć pistolet przystawiony do głowy, niż przeżyć to jeszcze raz.

Najbardziej lubiłam jego poczucie humoru. Zawsze gdy o nim myślę, przypominają mi się te wszystkie chwile, w których wspólnie się śmialiśmy. Nie twierdzę, że jestem geniuszem, ale Sammy notorycznie używał słów, które były kompletnie pozbawione sensu. Za każdym razem mu to wypominałam, na co on rzucał jakąś zabawną ripostę, po której zrywaliśmy boki ze śmiechu.

Większość ludzi widywała jednak zupełnie inne, wcale nie zabawne oblicze Sammy'ego. W Rochester Sammy był siłą, z którą trzeba się było liczyć. Był szyczą. Kiedy

chciał, potrafił oczarować swoim pogodnym sposobem bycia, ale była to tylko maska, pod którą czaił się morderca - chociaż ja nigdy nie potrafiłam zmusić się do tego, żeby to zobaczyć. Jego silna osobowość działała niczym stymulant. Z nim u boku czułam się bezpieczna i nietykalna. Dla Sammy'ego rzeczywistość była tajemnicza, podniecająca i kusząca.

Kiedy już lepiej poznałam jego styl życia, często przekomarzaliśmy się w żartach, czyj wizerunek częściej pojawia się w gazetach - jego czy mój. Ale bez względu na wszystko, co usłyszałam lub przeczytałam, wciąż nie chciałam dostrzec tego, kim naprawdę jest Sammy.

Był marzec 1968 roku. Mama z tatą przygotowywali się do podróży do Myrtle Beach w ramach corocznego wyjazdu golfowego z członkami swojego klubu. Rok wcześniej pojechałam tam razem z nimi. Świetnie się bawiłam, ale tym razem czekało na mnie zbyt wiele obowiązków. Był to mój ostatni rok w liceum i miałam akurat wiosenną przerwę w zajęciach. Fotografowie postanowili to wykorzystać i dlatego cały tydzień wypełniały mi zaplanowane sesje zdjęciowe. Poza tym mój narzeczony, Tom, który przechodził wówczas wstępne szkolenie w obozie dla rekrutów w Fort Dix w stanie New Jersey, starał się o przepustkę na kolejny weekend i zależało mi na tym, żeby się z nim zobaczyć.

Toma poznałam latem 1966 roku, w parną sierpniową noc, podczas „krążenia po Main”, jak nazywałyśmy z moją przyjaciółką wspólne przejażdżki jej nowym kabrioletem Chevrolet Corvair. W naszym kalendarzu każdy niedzielny wieczór zarezerwowany był na jeżdżenie tam i z powrotem po Main Street w Rochester. Przez całą noc kursowałyśmy pomiędzy Ben's Café Society a budką z hamburgerami White Tower. W obu tych miejscach znajdowały się duże parkingi, na których gawędziłyśmy z każdym, kto tylko wyglądał na godnego naszej uwagi. Tak naprawdę jako pierwszy wpadł mi w oko samochód Toma: czarny podrasowany dodge charger. Gdy wystartował spod świateł na skrzyżowaniu, zorientowałam się, że pod jego maską drzemie wielka moc. A kiedy podjechałyśmy do niego na parkingu, przekonałam się, że kierowca jest równie atrakcyjny jak samochód.

Tom był wysoki, miał długie, gęste rzęsy i zuchwałe brązowe oczy. Tak jak większość mieszkańców Rochester był z pochodzenia Włochem. Wyróżniał się tym, że był jedynym znanym mi Sycylińczykiem, który naprawdę był tak niewinny, jak sugerowała to jego twarz. Tom miał dwadzieścia cztery lata i pracował dla Kodaka, a ja miałam za chwilę pójść do pierwszej klasy liceum. Zaręczyliśmy się w Boże Narodzenie 1967 roku.

W tamtym czasie trwała wojna w Wietnamie i Tom dostał powołanie do wojska. Od jego wyjazdu minęło jednak ledwie parę miesięcy, a do tego zwykle przyjeżdżał do domu na

weekendy. A ponieważ w pozostałe dni tygodnia miałam na głowie szkołę i pracę, nie bardzo miałam czas, żeby szczególnie mocno tęsknić.

Przed wyjazdem rodziców do Myrtle Beach obiecałam matce, że podczas ich nieobecności będę nocowała w domu ciotki Teresy, żeby nie musieli się o mnie martwić. Poniedziałek po ich wyjeździe był dla mnie jednym z najbardziej pracowitych dni. O dziewiątej rano miałam sesję zdjęciową do ogólnokrajowej reklamy Kodaka. O trzynastej popędziłam do studia fotograficznego Klause Fischela, gdzie zrobiono mi zdjęcia na okładkę katalogu z biżuterią firmy Sara Coventry. O osiemnastej byłam już w studiu fotograficznym domu towarowego Sibley's, żeby pozować do serii zdjęć do reklamy, która miała się ukazać w gazecie w najbliższą niedzielę. Uporaliśmy się z tym przed północą i dopiero wtedy pojechałam do domu. Dotarłam tam o pierwszej w nocy, spakowałam ubrania potrzebne do sesji czekających mnie nazajutrz i wreszcie dotarłam do domu ciotki Teresy. Długi dzień. Od ciągłego uśmiechania się bolały mnie policzki.

Następny dzień był jeszcze gorszy. Zdjęcia na plaży do reklamy strojów kąpielowych Champion. Nie brzmi to tak źle, ale w marcu w północnej części stanu Nowy Jork jest jeszcze zimno. Mogłam mówić o szczęściu, jeśli temperatura dochodziła do pięciu stopni Celsjusza. Takie są jednak uroki zawodu modelki: kostiumy kąpielowe w styczniu i futra w lipcu. W tamtym tygodniu upchnęłam w grafiku naprawdę dużo zleceń. Żadnych lekcji, wyłącznie praca. Nawet w sobotę miałam zaplanowaną sesję. Piątek przyniósł mi jednak chwilę wytchnienia - byłam w domu już o czwartej po południu.

Godzina szósta. Tom jeszcze nie dzwonił. Przyjedzie czy nie? Zatelefonowałam do ciotki Teresy i uprzedziłam, że nie będę u niej na kolacji. Obiecałam, że jeśli Tom nie przyjedzie, zjawię się u niej za godzinę lub dwie. Gdyby jednak przyjechał, to wrócę nie później niż o wpół do pierwszej w nocy. Następnego dnia rano czekały mnie zdjęcia dla Kodaka, dlatego musiałam się wyspać.

Ciotka Theresa mieszkała ze swoim synem Keithem, gliniarzem, pracującym w wydziale policji w Rochester. Była przyzwyczajona do czekania do późna, dopóki jej syn nie wróci bezpiecznie do domu. Typowa włoska matka. Ale rozumiałam jej obawy. Kiedy moi rodzice wyjeżdżali, dzwoniłam do niej regularnie, żeby dać znać, gdzie jestem, i uspokoić, że nie porwało mnie żadne złe лихо.

Kiedy robiłam sobie kanapkę, usłyszałam dzwonek do drzwi. W progu stał Dick, mąż mojej siostry. Był przyzwoicie ubrany, ale było widać, że jest czymś wyraźnie przybity. Jego tyczkowate ciało opierało się o framugę, a młodzieńcza zwykle twarz tym razem wyglądała na wymizerowaną, co go postarzało.

Dick był typem sportsmena o typowo amerykańskiej urodzie - jasnych oczach i rudawozłotych, ostrzyżonych na jeża włosach. Miał dwadzieścia pięć lat i nadal regularnie co tydzień grywał w baseball i koszykówkę ze starymi kumplami z czasów liceum. Jego wysportowana sylwetka, szczupła, ale muskularna, była najlepszym dowodem na jego aktywny tryb życia.

- Moglibyśmy chwilę porozmawiać? - zapytał żałośnie Dick.

Wyglądał jak ktoś, kto niedawno płakał, i na dodatek nie ma na świecie ani jednej przyjaznej duszy. Dick i Sharon pobrali się mniej więcej trzy lata wcześniej i mieli dwuletnią córeczkę. Ich małżeństwo od samego początku było burzliwe. Dick był szalenie zazdrosny o moją siostrę i w ich domu często dochodziło do brutalnych rękoczynów. W takich wypadkach Sharon uciekała do mamy. W ciągu trzech lat od ślubu prawdopodobnie więcej czasu spędziła u nas niż w swoim własnym domu.

Ostatnio znowu się rozstali. Sharon potrzebowała czasu, żeby nabrać dystansu i spokojnie wszystko przemyśleć. zabrała więc dziecko i pojechała do rodziców do Myrtle Beach. Sądziłam, że tym razem zdecyduje się definitywnie zakończyć związek z Dickiem i nie pogodzi się z nim po raz kolejny. Osobiście uważałam, że tak będzie najlepiej.

- Tak, wejdz. Zrobić ci kanapkę? - zapytałam, otwierając szerzej drzwi, po czym wróciłam do kuchennej lady.

Współczułam Dickowi. Kochał moją siostrę, ale nie potrafił nad sobą panować. Wszystko wskazywało na to, że tym razem jego przeprosiny nie odniosły skutku i Dick był zdruzgotany, przeczuwając, że może utracić Sharon już na zawsze. W stosunku do mnie zawsze był miły, ale to nie ja musiałam mieszkać z nim pod jednym dachem.

- Tak, jasne, właściwie to jestem głodny - powiedział i zamilkł na chwilę. - Miałś jakieś wieści od Sharon? - zapytał wreszcie, próbując ukryć desperację w swoim głosie.

- Tak, dzwoniłi wczoraj. Wracają w niedzielę.

- Sharon wspominała coś o mnie? - uniósł brwi i utkwiał przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu w mojej twarzy, czekając na odpowiedź.

- Nie, Dick, szczerze mówiąc... nie wspominała - odparłam i podeszłam, żeby zamknąć kuchenne drzwi, przez które wieczorna bryza niosła do domu chłodne powietrze. Rozpacz Dicka kontrastowała z pogodnym wyglądem kuchni: jasną tapetą w pomarańczowe kwiaty i kredensem pełnym fotografii uśmiechniętych twarzy.

Dick wsparł łokcie na stole i ukrył twarz w swoich wielkich dłoniach.

- Nie wiem, co robić, Georgia - jęknął. - Tak bardzo za nią tęsknię. - Podniósł głowę i znów spojrzął mi prosto w oczy. - Myślisz, że jeszcze do mnie wróci?

Poczułam się niezręcznie. Próbowałam złagodzić jego ból, ale starałam się nie dawać mu fałszywej nadziei.

- Nie chcę cię ranić, Dick, ale może powinieneś zacząć myśleć o tym, co zrobisz, jeśli ona nie wróci. Sharon sprawia wrażenie, jakby naprawdę podjęła decyzję...

- Gdyby tylko zechciała ze mną porozmawiać, wiem, że potrafiłbym ją przekonać, żeby dała mi jeszcze jedną szansę - przerwał mi. Nie chciał pogodzić się z faktami.

- Sama nie wiem... - bąknęłam z powątpiewaniem.

- Co ja mam zrobić, Georgia? Tak strasznie ją kocham... - powiedział zrezygnowany.

- Postaraj się zająć czymś głowę - poradziłam, przeczesując palcami włosy i próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. - Zaczynaj wychodzić z przyjaciółmi, to ci pomoże.

- Tak, tyle że moi przyjaciele są też jej przyjaciółmi. Rozmawiamy wyłącznie o Sharon.

Miał rację. Żadne z nich nigdy nie opuszczało tego miasteczka. Przyjaźnili się z ludźmi, z którymi oboje się wychowywali. Unikanie się nawzajem było właściwie niemożliwe.

- Więc poszukaj nowych znajomych - stwierdziłam. - Pojedź do miasta. Nie możesz siedzieć tutaj i oczekiwać, że nie spotkasz ludzi, którzy będą ci o niej przypominać. Świat nie kończy się na East Rochester.

Dick pokręcił głową.

- Niby tak, ale głupio się czuję, kiedy wchodzę do baru i nikogo tam nie znam. Nie jestem taki jak ty. Tobie poznawanie ludzi przychodzi łatwo. Ja tak nie potrafię.

- Potrafiłbyś... gdybyś tylko spróbował - zapewniłam stanowczo.

- Pomożesz mi, Georgia? Mógłbym pojechać z tobą do miasta, a ty przedstawiłabyś mnie swoim znajomym?

- Mogłabym to zrobić, ale dziś wieczorem przyjeżdża Tom.

- Och. - Dick spuścił wzrok.

Miałam słabość do ludzi, którzy cierpieli. Chociaż wiedziałam, że Sharon będzie znacznie szczęśliwsza bez Dicka, to jednak było mi go żal. Próbowałam podnieść go na duchu, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Cześć, kochanie - usłyszałam głos Toma. - Mam złe wieści. Nie dostałem przepustki.

- Och, Tom. Tak mi przykro. Susie i Ralph urządzą jutro wieczorem imprezę. To przyjęcie pożegnalne. Ralph też dostał wezwanie.

- Będziesz musiała wybrać się beze mnie. Co masz zamiar zrobić dziś wieczorem?

- Położę się wcześniej do łóżka. Tak czy inaczej, jutro o szóstej rano muszę być

w pracy.

- Za tydzień już na pewno uda mi się przyjechać... - Tom zrobił krótką pauzę. - Dzisiaj przysły rozkazy.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

- Jak tylko skończymy szkolenie, wysyłają nas do Wietnamu.

- Tak szybko? - Owinęłam przewód od słuchawki wokół palca wskazującego. Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

- Wojna nie będzie na nas czekać, Georgia. Muszę kończyć. Mamy tu kolejkę do telefonu. Kocham cię, skarbie.

- Ja też cię kocham, Tom. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Delikatnie odłożyłam słuchawkę na widełki.

- Tom nie przyjeżdża dziś do domu? - zagadnął Dick.

- Wygląda na to, że nie - odparłam.

- Georgia? - Głos Dicka wyrwał mnie z zamyślenia. - Skoro Tom nie przyjeżdża, to może zabrałabyś mnie dziś ze sobą do miasta?

Myśl o Wietnamie wprawiała mnie w przygnębienie. Już czterech moich kolegów straciło tam życie. Nasi chłopcy padali tam niczym muchy. Być może wypad do miasta pozwoliłby mi zająć umysł czymś innym? Kilka godzin nie stanowiło przecież problemu, a poza tym Dick naprawdę wyglądał na kogoś, kto potrzebuje poprawy nastroju.

- W porządku, ale musimy wziąć dwa samochody. Nie będę mogła zostać zbyt długo.

- Nie mam dziś w planach szampańskiej zabawy. Pojedźmy jednym wozem. Wrócimy, kiedy tylko będziesz chciała.

- Jesteś pewny? Jutro wstaję o czwartej i naprawdę muszę iść spać o przyzwoitej porze.

- Jestem pewny. Przyda mi się drink i zmiana otoczenia, ale raczej nie będę bawił się aż tak świetnie, żebym nie chciał wracać. Powiesz słowo i od razu wychodzimy.

- No cóż... niech będzie - zgodziłam się, choć nie byłam do końca przekonana, czy podjęłam słuszną decyzję.

Przebrałam się, zastępując jeansy czarną koktajlową sukienką, którą planowałam włożyć dla Toma, po czym wyruszyliśmy do miasta.

W piątkowy wieczór Living Room podrygiwał w tanecznym rytmie. Byłam zadowolona, że zdecydowałam się na ten wypad. Kiedy weszłam do środka, ze sceny dobiegały głośne dźwięki jednej z piosenek Four Tops.

- Georgia! - zawołał ktoś radośnie, przekrzykując muzykę.

W kącie przy barze zauważyłam Jimmy'ego Cristo, właściciela Living Room, który gestem dawał mi znać, żebym do niego podeszła. Obok stali Sammy G i Joey Tiraborelli.

Joey był pasierbem wysoko postawionego mafiosa, Reda Russottiego, a także najlepszym przyjacielem Sammy'ego G. Ci dwaj byli nierozłączni. Joey był zabawnym facetem o krzywym uśmiechu i zaraźliwym śmiechu. Jego nos, wystarczająco wydatny, żeby można go było przytrzasnąć drzwiami, sprawiał, że twarz Joeya budziła skojarzenia z historią Rzymu. Joey Tiraborelli ubzdurał sobie, że jest rochesterskim odpowiednikiem Johna Dillingera, i o wiele za dużo chlapał jęzorem. Ciągłe zdarzało mu się obrażać lub prowokować do bójki ludzi, którym w tamtym świecie należał się szacunek. Gdyby zrobił to ktoś inny, już dawno znaleziono by go leżącego w jakimś rowie, twarzą do ziemi i z kulą w potylicy. Ale bycie ulubionym kumplem Sammy'ego G gwarantowało bezpieczeństwo. Joey dobrze o tym wiedział, nawet jeśli był cholernie tępy - żeby policzyć do więcej niż dziesięciu, musiałby zdjąć buty.

Jeśli chodzi o Jimmy'ego Cristo, to wyróżniał się na tle pozostałych. Miał głowę na karku. Oprócz klubu Living Room był też właścicielem jednego z najlepiej prosperujących warsztatów blacharskich w mieście. Jimmy w młodym wieku dorobił się (legalnie) dużych pieniędzy i umiał je wydawać. Jeszcze zanim zdążył się odezwać, widać było, że to mężczyzna z klasą. Był -małomówny i ostrożny, zazwyczaj więcej wyrażał spojrzeniem niż słowami. Teraz, nienagannie ubrany i z flirciarskim błyskiem w oku, przywołał mnie skinieniem ręki do baru.

To Jimmy podarował mi mój pierwszy samochód - na moje szesnaste urodziny. Ze wszystkich wozów musiał wybrać akurat studebakera. Tak czy inaczej, zawsze był to jakiś samochód, a ja byłam wdzięczna, że wreszcie mam własne cztery kółka. Studebaker, zanim trafił do mnie, stał wcześniej na parkingu Jimmy'ego. Po niedługim czasie samochód spłonął w tajemniczych okolicznościach. Jimmy miał z tego powodu wyrzuty sumienia i sprezentował mi pierwszorzędny złoty buicka, rocznik 1964, z metalizowanym lakierem. Ten samochód naprawę mi się spodobał.

Zarówno Joey Tiraborelli, jak i Jimmy Cristo uczestniczyli w naszej wyprawie na Bahamy. Tuż przed wyjazdem Jimmy zerwał z Gail, swoją stałą dziewczyną. Ciągnęło nas do siebie i na Bahamach spędziliśmy razem każdą chwilę, ale Jimmy był ode mnie dziesięć lat starszy i zależało mu na dojrzałym związku. Mnie trudno było wówczas uznać za dojrzałą. Poza tym wciąż byłam nieletnia. Jimmy był zbyt rozsądny, żeby mogło się wydarzyć coś więcej, ale niewątpliwie istniało między nami silne przyciąganie.

Kiedy podeszłam do baru, prowadząc za sobą Dicka, przypomniało mi się, jak Jimmy

i ja spacerowaliśmy bosy po plaży. Pełnia księżycy, gorący piasek pod stopami, wyspiarska muzyka dobiegająca z oddali. No i te jego łagodne oczy - Boże, ależ on miał cudowne oczy. Ale teraz ja byłam zaręczona, a Jimmy wrócił do Gail i znalazł u niej to, czego potrzebował. Między nami wszystko się skończyło, zanim zdążyło się na dobre zacząć.

Po rytualnych cmoknięciach w policzki przedstawiłam im -Dicka. Było widać, że czuje się nieswojo. Living Room był klubem dla ludzi z miasta. Wszystko, co nie było spodniami z gabardyny i butami z lakierowanej skóry, wyglądało tu niedorzecznie i nie na miejscu. Dick tymczasem ubrany był w kremowe spodnie i koszulę w szkocką kratę, które krzyczały w imieniu właściciela: „Jestem dupkiem!”. Nie ulegało wątpliwości, że mój szwagier czuje się onieśmielony - rozglądał się z zakłopotaniem po barze, unikając kontaktu wzrokowego z moimi przyjaciółmi.

Sammy posłał mi wymowny uśmiezek, jakby chciał zapytać: „Skąd wytrzasnąłeś tego typka z gębą w kolorze majonezu?”. Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się promiennie, a resztę dopowiedziały moje oczy.

- Później wszyscy idziemy do Skinny's, dzieciaku. Chcesz, żebyśmy zajęli dla ciebie miejsce? - zapytał Sammy, ignorując obecność Dicka.

- Nie, Sam, dzięki. Do tej pory będę już w domu.

Zespół zwolnił tempo i zaczął grać świetny kawałek w stylu Motown, a Sammy porwał mnie na parkiet.

- Coś mi się zdaje, że Jimmy Cristo wciąż się w tobie durzy. Gapi się na ciebie, odkąd weszłaś - stwierdził, spoglądając w kierunku baru.

Zerknęłam na Jimmy'ego, który dalej stał w tym samym kącie, wysoki i pociągający.

- No cóż, tylko nie wygadaj się z tym przed Gail. Pamiętasz, co stało się z samochodem, który Jimmy dał mi rok temu? Nie przekonasz mnie, że to nie ona go podpałiła.

- Przecież sama się w końcu do tego przyznała - zauważył Sammy.

- Właściwie to zrobiła mi przysługę. Nowy samochód jest dużo fajniejszy.

- Tylko pamiętaj, żeby więcej nie parkować na stacji benzynowej. Gdybyśmy nie wypchnęli go wtedy na ulicę, wyleciałby w powietrze cały kwartał! - Sammy umilkł i popatrzył na mnie z uśmiechem. - Czy ktoś ci już mówił, że masz wybuchowy charakter?

Roześmiałam się głośno.

- Ten koleś, z którym dzisiaj przysłaś... Co to z jeden? - zagadnął Sammy, wirując ze mną w rytm muzyki. Był znakomitym tancerzem.

- To mąż mojej siostry - odparłam, opierając głowę o jego szyję i wdychając piżmowy

zapach jego wody kolońskiej.

- A więc to jest ten gnojek.

- Jeszcze tylko przez krótki czas, Sam. Myślę, że tym razem ona naprawdę zamierza to zakończyć. Miejmy nadzieję, że Dick pozna tu kogoś dziś wieczorem i zakocha się do szaleństwa. To rozwiązałyby wiele problemów - powiedziałam, gdy po skończonej piosence wracaliśmy do sali barowej.

Podczas mojej nieobecności Dick zacumował przy barze. Był tam z Joeyem, który wprost wychodził z siebie, starając się poznać Dicka z jak największą liczbą kobiet. Od czasu naszej wycieczki na Bahamy Joey oszalał na punkcie mojej siostry i teraz byłby zachwycony, gdyby jej małżeństwo ostatecznie się rozpadło. Nie oznaczało to wcale, że miałyby u niej jakiegokolwiek szanse - Sharon uważała go za kumpla, ale nic poza tym. Ponieważ Dick radził sobie beze mnie, wyruszyłam na obchód po klubie, żeby przywitać się z pozostałymi przyjaciółmi.

Około jedenastej wieczorem odszukałam Dicka, który siedział przy barze na tym samym stołku co wcześniej, gadając z jakąś tlenioną blondynką.

- Dick, powinniśmy już wracać.

- Ale ja właśnie zamówiłem piwo. Wyjdziemy, gdy tylko je wypiję, zgoda?

- Zgoda, ale pośpiesz się - powiedziałam lekko rozdrażniona.

Zostawiłam ich, żeby mogli dokończyć rozmowę. Zatańczyłam jeszcze dwa razy ze znajomymi chłopakami, po czym wróciłam do baru.

- Gotowy? - zapytałam.

Przed Dickiem stała kolejna pełna butelka.

- Niech no tylko dokończę to piwo - odpowiedział. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby już wypił o jedno za dużo.

- Dick! - wybuchnęłam gniewnie. - Właśnie dlatego chciałam wziąć własny samochód. Obiecałeś, że odwieszysz mnie wcześniej do domu. Jeśli szybko się nie położę, jutro w pracy będę wyglądała jak kupa gówna.

- Dobrze już, dobrze. Dokończę to ostatnie i wychodzimy.

Poirytowana pomaszerowałam do łazienki, a po drodze natknęłam się na Joeya.

- Co się dzieje? - zapytał, a jego ciemne oczy przyjrzały mi się z niepokojem.

- Nie mogę zmusić Dicka do wyjścia. Musiałeś aż tak się starać? Dick jest teraz jak małe dziecko w sklepie z cukierkami.

Joey zaśmiał się.

- To nie jest śmieszne. Jutro muszę wcześniej wstać.

- W porządku, zobaczę, co da się zrobić - powiedział Joey. - Spotkamy się przy barze.

Prosto z łazienki wróciłam do baru. Pod wpływem moich natarczywych nalegań Dick dopił swoje piwo i wreszcie zebraliśmy się do wyjścia.

W tym czasie Sammy G i kilku innych typów, wyglądających na gangsterów, zebrali się w kącie przy barze. Ich rozmowa wyglądała na poważną. Kiedy szłam do wyjścia, Sammy podniósł na mnie wzrok, a ja pomachałam mu na pożegnanie. Nie uśmiechnął się, skinął tylko głową. Później, kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu, dostrzegłam go w oknie klubu - stał tam i przyglądał się mnie i Dickowi. Uśmiechnęłam się i raz jeszcze do niego pomachałam. Tym razem odwzajemnił gest, ale na jego twarzy nie pojawił się uśmiech. O rany, ciekawe, co się stało.

Wjechaliśmy na autostradę i ruszyliśmy w kierunku East Rochester. Dick miał problemy z utrzymaniem samochodu na jednym pasie ruchu.

- Może to ja powinnam prowadzić? - zaproponowałam zaniepokojona.

- Nie, wszystko gra - zapewnił Dick.

Minęliśmy zjazd z autostrady prowadzący na Linden Avenue.

- Dick, gdzie ty jedziesz? Przegapiłeś mój zjazd.

- Och, nie pomyślałem. Jechałem prosto do domu. Słuchaj, skoro i tak jesteśmy już prawie u mnie, to może wyświadczyłabyś mi przysługę? W niedzielę wraca Sharon, a ja wczoraj zaprosiłem na wieczór kilku chłopaków. Graliśmy w karty i teraz dom wygląda jak siedem nieszczęść. Pomogłabyś mi posprzątać? To nie zajmie długo. Chcę jej pokazać, że się staram - dodał błagalnym tonem.

Dobrze rozumiałam, dlaczego wpadł w taki popłoch na myśl o panującym w domu bałaganie. Moja siostra miała świra na punkcie czystości. Kiedyś wybuchła między nami potworna awantura - Sharon naskoczyła na mnie z mordą, bo kiedy robiłam sobie coś do jedzenia, nabrudziłam w wysprzątej przez nią kuchni. Niewiele brakowało, a wybiłabym swojej siostrze oko popielniczką, którą rzuciłam w nią w samoobronie. Ostatecznie skończyło się na wizycie w szpitalu, gdzie założono jej czternaście szwów, biegnących od łuku brwiowego aż do nosa.

- Nie mogę, Dick, jest już późno. Gdybyś wyszedł z baru wtedy, kiedy cię o to prosiłam, mogłabym ci pomóc. Ale teraz muszę iść spać.

- Proszę, Georgia, to dla mnie ważne. Przypomnij sobie, ile razy ci pomagałem. Nie możesz dla mnie zrobić takiego drobiazgu? To tylko kwadrans. Tyle to nam zajmie, jeśli zrobimy to razem.

Dick zjechał z autostrady na Fairport Road - ulicę, przy której mieszkał. Nasze domy

dzieliło około półtora kilometra. Westchnęłam z dezaprobatą, zdając sobie sprawę, że odmowa nie wchodzi w grę. Mój szwagier był pijany i mógł myśleć wyłącznie o tym, co było ważne dla niego samego. Nieduży dom stał około stu metrów od ulicy, nieco na uboczu, po prawej stronie sąsiadował z budynkiem biura wodociągów, a po lewej z pustym parkingiem.

- Wiesz co, Dick? Naprawdę mnie wkurzasz! Skoro od początku planowałeś poprosić mnie o pomoc, to po diabła siedziałeś tam i żłopałeś te wszystkie piwka? Dobrze wiedziałeś, że robi się późno. Cały wieczór powtarzam ci, że muszę jutro wcześniej wstać!

- To nie potrwa długo, słowo.

Dick, ignorując moje oburzenie, wjechał na podjazd.

Okazało się, że mówił prawdę. W domu panował okropny bałagan. Zdjęłam płaszcz i zaczęłam zbierać porozrzucane wszędzie puszki po piwie. Im szybciej się z tym uporam, tym szybciej wrócę do siebie. Potem zabrałam się do zmywania, Dick tymczasem osuszał umyte naczynia kuchenną ścierką. Wycierał akurat nóż rzeźniczy, gdy nagle znalazł się za moimi plecami, a ja poczułam ostrze noża na gardle.

- Pocałuj mnie - powiedział tonem, jakiego nigdy dotąd nie słyszałam.

- Dick, co ty wyprawiasz? - krzyknęłam.

- Po prostu mnie pocałuj. Nie chcę nic więcej.

- Dick, zastanów się, co robisz! Jestem siostrą twojej żony! Oszalałeś?

- Tylko jeden całus...

Szarpnął gwałtownie za moją sukienkę i zerwał ją ze mnie jednym ruchem. Próbowałam pobiec ku drzwiom. Dick złapał mnie jednak i zaciągnął z powrotem do kuchni. Wrzeszczałam i wierzczałam wściekle, próbując wyrwać się z jego uścisku, ale mimo to przyparł mnie do lodówki. Przycisnął swoje obślinione usta do moich. Z obrzydzeniem odwracałam głowę to w jedną, to w drugą stronę.

- Po prostu mnie pocałuj. Nie chcę nic poza tym.

- Zdaje ci się, że będziesz miał szanse u Sharon, kiedy się o tym dowie!?! - wykrzyczałam.

- Chcę tylko jednego małego całusa - wydyszał, pochylając głowę w kierunku mojego biustu, szarpiąc zębami stanik i odsłaniając moje piersi.

Następnie kilkakrotnie szarpnął stanik mocnymi rękami, aż wreszcie udało mu się zupełnie go ze mnie zderzeć.

Wymierzyłam mu kopniaka między nogi. Nie zabolalo go to, wbrew temu, co zawsze słyszałam na temat takiego kopnięcia. Wydawał się nawet jeszcze bardziej podniecony. Zaciągnął mnie do salonu i pchnął na sofę. Potem unieruchomił mi ręce nad głową i zerwał ze

mnie resztę bielizny.

Myśl o tym, co miało za chwilę nastąpić, dodała mi nagle siłę. Odwróciłam się gwałtownie i w ten sposób straciłam równowagę. Zwaliłam się na podłogę, uderzając przy tym głową o stół do kawy, co na krótki moment go oszołomiło. Zerwałam się z sofy i rzuciłam się do ucieczki, on jednak złapał mnie za nogę i tym razem to ja runęłam na ziemię. Kopnęłam go w twarz, usiłując wyswobodzić się z jego uścisku.

- Chciałem tylko jednego małego całusa! - ryczał raz za razem, okładając mnie drewnianym wieszakiem.

Teraz dotarło do mnie, co miała na myśli moja siostra, gdy mówiła o niepohamowanym apetycie swojego męża na seks. Dick chwycił mnie za włosy i zawłókł do sypialni. Był upojony walką. Przygniótł mnie całym ciężarem swojego ciała, po czym zaczął brutalnie gryźć moje piersi, zostawiając na skórze ślady zębów. Krzyczałam z bólu, co najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Próbował wejść we mnie siłą, ale ja ciasno skrzyżowałam nogi. Dick uparcie próbował obiema rękami rozewrzeć moje uda.

Na nocnym stoliku stał duży słoik kremu Noxzema. Złapałam go i z całej siły roztrzaskałam go na głowie szwagra. Myślałam, że ten cios go zabije, ale nie obchodziło mnie to. Ku mojemu zdumieniu Dick spojrział na mnie - i uśmiechnął się. To był chory, wynaturzony uśmiech. Następnie przytrzymał rękami moje ramiona, a kolanem rozwarł moje nogi. Kiedy poczułam na sobie dotknięcie jego penisa, zrozumiałam, że zostałam pokonana.

- Boże, proszę, nie! - zawylałam.

Nie! Nie w taki sposób, proszę! To nie może dziać się naprawdę. Proszę, Boże, pomóż mi.

Ale Bóg nie usłyszał moich błagań; nie słyszał ich także Dick. W tamtej chwili był w swoim własnym świecie.

Wyłam z bólu, kiedy brutalnie wdierał się do środka, bijąc mnie jednocześnie bez litości. Kiedy było już po wszystkim, zaległ na mnie, dysząc ciężko. Miałam ochotę wymiotować. Dick przygniatał mnie ciężarem swojego ciała. Napawał mnie obrzydzeniem. Czułam się zbrukana i nie przestawałam płakać.

Wreszcie on zsunął się ze mnie i wysapał:

- Sharon nie może się o tym dowiedzieć.

- Jeśli sądzisz, że nikomu nie powiem, to masz źle w głowie, skurwielu! - wykrzyczałam.

- Nie możesz jej powiedzieć. Ona nigdy by do mnie nie wróciła. - Dick nagle wpadł w panikę i poczuł wyrzuty sumienia.

- Teraz jest już za późno, żeby o tym myśleć! Zapłacisz za to, co mi zrobiłeś! Nie ujdzie ci to na sucho! - krzyczałam, tak jakby moje słowa trafiały do racjonalnie myślącej osoby.

- Już wiem, już wiem - zawołał, zupełnie jakby wpadł na jakiś genialny pomysł. - Zabiję cię i zakopię w ogrodzie. Tak właśnie zrobię.

W pierwszej chwili pomyślałam, że próbuje mnie zastraszyć, żebym trzymała głębę na kłódkę, kiedy jednak spojrzałam mu w oczy, dotarło do mnie, że to nie jest ten człowiek, którego znałam. Moja siostra mówiła mi, że kiedy Dick pił, stawał się inną osobą. Ale dopiero w tamtym momencie zrozumiałam, co to tak naprawdę znaczyło.

Ściągnął mnie z łóżka i wypchnął z domu. Po drodze chwycił stojącą w garażu łopatę.

- Zaczynij kopać! - zażądał, wciskając mi ją w dłoń.

Moim ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, częściowo ze strachu, a częściowo z zimna.

O mój Boże, on jest obłąkany! Czy ja naprawdę umrę? Nie powinnam była mówić, że o wszystkim opowiem. Gdybym teraz obiecała, że nie pisnę słowa - czy by mi uwierzył? O mój Boże. O mój Boże. Jak się z tego wyplątać? Zawsze jest jakieś wyjście. Myśl. Myśl!

- Dick - wykrztusiłam w końcu, tłumiąc na chwilę spazmatyczny szloch. - Nie możesz mnie zabić.

- Dlaczego nie? - spytał. Sprawiał wrażenie, jakby kompletnie stracił kontakt z rzeczywistością.

- Bo ten fotograf, dla którego miałam jutro pracować, wie, że dziś w nocy byłam z tobą. Upowiedziałam go, że mogę się trochę spóźnić, bo umówiłam się z tobą. On wie!

Umysł Dicka był w takim stanie, że dał się na to nabrać.

- Zadzwoń do niego! Powiesz mu, że nie byłaś ze mną! - wrzasnęła i zaciągnął mnie z powrotem do domu.

To twoja jedyna szansa. Myśl!

Dick podniósł słuchawkę i zmusił mnie, żebym wzięła ją do ręki.

- Dzwon! - rozkazał. - Powiedz mu!

Odetchnęłam głęboko i wykręciłam numer do ciotki. Była czwarta nad ranem, ale odebrała już po pierwszym dzwonku.

- Emil?

- Georgia! Gdzie jesteś?

- Emil, przepraszam, ale nie mogę jutro dla ciebie pracować - powiedziałam, mocno przyciskając słuchawkę do ucha, żeby Dick nie usłyszał histerycznych krzyków mojej ciotki.

- Co się stało, Georgia? Gdzie ty jesteś? Keithy, Keithy, podnieś słuchawkę! Coś niedobrego stało się z Georgią!

- Georgia, co się dzieje? - zapytał Keith, który podniósł słuchawkę drugiego telefonu. Ciotka Theresa tymczasem nie przestawała krzyczeć.

- Mamo! - zawołał Keith. - Odejdź od telefonu! Georgia, gdzie jesteś?

- Wiem, Emil, bardzo mi przykro, ale mój szwagier jest bardzo chory i ja...

- Jesteś u Dicka?

- Tak! - zdążyłam jeszcze wykrzyknąć, zanim Dick wyrwał aparat telefoniczny ze ściany.

- Z kim rozmawiałaś!? - ryknął Dick, rozbijając mi głowę telefonem.

- Z moim kuzynem Keithem! On już wie, gdzie jestem, i zaraz tu będzie! Nie będziesz już musiał przejmować się Sharon, bo trafisz za kraty!

Dick zaczął miotać się po pokoju niczym dzikie zwierzę w klatce.

- Co ja teraz zrobię? Proszę, Georgia, musisz mi pomóc.

- Kiedy ostatnio ci pomagałam, to właśnie mnie spotkało, pamiętasz?

- O mój Boże... Co ja narobiłem? Co ja narobiłem? Sharon już nigdy do mnie nie wróci. Co ja teraz zrobię? - Dick osunął się na podłogę i zaczął walić głową w ścianę, mamrocząc coś pod nosem.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Stałam tam jak sparaliżowana. Choć to do mnie niepodobne, nie czułam żadnego współczucia. Czy on naprawdę wierzył, że mu pomogę? Kim jest ten człowiek? Widziałam go po raz pierwszy w życiu. Dlaczego wcześniej nie potrafiłam dostrzec, jak bardzo jest chory? Nie mogłam przestać myśleć o swojej biednej siostrze. Czy przez te wszystkie lata musiała przechodzić przez to, co ja tutaj przeżyłam? Czy to właśnie była przyczyna jej ciągłego emocjonalnego rozchwiania?

Keith wybiegł z domu niekompletnie ubrany. Odpalając samo-chód, zdążył jeszcze krzyknąć do matki, żeby zadzwoniła do wujka Pata, który również był policjantem. Obaj dotarli na miejsce w tym samym czasie, o włos unikając zderzenia, gdy jednocześnie wjechali na podjazd przed domem Dicka. Pisk opon ich samochodów był dla moich uszu niczym najpiękniejsza muzyka.

Nie tracili czasu na pukanie, tylko od razu wyważyli drzwi. Wpadli do domu i stanęli jak wryci na widok tego, co tam zastali. Wujek Pat spojrział na skulonego w kącie Dicka. Ramionami obejmował głowę, przygotowując się na ciosy, które miały na niego spaść.

- Ja tego nie chciałem, Pat! Nie wiedziałem, co robię. Nie chciałem tego.

- Ty chory sukinsynu! - huknął Pat, kopiąc Dicka prosto w twarz.

Dick upadł, a z jego ust i nosa popłynęła krew. Nie próbował się podnieść. Leżał tam po prostu, osłaniając rękami głowę i zapewniając o swojej niepoczytalności. Pat stracił panowanie nad sobą.

Keith znalazł jakąś narzutę, okrył nią moje nagie, posiniaczone ciało i zaprowadził mnie do samochodu.

- Wszystko w porządku? - zapytał, pomagając mi wsiąść do środka.

- Teraz już tak - odparłam. Tym razem płakałam z ulgi.

Keith zostawił mnie na chwilę samą i wrócił do domu, żeby dołożyć Dickowi co nieco od siebie. Siedziałam drżąca w samochodzie, nasłuchując odgłosów tłuczonego szkła, łamanych mebli i błagań Dicka.

- Ja tego nie chciałem! Nie bij, Pat. Ja nie chciałem! - powtarzał w kółko, coraz cichszym głosem.

Kiedy mój kuzyn wycofywał samochód z długiego, wąskiego podjazdu, widziałam w oknie sylwetkę wujka Pata. Roleta została opuszczona, ale wciąż mogłam dostrzec ruchy rąk i nóg, wymierzających ciosy i kopniaki.

- Chcę się wykapać - oświadczyłam tuż po wejściu do domu ciotki Theresy.

Ona sama była na skraju hysterii.

- Mamo, pogarszasz tylko sprawę - powiedział Keith. - Po prostu napełnij wannę. Posłuchaj, Georgia, muszę zawiadomić policję. Dasz radę złożyć zeznania?

- Chcę się wykapać - powtórzyłam otępiłym głosem.

Ciotka Theresa zaprowadziła mnie do łazienki. Zrzuciłam z siebie narzutę i weszłam do wanny.

- O Boże! - jęknęła ciotka. - Co ten bydlak ci zrobił?

Zaczęłam zapamiętane szorować swoje ciało. Nie potrafiłam tego z siebie zmyć. On nie dawał się zmyć.

- Przestań już, Georgia. Zrobisz sobie krzywdę!

Kiedy wreszcie wyszłam z wanny, policjanci czekali już w maleńkiej kuchni mojej ciotki. Znałam ich wszystkich, a oni znali mnie. Opowiadając im o tym, co mnie spotkało, raz po raz zanosłam się niekontrolowanym szlochom.

- Będzie lepiej, jeśli położy ją pani do łóżka - zasugerował ciotce jeden z policjantów. - Możemy wrócić za jakiś czas i wtedy spisać raport. Ma pani w domu valium?

- Tak, mam.

- Dobrze byłoby dać jej jedną tabletkę.

Moje ciało zaczęło ogarniać odprężenie, a powieki zrobiły się ciężkie. Ciotka czuwała

przy łóżku, głaskała moje włosy i przemawiała do mnie łagodnym tonem.

- Ciociu Thereso?

- Tak, kochanie? - Po jej policzku spłynęła łza.

- Musisz zadzwonić do Emila... Powiedz mu, że nie mogę jutro dla niego pracować... -

To powiedziawszy, zapadłam w głęboki sen.

Obudziłam się obolała i dezorientowana. Zdawało mi się, że miałam zły sen. Ale ten koszmar wcale się nie skończył.

Wizyty w gabinecie lekarskim i na posterunku policji. Upokarzający moment, kiedy musiałam obnażyć do zdjęcia moje pokryte sińcami ciało. Spotkanie z siostrą i rodzicami, którzy następnego dnia wrócili zdruzgotani do domu. Wszystko to sprawiało, że wciąż i wciąż przeżywałam swój koszmar na nowo. Mama nie odstępowała mnie na krok, próbując zdjąć z mojej poranionej duszy ciężar cierpienia. Ojciec, zwykle wycofany, teraz krążył gniewnie po domu, obmyślając sposoby, na które pozbawi Dicka życia.

Ale najgorzej było z Sharon. Sprawiała wrażenie, jakby pękło jej serce. Cierpiała nie tylko z powodu tego, co spotkało jej siostrę, lecz także z powodu własnego upokorzenia w oczach mieszkańców miasteczka. Dick był ojcem jej dziecka. Ich małżeństwo mogło być nieudane, ale mimo to Sharon kurczowo trzymała się wspomnienia o nastoletniej miłości, jaka kiedyś ich łączyła. Po tym, co się wydarzyło, nie było już jednak odwrotu. Sharon opłakiwała więc nie tylko mój los, ale także ostateczny koniec swojego małżeństwa.

Tom zdążył odwiedzić mnie tylko raz, tydzień po tamtych wydarzeniach. Starał się okazywać mi współczucie i wsparcie, ale moje serce przypominało wtedy sopel lodu. Nie starczyło mu już czasu na to, by pomóc mi przejść przez proces gojenia się ran. Pożegnany jedynie pocałunkiem w policzek wyjechał z ciężkim sercem do Wietnamu.

Minął długi tydzień. Spędzałam czas, snując się po rzadko uczęszczanej drodze w poszukiwaniu osoby, którą niegdyś byłam. Tamte wędrówki kończyły się w lesie - moim azylu z czasów dzieciństwa. Godzinami przesiadywałam w ciszy na zimnym głazie nad brzegiem stawu, którego powierzchnię muskał mroźny wiatr. Kolor wody, zimny odcień szarości, odzwierciedlał przygnębienie, jakie nosiłam w sercu. Pograżyłam się w całkowitej depresji - nie tylko z powodu utraconego dziewictwa, ale i z powodu utraty samej siebie. Odebrano mi niewinność. Tam, gdzie kiedyś było światło, zagościła teraz ciemność.

Po kilku dniach zadzwonił telefon.

- Georgia, jak się miewasz? - zapytał Joey Tiraborelli.

- W porządku, Joey.

- Co za kawał sukinsyna! Dzwonię, żeby ci przekazać, że Sammy G chciałby się

z tobą spotkać. Czujesz się na siłach?

- Dlaczego chce się spotkać? - W moim głosie zabrzmiała obawa. W Rochester wieści rozchodziły się szybko.

- Nie jest szczęśliwy z powodu tej całej sytuacji. Był bardzo... Jak to się mówi, kiedy ktoś jest strasznie wściekły?

- Rozjuszony?

- Tak, był bardzo rojzu... roz... taki właśnie był, kiedy usłyszał, co się stało. Myślę, że powinnaś się z nim zobaczyć.

- Kiedy, Joey? - spytałam. Nie byłam zachwycona perspektywą sporu, jakiego spodziewałam się po tym spotkaniu.

- Jak najszybciej.

- Wygląda na to, że i tak tego nie uniknę. Lepiej mieć to z głowy. Gdzie?

- W Ben's Café. Jutro w porze lunchu. I przyjdź sama.

- W porządku, Joey. Przekaż mu, że przyjdę.

- Głowa do góry, mała.

Wchodząc do Ben's Café, czułam przenikliwy chłód. Kalendarzowa wiosna miała zacząć się za kilka dni, ale powietrze było bardziej jesienne niż wiosenne. Nie rześkie i świeże, tylko wilgotnie i zimne.

W przeciwległym końcu restauracji siedział Sammy G - był sam, zwrócony plecami do ściany. Minę miał posępną. Kiedy podniósł wzrok i mnie zobaczył, zacisnął usta. Przeszłam przez salę barową, pozdrawiając skinieniem głowy kilku znajomych, po czym weszłam po trzech schodkach i znalazłam się w części restauracyjnej, gdzie czekał Sammy. Kiedy się zbliżyłam, wstał i odsunął mi krzesło.

- Masz ochotę na drinka?

- To niezgodne z prawem - powiedziałam, siląc się na uśmiech.

- Nie wymądrzaj się, jesteś ze mną - powiedział, odwzajemniając uśmiech. - No więc, czego się napijesz?

Nie lubiłam pić w ciągu dnia, ale wiedziałam, że teraz będę potrzebować czegoś mocniejszego.

- Kieliszek wina. Szkocka jest trochę za mocna jak na tę godzinę.

Sammy zamówił butelkę wina. Obserwował w milczeniu, jak kelner ją otwiera, a potem przeniósł wzrok na mnie. Jego ciemne oczy patrzyły łagodnie, ale czaiła się w nich determinacja.

- Co się stało, mała? - zapytał cicho.

W ciągu minionego tygodnia opowiadałam tę historię tyle razy, że nie miałam najmniejszej ochoty przywoływać szczegółów tamtego wydarzenia po raz kolejny, zwłaszcza w obecności Sammy'ego. Mój wujek przekroczył już granice prawa, kiedy bezlitośnie pobił Dicka, jednak Sammy nie poprzestałby na biciu. Dlatego bardzo starałam się opowiadać przebieg wydarzeń w taki sposób, by nie dać się ponieść emocjom. Gdy jednak doszłam do połowy, nie potrafiłam już dłużej nad sobą panować. Było za późno na to, żeby przerwać opowieść - mogłam tylko brnąć dalej. Sammy siedział nieruchomo na krześle; wyglądał nieskazitelnie w swoim ciemnym tenisowym garniturze. Milczał, ale wzrok miał uważny i raz po raz kręcił głową.

- Miałem przecucie co do tego faceta. Miałem przecucie. Powiniennem być zaufać instynktowi - powiedział wreszcie, bardziej do siebie niż do mnie, po czym rzucił: - Ten skurwiel za to zapłaci!

Moje ciało zeszywniało ze strachu.

- Pójdziemy do sądu, Sam. Niech prawo się tym zajmie...

- Pieprzyć prawo! - wybuchnął, uderzając pięścią w stół i rozlewając wino na biały obrus.

Siedzieliśmy dość daleko od innych, ale i tak odwróciły się ku nam głowy tych, którzy siedzieli z przodu lokalu. Sammy ściszył głos i mówił dalej:

- Każę uciąć mu kutasa i wysłę ci go w pudełku. Tak się postępuje z takimi gnojami!

Do stolika podszedł kelner z zamiarem wytarcia rozlanego wina.

- Czy ja cię, kurwa, wołałem? - warknął Sammy.

- Nie, proszę pana.

- No to spieprzaj stąd!

Kelner ulotnił się momentalnie. Przystojna twarz Sammy'ego była teraz jaskrawoczerwona i wyglądała tak, jakby zaraz miała eksplodować. Żyły na jego czole nabrzmiały i nabrały purpurowej barwy. Przeraziło mnie to. Ściągnięte brwi zamieniły jego oczy w wąskie szparki, na których widok ciarki przechodziły mi po plecach.

- Sammy, proszę, uspokój się. Nie lubię cię oglądać w takim stanie.

- A ja nie lubię oglądać ciebie w takim stanie - odpowiedział, ponownie waląc pięścią w stół. - Czemu nie posłuchałem własnego przecucia?

W tamtej chwili patrzyłam prosto w nieprzyjazne oczy obcego człowieka. Oczy, które flirtowały, tańczyły - i które okazały się zwodnicze. Podświadomie wiedziałam, że Sammy ma krew na rękach. Nie było możliwe, żeby zdołał wspiąć się tak wysoko w hierarchii mafijnej organizacji inaczej niż po trupach. Wcześniej w swojej naiwności wypierałam ten

fakt. Ale też nigdy nie widziałam takiego oblicza Sammy'ego. Dick miałby szczęście, gdyby skończyło się na utracie jednego tylko narządu. Taka przemoc nie mieściła mi się w głowie.

- Proszę cię, Sammy, nie rób tego - błagałam. - Nie mogłabym żyć z takim ciężarem. Co z Sharon? I z moją siostrzenicą? One nigdy by mi nie wybaczyły. Ja sama bym sobie nie wybaczyła! Odpuść, Sam. Proszę. On dostanie za swoje, w swoim czasie.

- Masz cholerną rację, że dostanie!

Po dłuższej chwili Sammy wreszcie się uspokoił. Na mojej twarzy nie było już wtedy ani śladu makijażu: wszystko zmyły łzy, które wypłakiwałam, błagając o życie Dicka. Ale udało mi się. Kiedy lunch dobiegł końca, stanęło na moim. A przecież wystarczyło jedno moje słowo, a ten człowiek straciłby życie. Dick nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęście, że jego kara ograniczyła się wyłącznie do odsiadki.

- Po tym, co ten sukinsyn zrobił, nie zasługuje na to, żeby żyć. Ale skoro tego właśnie chcesz... - Sammy wzruszył ramionami.

- Tak - odetchnęłam z ulgą - właśnie tego chcę.

Sammy'emu zdarzało się zabijać z bardziej błahych powodów. Czy mógł zignorować moje prośby? Miałam dziwne wrażenie, że chciał mnie tylko uspokoić - zapewnienia Sammy'ego były jednak na tyle żarliwie, a ton jego głosu tak szczery, że zdołało to rozproszyć moje wątpliwości. Na parkingu przed Ben's Café Sammy uściskał mnie serdecznie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę swojego samochodu. Po chwili, nie zwalniając kroku, zawołał przez ramię:

- Daj mi znać, mała, jeśli zmienisz zdanie.

Kiedy stanęłam przed ławą przysięgłych i musiałam ze szczegółami opisać gwałt oraz wydarzenia, które do niego doprowadziły, byłam w stanie opowiadać o tym tak, jakby to wszystko przydarzyło się jakiejś innej osobie. I rzeczywiście, przydarzyło się to komuś innemu. Wszystkie te straszne rzeczy spotkały bowiem moją niewinną, jasną stronę, tę, która wierzyła w miłość, współczucie i zaufanie. To jednak nie ona zeznawała przed ławą przysięgłych - robiła to nowa, mroczna i czasem przerażająca strona mojej osobowości, którą zaczęłam nazywać Georgią Black, Czarną Georgią. Była ona zdolna do bezgranicznej nienawiści, a zarazem posiadała niezwykłą siłę, chroniącą mnie przed zranieniem. Georgia Black opowiedziała historię gwałtu bez cienia emocji. Opisała każdy cios, nie uroniwszy ani jednej łzy. Była taka silna. Zazdrościłam jej tej siły.

Georgia Black narodziła się w noc gwałtu. Jej głównym zadaniem była ochrona bezbronnej, niewinnej strony mojej osobowości - tej, którą nazywałam Georgią White, Białą Georgią. To, co zrobiłam, było naturalnym mechanizmem obronnym ludzkiego umysłu:

powołałam do życia własny cień po to, by radził sobie z tym, co najgorsze. Szukałam schronienia, tak jak wszyscy ludzie dotknięci traumą. Zbyt wielkie cierpienie jest w stanie wywołać rozszczepienie osobowości. A jeśli traumatyczne doświadczenia się powtarzają, pęknięcie pogłębia się i staje się coraz wyraźniejsze.

Tak wyłoniła się moja mroczna strona - osoba idealnie dopasowana do moich potrzeb. Kobieta nieczuła, niewrażliwa na ból, potrafiąca poradzić sobie z doznany rozczarowaniem, z którym nie radziła sobie młoda Georgia White. W ciągu kolejnych dwudziestu pięciu lat życia przychodziło mi stawiać czoła różnym koszmarom i za każdym razem Georgia Black szeptała mi do ucha, podpowiadając, co mam robić. Czasami górę brała moja bezbronna, wrażliwa strona. Jednak z biegiem czasu mój cień stał się prawdziwym potworem. Udało mu się przyćmić we mnie to, co duchowe, i Georgia Black zaczęła przejmować kontrolę.

W początkowym okresie swojego istnienia mój cień mógł być nieszkodliwy. Ale od czasu gwałtu moje życie się zmieniło, a mój cień rósł. Chowałam się w nim, kiedy było to konieczne, a potem, gdy niebezpieczeństwo mijało, wracałam do światła. To Georgia Black wypijała za mnie truciznę.

Na korytarzach mojego liceum towarzyszyły mi szepty i oskarżycielskie spojrzenia koleżanek i kolegów. To nie ja byłam ofiarą. Ofiarą był on.

„Gdyby go nie kusila i nie prowokowała, nigdy by do tego nie doszło”.

„Sama się o to prosiła!”

„Znam przynajmniej pięciu takich, z którymi się przespała”.

Ach, ci zazdrośnicy z małego miasteczka. Wreszcie mogli poplotkować o dziewczynie, która miała wszystko. Nareszcie zdobyli dowód na to, że jest zwykłą dziwką, jak wszystkie dziewczęta z rodziny Perrone.

Proces sądowy okazał się okropnym doświadczeniem, pomimo wszystkich dowodów, jakie obciążały Dicka. Okazało się, że fotografie odcisków jego rąk, które zamieniły się w siniaki na moich nogach, to za mało, żeby dowieść, że nie byłam dobrowolnym uczestnikiem tego, co zaszło tamtego wieczoru. Wszystko tam było, czarno na białym, a mimo to fakty były przeinaczane. Co jest gorsze: sam gwałt czy to, co następuje później? Całe to przedstawienie sprowadzało się do tego, że musiałam udowodniać, że nie jestem dziwką.

Moi rodzice byli skłonni zadłużyć się jeszcze bardziej, byleby tylko walczyć o sprawiedliwość, jednak ciągnące się postępowanie procesowe było dla mnie bolesne i sprawiało, że popadałam w coraz głębszą depresję, przekraczając przepisane mi dawki środków uspokajających. Często myślałam o tym, żeby zażyć całą zawartość buteleczki i raz

na zawsze zakończyć ten koszmar. Nasz prawnik dostrzegł, w jakim jestem stanie, i zasugerował moim rodzicom, że powinniśmy zgodzić się na dobrowolne przyznanie się Dicka do mniej poważnych zarzutów; uzyskiwaliśmy w ten sposób przyznanie się do winy i wyrok jednego roku więzienia. Rodzice przystali na takie rozwiązanie.

Koniec końców Dick odsiedział zaledwie sześć miesięcy, tyle wystarczyło jednak, żeby Sammy zdążył przez ten czas ochłonąć. Koniec procesu nie oznaczał wcale końca całej historii - a przynajmniej nie w oczach ograniczonych mieszkańców East Rochester. Ja zaś musiałam żyć dalej z bliźniami po tamtym wydarzeniu.

W grudniu tego samego roku zostałam Wakacyjną Dziewczyną Kodaka. Plakaty z moim zdjęciem miały się pojawić dopiero następnego lata, ale wiadomość od razu trafiła do mediów i narobiła sporo szumu. Nagłówki obwieszczały „Wielki sukces dziewczyny z prowincji”. Moja historia odbiła się echem w całym kraju. W poprzednich latach do roli Wakacyjnej Dziewczyny Kodak wybierał najpopularniejszą w danym momencie modelkę z Nowego Jorku. Rok później Wakacyjną Dziewczyną została Cybill Shepherd.

Ale nawet na mojej radości ze zdobytej sławy musiał położyć się cień. Ktoś napisał do Kodaka list, zarzucając im, że powinni się wstydzić. Przecież Kodak miał być firmą o nieposzlakowanej reputacji i nieskazitelnym wizerunku. Wykorzystanie mnie w roli Wakacyjnej Dziewczyny sprawi, że ten wizerunek mocno ucierpi. Czy w Kodaku nie zdają sobie sprawy, że spałam z każdym mężczyzną w mieście?

Kodak był wyjątkowo konserwatywną firmą. Tamtego roku zamierzali po raz pierwszy w historii wykorzystać zdjęcie modelki w bikini. Każda poprzednia Wakacyjna Dziewczyna miała na sobie jednoczęściowy kostium. Był to więc dla Kodaka ważny krok naprzód. Gdyby tamten list dotarł do szefostwa firmy, z pewnością zdecydowano by o wycofaniu reklamy. Taki los spotkał dziewczynę z ich zimowego plakatu. Ktoś napomknął, że przypomina ona modelkę z aktualnej rozkładówki „Playboya” - samo to wystarczyło do wstrzymania druku kartonowych sylwetek z jej zdjęciem.

Na szczęście list dotarł do szefa jednego z działów fotograficznych, który miał więcej oleju w głowie. Pokazał mi ten list, kiedy spotkaliśmy się na planie zdjęciowym. Nigdy nie przekazał go wyżej. Kiedy sama go przeczytałam, poczułam się zbulwersowana podłością zawartych w nim oskarżeń. Autor się nie podpisał, ale mógł to być którykolwiek z zazdrosnych plotkarzy, których nie brakowało w moim miasteczku.

Zaczęłam wówczas odkrywać prawdziwe znaczenie słowa „nienawiść”. To uczucie nie tylko zaczęło wdzierać się do mojego życia i nabierać realnych kształtów - stało się także motorem napędzającym mnie do działania. Kolejne dwadzieścia pięć lat poświęciłam na

udowadnianie ludziom, że nie jestem dziwką. Aby to osiągnąć, robiłam rzeczy będące zagrożeniem dla mojego zdrowia. Postanowiłam rzucić tym ludziom wyzwanie. Skoro zawiść była motywem ich okrucieństwa, to Georgia Black postanowiła dać im wystarczająco dużo powodów do zazdrości.

Czułam, że Rochester mnie osacza. Na każdym kroku napotykałam ograniczonych ludzi. Nie tylko chciałam stamtąd uciec - musiałam to zrobić. Nie mogłam wprost doczekać się dnia, w którym skończę szkołę. W czerwcu 1968 roku, nazajutrz po uroczystym zakończeniu roku szkolnego, złapałam pierwszy poranny pociąg do Nowego Jorku. Wsiadłam do niego razem z dwiema innymi modelkami: moją przyjaciółką Susie oraz pochodzącą z Bostonu Lindą.

Opuszczałam miasto, wierząc, że mogę zostawić za sobą cały swój bagaż i ani razu nie obejrzeć się za siebie.

Rozdział trzeci

Zapadał zmierzch, kiedy pociąg wtoczył się na nowojorski dworzec Grand Central. Wśród jego pasażerów znajdowały się trzy młode modelki, które przyjechały w poszukiwaniu nie tylko sławy, ale i tożsamości. Nowy Jork przestał być dla nas mglistym marzeniem i stał się rzeczywistością. Zdana wyłącznie na siebie znalazłam się w mieście, które nigdy nie śpi.

Linda, Susie i ja wyglądałyśmy tego dnia jak kompletne prowincjuszki. Nasze stroje, szorty i T-shirty, świetnie sprawdzały się podczas podróży pociągiem, ale gdy tylko z niego wysiadłyśmy, odniosłyśmy wrażenie, że nie pasujemy do nowego miejsca. Z czołami zlanymi potem zatargałyśmy nasze bagaże na ulicę.

Złapałyśmy taksówkę i pojechałyśmy do hotelu dla kobiet Barbizon. Broszura informacyjna zachwalała jego bezpieczeństwo, a także opisywała surowe zasady obowiązujące hotelowych gości - był to argument, który przekonał moją matkę do wyrażenia, choć niechętnie, zgody na mój wyjazd. Barbizon słynął z tego, że przyciągał młode kobiety z całego świata, przybywające do Nowego Jorku w nadziei na spełnienie swoich marzeń na Madison Avenue.

- Proszę tu poczekać, dopóki się nie zameldujemy - poinstruowała taksówkarza Linda.

Linda była platynową blondynką o cudownych błękitnych oczach, których spojrzenie miało w sobie coś nieustępliwego, zupełnie jakby nie należało do osiemnastoletniej dziewczyny, tylko do kogoś znacznie starszego. Poznałyśmy się mniej więcej rok wcześniej w nowojorskim studiu fotograficznym podczas sesji zdjęciowej do katalogu domu towarowego Sears. Linda mieszkała wówczas w Bostonie i tak jak ja przyleciała na sesję samolotem. Obie pragnęłyśmy przeprowadzić się do Nowego Jorku po ukończeniu szkoły, pozostawałyśmy więc ze sobą w kontakcie, aż w końcu nadszedł dzień przeprowadzki.

W hotelu kobieta o wyglądzie matrony i ostrych rysach twarzy zaprowadziła nas wąskim korytarzem do tego, co miało być naszym pokojem. Gdy z niedowierzaniem wpatrywałyśmy się w małe pomieszczenie, obrzuciła nas pełnym wyższości spojrzeniem.

- Wszystkie dziewczęta czują się tu całkiem komfortowo - oznajmiła zgorzonym tonem; mówiła z eleganckim i bardzo starannym angielskim akcentem.

- Ten pokój jest mniejszy niż łazienka w moim domu! - stwierdziła Susie, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Susie miała dwadzieścia lat i pochodziła z Południa, z Charleston. Poznałam ją, a także jej cudownego chłopaka Ralpa, kiedy miałam czternaście lat - było to w barze

z napojami orzeźwiającymi Candy Kitchen, w którym po lekcjach spotykali się uczniowie z East Rochester. Natychmiast się zaprzyjaźniłyśmy. Ponieważ pracowała już wcześniej jako modelka w swoim rodzinnym mieście, wzięłam ją pod swoje skrzydła i wprowadziłam do środowiska modelek w Rochester. Była o parę centymetrów wyższa ode mnie - miała metr siedemdziesiąt wzrostu i bujną grzywę jasnych włosów, które sięgały jej niemal do pasa. W branży słynęła jednak przede wszystkim ze swoich niesamowitych nóg; pod tym względem deklasowała wszystkie inne modelki, których blade uda po prostu nie wytrzymałyby porównania z nogami Susie. Susie sprawiała wrażenie nieco głupiutkiej blondynki, ale szybko się zorientowałam, że była to głównie zasługa jej charakterystycznego południowego akcentu.

- A skoro mowa o łazience, to gdzie ona jest? - zapytałam.

- Łazienka jest na korytarzu. Będziecie ją dzielić z innymi dziewczętami z tego piętra. Drzwi wejściowe zamykamy o drugiej w nocy. W pokojach nie wolno przyjmować mężczyzn - poinformowała Pani Zgorszona, po czym zrobiła pauzę i zlustrowała po kolei każdą z nas z wysoko uniesionymi brwiami.

- Wasi znajomi panowie mogą czekać na was w holu - dodała surowo.

Spojrzałyśmy po sobie, po czym bez słowa odwróciłyśmy się i pomaszzerowałyśmy do wciąż czekającej na nas taksówki. Uznałam, że wyjaśnieniami dla mamy będę martwić się później.

- Proszę zawieźć nas do hotelu, w którym wpuszczają mężczyzn dalej niż do holu - zarządziła Linda i wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Taksówkarz zawiózł nas do hotelu przy Czterdziestej Szóstej Ulicy, nieopodal Broadwayu. Nie pamiętam już jego nazwy, ale była to straszna nora. Nasza trójka zamieszkała wspólnie w małym pokoiku, ale przynajmniej był on tani, a my musiałyśmy oszczędzać do czasu, aż uda się nam znaleźć stałe miejsce zamieszkania. Nie miałyśmy wówczas pojęcia, że nasz hotel jest przystanią dla prostytutek.

Spragnione przygód, szybko przetrząsnęłyśmy nasze walizki, wyciągnęłyśmy ulubione stroje imprezowe i wyszłyśmy spędzić nasz pierwszy wieczór w wielkim mieście.

Słyszałyśmy wcześniej o lokalu zwanym Friday's - miało to być miejsce, w którym zwykło się zaczynać wieczór. Dzisiaj restauracje TGI Friday's można znaleźć w całym kraju, ale w tamtych czasach istniała tylko ta jedna. My jednak nie miałyśmy pojęcia, jak się tam dostać. Wreszcie zauważyłyśmy stojącego na rogu ulicy policjanta i postanowiłyśmy zapytać go o drogę. Przyglądał się nam uważnie, kiedy się zbliżyłyśmy.

- Co robicie, dziewczyny? Pracujecie? - zagadnął, zanim zdążyłyśmy się odezwać.

- Jeszcze nie, ale rozglądamy się za pracą - odparła niewinnie Susie.

- Tak, wiem - powiedział policjant, który jakby posmutniał. - Ale wy, dziewczęta, jesteście zbyt ładne, żeby pracować.

- No, to w takim razie skąd mamy brać pieniądze? - spytałam zaskoczona.

Nasza rozmowa trwała jeszcze kilka dobrych minut, zanim obie strony zdały sobie sprawę, że mówią o dwóch różnych rzeczach. Okazało się, że jesteśmy w samym sercu okolicy słynącej z prostytutek. Najwyraźniej taksówkarz potraktował słowa Lindy zbyt dosłownie.

Zaczął padać deszcz. Nie była to ulewa, ale padało na tyle mocno, żeby deszcz zdołał rozprostować nasze loki i popsuć fryzury, których ułożenie zajęło nam wcześniej tyle czasu.

- Słuchajcie, za dziesięć minut kończę służbę - powiedział policjant, zerkając na zegarek. - Zaczekajcie na mnie chwilę w tej bramie, a ja zabiorę was do Friday's. Myślę, że powinienem wyjaśnić wam parę rzeczy na temat życia w Wielkim Jabłku.

Weszliśmy do zadymionego baru i zaczęliśmy przeciskać się w poszukiwaniu wolnego stolika. Z wysokiego cynowego sufitu zwieszało się mnóstwo imitacji lamp Tiffany, które w połączeniu z obrusami w biało-czerwoną kratkę tworzyły przyjemną atmosferę. Podekscytowane i gotowe do zabawy parłyśmy przed siebie. Połączenie głośnej muzyki i hałaśliwych gości sprawiało, że musieliśmy porozumiewać się niemalże krzykiem.

Przechodząc koło baru, wpadłam na jakiegoś otyłego flejtucha, który najwyraźniej zjadł w życiu zbyt wiele makaronu, a teraz palił tanie cygaro. Obrócił się na stolku w moją stronę.

- Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie? - zapytał, demonstrując najlepszą wersję uśmiechu mówiącego „Jestem ogierem”, na jaką było go stać.

- Na początek możesz nie nazywać mnie „kochaniem”. I na tym możesz skończyć - odparłam oschle.

Linda i Susie zachichotały i kontynuowaliśmy naszą wędrówkę. Obok tamtego obleśnego, starego piernika siedział młody facet z ospowatą twarzą, do którego kleiła się pijana w sztok tleniona blondynka. Oboje wyglądali na ludzi, którzy natychmiast powinni zmienić styl życia.

W miarę jak posuwaliśmy się dalej, klientela zaczęła robić się nieco ciekawsza. Przeciskając się przez zatłoczoną salę barową, zauważyliśmy całkiem sporo modnie ubranych i wspaniale zbudowanych mężczyzn, których głodne oczy błędnymi nieśpiesznie po sali.

Louie, bo tak miał na imię nasz policjant, okazał się całkiem miły jak na gliniarza.

Zbliżał się prawdopodobnie do czterdziestki i wcale nieźle wyglądał. Na początku byliśmy do niego nastawione sceptycznie, ale wyglądało na to, że naprawdę miał dobre intencje. Kiedy usiedliśmy, zrobił nam wykład o niebezpieczeństwach, jakie czyhają w Nowym Jorku na młode dziewczyny. Słuchałyśmy go tak, jak słucha większość nastolatków: to, co wpadało jednym uchem, wypadało drugim. Zastanawiałam się, jaka byłaby jego reakcja, gdyby się dowiedział, że właśnie kupił drinka nieletniej. Do moich osiemnastych urodzin, czyli do osiągnięcia wieku, od którego można było legalnie spożywać alkohol, pozostawał jeszcze miesiąc. Zachowywałam się jak niewiniątka, potakując mu we wszystkim, co mówił. Louie został z nami, dopóki nie skończył swojego drinka, a potem zaczął szykować się do wyjścia.

- No, będę się zbierał. Uważajcie na siebie, dziewczyny - powiedział, starając się przybrać stanowczy ton głosu.

- Dziękujemy panu. Miło było z panem porozmawiać.

Wkrótce po wyjściu Louiego trzech mężczyzn, którzy już wcześniej się nam przyglądali, wstało od baru i ruszyło w naszą stronę. Był to dokładnie ten rodzaj facetów, przed którymi dopiero co nas ostrzegano.

Linda wyprostowała się na krześle, prezentując uśmiech o mocy jednego megawata i całkiem głęboki dekolt. Susie poprawiła się na krześle, skrzyżowała swoje oszałamiające nogi i potrząsnęła blond czupryną, opadającą na ramiona.

Trzech zbliżających się do naszego stolika dandysów ugięło się pod ciężarem masywnych złotych łańcuchów, a ich ubrania były nieco zbyt eleganckie jak na miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Od razu rozpoznałam ten typ. Wszyscy trzej byli Włochami i stanowili wierne kopie moich znajomych z Rochester. Ich sposób bycia i mówienia sprawiał, że poczułam się tak, jakbym w ogóle nie opuszczała rodzinnego miasta. W końcu nieraz widywałam tam facetów takich oni, z syndromem twardziela. Swojskość tych chłopaków sprawiła, że momentalnie poczułam się swobodnie w ich towarzystwie. Wiedziałam, że mogę liczyć przynajmniej na to, że okażą się zabawni.

- Czy możemy się przysiąść? - spytał duży mężczyzna z płaskim nosem i wytrząsnął papierosa z paczki lucky strike'ów.

- Oczywiście! - odparła pośpiesznie Linda i przesunęła swoje krzesło, żeby zrobić więcej miejsca.

Kiedy wszyscy usadowili się już w ciasnej przestrzeni wokół stolika, wciągnęłam do nozdrzy intensywny zapach ich wody kolońskiej i natychmiast rozboleła mnie głowa.

Ten z płaskim nosem przedstawił się jako Vic, a następnie przedstawił swoich kumpli: Chippy'ego oraz Billy'ego.

- Co pijecie, dziewczyny? - zapytał Vic, zapalając papierosa.

Każda z nas powiedziała, na jaki alkohol ma ochotę, po czym Linda, nie tracąc czasu, przystąpiła do działania, rozpoczynając towarzyską pogawędkę z Chippym. Jej wielkie niebieskie oczy błyszczały, śmiała się zalotnie i już po chwili Chippy nie zwracał uwagi na nic poza nią. Na czole miała wypisane wielkimi czerwonymi literami słowo: kłopoty. Linda potrafiła olśniewać i sprawiać, że faceci w jej obecności zaczynali się ślinić.

- No więc, dziewczyny, skąd jesteście? - zagadnął Chippy, przywołując jednocześnie gestem kelnerkę. - Przynieś nam wszystkim dewar's z wodą i dopisz to do mojego rachunku.

- Z Rochester. Przyjechałyśmy tu dzisiaj - powiedziałam.

- Że co? Nie wyglądacie mi na wiejskie dziewczuchy - stwierdził i przyjrzał się nam jeszcze uważniej.

Zastanawiałam się, czy nie pomyślałby tak, gdyby zobaczył nas wcześniej na dworcu.

- To znaczy, że to wasza pierwsza noc w tej krainie świntuchów i świrów?

- Właściwie to tak - ze wstydem przyznała Susie.

- No, to trafiłyście na właściwych chłopaków. Czeka was szalona jazda. - Chippy nabrał pełną garść orzeszków, po czym wsadził je wszystkie naraz do ust.

Tak jak się spodziewałam, chłopcy okazali się zabawni i odkąd tylko się dosiedli, nie przestawaliśmy się śmiać. Do tego, by zabawiać dziewczyny w naszym wieku, nie potrzeba zbyt wiele, a ci trzej opanowali zasady barowego podrywu do perfekcji.

Chippy nadawał się na zawodowego komika. Miał nietypowy, ekscentryczny sposób bycia. Ubrany w granatową koszulę, żółty sweter i szare spodnie od garnituru, wyglądał zbyt elegancko, by zachowywać się jak kompletny świr. Zrywałyśmy boki ze śmiechu, kiedy wykrzywił twarz, parodiując innych, wkładał sobie papierosy do nosa i robił mnóstwo innych niemądrych rzeczy. Kiedy coś go rozśmieszyło, płakał ze śmiechu, co sprawiało, że pozostali śmiali się jeszcze głośniej.

Zachowanie całej trójki, która co rusz wybuchała śmiechem bez żadnego powodu, przypominało raczej dwunastoletnich chłopców niż trzydziestoletnich mężczyzn. Obserwowanie ich razem było jak oglądanie własnego, prywatnego kanału rozrywkowego.

Vic nie musiał starać się być zabawny - po prostu taki był. Komicznym czyniły go jego nawyki. Kiedy był podekscytowany, wymachiwał rękami w powietrzu, nie był też w stanie wypowiedzieć choćby jednego zdania bez grymasu na twarzy lub jakiegoś tiku innej części ciała.

Billy, ze swoją młodzieńczą twarzą, był najprzystojniejszy z całej trójki - było w nim coś, co sugerowało, że niejedno w życiu widział. Był też bardziej cichy i poważny od

pozostałych, ale nie przeszkadzało mu to uczestniczyć w ogólnej wesołości.

Susie i Linda rywalizowały o zainteresowanie Billy'ego, ale ja byłam odporna na jego urok. Miałam świadomość, że wpadłam w oko Vicowi, ale nim również nie byłam zainteresowana. Wszyscy oni byli najwyraźniej święcie przekonani, że żadna kobieta nie potrafi się im oprzeć. Błąd. Byli co prawda zabawni, ale zaczynałam czuć zmęczenie. A jednak, choć była już trzecia trzydzieści nad ranem, wyglądało na to, że nikt nie zamierza kończyć zabawy.

W pewnym momencie do naszego stolika zbliżył się niski, pulchny, pozbawiony podbródka mężczyzna z wylupiastymi oczami i włochatymi rękami. Na jego widok oczy Billy'ego groźnie rozbłysły. Nie zdając sobie sprawy z poruszenia, jakie wywołał u naszych towarzyszy, pulchny facet zapytał, czy z nim zatańczę.

Vic mocno zaciągnął się papierosem, wciągając dym głęboko do płuc. Jego postawa uległa zmianie - widać było, że ogarnął go wielki gniew, nad którym nie był w stanie zapanować. Było to coś więcej niż tylko zwykła samcza duma. Zdusił papierosa, podniósł się powoli, walcząc z morderczym pragnieniem wyrżnięcia tamtego faceta w tłustą głowę. Górował nad nim wzrostem, a jego zwalisty tors znajdował się na wysokości twarzy grubasa. Obaj wymienili długie, mrozące krew w żyłach spojrzenie.

Następnie Vic, dźgając tamtego w pierś swoim grubym paluchem wskazującym, zawarczał:

- Czy ty nie masz mózgu? Nie widzisz, że dziewczyny są zajęte? Wypierdalaj stąd, dopóki jeszcze możesz chodzić, pieprzony kretynie.

Wszyscy wokół udawali, że nie widzą tej konfrontacji. Jeden rzut oka na gabaryty Vica wystarczył, żeby czym prędzej odejść w przeciwną stronę. Jego wielokrotnie złamany nos sugerował, że w przeszłości nie stronił od przemocy. Mężczyzna z wylupiastymi oczami uciekł pośpiesznie od naszego stolika.

- Pieprzony palant - wymamrotał Vic, wróciwszy na swoje miejsce. Poprawił kołnierzyk koszuli i powoli odzyskiwał spokój.

Oho, nastrój się zmienia. Może już pora się stąd zbierać. Chciałam powiedzieć coś, co rozładowałoby napięcie, ale nie mogłam wymyślić nic błyskotliwego.

Chippy zmrużył oczy, chciwie zaciągając się papierosem.

- Zaczyna się tu robić nudno. Co wy na to, żebyśmy wszyscy przenieśli się do klubu nocnego - zaproponował i wypuścił w moim kierunku chmurę obrzydliwego dymu, który jeszcze spotęgował mój ból głowy.

Miałam dość. Marzyłam wyłącznie o spaniu.

- Do diabła, pewnie, że tak! - wypaliła bez wahania Linda.

- Linda, a może wróciłybyśmy do hotelu i położyły się do łóżka? To był długi dzień - wtrąciłam, choć dobrze wiedziałam, że nie uda mi się jej przekonać.

- Tak, może faktycznie powinniśmy już iść - poparła mnie Susie.

- Dajcie spokój, dziewczyny. Jutro sobota. Po co miałybyście wcześniej wstawać? Musicie zacząć żyć jak nowojorczyki, rozumiecie? - namawiał Vic.

- Tak jest, wyśpicie się jutro. Dajcie się namówić. Będziecie się dobrze bawiły - Billy przyłączył się do nalegań.

Linda była zdecydowana pójść z nimi. Susie i ja spojrzaliśmy na siebie i przewróciłyśmy oczami. Bałyśmy się puścić Lindę samą z tymi chłopakami, więc ostatecznie wybraliśmy się do klubu w komplecie. Czy mi się to podobało, czy nie, zapowiadała się długa noc.

Cała nasza szóstka zapakowała się do poobijanego buicka należącego do Billy'ego i ruszyliśmy Drugą Aleją. Świeże nocne powietrze było przyjemną odmianą po zadymionym barze. Z głośników ryczały dźwięki *Hey Jude*, a przez otwarte okna wpadał do wnętrza lekki wiatr. Po trzeciej nad ranem ulice były puste. Żadnych klaksonów. Żadnych ludzi, śpieszących do swoich spraw. Ci, którzy w ciągu tygodnia pracowali od dziewiętej do piątej, wyjechali na weekend za miasto. Skręciliśmy w prawo, w Dwudziestą Trzecią Wschodnią, po czym zatrzymaliśmy się na opustoszałym parkingu. Zanim Billy wyłączył silnik, wysłuchaliśmy do końca *Hey Jude*.

Padający wcześniej deszcz zmoczył lekko chodniki, na których pod wpływem ciepłego letniego powietrza powstawały teraz suche plamy. Kiedy przechodziliśmy przez ulicę, wzięłam głęboki oddech - czułam się senna. Zapach czystego powietrza po niedawnej ulewie przypominał mi poranki z czasów spędzonego na prowincji dzieciństwa.

Nasi towarzysze zaczęli wspinać się po wąskich drewnianych schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Podążyliśmy za nimi. Przez wizjer w drzwiach na drugim piętrze sączyło się przytłumione światło. Vic zapukał lekko trzy razy. Drzwi otworzył ubrany w jasnoniebieski garnitur byczek, który swoim zwalistym cielskiem tarasował przejście. Z kącika ust zwiślało mu krótkie cygaro, a zmrużone oczy zlustrowały nas pobieżnie. Następnie kiwnął głową i wpuścił nas do środka.

Nad barem widniał napis „Sundowner”. Z sali położonej w głębi lokalu dobiegała cicha muzyka zespołu Four Seasons. Ściany obite czarnym materiałem przyprawiły mnie o nieprzyjemne, klaustrofobiczne uczucie. Z wyjątkiem kilku podejrzanie wyglądających typów w ciemnych płaszczach przeciwdeszczowych w lokalu nie było nikogo.

- Rzeczywiście, świetna imprezownia - ofuknęłam Lindę.

- Nie ma jeszcze czwartej - odpowiedziała. - To klub afterowy, Georgia. Ludzie zaczną się schodzić nie wcześniej niż za pół godziny.

- Och, cudownie. Wolalabym teraz spać.

Flip, niski mężczyzna przypominający krasnala, zamiatał podłogę, rozmawiając ze swoim wspólnikiem Frankiem, który sączył szkocką z wodą po drugiej stronie baru. Dowiedziałyśmy się, że niedawno wspólnie otworzyli ten klub i mają nadzieję, że stanie się popularny.

Tym, co jako pierwsze zwróciło na Frankiego moją uwagę, było przenikliwe spojrzenie jego czarnych oczu. Frankie był przystojnym mężczyzną o ciemnej, oliwkowej karnacji, którą, jak się domyśliłam, odziedziczył po sycylijskich przodkach. Spodobał mi się sposób, w jaki stał przy barze: wydawał się pewny siebie, odrobinę arogancki.

- Kiedy zatrudnimy kogoś do sprzątnięcia? - zapytał Frankiego Flip.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Dzwonił ten facet z Harlemu - poinformował Flip, tym razem poważniejszym tonem.

- Powiedział, że dziś wpadnie.

- To dobrze - odparł Frankie. - Zobaczymy, czego chce.

- Hej, Chippy, Billy i Vic właśnie przyprowadzili trzy oszalamiające blondynki - rzucił Flip, odstawiając szczotkę i kierując uwagę na nas.

Ruszyliśmy w ich stronę. Frankie podniósł wzrok.

Im bliżej podchodziłam, tym bardziej ściągała się jego twarz. Przyglądał mi się, a na jego ustach pojawił się hipnotyczny uśmiech kobry. Jego lśniące, zaczesane do tyłu włosy podkreślały intensywność spojrzenia głęboko osadzonych oczu o opadających powiekach, które przywodziły mi na myśl Valentino. Był średniej postury, ubrany w swobodnym stylu: w ciemną, rozpinaną pod szyją koszulę i jasną sportową marynarkę. Kiedy powoli podniósł do ust szklankę, zauważyłam błysk pierścienia, który nosił na małym palcu.

Usłyszałam, jak mówi do Flipa:

- To najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem. Spójrz na tę twarz... jest jak z porcelany.

Długie jedwabiste blond włosy opadały swobodnie na moje ramiona. Odrobina różu, gęste rzęsy, szminka w jasnym kolorze. Do tego obojętny wyraz twarzy, jeśli nie liczyć malującego się na niej znudzenia. Frankie wydawał się oniemiały z wrażenia - był oszołomiony pięknem, na które patrzył.

Nic mnie to nie obchodziło. Głowa pękała mi z bólu i najchętniej wróciłabym

natychmiast do hotelu. Moje oczy ani razu nie spotkały się z jego oczami. Zatrzymałam się w odległości dwóch stołków barowych od miejsca, w którym stał, po czym usiadłam, oparłam ręce na barze i położyłam na nich głowę - i próbowałam zasnąć. Półprzytomna, otwierałam od czasu do czasu oczy i wtedy widziałam w lustrze jego odbicie. Stał tam i przyglądał mi się, dopóki nie podszedł do niego Vic.

- Jak leci, Frankie?

Frankie, zirytowany tym najściem, spojrział na Vica i niechętnie wrócił do rzeczywistości.

- Gdzie ją znalazłeś? - zapytał.

Vic zadarł z dumą podbródek.

- We Friday's. Przyjechały dziś pociągiem z północy stanu.

- Jest piękna... - Franki zamilkł.

Znów zaczął mi się przyglądać.

- Piękna, młoda i naiwna, takie są najlepsze - stwierdził Vic, nie spodziewając się, że mogę to usłyszeć.

Frankie rzucił mu zdegustowane spojrzenie.

- O nie, Frankie, ani się waż - powiedział nagle Vic, który badawczo przyglądał się twarzy wpatzonego we mnie Frankiego. - Ona jest moja. To ja ją znalazłem, więc wsadź go z powrotem do rozporoka.

- Tym razem to co innego, Vic. Nie zamierzam pytać cię o pozwolenie.

- Daj spokój, Frankie. Wiesz, że z twoim urokiem nie mam szans. Rozegramy to uczciwie.

- Opuść, Vic. Ja nie żartuję: to jest ta jedyna.

- Wiesz co, Frankie? To nieuczciwe. Dlaczego Bóg sprawił, że to ty wyglądasz jak Tyrone Power, a nie ja?

- Bóg nie ma tu nic do rzeczy, Vic. Spędziłeś w ringu o parę rund za dużo. To cud, że w ogóle możesz oddychać tym, co nazywasz nosem. Nie wspominając już o tym, co te wszystkie ciosy zrobiły z twoim mózgiem. Nie masz u niej szans, stary.

Vic zamachał rękami w powietrzu.

- Dobra, wygrałeś.

Pogrążona w półśnie zaledwie pół metra dalej, nie byłam świadoma, że właśnie ważą się moje losy. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że to był początek podróży, która miała trwać przez resztę mojego życia. Wspomnienie tamtej chwili nie przestawało mnie nawiedzać przez wszystkie kolejne lata.

Nie miałyśmy pojęcia, jak drogie jest życie w Nowym Jorku, dopóki nie zaczęłyśmy rozglądać się za nowym lokum. Ostatecznie - choć wstrząsnęła nami cena, jaką trzeba było zapłacić za tak niewielki metraż - zdecydowałyśmy się zamieszkać w obskurnym miejscu zwanym Claridon Hotel na Trzydziestej Pierwszej Wschodniej, między Madison i Piątą Aleją. Kosztowało nas to sześćset dolarów miesięcznie. Żadna z nas nie była zachwycona naszym nowym lokum, ale z zapałem buszowałyśmy po sklepach, kupując poduszki, obrazki i inne rzeczy, dzięki którym to miejsce stało się bardziej przytulnym domem.

Miałyśmy do dyspozycji jedną sypialnię z brudnymi ścianami i dwuosobowym łóżkiem, a także salon z rozkładaną sofą. Okno salonu wychodziło na ulicę z neonem, którego blask nie pozwalał mi zasnąć. Pomiędzy pokojami znajdowało się coś w rodzaju aneksu kuchennego. Tak naprawdę był to po prostu niewielki blat, kilka małych szafek i mikroskopijna lodówka. Nawet gdybyśmy chciały sobie gotować, co było mało prawdopodobne, to i tak byłoby to niemożliwe z powodu braku kuchenki, a mikrofalówek jeszcze wtedy nie wynaleziono.

Następnym punktem na naszej liście było znalezienie agenta. To również okazało się trudniejsze, niż nam się zdawało. Żadna z nas nie była wielkoludem. Brakowało nam pięciu centymetrów wzrostu do tego, żeby przyjęto nas pod skrzydła którejś z dwóch największych agencji: Wilhelminy lub Forda. Nie byłyśmy dziewczynami w typie modelek haute couture, które pozują dla „Vogue’a”. Miałyśmy coś, co określa się jako „reklamowy” typ - urodę amerykańskiej dziewczyny z sąsiedztwa.

Po dwóch tygodniach bezskutecznych poszukiwań agenta Chippy zaproponował nam posadę barmanek w Sundowner. Ponieważ za dwa tygodnie przypadał termin zapłaty czynszu, przyjęłyśmy propozycję. Frankie był wniebowzięty. Od tamtej pierwszej nocy, kiedy poznałyśmy chłopaków, prawie codziennie wychodziliśmy gdzieś wspólnie wieczorem. Zabierali nas między innymi do Play Lounge - należącego do Vica baru na Queensie; często jedliśmy też razem kolację na mieście. Jedną z naszych ulubionych restauracji była Bino’s Tavern, gdzie serwowano domowe włoskie jedzenie. Przyrzędała je, wkładając w to całą swoją duszę, matka ich kumpla z sąsiedztwa.

Chociaż ja i Frankie w ogóle nie spędzaliśmy czasu tylko we dwoje, to on dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że jest mną zainteresowany. Byłam zaręczona, więc początkowo starałam się z tym walczyć, Frankiego cechował jednak pewien szczególny rodzaj uroku, któremu nie potrafiłam się oprzeć.

Niedługo po tym, jak zaczęłyśmy pracę w Sundowner, udało się nam wreszcie znaleźć agentów. Kiedy któraś z nas miała zaplanowany na wczesną godzinę casting, inna

zastępowała ją przy barze - w ten sposób mogliśmy zawsze wypocząć na tyle, żeby dobrze wyglądać i, przy odrobinie szczęścia, dostać zlecenie.

Najprzyjemniej było wtedy, gdy cała nasza trójka pracowała w barze jednocześnie. Świetnie się dogadywałyśmy i wspólnie udawało się nam wprowadzić do lokalu nieco więcej życia. Żartowanie z klientami sprawiało, że interes szedł lepiej, jednak w Sundowner nie zawsze panowała atmosfera dobrej zabawy. Załatwiano tam wiele podejrzanych interesów. Chodziło o naprawdę poważne sprawy. A ci faceci nie zawsze się uśmiechali. Szybko się nauczyłyśmy, kiedy trzeba skończyć z wygłupami i zniknąć im z oczu.

Sundowner działał na podobnej zasadzie, co prywatny klub. W barze nie posługiwano się gotówką. Miałyśmy za to karty podpisane pseudonimami i za ich pomocą prowadziłyśmy ewidencję, kto ile był winien. Frankie najczęściej przesiadywał na samym końcu baru, zaraz obok drzwi wejściowych - z tego miejsca mógł nie tylko witać wchodzących gości, ale przede wszystkim natychmiast zareagować, w razie gdyby przy wejściu zaczęły się kłopoty (i nie mam tu na myśli wizyty gliniarzy). Frankie zawsze pozostawał czujny, choć nie dawał tego po sobie poznać.

Więcej pożytku przyniosłoby mu dogłębne zainteresowanie, ale Frankie wolał gapić się na mnie. Intensywność tych spojrzeń przynosiła zresztą zamierzony efekt. Za każdym razem gdy kierowałam wzrok w jego stronę, podchwytywał moje spojrzenie, puszczał do mnie oko albo posyłał gorący uśmiech, który sprawiał, że miękły mi kolana.

Chociaż Frankie miał ujmujący i niezwykle sympatyczny sposób bycia, to zdarzało się, że tracił panowanie nad sobą. Był wobec mnie bardzo opiekuńczy i jeśli którykolwiek z klientów baru zachował się w stosunku do mnie nieodpowiednio, Frankie momentalnie gotów był skoczyć mu do gardła. Ja zaś, wbrew własnej woli i na przekór zdrowemu rozsądkowi, coraz mocniej się w nim zakochiwałam.

Za dnia Suzie, Linda i ja kursowałyśmy między jednym castingiem a drugim, zabiegając o pracę. Taszczyłyśmy ze sobą nasze ciężkie portfolia, na przemian wkładając je i wciągając z taksówek, wnosząc je i znosząc po niezliczonych schodach albo wożąc je w obskurnych windach. Wieczorami nalewałyśmy drinki „ludziom z miasta”, którzy wręczali nam sute napiwki. Mała Georgie, Suzy Q, Linda Sikoreczka - tak brzmiały ksywki, które nam nadali. Pracowałyśmy tylko po trzy godziny dziennie - od trzeciej trzydzieści do szóstej trzydzieści nad ranem - ale zawsze wychodziłyśmy z baru bogatsze o trzysta lub czterysta dolarów, uzbieranych z napiwków. Nie miało przy tym znaczenia, że nie mamy pojęcia o pracy barmanek. Tamci faceci lubili po prostu na nas patrzeć. Poza tym, grałyśmy rolę błazeńskiego tercetu, zajmując się rozbawianiem gości. Klienci Sundowner pili przeważnie

szkocką z wodą, a jeśli któryś złożył jakieś wyjątkowo skomplikowane zamówienie, z pomocą przychodzili nam Frankie i Flip.

Po zamknięciu baru szliśmy na śniadanie, które jadaliśmy albo gdzieś w okolicy, albo w Chinatown. Wspólne śniadanie stało się rytuałem naszej małej grupy, w której skład wchodził Frankie i ja, Billy i Suzie Q, Chippy i Linda Sikoreczka, a także Flip i Vic. Czasem dołączał do nas również Czerwony Tommy, o ile danego dnia udało mu się dotrzeć do tej godziny. Tommy jako jedyny z nas nie miał włoskich korzeni, był wysokim, chudym Irlandczykiem z kręconymi rudymi włosami, jasną karnacją i ciętym dowcipem. Wychowywał się jednak razem z resztą ekipy i rozumiał język ulicy.

Wszystkich nas łączyło upodobanie do przygód i pewnie dlatego staliśmy się nierozłączni. Czasami po śniadaniu, jeśli nie miałyśmy akurat żadnych obowiązków związanych z naszą pracą modelek, ładowaliśmy się wszyscy do samochodu i jechaliśmy do Palisades Park albo na Queens, gdzie wypożyczaliśmy konie, a następnie urządaliśmy sobie konne przejażdżki po ulicach. Przynajmniej raz w tygodniu odwiedzaliśmy tor wyścigów konnych Aqueduct, gdzie uzależniłam się od obstawiania gonitw. Pewnego dnia Frankie zdecydował się postawić pięćdziesiąt dolarów na wybranego przeze mnie konia. Wybrałam takiego z ładnym imieniem. Frankie nie był zachwycony notowaniami - szanse wygranej wynosiły sześćdziesiąt do jednego - ale zaryzykował. Mój koń prowadził od początku do końca gonitwy, a ja zgarnęłam około trzech tysięcy dolarów. Od tamtej pory nie można było oderwać mnie od toru, a Frankie nabrał przekonania, że jestem talizmanem przynoszącym mu szczęście.

Któregoś razu zatrzymaliśmy się przy pralni samoobsługowej. Chłopcy postanowili nas rozbawić i - weszli do ogromnych suszarek, po czym zaczęli parodiować telewizyjne reklamy. Wszyscy zbliżali się do trzydziestki lub niedawno ją przekroczyli, podczas gdy my byłyśmy jeszcze nastolatkami. Czasem jednak ciężko było powiedzieć, kto z nas zachowywał się mniej dojrzałe. Ponieważ regularnie zdarzało się nam zarywać całe noce, prawdziwym wyzwaniem stało się znajdowanie czasu na sen, bez którego trudno było dobrze wyglądać na castingach.

Kiedy się nie śmialiśmy, śpiewaliśmy. Kiedy nie śpiewaliśmy, śmialiśmy się. Mieliśmy swoją ulubioną piosenkę, śpiewaną przez nas na okrągło. Chłopcy dorastali razem na nowojorskich ulicach, więc jej słowa wyjątkowo do nich przemawiały, a teraz zaczęły przemawiać także i do nas.

Na rogu Trzydziestej Trzeciej Wschodniej oraz Trzeciej...

Stoi mój dom kochany, zresztą sami wiecie...

Szemrane miejsce - mówi czasem ktoś z gości...
Bo eleganckich krawatów nikt tutaj nie nosi...
Pamiętaj o komornikach, zmów za nich zdrowaśkę...
Po upadku z trzech pięter często chodzą o lasce...
Lecz ludzie stąd ostatnią koszulę by ci dali...
Gdyby tylko sami ją posiadali...
Na rogu Trzydziestej Trzeciej Wschodniej...

Całkiem dobrze odnajdywałam się w swoim nowym życiu. Pewnego razu agent wysłał mnie na casting na modelkę, której zdjęcie miało pojawić się na okładce magazynu „Brides”. Dodał, że klienci po przejrzaniu mojego portfolio wskazali mnie jako preferowaną kandydatkę.

Wzięłam wolną noc w klubie, żeby następnego dnia wyglądać świeżo. Dotarłam punktualnie pod wskazany adres, jednak okazało się, że w budynku popsuły się windy. Kiedy udało mi się wreszcie wbiec schodami na dwunaste piętro, byłam już nie tylko spóźniona, ale i ledwo żywa. Trzeba będzie ograniczyć palenie.

Ku mojemu zaskoczeniu, na miejscu nie było żadnej innej modelki. Fotograf starał się być miły - udawał, że nie zauważył mojego spóźnienia. Zwróciłam uwagę na jego zimne, beznamiętne oczy, które wydały mi się dość niepokojące. Wyglądał na potężnego mężczyznę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, gęstą czuprynę siwych, potarganych włosów, a jego twarz o wyrazistych rysach była poorana głębokimi zmarszczkami. Kiedy włączył muzykę, poczułam się swobodniej. Rozległa, pusta przestrzeń studia miała w sobie coś upiornego, gdy panowała w niej cisza.

Fotograf zaprowadził mnie do garderoby, w której wisiała wspaniała suknia ślubna. Sprawiał wrażenie rozbawionego, kiedy zasunęłam kotarę, zasłaniając mu widok. Modelki znane są z tego, że rozbierają się gdziekolwiek - na środku studia zdjęciowego, a nawet na zatłoczonej ulicy. Spotykałam się z takim zachowaniem, ale sama wciąż byłam bardzo wstydliva. W czasie gdy się przebierałam, fotograf zajął się przygotowaniem oświetlenia planu.

Ponieważ chodziło jedynie o zdjęcia próbne, nie zatrudniono fryzjera ani wizażysty, ale ja byłam z tego zadowolona. Miałam już za sobą całe lata praktyki, więc całkiem nieźle radziłam sobie sama. Kiedy wyszłam z garderoby - wyglądałam niczym ucieleśnienie czystości i niewinności - stanęłam na żółtym tle i czekałam na wskazówki.

- Ślicznie wyglądasz w tej sukience - uśmiechnął się z aprobatą fotograf, błyskając poząłkłymi zębami. Zrobił mi zdjęcie polaroidem i czekając, aż odbitka się wywoła, pokazał

mi projekt graficzny. - Tak wygląda makieta okładki, ale ty pozuj w taki sposób, w jaki sama to czujesz.

Przyjrzał się polaroidowej odbitce, po czym włożył film do aparatu Hasselblad i zabrał się do pracy. Poddalam się nastrojowi energicznej muzyki i poruszałam się z gracją przed żółtym tłem, emanując czystym wdziękiem niewinności. W cudownej sukni czułam się jak anioł i taki anielski wygląd starałam się przybrać przed obiektywem. Ponieważ jednak miałam za sobą wspinaczkę przez dwanaście kondygnacji budynku, z czterokilogramowym portfolio pod pachą, uzyskanie niebiańskiego wyglądu wymagało ode mnie trochę inwencji.

- Świetnie! - ocenił fotograf, załadował nową rolę filmu i zmienił muzykę. - Jak tylko zobaczyłem na biurku twoje zdjęcie, od razu wiedziałem, że idealnie się nadajesz. Sesja będzie we wtorek. Uzgodniłem już z twoim agentem, że tego dnia będziesz pracować dla nas. Napstrykamy teraz jeszcze kilka rolek, żeby klient był zadowolony. Ale jeśli o mnie chodzi, to już masz tę robotę w kieszeni, skarbie.

W duchu byłam niesamowicie podekscytowana, choć starałam się zachowywać się tak, jakby to była dla mnie codzienność. Tak naprawdę jednak miałam ochotę skakać ze szczęścia. Choć byłam w Nowym Jorku od niedawna, to już udało mi się znaleźć na okładce. Nie dość dobra, co? Pokażę tym małomiasteczkowym plotkarzom, kim naprawdę jestem.

Fotograf przez kilka minut eksperymentował z ustawieniem oświetlenia. Wreszcie wznowiliśmy zdjęcia; tym razem jednak muzyka nie współgrała już z nastrojem, jaki próbowałam wyrazić przed obiektywem. Stała się wolniejsza i bardziej uwodzicielska.

- Pokaż mi coś trochę bardziej zmysłowego. Ściągnij usta, prowokuj mnie spojrzeniem - podpowiadał fotograf.

Zrobiłam, o co prosił, ale efekty okazały się niezadowolające. Mężczyzna odłożył więc aparat i stanąwszy za moimi plecami, napuszył rękawy sukni, a następnie wygładził powstałe fałdy. Zrobił krok w tył i przyjrzał się rezultatom swoich starań. Kręcąc głową, ponownie zbliżył się do mnie i rozpiął zamek błyskawiczny na moich plecach, po czym zsunął rękawy sukni z moich ramion. Nie widziałam w tym niczego dziwnego, w końcu styliści często dokonują podobnych zmian, jednak te miny, których się ode mnie domagał, nie pasowały do wizerunku magazynu, jakim był „Brides” - to wiedziałam na pewno.

Byłam coraz bardziej zakłopotana. Poczułam napięcie w brzuchu i ogarnęło mnie przeczucie, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Coś było nie w porządku z całą tą sytuacją. Poinformowałam, że niedługo będę musiała wyjść, usprawiedliwiając się udziałem w castingu na drugim końcu miasta. Fotograf dokończył rolę filmu, a ja udałam, że jestem już spóźniona, i szybko poszłam do garderoby.

- Pomóc ci się rozebrać? - zapytał.

Odsunął kotarę i wszedł do garderoby, przyłapawszy mnie półnagą.

- Nie, nie, dziękuję. Poradzę sobie - zapewniłam, podciągając suknię i przyciskając ją mocno do ciała.

Zmarszczył czoło. Wyglądał na szczerze zdziwionego.

- Co powiesz na kieliszek wina? To pomoże ci się odprężyć.

- Nie mam czasu. Spóźnię się.

- A ja myślę, że dla okładki „Brides” możesz opuścić sobie następny casting. Płacimy ci wystarczająco dużo, zgadza się? - zapytał nieprzyjemnym tonem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wypaliłam.

Fotograf spojrział na mnie przenikliwie.

- Daj spokój, przed obiektywem może i wyglądasz jak niewiniątka, ale przecież dobrze wiesz, o co tu chodzi.

Musiałam wyglądać tak, jakbym doznała szoku, a może faktycznie tak było. Kiedy do tamtego faceta dotarło, że rzeczywiście byłam tak niewinna, jak na to wyglądałam, wściekł się i zrobił się ordynarny. Moje serce zaczęło bić szybciej. Poczułam się jak w pułapce i rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym go zranić, gdyby zaistniała taka konieczność.

- Naprawdę sądzisz, że płacimy wam takie skandalicznie duże pieniądze wyłącznie za wasze twarze? Musisz się jeszcze wiele nauczyć, skarbie. Pięć tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy dla większości głodnych kobiet. A teraz zrelaksuj się, zdejmij ubranie i pozwól sobie na trochę zabawy. - Gdy to mówił, głupkowaty uśmiech nie schodził z jego twarzy.

O mój Boże. Nie znowu.

Ogarnęła mnie panika. Cała dygotałam, gdy chwyciłam swoją torebkę. Wsadziłam rękę do środka i gorączkowo starałam się wymacać pilnik do paznokci. Boże, spraw, żeby tu był. W końcu poczułam w dłoni wąski kawałek metalu, szybkim ruchem wyciągnęłam go i zatrzymałam ostrze o centymetry od ślubnej sukni. Zagroziłam, że rozerwę ją na strzępy. Moja niewinna twarz wykrzywiła się w grymasie, upodabniając mnie do wściekłego zwierzęcia, gotowego zabić.

- Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz z tego pokoju, będziesz miał z czego się tłumaczyć swojemu klientowi - wykrzyczałam.

Nie bądź śmieszna, Giorgio White! Dźgnij sukinsyna prosto w oko! Wtedy zrozumie.

Na szczęście dla mnie fotograf się wycofał. Pośpiesznie przebrałam się w moje zwyczajne ubrania i zbiegłam po schodach w znacznie krótszym czasie, niż zajęła mi

wspinaczka na górę.

Wciąż roztrzęsiona wyszłam na ulicę i zadzwoniłam do swojego agenta. Oddychając głęboko, opowiedziałam mu, co mnie spotkało. Początkowo był zbulwersowany i wyglądało na to, że zamierza całą sprawę potraktować poważnie, jednak później, po telefonicznej rozmowie z fotografem, zaczął zachowywać się tak, jakbym dramatyzowała. Doskonale pamiętałam taką postawę. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej doświadczałam jej na sali sądowej. Jakby tego było mało, mój agent był na mnie wkurzony z powodu utraty prowizji! Do diabła z nim! Moja własna bezsilność doprowadzała mnie do szału. Co mi pozostawało? Fotograf tylko pogłębił lęki, które już wcześniej dręczyły moją kruchą psychikę. Zgłaszanie sprawy na policję byłoby zwykłą stratą czasu. Moja historia nikogo by nie obeszała. Opuściłam zatem i od tamtej pory stałam się po prostu ostrożniejsza. Zmieniłam także agenta.

W poprzednich latach mojej kariery nigdy nie zetknęłam się z "castingiem na sofie" - doznane tamtego dnia uczucie rozczarowania towarzyszyło mi potem jeszcze przez długi czas. Przy okazji kolejnych zleceń zastanawiałam się, czy nie wiążą się one z jakimiś dodatkowymi zobowiązaniami. Nie miałam pojęcia, czy tamta sytuacja była odosobnionym incydentem, czy może w Nowym Jorku rzeczywiście obowiązywały takie zasady.

Reguł panujących w Wielkim Jabłku nauczyłam się jednak dość szybko. Okazało się, że tamta sytuacja była odosobnionym wypadkiem. Wystarczyło, że przestałam stwarzać wrażenie naiwnej dziewczynki i już nigdy więcej nie spotkałam się z podobnymi propozycjami.

Nigdy nie powiedziałam Frankiemu o tym, co zaszło. Obawiałam się, że całe zdarzenie mogłoby zostać źle zrozumiane, a wina mogłaby zostać przypisana mnie - tak jak stało się to poprzednim razem.

Moje seksualne fobie, będące następstwem przeżytego gwałtu, z czasem się nasiliły. Przyszedł moment, w którym oprócz wspólnych żartów i śmiechu w mojej relacji z Frankiem pojawiły się poważniejsze tony - moment, w którym związek dwojga ludzi potrzebuje intymności, by mógł dalej się rozwijać. Moja powierzchowność mogła wprowadzać w błąd - wyglądałam zmysłowo, ale taka nie byłam. Seks budził we mnie przerażenie. Odebranie mi dziewictwa przez gwałciciela sprawiło, że akt seksualny był dla mnie czymś brudnym i odrażającym.

Kiedy Frankie próbował się do mnie zbliżyć, wpadałam w panikę. Moje ciało sztywniało, a ja udawałam, że zajmuje mnie coś innego. Kiedy zostawaliśmy sami, miałam ochotę uciekać, niczym przerażone dziecko. Raz naprawdę uciekłam, a potem zrobiło mi się

z tego powodu głupio. Stało się to wkrótce po tym, jak zaczęłam pracować w Sundowner. Siedzieliśmy w Bino's Tavern i nagle, zupełnie niespodziewanie, Frankie przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Zaskoczyła mnie nieoczekiwana siła, z jaką uwięziły mnie w objęciach jego ręce.

Uciekaj! Uciekaj!

Moje tętno gwałtownie przyśpieszyło i przebiegłam dosłownie całą drogę od restauracji do swojego położonego o pięć przecznic dalej mieszkania, zostawiając Frankiego zaskoczonego i zdezorientowanego. Był pierwszym mężczyzną, który pocałował mnie od czasu gwałtu. Tamten incydent sprawił, że zaczęłam zastanawiać się nad swoimi obawami. Lubiłam Frankiego. Właściwie to dopuszczałam nawet myśl, że go kocham. Dlaczego więc zachowywałam się w taki sposób? Poczulałam się jak dziecko. I tak naprawdę nim byłam.

Godzinę później zjawiłam się w mieszkaniu Frankiego z flakonem old spice'a i przeprosinami (potem dowiedziałam się, że Frankie nie znosi old spice'a). Próbując mu wytłumaczyć przyczyny swojego zachowania, zaczęłam sama sobie uświadamiać, jak głęboko zakorzenione są moje obawy. Kiedy Frankie poznał już prawdę, podszedł do moich niewypowiedzianych lęków z wielką delikatnością. Powoli zdobywał moje zaufanie, a Tom zaczął stawać się jedynie odległym wspomnieniem.

We wczesnej młodości nie do końca rozumiałam, czym jest miłość. Sądziłam, że kocham Toma, ale w gruncie rzeczy nie wiedziałam, na czym to uczucie miałoby polegać. Nie zaznałam wtedy jeszcze intymności - tego pięknego doświadczenia łączącego dwoje ludzi, którzy troszczą się o siebie nawzajem. Nikt by mnie wówczas nie przekonał, że coś tak podłego może być źródłem przyjemności. Nie chodziło o to, że bałam się mężczyzn. Uwielbiałam ich towarzystwo. Paniczny strach budziła we mnie jedynie ta część damsko-męskich relacji, w której obie strony stają przed sobą nago - tego unikałam jak zarazy.

Frankie i ja byliśmy ze sobą w stałym związku od mniej więcej sześciu tygodni. Tamtej nocy nasza paczka spędzała wspólnie czas na mieście, po czym wszyscy wylądowaliśmy w mieszkaniu Frankiego. Przypominało ono to, które wynajmowałam z dziewczynami - ponury pokój hotelowy połączony mieszkaniem - ale lokum Frankiego było jeszcze gorsze. Przebywanie tam przynębiało mnie.

Billy był tak zaprawiony, że musiał unosić brwi, żeby na czymkolwiek się skoncentrować. Chippy natomiast zapalił papierosa o słodkawym zapachu. Papieros zaczął krążyć, przekazywany z rąk do rąk, a ja zdałam sobie sprawę, że to marihuana. Trawka stała się dość popularna w ciągu poprzednich kilku lat, ale ja nigdy nie obracałam się

w towarzystwie kogoś, kto by ją palił. Początkowo trochę się bałam, ale Frankie rozwił moje obawy, przyjrzałam się więc, jak to się robi, i sama sztachnęłam się parę razy.

Wszystko stało się nagle znacznie zabawniejsze. Zaczęłam się śmiać z najdziwniejszych rzeczy. Rzecz jasna, Chippy śmiał się i płakał jednocześnie - zawsze tak robił. Teraz jednak dodatkowo pełzał po podłodze. Łzy spływały mu po policzkach, kiedy usiłował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobywał się jedynie śmiech. Żadne z nas nie mogło się powstrzymać. Cała tamta noc była jednym pasmem śmiechu.

W pewnym momencie zorientowałam się, że wszyscy zniknęli gdzieś bez uprzedzenia. Nie zastanawiałam się zbyt długo nad tym, dokąd poszli. Zamiast tego moją uwagę przykuł nocny stolik, na którym było pięć lub sześć niedopałków ustawionych pionowo filtrami do dołu. Wyglądały jak przygotowane do odpalenia maleńkiej rakiety. Wpatrywałam się w nie przez dłuższy czas, odbywając myślami kosmiczną podróż.

Frankie poprowadził mnie do pozbawionego zasłon i firanek okopconego okna, przez które wyszliśmy na schody przeciwpożarowe. Usiedliśmy tam - miałam wrażenie, jakbyśmy siedzieli tam przez wiele godzin - i patrzyliśmy na gwiazdy. Frankie nazywał je diamentami na niebie, a każda z nich miała własną historię.

Nie wiem, czy było to zasługa Frankiego, czy może narkotyku, ale poczułam, że przed moimi oczami otwiera się zupełnie nowy świat. Frankie miał wyjątkowy dar opowiadania historii - i robił to nie tylko wtedy, gdy byłam w stanie narkotycznego upojenia. Potrafił sprawić, że zaczynałam postrzegać wszystko zupełnie inaczej niż wcześniej. Był ode mnie o dziewięć lat starszy i wiedział o życiu znacznie więcej niż ja. Przenikliwie patrzył na świat, dzięki czemu rozumiał wiele spraw lepiej niż większość ludzi - a przynajmniej ja tak to odbierałam. Rzeczywistość z jego perspektywy miała znacznie więcej barw i Frankie uczył mnie je dostrzegać. Chłonełam tę wiedzę i byłam pilnym uczniem, a on pełnym zapału nauczycielem. Mogłam słuchać go całymi godzinami, czując się przy tym jak dziecko, któremu ktoś opowiada bajkę. Prowadził mnie krok po kroku przez pełną szczegółów historię, odmalowując w moim umyśle kolejne obrazy i sprawiając, że stawałam się bardziej świadoma otaczającego mnie świata.

Widziałam Frankiego takim, jakim rzadko mieli okazję oglądać go jego rówieśnicy - z historii, które opowiadał, dowiadywałam się wiele o nim samym. Z każdą z nich coraz bardziej się w nim zakochiwałam. Doszłam do wniosku, że Frankie jest dobrym człowiekiem, któremu przyszło żyć w złym świecie. W głębi duszy był łagodnym, przyzwoitym facetem, który kochał i cenił życie, jednocześnie jednak tkwił uwięziony w mrocznym świecie, z którego nie było dla niego ucieczki. Nie mając wyboru, zaakceptował tę rzeczywistość

i nauczył się sztuki przetrwania.

Wpatrywałam się w gwiazdy, kiedy Frankie zaczął pieścić ustami moją szyję. Odwróciłam głowę i pocałowałam go. Mój zmysł dotyku wyostrzył się. Nie czułam lęku. Jego ręce na moich piersiach nie tylko nie budziły we mnie obrzydzenia, lecz wydały mi się czymś naturalnym.

Kiedy niósł mnie do łóżka, byłam pogrążona w śnie na jawie. Moje palce delikatnie błądziły po jego twarzy, a ja z zachwytem zanurzyłam się w przepastnej głębi jego brązowych oczu. Wydawał mi się znajomy, tak jakby jego smak i dotyk były wspomnieniem z jakiegoś innego wymiaru, którego jednak nigdy do końca nie zbałam. Zamknęłam oczy i pozwoliłam jego delikatnym dłoniom odkrywać miękkie krągłości mojego ciała. Jego dotyk sprawił, że świat się zatrzymał - zatraciliśmy się w miłosnej ekstazie. Wyzbywszy się swoich zwykłych obaw, oddałam mu się w sposób, jaki wcześniej wydawał mi się niemożliwy. Doświadczyłam miłości w jej najczystszej postaci.

Po wszystkim musiałam jakoś dojść do ładu z kłębiącymi się w mojej głowie nie w pełni uświadomionymi pragnieniami i obawami. Czy po tym, co się wydarzyło, stałam się dziwką? Czy właśnie potwierdziłam te wszystkie plotki, które krążyły na mój temat? Co musi myśleć sobie Frankie? Mężczyźni nie szanują przecież dziewczyn, które straciły dziewictwo przed ślubem.

Seksualne demony nie przestały mnie prześladować, ale przez tamtą krótką chwilę zdążyłam pojąć, czym jest intymność. Po tamtej nocy wiedziałam już, że to, co czułam do Toma, nie było miłością. Nie mogłam zostać jego żoną, ale zdecydowałam, że powiem mu o tym dopiero, kiedy wróci z Wietnamu. Teraz byłoby to zbyt okrutne. Nadal do niego pisywałam, chociaż od tamtej pory robiłam to rzadziej.

Kiedy Frankie i ja zbliżyliśmy się do siebie, stał się dla mnie bardziej tajemniczy. Jeśli chodzi o jego styl życia, nie byłam aż tak naiwna, jak mu się wydawało. W przeszłości miałam już do czynienia z takimi sprawami. Nie do końca rozumiałam jednak, jak to wszystko działa, a Frankie nie dawał mi w tym względzie żadnych wskazówek. Konsekwentnie strzegł swoich tajemnic, odseparowując mnie od tej części swojego życia; w rezultacie w naszej relacji istniała wielka luka. Pragnęłam być blisko z nim całym, a nie tylko z tą jego stroną, którą chciał mi pokazać. Frankiemu zdarzało się gdzieś zniknąć, czasem na kilka godzin, a czasem na kilka dni, na wszelkie pytania odpowiadał jednak wymijająco. Na moje nalegania otrzymywałam jedynie ogólnikowe odpowiedzi. Kiedy próbowałam naciskać, obracał wszystko w kiepski żart albo milczał.

Któregoś dnia podczas sesji zdjęciowej mój wizażysta spisał się naprawdę wspaniale.

Makijaż wykonywany przez wizażystów zwykle mi się nie podobał, ale to był jeden z tych dni, gdy spoglądałam w lustro i czułam się naprawdę świetnie. Chciałam, żeby Frankie również to zobaczył. Zadzwoiłam więc do niego ze studia fotograficznego i umówiliśmy się na obiad w Bino's. Po jego głosie poznałam, że nie może się doczekać spotkania. Uwielbiałam przebywać w jego towarzystwie. Zawsze obsypywał mnie komplementami i rozpierała go duma z tego, że jest ze mną. To wszystko sprawiało, że czułam się wyjątkowa.

Po sesji pobiegłam do restauracji - tylko po to, żeby przez trzy godziny siedzieć tam i wyczekująco wpatrywać się w drzwi. Frankie w ogóle się nie pokazał. Czy byłam rozczarowana? No pewnie. Rosa, mama właściciela restauracji, starała się wytłumaczyć mi łamaną angielszczyzną, że takie zachowanie jest normalne dla wszystkich kolegów jej syna i nie powinnam się tym zamartwiać.

Później tego samego dnia siedziałam na podłodze w swoim mieszkaniu, przeglądając z Susie Q "Vogue'a", podczas gdy Linda Sikoreczka stroiła się na randkę.

- Gdzie się dziś wybierasz, włóczęgo? - zagadnęła żartobliwym tonem Susie.

- Na kolację z tym bogatym przystojniakiem, którego poznałam w zeszłym tygodniu. To nie taka frajda jak włóczenie się z wami, dziewczyny, ale przynajmniej zjem coś dobrego. Jak wyglądam? - zapytała, odgarniając szczotką kosmyk włosów z czoła i przeglądając się w lustrze.

- Wyglądasz świetnie - zapewniłam z odpowiednią dozą szczerości w głosie. Moje myśli wciąż krążyły wokół Frankiego.

Rozczarowanie już osłabło, ale w dalszym ciągu zżerała mnie ciekawość. Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, dosłownie rzuciłam się do słuchawki.

- Cześć, mała.

- Frankie, niech cię szlag! Czekałam dziś na ciebie przez trzy godziny. Gdzie byłeś?

- Wiem, mała. Przepraszam. Byłem zajęty.

- Robieniem czego?

Susie Q energicznie mieszała herbatę, całkowicie zaabsorbowana naszą kłótnią. Ona też chciała poznać odpowiedź.

- Opuść, kotku. Przecież wiesz, że nie należy zadawać takich pytań.

- Dlaczego wszystko musi być taką tajemnicą, Frankie? - zapytałam.

Czułam się wykluczona z jego życia. On tymczasem jak zwykle próbował załagodzić sprawę beztroskim zachowaniem.

- Daj spokój, Georgie. Coś mi wypadło. Przepraszam, że musiałaś na mnie czekać, ale nic nie mogłem zrobić. Flip będzie dziś śpiewał ze swoim zespołem w Play Lounge - dodał

wesoło, zmieniając temat. - Może zapytasz dziewczyny, czy nie chciałby się wybrać?

- Frankie, mam już tego dość. Muszę wiedzieć, kim ty właściwie jesteś. Za każdym razem...

- Posłuchaj mnie, Mała Georgie - przerwał mi. Jego głos stał się nagle poważny. - Jestem człowiekiem o dwóch twarzach, skarbie. Są rzeczy, które muszę robić, ale to nie jest temat do rozmowy. Naprawdę nie mogę o nich mówić i nie zamierzam tego robić. Masz oczy, kotku. Jesteś ze mną wystarczająco długo, żeby zorientować się, kim jestem. Więc proszę, nie zadawaj więcej pytań, na które nie mogę odpowiedzieć - powiedział chłodno. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - A wieczorem wybierz się gdzieś i baw się dobrze, w porządku?

Próbowałam przestrzegać tej zasady, ale moja irytacja z powodu tych wszystkich tajemnic była aż nadto widoczna. Żeby mnie udobruchać, Frankie zaczął zabierać mnie ze sobą na niektóre ze spotkań odbywających się w ciągu dnia. Nazywał je nasiadówkami. Ja czekałam przy barze, podczas gdy on siedział w zadymionych restauracyjnych boksach z różnymi facetami włoskiego pochodzenia. W końcu mogłam przyjrzeć się z bliska tajemniczemu życiu, które prowadził.

Jedno z tych spotkań wyglądało jak zlot gangsterów. Kilku z jego uczestników było ubranych w sportowe koszule i spodnie od garnituru, większość jednak miała na sobie garnitury, wykrochmalone wizytowe koszule i biżuterię, za którą przeciętny uliczny bandyta nie zawahałby się zabić. Gadałam z barmanem, starając się być niewidzialną, jednocześnie jednak przyglądałam się im dyskretnie zafascynowana tym, co widzę.

Do restauracji wszedł szczupły siwowłosy mężczyzna o świdrujących oczach i wielkim nosie; pod pachą trzymał zwiniętą gazetę. Był niskiego wzrostu i nie mógł ważyć więcej niż sześćdziesiąt kilogramów, ale najwyraźniej w oczach pozostałych był kimś ważnym. Wszyscy niemalże bili przed nim pokłony. Ubrany w nieformalnym stylu, w granatowy sweter na guziki i zapiętą pod szyją koszulę, nie wyglądał na króla, jeśli jednak w tym gronie istniała jakaś hierarchia, on niewątpliwie znajdował się na samym szczycie. Siedział milczący, wodząc po innych swoim stalowym spojrzeniem, które wiele mówiło bez słów.

Pozostali byli bardziej ożywieni od tajemniczego siwowłosego człowieka. Wielu mówiło po włosku, inni posługiwali się łamaną angielszczyzną. Większość jednak używała znajomo brzmiącego nowojorskiego slangu „twardzieli”, z którym zdążyłam się już osłuchać. Docierały do mnie tylko urywki ich rozmów, ale język gestów zdradzał całkiem sporo - zwłaszcza palec wskazujący, prześlizgujący się po gardle. Żeby go zrozumieć, nie trzeba być geniuszem. Siwowłosy tylko kiwał potakująco głową.

Dyskusja stawała się coraz gorętsza, ale kiedy w końcu wstali od stołu, wszyscy zachowywali się tak, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, ściskając się i poklepując życzliwie. Zdrowy rozsądek podpowiadał jednak, że wystarczyłby jeden niewłaściwy ruch, a zamieniliby się w podstępnych, bezlitosnych wrogów. Emanowała z nich niekwestionowana siła.

Choć może się to wydać dziwne, ci ludzie mnie intrygowali. Wynikało to z mojego nienasyconego apetytu na ryzyko związane z tym, co nieznane, a także z naturalnej dla młodego wieku ciekawości. Po spotkaniu zaczęłam wypytywać Frankiego o tamtych mężczyzn.

- Kim był ten niski facet z siwymi włosami?

- Nikim, kotku.

- Nie wyglądał mi na nikogo - stwierdziłam, próbując wymusić na nim szczerą odpowiedź.

- Mała Georgie... Daj spokój. Obiecałaś, że jeśli wezmę cię ze sobą, nie będziesz o nic pytać - przypomniał Frankie.

Chciałam wiedzieć o Frankiem wszystko, ponieważ go kochałam. I nienawidziłam tajemnic. Istniała jednak taka strona jego życia, która musiała być utrzymywana w sekrecie - Frankie nie miał w tym względzie wyboru.

Moje popołudniowe wycieczki z Frankiem skończyły się w dniu, w którym zabrał mnie na spotkanie z dwoma mężczyznami. Nie byli to ludzie w typie tych, z którymi spotykał się zazwyczaj. Ich garnitury z całą pewnością nie były szyte na miarę - z kieszonek ich marynarek wystawały długopisy, a okulary przeciwsłoneczne mieli z supermarketu. Mówiąc krótko: dwaj gładko ogoleni, przywoici faceci. Ta przywoitość była jednak dość wątpliwa. Nawet ja potrafiłam bez trudu rozpoznać w nich gliniarzy w cywilnych ubraniach. To byli ludzie komendanta.

Frankiemu jakimś sposobem udało się dotrzeć wyżej niż do szefa lokalnego posterunku, a nawet wyżej niż do szefa któregoś z policyjnych wydziałów - dotarł na samą górę, do samego komendanta miejskiego. W Nowym Jorku można było kupić każdego glinę - co do tego nie było wątpliwości - ale w wypadku interesów z funkcjonariuszem tak wysokim rangą kluczowym warunkiem było zachowanie tajemnicy.

Kiedy ja i Frankie weszliśmy do restauracji 23rd Street Bar & Grill w zachodniej części Manhattanu, tamci dwaj spojrzeli po sobie. Frankie momentalnie zdał sobie sprawę, że popełnił głupstwo. Pospieszenie wysłał mnie do boksu w kącie lokalu, a sam podszedł do czekających na niego mężczyzn. Byłam poza zasięgiem ich wzroku, ale pozostawałam

w zasięgu głosu. Zerkając zza zasłony plastikowych kwiatów, obserwowałam, jak tamci dwaj naskoczyli na Frankiego.

- Co to za babka? - zapytał nieznoszącym sprzeciwu głosem potężnie zbudowany facet.

- To tylko zwykła smarkula, nie ma o niczym pojęcia - zapewnił go Frankie.

Wyższy z mężczyzn wstał.

- Chcesz ochrony, to zorganizuj inne spotkanie! W innym czasie i w innym miejscu - rzucił.

Wychodząc, gliniarze obejrżeli się jeszcze w drzwiach, rzucając Frankiemu zde gustowane spojrzenie. Został bez policyjnej ochrony - przynajmniej na jakiś czas.

Nocne kluby na Manhattanie to dochodowy biznes i wszyscy chętnie wyciągali po te pieniądze ręce. Policyjna ochrona nie gwarantowała jednak bezpieczeństwa ze strony mafiosów. Frankie musiał uwzględniać w swoich rachubach także ich żądania wykraczające daleko poza rozsądny udział w zyskach. Na szczęście mógł liczyć na poparcie pewnych ważnych ludzi. Ale oddech niezadowolonego wroga na karku sprawia, że zawsze trzeba być gotowym do walki. Frankie musiał nieustannie oglądać się za siebie. Idąc pod prąd, nadepnął złym ludziom na odcisk. Utrzymywał się w interesie, odpalając im hojną dolę, ale zarazem zdawał sobie sprawę, że w przestępczym półświatku naczelną zasadą jest chciwość.

Spokojna noc w klubie - coś niezwykłego jak na sobotę. Przy barze kurzyły się puste stołki, a ponieważ nikt nie karmił monetami szafy grającej, tylna sala była cicha i ciemna. Bez stałych klientów było trochę smutno. Nie przyszedł nawet Flip, który spędzał tu niemal każdą noc. Brakowało mi jego uśmiechu i przekomarzania się. Susie Q pojechała do domu na weekend, a Linda Sikoreczka miała kaca i wzięła sobie wolne. Stałam sama za barem i nie bawiłam się dobrze bez swoich kumpelek. Nikt nie miał nastroju do żartów. Fluorescencyjne oświetlenie pod barem emanowało chłodem, co mocno kontrastowało z resztą sali wypełnioną przyćmionym czerwonym światłem.

Niewielka grupa mężczyzn zebrała się na poważną rozmowę. Coś się szykowało. Odkąd przyszłam, atmosfera była gęsta. Coś było nie tak, choć nie bardzo wiedziałam co.

Gangster z Harlemu wszedł do lokalu. Wyczuwając kłopoty, Frankie od razu do niego podszedł. Rozmawiali o czymś gwałtownie, ale byłam za daleko, żeby usłyszeć o czym. Bandzior wysunął szczękę, gotowy do walki. Frankie odpowiedział coś, zdecydowany postawić na swoim. Zirytowany mężczyzna wyminął Frankiego i podszedł do baru, przesuając stół, żeby zrobić miejsce dla swojego wielkiego brzucha. Jego lewa powieka drgała, kiedy przejeżdżał dłonią po łysej czaszce - była to oczywista oznaka silnej złości.

- Zrób mi drinka - zażądał, wykrzywiając się jak szaleniec.

Wiedziałam, że ten facet jest dla Frankiego wrzodem na tyłku, ale nie miałam pojęcia dlaczego. Miałam swoje powody, żeby go nie lubić. Przyprawiał mnie o dreszcze. Jego spojrzenie było jak arktyczna zima. Nigdy nie sprawiał miłego wrażenia - zachowywał się władczo i domagał się od innych szacunku. Nalałam mu to, co zwykle - whisky z wodą sodową. Postawiłam przed nim drinka i wyszłam z baru, zapewniając mu prywatność na czas kłótni, która wybuchła między nim a jego sąsiadem. Następna rzecz, którą pamiętam, to wyciągnięty przez niego pistolet wymierzony w tamtego mężczyznę. Mój umysł zarejestrował ten obraz, ale nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam krzyknąć. Nie mogłam zejść mu z drogi. Sparaliżowana strachem stałam wciąż w tym samym miejscu.

Pierwszy strzał. Drugi. Mężczyzna upadł na podłogę, ale ja wciąż byłam skupiona na broni. To wydarzyło się tak szybko. Co? Co się stało? Stałam tam jak słup, nie w pełni zdając sobie sprawę, co się właściwie dzieje. Mój umysł nie nadążał za rzeczywistością.

Nagle ktoś mnie odciągnął - Frankie właściwie wywlekł mnie przez drzwi. Kiedy byliśmy na schodach, rozległ się kolejny strzał. Pobiegliśmy w stronę rogu ulicy i skręciliśmy. Biegliśmy dalej, aż wreszcie zanurkowaliśmy w jakąś bramę. Frankie cały drżał, gdy mnie obejmował.

Według świadków, którzy zostali w klubie, gangster wyszedł niespiesznie, patrząc na nich wyzywająco. Nikt nie odwzajemnił jego spojrzenia. Znali zasady. Kiedy tylko gangster opuścił budynek, wszyscy uciekli.

- Jasna cholera! - syknął Frankie.

Zaczęłam się odwracać, ale złapał moją głowę obiema rękami i przytrzymał ją kilka centymetrów od swojej twarzy. Zasłonił mi widok na ulicę - w jego oczach odbijał się strach.

- Pocałuj mnie. To on. Wciąż trzyma broń - szeptał. - Rób cokolwiek, tylko nie patrz na niego.

Serce zaczęło mi walić. Zamknęłam oczy i pocałowałam Frankiego, jakby to był nasz ostatni pocałunek. Mógł być ostatni. Ale mężczyzna przebiegł obok, nie zwracając na nas uwagi. Kiedy zniknął z zasięgu naszego wzroku, pobiegliśmy z powrotem do klubu.

Kiedy weszliśmy do środka, Billy pochylał się nad ciałem. Spojrzał na nas z desperacją; był błydy jak ściana.

- Kurwa! Powinniśmy to przewidzieć.

Frankie sprawdził puls mężczyzny.

- O Boże! Frankie, czy on nie żyje?

Zanosłam się płaczem. Próbowałam się opanować, ale całe moje ciało drżało.

Widziałam już kiedyś zwłoki. Jednak żaden z tamtych ludzi nie zginął z powodu takiej przemocy.

- Chyba jeszcze nie umarł - odpowiedział, gorączkowo szukając w kieszeni kluczyków od samochodu. - Jesteś w stanie prowadzić?

- Tak, chyba tak - odpowiedziałam roztrzęsiona.

- Idź do samochodu. Zajedź od frontu. Pospiesz się. Za chwilę będą tu gliny. Billie, pomóż mi go stąd wynieść.

- A co z krwią? Czy nie powinniśmy...

- Nie ma czasu, Billy. Pomóż mi, do cholery, go stąd wytargać.

Frankie chwycił mężczyznę pod ramiona, a Billy złapał go za nogi. Z wysiłkiem znieśli go po schodach.

Była piąta trzydzieści nad ranem - tuż przed wschodem słońca. Bez wątplenia najważniejsze było zachowanie anonimowości. Ostatecznie wsadziliśmy mężczyznę do samochodu, który Frankie od kogoś pożyczył, i pognaliśmy do Bellevue Hospital. Georgia Black przybyła na ratunek. Nie pozwoliłam sobie na myślenie o uchodzącym z mężczyzny życiu. Mieliśmy zadanie do wykonania.

Do szpitala - szybko! Gliniarz! Skręć w lewo. Powoli, nie schrzaj tego. Okej, dobrze. Teren czysty. Gaz do dechy.

- Świetnie ci idzie, kotku, świetnie ci idzie. Bez nerwów. Nie chcemy przyciągać uwagi - powiedział Frankie, próbując uspokoić się po tym, jak zerknął do tyłu na Billy'ego i rannego mężczyznę.

Prowadziłam ostro, traktując samochód, jakby trzeba mu było dać nauczkę, i zawiozłam nas na miejsce bez stłuczki. Kiedy zatrzymaliśmy się przed oddziałem ratunkowym, Billy i Frankie wyciągnęli mężczyznę z samochodu i zostawili go leżącego nieruchomo na chodniku. Nie wiedzieliśmy, czy żyje. Frankie zatrąbił krótko klaksonem, mając nadzieję, że ktoś zwróci uwagę na rannego faceta, nie na nas.

- Gazu! - wrzasnął Frankie.

Odjechałam szybko.

- Myślisz, że przeżyje? - zapytałam bliska płaczu. Georgia Black zniknęła. Zadanie wykonane.

- Oby. Inaczej po mnie. Jedź do klubu.

Skręciłam w Dwudziestą Trzecią Wschodnią. Dwie przecznice dalej zobaczyliśmy policyjne światła przed budynkiem.

- Cholera - mruknął pod nosem Frankie.

- Wysadź mnie przed knajpą Bina, Georgie - powiedział Billy. - Jezu, Frankie, było to nam potrzebne jak dziura po kuli w głowie.

Zatrzymałam się przed tawerną Bina na Drugiej Alei i Billy wysiadł z samochodu.

- Zadzwoń, kiedy czegoś się dowiesz - powiedział, po czym trzasnął drzwiami i ruszył w stronę schodów prowadzących z baru do mieszkania Bina.

- Skontaktuj się z Flipem - rzucił za nim Frankie. - Powiedz mu, że spotkam się z nim o dziewiątej w Abbey.

- Frankie, ty prowadź - zaproponowałam, kiedy Billy zamknął drzwi samochodu.

- Czemu, kotku? Jesteś urodzonym kierowcą. Jesteś tak dobra, że możesz na tym zarabiać. I to nieźle.

- Nic nie pamiętam. Nie mam pojęcia, jak tam dotarłam.

- Cóż. Dotarłaś. I to w rekordowym czasie!

Frankie umilkł, kiedy jechaliśmy Madison Avenue w stronę mojego mieszkania na Trzydziestej Pierwszej Wschodniej. Zatrzymałam się przed budynkiem, zaciągnęłam ręczny, wzięłam głęboki wdech i wypuściłam powietrze z głośnym westchnieniem.

- Sukinsyn! - wyrzucił z siebie Frankie, uderzając pięścią w deskę rozdzielczą.

- Kto?

- Ten cwaniak z Harlemu, kto inny? Skurwiel pewnie zrobił to, żeby gliny mnie przymknęły. Po tych gnojach można się tego spodziewać. Musisz stąd zniknąć, Georgie. Pakuj rzeczy, zabieram cię na lotnisko.

- Nie chcę wyjeżdżać, Frankie.

- Nie chcę cię w to mieszać. Będą przesłuchiwać wszystkich świadków. A ty jesteś świadkiem. Musisz wyjechać.

- Nic nie widziałam.

- Wyjeżdżasz. Nie dyskutuj ze mną. Jakkolwiek na to patrzeć, dostanie mi się, ale nie ma potrzeby wciągać cię w ten syf. Nie wiem zresztą, co robisz z takim gościem jak ja.

- Frankie, o czym ty mówisz?

- To nie jest życie dla ciebie, Georgia. Zasługujesz na więcej, niż mogę ci dać. Taki jest mój świat, kotku. Taki był, taki będzie. Tylko taki świat znam. Nie mam prawa cię w to wciągać.

- Frankie, o co ci chodzi?

- Wracaj do domu, kotku. I nie ruszaj się stamtąd, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

- Frankie, wiem, że mnie kochasz. Jak możesz tak mówić?

- Właśnie dlatego, że cię Kocham - powiedział z naciskiem.

- Jesteś zdenerwowany tym, co się stało. Nie myślisz tak naprawdę. Czuję to.

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Błądził gdzieś myślami. Chciałam z nim zostać, ale to nie wchodziło w grę. Frankie doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji tego, co się stało. Martwienie się o mnie było ostatnią rzeczą, której potrzebował. Spakowałam swoje ubrania, ale miałam szczerzy zamiar tu wrócić. On po prostu nie myślał teraz jasno - tego byłam pewna.

Zanim wylądowałam w Rochester, Frankie trafił do aresztu. Billy i Flip dzwonili i informowali mnie na bieżąco. Oskarżono go o usiłowanie zabójstwa. Policja zarekwirowała karty, których używaliśmy do naliczania rachunków. W kartotece policyjnej były zdjęcia wszystkich naszych klientów. Z pewnością wiedzieli, kto tu przychodził. Wiedzieli przecież o istnieniu tego klubu. Mieli mnóstwo świadków, ale nikt nie chciał mówić. Gliniarze pracujący nad sprawą byli nerwowi, ale nie tak bardzo jak ludzie komendanta, którzy bali się, że śledztwo doprowadzi do ich zdemaskowania. Każdego dnia Frankie był wyprowadzany ze swojej celi i godzinami przesłuchiwany. Wiedzieli, że tego nie zrobił, ale byli pewni, że wie, kto jest sprawcą.

Rozdział czwarty

- Jutro wieczorem w Copa śpiewa Jerry Vale - powiedział głos w słuchawce. Była jedenasta rano, ale wciąż spałam, kiedy zadzwonił telefon. - Zabiorę cię, jeśli włożysz tę białą sukienkę.

- Frankie! - Przez dwa tygodnie nie słyszałam jego głosu.

- Cześć, mała. Wypuścili mnie.

- Och, Frankie, wszystko w porządku? - zapytałam zaniepokojona.

- Oczywiście... Muszę się z tobą spotkać, mała. Czy możesz być tu szybciej niż wystrzelony pocisk?

- Nie rozmawiajmy o pociskach, Frankie. - Ofiara strzelaniny w Sundowner wciąż była w stanie krytycznym, ale wyglądało na to, że przeżyje. - Mogę przylecieć samolotem o ósmej rano.

- Mam mnóstwo roboty, więc weź taksówkę i jedź pod 502 - powiedział, jakby recytował wiersz.

502 to był numer mieszkania Frankiego na Dwudziestej Szóstej Wschodniej.

Moi rodzice byli zachwyceni, kiedy wróciłam domu, ale wiedzieli, że wkrótce znów wyjadę. Nieustannie się o mnie martwili. Nie wiedzieli o strzelaninie, ale zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw czyhających na samotną dziewczynę w Nowym Jorku. Tak jak większość rodziców, chcieli mnie trzymać pod kloszem.

Po rozmowie z Frankiem poczułam ogromną ulgę. Całą noc nie mogłam spać, rozmyślając o spotkaniu z nim. Wstałam bardzo wcześnie i spędziłam sporo czasu przed lustrem, żeby upewnić się, że wsiądę do samolotu z perfekcyjnym makijażem.

Wysiadając z taksówki przed budynkiem, gdzie mieszkał Frankie, wpadłam na powłóczącego nogami staruszka ciągnącego pomału swoją laskę wzdłuż chodnika.

- Patrz, gdzie leziesz, głupia babo - warknął pogardliwie.

Puszki i rozrzucone śmieci wały się na krawężniku. Skulony przy drzwiach budynku włóczęga o skórze koloru posiniaczonego pergaminu wygłaszał ku niebu swoją podniosłą przemowę. Ach, Nowy Jork. Dobrze było tu wrócić.

Winda znowu nie działała, więc musiałam taszczyć bagaże przez pięć pięter. Nie mogłam złapać tchu, jeszcze trochę i padłabym trupem. Zepsuty telewizor stał pod ścianą w ciemnym korytarzu. Kiedy przekręciłam klucz i popchnęłam drzwi, uderzył we mnie zatęchły zapach barowego jedzenia.

Poczułam przygnębienie na widok skąpo umeblowanego pokoju. Białe tynki przeświecały przez pokrytą smugami brudu żółtą farbę na suficie. Żadnych roślin. Żadnych oznak życia. Obskurnie. Ciemno. Gdyby Frankie musiał szybko się ulotnić, nie miałby z tym problemu. A może to właśnie było miejsce, do którego by uciekł.

Minuty zamieniały się w godziny. Czekałam. Zająłam się sprzątaniami: opróżnianiem popielniczek wypełnionych niedopałkami i wieszaniem ubrań porzucanych w nieładzie po całym pokoju. W końcu Frankie przyszedł. Był blady i wyczerpany. Nie musiał nic mówić. Mocnym uściskiem udowodnił mi, jak bardzo za mną tęsknił. Ale potem stał się nieobecny.

- Gdzie byłeś, Frankie?

- Miałem coś do zrobienia.

- Coś? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nie mogłeś chociaż zadzwonić? Od tak dawna cię nie widziałam. Nie chciałeś zobaczyć...

- Georgie, nie mogłem zadzwonić. Proszę, nie rób mi przesłuchania, okej?

Urażona i rozczarowana przeżuwałam jego słowa jak pies kość.

- Nie rozumiem, czemu zawsze jesteś taki tajemniczy. Dlaczego nie możesz...

- Opuść - zmroził mnie tonem swojego głosu.

Wyszedł z pokoju, najwyraźniej czymś zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie mówił do mnie takim tonem. Zobaczyłam jego odbicie w sypialnianym lustrze, kiedy wyjmował broń z kurtki i wkładał ją do szuflady.

- No chodź - powiedział. - Chcę cię gdzieś zabrać.

Zdawał sobie sprawę ze swojego złego humoru i próbował wprowadzić się w inny nastrój. Ścisnęło mnie w żołądku, bo nigdy wcześniej nie widziałam go z bronią. Myślałam, że orientuję się trochę w jego drugim życiu, ale po tym, co zobaczyłam, uświadomiłam sobie, jak niewiele wiedziałam.

Poszliśmy do domu towarowego Saks na Piątej Alei, gdzie Frankie kupił mi sukienkę, którą widział na wystawie i którą, jak stwierdził, po prostu musiałam mieć. Nie protestowałam. Zakupy były moim ulubionym zajęciem. Tym razem było jednak inaczej. Wydawało się, że Frankie jest w zupełnie innym świecie. Pomimo wszystkich jego uśmiechów czułam, że coś bardzo go gnębi.

- Nie uwierzysz, co te gnojki zrobiły z klubem - powiedział głosem pełnym urazy, kiedy wyszliśmy na ulicę.

- Co?

- Zobaczysz - odpowiedział, wyciągając rękę, żeby przywołać taksówkę.

Kiedy wchodziliśmy po słabo oświetlonych schodach, nie wiedziałam, czego mam się

spodziewać - na pewno jednak nie tego, co zobaczyłam. Rozejrzałam się po pomieszczeniu i otworzyłam usta ze zdumienia. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć o gliniarzach. Zabrali alkohol oraz większość stołów i krzeseł, prawdopodobnie po to, żeby umeblować swoje sutereny. To, co pozostawili, było zupełnie zniszczone. Siekierą porąbali bar. Potłuczone szkło z automatów z papierosami i szaf grających leżało rozrzucone na podłodze wokół. Kilka pozostawionych stołków barowych było pociętych, wypełnienie z siedzisk pokrywało podłogę niczym śnieg. Draperie zostały zerwane ze ścian, co odsłoniło widok na rozpadające się cegły. Totalna ruina. Spojrzałam na pełną odrazy twarz Frankiego. Wyglądał na zagubionego i pokonanego.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy mój wzrok padł na dużą brązową plamę na podłodze.

- Przypuszczam, że... zrobię to, co zwykle w takich sytuacjach.

- A co zwykle robisz, Frankie?

- Nie zaczynaj, Mała Georgie. Chodź, wynośmy się stąd.

- Nie, Frankie. Potrzebuję odpowiedzi. Jestem zmęczona tymi zgadywankami. Musisz dopuścić mnie do swojego życia, inaczej ten związek nie przetrwa.

Zanim odpowiedział, wpatrywał się we mnie długo w milczeniu.

- Nie można tego powiedzieć bezboleśnie, więc powiem to wprost. Wiesz, co robiłem, kiedy leciałaś tu z Rochester? Rabowałem forszę z bronią w rękę! I cholernie niewiele brakowało, a zabiłbym jednego gościa. Czy z właśnie takim mężczyzną chcesz spędzić resztę swojego życia, Georgie? Nawet jeśli tak ci się wydaje, to przecież zasługujesz na kogoś lepszego. Nie mogę ci niczego dać, kochanie. Nie jestem dumny z tego, kim jestem, ale te dupki nie zostawiły mi wyboru. Żaden z nich nie pozwoli mi uczciwie zarabiać na życie!

Nie obchodziło mnie to, byłam wtedy zbyt zakochana, żeby wymazać swoje uczucia. On jakoś z tego wybrnie. Wszystko będzie jak dawniej - myślałam.

Tej nocy kolejka przed klubem Copacabana była dłuższa niż zwykle. Kiedy bramkarz nas zauważył, zaprowadził nas przez boczne wejście i kuchnię do naszego stolika. Kelnerzy z szacunkiem pozdrawiali Frankiego, kiedy z ciężkimi tacami przechodzili obok nas. Zanim bramkarz odszedł, Frankie dyskretnie wetknął mu w dłoń pięćdziesięciodolarowy banknot. Na kilka minut przed swoim wyjściem na scenę przysiadł się do nas Jerry Vale.

- Zaśpiewaj ulubioną piosenkę mojej dziewczyny, Jerr - polecił mi Frankie, kiedy zapowiadano występ.

Przez chwilę to znów był stary Frankie, ale im więcej whisky piliśmy, tym bardziej odległy się stawał. Miałam nadzieję, że wkrótce znów stanie się sobą.

Zadzwoiłam do swojego agenta i powiedziałam mu, że wróciłam. Szybko wdrożyłam się w nowojorską rutynę - całymi dniami biegałam z castingu na casting, taszcząc wszędzie portfolio.

Po strzelaninie Susie Q pojechała do Kalifornii zobaczyć się z Ralphem, który stacjonował tam w bazie wojskowej. Uciekli stamtąd razem i Susie już nigdy nie wróciła do Nowego Jorku. Linda Sikoreczka spotykała się wówczas z jakimś bogatym facetem i zamieszkała u niego na czas tego zamieszania. Stwierdziła, że lubi, kiedy ktoś się nią opiekuje, i wprowadziła się do niego już na stałe. Zostałam sama. Wszystko się tak drastycznie zmieniło.

Zatrzymałam nasze mieszkanie, ale większość czasu spędzałam z Frankiem. On sam bardzo się zmienił. Nie było już Sundowner, a z nim zniknął gdzieś ten imprezowy chłopak, w którym się zakochałam. Frankie patrzył teraz na życie z innej perspektywy. Wciąż się miotał, mierząc się z prawdą o swoim życiu. Mówił, że mam przed sobą świetlaną przyszłość, i chciał, żebym spróbowała wszystkich tych cudownych rzeczy, które na pewno na mnie czekają.

Patrząc wstecz, myślę, że wymagało to od niego dużo siły, żeby postąpić w sposób, który uważał za honorowy. Wtedy tego nie widziałam. Myślałam, że to ja nie byłam wystarczająco dobra. Nie rozumiałam, że chronił mnie przed zbyt mrocznym życiem. Wciąż powtarzał, że nie jest dla mnie odpowiednim mężczyzną.

Nadal śmialiśmy się i robiliśmy niemądre rzeczy, weszliśmy na przykład na szczyt Empire State Building i skręcaliśmy się ze śmiechu, kiedy usiłowałam go namówić, żeby spróbował trafić dwudziestopięciocentówką w czubek głowy jakiejś staruszki.

- Jeśli zaczniemy bombardować staruszki z tego miejsca, to udowodnią nam morderstwo z premedytacją. Trzymajmy się lepiej bombardowań z diabelskiego młyna.

Kiedy orientował się, że ulega emocjom, wycofywał się. Wiedziałam, że chce się ode mnie zdystansować, ale jednocześnie czułam, że za tą fasadą kryje się prawdziwa miłość. I dlatego nie zamierzałam odpuszczać.

Po kilku miesiącach tych psychicznych tortur zdecydowałam się wrócić do Rochester, mając nadzieję, że Frankie zatęskni za mną i poprosi mnie, żebym wróciła.

- Wyjeżdżam do domu, Frankie - wypaliłam, licząc na jakąś pozytywną reakcję.

Patrzył na mnie w ciszy pełnej smutku. Ostatecznie przecież właśnie tego chciał, ale nie mógł się zmusić, żeby doprowadzić sprawę do końca.

- Chyba oboje wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie - powiedział wreszcie.

Kiedy się obejmowaliśmy, łzy płynęły nam po twarzach.

- Naprawdę cię kocham, Mała Georgie - powiedział, tuląc mnie mocno i opierając czoło na moim czole.

- Wiem - odpowiedziałam, czując, że moje serce zostało złamane. - Ale potrzebuję całego ciebie, Frankie.

Następnego dnia Frankie pożyczył samochód od kuzyna i zawiózł mnie na lotnisko. Nie chcąc stracić ani jednej z naszych ostatnich wspólnych minut, czekałam, aż wszyscy inni pasażerowie wejdą na pokład. Serce biło mi szybko, kiedy usłyszałam komunikat:

- Ostatnie wezwanie do wejścia na pokład dla pasażerów lotu numer 67 do Rochester.

Próbując zachowywać się jak twardziel, Frankie uściśnął moją dłoń i powiedział, żebym wróciła do życia, które prowadziłam, zanim się poznaliśmy. Walcząc ze łzami, pocałowaliśmy się raz jeszcze i odeszłam długim, wąskim pasażem. Zanim zniknęłam w samolocie, odwróciłam się raz jeszcze. Widok jego twarzy był jak ukłucie prosto w serce i nie potrafiłam już dłużej powstrzymać łez.

- Do zobaczenia, mała. Kiedyś - powiedział, siląc się na uśmiech.

Choć wcale nie byłam tak długo poza Rochester, od tej niewinnej dziewczynki, która całkiem niedawno wsiadła do pociągu, dzieliły mnie lata świetlne. Jakby minęła wieczność. Z całych sił starałam się dostosować.

Nowy Jork był miastem na innej planecie. A Rochester było jak powracający koszmar. Nic się tu nie zmieniło. Osiem miesięcy temu zostałam zgwałcona, ale dla mieszkańców miasteczka było tak, jakby to zdarzyło się wczoraj. Nie dość, że miałam złamane serce z powodu nieudanego związku, to musiałam na dodatek znosić prymitywne plotki na swój temat. Popadłam w głęboką depresję.

Wchodząc do drogerii Woods, zauważyłam, że ludzie przyglądają mi się i szepczą. Kiedy dostrzegali, że na nich patrzę, milkli. Umieję odróżnić spojrzenia pełne podziwu od spojrzeń plotkarzy. To były te złośliwe. Spojrzenia ludzi, którzy najpierw uśmiechną się do ciebie, a potem spalą cię na stosie na rynku.

Moja siostra Sharon z trudem radziła sobie z plotkami, które pojawiły się po gwałcie. Może tylko tak mi się wydawało, czułam jednak, że w jej oczach byłam odpowiedzialna za to, czemu ona musiała stawiać czoła.

Sharon kochała to miasto pomimo całej jego brzydoty. Jeśli w myślach kiedykolwiek oddalała się od domu, to tylko po to, żeby umocnić się w poczuciu, że chce żyć właśnie tutaj. Ale te ściany, które strzegły jej dobrego samopoczucia, to te same ściany, które sprawiały, że ja desperacko pragnęłam ucieczki z tego miejsca.

Po raz kolejny spotkało mnie to, przed czym broniłam się od najmłodszych lat - tyle

tylko że teraz zaczynałam przekonywać samą siebie, że w tych plotkach może kryć się ziarno prawdy. Nie byłam już nieświadomym, niewinnym dzieckiem, jak wtedy kiedy po raz pierwszy mówili mi te wszystkie okrutne rzeczy. Może mieli rację. Może dlatego Frankie mnie nie chciał. Może już nikt nigdy mnie nie zechce. Może już nie byłam wystarczająco dobra.

Wciąż szukałam przyjaźni w Rochester tam, gdzie byłam akceptowana, z dala od szeptów małego miasteczka. Podejrzani ludzie z półświatka stali się moimi przyjaciółmi, bo otworzyli przede mną drzwi - i pozwolili mi wejść. Ale nawet oni nie byli w stanie złagodzić mojej depresji.

Przestałam jeść i zaczęłam dużo spać. Stawianie czoła tak długim dniom robiło się niemal nie do zniesienia. Zastanawiałam się, jak ze sobą skończyć, ale z drugiej strony to tylko pozwoliłoby im wygrać, prawda? Pisałam listy do Toma, w których opisywałam swój niepokój związany z tym, czego doświadczałam. Odpisał, wyznając mi swoją miłość i przeprasząc, że nie może być przy mnie, żeby mnie pocieszyć. Cokolwiek by napisał, nic nie było w stanie podnieść mnie na duchu. Rodzice podejrzewali, że mogę mieć myśli samobójcze. Obserwowali, jak gwałtownie pograżam się w głębokiej depresji. Próbowali robić, co tylko w ich mocy, żeby mi pomóc, ale nic nie działało.

W pewną szarą grudniową sobotę dzwonek do drzwi wyrwał mnie z ciężkiego snu. Spojrzałam na zegar stojący przy łóżku. Była pierwsza po południu. Wciąż skacowana po wczorajszej nocy w Living Room, we flanelowej koszuli nocnej, niepewnym krokiem zesłam po schodach. Przecierając zapuchnięte od snu oczy, otworzyłam drzwi. Ku mojemu zdziwieniu stał za nimi Tom, bardzo przystojny w swoim wojskowym mundurze.

Wojenne przeżycia nie zahartowały jego chłopięcej twarzy. Gęste czarne włosy, które zazwyczaj układały się w miękkie fale, były teraz krótkie, co tylko podkreślało piękne rysy.

- Tom, co tutaj robisz? - stałam zdumiona, nie wierząc własnym oczom.
- Wróciłem do domu, żeby się z tobą ożenić i zabrać cię od tego wszystkiego.
- Co? Nie mogę uwierzyć. Jak...
- Wpuścisz mnie czy mam tu sobie odmrozić tyłek?

Przygarnął mnie swoimi muskularnymi ramionami i pocałował namiętnie. Wciąż osłupiała nie wiedziałam, jak zareagować, ale czułam się niezwykle pewnie i bezpiecznie w jego ramionach. Zapomniałam już, jaki jest przystojny. Łagodne sarnie oczy mówiły wszystko o jego uczuciach do mnie.

- Wyjdź za mnie, Georgia - powiedział, patrząc mi głęboko w oczy.
- Eee... Kiedy?

Sploszona odwróciłam wzrok, a moje serce zaczęło bić gwałtownie, targane sprzecznymi emocjami. Wiedziałam, że go nie kocham. Jak mogłabym go kochać? Przecież kochałam Frankiego. Ale Frankie mnie nie chciał. Czy ktokolwiek mnie zechce? - pomyślałam.

- Cóż, mam tylko dwa tygodnie.

- Ja... To jest takie...

- Po prostu się zgódź - powiedział, nie rozumiejąc, czemu się waham.

Nie wiedział nic o moim prawdziwym życiu w Nowym Jorku. Musiałam porozmawiać z Frankiem. Musiałam usłyszeć, jak mówi, że mnie nie chce. Nie mogłam dać odpowiedzi Tomowi, dopóki nie wiedziałam tego na pewno.

- Nie mamy zbyt wiele czasu, Georgia - powiedział Tom, ponownie przyciągając mnie do siebie. - Chcę cię chronić i kochać, kotku. I tak mieliśmy zamiar się pobrać po moim powrocie, więc dlaczego nie teraz?

- Daj mi jeden dzień, żebym mogła to przemyśleć.

Tom nie dostrzegł niczego dziwnego w mojej reakcji. Wyjaśnił mi, że pokazał listy ode mnie swojemu dowódcy, a ten dał mu urlop okolicznościowy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pograżyłam się w depresji, ale według Toma jego przełożeni uznali mój stan psychiczny za wystarczająco poważny, żeby udzielić mu przepustki.

Tej nocy zadzwoniłam do Frankiego. Nadal często rozmawialiśmy, chociaż jego styl życia się nie zmienił. Przyszłość z nim nie wyglądała obiecująco, jednak wciąż nie straciłam nadziei.

- Cześć, Frankie - powiedziałam, nie wiedząc, jak zacząć.

- Cześć, mała.

- Frankie, Tom wrócił.

- Postrzelili go?

- Nie, wrócił, żeby... żeby się ze mną ożenić.

Czas mijał, a on milczał. Słyszałam jedynie odległe zawodzenie syren na ulicach. W końcu Frankie się odezwał:

- Cóż... Może tak będzie lepiej, kotku.

Oboje milczeliśmy. Wyobraziłam sobie Frankiego wyglądającego przez okno, przysłuchującego się, jak grudniowy lodowaty wiatr przepływa przez kanion budynków. W tej ciszy niemal czułam głęboki smutek wypełniający jego serce. Leżałam na łóżku, wpatrując się w zdjęcie zrobione któregoś wieczoru w Copacabana, i zastanawiałam się, dlaczego to wszystko się rozpadło.

- Frankie, kochasz mnie?

- Maleńka... Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek kogoś kochałem. Nie, to nieprawda. Zanim cię poznałem, nigdy nie byłem zakochany, ale Georgia, jakie życie czeka cię ze mną? Nigdy nie potrafiłem dokładnie ci tego wyjaśnić, bo o wielu rzeczach nie mogę mówić, ale w tej sprawie musisz mi zaufać, rozumiesz? Wyjdź za niego, kotku. Miej dzieci, bądź szczęśliwa. Zawsze będę cię kochał. Nikt nam nie odbierze naszych wspólnych chwil.

- Frankie, powiedz mi coś, tylko szczerze. Czy to ma coś wspólnego z tym, że nie byłam dziewicą, kiedy się poznaliśmy?

- Daj spokój, Mała Georgie, przestaniesz z tym wreszcie? To nie ma nic wspólnego z tym, co o nas myślę. Ludzie w twoim mieście naprawdę namieszali ci w głowie. Chodzi o to, na co zasługujesz w życiu. I jestem pewien jak diabli, że nie na to. Teraz możesz tego nie widzieć, ale pewnego dnia zrozumiesz. Mnie też jest ciężko pozwolić ci odejść, ale muszę to zrobić.

- Nie rozumiem tego, Frankie. Jak możesz kazać mi wyjść za mąż, skoro mówisz, że mnie kochasz? Musi być inny powód.

- Robię to nie dlatego, że cię nie kocham, maleńka. Robię to właśnie dlatego, że cię kocham. Nie rozumiesz tego? - powiedział przygnębionym tonem. - Bardzo mi to utrudniasz, Georgia. A ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa.

Cztery dni później sędzia udzielił ślubu mnie i Tomowi. Pojechaliśmy do ośrodka wypoczynkowego dla nowożeńców w Poco-nos - usytuowanego w lesie, z romantyczną atmosferą, idealnego dla świeżo upieczonych małżonków. W każdym pokoju była wanna w kształcie serca i butelka taniego szampana.

Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam zakochane pary tuż po ślubie. Ten widok mnie przygnębiał. Patrząc na nie, uświadomiłam sobie, że wyszłam za mąż z niewłaściwych powodów. Kochałam Toma, ale w inny sposób, niż mi się kiedyś wydawało. Dzięki taniemu szampanowi przetrwałam jakoś tamten tydzień i pogodziłam się z tym, że muszę to znieść. Pomyślałam, że może wszystko się jeszcze ułoży.

Moi rodzice zaplanowali huczne wesele po naszym powrocie z Poconos. Zdumiewające, że udało im się załatwić tyle rzeczy w tak krótkim czasie. Ponownie wzięliśmy ślub - w kościele, z należytą oprawą. Przyjęcie weselne odbyło się w Braemar Country Club, czyli w ośrodku, który prowadzili moi rodzice. Mama zajęła się gotowaniem - często urządzała wielkie przyjęcia. Z pomocą moich ciotek wszystko udało się wyśmienicie.

Zarówno ojciec, jak i matka cieszyli się z mojego ślubu. Widzieli mnie pograżającą się w depresji i myśleli, że małżeństwo pomoże mi się z tego otrząsnąć.

Dwa dni po drugiej ceremonii Tom wrócił do Wietnamu. Miesiąc po jego wyjeździe odkryłam, że jestem w ciąży. Tylko tego mi brakowało... Plotkarze mieli używanie.

Sammy G, obładowany zakupami, zatrzymywał się koło mojego nowego mieszkania na Empire Boulevard w Webster przynajmniej raz w tygodniu. Przedmieścia Webster były oddalone od East Rochester tylko o piętnaście minut, ale moi rodzice i tak uważali, że to stanowczo za daleko. Matka była tak podekscytowana perspektywą posiadania wnuka, że z trudem powściągała emocje. Chciałam pracować najdłużej, jak to możliwe, dopóki moja ciąża nie stanie się widoczna, ale w szóstym miesiącu musiałam skończyć. Spędzałam czas na odwiedzinach rodziny w East Rochester. Sharon często do mnie wpadała, co było prawdziwym dowodem miłości. Opuszczenie East Rochester było dla niej jak opuszczenie kraju.

- Sammy, radzę sobie, naprawdę. Nie musisz mi kupować jedzenia. Poza tym i tak jestem już gruba!

- Cicho. Otwórz cannoli i zaparz kawę. To miejsce wygląda jak magazyn - powiedział, przyglądając się moim nowym ultranowoczesnym meblom.

Odkąd nie mogłam już kupować sobie ubrań, opróżniałam swoje konto, wydając wszystko na mieszkanie, meble i nowy samochód. Kiedy pieniądze przestały wpływać, zostałam ze stu dwudziestoma dwoma dolarami miesięcznie, które rząd przyznał żonom żołnierzy.

- Dlaczego nie zajmiesz się dekorowaniem wnętrza? Masz do tego oko, dzieciaku - zapytał Sammy, dotykając jednego z kilku stojaków zrobionych z kryształowych kul, które oddzielały salon od jadalni.

- To, czego naprawdę chcę, to iść do college'u, Sammy. Zdobyć porządne wykształcenie.

Upił łyk kawy.

- Ech, po co ci to? Masz dużo życiowego sprytu. Takiej wiedzy nie da się kupić. Poza tym, jeśli wsadysz nos w książki, nie będziesz już chciała się z nami zadawać. Nie musisz być mądra, żeby być modelką, tylko piękna, a to nie sprawia tobie żadnego problemu - powiedział, stawiając filiżankę na stole.

- "Nie sprawia ci problemu", a nie „nie sprawia tobie problemu”.

- Widzisz? Właśnie o tym mówię. Wykształcisz się i zanim się zorientujesz, za cholere nie zrozumie nic z tego, co powiesz.

- Sam, myślę, że nie musisz się o to martwić - powiedziałam, spoglądając w dół na swój sterczący brzuch.

- To będzie dziewczynka. Czuję to - odpowiedział, delikatnie kładąc na nim rękę.

- Też mi się tak wydaje.

- Boże, pomóż mi, jeśli będzie podobna do matki. Już z tobą mam wystarczająco dużo problemów. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to dwóch takich. - Zamilkł i położył swoją dłoń na mojej. Wpatrując się we mnie intensywnie, ostrożnie zapytał: - Jesteś szczęśliwa?

Nie, nie byłam szczęśliwa. Było mi źle. Utknęłam w nudnym życiu, w nudnym mieście. Nienawidziłam Rochester. Teraz, kiedy wiedziałam, że można żyć inaczej, nie wyobrażałam sobie, że będę skazana na taką egzystencję do końca swoich dni.

Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, zadzwonił telefon, co uratowało mnie od kłamstwa. Najwyraźniej Sammy powiedział komuś, gdzie jest - telefon był do niego. Kiedy Sam rozmawiał, ja zajęłam się rozpakowywaniem zakupów i myślałam o swojej rozmowie z Tomem w trakcie naszego miesiąca miodowego. Planował wrócić do Kodaka i pracować w fabryce.

Myśl o tym, że utknę w Rochester na resztę życia, przygnębiała mnie, a ciąża była gwoździem do mojej trumny. Nie było ucieczki.

Po odłożeniu słuchawki Sam stał się bardzo poważny.

- Chcę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Jasne, Sam. Czego potrzebujesz?

- Często wpadasz do Nicky'ego, prawda?

Nicky był właścicielem lokalu Overlook - baru połączonego z restauracją - usytuowanego niedaleko mojego mieszkania. Było to jedno z wielu miejsc, w których spotykali się gangsterzy z całego miasta.

- Tak, to prawie drzwi obok. I mają świetne hamburgery. Często jem tam lunch, dlaczego pytasz?

- Widziałaś tam kiedyś Tommy'ego DiDio?

Tommy DiDio był jednym z chłopców Valentiego, obecnego bossa mafii w Rochester.

- Czasami go widuję. Zazwyczaj pojawia się tam w nocy. Widziałam go parę razy, kiedy wpadałam po swoje zamówienie. Mają tam też świetne zapiekane ziti, próbowałeś kiedyś?

Zignorował pytanie. Odsłaniając świetliście żółte zasłony, wyrżał przez szerokie okno mojego mieszkania.

- Masz stąd doskonały widok na Overlook.

- Taa. Widziałam już kilka paskudnych bójek przez to okno.

- Jeśli kiedyś zobaczysz DiDio, przespaceruj się tam jak zwykle i miej oczy i uszy

szeroko otwarte. Chcę wiedzieć, z kim się spotyka. A jeśli uda ci się chyłkiem podejść bliżej, dowiedz się, o czym rozmawiają.

- Chyłkiem? Ładne słowo.

- Mówię poważnie, Georgia. Potrzebuję pomocy.

Sammy nigdy wcześniej nie prosił mnie o taką przysługę. Wiedziałam, że to coś ważnego, ale czułam się z tym nieswojo.

- Ten facet przyprawia mnie o gęsią skórkę, Sammy. Nienawidzę, kiedy patrzy na mnie tym swoim obłąkanym spojrzeniem. Na sam jego widok robi mi się zimno. Wygląda jak ktoś, kto mógłby dźgnąć własną matkę, a potem oglądać mecz futbolowy, podczas gdy ona wykrwawiałaby się na śmierć. Unikam go i on o tym wie. To może wzbudzić jego podejrzania, jeśli nagle usiądę koło niego. Poza tym, jak mam skradać się chyłkiem z tym brzuchem?

- A co ci wcześniej mówiłem? Jesteś sprytna, poradzisz sobie. Georgia... to naprawdę ważne.

Trzy dni później zauważyłam samochód Tommy'ego DiDio na parkingu przed Overlook. Dotoczyłam się do lokalu i usiadłam przy stole znajdującym się najbliżej baru. Zamówiłam podwójnego cheeseburgera, frytki i krążki cebulowe. Do tego wszystkiego dostałam jeszcze czekoladowego shake'a, którego Nicky dorzucił na koszt firmy. Napój był tak gęsty, że czułam, jak moja twarz robi się purpurowa, kiedy próbowałam sączyć go przez słomkę. W końcu poddałam się i użyłam łyżki. Do porodu miałam jeszcze kilka miesięcy, ale już przybrałam na wadze blisko osiem-naście kilogramów. Nicky z rozbawieniem obserwował, jak z zapalem faszerowałam się jedzeniem. Mój apetyt był ogromny - ja również.

Usłyszałam tylko fragmenty rozmowy, ale, jak się okazało, były tam pewne kluczowe słowa, których potrzebował Sammy. Coś o Franku Valentim i chłopakach w Utica, coś o nierozliczonych pieniądzach. Nic z tego nie miało dla mnie sensu, ale kiedy powtórzyłam to Sammy'emu, wyglądał na zmartwionego. Wyciągnął kopertę z kieszeni i wręczył mi ją. W środku było pięć szeleszczących nowością studolarowych banknotów.

- Po co mi to?

- Kup coś dla dziecka lub odłóż na studia, na które nigdy nie pójdziesz.

Pocałował mnie w czoło i wyszedł.

W październiku 1969 roku, kilka miesięcy po moich dziewiętnastych urodzinach, na świat przyszła moja córka, Toni. Tom wrócił z Wietnamu na krótko przed porodem. Mknąc z prędkością 130 kilometrów na godzinę, zawiózł mnie do szpitala o trzeciej nad ranem. Przez

całą drogę przeklinałam go za wolną jazdę. Niecałą godzinę po naszym przyjeździe Toni przyszyła na świat.

Wszyscy mówili, że jest piękna. Mnie przypominała Pana Magoo. Ale z czasem wyładniała. Głowę miała pokrytą smolście czarnymi włosami, które wypadły i odrosły w kolorze platyny, jednak jej brwi i gęste długie rzęsy pozostały czarne. To było najdziwniejsze. W ciągu miesiąca stała się po prostu śliczna.

Ponieważ sama byłam dzieckiem, nie traktowałam macierzyństwa jako czegoś naturalnego. Gdybym była bardziej dojrzała, pewnie inaczej odbierałabym tę sytuację. Ale w miarę jak Toni dorastała, budził się mój instynkt macierzyński. Dzieci potrafią chwycić za serce, czy jest się na to gotowym, czy nie.

Nawet mając tak cudowne dziecko, wciąż czułam się uwięziona i okradziona z młodości. Staralam się walczyć z egoistycznymi myślami, ale przecież cierpiałam z powodu utraty życia, które dla siebie planowałam. Przepadła mi trasa promocyjna, w którą miałam wyruszyć jako Dziewczyna Kodaka. Zanim plakat się ukazał, byłam już tak gruba, że mogłabym stanąć tuż obok swojej sylwetki wyciętej z kartonu i nikt by mnie nie rozpoznał. Wszyscy mówili, że emanuje ze mnie blask przyszłej matki, ale prawda była taka, że przypominałam beczkę. Nie przeszkadzało mi to specjalnie - właściwie to uwielbiałam być w ciąży.

Małżeństwo to inna historia. Nie potrafiłam się przyzwyczaić do nijakości rutyny. Jedyna rzecz, która podobała mi się w byciu mężatką, to uwolnienie się od zalotów innych mężczyzn. Nie żebym nie potrafiła sobie z tym poradzić, po prostu wyrosłam z tego.

Do pracy wróciłam sześć dni po porodzie. Ponieważ wciąż ważyłam trochę za dużo, fotografowano mnie tylko od ramion w górę, ale po niedługim czasie pracowałam już tyle, ile przed zajściem w ciążę. Toni również pracowała. Kodak uwielbiał zdjęcia mamy z dzieckiem. Zrobiliśmy razem reklamę domu towarowego i wiele innych zleceń. W mgnieniu oka i migawki Toni stała się najczęściej fotografowanym dzieckiem w Rochester.

Dwa miesiące po porodzie dostałam angaż w Nowym Jorku. Przez cały ten czas z niecierpliwością czekałam, żeby wyrwać się z Rochester i znów zasmakować nowojorskiego życia, zwłaszcza o tej porze roku. Uwielbiałam Piątą Aleję w okresie Bożego Narodzenia: święty mikołaj z dzwonkiem na każdym rogu, sklepowe witryny pięknie przystrojone świątecznymi dekoracjami - to wszystko wprawiało mnie w odpowiedni nastrój.

W czasie mojej nieobecności Tom postanowił pojechać do brata mieszkającego poza miastem. Toni nie stanowiła żadnego problemu - moja matka bardzo chętnie zajmowała się nią, kiedy ja pracowałam. Problemem było wyciągnięcie Toni z objęć babci, kiedy już się

w nich znalazła.

Przypadkiem wspomniałam o tej pracy Sammy'emu G w trakcie lunchu, który jedliśmy w niedrożej restauracji w pobliżu mojego mieszkania. Sam wydawał się nieobecny, wyraźnie coś go trapiło. Starał się udawać zainteresowanie.

- Naprawdę? - mruknął, patrząc posępnie nad swoją filiżanką kawy na rzędy pokrytych śniegiem samochodów zaparkowanych przed restauracją. Po chwili dodał jednak z nieco większym entuzjazmem: - To może być dobry moment. Mogłabyś coś dla mnie zrobić, kiedy tam będziesz, Georgia. Dasz radę wyjechać dzień wcześniej?

- Czemu nie - odpowiedziałam.

- Dobrze. Umówię cię na spotkanie. Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Będziesz musiała osobiście spotkać się z tymi facetami i dostarczyć im wiadomość. Zrobię dla ciebie rezerwacje i załatwię kogoś, kto odbierze cię z lotniska.

- Nie musisz, moje studio może się tym zająć.

- Powiedziałem, że to zrobię - odparł stanowczo. - Georgia, powierzam ci bardzo ważną informację. Nikt, ale to nikt, nie może się o tym dowiedzieć, rozumiesz? Wszyscy mają wiedzieć tylko tyle, że jedziesz do Nowego Jorku do pracy. Nie ufaj nikomu.

- Oczywiście, że rozumiem. Po co w ogóle o to pytasz?

- Jeśli wymknie ci się chociaż słowo, wyłowią moje zwłoki z Genesee. Powierzam ci swoje życie...

- W porządku. Nie martw się - zapewniłam go.

Do tego świata dopuszcza się niewiele kobiet, dlatego byłam niezdrowo zafascynowana tym, że ktoś ufa mi do tego stopnia. Na swój sposób odczuwałam strach, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogłabym znaleźć się w niebezpieczeństwie. Byłam zbyt pochłonięta intrygą.

Na lotnisku czekał na mnie mężczyzna trzymający tabliczkę z moim nazwiskiem. Zaprowadził mnie do czarnej limuzyny. Staralam się ukryć podniecenie. Nigdy wcześniej nie jechałam limuzyną. Ten wóz miał w sobie moc. Szofer otworzył drzwi, a ja wślizgnęłam się do środka. Siedzący wewnątrz szczupły mężczyzna pochylił się i wyciągnął do mnie dłoń, na której połyskiwał diament. Na rękawie białej wykrochmalonej koszuli widniały wyhaftowane inicjały: S.J.R. Pasażer limuzyny był jeszcze bardziej nieskazitelny niż Sammy G: żaden kosmyk włosów nie pozostawał w nieładzie, a na niewątpliwie kosztownym europejskim garniturze nie było ani jednego zagniecenia.

- Witaj. Jestem Salvatore Reale - powiedział beznamiętnie.

- Ja...

- Wiem, kim jesteś - przerwał mi swoim niskim, chrapliwym głosem.

Przyciemnione szyby limuzyny i ciemne szkła jego przeciwsłonecznych okularów sprawiały, że nie byłam w stanie dostrzec jego oczu. Siedzieliśmy w ciszy, a on uważnie mi się przyglądał. To ukryte w półmroku spojrzenie niepokoiło mnie.

- Nazywali cię kiedyś Małą Georgie? - zapytał wreszcie, przerywając milczenie.

- Tak, kiedy tu mieszkałam - potwierdziłam.

- Nie pracowałaś przypadkiem w Sundowner na Dwudziestej Trzeciej Ulicy?

- Tak...

- No więc wszystko się zgadza, jesteś dziewczyną Franka Contiego. Nigdy nie zapominam twarzy.

- Byłam. Teraz jestem mężatką - odparłam.

- Tak, tak, teraz sobie przypominam. To ty uratowałaś tamtego gnojka z Harlemu przed tym, co mu się należało. Ale mniejsza z tym, i tak się doigrał - stwierdził Salvatore, powściągając uśmiech.

- Co się z nim stało?

- Któręś nocy zmarł z przyczyn naturalnych. Jego serce przestało bić po tym, jak dwóch gości zakradło się do jego pokoju i podziurawiło je nożami - powiedział bez cienia współczucia. - Ale pamiętam, co się wtedy o tobie mówiło. O tym, jak tamtego wieczoru poradziłaś sobie za kierownicą. Masz opinię całkiem niezłego kierowcy.

- Naprawdę? Nie zarabiam tym na życie - powiedziałam. Wciąż czułam się nieswojo.

- No to powinnaś się nad tym zastanowić - odpowiedział, szukając na mojej twarzy akceptacji.

Musiał zauważyć, że w moich oczach ten pomysł zaczął nabierać kształtów, tylko ja nie chciałam się do tego przyznać.

- Dokąd jedziemy? - spytałam.

- Dowiesz się, kiedy dotrzemy na miejsce - odparł z kamienną twarzą.

Nie zadawałam więcej pytań i skierowałam wzrok prosto przed siebie, na pokrytą smugami deszczu przednią szybę; samochód sunął nieśpiesznie przez zatłoczone ulice, a ja zastanawiałam się, jaka ponura i kręta droga mnie czeka.

Elegancka długa limuzyna spokojnie zatrzymała się przecnicę od celu naszej podróży: włoskiej restauracji gdzieś w Brooklynie. W dyskretnym narożniku z tyłu sali czekało na nas czterech mężczyzn. Lokal nie okazał się tak elegancki, jak się tego spodziewałam - przypominał bardziej zwyczajną knajpkę dla ludzi z sąsiedztwa.

Gdy podeszłam tam z Salvatorem, oczekujący przyglądali mi się nieufnie.

Rozpoznałam wśród nich siwowłosego mężczyznę o zimnych, przenikliwych oczach - spotkałam go kiedyś podczas jednego z wypadów z Frankiem, teraz jednak doszłam do wniosku, że rozsądniej będzie o tym nie wspominać. Nie znałam jego nazwiska, ale wiedziałam, że jest kimś ważnym. Towarzyszył mu krępy facet w ciemnozielonym pulowerze, który obrzucił mnie nonszalanckim spojrzeniem, dłubiąc jednocześnie wykałaczką w zębach. Mimo że wnętrze restauracji nie było dobrze oświetlone, pozbawione wyrazu twarze dwóch pozostałych mężczyzn były osłonięte ciemnymi przeciwsłonecznymi okularami. Nie wiedziałam, co o nich sądzić.

Salvatore Reale przedstawił mnie jako Małą Georgie, była dziewczynę Franka Contiego. Siwowłosey uniósł brwi i skinął głową na znak, że wie, o kogo chodzi. Najwyraźniej świadomość, że nie ma do czynienia z kimś zupełnie obcym, uspokoiła go na tyle, że zdecydował się odezwać.

- Rozumiem, że masz dla mnie wiadomość? - zapytał, utkwivszy we mnie swój stalowy wzrok.

- Tak - odparłam i wręczyłam mu zaklejoną kopertę z listem.

Wziął ją do ręki i podejrzliwie obejrzał. Wyglądało na to, że nie ma pewności, czy nie zapoznałam się z treścią listu. Wreszcie otworzył kopertę i zaczął czytać; wiercił się przy tym na krześle, wyraźnie wzburzony. Gdy przebiegał oczami po kartce papieru, kilkakrotnie uniósł brwi. Niewątpliwie nie był zadowolony z wiadomości. Podał list jednemu z facetów w ciemnych okularach i czekał na jego reakcję. Mężczyzna po chwili uniósł czarne jak smoła przeciwsłoneczne szkła i przyjrzał mi się z niedowierzaniem. Wzbudził tym moją ciekawość.

- Hej - odezwałam się - ja jestem tylko posłańcem. Nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi.

Gość w zielonym swetrze zaśmiał się krótko, ale szybko umilkł pod pełnym dezaprobaty spojrzeniem siwowłosego.

- Powiedz panu Gingello, że będzie musiał przedyskutować to z nami osobiście. Zorganizuję spotkanie w Utica w przyszłym tygodniu. Jak długo będziesz w Nowym Jorku?

- Kilka dni - odpowiedziałam.

- Skontaktujemy się z tobą w sprawie czasu i miejsca.

Spotkanie dobiegło końca. Salvatore Reale odwiózł mnie do hotelu taksówką. Później zrozumiałam, dlaczego zwolnił limuzynę. Wzbudzała zbyt duże zainteresowanie.

- Stary cię polubił, Georgia. To było widać.

- Który stary? Wszyscy tam byli starzy.

Salvatore zaśmiał się głośno, zdradzając się ze swoim pogodnym usposobieniem, którego nie okazywał w czasie przejażdżki limuzyną.

- Carlo Gambino. Ten z haczykowanym nosem i siwymi włosami.

- To był Carlo Gambino? - zapytałam. Byłam pod wielkim wrażeniem.

- We własnej osobie - odparł Salvatore, rozbawiony moją ignorancją. - Posłuchaj, w drodze z lotniska mówiłem poważnie. Masz styl, a twoje opanowanie mogłoby mi się przydać. Poza tym wszyscy twierdzą, że nieźle radzisz sobie za kółkiem. Jeśli jesteś zainteresowana zarobieniem prawdziwych pieniędzy, to może powinniśmy o tym pogadać.

Nigdy nie dowiedziałam się, jakie były następstwa tamtego spotkania we włoskiej restauracji. Ale następstwem mojej wyprawy do Nowego Jorku było oficjalne wprowadzenie mnie w działalność półświatka - to był początek mojego późniejszego zaangażowania. Zostałam obsadzona w roli, którą w taki czy inny sposób miałam grać w kolejnych latach życia.

Zacząłem się od niewinnych zleceń polegających na dostarczaniu wiadomości i przesyłek. W miarę jak moi zleceniodawcy przekonywali się do mnie, powierzali mi coraz poważniejsze zadania. Nie byłam już tylko naiwną smarkulą - stałam się naiwną smarkulą, której można było ufać.

Wciągnął mnie świat ciemnych interesów. Wrodzona skłonność do ryzyka spowodowała, że zanurzyłam się w nim, nie myśląc o konsekwencjach. Zasada numer jeden tego świata brzmiała: nigdy nie zadawaj pytań. W moich oczach przydawało mu to jedynie atrakcyjności. Żądza przygód sprawiała, że byłam gotowa gonić za nimi bez względu na to, dokąd mogło mnie to zaprowadzić - zwłaszcza jeśli dzięki temu mogłam wyrwać się z Rochester.

Z czasem zaczęłam wyjeżdżać do Nowego Jorku kilka razy w miesiącu - robiłam to pod pretekstem pracy modelki, zostawiając córkę pod opieką mojej matki. Wiele zleceń, które wykonywałam dla przestępczej rodziny Gambino, polegało na dostarczaniu lub odbieraniu pieniędzy z samolotów towarowych na lotnisku Johna F. Kennedy'ego. Jak się później dowiedziałam, chodziło o miliony dolarów. Wówczas nie miałam o niczym pojęcia ani nie zastanawiałam się nad takimi sprawami, ale dziś wiem, że tego rodzaju operacje były możliwe dzięki pomocy CIA. Amerykańskie władze otwierały na potrzeby mafii konta bankowe w Szwajcarii i w innych krajach, hojnie rewanżując się mafiosom za ich usługi - przy czym zapłaty nie zawsze dokonywano w formie pieniędzy.

Do moich obowiązków należało też obwożenie po mieście „chłopców z ferajny”, którzy zajmowali się, jak sami to określali, odbiorem należności. Na takim objeździe zarabiałam tyle samo co w ciągu całego dnia spędzonego w świetle lamp fotograficznych, a w dodatku moje nowe zajęcie było znacznie bardziej ekscytujące.

Co prawda nigdy nie wtajemniczono mnie w szczegóły, ale i tak miałam swoje podejrzenia. W końcu nadszedł dzień, w którym miałam poznać odpowiedzi na niezadane pytania. Zaparkowałam samochód za rogiem ulicy, obok placu budowy, jak zwykle zostawiając włączony silnik. W tym czasie moi dwaj pasażerowie poszli odebrać pieniądze. Przypuszczałam, że właśnie łamią komuś nogi albo zajmują się tym, co zazwyczaj robią w sytuacji, gdy ludzie nie oddają forsy pożyczonej od lichwiarzy.

W pewnej chwili spojrzałam w lusterko wsteczne i zauważyłam, że obaj mężczyźni pędzą w kierunku samochodu. Zdyszani otworzyli gwałtownie drzwi i zaczęli krzyżeć, żebym wcisnęła gaz do dechy. Naiwnie sądziłam, że może ludzi w budynku było więcej i musieli ratować się ucieczką, by uniknąć pobicia. Ale gdy tylko usłyszałam dźwięk syren, ta myśl szybko wywietrzała mi z głowy. Moi towarzysze wyciągnęli pistolety - na ten widok momentalnie poczułam potężny zastrzyk adrenaliny. Desperacja na ich twarzach nie pozostawiała złudzeń, że są gotowi pociągnąć za spust.

Gdyby przyznawano Oscara za wyczyny za kierownicą, tamtego dnia z pewnością bym go zdobyła. Pędziłam przez zatłoczone ulice, mknęłam po chodnikach i wciskałam się w odstępy pomiędzy samochodami, które były zbyt wąskie nawet dla rowerów - a przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Mój mózg rejestrował to wszystko tak, jakbym oglądała film w przyspieszonym tempie. Myślałam wyłącznie o tym, że muszę zwiększyć dystans między nami a gliniarzami, bo inaczej ktoś zginie. Wpadaliśmy z niebezpiecznie dużą prędkością w kolejne zakręty, pokonując je z piskiem opon, aż wreszcie na Pierwszej Alei straciliśmy z oczu błyskające czerwone światła. Skręciłam pośpiesznie w Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę, po czym pognałam w kierunku alei East End, a następnie zanurkowałam w niewielką uliczkę w pobliżu parku, gdzie przeczekaliśmy aż do momentu, gdy mogliśmy bezpiecznie wyjechać.

Dopiero wtedy miałam czas zastanowić się nad tym, co się wydarzyło. Poczulałam, że zaczyna mnie to przerastać. To była poważna gra, a ja doszłam do wniosku, że chyba już nie chcę brać w niej udziału.

Jeszcze tego samego wieczoru spotkaliśmy się z kilkoma innymi mężczyznami na zapleczu ponurego i obskurnego klubu nocnego. Wciąż byłam roztrzęsiona po rozboju, w którym wzięłam udział, za to wszyscy pozostali byli w wyśmienitych nastrojach. Wzniesli toast za mnie i za moją ucieczkę przed stróżami prawa, a następnie wręczyli mi kopertę wypchaną studolarowymi banknotami - nagrodę za dobrze wykonaną robotę. Przyjęłam trzy tysiące dolarów i pochwały, ale nie umiałam pozbyć się poczucia winy.

Oczywiście, do deprawacji zawsze w jakimś stopniu przyczynia się chciwość, jednak

w moim wypadku chodziło przede wszystkim o zaspokojenie głodu adrenaliny. Spędziłam całe życie, starając się osiągnąć ten upajający stan, to uczucie radosnego podniecenia płynące z wyzwania rzuconego śmierci. Dlaczego tak jest? Nie mam pojęcia. Ale wiem, że odkąd sięgam pamięcią, zawsze kusiło mnie niebezpieczeństwo i tajemnica tego, co nieodkryte.

Moje ponowne spotkanie z Frankiem było nieuniknione. Wystarczyło, żebym zajrzała do knajpki Bino's Tavern na rogu Drugiej Alei i Trzydziestej Ulicy. Pikantno-słodkawy zapach gotującego się tam sosu czuć było w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Mama Bina była tam, gdzie zwykle - w kuchni. Niska starsza kobieta o okrągłej, zatroskanej twarzy nosiła sukienkę z nadrukowanym kwiatowym wzorem, a jej ciało stanowiło dowód na to, że nie odmawia sobie przyjemności kosztowania własnych potraw. Każdy spożywany u Bina posiłek był dla mnie niczym wizyta w kuchni mojej własnej matki. Przywodził mi na myśl ciepło, jakie niezmiennie wokół siebie roztaczała. Przypominał intensywny smak tamtego świata. I poczucie bezpieczeństwa.

Przy barze urzędowali w komplecie znajomi chłopcy, przesiadujący na tych samych stołkach, na których widziałam ich po raz ostatni przed rokiem. Byli tam wszyscy - z wyjątkiem Frankiego. Wcześniej zdarzało nam się od czasu do czasu rozmawiać, ale od mojego ślubu nie widziałam się z nim ani razu.

- Hej, Ma, popatrz tylko, kto nas odwiedził. To Mała Georgie! Ugotuj jej ulubione macaroni. Nagotuj tyle, żeby starczyło dla wszystkich chłopaków. Będziemy świętować! - krzyknął wesoło Bino, zabierając się do łączenia stolików.

Bino był czystej krwi Włochem, choć z wyglądu przypominał raczej Skandynawa. Jasne włosy i cera nie są jednak wcale aż taką rzadkością wśród Włochów pochodzących z północnej Italii. Bino miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, łagodne niebieskie oczy i jasnobrązowe włosy. Był oddanym przyjacielem, ale nastąpienie mu na odcisk nie było dobrym pomysłem. Pod tą skromną powierzchnością i spokojnym usposobieniem skrywał się twardy gość, który nauczył się, jak walczyć o przetrwanie - tak jak i większość jego przyjaciół z sąsiedztwa.

Z kuchni wyszła uśmiechnięta promiennie Rosa; jej siwe włosy były zebrane w luźny kok. Idąc w moją stronę, wycierała dłonie w poplamiony fartuch.

- Bez ciebie nie jest tu już tak samo, bella - oświadczyła, całując mnie w policzki. - Urodziła ci się bambina, prawda?

- Tak, Rosa. Ma na imię Toni. Jest śliczna - odpowiedziałam.

- To tak jak jej mama. Toni... To dobre włoskie imię. Siadaj, a ja pójde coś dla ciebie ugotować. Jesteś za chuda.

Odwróciła się i skierowała swoje puszyste ciało do kuchni, po drodze uderzając jeszcze Bina w głowę łopatką.

- Przynieś no chleb i oliwki!

- Okej, Ma, idę już, idę. - Bino teatralnie przewrócił oczami i poszedł za matką do kuchni.

- Czy Frankie wie, że tu jesteś, Mała Georgie? - zapytał Flip.

Flip. Co za trafne imię. Zdecydowanie górowałam nad nim wzrostem, a przecież wcale nie jestem wysoka. Flip był niczym sobowtór Leo Gorceya ze starych filmów o dzieciakach z grupy Dead End Kids. Do idealnego podobieństwa brakowało mu tylko włożonej na bakier czapki.

- Nie, Flip. Pomyślałam, że zrobię mu niespodziankę.

- Powinien tu być lada moment - oznajmił, wyglądając przez zamglone okno.

- Co u niego?

- W porządku. Znasz Frankiego... Mówiąc szczerze, Georgia, trochę posmutniał, odkąd go zostawiłaś.

Frankie nonszalancko wmaszerował do środka, zanim zdążyłam zapytać Flipa, co miał na myśli. Oczy Frankiego rozbłysły, kiedy mnie zobaczył. Moje również.

- Mała Georgie? Co za niespodzianka, maleńka! Co robisz w mieście? - powiedział, rozpinając swoją wytartą skórzaną kurtkę.

- Miałam sesję zdjęciową.

- Na jak długo zostajesz?

- Wyjeżdżam dziś w nocy.

- Dzisiaj? Żartujesz. Dopiero przyjechałaś.

- Wiem, ale...

- Nie przyjmuję odmowy, mała. Nie możesz zaraz wyjechać. Idziemy dziś do Play Longue. Nasz ulubiony zespół wciąż tam gra. Flip zaśpiewa dla nas parę piosenek. Będzie jak za dawnych czasów.

Jedzenie podano jak rodzinny posiłek. Rosa wyszła z kuchni i taksowała wzrokiem każdy talerz.

- Mangia, mangia - zachęcała nas wszystkich do jedzenia. W pewnym momencie zaczęła rugać Frankiego: - Jak mogłeś pozwolić jej odejść? Co jest z tobą nie tak?

Pacnęła go w tył głowy

- A jak taką zatrzymać, Rosa? Oto jest pytanie! - odpowiedział Frankie, zasłaniając się przed kolejnym atakiem.

- Jesteś mężczyzną czy nie? Nie umiesz nic wymyślić? Ah, stonato! - odparowała i wymachując rękami, podreptała do kuchni.

Zupełnie jakby nic się nie zmieniło. W Play Longue siedziała cała paczka: Billy, Chippy, Flip, Tommy Red i, oczywiście, Vic, właściciel knajpy. Piliśmy i tańczyliśmy lindy hop do czwartej nad ranem. Nie śmiałam się tak, odkąd wyjechałam z Nowego Jorku rok temu. Wydawało mi się, że mogłabym cofnąć się w czasie i wrócić do punktu wyjścia, zaczynając życie na nowo w każdym z tych światów dokładnie w tym samym miejscu, w którym go opuściłam.

Wkrótce na podstawie swoich własnych doświadczeń uświadomiłam sobie, dlaczego dyskrecja jest najważniejszą rzeczą w przestępczym półświatku. Miałam teraz przed Frankiem podobne sekrety, jak kiedyś on przede mną. To wszystko układało się w logiczną całość.

Wróciłam do Rochester następnego dnia tylko po to, żeby być jeszcze bardziej sfrustrowaną własnym życiem. Zmęczona kłamstwem powiedziałam Tomowi o swoim wcześniejszym romansie z Frankiem.

- Tom, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku... Miałam romans - wypaliłam z nadzieją, że to zakończy małżeństwo, które nie miało żadnych widoków na przyszłość.

- Wiem, Georgia. Naprawdę myślisz, że jestem głupi? - powiedział spokojnie.

- Jeśli wiedziałeś, dlaczego nigdy nic nie powiedziałeś? - zapytałam zdumiona, że potrafił to ukrywać.

- Bo bałem się, że cię stracę - odpowiedział, patrząc na mnie smutno. - Spotkałaś się z Frankiem w Nowym Jorku w tym tygodniu?

- Skąd znasz jego imię? - zdziwiłam się.

- Znalazłem list, który do ciebie napisał. Nie jesteś zbyt dobra w zacieraniu śladów. Więc jak? Spotkałaś się z nim? - zapytał wciąż spokojny.

- Tak - odpowiedziałam, czując się winną.

- Przynajmniej jesteś szczerą - zamilkł i zaczął wpatrywać się w moją twarz. - Śledziłem cię, kiedy wyszłaś z hotelu... Wiem też, że wróciłaś sama. Czy to koniec twojego romansu?

- Byłeś w Nowym Jorku? - Zastanawiałam się przez chwilę, czy widział, gdzie pojechałam po przylocie. Ale uświadomiłam sobie, że nie mógł tego widzieć, bo to on podrzucił mnie na lotnisko.

- Georgia, bardzo cię kocham. Chcę o tym zapomnieć i spróbować naprawić nasze małżeństwo. Czy ty też chcesz spróbować? Proszę. Dla Toni.

Znów opowiedziałam o tym, co sprawiało, że byłam nieszczęśliwa, a on znów poszedł na ustępstwa. Wiedziałam, że nasze małżeństwo nie przetrwa, ale było mi tak żal Toma, że nie potrafiłam zranić go po raz kolejny. Przedkładając jego szczęście nad moje, wybraliśmy trwanie w kłamstwie. Chociaż Tom nigdy nie spotkał Frankiego, Frankie zawsze był niczym cień w jego podświadomości.

Życie z Tomem trudno było nazwać życiem. Nawet jeśli nie spotkałabym Frankiego, to i tak by to nie wypaliło. Nie potrafiłam siedzieć cały czas w domu, więc zaczęłam wychodzić w weekendy z moją przyjaciółką Susie i moją siostrą Sharon, zostawiając Toma zadowolonego przed telewizorem z Toni i z popcornem. Na szczęście Toni nie stwarzała problemów. Tom był troskliwym ojcem, ale mógł spokojnie zajmować się oglądaniem telewizji, ponieważ córeczka bawiła się cicho, nigdy mu nie przeszkadzając. Tom był naprawdę dobrym człowiekiem i kochałam go na swój sposób, ale nie byłam w nim zakochana. Chodziłam z przyjaciółmi na kręgle, grałam w karty - robiłam cokolwiek, byle tylko przerwać tę monotonię - ale to też mi się w końcu znudziło.

Zapłaciłam za naukę Toma w Instytucie Technologicznym w Rochester. Instytut w Rochester jest uważany za jedną z najlepszych szkół fotograficznych w kraju. Mój mąż wytrzymał sześć miesięcy, po czym rzucił szkołę. To utwierdziło mnie w przekonaniu o naszych ponurych perspektywach na przyszłość. Ambicja nie była jego mocną stroną. Jedyny raz wyjechaliśmy gdzieś razem, kiedy odwiedziliśmy jego rodzinę, którą zresztą bardzo polubiłam, szczególnie jego brata Babe'a i jego żonę Billie. Potrzebowałam więcej emocji, niż Tom mógł mi zapewnić. Byłam potwornie znudzona. Natomiast Tom był obrzydliwie zadowolony.

Moja córka nie miała nawet roku, kiedy stwierdziłam, że nie mogę żyć w taki sposób. To monotonne tempo doprowadzało mnie do szału. Życie musiało mieć coś więcej w zanadrzu niż to. Czułam się stłamszona, a chciałam się uczyć, poszerzać horyzonty. Byłam ciekawską kotką, ale mój kocur nie miał ochoty odkrywać niczego nowego. Miałam w sobie ducha przygody i dziki apetyt na wszystko, co było poza moim zasięgiem. Wiedziałam, że Tom nigdy się nie zmieni. Był zadowolony z siebie. Musiałam się wyrwać. Jednak złamanie jego serca nie było czymś, na co czekałam z niecierpliwością.

Kiedy Toni zasnęła, miałam dla siebie chwilę ciszy. Nalałam sobie filiżankę kawy i usiadłam przy kuchennym stole. Obserwowałam wróble fruujące za oknem i bardzo chciałam być tak wolna jak one. Przenikliwy dźwięk telefonu spłoszył kłębiące się w mojej głowie myśli o ucieczce.

- Georgia? Tu Don Maggio, twój ulubiony fotograf.

- Cześć, Don. Dzięki za przedstawienie się. Wszystkim teraz powiem, że jesteś moim ulubieńcem. Co słysząc? - zapytałam ze śmiechem.

- Dostaliśmy wreszcie zgodę, żeby ruszyć z tą robotą w Portoryko.

- Nie żartuj. Myślałam, że to umarło śmiercią naturalną.

- Nie, wygląda na to, że Kodakowi udało się namówić do wzięcia udziału w tym projekcie American Airlines, producenta walizek Samsonite i władze Portoryko. Nasz harmonogram trochę się wydłuży, ale myślę, że jakoś sobie poradzimy z kilkoma kolejnymi dniami słonecznej pogody, nie uważasz?

- Brzmi świetnie - powiedziałam. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Dziesiątego. Za dwa tygodnie. Masz czas?

- Mam na wtędy jakiś katalog do zrobienia, ale jestem pewna, że pozwolą Susie mnie zastąpić.

- Poczekaj, aż usłyszysz kolejną wiadomość - powiedział. - Jim Alquist próbuje wyplątać się ze swoich wcześniejszych zobowiązań, ale wygląda na to, że jest uziemiony. Co myślisz o zaangażowaniu twojego męża jako męskiego modela?

Tom wprost idealnie nadawał się na modela. Jeśli jakiegoś mężczyznę można nazwać pięknym, to na pewno jego. Jak na mężczyznę miał delikatne rysy twarzy. Jego sycylijskie pochodzenie nie było tak oczywiste.

Zawahałam się.

- Właściwie... to zepsułoby mi ten wyjazd.

- Co masz na myśli? Nie układa wam się?

- Nie kłóćmy się ani nic w tym stylu, ale myślałam o tym, żeby powiedzieć mu, że chcę rozwodu. Ten wyjazd mógłby dać mi trochę przestrzeni na przemyślenie sobie tego.

- Jezu! I to po tym wszystkim, przez co musiałem przejść, żeby to przepchnąć! Czy mogłabyś powiedzieć mu to dopiero po zdjęciach? - Czułam, jak rośnie mu ciśnienie. - Mieliście być świeżo poślubioną parą na wakacjach w Portoryko. Wcisnąłem to klientowi, opowiadając, ile pieniędzy zaoszczędzimy, wynajmując jeden pokój, i jak realistycznie wyjdą zdjęcia prawdziwej małżeńskiej pary. Fikali koziółki, jak to usłyszeli. Czy mogłabyś...

- Don, płacą mi za udawanie. Wychodzi mi to nieźle także w prawdziwym życiu. Nie martw się, twoje zdjęcia będą takie jak trzeba. Nie dowiedzą się. Czy kiedykolwiek cię zawiodłam?

- Nie - odpowiedział, biorąc głęboki wdech.

Odłożyłam słuchawkę i westchnęłam. Ale potem zrozumiałam, że dzięki temu wyjazdowi Tom będzie mógł się usamodzielnąć. Nie pracował, był zależny od moich

dochodów. Mój upór w prześladowaniu go, żeby stał się lepszą wersją samego siebie, spowodował, że rzucił posadę w Kodaku i od tej pory nie był w stanie utrzymać się dłużej w żadnej innej pracy. Pomyślałam, że pieniądze z tego zlecenia będą dla niego zabezpieczeniem, które pozwoli mu zacząć nowe życie.

Pierwszej nocy w Portoryko gubernator wydał przyjęcie na naszą cześć na swoim jachcie. Zaproszeni goście robili mnóstwo zamieszania wokół kochającej się pary, która wkrótce stanie się ozdobą ich katalogów. Schowałam się za maską profesjonalizmu i oszukałam ich wszystkich. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, że taką maskę będę nosić także w przyszłości. Mogłabym dostać Oscara za rolę, którą odgrywałam tego wieczoru i w trakcie zdjęć.

Wreszcie nadszedł nasz ostatni zachód słońca. Miałam za sobą tydzień, w którym starałam się wyglądać na szczerze zakochaną. Tom nie miał pojęcia, że udawałam. Pozowaliśmy w romantycznej scenerii - na stromym klifie, pod malowniczym drzewem. Pomarańczowy blask wsiąkał powoli we wzburzone morze. Moja długa szyfonowa sukienka powiewała łagodnie na wieczornym wietrze, kiedy Tom i ja wymienialiśmy czułości.

- Świetnie wam idzie! - wrzasnął Don, gorączkowo pstrykając swoim nikonem.

- Kocham cię, Georgia - powiedział otwarcie Tom, kiedy z gracją pozowaliśmy do aparatu.

Wciąż podtrzymywałam iluzję.

- Okej, straciliśmy dobre światło. Ale myślę, że to mamy, dzieciaki. Koniec zdjęć - obwieścił Don.

Stałam na krawędzi urwiska i głęboko zamyślona obserwowałam ostatnie promienie słońca pogrążającego się w oceanie. Pragnęłam być tak wolna jak wiatr, który delikatnie rozwiewał moje blond włosy. Odwróciłam się do Toma, spojrzałam w jego oczy i zdradziłam mu dręczące mnie myśli:

- Tom, chcę rozwodu.

Rozdział piąty

Kiedy weszłam do Caesars II, najmodniejszego w tamtym czasie lokalu w zachodniej części miasta, musiałam przyzwycząić wzrok do ciemności. Niskie sufity zakrywało grube czerwone płótno, które tłumilo zapach stęchlizny - pozostałość po czasach, kiedy były to zwyczajne piwnice. Sale klubu poprzedzielano pamiętajęcymi lata sześćdziesiąte zasłonami z koralików, dzięki którym w przestronnych, pozbawionych wyrazu wnętrzach zapanowała kameralna atmosfera. Podeszłam do jednego ze stolików obok zespołu, przy którym wypatrzyłam Sammy'ego G i Joeya Tiraborellego.

- Hej, mała, co słychać? - zapytał Sammy G, wstając i całując mnie w oba policzki. Dwie towarzyszące im kobiety nie były zachwycone moim widokiem. - Czego się napijesz?

- Szkockiej, Sammy. Właściwie to niech będzie podwójna szkocka.

- Bea! - Sammy krzyknął do kelnerki w tej samej chwili, w której w drzwiach klubu pojawił się Jimmy Cristo. - Jeszcze jedna kolejka dla nas i podwójny chivas dla tej pani. Zadbaj też o stolik Jimmy'ego. A przy okazji nalej drinka naszemu właścicielowi.

- Jasne, Sammy - odparła kelnerka i oddaliła się szybkim krokiem, przeciskając się przez tłum.

Muzycy zrobili sobie przerwę i wreszcie można było swobodnie porozmawiać.

- Podwójna szkocka, mówisz? Co się dzieje, mała?

- Zostawiłam Toma. Niezbyt dobrze to przyjął.

- No tak, przypuszczałem, że w końcu do tego dojdzie. Robisz karierę, mała. Wiedziałem, że tak będzie, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem. Ile miałaś wtedy lat: trzynaście, czternaście? Na moich oczach wyrosłaś na prawdziwą ślicznotkę. Tak czy owak, zasługujesz na kogoś lepszego.

Tymczasem zza moich pleców wynurzył się jakiś mężczyzna i usiadł okrakiem na krześle przystawionym oparciem do naszego stolika. Ciągnęłam rozmowę z Sammym, wyczuwając jednocześnie, że nowo przybyły chłonie każde moje słowo. Wreszcie odwróciłam się i po raz pierwszy na niego spojrzałam.

Siedząc na krześle z wyprostowanymi plecami, wyglądał na nieco ponad metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu; mógł ważyć około siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Uporczywie wpatrywał się we mnie, a w jego ciemnych oczach czaiła się jakaś tajemnica. Nie uśmiechnął się ani się nie przedstawił. Po prostu świdrował mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Ożenię się z tobą - oświadczył nagle.

Zaśmiałam się.

- Nie wygłupiaj się - powiedziałam, spoglądając przy tym pytająco na Sammy'ego.

Kim jest ten głupek?

Sammy wykrzywił usta w półuśmiechu i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Tak właśnie zrobię. Przekonasz się - nieznajomy stwierdził z niezachwianym przekonaniem.

Cóż. Jak na mój gust, wydawał się nieco zbyt egocentryczny, chociaż musiałam przyznać, że był niezwykle przystojny - z oliwkową cerą, ostro zarysowaną szczęką i idealnie prostym nosem. Sprawiał, oględnie mówiąc, aroganckie wrażenie, ale miał też w sobie pewien uwodzicielski urok. Kosmyk gęstych kruczoczarnych włosów opadł mu miękko na czoło, gdy uniósł szklankę w stronę Sammy'ego.

- Dzięki za drinka, Sam.

- Salud - odparł Sammy i także wznosił szklankę w geście toastu.

- Ktoś zamierza przedstawić mnie tej cudownej dziewczynie?

Najwyraźniej nikt nie kwapił się, żeby to zrobić. W końcu odezwał się Joey Tiraborelli:

- Joe, to jest Georgia Durante. Pewnie widziałeś ją w telewizji i w gazetach - dodał z dumą.

Siedząca przy naszym stoliku seksowna kobieta o rudych włosach zapragnęła zwrócić na siebie uwagę: odchrząknęła, po czym skrzyżowała nogi, odsłaniając spory fragment mlecznobiałego uda.

- No tak - przypomniał sobie Joe. - Czy to nie ty byłaś w zeszłą niedzielę na okładce „Upstate”?

- Zgadza się.

- To był świetny artykuł.

- Dziękuję - odparłam z lekkim uśmiechem.

- Georgia, to jest Joe Lamendola, właściciel tej spelunki. Udało mu się zamienić ją w cholerną żyłę złota.

- Właśnie widzę - powiedziałam, oglądając się na tłum ludzi, który wlewał się do lokalu. - Nigdy wcześniej tu nie byłam.

Odkąd wyszłam za mąż, nieczęsto bywałam w klubach.

- Wiem o tym - stwierdził Joe. - Gdybyś się tu pojawiła, na pewno bym cię wypatrzył.

Byłam przekonana, że mówił to nie po raz pierwszy, zignorowałam więc komplement.

- Wybierasz dobre zespoły - pochwaliłam.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ktoś postukał go w -ramię.

- Joe, chyba mamy problem na zapleczu.

Joe przeprosił i zniknął w tłumie. Odprowadziłam go wzrokiem, co nie uszło uwadze Joeya Tiraborellego.

- Hej, Sammy! - zawołał, przekrzykując muzykę. - Wygląda na to, że casanova wpadł w oko naszej małej Alicji z krainy czarów.

- Tych dwoje to raczej Piękna i Bestia - mruknął Sammy.

Sammy i Joe najwyraźniej za sobą nie przepadali. Przypisałam tę niechęć milczącej rywalizacji, jaka zawsze istniała pomiędzy chłopakami z zachodniej i wschodniej części miasta. Kiedy się nad tym zastanawiałam, przy stoliku zjawiała się kelnerka z tacą pełną drinków.

- Na koszt Joego Lemandoli - oznajmiła, wyładowując przyniesione dary.

- Bea, przy następnym kursie przynieś mi rachunek - polecił Sammy.

- Już się robi, Sammy.

- Idziemy do Ben's Café, Georgia. Masz ochotę się przyłączyć?

- Pewnie, czemu nie? - odpowiedziałam.

Siedzące przy stoliku dziewczyny spojrzały na mnie nieprzyjaźnie.

Kiedy Bea wróciła z rachunkiem, Sammy uiścił należność, zostawiając kelnerce sto dolarów napiwku.

- Podaj tym paniom, co tylko będą chciały, i zapisz to na moje konto - zarządził, kiedy wstaliśmy od stołu.

To, że dziewczyny nie będą nam towarzyszyć, zaskoczyło je najwyraźniej jeszcze bardziej niż mnie. Ich jadowite spojrzenia towarzyszyły nam aż do drzwi.

- Dlaczego one nie idą z nami? - zapytałam, kiedy wspinaliśmy się po betonowych schodach prowadzących do wyjścia.

- A po co przynosić kanapkę z szynką na przyjęcie ze szwedzkim stołem? - odparł Sammy i wszyscy troje wybuchliśmy śmiechem.

Dwa dni później zadzwonił do mnie Joe Lamendola.

- Hej, piękna damo. Gdzie zniknęłaś tamtego wieczoru?

- To przez nasz piątkowy rytuał. Poszliśmy do Blue Gardenii, a potem jak zwykle do Ben's i na śniadanie.

- Słuchaj, w środę wieczorem wybieram się do Buffalo. Jadę zobaczyć kapełę, którą planuję zaangażować. Może pojedziesz tam ze mną? Chciałbym usłyszeć, co o nich sądzisz.

- No cóż... planujesz powrót tej samej nocy?

- Nie, ale będziesz miała osobny pokój, jeśli o to ci chodzi.

- W takim razie chętnie pojedę.

Joe przyjechał po mnie wozem, który wyjątkowo przypadł mi do gustu: corvetta stingray, rocznik 1970. Podrzućmy Toni do mojej matki i wyruszyliśmy do odległego o sto pięćdziesiąt kilometrów Buffalo, a po drodze dowiedzieliśmy się co nieco o sobie nawzajem.

- Wiesz, że twój brat Ronny to mój kolega? - spytałam.

- Wiem. A myślałaś, że kto dał mi twój numer telefonu?

- Sądziłam, że to sprawka Sammy'ego.

- Próbowałam wyciągnąć od niego ten numer. Ale stwierdził, że jest zastrzeżony.

- Sammy bywa wobec mnie nadopiekuńczy.

- Delikatnie powiedziane.

- Do niedawna nie miałam nawet pojęcia, że Ronny ma starszego brata - powiedziałam. - Jak to się stało, że nigdy cię nie poznałam?

- Przez ostatnie sześć lat mieszkałam w Bostonie. W mojej rodzinie uchodzę za kogoś w rodzaju czarnej owcy. Kogoś, o kim się nie wspomina. - Zaśmiał się nerwowo. - Skąd znasz mojego brata?

- Chodziłam z jego kolegą, Sammym Sapienzą. Miałam wtedy czternaście czy piętnaście lat. Sammy zabrał mnie kiedyś do klubu, w którym Ronny był bramkarzem. Twój brat wpuścił mnie bez sprawdzania dowodu. Z czasem się zaprzyjaźniliśmy.

Około osiemnastej trzydzieści dotarliśmy do hotelu Executive. Jimmy Constantino kazał rozwinąć na nasz przyjazd czerwony dywan. W apartamencie Joego czekał szampan, a w moim kwiaty. Do kwiatów dołączony był liścik: „Odpocznij i ciesz się pobytym. O siódmej trzydzieści limuzyna zabierze was na kolację. Nie mogę się doczekać, kiedy cię poznam”.

O przebojowym Jimmym Constantino słyszałam już wcześniej. Ten młody przystojniak był właścicielem jednego z największych hoteli w Buffalo. Muszę przyznać, że budził moją ciekawość, a kiedy go poznałam, wydał mi się niezwykle interesujący. Ale tak jak w wypadku wielu innych znajomych Joego, których uznałam za wartościowych, nasze pierwsze spotkanie było zarazem ostatnim.

Jimmy zafundował nam wspaniałą kolację w urokliwej włoskiej restauracji. Tradycyjne włoskie melodie grane na harfie tworzyły nastrojową atmosferę i były idealnym początkiem romantycznego wieczoru. Po kolacji wróciliśmy limuzyną do hotelu, żeby w tamtejszym barze posłuchać nowego zespołu. Joe zapytał wokalistkę, czy zna piosenkę *What Are You Doing the Rest of Your Life*. Znała. Joe i ja tańczyliśmy ze sobą tak, jakbyśmy

byli parą od wielu lat.

- Wyjdiesz za mnie - powiedział Joe podczas tańca.

- Ale ja już jestem mężatką.

- Więc będziemy musieli coś z tym zrobić, prawda?

- Jestem w separacji dopiero od sześciu dni i nie jestem jeszcze gotowa na nowy związek. Poza tym wystarczy mi, że wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, a teraz się rozwodzę. I to wszystko zdążyłam zrobić przed dwudziestką - powiedziałam ze śmiechem.

- Ile lat ma twoje dziecko?

- Osiem miesięcy - odparłam.

- Ty i ja będziemy małżeństwem, zanim ono skończy trzy lata. Czy tyle czasu ci wystarczy?

Przez resztę piosenki Joe trzymał mnie blisko siebie. Czułam, że moje młode, bezbronne serce drży w szczególny sposób - był to ten rodzaj emocji, który potrafimy odczuwać wyłącznie w młodości, przeżywając pierwszą fazę zakochania.

Wieczór był cudowny, ale kiedy wracaliśmy z baru do naszych pokoi, ogarnął mnie lęk na myśl o seksualnych zalotach, które miały niechybnie nastąpić. Wiedziałam, że Joe nie zadowolony się niewinnym pocałunkiem w drzwiach pokoju. Chciałam zachować się dorośle, ale jak miałam to zrobić? Jak miała poradzić sobie z taką sytuacją młoda dziewczyna, której brakowało doświadczenia dorosłej osoby?

Wcześniej zawarte małżeństwo zapewniło mi przywilej nietykalności. Teraz jednak znowu byłam wolna i stałam się potencjalną zdobyczą. Mówiło się, że wyposzczone rozwódki są łatwym celem. Ja taka nie byłam. Małżeństwo i macierzyństwo nie zamieniły mnie automatycznie w dorosłą kobietę, do moich dwudziestych urodzin wciąż pozostawałam jeszcze miesiąc. Instynkt podpowiadał mi: uciekaj. W kontaktach seksualnych nigdy nie czułam się pewnie. Nawet dziś, choć już nie wyglądam jak miss, w podobnych sytuacjach w myślach daję sobie złoty medal za szybką ucieczkę.

Zżerał mnie niepokój. Joe zauważył moje zdenerwowanie i zachował się jak prawdziwy gentleman. Prawdopodobnie zaintrygował go fakt, że kobieta nie chce przespać się z nim już na pierwszej randce - byłam pewna, że naprawdę rzadko miał takie problemy.

Po moim rozstaniu z Tomem Frankie kilkakrotnie odwiedzał mnie w Rochester; widywałam go też przy okazji swoich wyjazdów do Nowego Jorku, gdzie brałam drobne dodatkowe zlecenia. Podczas jednej z jego wizyt spakowałam lunch i razem z Toni wybraliśmy się na piknik. Frankie miał wspaniałe podejście do dzieci. Byłby dobrym ojcem.

Tak się złożyło, że zawędrowaliśmy na cmentarz - co wcale nie było takie niezwykle,

biorąc pod uwagę specyfikę naszych relacji. Usiedliśmy pod wierzbą i zjedliśmy lunch, obserwując, jak Toni wdrapuje się na nagrobki. Napisałiśmy wówczas list, w którym wyznaliśmy sobie miłość, po czym owinęliśmy go w folię po kanap-kach i zakopaliśmy pod drzewem. Obiecaliśmy też sobie, że za dwadzieścia lat wrócimy w to samo miejsce, żeby ponownie go przeczytać. Byliśmy pewni, że nic poza śmiercią nie zdoła sprawić, żebyśmy stracili ze sobą kontakt. Dwadzieścia lat później pojechałam na tamten cmentarz, ale przez ten czas drzewa urosły na tyle, że nie mogłam sobie przypomnieć, pod którym z nich zakopany był nasz list.

Wciąż łączyło nas silne uczucie, ale życie poszło naprzód. Narodziny dziecka sprawiły, że wszystko się zmieniło. Życie w Nowym Jorku było wystarczająco ciężkie dla osoby dorosłej, a już mieszkanie tam z dzieckiem w ogóle nie wchodziło w grę. Nowy Jork i chwile przeżyte tam z Frankiem były dla mnie już tylko pięknym wspomnieniem.

Joe i ja zostaliśmy wkrótce parą, a ostatecznie - tak jak to przewidział - także małżeństwem. Kiedy byłam z Tomem, czułam się nieszczęśliwa, potem doszedł do tego strach i niepewność na myśl o tym, jaka przyszłość czeka młodą kobietę z rocznym dzieckiem. Joe intuicyjnie wyczuł moje obawy i wykorzystał je, żeby mnie do siebie przyciągnąć - uczynił istotną częścią swojego życia nie tylko mnie, ale także moją córkę. Sam nie miał dzieci, ale najwyraźniej cieszył go te małe przyjemności, które dziecko wносиło w nasze życie. Bez większych trudności zrezygnował z kawalerskiego stylu życia i stał się ojcem i mężem.

Nim się obejrzałam, byłam zakochana i szczęśliwa, że udało mi się znaleźć kogoś, kto pokochał moją córkę i był gotowy przyjąć nas obie. Joe chciał być jedyną osobą, którą Toni będzie traktowała jak ojca, i dlatego postanowił wyrugować Toma z jej życia. Tom z jakiegoś powodu nie próbował temu przeciwdziałać. Wpłynęła na to z pewnością reputacja Joego, ale nie była to jedyna przyczyna: stosunek Toma do córki był po prostu tak samo niefrasobliwy jak do jego własnego życia. Toni była wówczas na tyle mała, że te sprawy nie miały dla niej znaczenia. Cieszyło ją bycie w centrum uwagi, bez względu na to, kto jej tę uwagę okazywał.

Początek nowego związku był dla mnie skokiem w wir ekscytujących doświadczeń. Inna rzecz, że po okresie małżeństwa z Tomem ekscytujące wydałoby mi się jakiegokolwiek życie towarzyskie - a co dopiero tak intensywne jak to, które prowadziłam u boku Joego. Joe był efekciarskim właścicielem klubu i zawsze nosił się odpowiednio do swojego statusu. Jego zniewalający urok i świetna aparycja działały niczym magnes na kobiety, które rzucały mu się do stóp - a to z kolei sprawiało, że mężczyźni skrycie go nienawidzili. Ale Joe wybrał mnie, a ja czułam się dumna, że jestem jego kobietą.

Joe potrafił wydawać pieniądze i każde drzwi stały przed nim otworem. Wszyscy maîtres d'hôtel traktowali go niczym króla. Wiedzieli, że pan Joe zadowoli się wyłącznie najlepszym stolikiem w restauracji. Wszędzie, gdzie się pojawiał, onieśmiał wszystkich obecnych. Roztaczał wokół siebie niezaprzeczalną władcą aurę. Zakochałam się do szaleństwa, dając się zwieść pozorom, jakie stwarzał Joe Lamendola.

Łącząca nas więź zdawała się wykraczać poza ziemski plan. Nasze wzajemne pożądanie było tak silne, że miało się wrażenie, jakby było kontynuacją naszych uczuć z poprzednich wcieleń. Rozumieliśmy się bez słów. Czuliśmy się szczęśliwi, gdy byliśmy razem, i bezbrzeżnie smutni na czas rozstań.

Któregoś dnia rozdzieliła nas śnieżna zamieć. Utknęłam w studiu fotograficznym, od domu dzieliło mnie co prawda tylko dziesięć kilometrów, ale drogi były kompletnie nieprzejezdne. Wyglądało na to, że czeka mnie długa noc, którą będę musiała spędzić na podłodze studia. Ale Joe się nie poddawał. W końcu udało mu się znaleźć młodego chłopaka ze skuterem śnieżnym i zaoferował mu sto dolarów za przywiezienie mnie do domu. Kiedy dotarłam na miejsce, Joe czekał na mnie z kolacją przy świecach i winem. Spędziliśmy romantyczny wieczór w domowym zaciszu, odcięci od świata przez śnieżycę.

Często razem wychodziliśmy - Joe zabierał mnie ze sobą nawet w piątki, mimo że piątkowe wieczory tradycyjnie uchodziły za czas na „męskie” eskapady. W soboty wszyscy pojawiali się na mieście w asyście swoich żon, ale piątki zarezerwowane były na zabawę z dziewczynami. Joe i ja uwielbialiśmy swoje towarzystwo - zawsze znajdowaliśmy okazję, żeby wspólnie się pośmiać. Właśnie tego brakowało mi w małżeństwie z Tomem.

Urządzaliśmy sobie liczne krótkie wypadki do Toronto i Nowego Jorku, zwykle jeździliśmy tam w poszukiwaniu dobrych zespołów, które można by zaangażować w nocnym klubie Joego. Właściciele tamtejszych klubów zawsze przygotowywali się na nasze przybycie, podejmując nas po królewsku. Zabiegające o uwagę Joego kobiety patrzyły na naszą parę z zazdrością. Zdobyłam serce jednego z najbardziej pożądanych kawalerów w mieście, a on zdobył mnie.

Kiedy już na dobre uległam urokowi Joego i zakochałam się w nim po uszy, zaczęła narastać w nim zazdrość. Zaprażył odseparować mnie od wszelkich zewnętrznych wpływów. Stałam się jego własnością. Wystarczyło, że jakiś inny mężczyzna spojrział w moją stronę, i natychmiast spotykał się z brutalną reakcją Joego. Starłam się zmienić swój sposób bycia tak, aby nie ściągać na siebie uwagi przeciwnej płci, ale to nie wystarczyło. Joe postanowił rozwiązać problem, zmuszając mnie do pozostawania w domu. Dla kobiety w moim wieku, chcącej odkrywać świat, narzucenie takich ograniczeń było niczym wyrok

śmierci.

Moje życie stało się wkrótce zdrowo pokręcone. Joe zaczął mnie sobie podporządkowywać i kontrolować. Jego stosunek do mnie ulegał stopniowo subtelnym zmianom, a skłonność do władczych zachowań stawała się coraz wyraźniejsza. Początkowo wydawało mi się, że Joe autentycznie się o mnie troszczy i robi to wszystko dla mojego dobra. W końcu doszło jednak do tego, że zaczął podejmować za mnie wszystkie decyzje i całkowicie stłamsił moją niezależność. Zabronił mi spotykać się z przyjaciółmi - oczywiście, tak miało być dla mnie lepiej - a ostatecznie ograniczył nawet moje kontakty z rodziną. Nie wolno mi było zbliżyć się do nikogo, kto mógłby otworzyć mi oczy na destrukcyjny wpływ jego dominacji. Moje opinie nie miały znaczenia. Jego opinie były prawem.

Kiedy moja matka wyczuła, co się dzieje, zaoferowała mi schronienie w rodzinnym domu. Takie schronienie nie gwarantowało jednak bezpieczeństwa, nauczyłam się więc ukrywać swoje zmartwienia. Im bardziej Joe zdawał sobie sprawę z tego, co moi rodzice sądzą o tej sytuacji, tym rzadziej pozwalał mi się z nimi kontaktować. Robiłam, co mogłam, żeby w ich stosunkach panowała względna harmonia, ale po obu stronach narastały wzajemne pretensje.

Zajmowaliśmy mieszkanie nad klubem Caesars II. W okolicy nie było żadnego miejsca, w którym Toni mogłaby się bawić - żadnych drzew, żadnego parku, wyłącznie goły bruk. Zaczęłam czuć się tak, jakbym zamieniła jedno więzienie (małżeństwo z Tomem) na drugie. I to na takie, z którego nie było ucieczki.

Kochałam Joego, a przynajmniej tak mi się zdawało. Status szykownego właściciela klubu, a także zainteresowanie, jakim cieszył się wśród kobiet, robiły z niego dobrą partię. W rezultacie pogodziłam się z jego zachowaniem. W świecie Joego kobiety robiły to, co im kazano. Joe wiedział też, że pomimo kariery modelki wciąż byłam niepewna własnej wartości. Jego przytyki pod moim adresem stawały się coraz bardziej złośliwe i okrutne. Stopniowo uwierzyłam w to, że los był dla mnie łaskawy, pozwalając mi spotkać Joego: kto inny by mnie zechciał, zwłaszcza z bagażem w postaci dziecka? Tak naprawdę sama zaczęłam uczestniczyć w podporządkowaniu siebie Joemu.

Przez Joego brałam zlecenia tylko z Rochester i okolic. Uważał, że nawet pobliskie Buffalo leży zbyt daleko od naszego miasta. Na pracę w bardziej odległych miejscach mogłam liczyć wyłącznie wtedy, kiedy on zdecydował się pojechać tam ze mną. Jego obecność na planie zdjęciowym sprawiała jednak, że zaczynałam się zastanawiać nad wcześniejszą emeryturą.

Joe nie mówił zbyt wiele - bo i nie było takiej potrzeby. Wyraz jego twarzy był

wystarczająco wymowny. W jego towarzystwie wszyscy, łącznie ze mną, odczuwali skrajny dyskomfort. Nie mogłam już liczyć na wyjazdy do Nowego Jorku, gdzie wcześniej brałam dodatkowe zlecenia, teraz miałam przynajmniej dobry powód, żeby wymawiać się od napływających propozycji.

Jako modelka musiałam często bywać na branżowych przyjęciach - wybranie się na taką imprezę bez Joego było jednak wykluczone. Jeśli nie zechciał mi towarzyszyć, nie miałam innego wyjścia, jak tylko zostać w domu. Pamiętam jedno z takich przyjęć - obecność Joego jak zwykle sprawiła, że byłam kłębkim nerwów. Moje koleżanki i koledzy nie mieli wątpliwości, że Joe należy do zupełnie innego świata, ich uwadze nie uszedł także fakt, że w jego obecności zachowywałam się nieswojo. Podczas rozmów byłam spięta i z trudem cedziłam słowa. Zanim jeszcze dotarliśmy na miejsce, z góry wiedziałam, jak będzie wyglądać ten wieczór. Wystarczyło, żebym znalazła się w centrum zainteresowania innych osób i okazała z tego powodu zadowolenie - Joe zawsze reagował na to rozdrażnieniem. Mimo to łudziłam się, że tym razem zachowa się jak należy i będzie traktować innych z szacunkiem.

W trakcie przyjęcia podszedł do nas mój kolega, model Jim Alquist.

- Cześć, Georgia. Niezła impreza, co? - zagadnął, niewinnym gestem kładąc rękę na moim ramieniu, a w drugiej trzymając sączonego powoli drinka.

- To prawda. Studio z tymi wszystkimi ludźmi wygląda zupełnie inaczej. Jim, to jest Joe.

- Miło mi cię poznać, Joe - powiedział Jim, podając mu rękę.

- Jeszcze raz dotkniesz tak moją żonę, a pożegnasz się z tą ręką - warknął Joe.

Oniemiały Jim zastygł z wyciągniętą dłonią.

Zaczyna się. Wyjdźmy stąd, Georgio White. Może być już tylko gorzej.

Joe chwycił mnie za ramię i bezceremonialnie poprowadził przez tłum gości. Wszystko się w nim gotowało.

- Joe, proszę, nie rób mi wstydu - poprosiłam błaganym tonem. Zmuszałam się do nerwowego uśmiechu na widok mijanych znajomych twarzy.

- Nie robić wstydu tobie? Jest dokładnie na odwrót, moja droga. Jak możesz pozwalać, żeby ktoś dotykał cię w taki sposób, i oczekiwać, że będę stał bezczynnie, jak jakiś pieprzony idiota?

- To był zwykły, przyjacielski gest. Jim nie miał nic złego na myśli.

- Tak, już ja wiem, jak przyjacielski chciałby być.

- Nie bądź śmieszny, Joe. Tam stoi jego żona. Spójrz na nią. Jest cudowna! Czego

mógłbyście ode mnie? My po prostu razem pracujemy. Jesteśmy przyjaciółmi!

- Już nie jesteście. Weź płaszcz. Wychodzimy.

- Nie mogę wyjść w tym momencie. Nawet nie zaczęli pokazu slajdów. To będą też moje zdjęcia, a przecież po to tu przyszliśmy!

- Weź płaszcz.

Równie dobrze możesz już iść. Ludzie zaczynają się gapić. Następnym razem udawaj, że jedziesz odwiedzić matkę - i przyjdź na przyjęcie bez niego!

Byłam gotowa powiedzieć cokolwiek, byle tylko ugłaskać Joego, tak naprawdę wcale nie zgadzając się z jego zdaniem. Za każdym razem kiedy na przekór zdrowemu rozsądkowi decydowałam się otwarcie wyrazić własną opinię, Joe wpadał w furję. Ta gra nigdy nie była warta świeczki.

Bardzo szybko nauczyłam się ukradkiem robić swoje. Przyjmowałam zlecenia poza miastem, a potem pędziłam samochodem z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, byle tylko wrócić do domu o rozsądnej porze. Nakłaniałam Toni do tego, żeby dla mnie kłamała: „Powiedz tatusiowi, że wstąpiłyśmy po drodze na lody. Nie mów, że odwiedziliśmy Susie. Jeśli cię zapyta, powiedz, że byliśmy w lodziarni Grandma’s”. Dopiero -teraz dociera do mnie, jak bardzo chore było wywieranie na dziecko takiej presji. Wówczas byłam jednak tak zastraszona, że zrobiłabym wszystko, byle tylko uniknąć gniewu Joego. Wciąż trudno mi myśleć o tym, że z powodu chaosu, jaki panował w moim życiu, pozbawiałam własną córkę normalnego dzieciństwa.

Toni mieszkała w zasadzie z moimi rodzicami. Chociaż byli cudownymi, kochającymi dziadkami, to nie mogli zastąpić jej tego, czego potrzebowała najbardziej: mnie. Rodzice zajmowali się moją córką, kiedy pracowałam i kiedy się bawiłam - a obie te rzeczy robiłam często. Chciałam zakosztować utraconej młodości, której pozbawiło mnie wczesne macierzyństwo. Mama i tata dali mi tę możliwość.

Z czasem było mnie coraz mniej w życiu Toni z jeszcze innych powodów. Joemu przestała wystarczać przemoc psychiczna i zabrał się do wybijania pięściami dziur w ścianach naszego mieszkania, a w końcu podniósł rękę na mnie. Co prawda nigdy nie skrzywdził Toni, ale już samo to, że bywała świadkiem wybuchów jego wściekłości, odcisnęło piętno na jej psychice.

Kiedy Joe zaczynał robić się agresywny, co zdarzało się całkiem często, zabierałam Toni i zostawiałam ją u swojej matki. Usilnie starałam się nie dopuścić do sytuacji, w której moja córka mogłaby paść ofiarą brutalności Joego. Okłamywałam rodziców, ale oni i tak podejrzewali, że coś jest nie w porządku. Bez wahania otwierali przed nami drzwi

i udzielali schronienia mojej małej dziewczynce. Toni tęskniła za mną, ale w bezpiecznym domu moich rodziców, otoczona ich miłością, była szczęśliwsza i spokojniejsza. Ja zaś byłam tak głęboko pogrążona we własnym cierpieniu, że nie zostawało mi już zbyt wiele siły na zadrażanie się nieobecnością córki. Poza tym pewną pociechą była dla mnie świadomość, że ma tam zapewnioną miłość i uwagę, których tak bardzo potrzebowała.

W obecności Joego Toni zawsze bawiła się cichutko niczym myszka. Nigdy nie była pewna, czego się po nim spodziewać. Stopniowo stawała się coraz bardziej lękliwa i wycofana, wystarczyło, że Joe podniósł głos, i Toni natychmiast usuwała się w cień.

Któregoś dnia Joe bawił się z Toni w kuchni, podczas gdy ja przygotowywałam śniadanie. Toni wspinała się na kuchenny blat, a następnie skakała w objęcia Joego. Była wniebowzięta okazywanym jej zainteresowaniem i całą sobą zaangażowała się w zabawę. Postawiłam patelnię na kuchence i odwróciłam się, żeby obserwować ich igraszki. Z przyjemnością słuchałam śmiechu Toni, która raz po raz wdrapywała się na kuchenną szafkę i rzucała się Joemu prosto w ramiona. Kiedy zrobiła to po raz szósty, Joe odsunął się, a ona upadła na podłogę.

- No widzisz... To cię nauczy, żeby nigdy nikomu nie ufać.

Podbiegałam do Toni, pomogłam jej wstać i zaczęłam ocierać łzy z jej twarzy.

- To było chore, Joe! Jak mogłeś jej to zrobić?

- Nie mów mi, jak mam wychowywać dziecko! Może gdyby ktoś zrobił coś takiego tobie, nie dałabyś się zgwałcić. Ona nie wyrośnie na taką idiotkę jak jej matka.

Nie jesteś idiotką! On próbuje zamieszać ci w głowie; odwraca kota ogonem, żeby wyszło na to, że racja jest po jego stronie. Ale tak nie jest! Nie ustępuj mu, nie masz za co przeproszać.

Joe w dalszym ciągu starał się mnie zdominować. Ja zaś kochałam go równie mocno, jak nienawidziłam. Przed załamaniem chroniła mnie wyłącznie silna wola. To, że wierzyłam w siebie i nie chciałam tej wiary porzucić, podkopywało jego pewność siebie. W efekcie jeszcze częściej dawał o sobie znać jego brak samokontroli. Winę konsekwentnie zrzucał na mnie, aż w końcu ja sama zaczęłam się o to obwiniać. Paradoksalnie, przez cały ten czas uparcie wierzyłam, że go kocham.

Pierwotnie uznawałam jego zaborcze zachowanie za dowód miłości. Czas pokazał, że była to choroba. Jej symptomy były widoczne od samego początku, ale nie bez powodu mówi się, że miłość jest ślepa. A Joe potrafił być przymilny. Co prawda spędziłam z nim wystarczająco wiele czasu, żeby móc się zorientować, jaki jest naprawdę, ale sama byłam niczym dziecko we mgle - młoda i podatna na wpływy. Kiedy się poznaliśmy, Joe miał

trzydzieści pięć lat i był prawdziwym mistrzem w manipulowaniu ludźmi. Miał nade mną przewagę piętnastu lat doświadczenia, przez co łatwiej było mu zmienić mnie w osobę, jaką się przy nim stałam. Joe był wysoki, przystojny i smagły, ale ta atrakcyjna powierzchowność skrywała mroczną osobowość. Kiedy już weszłam w jego mrok, wyrwanie się z niego zajęło mi wiele lat.

W dalszym ciągu utrzymywałam kontakt z bratem Toma i jego rodziną. Ot, jeszcze jedna złamana przeze mnie reguła. Od czasu do czasu wpadałam potajemnie na kawę do swojej byłej szwagierki Billie. Zawsze cieszyła się na widok mojego samochodu wjeżdżającego na podjazd przed jej domem. Była zwyczajną gospodynią - utknęła w domu z czwórką dzieci, z których najstarsze nie skończyło jeszcze dziewięciu lat. Uwielbiała słuchać opowieści, jakie przynosiłam jej ze świata z zewnątrz.

Billie była coraz bardziej niezadowolona z życia i kiedy siedziałyśmy razem przy kawie, często dawała upust swoim frustracjom. Pragnęła czegoś więcej niż tylko monotonnej egzystencji - sama dobrze znałam to uczucie z czasów małżeństwa z Tomem. Teraz w moim życiu nie było ani śladu monotonii. Ale przecież pomiędzy tymi dwiema skrajnościami musiało być coś jeszcze.

Jeśli Billie i jej mąż Babe gdziekolwiek bywali, to wyłącznie na przyjęciach organizowanych przez ich wspólnotę parafialną. Nigdy nie wyjeżdżali na wakacje ani nie wychodzili na kolacje bez dzieci. Żeby móc wyrwać się z domu, Billie dołączyła do żeńskiej ligi kręglarskiej - był to z jej strony akt niezależności, który doskonale rozumiałam. Babe, typowy zaborczy Sycylińczyk, nie zamierzał jednak pogodzić się z tą niespodziewaną manifestacją. W jego wyobrażeniu rolą kobiety było stać boso przy kuchence, najlepiej w ciąży z kolejnym dzieckiem. Billie niechętnie zrezygnowała z udziału w rozgrywkach.

Chociaż miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, wyglądała tak, jakby zbliżała się do czterdziestki. Jej ciemne włosy były poprzetykane siwizną i to znacznie gęściej, niż można by się spodziewać u kobiety w jej wieku. Chciała je ufarbować, ale Babe się nie zgodził. Obawiał się, że jego żona mogłaby się stać bardziej atrakcyjna dla przedstawicieli płci przeciwnej. Farbowanie włosów było poza dyskusją. W tamtym czasie modne były spódniczki mini, jednak Billie miała prawo nosić wyłącznie spódnice za kolano. Mogłaby być naprawdę atrakcyjną kobietą, gdyby tylko Babe pozwolił jej na makijaż.

W Billie stopniowo wzbierało rozgoryczenie. Nie oczekiwała przecież gwiazdki z nieba. Zdecydowanie nie chciała mieć więcej dzieci, ale Babe nie zgadzał się na antykoncepcję, której stosowanie było niezgodne z religią katolicką. Mimo to Billie i tak brała tabletki, ukrywając opakowania w swojej szufladzie. Kiedy Babe natknął się na nie któregoś

dnia, nabrał przekonania, że jego żona ma romans. Zaczął ją kontrolować, wpadając niespodziewanie do domu o najróżniejszych porach.

Billie długo była posłuszną żoną, ale w końcu zaczęła się buntować. Ta przemiana zdezorientowała Babe'a. Nie był w stanie wytłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko niewiernością Billie. Myśl o tym stała się jego obsesją, a ich małżeństwo zaczęło nieuchronnie zmierzać ku rozpadowi.

Pogrążony w depresji Babe przedawkował pigułki nasenne. Znalaziono go w ostatniej chwili i natychmiast przewieziono do szpitala. Billie błagała lekarzy, żeby poddali go obserwacji psychiatrycznej, przekonywała, że następnym razem jej mąż zabije nie tylko siebie, ale i całą swoją rodzinę. Lekarze stwierdzili jednak, że w szpitalu brakuje wolnych łóżek, i odesłali Babe'a do domu.

Jak mogło do tego dojść? To nie był ten beztrocki, wesoły Babe, którego znałam. Pewnego razu, niedługo po powrocie Babe'a ze szpitala, siedziałam z Billie w jej kuchni.

- Georgia, on mnie zabije - powiedziała spokojnym tonem.

Billie była emocjonalnie wykończona. Miała zmętniały wzrok, a ciemne worki pod jej oczami były tak duże, że można by pakować do nich ubrania. Zniknęła gdzieś jej dawna radość życia, zastąpiona przez przekonanie o nieuchronności tego, o czym przed chwilą mi powiedziała.

- Co ty wygadujesz, Billie?

- Nie masz pojęcia, jak to wygląda. Za każdym razem kiedy muszę wyskoczyć do sklepu po mleko albo chleb, pakuję wszystkie dzieci do samochodu. Nie chcę zostawiać ich w domu z Babe'em. Boję się, że mógłby je zabić.

- Och, Billie, daj spokój. Babe nigdy nie zabiłby własnych dzieci. Pamiętasz, jak zburzył basen, po tym jak David omal nie utonął? Babe kocha te dzieciaki! Nie mógłby ich skrzywdzić.

- Coś bardzo niedobrego dzieje się z jego głową. Ty mi nie wierzysz, lekarze mi nie wierzą - nikt nie chce mi uwierzyć.

Naszą rozmowę przerwało wejście Babe'a, który niespodziewanie zjawił się w domu. Billie przestraszyła się, że mógł nas usłyszeć, zaczęła drżeć i nerwowo przygryzać dolną wargę.

Wygląda zupełnie normalnie. Billie musiała wpaść w paranoję. Joe też mi groził, ale przecież Babe jest inny. To dobroduszny facet. Za nic w świecie nie zrobiły czegoś takiego.

- Jak się masz, Georgia? Dawno się nie widzieliśmy - przywitał się Babe, całując mnie w policzek.

Zachowywał się jak stary, dobry Babe, ale widać było, że zмага się z silnym stresem. W jego oczach nie dostrzegłam zwykłego swawolnego błysku.

Babe miał mniej niż metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, gęste kręcone włosy i towarzyskie usposobienie. Był urodzonym żartownisiem i nigdy nie przestawał dowcipkować. Zawsze chętny do pomocy, był moim ulubionym z dwóch braci Toma. Tom był nawet trochę zazdrosny o to, jak dobrze dogadywałam się z Babe'em.

- U mnie wszystko w porządku, Babe.

- Widziałem, że Toni bawi się przed domem z dziećmi. Robi się z niej duża dziewczynka.

W tym momencie jego wzrok padł na stół. Babe zamilkł. Jego twarz poczerwieniała z wściekłości.

- Dlaczego nie używasz porcelanowej zastawy? - wrzasnął.

Chwycił do połowy opróżniony kubek z kawą i cisnął nim o ścianę. Kubek rozbił się, a Billie skurczyła się na swoim krześle.

Boże, czyżby Billie miała rację? Nigdy nie widziałam, żeby Babe zachował się w taki sposób.

Wypadł z domu niczym burza, zatrzasnął za sobą drzwi z taką siłą, że obrazki na ścianach zdrząły.

Billie spojrzała na mnie wielkimi jak spodki oczami.

- Teraz mi wierzysz?

- Jezu, Billie. Co mu się stało?

Billie pobiegła do wychodzącego na ulicę okna, żeby upewnić się, czy Babe na pewno odjechał. Ja tymczasem pozbierałam odłamki rozbitego kubka i wytarłam rozlaną kawę.

- Nie ma pojęcia, co robić, Georgia. Muszę się stąd wyrwać - powiedziała Billie. Kiedy odgarniała włosy z twarzy, nie była w stanie opanować drżenia ręki. - Kiedy jutro wyjdzie do pracy, pojedę do mojej siostry w Pensylwanii. Dłużej tu nie wytrzymam. Przez jakiś czas muszę od niego odpocząć.

- Babe wie, że wyjeżdżasz? - zapytałam i pocieszająco otoczyłam jej plecy ramieniem.

- Nie, zostawię mu list. Jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić, gdybyś tylko zechciała - dodała, patrząc na mnie błagalnie.

- Pewnie, Billie, o co tylko poprosisz.

- Zadzwoń do niego, kiedy już wyjadę. Spróbuj go namówić, żeby spotkał się z tobą w waszym klubie. Porozmawiaj z nim w moim imieniu. Proszę - powiedziała zdesperowanym głosem. - Przekonaj go, że nie ma nikogo innego. To, że się od niego odsuwam, to wyłącznie

skutek jego zachowania. Zrobisz to dla mnie, Georgia?

- Załatwione - odparłam. - Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Wiesz o tym.

- Dziękuję ci. Tak bardzo się boję - wyznała i wybuchnęła płaczem.

Głęboko zatroskana pojechałam do domu, zastanawiając się po drodze nad obawami Billie. Czy Babe faktycznie byłby zdolny do tego, co przepowiadała jego żona? Oboje przechodzili po prostu trudny okres. Babe zachowywał się nieracjonalnie, ale minie trochę czasu i wszystko wróci do normy. Na pewno tak właśnie się stanie.

Żeby dotrzymać danej Billie obietnicy, musiałam przyznać się Joemu do tego, że postąpiłam wbrew jego woli. Popełniłam grzech, odwiedzając byłą szwagierkę. Wiedziałam, że konfrontacja z Joem nie będzie przyjemna, ale nie miałam wyboru: przyrzekłam Billie pomoc.

- Ty mała, kłamliwa suko!

- Joe, oni mają prawo widywać Toni, to ich bratanica. Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć!? - wykrzyczałam.

- Oni już nie są twoją rodziną! Rozwiodłaś się z tym pojebem. A teraz rozwiedziesz się z nimi - powiedział gniewnie.

- Dałam Billie słowo, że spróbuję pomówić z Babe'em. Nie mogę się wycofać. Jestem pewna, że mogę im pomóc - nalegałam. - Babe mnie słucha.

- Naprawdę sądzisz, że masz coś mądrego do powiedzenia? - roześmiał się Joe.

- Tak - rzuciłam wyzywająco. - Tak właśnie uważam.

- Nie mieszaj się do tego! To nie twój interes! - ryknął rozkazującym tonem.

- Zawsze powtarzasz, że nie znosisz, kiedy cię okłamują, ale to ty zmuszasz mnie do kłamstw. Teraz jestem z tobą szczerą. Spróbuję z nim porozmawiać - odpowiedziałam, Rzucił mi jedno z tych swoich spojrzeń, które mówiły: „nie zadzieraj ze mną”.

- Śmiało. Spróbuj. Przekonasz się, co z tego, kurwa, wyniknie. A teraz przynieś mi zapalniczkę - zażądał, postanowiwszy zignorować moje bezczelne próby postawienia na swoim.

Zirytowana, rzuciłam w niego pudełkiem zapalek.

- Masz! Możesz się nimi podpalić!

To przelało czarę. Joe chwycił mnie za szyję i przyparł do ściany, a jego kciuki zacisnęły się mocno na moim gardle.

- Nie próbuj mi się sprzeciwiać. Jeśli się dowiem, że rozmawiałaś z tymi ludźmi albo z kimkolwiek, z kim zabroniłem ci się spotykać, będziesz tego żałować do końca swojego pierdolonego życia. Zrozumiałaś?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nie mogłam nawet skinąć głową. O tym, że zrozumiałam, przekonały go dopiero cieknące po moich policzkach łzy. Kiedy w końcu puścił moją szyję, z trudem złapałam oddech.

- W porządku, w porządku... Nie zadzwonię - zapewniłam, cofając się przed nim.

Joe poczuł się usatysfakcjonowany; zszedł na dół do klubu, żeby przygotować wszystko na wieczór. We mnie natomiast wezbrał gniew.

Posłuchaj, co podpowiada ci serce, White. Znowu się poddajesz.

Nie potrafię...

Dlaczego pozwalałam mu przejmować nade mną kontrolę? Ponieważ się bałam. Obawa przed bólem, który mógł mi zadać Joe, okazywała się silniejsza niż moja wola. Stawałam się tchórzem. A Joe po mistrzowsku potrafił to wykorzystywać.

Żaden człowiek, który znalazł się w tym samym pomieszczeniu co Joe, nie był w stanie go ignorować. Fałszywa pewność siebie w jego zachowaniu sprawiała, że wszyscy wokół pozostawali świadomi jego władczej obecności i emanującego z niego poczucia wyższości. Pan Autorytet brylował w towarzystwie, wyłaszczając swoje opinie i tylko czekając, aż ktoś ośmieli się podważyć jego zdanie. Jeśli do tego doszło, Joe przystępował do ataku. Miał niesamowitą zdolność dostrzegania w drugim człowieku jego skrytych obaw i nigdy nie przepuszczał okazji, żeby wytknąć komuś jego słabości. Czerpał przyjemność z psychicznego krzywdzenia ludzi i odzierania ich z pewności siebie. Rozdeptywał ich niczym robaki, bez cienia współczucia. Był okrutny do szpiku kości.

Pewnej nocy, już po obowiązującej godzinie zamknięcia nocnych lokali, w klubie pojawił się gliniarz. Musiał to być jeden z jego pierwszych patroli w tej okolicy, bo oznajmił pewnym siebie tonem:

- Jest już po drugiej. Albo zamkniecie lokal, albo to ja będę musiał go zamknąć.

Joe roześmiał mu się w twarz.

- Wydaje ci się, że kim jesteś? Jakimś cholernym Gunga -Dinem?

Nie mogłam uwierzyć, że w taki sposób zwrócił się do mundurowego. Ale taki był Joe. Nie szanował nikogo. Kiedy gliniarz się wkurzył i wystawił mandat, Joe podarł druczek na jego oczach, po czym pokazał mu drzwi. Następnego dnia policjant otrzymał nagane i został przeniesiony do innej jednostki.

Joe traktował w ten sposób nie tylko obcych ludzi. Poniewierał nawet członkami własnej rodziny. Pamiętam, jak kiedyś w obecności klientów poniżał swojego młodszego brata Jimmy'ego, który pracował za barem w klubie. Jimmy zabrał się i wyszedł, a Joe został bez barmana w piątkowy wieczór, kiedy w klubie panował największy ruch.

Joe jeszcze tej samej nocy po zamknięciu klubu pojechał do domu swojej matki i obudził pograżonego we śnie brata, zaciskając mu ręce na gardle. Jimmy usłyszał, że jeśli z samego rana nie wyniesie się z domu ich matki, to Joe spali wszystkie jego ubrania. Nazajutrz Joe zauważył, że ubrania Jimmy'ego nadal wiszą w szafie. Zapakował je więc do samochodu, zawiózł na najbliższe wysypisko śmieci i podpalił. Następnego wieczoru Jimmy wrócił do pracy w klubie. Z takim człowiekiem mieszkalam pod jednym dachem.

W tamtym czasie byłam poddawana powolnemu praniu mózgu i nieustannie utwierdzana w przekonaniu, że jestem nic niewarta. Joe systematycznie podsycił wszystkie moje ukryte lęki. Był w tym prawdziwym profesjonalistą.

To także wtedy, początkowo bardzo nieśmiało, zaczął dawać o sobie znać mój wewnętrzny cień: podawał mi rękę i wyciągał z tarapatów. Georgia Black dodawała mi otuchy i powtarzała, że zasługuję na coś więcej. W większości wypadków byłam zbyt wystraszona, by posłuchać jej rad, jednak ona nigdy całkowicie się nie poddała. Musiało minąć sporo czasu, zanim urosła w siłę, ale ostatecznie tak właśnie się stało.

Złamanie obietnicy, którą złożyłam Billie, nie dawało mi spokoju. Codziennie myślałam o telefonie do Babe'a, ale nigdy nie znalazłam w sobie dość odwagi, żeby po raz kolejny okazać Joemu nieposłuszeństwo. Tego samego wieczoru, którego Billie miała wrócić do Rochester, wybraliśmy się z Joem na otwarcie nowego prywatnego klubu niedaleko domu Billie i Babe'a. Nie mogłam przestać o nich myśleć. Czy u nich wszystko w porządku? Powinnam była zrobić dla nich więcej. Ale jak? Męczyło mnie poczucie winy. Przez cały wieczór miałam niepokojące wrażenie, jakby przygniatał mnie jakiś ciężar.

Zadzwoń do niej, White. Ona cię potrzebuje.

Obok damskiej toalety zauważyłam automat telefoniczny. Wykręciłam numer do Billie. Zdążyłam usłyszeć dwa sygnały, zanim Joe nabrał podejrzeń i podszedł do mnie. Szybko odłożyłam słuchawkę.

- Do kogo dzwonisz? - spytał.

- Sprawdzalam, co u Toni - odparłam jak gdyby nigdy nic.

W czasie nieobecności Billie Babe miał sporo zajęć. Wybrał się między innymi do szkółki ogrodniczej i kupił nasiona trawy na przydomowy trawnik, zajrzał też do sklepu z bronią, gdzie nabył strzelbę i amunicję. W dniu planowanego powrotu żony Babe był zajęty wykonywaniem wielkiego transparentu z napisem: „WITAJCIE W DOMU”, który następnie zawiesił nad drzwiami prowadzącymi z garażu do kuchni. Zapewne chciał, żeby była to jedna z pierwszych rzeczy, jaką zobaczy Billie, kiedy już otworzy drzwi i natknie się na leżące pod transparentem zwłoki swojego męża. Ostatecznie jednak Babe zmienił zamiar.

Następnego dnia poczekałam, aż Joe wyjdzie z mieszkania, i ponownie zatelefonowałam do Billie. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odebrał. Później spróbowałam raz jeszcze - również bez powodzenia. Znowu pojawiło się to uczucie... coś jest nie w porządku. Po powrocie Joego nie mogłam już więcej dzwonić. Miałam ochotę porozmawiać z nim o dręczących mnie obawach, ale to nie wchodziło w grę.

I wtedy zadzwonił nasz telefon.

- Georgia - odezwał się w słuchawce głos mojej siostry Sharon - jesteś w domu sama?

- Nie, jest ze mną Joe. Dlaczego pytasz?

- Muszę ci coś powiedzieć. Nie powinnaś być sama, kiedy to usłyszysz.

- Co się stało, Sharon? - zapytałam, choć znałam już odpowiedź. Przeczucia były zbyt silne, bym mogła podawać je w wątpliwość. Czekaając na potwierdzenie swoich obaw, czułam, jak tysiąc niewidzialnych szpilek przeszywa moją skórę.

- Chodzi o Babe'a. Zabił się.

- O mój Boże! Wiedziałam, czułam to... O Boże, Sharon...

- Georgia, to jeszcze nie wszystko. Babe zabił też Billie.

- Och nie... Boże... Billie mówiła mi, że on to robi. A ja jej nie wierzyłam. O mój Boże.

- Georgia... - Sharon zawahała się przez moment. - On zabił też dzieci.

- Proszę, Boże, tylko nie to... Tylko nie dzieci.

- Co się stało? - dopytywał się Joe.

Oddałam mu słuchawkę i zaniiosłam się spazmatycznym szlochem. Kiedy Joe skończył rozmawiać z Sharon, próbował mnie pocieszyć.

- Przykro mi, skarbie - powiedział, obejmując mnie ramionami.

Gwałtownym ruchem wyrwałam się z jego objęć.

- Nigdy ci tego nie wybaczę, Joe! Gdyby cię nie posłuchała, oni mogliby żyć. Nienawidzę cię!

To mnie powinnaś słuchać, White. Więc zacznij to robić.

Nigdy wcześniej nie byłam na pogrzebie, na którym stało obok siebie sześć trumien. Niewielu ludzi oglądało taki widok. Siedziałam nieruchomo, wpatrując się ustawione na trumnach zdjęcia. Byłam pogrążona we wspomnieniach.

Ciało Billie znaleziono na łóżku, rozerwane na pół dwoma strzałami ze strzelby kalibru 12, które trafiły w brzuch i w klatkę piersiową. Michelle, najstarsza z dzieci, została znaleziona na podłodze swojej sypialni. Pocisk z karabinu kalibru 0,22 cala przeszył najpierw jej rękę, a następnie trafił w głowę. Odgłosy wystrzałów, które zabiły jej matkę, musiały

wyrwać Michelle ze snu. Na myśl o niej krwawiło mi serce. Była na tyle duża, żeby zdawać sobie sprawę, co się dzieje.

Siedmioletnią Karen znaleziono w jej łóżeczku z kulami w głowie i w brzuchu. Czteroletni David, jedyny chłopiec z całego rodzeństwa, ulubieniec Babe'a, leżał na sofie w salonie z jedną kulą w głowie. Dlaczego tylko do niego Babe oddał pojedynczy strzał? Najmłodsza, ledwie roczna dziewczynka została znaleziona na sofie w pokoju dziennym - z jedną kulą w czaszce i jedną w jej maleńkim tułowiu. Babe leżał na łóżku obok Billie, jego mózg rozbryzgany był na ścianach. Babe zdecydował, że w taki czy inny sposób utrzyma swoją rodzinę razem.

Mój szok stopniowo ustępował, ale świadomość tego, jak niewiele dzieli mnie od podążenia taką samą drogą, nie dawała mi spokoju w kolejnych latach, kiedy ostrożnie stapałam po groźących wybuchem polach minowych, jakie miałam we własnej głowie.

Rozdział szósty

Nocą wyrwał mnie z twardego snu krzyk. Usiadłam na krawędzi łóżka, moja twarz była wilgotna od potu. Czyżby to senny koszmar? Byłam przytomna, ale mimo to nadal słyszałam rozpaczliwe wołanie o pomoc. Nie, to nie był sen. Prawdziwy koszmar rozgrywał się na zewnątrz, tuż pod moimi oknami.

Wyrzałam przez wychodzące na parking okno na drugim piętrze. W tym samym momencie Joe spojrział w górę i zeszywniał. Światła były zgaszone, ale zauważył lekko rozchylone zasłony. Wiedział, że tam jestem. Szybko odwrócił głowę ku towarzyszącym mu mężczyznom, nie chcąc zdradzić swoim zachowaniem, że ktoś mógł ich zobaczyć.

Na asfalcie leżał jęczący, błagający o darowanie życia człowiek. Za każdym razem gdy się poruszył, tamci go kopali. Brutalne kopniaki spadały jednocześnie na jego głowę i ciało. Bijący zdawali się nie mieć dość. Stałam w cieniu, zmrożona strachem o życie tamtego człowieka. Co mogłam zrobić, żeby powstrzymać szaleństwo rozgrywające się kilkanaście metrów ode mnie? Nic.

- Co mamy z nim zrobić, Joe?

- Gównu mnie to obchodzi. Po prostu go stąd zabierzcie.

Dwaj mężczyźni bez trudu wrzucili pobitego do bagażnika samochodu i odjechali. Joe odprowadził ich samochód wzrokiem, dopóki nie pochłonęła go wilgotna, dżdżysta noc, po czym raz jeszcze spojrział w kierunku okna i ruszył ku betonowym schodom, które prowadziły do klubu. Pobiegłam do łazienki i pochyliłam głowę nad muszlą klozetową, oddychając głęboko i walcząc ze skurczem, który dławił moją krtani.

Później leżałam roztrzęsiona w pogrążonym w półmroku pokoju, próbując wymazać z pamięci tamte obrazy. Wspomnienie mężczyzny, którego kopano jeszcze długo po tym, jak przestał się ruszać, nie chciało mnie opuścić. O piątej nad ranem usłyszałam odgłos otwieranych drzwi i kroki Joego, który wspinał się po schodach.

On wie, że widziałas, co się tam stało, White. Udawaj, że śpisz.

Mam kłamać? On pozna, że kłamię, zawsze to poznaje.

Byłam przerażona i zaczęłam płakać, zanim jeszcze Joe zdążył otworzyć drzwi do sypialni. Był mocno pijany.

- Dlaczego, Joe? Dlaczego? Co zrobił tamten biedak, żeby zasłużyć sobie na coś takiego? Czy on nie żyje?

Prześtań! Nie wpytuj go, nie teraz. Przecież widzisz, że pił.

- Co widziałaś? - zapytał natarczywie Joe.

- Wystarczająco dużo.

Wymierzył mi policzek tak silny, że moja głowa odskoczyła do tyłu i uderzyła o wezłowie łóżka; przez chwilę byłam oszołomiona.

- Pytałem: co widziałaś?

- Nic! Nic nie widziałam!

Joe ponownie uderzył mnie w twarz.

- Właśnie tak, skarbie. Nic nie widziałaś. Zapamiętaj to sobie. A teraz przestań ryczeć, bo inaczej dam ci prawdziwy powód do płaczu! - wrzasnął i wyszedł z pokoju.

Kolejne minuty upływały w ciszy. Leżałam w ciemności, a myśli galopowały w mojej obolałej głowie. Ze wszystkich sił starałam się opanować histeryczny szloch i sprawić, żeby Joe go nie usłyszał.

W pewnej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i Joe znalazł się na mnie. Zaciśnął dłonie na mojej szyi i zaczął mnie dusić. Zakręciło mi się w głowie. Miałam wrażenie, że jeszcze moment, a oczy wyskoczą mi z orbit.

- Nigdy, przenigdy nie zadawaj mi pytań! Za kogo, do cholery, się uważasz, żeby mnie przesłuchiwać?

Kiedy zaczęłam tracić przytomność, zmniejszył nacisk na moje gardło. Na wpół przytomna poczułam, jak we mnie wchodzi. Jego ruchy przypominały oszalone zwierzę; ja tymczasem leżałam pod nim bezwładnie, niczym szmaciana lalka. Moje nozdrza wypełniał odór alkoholu. Osunęłam się w półsen. Kiedy Joe skończył, zasnął twardo. Ja zrobiłam to samo.

Po przebudzeniu nie pamiętałam, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Kiedy jednak potknęłam się o pokryte zaschniętą krwią buty Joego, wspomnienia wróciły. Ponownie zaczęłam ze sobą walczyć, żeby tylko wyrzucić je z głowy. Brak współczucia u Joego napelniał mnie odrazą i przerażeniem. Mój mąż stał się dla mnie obcym człowiekiem. Czułam się jak mysz w pułapce - pół martwa, pół żywa.

Wciąż nie do końca rozbudzona, poszłam chwiejnym krokiem do kuchni i zaparzyłam kawę. Powolne tykanie ściennego zegara, które zazwyczaj poprawiało mi nastrój, teraz wydawało się nie do zniesienia. Zapaliwszy papierosa, usiadłam przy stole i wbiłam wzrok w pokrytą czarno-białą terakotą podłogę.

Do kuchni nie docierał ani jeden promień naturalnego światła, które mogłoby podnieść mnie na duchu. W całym mieszkaniu były zaledwie trzy okna: poza wychodzącym na parking oknem sypialni było jeszcze okno w pokoju Toni, z widokiem na ceglany mur pod

drugiej stronie uliczki, a także okno w salonie, przez które można było podziwiać wciśnięte pomiędzy budynki kontenery na śmieci.

Wzięłam kubek z kawą i przeniosłam się do salonu. Przez jakiś czas bezmyślnie wodziłam oczami po wypukłym czerwono-czarnym wzorze tapety, po czym zatrzymałam wzrok na ciężkich hiszpańskich meblach. Z wypełnionej niedopałkami popielniczki na drewnianym stoliku do kawy unosił się zatechły smród, od którego nagle zebrało mi się na wymioty. Wszystko wokół sprawiało nieznośnie przygnębiające wrażenie.

Odsunęłam ciężkie czerwone zasłony, żeby wpuścić nieco tak bardzo potrzebnego światła - nie tylko do pokoju, ale i do własnej duszy. Pech chciał, że niebo było szare i zanośło się na deszcz. Stałam z kubkiem w ręku przy zakratowanym oknie i gapiłam się na puste pojemniki na śmieci. To miejsce było więzieniem, a ja byłam tu więźniarką.

Joe wyszedł z sypialni, przerywając moje rozmyślenia o ucieczce. Wyglądał jak śmierć. Nie miałam odwagi wspominać o wczorajszym incydencie, a on zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- Och, kochanie, czy to ja ci to zrobiłem?

- Co takiego? - spytałam.

- Twoja twarz...

Pobiegłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Prawa strona mojej twarzy była spuchnięta i posiniaczona. Niech cię diabli! Ty sukinsynu! Żaden makijaż nie zdoła tego zamaskować. Znowu będę uwięziona w domu do czasu, aż znikną sińce. Gdyby moi przyjaciele albo rodzina zobaczyli mnie w takim stanie, skończyłoby się to dalszym ograniczeniem moich kontaktów z nimi. Joe nie potrafił znieść ich pogardy, a oni nie starali się jej ukrywać. Musiałam się dobrze nagimnastykować, żeby zachować kruchą równowagę.

Przelknęłam głośno ślinę.

- Już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy muszę odwoływać zdjęcia. Nienawidzę cię, Joe. Nienawidzę!

Jak wpakowałaś się w tę kabałę? Nie możesz pozwolić, żeby to się powtarzało, White.

- Przykro mi, skarbie - powiedział Joe. - Naprawdę mi przykro. Wiesz, że cię Kocham. Nie chcę cię skrzywdzić. Sama wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy się napiję.

Nie daj się nabrać na te bzdury. Przy pierwszej nadarzającej się okazji ucieknij od niego najdalej, jak tylko się da.

- W takim razie proszę: przestań pić.

- Georgia, jak mógłbym to zrobić? Nie bądź śmieszna. Dobrze wiesz, że na dole co rusz ktoś stawia kolejkę. Ci goście poczuliby się urażeni, gdyby się z nimi nie napił. To by

zaszkodziło interesom.

- Więc każ barmanowi, żeby nalewał ci z butelki z wodą. Sama nie wiem. Ale nie możesz mnie tak traktować, Joe. Dłużej tego nie zniosę.

- Kocham cię, Georgia. Ty jedna mnie rozumiesz, tobie jednej na mnie zależy. Mój Boże, Georgia, proszę cię. Nigdy mnie nie opuszczaj. Bez ciebie byłbym trupem.

- Ja będę trupem, jeśli z tobą zostanę.

Przestań grozić - zacznij w końcu działać.

- Nie zaczynamy znowu tej rozmowy. Nigdzie nie odchodzisz.

Rozległ się dzwonek telefonu. Podniosłam słuchawkę, ale Joe wyrwał mi ją z ręki.

- Halo - powiedział ostrym tonem. - Nie, nie ma jej.

Rzucił słuchawkę na widelki, a następnie wyrwał telefon ze ściany.

- Kto to był?

- Ta długowłosa blond suka, którą nazywasz swoją przyjaciółką. Chyba ci już powiedziałem, że masz się z nią nie zadawać? Czy ty, kurwa, w ogóle słuchasz, co się do ciebie mówi? Ona ci zazdrości, Georgia. Obudź się! Nie będę ci więcej tego powtarzać: jeśli ta suka jeszcze raz tu zadzwoni albo dowiem się, że ty dzwoniłaś do niej, to nie będziesz w stanie pracować przez cały pierdolony miesiąc! Ile razy trzeba ci podbić oko, zanim cokolwiek do ciebie dotrze?

- Susie od dawna jest moją przyjaciółką, Joe. Nienawidzisz jej, bo potrafi mi powiedzieć, co o tobie myśli. Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedziałam.

- Śmiało, mów dalej, Georgia! - wrzasnął. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał mnie uderzyć.

Do kuchni weszła Toni, obudzona naszymi krzykami. Ostrożnie ominęła wrzeszczącego potwora, który był jej ojczymem, po czym rzuciła mi się w ramiona. Wtuliła twarz w moją szyję, obejmując mnie jedną ręką, a drugą zakrywając sobie ucho.

- Już dobrze, maleńka, już dobrze - wyszeptałam cicho.

Delikatny podbródek Toni drżał, kiedy głaskałam jej włosy, starając się ją uspokoić.

Znów zostałam pokonana. Nie chciałam narażać Toni na kontakt z gniewem, który wzbierał w Joem, zgodziłam się więc na jego warunki i uniknęłam kolejnej konfrontacji, z której i tak nie wyszłabym zwycięsko. Ale nadejdzie taki dzień... nadejdzie taki dzień...

Nie udało mi się uwolnić od powracającego obrazu mężczyzny z parkingu. Nie mogłam porozmawiać o tym z Joem ani z nikim innym. Czy tamten nieszczęśnik przeżył, czy umarł? Codziennie sprawdzałam gazety, ale nie znalazłam w nich żadnych wskazówek. Za każdym razem kiedy patrzyłam na Joego, odtwarzałam w myślach scenę, której świadkiem

byłam tamtej nocy. Dlaczego Joe stał się tak gwałtowny? To nie był już ten sam człowiek, w którym kiedyś się zakochałam.

Joe zmienił się pod wieloma względami. Oczywiście, wina leżała po mojej stronie - ale co takiego zrobiłam, że Joe stał się przez to tak okrutny? Czy stał się taki dlatego, że nie chciałam spełniać jego seksualnych fantazji? Złościło go to i miał mi to za złe. Odplacał mi drobnymi przykrościami, które doprowadzały mnie do szału; karał mnie też swoim milczeniem. Mimo to nie byłam w stanie robić rzeczy, których pragnął. Jego seksualne potrzeby stały się perwersyjne. Uważał, że będąc jego żoną, mam obowiązek go uszczęśliwiać. Kiedy odmawiałam, zmuszał mnie do uległości siłą, w efekcie drżałam na samą myśl o kolejnym zbliżeniu. Szukałam rady u księdza, który zachęcił mnie, żebym została z Joem i próbowała znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie sądziłam jednak, by nasz związek dało się jeszcze naprawić.

Twoje życie to czyste szaleństwo. Rzuć to i uciekaj. Ty i Toni nie zasługujecie na takie życie. On nigdy się nie zmieni. Czekasz na cud.

W końcu zdobyłam się na odwagę, żeby od niego odejść. Któregoś dnia Joe pojechał do Toronto przesłuchać jakiś lokalny zespół. Zanim wrócił, ja zdążyłam się wyprowadzić. Co zaskakujące, wcale nie usiłował walczyć o mój powrót. W rzeczywistości zyskał dobry pretekst do realizacji swoich fantazji. Bardzo możliwe, że zaczął je realizować już wcześniej, bo nie urządził mi żadnych typowych dla siebie scen. Wiedziałam o Roxanne - rudej seksbombie, którą zauważyłam kiedyś w klubie, gdzie robiła słodkie oczy do Joego. Niedługo po moim odejściu usłyszałam, że kupił jej konia. W Rochester nic nie mogło ukryć się przed plotkarzami. Zabolało mnie to, ale wyłącznie ze względu na wspomnienia o dawnym Joe. Staralam się o tym nie myśleć i patrzeć w przyszłość. Przyjemnie było poczuć się wolną od szykan oraz ciągłej groźby przemocy.

Przypadek sprawił, że ja również kogoś poznałam. Nazywał się Gino Provenzano i spotkanie go było dla mnie jak grom z jasnego nieba. Oboje od pierwszej chwili poczuliśmy wzajemne przyciąganie. Gino okazał się iskrą, której potrzebowałam, żeby odzyskać radość życia. Gdy zaprosił mnie na randkę, zgodziłam się, chociaż wiedziałam, że nie jest to najmądrzejsza decyzja.

Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i burzę kręconych włosów, które układały się w twarzowe afro. Ubierał się stylowo, a jego wzrost i smukła sylwetka sprawiały, że wszystkie ubrania wyglądały na nim jak uszyte na miarę. Zawsze miałam słabość do mężczyzn, którzy przywiązywali wagę do swojego ubioru. Oczy Gina były szczerze i łagodne, a przy tym uwodzicielskie i figlarne. W jego wyglądzie delikatność łączyła się z szorstkością.

Między nami iskrzyło.

Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie. To nie był właściwy moment. Nie mogłam spotykać się z Ginem publicznie - nie minęło jeszcze dość czasu. Joe dostałby szału. Ale choć widywanie się z Ginem było dla mnie bardzo ryzykowne, nie potrafiłam się powstrzymać. Zbyt długo żyłam stłamszona.

Naszą pierwszą randką był koncert w Toronto, odległym od Rochester o trzy godziny jazdy samochodem. Jednak nawet tam natknęłam się na ludzi, którzy mnie znali. W kolejny weekend, wraz z trzema innymi parami, wybraliśmy się na biwak do Letchworth State Park. Nasza ósemka leżała przytulona do siebie w namiocie, a o jego grube płótno bębnił deszcz. Nieustanny huk i błysk piorunów budził przerażenie, ale właśnie to wydawało mi się najbardziej podniecające. Podczas tamtego weekendu zakochałam się w Ginie, a przynajmniej w swoim wyobrażeniu o nim. Dzięki niemu poczułam, że żyję - właśnie tak czułam się kiedyś z Frankiem. I właśnie tego brakowało mi przy Joem.

Próbowałam porównywać to nowe uczucie z życiem u boku Joego. Nie było żadnego porównania. Joe był kiedyś fajnym facetem, ale niezależnie od tego, jak bardzo chciałam, żeby ponownie się nim stał, on nie potrafił tego zrobić - przynajmniej nie na dłuższą metę. Kiedy byłam z Ginem, przepelniało mnie szczęście, wiedziałam jednak, że Gino obawia się Joego. Trudno było mi go winić. Sama również się bałam.

Joe cieszył się swoją wolnością, dopóki nie dotarły do niego wieści o tym, że z kimś się spotykam. Wówczas do mnie zadzwonił.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - oświadczył jak gdyby nigdy nic.

Wolność nie mogła trwać wiecznie; uznałam, że nie warto go rozdrażniać odmową spotkania.

Bądź twarda. Po raz pierwszy od dawna cieszysz się życiem. Tak powinno być zawsze. Nie rezygnuj z tego.

- Przyjdź dziś do klubu po godzinach. Jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć - dodał Joe.

Hm... Może nie będziesz musiała nic mówić. Może on oszalał na punkcie tamtej dziewczyny i chce ci oznajmić, że z wami koniec? To może się okazać łatwiejsze, niż nam się zdawało. Tylko uważaj na to, co mówisz.

O drugiej nad ranem przyjechałam do Caesars II. Usiadłam przy barze i czekałam, aż Joe skończy zamykać kasę.

- Chodź, zjedzmy razem śniadanie - powiedział, przekręcając klucz w drzwiach klubu.

Pogrążeni w milczeniu pojechaliśmy do całodobowego baru - jednak nie do tego,

który znajdował się najbliżej Caesars II. Dlaczego wybrał akurat tamto miejsce? Kiedy weszliśmy do środka, spostrzegłam Gina, który siedział tam z kilkoma przyjaciółmi. Zbieg okoliczności? Gino zauważył mnie w tej samej chwili. Spojrzeliśmy na siebie, oboje jednakowo zaskoczeni. Widziałam po jego minie, że zastanawia się, dlaczego zjawiłam się w towarzystwie Joego, nie zamierzał jednak zadawać pytań.

Usiedliśmy dwa stoliki dalej. Joe był odwrócony do Gina plecami, natomiast ja siedziałam do niego przodem. Trudno było mi na niego nie patrzeć. Kiedy nasze oczy się spotykały, zmuszałam się, żeby odwrócić wzrok. Na twarzy Gina malowało się rozżalenie i konsternacja. Miałam ochotę krzyknąć: „To nie jest tak, jak myślisz!”.

- Hej, Gino, jak leci? - zagadnął przechodzący obok mężczyzna.

Joe obrócił się na krześle, jego oczy błysnęły dziko, a potem odwrócił się ponownie w moją stronę. Siedziałam jak sparaliżowana, ze wszystkich sił starając się zachowywać normalnie. Joe przyglądał mi się przez chwilę uważnie, zanim w końcu się odezwał:

- Słyszałem, że z kimś się widujesz. To prawda?

- Kto ci to powiedział? - odparłam spokojnie, ale moje serce waliło jak szalone.

- Nieważne kto. Czy to prawda?

- Nie, to nieprawda - odpowiedziałam, wpatrując się w filiżankę z kawą. Nie mogłam na niego spojrzeć. Zorientowałby się, że nie jestem z nim szczerą.

- Dlaczego kłamiesz, Georgia? Wiesz przecież, że kłamstwo tylko pogorszy sprawę.

Podniosłam wzrok znad filiżanki; zamierałam spojrzeć mu w oczy, ale moje spojrzenie uciekło w bok, ponad jego ramieniem, ku oczom Gina. Pośpiesznie opuściłam wzrok, starając się coś powiedzieć.

- A co z Roxanne? - spytałam wreszcie.

Joe usiłował ukryć zaskoczenie.

- Roxanne to tylko zwykła dupa - odparł takim tonem, jakby było to coś zupełnie nieistotnego.

- W takim razie dziwne, że jeszcze nie zbankrutowałaś, skoro masz zwyczaj kupować konie każdemu, kto jest tylko zwykłą dupą.

Poirytowany faktem, że nasza rozmowa zeszła na jego zachowanie, Joe pochylił się nad stolikiem i podniósł głos:

- Nie mówimy teraz o Roxanne, mówimy o Gino Provenzano! - warknął.

Wpatrywał się we mnie intensywnie spod opadających powiek, czekając na moją reakcję. Kurczowo zacisnęłam palce na torebce i zmieszana odwróciłam wzrok. Poczułam w uszach narastające ciśnienie. Czy on wie, jak wygląda Gino? Czy wie, że Gino jest tutaj?

Czy specjalnie mnie tutaj przywiózł?

- Więc to prawda, mam rację?

- Muszę iść do toalety - powiedziałam, wstając od stołu.

Joe chwycił mnie za rękę i pchnął z powrotem na krzesło.

- Siadaj! - rozkazał. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Gino zaczął podnosić się z krzesła. Wiedziałam, że Joe nosi pod marynarką rewolwer. Zerknęłam więc w kierunku Gina i spojrzeniem dałam mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Uspokoił się. Chciałam już opuścić to miejsce. Co wie Joe? Bałam się o Gina.

- To nie jest miejsce na taką dyskusję, Joe. Jedźmy do domu.

- Nie wydaje mi się, żeby było jeszcze o czym dyskutować. Nie uważasz? - Wstał i rzucił na stolik banknot dwudziestodolarowy.

W drodze do wyjścia przeszliśmy obok stolika Gina. Kiedy go minęliśmy, Gino i jego towarzysze wstali, po czym w ślad za nami wyszli z baru. Byłam zbyt przerażona, by obejrzeć się i sprawdzić, gdzie się skierowali.

Zbliżaliśmy się do naszego samochodu, kiedy nagle ktoś z parkingu zawołał:

- Hej, Provenzano, przestałeś odbierać telefon czy co?

Joe zatrzymał się raptownie. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na Gina, który odwzajemnił jego lodowate spojrzenie. Powietrze zrobiło się gęste od napięcia. Obaj zastygli naprzeciwko siebie, niczym dwa szykujące się do ataku pitbulle, a ja miałam wrażenie, że upłynęła już cała wieczność.

- Wsiadaj do samochodu, Joe - powiedziałam najspokojniej, jak tylko potrafiłam.

Oni jednak wciąż stali nieporuszeni i mierzyli się wzrokiem. Ręka Joego powędrowała powoli w kierunku marynarki.

- Joe! - krzyknęłam. - Proszę cię, chodźmy stąd. Wsiądź do samochodu, proszę.

Joe opuścił rękę, ale nie odrywał wzroku od Gina. Nazwisko Provenzano brzmiało znajomo, ale Joe nie był pewien, jakie rodzinne koneksje wchodzi w tym wypadku w grę. O ile było mi wiadomo, z nazwiskiem Provenzano mógł się kojarzyć jedynie wujek Gina, ważny sędzia w naszym mieście. Joe nie miał jednak co do tego pewności. Poza tym zdawał sobie sprawę, że miałby marne szanse, stając w pojedynkę do walki z Ginem i jego trzema towarzyszami - którzy, w przeciwieństwie do mnie, nie wiedzieli, że Joe skrywa pod płaszczem sześciopalcowego przyjaciela.

- Joe, jeśli natychmiast nie wsiądziesz do samochodu, zadzwonię po taksówkę.

Gino jako pierwszy zerwał kontakt wzrokowy. Joe odwrócił się do mnie z krzywym uśmiechem i wsiadł w końcu do wozu. Tak bardzo bałam się o Gina, że zapomniałam o tym,

co czeka mnie samą.

- Gdzie ty, do cholery, miałaś oczy? - rzucił ironicznie Joe.

Nic na to nie odpowiedziałam.

- Spałaś z nim? - zapytał oskarżycielskim tonem.

- Nie.

Jeszcze nie.

- Kłamiesz! - wrzasnął Joe i uderzył mnie w twarz.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania, wciąż jeszcze płakałam po tym, co spotkało mnie w samochodzie.

- Już ja cię nauczę mnie zawstydząć, ty głupia dziwko! - krzyczał, ciągnąc mnie do okna. - Zamierzasz ode mnie odejść? Pokażę ci drogę do wyjścia, skoro tego chcesz!

Błagałam o litość, kiedy górna połowa mojego ciała znalazła się za oknem. Chwilę później Joe wypchnął mnie całą - wisiałam głową w dół, a Joe trzymał mnie za kostki. Krew gwałtownie napłynęła mi do głowy. Zapewniałam go, że zostanę z nim i już nigdy nie spotkam się z Ginem. W końcu udało mi się go przekonać i wciągnął mnie z powrotem do pokoju. Jego osobowość uległa momentalnej przemianie - stał się nagle czuły i pełen skruchy. Cieszyłam się, że żyję, i zdołałam mu jakoś wybaczyć jego nienormalne zachowanie.

Tragedia, która spotkała moją szwagierkę i jej dzieci, była dowodem na to, że groźby nie są rzucane na wiatr. Najwyraźniej byłam kolejnym przypadkiem syndromu sztokholmskiego, polegającego na tym, że ofiara przywiązuje się do swego prześladowcy. Kiedy nadzorca zamknął drzwi do mojej niewidzialnej celi, posłusznie w niej pozostałam, żeby odsiedzieć swój wyrok do końca - dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Joe nie miał pojęcia, że Gino, nasłuchawszy się o reputacji mojego męża, już wcześniej zdecydował, że dla własnego dobra nie będzie się ze mną więcej spotykał. Taki był koniec naszego związku.

Otworzyłam drzwi do biura Joego, które mieściło się w naszym mieszkaniu nad klubem. Joe wiercił się nerwowo na skórzanym fotelu z wysokim oparciem, usilnie starając się nie roześmiać. Przed nim, odwrócony plecami do mnie, siedział szemrany księgowy Joego, który tłumaczył coś biznesowym żargonem. Byłam w żartobliwym nastroju, zadarłam więc bluzkę i pokazałam Joemu piersi. Po chwili dołączyła do mnie Toni i zaczęła robić to samo. Stałyśmy tam przez dobrych kilka minut, doprowadzając Joego na skraj nerwowego załamania.

- Zrób coś z tym! Nie będę tego płacił - oświadczył Joe, próbując skupić się na pracy.

Księgowy miał na imię Carl i stanowczo potrzebował porządnego golenia. Pocierał

krótkimi palcami podbródek, przeglądając rozrzucone po biurku papiery. Szklą jego okularów przypominały denka od butelek i wąpnię, czy gdyby nawet spojrział w naszą stronę, byłby w stanie nas zauważyć. Joe zerknął na nas po raz kolejny i stłumił uśmiech. Przestańcie, bo was zobaczy - powiedział, bezgłośnie poruszając ustami.

Uśmiechnęliśmy się do niego i w dalszym ciągu trzymałyśmy nasze bluzki wysoko zadarte. Joe zupełnie się zdekoncentrował, ale paplał coś dalej, żeby ściągnąć na siebie uwagę księgowego. Gdyby odwzajemnił nasze uśmiechy, Carl z pewnością odwróciłby głowę i przyłapałby dwoje dzieci na gorącym uczynku.

Dźwięk dzwonka do drzwi położył kres zabawie - przynajmniej dla mnie. Toni ani myślała przestać.

Zbiegłam rażno po schodach i otworzyłam drzwi wejściowe. Mój dobry nastrój momentalnie się ulotnił, gdy zobaczyłam stojących na zewnątrz Franka Valentiego i Gene'a DeFrancesco.

- Witaj, Georgia. Zastaliśmy Joego? - zapytał grzecznie Frank. Ubierał się jak mąż stanu, a chodził z gracją członka rodziny królewskiej. Jedyne jego zimne oczy zdradzały czający się w nim mrok.

- Tak, wejdźcie na górę.

Kiedy prowadziłam ich po schodach, w moich krokach nie było ani śladu po wcześniejszym rażnym tempie.

Wiedziałam, że Joe nie spodziewał się tej wizyty. Frank rzadko pojawiał się osobiście.

- Cześć, Frank... Gene - przywitał się Joe. - Carl, czy możemy dokończyć to jutro?

- Tak, jasne, Joe - odparł Carl, pośpiesznie zbierając swoje papiery.

- Kochanie, weź Toni i zjedzcie razem jakiś dobry lunch - powiedział Joe i wręczył mi studolarowy banknot.

Hmm, Frank powinien wpadać do nas częściej.

Zabrałam Toni do McDonalda, a potem wybrałam się do centrum handlowego. Kiedy wróciłam, zastałam Joego w jego biurze, z głową odchyloną na oparcie fotela. Na biurku stała przed nim butelka whisky. Nie był w dobrym humorze.

- O co chodziło z tą wizytą? - spytałam, nie spodziewając się odpowiedzi.

- Co on sobie myśli? Wydaje mu się, że kim on, kurwa, jest?

- Jest tym, kim jest, Joe. Nie wiem, na czym polega problem, ale lepiej o tym nie zapominaj.

Joe cisnął we mnie szklanką, ale spudłował. Szkło rozbiło się o ścianę. Przerazona Toni uciekła do swojego pokoju.

Obróciłam się ku niemu zirytowana.

- Jezu! Co takiego straszego powiedziałam, do cholery?

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

- Joe, ja nawet nie wiem, o co tutaj chodzi. Chcę tylko powiedzieć, żebyś nie robił niczego pochopnie. Zadzieranie z tym gościem to jak igranie z ogniem. Koniec końców i tak postawi na swoim.

- Dostają już ode mnie swoją dolę. I to wszystko, na co mogą liczyć!

Mówiąc o gangsterach z Rochester, trudno nie wspomnieć o Franku Valentim, którego w szeregi mafii wprowadził w latach pięćdziesiątych Joseph „Joe Bananas” Bonnano. W roku 1957 Frank był delegatem na tak zwaną przestępczą konferencję w Apalachin i wraz z pięćdziesięcioma siedmioma innymi uczestnikami tego spotkania został aresztowany po tym, jak policja stanowa przeprowadziła niespodziewany nalot na rezydencję gospodarza „konferencji”, Joego Barbary. Ponieważ Frank odmówił zeznań na temat szczegółów spotkania w Apalachin, trafił do więzienia. Jakiś czas później Stefano Magaddino, czyli car zbrodni z Niagara Falls, który kontrolował całą północną część stanu Nowy Jork, uznał, że nadszedł czas na zmiany w przestępczym świecie Rochester. Postanowił nagrodzić Franka za milczenie podczas śledztwa i powierzył mu kontrolę nad Rochester.

Po wyjściu z więzienia Frank Valenti zapuścił korzenie w półświatku Rochester jako capo namaszczony osobiście przez samego Magaddino. Zaczął odgrywać rolę ojca chrzestnego w klasycznym stylu. Kartoteki policji w Rochester pęczniały systematycznie przez wszystkie lata, kiedy pozostawał na szczycie przestępczej hierarchii. Każdego, kto odmówił podporządkowania się jego zasadom, czekała śmierć.

Z pomocą swojego starego kumpla z Nowego Jorku Joego Colombo Frank otworzył w Rochester lokalny oddział Italian-American Civil Rights League (Ligi na rzecz Praw Obywatelskich Amerykanów Pochodzenia Włoskiego). Skutecznie wykorzystywał tę organizację jako fasadę działań mafii, ale też jako narzędzie do walki ze zniesławianiem swoich ziomków. Bywałam na wielu zbiórkach funduszy na działalność ligi. Po uroczystej kolacji Joe Colombo wracał z nami do klubu, dokąd przenosiła się impreza. Jednak czas imprezowania powoli się dla nich wszystkich kończył.

Od dnia, kiedy cień Franka Valentiego padł na próg naszego domu, minęły dwa tygodnie. Przez ten czas Joe więcej o nim nie wspominał, a ja nie zadawałam pytań. Moi rodzice zabrali Toni na weekendową wycieczkę, dzięki czemu zyskałam rzadką okazję, żeby nacieszyć się nocnym życiem w Caesars II. Wyjazd Toni odebrał Joemu wymówkę do trzymania mnie pod kluczem; włożyłam więc klasyczny elegancki kostium ze spodniami

i zesłałam na dół, do tętniącego życiem i gwarem klubu.

Zwyczajny piątkowy wieczór. W rosnącym tłumie ludzi, których liczba niebezpiecznie zbliżała się do limitu trzystu miejsc siedzących, dostrzegłam Joego - uwijał się, żeby znaleźć miejsca dla kolejnych dzianych klientów napływających nieprzerwanym strumieniem.

Usiadłam przy wolnym stoliku i ogarnęłam wzrokiem salę, której wystrój przypominał mi nasze mieszkanie: posępne połączenie czerni i czerwieni. Chociaż w mieszkaniu nie mieliśmy ścian z ciężkich kamiennych bloków i nieotynkowanych cegieł, to w obu wnętrzach panowała ponura atmosfera, przywodząca na myśl pieczarę.

Do stolika podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie.

- Cześć, kochana.

- Cześć, Bea.

- To co zwykle?

Skinęłam głową.

- Słuchaj, gdzie się dziś podziewa hostessa? - zapytałam.

Bea Massaro wzruszyła ramionami.

- Pojęcia nie mam. Nie pokazała się w pracy.

- W piątkowy wieczór? Jest chora?

- Możliwe, ale z tego, co wiem, nie dzwoniła. To nie pierwszy raz, kiedy wykręca taki numer. Nie rozumiem, czemu Joe jeszcze jej nie zwolnił. To nie w jego stylu, żeby tolerować takie rzeczy u pracowników.

Powiem ci, czemu, White. Bo sypia z tą zdzirą.

Po drugiej stronie sali mignął mi Joe, który z promiennym uśmiechem czarował akurat jakąś piękną brunetkę. Nawet z tej odległości mogłam dostrzec w jego zachowaniu nerwowość, wywołaną tym, że musi odgrywać rolę gospodarza i nie może przez cały czas mieć mnie na oku. A może chodziło o to, że to ja mogę mieć oko na niego? Być może powinnam częściej wpadać tu bez zapowiedzi.

Do mojego stolika przysiadł się gość - jak zwykle był to gość niepożądany. Kiedy siadał, próbowałam zdobyć się na wymuszony uśmiech, ale bez powodzenia.

- Jak się miewasz dziś wieczorem, Georgia? - zapytał Jimmy Massaro.

- Całkiem nieźle, dopóki ty się nie zjawiłeś.

- Co to, kurwa, miało niby znaczyć?

- Nie lubię być traktowana jak dziecko, to wszystko. Dlaczego nie niańczysz Franka Valentiego? To on potrzebuje ochroniarza. Nie ja.

- Kurwa, co dziś w ciebie wstąpiło? Masz okres czy jak? - prychnął, po czym zawołał do Bei: - Jak długo trzeba czekać w tej spelunie na pieprzonego drinka?

- Mam klientów, Jimmy. Robię, co mogę - rzuciła Bea, mijając nasz stół w pośpiechu.

Wkurzony Jimmy skupił uwagę na zespole, dopóki Bea nie przyniosła mu drinka. Wtedy chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął ku sobie tak blisko, że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

- Gównu mnie obchodzą twoi klienci. Jestem twoim mężem, do cholery. To mnie obsługujesz pierwszego! Dotarło? - warknął, ściskając mocno przegub jej ręki.

- Tak, Jimmy - odparła tonem skarconego dziecka. - Przepraszam.

Jego zachowanie rozzłościło mnie i nie przepuściłam okazji, żeby mu dogryźć.

- Ciebie, Jimmy, klienci mogą nie obchodzić, ale jestem pewna, że Joe ma na ten temat inne zdanie. A Bea pracuje dla nas. Za kogo ty się w ogóle uważasz, za króla Faruka?

Jimmy zmrużył oczy.

- Wiesz co, chyba mam już na dzisiaj dość twojej niewyparzonej gęby, Georgia. Nie jestem w nastroju. - Zesztywniał i pochylił się nad stolikiem. - Więc się ode mnie odwal.

Boże, jak ja nim gardziłam. Bea była taką uroczą kobietą. Nie zasługiwała na podobne traktowanie. Poza tym, ona i Jimmy byli w separacji. Ale chociaż Jimmy mieszkał już z inną kobietą, nadal kontrolował każdy ruch Bei. A ona wciąż go kochała. Nawet jeśli pragnęła dla siebie innego życia, to wiedziała, że nie ma co na to liczyć. Jego poprzednia dziewczyna już tego próbowała...

Podobno Jimmy śledził ją pewnego wieczoru, kiedy przyjechał po nią facet, z którym umówiła się na randkę. Zabił ich oboje - z zimną krwią strzelił obojgu prosto w głowę. A potem otwarcie się tym przechwalał. Nie bał się ani policji, ani mafii. Nie, Jimmy „Młotek” Massaro zdecydowanie nie był typem człowieka, któremu można się było sprzeciwić. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, ale był małym, żyłastym szajbusem. Wolał strzelić, niż się kłócić. I niewiele było trzeba, żeby wyprowadzić go z równowagi.

Poszłam do łazienki. Chociaż miałam do przejścia tylko kilkanaście metrów, po drodze kilkakrotnie zapraszano mnie do tańca i zaproponowano mi kilka drinków. Zignorowałam wszystkie propozycje. Nie zdobyłam się nawet na zwykłe: „Nie, dziękuję”. Nauczyłam się zmieniać swoją osobowość za każdym razem, kiedy byłam w klubie. Zbyt wielu niewinnych ludzi napytało sobie biedy pod wpływem alkoholu - wchodzili do klubu, ale potem byli z niego wynoszeni.

Po powrocie zauważyłam, że Joe stoi w swoim zwykłym miejscu na końcu baru. Jego

podejrzliwe oczy rzucały mordercze spojrzenia każdemu, kto ośmielił się nieco dłużej zatrzymać na mnie wzrok. Do mojego stolika dosiadł się tymczasem kolejny nieproszony gość: Gene DeFrancesco. Jego szeroka, sowa twarz nosiła oznaki wielu lat ciężkiego życia. Zarówno Duży Gene, jak i Jimmy byli niepełnoetatowymi ochroniarzami Franka Valentiego.

- To kto pilnuje dziś Franka? - zapytałam, siadając.

Duży Gene zmarszczył brwi i zerknął na mnie, przekręcając po ptasiemu głowę.

- Nie zwracaj na nią uwagi, ma dzisiaj ciotę - stwierdził Jimmy, rzucając mi zde gustowane spojrzenie, które natychmiast odwzajemniłam.

- Cześć, Gene - powiedziałam z wymuszonym uśmiechem.

- Cześć, Georgia - odparł bez cienia uśmiechu.

- Wiesz co, Gene? Chyba nigdy nie widziałam, żebyś się uśmiechał - zauważyłam. -

Czy ty się w ogóle uśmiechasz... kiedykolwiek?

- Tak, uśmiecham się.

Jasne, akurat. W przypadku Dużego Gene'a przyjacielskie klepnięcie w plecy było niczym innym, jak tylko szukaniem miękkiego miejsca, w które mógłby ci w przyszłości wbić nóż.

- Kiedy? Pytam, bo nigdy tego nie widziałam.

- Kiedy robię komuś krzywdę - odpowiedział.

Nie dostrzegałam w nim emocji ani współczucia, tylko te zimne, ciemne oczy rekina.

Grube szkła jego okularów działały niczym lupa, powiększając czające się pod nimi zło. Patrząc mu w oczy, czułam się tak, jakby wsysał mnie w otchłań swojego obłąkanego umysłu, jakby kusił mnie, żebym weszła do środka. Uciekłam wzrokiem przed jego lodowatym spojrzeniem. Jeśli miała to być jakaś psychologiczna gierka, to Gene ją wygrał.

Duży Gene był całkowitym przeciwieństwem Jimmy'ego, ale tylko pod względem postury. Był od niego wyższy co najmniej o trzydzieści centymetrów. Jego potężne ciało składało się z ponad 110 kilogramów samych mięśni.

Jimmy odchrząknął.

- Kiedy wróciłeś z Bostonu, Gene?

- Wczoraj - odparł, poprawiając na nosie okulary swoimi grubymi paluchami, przypominającymi włoskie kielbaski. - Mike „Kapuś” jest już tylko wspomnieniem.

- Tak?

- Tak. Zmarł podczas duszenia.

Obaj zanieśli się śmiechem. Przewróciłam oczami i odwróciłam wzrok. Po chwili twarz Dużego Gene'a spoważniała. Pocierając dłonią lśniące od brylantyny włosy,

powiedział:

- Jimmy, mamy sprawę do omówienia.

Zazwyczaj takie stwierdzenie było dla mnie znakiem, że powinnam się oddalić, ale po pierwsze, dopiero co wróciłam z toalety, a po drugie, to był mój stolik! Jeśli chcą pogadać, niech sami gdzieś sobie pójdą. Tak właśnie zrobili. I dobrze! Siedziałam sama, słuchając muzyki, ale nie trwało to długo.

- Nie zechciałabyś ze mną zatańczyć? - zapytał jakiś mężczyzna.

Spojrzałam przez ramię i odparłam krótko:

- Nie, dziękuję.

Joe mnie obserwował, jakże by inaczej. Niewiele było w stanie umknąć jego uwadze. Kilka sekund później stał już za moim krzesłem.

- Czas iść na górę - oznajmił.

- Ale ja nie chcę iść na górę.

- Jestem zbyt zajęty, żeby cię pilnować. Zabieraj tyłek i idź na górę.

- Jestem już dużą dziewczynką, Joe, nie musisz mnie pilnować. Nigdzie nie idę - powiedziałam wyzywająco.

Brawo, White. Nie pozwól mu sobą dyrygować.

Joe dyskretnie chwycił mnie za włosy i pociągnął do tyłu moją głowę.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przy nas Sammy G.

- Ten stolik jest wolny? - zapytał.

- Dla ciebie tak, Sammy. Siadaj.

Sammy opadł na krzesło i rozpiął płaszcz. Podniosłam głowę w stronę Joego.

- Już mam swoją niańkę. Myślę, że będę bezpieczna - powiedziałam ironicznym szeptem.

- Hej, Sam - odezwał się Joe, wyciągając rękę na powitanie. - Jak leci?

- Mogłoby być lepiej - odparł Sammy. Nie podał Joemu ręki.

Joe odszedł, żeby załagodzić kłótnię, jaka wybuchła przy barze.

- O co tu chodziło? - zapytał Sam.

- O co chodziło z czym?

- Georgia, nie udawaj głupiej, wiesz, co mam na myśli.

- To nic takiego, Sammy, naprawdę. On po prostu nie lubi, kiedy za dużo sama myślę.

- Jak cię ostatnio traktuje?

- W porządku - powiedziałam, unikając jego wzroku.

Sammy wyprostował ramiona i spojrzał mi prosto w twarz.

- Więc skąd wziął się ten siniak na twoim ramieniu?

- Jaki siniak? - zapytałam, spoglądając na rękę. - Ach, to. Musiałam się wczoraj uderzyć drzwiami od samochodu.

Spojrzał mi w oczy z powątpiewaniem. Wreszcie uśmiechnął się znacząco i odwrócił głowę. Wiedział, że kłamię.

- Gdzie jest Joey Tiraborelli? - zagadnęłam, próbując zmienić temat.

- Gdzieś tu się kręci.

Odwróciłam się, żeby rozejrzeć się po sali. Joe stał przy barze w otoczeniu trzech kobiet, zadowolony z uwagi, jaką go obdarzały.

Z kogo on sobie kpi, White - z ciebie czy ze mnie?

- Żałujesz czasami, że nie zostałam z Tomem? - spytał Sammy. Poznał po mojej minie, że zachowanie Joego mnie zabolalo.

- Nie, Sam. Nigdy. Dlaczego o to pytasz?

- Po prostu się zastanawiam.

- Nawet nie wiem, dlaczego w ogóle za niego wyszłam.

- Ja wiem.

- Serio?

- Tak. Myślę, że cię rozgryzłem. Wyszłaś za niego, bo wydawało ci się, że jesteś „zepsutym towarem”. Mam rację?

- No, sama nie wiem, być może...

- Zbyt nisko się wtedy ceniłaś, mała. I teraz też zbyt nisko się cenisz. Nie musisz znosić tego syfu, który funduje ci ten gnojek. Jesteś wyjątkową kobietą, Georgia. Wygląda na to, że wiedzą o tym wszyscy poza tobą.

- Kocham go, Sam, ale są takie chwile...

Sammy pokręcił głową i spojrzał przez zasłonkę z czerwonych koralików - w samą porę, żeby zobaczyć, jak Joe chowa do kieszeni kartkę z numerem telefonu brunetki. W wyrazie twarzy Sammy'ego było coś niepokojącego.

- Wybierasz się potem do klubu afterowego? - zapytał po chwili milczenia.

- O, nie sądzę. Gdybyś tu wcześniej nie podszedł, byłabym już na górze. Siedziałabym wystrojona w oknie, gapiałabym się na parking i obserwowała, kto kogo zdradza. Czasem widuję przez to okno straszne rzeczy. - Ugryzłam się nagle w język; miałam nadzieję, że nie Sammy nie podejmie tematu.

- Nie wątpię. Czy to przypadkiem nie twoja kuzynka stoi przy barze?

- Ach tak, wspominała, że może tu dziś zajrzeć.

Wstałam i podeszłam do kuzynki Debbie. Kiedy wróciłam z nią do stolika, Sammy'ego już przy nim nie było.

O trzeciej nad ranem wyruszyliśmy do klubu afterowego na -Lyell Avenue, oddalonego o kilka przecznic od Caesars. Joe zdawał sobie sprawę, że przez cały wieczór byłam świadkiem jego flirtów z kobietami, i czuł, że powinien mnie jakoś ułagodzić. Klub, który odwiedziliśmy, mieścił się w starym, podniszczonym budynku w przemysłowej części miasta; zamieniono go w miejsce nocnych spotkań, w którym chętnie załatwiano różne pokątne interesy. W środku zauważyłam niemal wszystkich znajomych chłopaków, oprócz Sammy'ego G. Z tłumu wynurzył się Joey Tiraborelli.

- Co ty tu robisz? - spytał skonsternowany.

- Co masz na myśli?

- No, Sam powiedział, że nie przyjedziesz. Jestem po prostu zaskoczony, nic poza tym - powiedział.

Jego oczy niespokojnie błędziły po całej sali. Lewy policzek drgnął, kiedy zapalał papierosa, przestępując z nogi na nogę.

- Joey, pamiętasz moją kuzynkę Debbie?

- Pewnie, że pamiętam. Jak się miewasz, Deb? Napijcie się czegoś, dziewczyny? - spytał, oglądając się nerwowo przez ramię.

- Oczywiście, że się napijemy, Joey. W końcu właśnie po to przychodzi się do takiego klubu, prawda? Pytanie brzmi, na co mamy ochotę - odparłam z gardłowym śmiechem.

Joey się nie zaśmiał. To było do niego niepodobne. Zwykle tryskał humorem. Postawił nam drinka, po czym gdzieś zniknął.

- Wyglądał na podenerwowanego - zauważyła Debbie.

- Kto wie, jakie pokręcone historie dzieją się w ich świecie, Deb. Nauczyłam się nie zadawać pytań - odparłam, wpatrując się w pokrytą zniszczonym linoleum podłogę.

Joe stał na przeciwległym końcu baru, zajęty pouczaniem barmana, komu w pierwszej kolejności powinien nalewać drinki. Dla Debbie była to pierwsza w życiu wizyta w klubie afterowym. Przez cały czas rozglądała się niepewnie, obawiając się aresztowania podczas policyjnego nalotu na lokal.

- Odpręż się, Deb. Gliniarzami już się zajęto.

Ledwo Debbie zaczęła czuć się swobodniej, rozległy się aż nazbyt dobrze znajome odgłosy bijatyki. Natychmiast zaczęłam rozglądać się za Joem, ale nigdzie nie mogłam go dostrzec. Ogarnięta paniką, przeciskałam się przez tłum ludzi w kierunku kuchni; drżałam na

myśl o tym, co tam zobaczę. Moje obawy się potwierdziły.

Było ich pięciu na jednego. Joe nie miał szans. Większość spustoszeń czynił Joey Tiraborelli, mój przyjaciel. Za każdym razem gdy Joe padał na ziemię, Tiraborelli miażdżył mu kopniakiem twarz. Wyrwałam się z tłumu i skoczyłam na Joeya.

- Dość! Zabijesz go! - darłam się. - Ty sukinsynu! Jak możesz to robić?

Tom Torpey chwycił mnie i ściągnął z Joeya, rzucając mną o automat z kawą. Byłam unieruchomiona i mogłam tylko bezsilnie patrzeć, jak przerabiają Joego na krwawą miazgę.

- Proszę, proszę - błagałam Torpeya.

Jego osłonięte ciemnymi okularami oczy rozwarły się szeroko, a usta się zacisnęły.

- Proszę? Ten skurwiel sobie na to zasłużył!

Tom Torpey traktował mnie jak wroga! Byłam oszołomiona i bezsilna. Cokolwiek bym powiedziała, nic nie było w stanie powstrzymać ich agresji.

Okienko w kuchennych drzwiach zaparowało, odgradzając ich od ingerencji z zewnątrz.

- Zabijcie go! - ryknął Torpey, nadal mnie przytrzymując.

Biciem Joego nie zajmowali się jacyś pierwsi lepsi. To byli najbardziej bezwzględni faceci w Rochester - ludzie, którzy utrzymywali się z zabijania i okaleczania innych. Jedni zabijali dla pieniędzy, inni w imię interesów rodziny... byli też tacy, którzy robili to dla czystej przyjemności. Krążyli po mieście, egzekwując długi w imieniu mafii, żyli dla tych chwil, kiedy trafiali na biednych głupców, którzy nie byli w stanie zapłacić.

Przez wszystkie lata, które spędziłam w klubach Rochester, wielokrotnie bywałam świadkiem wybuchów ich gniewu. Kiedy miałam czternaście lat, na własne oczy widziałam, jak brutalny potrafi być Tom Torpey - było to przed klubem 414, w którym Tom pracował jako wykidajło. Z przerażeniem patrzyłam, jak odgryza facetowi ucho. Od tamtej pory awansował w hierarchii. Znałam Toma, odkąd byłam dzieckiem, zawsze był moim przyjacielem i obrońcą. Kochałam tych chłopaków i sądziłam, że odwzajemniają to uczucie. Dlaczego więc teraz mi to robili? Bałam się o życie Joego.

- Nie wstawaj! Nie wstawaj! - krzyczałam.

Joe jednak był otumaniony. Wciąż usiłował się podnieść, za co spotykała go okrutna kara.

Wreszcie udało mi się wyrwać i wybiegłam na zewnątrz, na chłodne zimowe powietrze. Potargane włosy opadały mi na twarz. Z trudem łapałam oddech. Nagle dostrzegłam policyjny radiowóz, patrolujący boczną uliczkę. W tamtym momencie nie myślałam o zasadach - nigdy nie wzywaj glin. Wpadłam w histerię, byłam pewna, że jeśli nie

sprowadzę pomocy, zabiją Joego. Gliniarz zatrzymał samochód. Znałam go - był stałym bywalcem naszego klubu.

Z uniesionymi wysoko brwiami i płonącymi oczami wykrzyczałam:

- John! Oni tam zabijają Joego! Pomóż mi. Oni go zabijają!

John ujął moje dłonie i mocno je ścisnął. Miałam wrażenie, że szczerze mi współczuje.

- Nie mogę ci pomóc, Georgia - powiedział. - Przykro mi.

- Ale oni...

Puścił moje ręce, spojrzął prosto przed siebie i odjechał. Stałam z otwartymi ustami, a tymczasem radiowóz skręcił w prawo w Lyell Avenue i zniknął mi z oczu. Poczułam się kompletnie bezradna. Wbiegłam z powrotem do środka.

Joe leżał nieruchomo na podłodze. Joey Tiraborelli przykucnął obok i namalował na czole Joego znak krzyża - jego własną krwią. Pomyślałam, że Joe nie żyje. Zastygłam w bezruchu, a z moich ust dobył się głośny krzyk. Tiraborelli odwrócił się i na mój widok powoli się wyprostował. Kiedy do mnie podszedł, nie dostrzegłam na jego twarzy ani śladu poczucia winy. Opierałam się, ale wypchnął mnie z kuchni.

- Joey, jak mogłeś!? - krzyczałam, okładając go pięściami.

- Musiałem to zrobić, Georgia! - Potrząsnął mną, próbując wyprowadzić z ataku hysterii. - Nie miałem wyboru. Przykro mi. Ten gnojek zasłużył sobie na to tym, jak cię traktował.

- Och, nie! Mój Boże! Nie zrobiłeś tego z mojego powodu? Proszę, powiedz, że nie zrobiłeś tego dla mnie! Nie dla mnie... - Rozpłakałam się.

- Powiem ci tak: przekroczył granicę o jeden raz za dużo.

W drzwiach stanął przyjaciel Joego, Butch Marionette, podtrzymując bezwładne ciało Joego. Wszyscy goście zdążyli się rozpierzchnąć, klub był zupełnie opustoszały.

- Georgia, przyprowadź samochód. Szybko! - zawołał Butch. - Musimy zawieźć go do szpitala.

Wybiegłam na ulicę, wskoczyłam do wozu, zakręciłam o sto osiemdziesiąt stopni i pomknęłam uliczką. Zatrzymałam się z piskiem opon, po czym pomogłam Butchowi wsadzić Joego do środka. Butch obiegł samochód i usiadł za kierownicą.

- Zostań tutaj - polecił mi Joe ledwie słyszalnym głosem.

- Nie ma mowy, jadę z tobą.

- Nie chcę, żebyś jechała - powiedział na wpół przytomny.

- Nie kłóć się z nim, Georgia. Zamknij drzwi. Musimy jechać. Natychmiast, do

cholery! Zadzwoń, jak tylko będę coś wiedział.

Zostałam sama ze swoim strachem. Stałam i patrzyłam, jak samochód gwałtownie nabiera prędkości.

- Chodź, Georgia, wejdź do środka. Podwiozę cię do domu - powiedziała Debbie, która pojawiła się obok mnie.

Zupełnie o niej zapomniałam. Wyglądała na roztrzęsioną - nie była przyzwyczajona do tego świata. Kiedy odjeżdżałyśmy, Joey Tiraborelli stał na progu z nisko zwieszoną głową.

W końcu zadzwonił telefon.

- Ma pięć złamanych żeber i krwotok wewnętrzny. Zatrzymają go tutaj przez jakiś czas.

- Kiedy będę mogła go zobaczyć, Butch?

- On... on nie chce się z tobą widzieć, Georgia. Nie w tej chwili.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jadę do szpitala.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił.

- Jak to się stało, Butch? O co poszło?

- O to będziesz musiała zapytać Joego. Ale powinnaś przemyśleć, po czyjej jesteś stronie, paniusiu!

Połączenie zostało przerwane.

Nigdy nie poznałam prawdziwej przyczyny tamtego pobicia. Czułam, że maczał w tym palce Frank Valenti. Z drugiej strony, przez kilka miesięcy po tamtym incydencie Joe nie stosował wobec mnie fizycznej przemocy. Ale gdy jego stan się poprawił, pogorszyła mu się pamięć.

Szczyt potęgi Franka Valentiego przypadł na przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W roku 1971 i 1972 zaczęły się jednak jego problemy z wymiarem sprawiedliwości, które doprowadziły ostatecznie do końca rządów Valentiego. Kiedy znalazł się za kratkami, okazało się, że jego podwładni nie są już tak skorzy nadal akceptować jego władzy. Nadszedł długo wyczekiwany moment. Sammy G robił strategiczne kroki w celu zajęcia pozycji, której od dawna pragnął. Zabił jednego z ochroniarzy Franka, wypaliwszy mu ze strzelby prosto w twarz. Valenti zrozumiał komunikat i zajął się odsiadaniem swojego wyroku - dożywocia z prawem do ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie po dwudziestu latach.

Władzę nad imperium, które Frank Valenti zbudował pod kuratelą Stefana Maggadino, przejęło trio złożone z Sammy'ego Gingello, Reda Russottiego i Renego Piccarreto. Z tej trójki to Sam był obdarzony największą fantazją. Red i Rene trzymali się

dyskretnie w cieniu - no, może niezupełnie dyskretnie, ale jednak w cieniu. W połowie 1972 roku czas Franka Valentiego należał już do przeszłości. W Rochester nastały nowe rządy. Zmiany w układzie sił pociągnęły za sobą falę morderstw.

Znaleziono go w bagażniku jego własnego samochodu. Z sześcioma kulami w głowie. Od jego zaginięcia minęło pięć dni, ale chłodne listopadowe powietrze uchroniło ciało od rozkładu. Wiedziałam, że nie pożyje zbyt długo. Nie potrafił utrzymać języka za zębami. Jimmy „Młotek” Massaro był już tylko wspomnieniem, i to złym wspomnieniem. Święto Dziękczynienia roku 1973 okazało się ostatnim świętem w życiu Jimmy’ego „Młotka”. Wzdrygam się na samą myśl o tym, czym sobie zasłużył na swoje przydomki.

Nie chciałam być na jego pogrzebie. Poszłam tylko po to, żeby podtrzymać na duchu Beę, która była naprawdę delikatną istotą. Nie mogła nic poradzić na to, że kochała Jimmy’ego - tak jak ja nie mogłam nic poradzić na swoją miłość do Joego. Teraz była wreszcie wolna i mogła żyć bez strachu. Z czasem zdała sobie z tego sprawę i znalazła spokój.

W powietrzu unosił się duszny, słodkawy zapach róż, stare kobiety z różańcami w pomarszczonych dłoniach zawodziły żałośnie. Joe i ja precyzyjnie przeszliśmy przez tłum w kierunku Bei. Usiedliśmy w pierwszym rzędzie, po jej lewej stronie, a miejsca na prawo od Bei zajęła jej rodzina. Trzymałam ją za rękę i wpatrywałam się w stojące na trumnie zdjęcie. W moich oczach nie było łez. Nie miałam o Jimmym żadnych miłych wspomnień, w mojej głowie pojawiały się wyłącznie mroczne obrazy. Nie potrafiłam puścić w niepamięć tego, co złe, choćbym nie wiem jak bardzo się starała.

Zanim wieczór dobiegł końca, na miejscu zjawili się wszyscy członkowie mafii z Rochester. Uczestnikom włoskich pogrzebów tradycja nakazuje ubrać się na czarno. Kiedy więc Sammy G zjawił się w kremowym płaszczu przeciwdeszczowym, ściągnął na siebie powszechną uwagę. Po zebranych przeszedł szmer, potwierdzenie jego wysokiego statusu, kiedy Sammy arogancko stanął u boku wdowy.

Delikatnie ujął jej dłoń.

- Przykro mi, Bea - powiedział z dobrze udawaną szczerością w głosie.

Bea wyszarpnęła rękę i przeszła go lodowatym spojrzeniem. Sammy odwrócił wzrok, nie okazując jednak nawet cienia skruchy. Pozdrowił mnie skinieniem głowy, zignorował Joego i podszedł do trumny. Za nim ruszyli jego goryle, tworząc za jego plecami mur z ciał i mięśni; Sammy przez krótką chwilę stał przy trumnie z pochyloną głową. Kiedy się odwrócił, zdawało mi się, że dostrzegłam na jego twarzy leciutki uśmiešek.

Rose Rotundi, kochanka Jimmy’ego, siedziała naprzeciwko nas na jednym z krzeseł

ustawionych po ścianą. Była wyraźnie roztrzęsiona. I miała do tego powody. To ona odebrała telefon, po którym wściekły Jimmy wybiegł z domu - na spotkanie ze śmiercią. Rose wiedziała, czyj głos usłyszała wtedy w słuchawce, ale trzymała gębę na kłódkę. Nagle zauważyłam, jak jej ciało zeszywniało, a krew zupełnie odpłynęła z jej i tak już bladej twarzy. Podążyłam za jej lodowatym wzrokiem i ujrzałam wchodzącego Gene'a DeFrancesco.

Nazywano go Dużym Genem, ja jednak miałam dla niego własne przezwisko: „Księgowy”. Nie tylko przypominał księgowego, ale także - jak mówiły pogłoski - to właśnie on wyrównywał w imieniu mafii rachunki z wieloma spośród tych, których ciała znajdowano później dryfujące po rzece Genesee. Był wyjątkowo parszywym sukinsynem. Pod tym względem przypominał Jimmy'ego. Ale o ile Duży Gene umiał trzymać nerwy na wodzy, o tyle Jimmy kompletnie sobie z tym nie radził. Ta cecha ułatwiła zaaranżowanie jego egzekucji.

Rose trzymała obie ręce na podołku, starając się powstrzymać ich drżenie. Czy to Duży Gene był cynglem, który załatwił Jimmy'ego? Zaczęłam mu się przyglądać i zauważyłam, co się stało, kiedy Gene mijał Rose i ich oczy się spotkały. W tamtej chwili nabrałam pewności, że to on jest zabójcą. I że on wie o tym, że Rose wie. Teraz wiedziałam także ja. Możliwe, że inni również to przeczuwali, ale nikt nie powiedział tego głośno. Jimmy i Gene byli bliskimi przyjaciółmi i Jimmy darzył go zaufaniem. Podobno to zawsze jest ten, który był najbliżej ciebie - ten, któremu powierza się własne życie.

- Bea, tak mi przykro - powiedział Księgowy.

- Och Gene, on odszedł... odszedł - zaszlochła Bea w nagłym przyływie emocji.

- Wiem, kochanie, wiem. - Gene przytulił ją delikatnie.

Ogarnęła mnie fala pogardy. Co za wspaniały pokaz współczucia - nigdy wcześniej nie widziałam u niego czegoś podobnego. Może minął się z powołaniem? Powinien zostać aktorem.

- Jezu, Joe, możemy stąd wyjść? - wyszeptałam. - Spędziliśmy tu już tyle czasu, że chyba zdążyliśmy okazać nasz szacunek? Bea ma przy sobie rodzinę, nie jesteśmy jej potrzebni.

Czekałam samotnie na Joego, który poszedł na zatłoczony parking po samochód. Było rześko i bezwietrznie. Postawiłam wysoko kołnierz płaszcza i opuściłam podbródek na piersi. Padał drobny śnieg, taki, który szybko gromadzi się na ziemi. Rano wszystko będzie pokryte miękkim białym dywanem. Nie zamierzałam brnąć nazajutrz w śniegu, przemierzając cmentarz. Miałam dość tej farsy.

Nagle moje ciało przeszła fala zimna - i nie była to zasługa mroźnego powietrza.

- Cześć - odezwał się głos przypominający dźwięk przezartego rdzą samochodowego tłumika.

Odwróciłam się i ujrzałam szczelnie otulonego płaszczem Księgowego.

- Witaj, Gene - odparłam chłodno, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Nie chciałbym umrzeć zimą, a ty? - zapytał, próbując zagadać niezobowiązująco - a przynajmniej tak mi się wydawało.

Wcisnęłam ręce głębiej w kieszenie płaszcza.

- Nie, Gene, gdybym tylko miała jakiś wybór - odparłam. - Niestety, raczej nie mogę na to liczyć. Może ty, ze swoimi koneksjami, szepniesz za mną słówko i przekażesz komu trzeba, że wołałabym jesień.

Powiedzenie tego komuś takiemu jak Gene było dość głupie, ale zrobiłam to spontanicznie. Milczenie, które potem zapadło, pogarszało jeszcze sprawę. Patrzyłam wszędzie, tylko nie na niego. Wreszcie podjechał Joe i Duży Gene otworzył mi drzwi. Co za gentleman!

- Do zobaczenia - powiedział z dziwnym wyrazem twarzy, zatraskując drzwi.

Mam nadzieję, że niezbyt szybko - pomyślałam i ciarki przeszły mi po plecach.

Nigdy nie podzieliłam się swoimi spostrzeżeniami z Joem. Dostrzegałam wiele rzeczy, ale nigdy wiele o nich nie mówiłam. W ten sposób życie było łatwiejsze.

Musiały upłynąć cztery lata, zanim prawda ujrzała światło dzienne - w końcu jednak Gene DeFrancesco został oskarżony o zamordowanie Jimmy'ego Massaro. A życie w przestępczym półświatku toczyło się dalej.

Rozdział siódmy

Kolejny raz obudziły mnie wystrzały. Wiedziałam, że nie wymyśliłam ich sobie, jak ostatnim razem usiłował wmówić mi Joe. Zaczęłam nasłuchiwać. Panowała zupełna cisza. Zapadłam w sen, z którego jakiś czas później wyrwały mnie dobiegające z oddali głosy. Ostatni maruderzy wychodzą z klubu. Joe niedługo przyjdzie na górę... - pomyślałam i ponownie pogrążyłam się we śnie.

- Znowu słyszałam w nocy te odgłosy. Jestem pewna, że to brzmiało jak wystrzały - powiedziałam nazajutrz rano przy śniadaniu.

- Bo tak było. Chłopaków trochę wczoraj poniosło. Masz ochotę wybrać się na wyścigi? - zapytał, zmieniając temat.

- Pewnie. Kto jeszcze idzie?

- Chris Fiorito, Butch i kilku chłopaków z zespołu. Mój przyjaciel ma konia, który startuje w siódmej gonitwie, a dżokej jest kumplem Chrisa. To pewniak.

- Z jakim numerem startuje ten koń? - dopytywałam podekscytowana. Uwielbiałam wyścigi konne.

- Z siódmką.

- Na pewno wygra. Po prostu wiem, że tak będzie. Siódemka to moja szczęśliwa liczba.

- Szczęście nie będzie ci potrzebne.

Miał rację. Wygraliśmy, i to dużo. Joe był w dobrym humorze. Kiedy wracaliśmy do domu, wpadł na pomysł, w jaki sposób wydać część ze świeżo zdobytych pieniędzy.

- Wiesz, kochanie, przydałoby mi się większe biuro. Myślę, że przerobię na biuro naszą sypialnię.

- W takim razie gdzie będzie sypialnia?

- Zbudujemy nową. Pozwolę ci ją nawet zaprojektować.

Joe natychmiast przystąpił do realizacji planu. Na czas trwania budowy przenieśliśmy się do szeregowca dwie przecznice dalej. W naszej nowej sypialni problemem był brak naturalnego oświetlenia. Wybicie otworu okiennego w którejkolwiek ze ścian okazało się niemożliwe. Brak dziennego światła działał na mnie depresyjnie, ale Joe był zadowolony. Lubił ciemność.

Nie znosiłam zostawać w szeregowcu sama, a tymczasem Joe pracował do późna i czasami nocował w mieszkaniu nad klubem. Nie podobała mi się aura tego miejsca. Nie

należałam do osób, które boją się byle czego, ale przebywając tam, czułam się dziwnie nieswojo.

- Joe, chcę dzisiaj spać w naszym mieszkaniu. Nie lubię być sama w tym domu.

- Nie zachowuj się jak dziecko.

- Mówię poważnie, Joe. Ten dozorca przyprawia mnie o gęsią skórkę. Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy. Czasami mam wrażenie, że obserwuje mnie z ukrycia.

Joe nagle się zainteresował. Wyprostował się na krześle.

- Widziałas go kiedyś, jak tu węszy?

- Nie. Po prostu mam takie przecucie. Włosy na karku stają mi dęba i po prostu wiem, że on jest tam na zewnątrz, chowa się gdzieś w ciemności. Boję się go.

Joe wstał i zaczął krążyć po pokoju jak rozjuszony byk.

- Jeśli złapię tę mendę na tym, że cię podgląda, zrobię mu w dupie drugą dziurę. Ty i Toni będziecie dziś spać w mieszkaniu. Wróć wcześniej - obiecał, całując mnie na pożegnanie.

Obudziłam się w pokoju Toni o trzeciej nad ranem. Poszłam do biura Joego i wyjrzałam przez okno na pograżony w mroku, zupełnie pusty parking. Byłam głodna, zadzwoniłam więc do ulubionych nocnych barów Joego, żeby przywiózł mi coś do jedzenia. Okazało się jednak, że nie ma go w żadnym z tych miejsc. Serce mi zamarło; spodziewałam się najgorszego. Po ostatnim razie tak strasznie błagał, żebym od niego nie odchodziła; obiecywał, że to już nigdy więcej się nie powtórzy. A ja mu uwierzyłam. Kwiaty, romantyczne kolacje - to wszystko było kłamstwem.

Pokaż mu, że nie będziesz się na to godzić, White! Kiedy wróci, niech zastanie puste mieszkanie. Zbyt wiele puszczasz mu płazem. Przestań zachowywać się jak idiotka!

Żołądek podszedł mi do gardła. Zapakowałam córkę do samochodu i pojechałam do szeregowca.

Na moim miejscu parkingowym stał samochód Joego. Zaczęłam drzeć. Moje podejrzenia okazały się słuszne. Przekręciłam klucz w zamku, ale drogę zagroził mi zaciągnięty łańcuch. Postawiłam Toni na chodniku, po czym całym ciężarem ciała natarłam na drzwi. Zrobiłam to z tak niewiarygodną siłą, że łańcuch odpadł wraz z futryną.

Porwałam Toni na ręce i wbiegłam pod schodach na piętro. Pośpiesznie zaniósłam córkę do jej pokoju i zamknęłam drzwi. Adrenalina buzowała mi w żyłach. Pchnęłam drzwi do naszej sypialni i zapaliłam światło. Kobieta leżącą w moim łóżku była kuzynka Joego!

Ona i Joe znaleźli się w potrzasku, bez drogi ucieczki; kurczowo przyciskali do ciała prześcieradło w oczekiwaniu na nieuchronną konfrontację.

- Uwierzysz w to, co widzisz, czy w to, co ci powiem!? - wykrzyczał Joe.

- Ty chory skurwielu! - wrzasnęłam, porywając ze ściany dekoracyjny miecz. -
W moim łóżku! Sukinsynu!

Straciłam panowanie nad sobą. Za każdym razem kiedy mnie bił, pozwalałam sobie wmawiać, że to moja wina; że to ja zrobiłam coś, przez co jemu puściły nerwy. Ale tym razem było inaczej. Tym razem za to zapłaci.

Zabij tego żalosego sukinsyna! Nie zasługuje na ciebie - nie zasługuje na to, żeby żyć!

Wymachiwałam mieczem, napędzana obłąkańczą żądzą zemsty, cięłam prześcieradło i wszystko, co tylko nawinęło się pod klingę. Kuzynka Joego wyskoczyła z łóżka i całkowicie naga wybiegła z domu. Joe chwycił grubą futrzaną narzutę i osłaniał nią głowę przed ciosami, mimo to i tak zdołałam go zranić. Zabrakło zaledwie kilku centymetrów do tego, by ostrze dosięgło prawdziwego winowajcy. Grubość narzuty ocaliła życie nie tylko Joemu, ale i mnie. Zabiłabym go, gdyby nie zdołał w końcu wyrwać mi broni z ręki. Próbował uderzeniem w twarz przywrócić mnie do rzeczywistości, jednak ja byłam w szale.

Toni płakała głośno, ale w moim stanie nie mogłam jej uspokoić. Wciąż byłam zaślepiona gniewem. Nawet widok krwi Joego nie zdołał nasycić mojego pragnienia odwetu. Zbiegłam po schodach, pootwierałam kuchenne szafki i zaczęłam ciskać szklankami o ścianę z nieotynkowanych cegieł. Było to dość bezsensowne zachowanie, ale musiałam dać upust roszadającej mnie złości. Joe zszedł na dół, ubrany, ale jego kremowe spodnie nabrały teraz barwy krwistej czerwieni. Uchylając się przed fruującym po kuchni szkłem, zdołał wreszcie złapać mnie i zaciągnąć do salonu. Potrząsał mną gwałtownie, licząc, że w ten sposób zakończy moje szaleństwo. Wreszcie posadził mnie na kanapie i przytrzymał moje ręce. Czekał niecierpliwie, dopóki nie przestałam konwulsyjnie się skręcać. Nie odważył się mnie uderzyć, za bardzo się bał, że po tym, co zobaczyłam w sypialni, może na dobre mnie utracić.

- To nie było zaplanowane, Georgia. Ona była przygnębiona i chciała pogadać, więc pojechaliśmy tutaj, tylko po to, żeby porozmawiać.

- Jasne, właśnie tak to wyglądało: na rozmowę. Ty kutasie! Puszczaj moje ręce!

- Kiedy już tu przyjechaliśmy... ona mnie uwiodła - ciągnął spokojnym głosem Joe.

- W moim łóżku! Z twoją własną kuzynką! Jesteś chory, a z nią jest jeszcze gorzej niż z tobą. Puść moje ręce, sukinsynu!

- Georgia, to nie tak... Hej, co to było? - Ruchem głowy wskazał na szklane przesuwane drzwi, prowadzące na ogrodzone podwórze za domem.

- Co takiego? - zapytałam, spoglądając na zewnątrz. Podejrzewałam, że usiłuje po

prostu odwrócić moją uwagę.

- Widziałem, jak coś się rusza za ogrodzeniem - powiedział i uwolnił moje ręce, po czym podszedł zaafektowany do okna.

Idąc, zostawiał za sobą ślad z krwi, która wciąż sączyła się z paskudnej rany na jego nodze. Odsunął drzwi.

- Kto tam jest? - zawołał.

- To ja, dozorca - odpowiedział mu potulny głos, dobiegający z cienia.

- Co ty tam, kurwa, robisz, pieprzony zwyrołu? Pokaż gębę, ty żałosna karykaturo mężczyzny! - rzucił Joe pełnym pogardy tonem.

- Sprawdziałem tylko, co to za hałasy, nic poza tym...

Cień mężczyzny mignął w szczelinach między szczeblami ogrodzenia i zniknął. Joe zamknął drzwi i odwrócił się w moją stronę.

- Miałaś rację co do tego zboczeńca - przyznał i uspokajającym gestem położył dłoń na moim ramieniu.

Strząsnęłam ją z siebie gwałtownie.

- Kto tu kogo nazywa zboczeńcem! - rzuciłam kpiąco.

Nie mając zbyt wiele na swoją obronę, Joe poszedł do kuchni, podarł kuchenną ścierkę i zrobił z niej opaskę uciskową. Kiedy wrócił do salonu, paliłam papierosa. Ręce nadal mi drżały, ale powoli odzyskiwałam panowanie nad sobą.

- Nieźle ci poszło z tą nogą.

- Twoje szczęście, że w ogóle masz jeszcze nogę, nie mówiąc o penisie, ty sukinsynu!

- Będę potrzebował kilku szwów. Wracaj do mieszkania, nie chcę, żebyś została tu sama. Porozmawiamy później.

- Nie ma o czym rozmawiać, Joe. Nie zostanę tutaj, ale nie spodziewaj się, że zobaczysz mnie w mieszkaniu.

- Georgia, kocham cię. Wiem, jak bardzo cierpisz, ja też cierpię. Proszę, bądź w domu, kiedy wrócę.

Joe wyszedł i wąską ścieżką pomiędzy domami ruszył w kierunku parkingu.

Kiedy zniknął mi z oczu, chciałam zamknąć za nim drzwi, ale nagle moją uwagę przykuł jakiś ruch. Otworzyłam drzwi szerzej. U wylotu ścieżki ciał się skulony dozorca z pistoletem wymierzonym w stronę Joego.

- Joe, uważaj! On ma broń! - krzyknęłam.

Mężczyzna oddał dwa strzały, po czym zerwał się na równe nogi i pognął w ślad za Joem, znikając z mojego pola widzenia. Podbiegłam do wylotu ścieżki i zobaczyłam, jak

siedzący w samochodzie Joe osuwa się za kierownicą. Wycofał gwałtownie swoją corvette. Następnie wrzucił bieg, wcisnął gaz do dechy i z piskiem opon wyjechał z parkingu. Czy osunął się dlatego, że został postrzelony, czy po prostu chował się przed kulami? Dozorca tymczasem znalazł się na środku ulicy i zaczął strzelać do oddalającego się samochodu.

Dzięki Bogu, tą samą ulicą przejeżdżał akurat radiowóz (po raz pierwszy zobaczyłam wtedy gliniarzy w sytuacji, w której ich potrzebowałam - i to takich, którzy byli w stanie mi pomóc). Wybiegłam na ulicę, żeby ich zatrzymać, chociaż chyba nawet bez mojej interwencji zauważyliby stojącego na środku drogi i strzelającego z pistoletu świra. Policyjny samochód zahamował z piskiem. Wskoczyło z niego dwóch gliniarzy z rewolwerami w dłoniach. Otwarte drzwi radiowozu służyły im za tarcze.

- Rzuć broń! - krzyknęli, celując do dozorca.

Dozorca odwrócił się i otworzył ogień do policji, a ja stałam oszołomiona pomiędzy nimi.

- Wynoś się stąd, kobieto! - wrzasnął policjant.

Na ulicy pojawiły się trzy kolejne radiowozy. Popędziłam z powrotem do domu i złapałam w objęcia zapłakaną Toni. Tuliłam ją z całych sił i czekałam.

Niecodzienna sytuacja została szybko opanowana i wkrótce potem do moich drzwi zapukała policja. W tym czasie Joe zdążył pojechać do mieszkania po swój pistolet, a kiedy wrócił i zobaczył policjantów aresztujących szaleńca, pognął do budki telefonicznej. Wciąż nie wiedziałam, czy został postrzelony.

- Co tu się stało, proszę pani? - zapytał jeden z funkcjonariuszy, kiedy zauważył rozbite szkło i ślady krwi na podłodze.

Od czego powinnam zacząć? W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Jesteście całe? - zabrzmiał w słuchawce głos Joego.

- Tak, z nami wszystko w porządku... A co z tobą?

- Ze mną też - odparł z ulgą. - Gliniarze są w domu?

- Tak.

- Nie mów im, co zaszło... między nami.

- Dlaczego? Wstydzisz się?

- Chryste, Georgia. Przecież dźgnęłaś mnie mieczem, na miłość boską. Zatrzymaliby cię.

O tym nie pomyślałam.

Surrealistyczne wydarzenia, w których uczestniczyłam tej nocy, zaczęły w końcu dawać mi się we znaki. Byłam kompletnie wyczerpana. Odłożyłam słuchawkę i oznajmiłam

policjantom, że muszę zajrzeć do dziecka. Toni wierciła się niespokojnie w swoim dziecięcym łóżeczku, wciąż była jeszcze roztrzęsiona po tych wszystkich krzykach i wariactwach. Zaczęłam uspokajająco głaskać ją po głowie. Poczula się bezpiecznie, zamknęła oczy i szybko zasnęła. Po cichu wyszłam z jej pokoju, po czym zajrzałam do sypialni. Narzuta na łóżko była przesiąknięta krwią. Wyglądało to tak, jakby w pokoju popełniono morderstwo. Faktycznie, mało brakowało. Dyskretnie zamknęłam drzwi sypialni i wróciłam na parter. W domu pojawiło się tymczasem trzech kolejnych policjantów.

- Czyja to krew? - spytał jeden z nowo przybyłych.
- Mojego męża. Zaciął się rozbitą szklanką.
- Gdzie teraz jest pani mąż?
- Nie mam pojęcia.
- Co dokładnie wydarzyło się tej nocy?
- Mój mąż i ja kłóciliśmy się, kiedy...
- To musiała być niezła kłótnia - wtrącił gliniarz.
- ... kiedy zauważyliśmy tego pomyleńca, dozorcę. Obserwował nas zza ogrodzenia.

Z tamtej strony - wskazałam.

Jeden z policjantów poszedł do salonu, żeby się rozejrzeć.

- Joe otworzył drzwi do ogrodu i...
- Jak ma na nazwisko?
- Nie wiem.
- Nie wie pani, jakie nazwisko nosi pani mąż?
- Myślałam, że chodzi wam o tego drugiego. Mąż nazywa się Lamendola.
- Czy to czasem nie ten właściciel Caesars II?
- Tak.

- W porządku, co było dalej?

- Joe nawrzeszczał na tamtego, nazwał go między innymi zwyrolem. Facet sobie poszedł, ale najwyraźniej poczuł się obrażony. Wziął pistolet i zaczął się na zewnątrz. Czekał, aż Joe wyjdzie. Wtedy zaczął do niego strzelać, a potem zjawiliście się wy.

- O ci się kłóciliście?
- To nie pana sprawa.
- Chcielibyśmy z porozmawiać z pani mężem. Kiedy wróci?
- Mam nadzieję, że nigdy.
- To moja wizytówka. Kiedy będzie pani z nim rozmawiać, proszę powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. Jeśli się do nas nie odezwie, wpadniemy do niego do klubu.

- Co zamierzacie zrobić z tamtym świrem? - spytałam.

- Na jakiś czas macie go z głowy. Nie przepadamy za ludźmi, którzy do nas strzelają. Ale radziłbym państwu poszukać sobie innego mieszkania. I na waszym miejscu nie zostawiałbym w administracji nowego adresu. Możliwe, że będziemy musieli z panią jeszcze porozmawiać, więc proszę zaoszczędzić nam roboty i poinformować nas, gdzie będzie można panią znaleźć. Odezwiemy się do pani.

Po raz ostatni omietli dom podejrzliwym spojrzeniem i odjechali. Wykonałam kilka międzymiastowych telefonów i spakowałam walizki. Nad horyzontem wstawało już słońce, kiedy skręciłam w Lake Avenue i pojechałam do domu swojej matki.

Toni była bardziej zagubiona ode mnie. Zerknęłam na jej senną buzię i uśmiechnęłam się do niej. Jeszcze tylko kilka kilometrów i mała znajdzie swoją spokojną przystań. Moja przystań była trochę dalej. Zostawiłam Toni u mamy i wsiałam do pierwszego samolotu, jaki odlatywał do Miami.

- Mała Georgie, co za niespodzianka - powitał mnie Frankie w swoim zwykłym, swobodnym stylu. Ton jego głosu zmienił się jednak, gdy wsadził moją walizkę do bagażnika. - Co się dzieje, maleńka?

Bez słowa otworzyłam drzwi i wsiałam do samochodu.

- Daj spokój, kotku, przecież wiem, kiedy coś cię gryzie. W końcu to ja, Frankie.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać - warknęłam.

- W porządku, maleńka, nie ma sprawy. Powiesz, kiedy będziesz gotowa. Ale jedno muszę wiedzieć od razu.

- Co takiego, Frankie?

- Czy on trzyma łapy przy sobie?

- Tak.

- Żaden facet, który pomiata kobietą, nie jest pieprzonym mężczyzną. Gdybym wiedział, że skończysz z takim dupkiem, sam bym się z tobą ożenił.

- Frankie, proszę cię. Możemy porozmawiać o czymś innym?

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Włączyłam radio, żeby wypełnić ciszę.

- Jesteś głodna? - zapytał wreszcie, skręcając w Collins Avenue.

- Też pytanie.

Uśmiechnął się i zmierzwił mi włosy.

- Cała Georgie! Dobrze cię widzieć, maleńka.

Podczas jazdy miałam czas, żeby starannie przyjrzeć się Frankiemu. Od naszego ostatniego spotkania minęło kilka lat, chociaż przez ten czas dzwoniliśmy do siebie

potajemnie, wymieniając się nowinkami z naszego życia. Wyglądał dobrze - właściwie to lepiej niż Frankie, którego pamiętałam. Uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam go opalonego. Opalenizna sprawiała, że jego głębokie, ciemne oczy wydawały się jeszcze bardziej pełne życia.

- Co sprowadziło cię do Miami, Frankie?

- Jakieś trzy miesiące temu zaproponowano mi, żebym przejął Dream Bar. A ponieważ na Manhattanie niewiele się działo, wylądowałem tutaj.

W Dream Bar Frankie zrobił nam kanapki z salami. Siedzieliśmy w opustoszałym lokalu, słuchając puszcanych z szafy grającej piosenek Franka Sinatry i wspominając Nowy Jork. Frankie nie wypytywał mnie o terażniejszość. Byłam mu za to wdzięczna.

- Muszę przygotować bar na wieczór. Może zostawisz tu walizkę i zafundujesz sobie trochę relaksu na plaży? Przyjdę do ciebie, jak tylko się z tym uwinę.

- Dobra myśl.

Tyłnymi drzwiami wyszłam prosto na plażę. Przejście z ciemnego wnętrza baru w jasne słońce momentalnie przyprowadziło mnie o ból głowy. Od szaleństwa ubiegłej nocy ani na moment nie zmrużyłam oka, dawało o sobie znać zmęczenie mięśni. Usiadłam na białym piasku i patrzyłam na ocean. Szum fal sprawiał, że moje problemy wydawały się odległe. Nie zniknęły, po prostu oddaliły się ode mnie. Napięcie zaczęło opuszczać moje ciało.

Kilka metrów dalej dzieci budowały zamki z piasku. Kiedy ostatnio życie było tak proste? Obserwując dzieciaki, zatęskniłam za Toni. Dlaczego nie zabrałam jej ze sobą? Z drugiej strony, zadbanie o jej potrzeby w sytuacji, kiedy byłam przytłoczona własnymi problemami, wymagałoby od mnie ogromnego emocjonalnego wysiłku. Czy kiedykolwiek zdołam wynagrodzić to swojemu dziecku?

Czułam się przygnębiona i miałam wrażenie, że siedzę tam już od wielu godzin. W końcu dołączył do mnie Frankie. Zakradł się od tyłu i powiedział coś zabawnego. Ale ja nie byłam w nastroju do żartów.

Frankie dał za wygraną i usiadł twarzą do mnie.

- Straciłem cię. Mam rację?

Wpatrując się w ocean za jego plecami, powiedziałam:

- Straciłeś mnie tego dnia, kiedy pozwoliłeś mi odejść, Frankie.

- Ale wydawało mi się, że bez względu na wszystko, bez względu na to, z kim się zwiążesz, zawsze będziesz obok.

Moje włosy poruszały się lekko na wietrze, kiedy odwróciłam ku niemu twarz.

- I nie pomyliłeś się: jestem tutaj.

- Ale twoje myśli są gdzie indziej, maleńka.
- Wiem, Frankie. I tak jak ty nie mam pojęcia gdzie.

Ponownie spojrzałam na ocean, usiłując powstrzymać się od płaczu.

Nazajutrz rano Joe za pośrednictwem mojej przyjaciółki Susie przekazał mi wiadomość: jeśli nie wrócę następnego dnia, spali moje portfolio. Odtworzenie go zajęłoby mi wiele lat. Praca modelki była dla mnie ostatnią ostoją niezależności, a bez portfolio nie byłabym w stanie jej kontynuować. Pojechałam do domu.

Z ociąganiem wspinałam się po schodach do mieszkania nad klubem. Kiedy weszłam do środka, Joe siedział w kuchni przy stole; wyglądał tak, jakby ostatnie dni były dla niego równie ciężkie jak dla mnie.

- Gdzie byłaś?

Nie odpowiedziałam. Patrzył mi intensywnie w oczy. Jego oczy wwiercały się w moje. Poczułam się nieswojo, więc odwróciłam wzrok i zmieniłam pozycję na krześle. Przez krótką chwilę miałam nadzieję, że tym razem to ja mam przewagę - ale właśnie mnie opuściła. Krępujące milczenie przedłużało się. Joe przyłożył palec do ust i zaczął wodzić nim to w prawo, to w lewo. Wyczuwałam wzbierającą w nim niechęć i moje serce zaczęło szybciej bić.

Nagle Joe uderzył pięścią w stół, przerywając ciszę.

- Gdzie byłaś!? - ryknął nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Skrzywiłam się, ale szybko odzyskałam rezon.

- W cudownym miejscu - było takie, dopóki nie zadzwoniłeś.

Brawo. Jestem z ciebie dumna, White.

- Odpowiadaj, do cholery!

Skoro tamto uszło ci na sucho, idź na całość.

- Nie, to ty mi odpowiedz, jakim prawem odpytujesz mnie, po tym co mi zrobiłeś.

- Pytam po raz ostatni. Gdzie byłaś i z kim?

- Gdzie moje portfolio?

- Ty mała suko - krzyknął i rzucił się na mnie.

Zrobiłam unik i pobiegłam do łazienki, zamykając za sobą drzwi w ostatniej chwili.

Znowu jestem w pułapce.

- Otwórz te drzwi albo jej wyważę!

- Nie zrobiłam nic złego. W przeciwieństwie do ciebie. Czemu zachowujesz się jak wariat?

- Nie skrzywdzę cię, Georgia, a teraz otwieraj te przeklęte drzwi!

- Obiecujesz?

Nie wierz mu.

- Przecież powiedziałem, że nic ci nie zrobię - powiedział, starając się, żeby jego głos zabrzmiał przekonująco.

Gdybym nie otworzyła, z pewnością wyważyłby drzwi, co tylko pogorszyłoby sprawę. Przekreśliłam klucz i ostrożnie uchyliłam drzwi.

- Gdzie byłeś? - zapytał ponownie.

Usiłował zapanować nad gniewem. Ramiona trzymał sztywno wzdłuż ciała, dłonie zacisnął w pięści i oddychał głęboko, chodząc po kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę.

- Poleciałam na Florydę.

- Z kim?

- Sama.

- Kogo znasz na Florydzie?

- Nikogo.

- Nie kłam! Z kim się przespałeś!? - wrzasnął i szarpnął mnie za włosy.

- Nie kłamię! Nigdy nie upadłabym tak nisko tylko po to, żeby się na tobie odegrać.

Chociaż myślę, że mam wystarczający powód, żeby to zrobić.

Zaczynasz przeciągać strunę, White. Przystopuj, dopóki jesteś górą.

- Więc jednak o tym myślałeś, tak?

- Nie. Mam dość klasy, żeby nie zniżać się do takiego poziomu.

- Jeśli kiedykolwiek odkryję, że pieprzysz się za moimi plecami, zabiję cię! - wykrzyczał, dźgając powietrze palcem wskazującym tuż przed moją twarzą.

- Tak? A jaka będzie kara dla ciebie? Miałabym tak po prostu zapomnieć o tym, co się stało? Przykro mi. Nie potrafię tego zrobić - odparłam. Cofnęłam się, ale byłam zdecydowana udowodnić mu, że racja jest po mojej stronie.

- To nie było nic wielkiego.

- Co takiego? Nie wierzę, że to powiedziałeś! Skoro dla mnie zdrada oznacza wyrok śmierci, to dlaczego w twoim wypadku miałyby być inaczej? Nie widzę żadnej różnicy.

- Ja jestem mężczyzną.

- Chorym mężczyzną.

- Co niby miałem zrobić, Georgia? Ona po prostu zdjęła z siebie pieprzone ubranie.

To ona mnie uwiodła, na litość boską...

- To twoja kuzynka, Joe.

- To ona przysłała do mnie. A ja chciałem tylko jej pomóc.

Roześmiałam się.

- Chociaż ten jeden raz nie traktuj mnie jak idiotki, Joe. Naprawdę oczekujesz, że w to uwierzę? Dlaczego nie przyprowadziłeś jej tutaj, skoro miałeś zamiar tylko porozmawiać?

- Kochanie, przepraszam. Nie mogę cofnąć tego, co się stało. Czego ode mnie oczekujesz? Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłem. Wystarczy, że spojrzę na swoją nogę. Całkiem nieźle mnie urządziłaś.

- Ile szwów?

- Zbyt wiele. Ale Clyde wciąż jest na swoim miejscu, to najważniejsze.

- Jeśli chcesz, żeby tam pozostał, to na drugi raz lepiej dobrze się zastanów.

- Kocham cię, Georgia.

Przyciągnął mnie do siebie, ale wyrwałam się z jego objęć.

- Przestań. Nie umiem wyrzucić z głowy tamtego obrazu. Po prostu nie potrafię.

W Joem zaczęła narastać frustracja, a ja nie chciałam go znowu rozzłościć. W tamtej chwili był spokojny, przynajmniej udawało się nam ze sobą rozmawiać. Rzadko miewałam okazję mówić o tym, co czułam.

- Gdzie jest moje portfolio? - zapytałam, kierując rozmowę na inne tory.

- Leży w sypialni. Nie spaliłem go.

- Dziękuję.

- Jak długo to potrwa, Georgia?

- Co masz na myśli?

- Jak długo potrwa, zanim w końcu o tym zapomnisz?

- Nie wiem, Joe. Nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda. Wiedzieć, że mnie zdradzałeś, to jedno. Ale zobaczyć to na własne oczy to coś zupełnie innego. Nie sądzę, żebym mogła z tobą sypiać i nie wyobrażać sobie tego, co tam zobaczyłam. Sama nie wiem.

- Rozumiem. Dam ci czas. Może pojedziesz po Toni, a ja zabiorę was na kolację?

Joe nic nie rozumiał.

Poszedł za mną do sypialni, gdzie zbierałam niektóre ze swoich rzeczy.

- Joe, myślę, że na jakiś czas wolalabym zamieszkać u matki. Nie dałeś mi dość czasu, żebym mogła to wszystko przemyśleć. Jestem jeszcze zbyt wściekła, żeby móc tutaj zostać. Potrzebuję czasu.

- Tydzień, Georgia. Daję ci tydzień.

- Lepiej już pójdę - powiedziałam, wychodząc z sypialni z kilkoma swoimi ciuchami i portfolio.

- Gdzie się z tym wybierasz?

- Może mi być potrzebne.

- Zostaw je tutaj.

- A co, jeśli będę go potrzebować?

- Nie będziesz. - Joe sięgnął po portfolio i wyjął mi je z ręki. - Zadzwoń do ciebie później. I lepiej, żebym cię zastał.

Niezliczoną ilość razy tłumiłam gniew po to, by tego uniknąć. Przez cały czas trwania naszego burzliwego małżeństwa Joe zmagał się ze swoimi demonami. W chwilach kiedy nie czułam do niego milczącej nienawiści lub urazy, było mi go żal. Był człowiekiem o udręczonej duszy. Niezależnie od tego, jak pokręcony był nasz związek, Joe miał stałe miejsce w moim sercu. Wiedziałam, że w jakimś zakamarku jego mrocznej osobowości skrywa się mężczyzna, którego kochałam.

Moja opiekuńcza natura (odziedziczona po matce) kazała mi wierzyć, że jestem niczym nić, która cienkim ścięciem spaja kruchą duszę Joego - beze mnie rozpadłaby się na kawałki. Byłam mu potrzebna. Czym by się stał, gdyby mnie przy nim zabrakło i nie miałby kto pilnować jego szczęścia? Ta odpowiedzialność ciążyła mi na sercu. Ostatecznie okazało się to przyczyną końca mojego związku z Joem.

W dalszych latach ta troskliwość przedwcześnie we mnie wygasła, tak jak niektóre inne cechy mojego charakteru. W rezultacie inni wartościowi mężczyźni, którzy mieli pojawić się w moim życiu, nie mieli już dostępu do mojego serca. Na jego straży stała wówczas Georgia Black.

Opuściłam nasze mieszkanie z pełną świadomością, że więcej do niego nie wrócę. Nie mogłam jednak powiedzieć tego Joemu prosto w oczy. Nie był osobą, z którą można było normalnie rozmawiać. Jakiś czas wcześniej zaraził mnie rzeżączką, po czym niemal udało mu się mi wmówić, że to przez to, że siadłam na desce sedesowej. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego, co tamtej nocy zobaczyłam w swoim łóżku. Nawet jeśli zdołałabym mu wybaczyć, to nie potrafiłabym zapomnieć.

Na początku naszego związku przeżywałam szczęśliwe chwile, ale to nie śmiech pamiętam z tamtych czasów. Miłość, która nas łączyła, była niezwykle intensywna, jednak z czasem wszystko się zmieniło. U boku Joego trzymał mnie strach i to on mnie od niego odpychał.

W końcu zebrałam się na odwagę: zadzwoniłam do Joego i poinformowałam go, że nie wrócę. Wiedziałam, co teraz nastąpi. Nie było dnia, żeby do mnie nie dzwonił. Płakał i błagał, ale ja byłam niewzruszona. Kiedy prośby zawiodły, zaczęły się groźby. Zdawałam sobie sprawę, że przez cały czas muszę być o krok przed nim - przenosiłam się więc z miejsca

na miejsce, zatrzymując się u różnych przyjaciół; żyłam w ukryciu, mając nadzieję, że upływ czasu rozwiąże problem.

Po pewnym czasie ośmieliłam się wreszcie wyjść na świat. Wybrałam się do Greenstreets - baru, który ostro konkurował z Caesars II. Jego właściciel, Tony Sapienza, był moim przyjacielem. Kiedy miałam czternaście lat, pracowałam na niepełny etat w stoisku z hot dogami prowadzonym przez Tony'ego i jego brata Sammy'ego. Od tamtej pory Tony przebył długą drogę i z właściciela stoiska w wesołym miasteczku Willow Point awansował na jednego z najbardziej liczących się restauratorów w mieście. Do każdego otwartego przez niego lokalu walały tłumy. Greenstreets było nowym punktem na mapie nocnych klubów Rochester.

Po dość długim okresie niewoli wreszcie mogłam przyjemnie spędzić wieczór. Siedziałam przy barze, rozmawiając ze znajomymi modelami i modelkami, kiedy podszedł do mnie Tony.

- Georgia - powiedział nerwowo - właśnie pojawił się Joe. Wypytuje o ciebie.

- O cholera, Tony. Nie sądziłam, że może wyjść z Caesars w piątek wieczór. Wygląda na wkurzonego?

- Na pewno nie sprawia wrażenia szczęśliwego. Masz tu klucz do mojego biura. Zejdź na dół i zaczekaj tam, dopóki po ciebie nie przyjdę.

- Tony, on pewnie zauważył mój samochód.

- Idź już. Szybko!

Zbiegłam po spiralnych schodach i spanikowana ruszyłam przez salę na dolnym piętrze. Pędząc do biura Tony'ego, wpadłam na Sammy'ego G.

- Hej, mała, dokąd ci tak śpieszno? Zapraszam cię do nas na drinka.

- Nie mogę, Sam. Joe mnie szuka. Muszę się ukryć. Zabije mnie, jeśli mnie tu znajdzie.

- To się jeszcze okaże - oświadczył Sammy, po czym ujął mnie pod ramię i poprowadził do swojego stolika.

- Siadaj - nakazał.

Przywołał kelnerkę i zamówił dla mnie podwójną whisky z wodą.

- Proszę, Sammy, nie chcę żadnych scen - powiedziałam błagalnie.

Niechętnie wślizgnęłam się do boksu i próbowałam stać się niewidzialna.

Siedząc przy jednym stoliku z owianymi najgorszą sławą gangsterami syndykatu z Rochester, czułam się niezręcznie, ale jednocześnie nie mogłam być bezpieczniejsza. Coś złowieszczego wisiało w powietrzu. Sądząc po ściągniętych brwiach i skupionych

spojrzeniach, zgromadzeni w boksie mężczyźni nie byli w nastroju, żeby przyglądać się, jak Joe Lamendola używa fizycznej czy słownej przemocy wobec filigranowej kobiety.

- Jak się miewasz, Georgia? Rzadko się ostatnio widzujemy - zauważył Donny Paone, sięgając ponad stolikiem i podając mi ogień.

Miałam nadzieję, że papieros pomoże mi się uspokoić. Kiedy zaciągałam się po raz pierwszy, drżała mi ręka.

- U mnie wszystko w porządku, Donny - odparłam i jednocześnie nerwowo szukałam Joego wzrokiem w tłumie.

Kelnerka przyniosła mojego drinka, z którego natychmiast upiłam kilka haustów, zupełnie tak, jakby to była czysta woda. Nie znosiłam publicznych scen, a ta, która miała nastąpić, zapowiadała się szczególnie nieprzyjemnie. Joe zauważył mnie i ruszył w moim kierunku. Zmarszczyłam niespokojnie czoło.

Proszę cię, Joe, zachowaj spokój.

Zwodniczo łagodne oczy Renego Piccarreto były na wpół przymknięte. Wypuścił z ust chmurę gęstego dymu.

- To nie pójdzie gładko, Sammy - stwierdził, stukając zapalniczką o blat stołu.

O Boże, dlaczego Sammy mnie tu przyprowadził?

Kiedy Joe podszedł do stolika, siedzący mężczyźni przyglądali mu się w pełnym napięcia milczeniu. W głębi sali krążył nerwowo Tony Sapienza. Joe zachowywał się spokojnie. Nie miał innego wyjścia. Nie był głupi. Patrzył prosto na mnie, unikając wzroku porywczych mężczyzn, którzy znajdowali się tak blisko mnie, jakby byli moją drugą skórą.

- Czy mogę z tobą pomówić? - zapytał jak stuprocentowy gentleman.

- Pewnie, że możesz z nią pomówić. Co takiego chciałbyś powiedzieć? - wtrącił się Sammy ze złym błyskiem w oku.

- Chciałbym porozmawiać z żoną, Sammy... na osobności - powiedział Joe. Oddychał głęboko, starając się utrzymać pod kontrolą swój wybuchowy temperament.

Za chwilę puszcza mu nerwy. Boże, Joe... proszę, idź stąd.

- Masz mu coś do powiedzenia, Georgia? - spytał Sammy.

Uwaga wszystkich skupiła się teraz na mnie. Spojrzałam po kolei na wszystkie twarze wokół mnie, a następnie podniosłam wzrok, żeby spojrzeć w oczy Joemu.

- Nie - powiedziałam.

Opuściłam głowę i wpatrywałam się w opróżnioną do połowy szklankę szkockiej.

- No i proszę. Wygląda na to, że ona nie chce z tobą rozmawiać, Joe - skwitował Sammy.

Skuliłam się na swoim miejscu. Błagam, niech na tym się skończy. Dla dobra Joego, niech na tym się skończy. Joe czuł się zraniony, ale wiedziałam, co by się stało, gdybym zdecydowała się z nim wyjść.

- Zadzwoń do ciebie później, Joe - powiedziałam, żeby dać mu możliwość wycofania się z twarzą. Miałam nadzieję, że w ten sposób rozładuję rosnące napięcie.

Joe zignorował siedzących przy stoliku mężczyzn, rzucił mi przenikliwe spojrzenie, po czym odwrócił się i wyszedł z baru. Odetchnęłam z ulgą, jednym haustem dopiłam drinka i podziękowałam w myślach Bogu.

- Pierdolony dupiek - mruknął pod nosem Rene Piccarreto.

- Co ty w nim widzisz, Georgia? - zapytał Donny Paone, skręcając w rulonik serwetkę.

W mężczyznach zgromadzonych przy stoliku wciąż buzowała adrenalina. Niemal fizycznie odczuwałam wyładowania skumulowanej negatywnej energii. Czułam na ramionach ciężar gęstej atmosfery. Joe był buntownikiem i nie zawsze przestrzegał zasad. Ci goście nie potrzebowali wielkiego pretekstu, żeby go sprzątnąć, a ja nie chciałam się do tego przyczyniać.

- Dajcie małej spokój, w swoim czasie sama do tego dojdzie - powiedział Sammy G.

Zostałam z nimi i wypiłam jeszcze kilka kolejek. Wygrałam bitwę, ale do końca wojny było jeszcze daleko. Nie śpieszyło mi się do wyjścia - Joe mógł gdzieś tam na mnie czekać. To, co się tutaj wydarzyło, mogło mieć dla mnie konsekwencje gorsze nawet od wezwania policji. Wiedziałam, jak wielką wagę przywiązuje Joe do swojej męskości - tymczasem jego ego zostało tego wieczoru rozszarpane na strzępy. Łatwo się z tego nie wywinę.

Wstałam od stołu.

- Będę się już zbierać. Dziękuję za drinki.

- Ja też już kończę - oświadczył Sammy. - Odprowadzę cię.

Kiedyś szliśmy na parking, Sammy dyskretnie zlustrował wzrokiem okolicę.

- Jest pod drugiej stronie ulicy, zaparkował koło banku - powiedział to takim tonem, by nie wzbudzić we mnie paniki. - Pojadę za tobą do domu.

- Dzięki, Sammy.

Niedługo po moim powrocie do domu zadzwonił telefon. Złapałam za słuchawkę tuż po pierwszym dzwonku, mając nadzieję, że hałas nie obudził rodziców.

- Jesteś całkiem odważna w towarzystwie swoich przyjaciół, co?

- Przepraszam, Joe. Nie planowałam tego.

- Zrobienia ze mnie idioty? Czy nie mówiłem, co z tobą zrobię, jeśli przyłapię cię na

mieście?

- Joe, nie wróć do ciebie. Nie możesz w nieskończoność dyrygować moim życiem - powiedziałam zuchwale.

- Nadal jesteś moją pieprzoną żoną! - wrzasnął wściekły. - Przez ciebie wychodzę na głupca! Ty...

- Joe, nie robię niczego złego. Chciałam po prostu spotkać się z przyjaciółmi. Nie robię niczego, przez co mógłbyś wyjść na głupca - tłumaczyłam, starając się go uspokoić.

- A jak ci się, kurwa, wydaje: co dzisiaj zrobiłaś? Zapamiętaj sobie jedno, ty żalosna dziwko. Twoi przyjaciele nie zawsze będą przy tobie, kiedy będziesz ich potrzebować. Wbij to sobie do głowy, dziewczynko.

Zaśmiał się szyderczo i rozłączył się.

Moi informatorzy donieśli mi, że w niedzielę Joe planował wybrać się z jakąś dziewczyną na wyścigi konne. W tej informacji najbardziej interesujący był dla mnie fakt, że Joe będzie przebywał poza domem wystarczająco długo, żebym zdążyła zabrać z mieszkania swoje portfolio i ubrania.

Stanęłam akurat u szczytu schodów z kolejnym naręczem ubrań, kiedy usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. O mój Boże! Mieszkanie miało tylko jedno wyjście - i Joe właśnie je zablokował. Zamarłam. W uszach dudniło mi bicie własnego serca.

Joe błyskawicznie wbiegł po schodach.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie, kurwa, okłamywać!?! - ryknął i wyrwał mi z rąk ubrania, po czym cisnął je w dół wąskich schodów. - No kiedy?

Chwycił moją twarz obiema rękami i pchnął mnie na podłogę.

- Nie skłamałam. Nie skłamałam! - krzyknęłam, osłaniając głowę ramionami.

- Powiedziałaś, że wrócisz po tygodniu, a ja ci uwierzyłem. Puściłem cię, bo ci uwierzyłem. Znów mnie okłamałaś, pierdolona kurwo!

- Nigdy tego nie powiedziałam. To ty kazałeś mi wrócić po tygodniu. Nie mówiłam, że tak zrobię. Nie skłamałam!

Joe kopnął mnie w bok, pozbawiając tchu. Potem powłókł mnie do sypialni. Rozpaczliwie usiłowałam zaczerpnąć powietrza.

- Już ja cię nauczę! - krzyknął i wymierzył mi kolejnego kopniaka.

Nie zdążyłam jeszcze nawet otrząsnąć się po pierwszym ciosie. Zgięta wpół, leżałam bezbronna na podłodze i okrągłymi z przerażenia oczami patrzyłam, jak Joe wyciąga z szuflady rewolwer. Złapał mnie za włosy i uderzył moją głową o komodę.

- No i gdzie są teraz twoi przyjaciele, moja droga?

Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszałam.

Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna. Kiedy się ocknęłam, poczułam, że jestem mokra. Mokre były też moje włosy. Czy on mnie postrzelił? Okazało się, że była to po prostu woda, której Joe użył, by mnie ocucić - tylko po to, żeby dalej mnie dręczyć. Teraz wyjmował z rewolweru naboje.

Może się opamiętał.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie... Pytałem, gdzie są teraz twoi przyjaciele.

Joe włożył jeden nabój z powrotem do rewolweru i zakręcił bębenkiem, po czym przyłożył lufę do mojej skroni.

- Co ty wyprawiasz? - zawołałam.

- Zamierzam raz na zawsze dowiedzieć się, jak bardzo chcesz ode mnie odejść - warknął.

- Proszę, Joe... nie.

Przybliżył swoją twarz do mojej tak, że dzieliły nas centymetry. Nie widziałam nic poza jego oczami. Z przerażeniem obserwowałam, jak wstępuje w niego demon.

- Jesteś pewna, że chcesz odejść? - zapytał obcym głosem.

Byłam sparaliżowana strachem, nie mogłam wydusić z siebie słowa. Joe pociągnął za spust. Klik. Całe życie przeleciało mi przed oczami. Zobaczyłam córkę, rodziców, Babe'a i Billie.

Umrę.

- Pamiętasz, co obiecałem zrobić, jeśli kiedykolwiek ode mnie odejdiesz? Właśnie nadeszła ta chwila - powiedział Joe. On także płakał.

- Nie odejdę! Zostanę! Proszę, nie zabijaj mnie. Co będzie z Toni? O mój Boże...

Zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu odrzucił to, co powiedziałam.

- Znowu mnie okłamujesz. Nie wierzę ci.

Ponownie nacisnął spust. Klik.

Wiesz, co musisz powiedzieć, White. Już to przerabiałaś.

- Kocham cię, Joe. Po prostu czułam się zraniona. Chciałam cię ukarać ze to, że mnie zraniłeś. Zamierzałam tylko dać ci nauczkę, a potem do ciebie wrócić. Zbyt mocno cię kocham, żeby żyć bez ciebie. Wiesz o tym!

Zawahał się. Na jego twarzy pojawiła się ulga i powoli odsunął broń od mojej głowy. Pomógł mi wstać, a potem delikatnie wziął mnie na rękę i położył na łóżku.

- Ty faktycznie mnie kochasz, prawda? - zapytał. Chciał uwierzyć w to, co usłyszał.

- Czy gdybym cię nie kochała, byłabym taka wściekła o to, co zrobiłeś?

Demon zniknął.

- Tak, chyba naprawdę mnie kochasz, ale teraz musisz już o tamtym zapomnieć. To nigdy więcej się nie powtórzy, przyrzekam. Nie mogę bez ciebie żyć, Georgia. Obiecuj mi, że nigdy mnie nie opuścisz... Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

W miejsce brutalnego Joe pojawił się ten, który delikatnie mnie rozebrał, a potem czule się ze mną kochał. Byłam wdzięczna za to, że uszłam z życiem, i początkowo udawałam, że seks sprawia mi przyjemność, chociaż tak naprawdę chciało mi się wyć. Okazało się jednak, że udawanie jest ponad moje siły, zrobiłam więc to, co zwykle - zanurzyłam się w nicość.

Nie miałam wówczas pojęcia, że jestem klasycznym przypadkiem maltretowanej żony. Wszyscy tkwiliśmy wtedy w epoce kamienia łupanego. Nie było azyli dla ofiar przemocy domowej. Wizyta u terapeuty oznaczała przyznanie się, że to z tobą jest coś nie tak. Kościół odwracał się do kobiet plecami. Policjanci notorycznie brali stronę mężczyzn. Skutek był taki, że przerażona kobieta nie miała do kogo się zwrócić. Nie było ksiązek poświęconych temu zjawisku - a przynajmniej ja nie zdawałam sobie sprawy z ich istnienia. Nie wiedziałam nawet, że to, czego doświadczam, ma swoją nazwę.

Poczucie wstydu powstrzymywało mnie przed szukaniem pomocy na zewnątrz. Społeczeństwo wytykało kobiety takie jak ja palcami i obwiniało je za zachowanie ich mężczyzn. Ta świadomość dodatkowo mnie blokowała. Byłam psychicznie sparaliżowana i skazana na samotne zmaganie się z zamętem, jaki panował w moim młodym umyśle. A tymczasem błędne koło trwało nadal.

W ciągu następnych miesięcy Joe był nadzwyczaj miły. Oczywiście, nie mogłam wtedy wiedzieć, że to klasyczny schemat zachowania się sprawcy przemocy domowej, po tym jak dopuści się wobec swojej ofiary wyjątkowo brutalnego czynu. Nazywa się to „fazą miesiąca miodowego” - to czas, w którym kobieta zasypywana jest kwiatami i dowodami skruchy - wszystko po to, by ponownie obudzić w kobiecie pozytywne uczucia w stosunku do jej prześladowcy. To działało.

Joe wychodził z siebie, robiąc najróżniejsze romantyczne gesty. Częściej zabierał mnie gdzieś wieczorami i trzymał nerwy na wodzy. Okazywał mi, że żałuje tego, co zrobił. Wkrótce zaczęłam zapominać o tamtym incydencie - pamięć o nim wyparły te wszystkie powody, dla których kiedyś zakochałam się w Joem. Mogło być nam razem tak dobrze. Pragnęłam, żeby Joe zachowywał się tak już zawsze, ale podświadomie czułam, że prędzej czy później demony powrócą. Wzór jego postępowania stawał się oczywisty, ale ja wciąż nie

chciałam tego dostrzec. Czułam, że jestem w sytuacji bez wyjścia, i pogodziłam się ze swoim losem. Może tym razem Joe rzeczywiście się zmieni.

W czasie tej ciszy przed burzą Joe śmiał się znacznie więcej niż zwykle. Nie był wesołym człowiekiem. Śmiał się szczerze tylko wtedy, gdy ktoś inny się zbłądził albo kiedy komuś przytrafiło się coś niemiłego, na przykład upadek lub uraz. W każdym razie już samo to, że częściej mieliśmy okazję wspólnie się pośmiać, było miłą odmianą.

Kiedy zima dobiegła końca i zaczęła się wiosna, wspólnie z czterema innymi parami pojechaliśmy na wycieczkę w góry Adirondack. Skład naszej grupy był dość niezwykły: typowi gangsterzy w towarzystwie dwóch oficerów policji. Jednym z nich był Sal Ruvio. Lubiłam Sala - jego serdeczny charakter i łagodny sposób bycia sprawiały, że czułam się przy nim bezpieczna. Ten osobliwy skład zapowiadał, że wycieczka będzie ciekawym przeżyciem.

Pojechaliśmy tam już po sezonie turystycznym. Odradzano nam tę podróż ze względu na niepokoje w pobliskim rezerwacie indiańskim. Jasne. Garstka krwiożerczych Indian nie była w stanie powstrzymać ekipy tak potężnej jak nasza.

Zamieszkaliśmy wszyscy razem w dużym letniskowym domku nad samym brzegiem jeziora, jedliśmy kolacje z grilla i bez przerwy się śmialiśmy. Wszyscy mieli do opowiedzenia jakieś historie: gliniarze opowiadali o swoich heroicznych wyczynach, a gangsterzy o przestępczych przygodach. Ci faceci, wyrwani z ich normalnego środowiska, byli przekomiczni. W niczym nie przypominali macho, jakimi byli na co dzień. Wyglupiali się bardziej niż gromada dzieciaków.

Dawny Joe powrócił - był czuły i troskliwy. Któregoś dnia wybraliśmy się na długą wędrówkę po lesie, tylko my dwoje. W pewnej chwili Joe przystanął, wziął mnie za rękę i oparł się o gruby pień klonu. Młode liście ocieniały jego twarz.

- Nie wiem, dlaczego czasami zachowuję się jak kretyn - powiedział cicho.

- Ja też tego nie wiem, Joe. Mogłoby nam być razem tak dobrze, gdybyś tylko potrafił nad sobą panować. Za każdym razem kiedy zachowujesz się tak brutalnie, coraz bardziej mnie od siebie odpychasz.

- Coś musi być ze mną nie tak. Każdy z tych chłopaków uważa, że jestem największym pieprzonym szczęściarzem na świecie. Nie wiem, czemu traktuję cię w taki sposób. Nie chcę cię stracić, kotku. Kiedy tylko pomyślę, że mogłoby do tego dojść, coś we mnie pęka. Potem mam ochotę skopać sobie dupę, ale w takich chwilach po prostu sam nie wiem, co robię.

- Może powinieneś skorzystać z jakiejś pomocy - odpowiedziałam ostrożnie.

- Nie zamierzam opowiadać żadnemu jebanemu konowałowi historii mojego życia.

Czyś ty oszalała?

- Ja tylko pomyślałam...

- Więc nie myśl, kochanie.

Ruszyliśmy w milczeniu dalej. Było bezwietrznie i wokół nas panowała niewzruszona cisza, zakłócana tylko przez trzask suchych gałązek pod naszymi stopami. Joe podał mi rękę i pomógł wspiąć się na wzniesienie. Każde z nas było pogrążone we własnych myślach.

- Tak, to już postanowione - przerwał milczenie Joe.

- Co takiego?

- Będziemy wychodzić na kolację przynajmniej dwa razy w tygodniu, tak jak to kiedyś robiliśmy. Musimy znowu zacząć żyć romantycznie. Ale to ja wybieram restauracje.

- Wypchaj się, samolubny draniu.

- No dobra, będziemy wybierać na przemian.

- To już lepiej.

Joe zwolnił i odwrócił ku mnie głowę. Spojrzał mi głęboko w oczy; jego wzrok był tkliwy i pełen czułości.

- Bardzo cię kocham, Georgia. Proszę, wybacz mi, że bywam takim głupcem. Naprawdę nie chcę cię ranić, kochanie.

- Może zaczniemy używać hasła - zaproponowałam. - Kiedy zobaczę, że tracisz nad sobą kontrolę, powiem to słowo, a ty będziesz wiedział, że powinieneś przestać.

- W porządku. Jakie to będzie hasło?

- Pomocy.

- Łatwo je zapamiętać. Mam tylko nadzieję, że nie zapomnę, co oznacza.

Nagle Joemu zebrało się na figle.

- Hej, tam jest kawałek piaszczystej plaży... Masz ochotę się kochać?

Zapadła noc. Siedzieliśmy na skraju jeziora, wpatrując się w odbicie księżyca na nieruchomej tafli wody. Pragnęłam, żeby w naszym życiu było więcej takich chwil: tak spokojnych i pełnych miłości. Idąc po chłodnym piasku, zmierzaliśmy do domu. Kierunek wskazywała nam lampa na werandzie, jedyne światło w promieniu wielu kilometrów.

Może jeszcze była dla nas nadzieja.

Latem 1974 roku Joe postanowił, że na jakiś czas przeprowadzimy się do Las Vegas. Niedawno sprzedał Caesars II bratu Jimmy'ego Massaro i korciło go, żeby wydać trochę pieniędzy.

Właściwie dlaczego by nie? To tylko kilka miesięcy. Zmiana otoczenia może wyjść na dobre nam obojgu. Toni nie chodziła jeszcze do szkoły, a dzięki wyjazdowi do Nevady

mogliby ją poznać moi tamtejsi krewni. Od śmierci Jimmy'ego Massaro minęło osiem miesięcy. Przez ten czas w mieście panował spokój, ale sytuacja zaczęła robić się napięta, kiedy nowym szefem wydziału dochodzeniowo-śledczego został Bill Mahoney. Może to była dobra pora na wyjazd.

Las Vegas okazało się dla mnie kolejnym więzieniem. Przerazało mnie, że nie mogę już uciekać do mamy za każdym razem, gdy Joe stracił nad sobą kontrolę. Wylądowałam nagle na nieznanym terenie, z dala od moich korzeni, sam na sam z Joem. Znalazłam sobie agenta, ale tak naprawdę nie mogłam tam liczyć na żadne poważniejsze zlecenia. Ponieważ ani ja, ani Joe nie pracowaliśmy, spędzaliśmy razem dużo czasu w naszym małym mieszkaniu. Przypominaliśmy trzymane w klatce zwierzęta i tak jak one toczyliśmy wściekle awantury. Wszystko przebiegało według dobrze znanego schematu, a ja straciłam nadzieję na zmianę. Momentami wytchnienia były dla mnie odwiedziny u moich krewnych, ale Joe ograniczał te wizyty, wprowadzając limity czasowe. Chciał mieć mnie pod ręką - miałam mu gotować, czekać na niego i spełniać każdą jego zachciankę.

Mój kuzyn Mickey natychmiast zorientował się w mojej sytuacji. Był tęgim mężczyzną o głębokim, tubalnym głosie, który kontrastował z jego misiwatym charakterem.

- Odejdź od niego, Georgia - zachęcał Mickey. - Pomożemy ci.

- Nie mogę was w to mieszać, Mick.

- Nie boję się tego dupka. Kiedy wyjdzie do kasyna, przyjadę po ciebie i pomogę wynieść ubrania. Zostaw mu list i napisz, że pojechałaś do Los Angeles.

Mickey poprawił okulary na nosie i czekał na moją odpowiedź.

- Twój samochód wstawimy do naszego garażu. Kiedy zda sobie sprawę, że odeszłaś na dobre, wróci pewnie do Nowego Jorku - dodał.

- Sama nie wiem, Mick. Boję się. On mnie znajdzie, a wtedy będzie jeszcze gorzej.

- O której godzinie wychodzi do kasyna? - naciskał Mickey, zbywając moje obawy.

- Za każdym razem o innej. Nie chodzi przecież do pracy.

- Dość tego. Tym razem nie przyjmę odmowy. Nie mogę uwierzyć, że żyjesz w taki sposób. Jutro mam dzień wolny. Zostanę w domu i będę czekał na twój telefon. Jak długo zwykle jest poza domem?

- Dwie, trzy godziny. Zależy od tego, czy wygrywa, czy przegrywa - odparłam.

Czułam się pod presją.

- Czy tyle czasu wystarczy, żeby wynieść twoje rzeczy?

- Tak, ale...

- Zadzwoń do mnie dziesięć minut po jego wyjściu - nie ustępował Mickey. Objął

mnie i mocno przytulił. - W końcu od czego ma się rodzinę?

- Mickey, jeśli od niego odejdę, nie będę mogła wrócić do Rochester. W przeciwnym razie on mnie znajdzie i zabije.

- Możesz zostać z nami, jak długo zechcesz.

Kiedy rano napełniałam filiżankę Joego, powierzchnia kawy w szklanym dzbanku drżała niespokojnie. Joe to zauważył.

- No dobrze, Georgia, co się dzieje? - zapytał, odrywając podejrzliwe spojrzenie od dzbanka.

- Nic się nie dzieje - zapewniłam. Starłam się, żeby mój głos zabrzmiał swobodnie.

- Jesteś dziś strasznie nerwowa. Więc nie mów mi, że nic się nie dzieje. Za dobrze cię znam. Potrafię w tobie czytać jak w otwartej książce.

Przyglądał się uważnie mojej twarzy.

- Nie chodzi ci po głowie nic głupiego, co? - zapytał nieufnie.

Jakim cudem on zawsze wie, o czym myślę?

- Jeśli tak, lepiej, żebyś tego nie robiła.

- O czym ty mówisz? Nic nie chodzi mi po głowie - odparłam, ale zabrzmiało to zupełnie nieprzekonująco.

- Wiesz, o czym mówię. Już nieraz to przerabialiśmy.

Joe wstał od stołu.

- Muszę... muszę kupić kilka rzeczy do jedzenia. Możesz zostawić mi trochę pieniędzy?

- Wpadnę do sklepu w drodze powrotnej. Czego potrzebujesz?

Niech to szlag! Musi mieć w mieszkaniu schowane jakieś pieniądze.

Joe zatrzymał się przed drzwiami, tak jakby czegoś zapomniał. Cofnął się do sypialni i po chwili ponownie zjawił się przy drzwiach.

- Co ty na to, żebyśmy dziś wieczorem wybrali się gdzieś na kolację?

- Byłoby miło. Sprawdzę, czy któreś z moich kuzynów może popilnować małej.

- Kocham cię, Georgia - powiedział i pocałował mnie gorąco.

- Ja też cię kocham, Joe.

Wyszedł.

Nie mogę tego zrobić. Poczekam, aż znowu mnie uderzy. Wtedy będę miała lepszy pretekst, a on będzie mniej zły, kiedy mnie dopadnie.

Na takie decyzje nigdy nie ma właściwego momentu, White. Zapomnij na chwilę o strachu i zrób to. Sama wiesz, że któregoś dnia będziesz musiała to zrobić. Po co czekać,

skoro równie dobrze możesz stawić temu czoła od razu?

Zadzwoił telefon. Zawahałam się, ale telefon nie przestawał dzwonić, aż wreszcie podniosłam słuchawkę.

- Wyszedł już?

- Dopiero co.

- Zaraz u ciebie będę.

- Mick...

Rozłączył się. Przystąpiłam do działania. Zebrałam całe naręczcie ubrań i pospiesznie zniosłam je do samochodu. Wtedy zorientowałam się, że zniknęły moje kluczyki!

- Toni, widziałaś gdzieś kluczyki do samochodu mamy? - spytałam, przerywając jej oglądanie ulubionej kreskówki.

- Nie, mamusiu - odparła obojętnie.

To po to wrócił do sypialni! Joe zabrał moje kluczyki, ale miałam schowany zapasowy komplet. Dziesięć minut później zjawił się Mickey; po kolejnych trzydziestu minutach opuściliśmy mieszkanie.

O czwartej po południu odezwał się telefon w domu Mickeya.

- Nie, nie ma jej tutaj. Rozmawiałem z nią wczoraj i wspominała coś o pracy modelki w Los Angeles. Pewnie, przekażę jej, jeśli się odezwie.

Mickey z uśmiechem satysfakcji odłożył słuchawkę.

Minęły dwa tygodnie. Przez ten czas kilka razy widziałam Joego, jak późną nocą przejeżdżał obok domu Mickeya. Zaczynałam czuć się jak w pułapce.

- Mickey, nie mam grosza przy duszy. Muszę znaleźć sobie pracę. Nie mogę oczekiwać, że ty i Gloria będziecie nas karmić - oświadczyłam.

- No, nie wiem. Myślisz, że to rozsądne? Nie jest na to za wcześnie?

- Zaczynam dostawać świra od siedzenia w zamknięciu. Myślę, że wszystko będzie dobrze - odparłam, wyglądając przez drzwi balkonowe i obserwując, jak dzieci w basenie ochlapują się wzajemnie wodą.

Mickey siedział w skąpanej w jasnym świetle kuchni, przygryzając dolną wargę, zastanawiał się, jak sprostać moim potrzebom.

- Znam braci Cashman, którzy mają koncesję na usługi fotograficzne w hotelu Sahara. Jeden z nich jest mi winien przysługę. Na pewno zdołam cię wkręcić do robienia zdjęć na terenie kasyna. Może nawet uda mi się załatwić, żebyś pracowała w samym studiu. Byłabyś tam mniej widoczna.

Trzy dni później trafiłam do studia fotograficznego w hotelu Sahara. Naprawdę

polubiłam tę pracę. Dobrze się czułam, mogąc wreszcie przebywać w towarzystwie innych ludzi, odzyskać niezależność i napawać się poczuciem wolności. Minął miesiąc. Ciężar, który zwykle mnie przytłaczał, wreszcie zniknął. Mężczyźni zapraszali mnie na randki, ale ja myślałam wówczas wyłącznie o przetrwaniu. Wykonywałam swoją pracę, a potem wracałam prosto do domu.

Którejś nocy - było to po kilku tygodniach spędzonych w Saharze - jak zwykle skończyłam pracę o drugiej nad ranem i wyszłam z budynku na opustoszały parking dla pracowników. Kiedy wyciągałam z torebki kluczyki, poczułam, jak czyjeś palce wbijają się w moje ramiona.

- Naprawdę myślałaś, że zdołasz ode mnie uciec? - wyszeptał mi prosto do ucha.

Moje serce, niczym u ptaka schwytanego w sidła, zaczęło bić tak gwałtownie, że bałam się, że za chwilę eksploduje.

- Wsiadaj - rozkazał, nagłym szarpnięciem otwierając drzwi i wpychając mnie na siedzenie kierowcy.

Przesunęłam się na fotel pasażera. Myśli galopowały w mojej głowie. Jak mogę stąd prysnąć? Joe tymczasem włączył silnik i ruszyliśmy naprzód.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu. Tam, gdzie twoje miejsce - odparł krótko.

- Ale ja nie chcę jechać do domu! - wykrzyknęłam.

Uderzył mnie wierzchem dłoni - moja głowa odbiła się od bocznej szyby jak piłka, a usta wypełniła mi krew. Mimo to nie rozplakałam się.

Pozwól mi się tym zająć - odezwał się z niewzruszonym spokojem mój wewnętrzny głos.

- Jestem szczęśliwa, Joe. Dlaczego nie dasz mi po prostu odejść?

- Ostatnie, co od ciebie usłyszałem, to: „Kocham cię”. Powiedziałaś to, a potem zniknęłaś. Nie daruję ci tego, Georgia!

- I tak z tobą nie zostanę! Ucieknę przy pierwszej okazji - powiedziałam hardo.

- W porządku - stwierdził i wykonał gwałtowny zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, po czym ruszył w kierunku odludnej, wiodącej na pustynię drogi.

- Dokąd jedziesz? - krzyknęłam.

- Podjęłaś już decyzję. Nie zamierzasz wrócić. Więc ja zamierzam zrobić coś, za co pewnie wyląduję za kratkami. Tym razem nie puszcę ci tego płazem.

- Joe, proszę cię...

- Przekonasz się, jakim potrafię być skurwielem. Ty nędzna... Nie będziesz robić ze

mnie durnia! Kochasz mnie? Ty kłamliwa suko! Kto to jest? Ten, z którym się spotykasz?
I nie waż się mnie okłamać!

- Nie ma nikogo innego, Joe. Ja tylko chciałam być szczęśliwa.

Chwycił mnie jedną ręką za twarz i ścisnął z miażdżącą siłą.

- Pytałem, kto to jest!

Ponownie uderzył moją głową o szybę. Tym razem zaczęłam płakać.

- Dlaczego zawsze ci się wydaje, że musi być ktoś inny? Nie dociera do ciebie, że robię to właśnie dlatego, że zachowujesz się tak jak teraz?

- Śledziłem cię. Lepiej powiedz prawdę.

- Skoro mnie śledziłeś, to dobrze wiesz, że nie kłamię.

Nie wpadaj w panikę. Wyciągnę nas z tego. Ale nie wolno ci spanikować. A na razie powiedz mu to, co chce usłyszeć.

Joe zwolnił, zbliżając się do świateł. Pomyślałam, że może udałoby mi się wyskoczyć, ale on po raz kolejny czytał w moich myślach. Złapał mnie na nogę i zacisnął palce.

- Nawet o tym nie myśl.

Światło zmieniło się na zielone i Joe dodał gazu. Straciłam okazję, żeby wyskoczyć z samochodu, więc modliłam się o to, by nadarzyła się kolejna, droga stawała się jednak coraz bardziej odludna.

- Joe, kocham cię, ale nie potrafię już żyć w taki sposób.

- Nie będziesz musiała, kochanie, bo niedługo umrzesz. Tak samo jak ten skurwysyn, z którym się spotykasz!

W oddali zamigotała przed nami sygnalizacja świetlna. Proszę, kiedy tam dojedziemy, niech się pali czerwone. I rzeczywiście się paliło, a do tego, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przed nami stał jeszcze jeden samochód. Joe zwolnił do około trzydziestu kilometrów na godzinę.

Otworzyłam drzwi i wyskoczyłam. Wylądowałam, podpierając się ramieniem, po czym przeturlałam się po jezdni. Zobaczyłam, jak samochód rusza w moją stronę na wstecznym. Minął mnie zaledwie o centymetry. Rzuciłam się do wozu stojącego na światłach przed skrzyżowaniem, gwałtownie otworzyłam drzwi i wskoczyłam do środka. Za kierownicą siedziała kobieta.

- Błagam, niech mnie pani zabierze gdzieś, gdzie są ludzie!

- Czy on ma broń? - zapytała. Oczy miała okrągłe jak spodki.

- Nie - odpowiedziałam i obejrzałam się, żeby ocenić dzielącą nas odległość.

Kobieta zawróciła i pognęła pustą ulicą w kierunku Strip, dzielnicy kasyn. Joe dogonił

nas po chwili i próbował zepchnąć z jezdni. Dziewczynie za kierownicą nie brakowało odwagi. Nie miałyśmy czasu na rozmowę, ale wyczuwałam, że tego rodzaju przerażające przeżycia znała z własnego doświadczenia. Z jakiego innego powodu podejmowałaby ryzyko i angażowała się w tę historię? Dziękowałam Bogu, że to akurat ona stała na tamtym skrzyżowaniu, bo inaczej kto wie, jak by się to dla mnie skończyło. Kiedy dotarliśmy do Strip, zauważyliśmy cztery policyjne radiowozy zaparkowane przed hotelem Stardust.

- Tam stoją gliny, mam się tam zatrzymać?

Nie pomyliłam się co do niej. Gdyby w takiej sytuacji znalazła się zwyczajna kobieta, to w naturalnym odruchu szukałaby pomocy u policji. Fakt, że ona najpierw wolała się upewnić, świadczył o tym, że znała „zasady”.

- Tak! Zatrzymaj się tam!

Wysadziła mnie i natychmiast odjechała. Nigdy nie dowiedziałam się nawet, jak miała na imię. Joe również się zatrzymał i wysiadł z samochodu. Ja tymczasem podbiegłam do policjanta; starałam się uspokoić na tyle, żeby w ogóle móc rozmawiać.

Niewiele brakowało, ale teraz jesteś już bezpieczna.

Oddychając głęboko i miarowo, powiedziałam:

- Tamten samochód należy do mnie. Chcę odzyskać swój wóz i wrócić do domu.

Wyglądałam jak siedem nieszczęść. Moje ubranie było podarte, miałam podrapane nogi i ręce, a z wargi sączyła mi się krew. Kiedy podszedł do nas Joe, był opanowany i pewny siebie. Poruszał się jak osoba przyzwyczajona do tego, że inni okazują jej posłuch. Rzucił mi szybkie spojrzenie, które było zarazem ostrzeżeniem. Był gustownie ubrany - miał na sobie ciemny tenisowy garnitur i w sam raz tyle złotych dodatków, żeby nie wyglądało to jarmarcznie. Jego włosy były nienagannie uczesane. Wyglądał, jakby zszedł z okładki magazynu „GQ”. Stał naprzeciw mnie, kontrolując wzrokiem każde moje słowo.

- W czym problem, proszę pani? - spytał gliniarz.

Spojrzałam na Joego. Na jego twarzy zobaczyłam wypisaną odpowiedź, niczego więcej nie potrzebowałam.

- Nie chcę wnosić oskarżenia. Chcę tylko odzyskać samochód i odjechać.

- Panie władzo, ta kobieta jest moją żoną - powiedział bez wahania Joe. - Przyjechaliśmy tu z Nowego Jorku, bo jej psychiatra uznał, że dobrze zrobi jej zmiana otoczenia. Ale najwyraźniej to nie podziałało.

Co? Dobry Boże! Czy ten glina naprawdę mu uwierzył?

- Co ty bredzisz? Nie mam żadnego psychiatry!

Zaczynałam ponownie wpadać w histerię. Joe położył policjantowi dłoń na ramieniu

i odszedł z nim kawałek dalej, tłumacząc mu coś, czego nie mogłam usłyszeć.

Gliniarz odwrócił się do mnie i zrzucił zniecierpliwionym -głosem:

- Niech pani zabierze swoje problemy i wraca do domu.

O nie! Ten facet chciał, żebym wsiadła do samochodu jak posłuszna żona i jak gdyby nigdy nic pojechała do domu? Nawiasem mówiąc, to nie do domu mieliśmy jechać... Nie było mowy, żebym wsiadła do wozu z Joem - zwłaszcza teraz, gdy pogwałciłam „zasady”.

Przykro mi, że muszę cię na to narazić, White, ale nie ma innego sposobu...

- Co z ciebie w ogóle za gliniarz!?! - wrzasnęłam, zrywając z munduru policjanta plakietkę z nazwiskiem. - Twoje zadanie to chronić obywateli, a nie wysyłać ich na pustynię, żeby ich tam pozabijano!

Plunęłam mu w twarz, a następnie zaczęłam kopać go z furją.

Minęły równo dwie sekundy, zanim doskoczyło do mnie czterech policjantów. Rzucili mnie na radiowóz i skuli kajdankami. Gliniarz, którego skopałam, szalał z wściekłości. Żeby wyładować złość, zakuł w kajdanki także Joego, chociaż nie miał do tego żadnych podstaw. Joe rzucił mi gniewne spojrzenie, ale trzymał język za zębami. Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze z płuc. Georgia Black dopięła swego. Joe nie mógł zrobić mi krzywdy - przynajmniej nie teraz.

Wepchnęli nas bezceremonialnie do radiowozu. Joego posadzono z przodu, a ja wylądowałam na tylnym siedzeniu. Policjanci zatrzasnęli drzwi, po czym zabrali się do rozkładania mojego samochodu na czynniki pierwsze. Joe odwrócił się na fotelu, żeby na mnie spojrzeć. Błyszczące czerwone światło policyjnych kogutów omiało jego twarz, nadając jej niesamowity wygląd. Wpatrywał się we mnie hipnotycznym wzrokiem, a ja czułam się tak, jakbym miała przed sobą wcielenie samego diabła.

- To nie było mądre. Co by było, gdybym miał przy sobie broń?

- Przypuszczam, że wtedy byłabym już martwa i nie byłoby potrzeby odbywać tej rozmowy, prawda?

- Przestań się tak zachowywać, Georgia! Do tej pory nie miałaś do czynienia z tymi kutafonami, ale teraz doświadczysz tego na własnej skórze. Po prostu trzymaj gębę na kłódkę. Wyciągnę nas z tego.

- Wcale nie chcę być z tego wyciągana - odpaliłam w przypływie odwagi.

Był to na dobrą sprawę pierwszy raz, kiedy mogłam mu coś powiedzieć bez obawy, że zamknie mi usta ciosami.

Poturbowany przeze mnie gliniarz otworzył drzwi i wsiadł do samochodu.

- Chciałbym wiedzieć, za co dokładnie mnie aresztowano - powiedział Joe.

- Za włóczęgostwo, przebywanie pod wpływem alkoholu w miejscu publicznym i posiadanie niebezpiecznych narzędzi - padła sarkastyczna odpowiedź.

- Jakich niebezpiecznych narzędzi? O czym pan mówi? - Joe spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie, kiedy dodał cicho: - Zaczyna się.

Gliniarz pokazał nam krótką pałkę, którą wyciągnął spod siedzenia mojego samochodu. Joe wsadził ją tam rok wcześniej, -żeby w razie potrzeby miała się czym bronić. Zapomniałam, że w ogóle tam była.

- To nie moje - stwierdził Joe. - To nawet nie jest mój samochód!

Gliniarz obrócił pałkę w rękach i zademonstrował widniejące na niej nazwisko, które najwyraźniej dopiero co naniesiono czarnym markerem. Zapach świeżego tuszu zaatakował moje nozdrza.

- J. Lamendola. Moim zdaniem to brzmi zupełnie jak pańskie nazwisko - stwierdził. Jego usta się uśmiechały, ale oczy wyrażały coś zupełnie innego.

Twarz Joego stanowiła w tamtym momencie perfekcyjny przykład hamowanej wściekłości. Zaciśnął szczęki i raz po raz zgrzytał zębami. Jego spojrzenie w każdych innych okolicznościach natychmiast by mnie sparaliżowało. Ale jednocześnie aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, jakie byłyby konsekwencje, gdyby dał upust swojej złości.

- W kieszeni mam trzy tysiące dolarów. Trudno nazwać mnie włóczęgą - zasyczał. - Poza tym przez całą noc nie miałem w ustach ani jednego drinka. Chcę się poddać testowi trzeźwości!

Gliniarz uśmiechnął się tylko bezczelnie i bez słowa wysiadł z radiowozu. Joe nigdy nie doczekał się tego testu. Nie mógł udowodnić, że był trzeźwy - ale z drugiej strony, oni także nie mogli dowieść, że było inaczej.

- Teraz rozumiesz, co miałem na myśli? Banda kutasów!

Bardzo dobrze to rozumiałam. Nie mieściło mi się w głowie, że posunęli się do sfalszowania „podpisu” Joego na pałce. Przede wszystkim nie mieli żadnych podstaw prawnych do jego zatrzymania! To ja skopałam tamtego policjanta. Palant powinien był mi pomóc. Joe zawsze mi powtarzał, że bym nie ufała glinom. Teraz mu uwierzyłam. To byli zwykli dranie w przebraniu stróżów prawa.

Po kilku minutach gliniarz zjawił się ponownie. Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu przed hotelem, połączył się z centralą i podał naszą aktualną pozycję oraz miejsce, do którego nas wieźli: więzienie okręgowe hrabstwa Clark. Jechaliśmy w milczeniu. Siedziałam na środku tylnej kanapy, moje kajdanki były zaciśnięte mocniej, niż potrzeba, ale nie zamierzałam się skarżyć. Przeczuwałam, że i tak nic to nie da. Gliniarz zerknął w lusterko

i nasze oczy się spotkały. Sprawiał teraz wrażenie nieco spokojniejszego.

- Panie władzo? - powiedziałam najłagodniejszym, najśłodszy glosem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- No? - zapytał lżejszym tonem.

- Czy już mówiłam, że jest pan dupkiem!? - wrzasnęłam.

Joe błyskawicznie odwrócił głowę i spojrzał na mnie stalowym wzrokiem. Gdyby spojrzenie mogło zabić, padłabym tam trupem. Dzięki Bogu, że miał na rękach kajdanki i że dzieliła nas metalowa kratka. Gliniarz dał po hamulcach i chwycił za radiostację.

- Przyślijcie natychmiast sukę na róg Sahara i Maryland Park-way albo tych dwoje błaznów nie dożyje jutra.

Wysiadł z wozu, zapalił papierosa i zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem.

- Teraz naprawdę przegięłaś, Georgia. Nigdy nie słuchasz, co do ciebie mówię! Teraz dadzą nam popalić. Po co, do cholery, to powiedziałaś?

- Nie mogłam się powstrzymać.

- Nie mogłaś się powstrzymać? Myślisz, że ja nie mam ochoty wypalić temu skurwielowi w łeb? Chryste, Georgia! Po prostu się przymknij.

- Wydaje mi się, że o czymś zapominasz, Joe. To przez ciebie znaleźliśmy się w tej sytuacji.

W końcu na miejscu zjawiała się policyjna suka i gliniarz z wielką przyjemnością pozbył się mnie ze swojego radiowozu. Chwycił mnie za ramię i szarpnął gwałtownie, wyciągając mnie na zewnątrz.

- Hej! - zawołał Joe. - Niech pan uważa, jak się z nią obchodzi.

- Nie potrzebuję lekcji, jak mam się obchodzić z kobietą. Zwłaszcza z taką jak ta.

Policyjna furgonetka sunęła przez dzielnicę kasyn. Najwyraźniej przed dotarciem do miejsca przeznaczenia zaplanowany był jeszcze jakiś przystanek. Skąd właściwie przyszedł mi do głowy pomysł, że będzie to podróż bezpośrednia? Jak się okazało, nasza przejażdżka była całkiem interesująca.

Postój odbył się pod kasynem Caesar's Palace, gdzie mieliśmy przyjemność poznać przedstawicieli wyższych sfer - w wersji rodem z Las Vegas. Jako pierwsza wkroczyła do suki prostytutka ubrana w mocno wydekoltowany top. Ręce miała skute za plecami, co dodatkowo uwydatniało jej i tak wielkie piersi. Joe nie mógł oderwać od nich oczu. Odwrócił wzrok dopiero, gdy zorientował się, że go obserwuję. prostytutka usiadła za moimi plecami. Następnie do furgonetki wsiadł facet cierpiący najwyraźniej na niedożywienie. Zajął miejsce obok mnie.

Po drodze do więzienia okręgowego dowiedziałam się, że pan Skóra i Kości zwędził pięćdziesiąt tysięcy dolarów ze stołu do bakarata, a następnie usiłował uciec z pieniędzmi. W krzakach obok wejścia do kasyna miał nawet ukryty łańcuch, którym zamierzał zablokować drzwi - po tym jak wypracuje sobie przewagę nad pogonią i jako pierwszy wybiegnie na zewnątrz. Pech chciał, że krupier z okradzionego stolika był w liceum mistrzem biegów krótkodystansowych.

Po dotarciu do celu podróży drzwi furgonetki rozsunęły się i w ślad za pozostałymi wysiadłam na zewnątrz, najpierw jednak dyskretnie wsunęłam nogą pod siedzenie swoją okazałą torebkę. W tamtych czasach paliłam jeszcze trawkę i w torebce miałam niemal trzydzieści gramów marihuany - posiadanie takiej ilości „towaru” było wówczas traktowane jako poważne przestępstwo. Gdyby go znalezione, zawsze mogłabym powiedzieć, że nie cały czas trzymałam torebkę w rękach i narkotyk musiał do niej włożyć ktoś inny. Nie zdziwiłabym się zresztą, gdyby sami gliniarze zajmowali się podrzucaniem dowodów. Tak czy inaczej, sam fakt, że do torebki miały dostęp inne osoby, powinien stworzyć uzasadnione wątpliwości co do mojej winy.

Mężczyzn i kobiety poprowadzono dwoma różnymi korytarzami. Kiedy nas rozdzielano, Joe obejrzał się na mnie i powiedział:

- Nie dzwoń do nikogo. Wyciągnę nas stąd. Za kilka godzin będziemy wolni.

Pierwsza w kolejce do spisania była prostytutka. Zabrano jej torebkę, wysypano całą zawartość na kontuar i przystąpiono do ewidencjonowania wszystkich przedmiotów. Dzięki Bogu, podjęłam właściwą decyzję. Każdy umieszczono w foliowej kopercie, które następnie schowano pod kontuarem.

- Nazwisko? - zapytała policjantka.

Prostytutka podała swoje imię i nazwisko.

- Adres?

Prostytutka podała adres zamieszkania.

- Zawód?

- Modelka - zabrzmiała odpowiedź.

Świetnie! I co ja teraz powiem?

Tym razem wpakowałam cię w niezły bajzel, White. Przepraszam...

Brałam pod uwagę, że informacja o moim zatrzymaniu może trafić do gazet, więc na wszelki wypadek nie zamierzałam przyznawać się do tego, że pracuję w hotelu Sahara - nie chciałam zawstydząć Mickeya. Nie chciałam też szargać swojego nazwiska, dlatego postanowiłam podać nazwisko Joego. Nie przyjął go po ślubie, co wywołało zresztą niezłe

poruszenie. W tamtych czasach nikt tak nie postępował. Kobiety dopiero co zaczęły palić staniki i wciąż miałyśmy przed sobą daleką drogę.

Kiedy nadeszła moja kolej, podałam policjantce wszystkie informacje i wyjaśniłam, że zgubiłam torebkę. Następnie zaprowadzono mnie do pokoju, w którym zdejmowano odciski palców i wykonywano zdjęcia do policyjnej kartoteki. Mężczyzna zawiesił mi na szyi tabliczkę z numerem ewidencyjnym i stanął za aparatem. Kiedy szykował się do naciśnięcia spustu migawki, uśmiechnęłam się.

- Nie, nie, nie. Do tego rodzaju zdjęć się nie uśmiechamy - powiedział fotograf. - Zrobimy jeszcze jedno.

Ponownie zwolnił migawkę, a ja ponownie się uśmiechnęłam.

- Posłuchaj, skarbie, nie możesz się uśmiechać.

- Przepraszam bardzo - zaprotekowałam. - Nie zna mnie pan na tyle, żeby nazywać mnie skarbem! I dla pańskiej informacji: ludzie płacą duże pieniądze za ten uśmiech. Nie zamierzam wyglądać jak przestępczyni.

- Ależ ty jesteś przestępczynią, kochanie, inaczej byś tu nie trafiła. Więc pozbądź się tego uśmiechu.

Zrobił kolejne zdjęcie, na którym znowu uwiecznił mój uśmiech.

- Lepiej niech się pan z tym pogodzi. Na inne zdjęcie nie ma pan co liczyć. Ma pan już trzy, więc na jednym mogę dać panu autograf. Pewnego dnia może być sporo warte.

- Mądrała - mruknął, kiedy strażniczka wyprowadzała mnie z pokoju.

Nie wiem, dokąd zabrali prostytutkę z wielkimi cyckami, ale więcej jej nie zobaczyłam. O szóstej rano w końcu trafiłam do swojego nowego, tymczasowego domu, który dzieliłam z dwoma bardzo miłymi współlokatorkami. Jedną z nich była prostytutka, natomiast drugą była młoda dziewczyna, którą policja zgarnęła za podróżowanie autostopem - tak przynajmniej powiedziała. Dziewczyna miała prawo do jednego telefonu i popełniła błąd, dzwoniąc do swojego chłopaka - tego samego, przez którego próbowała wcześniej uciec z miasta. Chłopak był nadal wściekły za to, że go zostawiła, i nie powiadomił jej ojca o konieczności wpłacenia kaucji. W rezultacie dziewczyna siedziała w celi już trzeci tydzień i zaczęła wyświadczać przysługi strażniczce w zamian za możliwość ponownego skorzystania z telefonu. prostytutka opowiedziała mi kilka nieprawdopodobnych historii. Dowiedziałam się z nich rzeczy, których wolałabym nie wiedzieć.

Jak ja tutaj trafiłam?

Nie potrafiłam wyobrazić sobie spędzenia w tej norze więcej niż jednego dnia. Cella miała około dziesięciu metrów kwadratowych i stały w niej cztery prycze. Toaleta znajdowała

się pomiędzy pryczami na samym środku celi - i nie była w żaden sposób osłonięta!

Nie ma mowy, żebym skorzystała z tego czegoś. Poczekam. Za kilka godzin stąd wyjdę - tak mi się przynajmniej wydaje.

Po wysłuchaniu opowieści mojej młodej współlokatorce zaczęłam się zastanawiać.

Co będzie, jeśli Joe postanowi dać mi nauczkę? Powinnam była zadzwonić do Mickeya. Dlaczego tego nie zrobiłam, kiedy miałam szansę?

Zaczęłam stukać w kraty, żeby zwrócić uwagę strażniczki. W końcu nadeszła korytarzem.

- Chciałabym zadzwonić.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- Wydaje ci się, że gdzie jesteś, kochanie? W hotelu?

- Mam prawo do jednego telefonu. Zostawiłam w domu małą córeczkę i nikt nie wie, gdzie jestem. Mam prawo zadzwonić!

Uśmiechnęła się lekceważąco.

- Najpierw muszę uzyskać na to zgodę. Teraz czas na śniadanie.

Otworzyła drzwi celi i powędrowałyśmy gęsiego korytarzem prowadzącym do stołówki. Niektóre z obecnych tam kobiet nosiły niebieskie uniformy, a inne nie. Te, które nakładały na talerze jajecznicę z proszku, bez wyjątku ubrane były na niebiesko. Zaintrygowało mnie to.

- Dziewczyny, jesteście więźniarkami czy jesteście tu zatrudnione? - zapytałam niewinnie.

- Hej! - zawołała jedna z nich. Na sali zapadła cisza. - Słyszeliście tę cizję? Chce wiedzieć, czy jesteśmy więźniarkami, czy jesteśmy tu zatrudnione!

Cała stołówka eksplodowała śmiechem, który ucichł dopiero po kilku minutach. Nawet Stara Raszpla w mundurze strażniczki wykrzesła z siebie krzywy uśmiech. Wzięłam talerz z jajecznicą z proszku i zakłopotana podreptałam za swoimi współlokatorkami do stolika. Nie znałam panujących w więzieniu reguł i wcale nie miałam ochoty ich poznawać.

- Trzymaj kciuki, żeby szybko wplacono za ciebie kaucję - powiedziała prostytutka. - One nigdy ci tego nie zapomną.

- Myślę, że wyjdę stąd w ciągu kilku godzin, ale żeby mieć pewność, muszę zadzwonić.

- Powodzenia - powiedziała moja młoda koleżanka, gapiąc się z rezygnacją na swoją porcję wybornej jajecznicy.

Podniosłam widelec do ust, rozglądając się jednocześnie ukradkiem po sali. Chciałam

sprawdzić, czy nadal jestem w centrum zainteresowania. Z ulgą stwierdziłam, że wszyscy wrócili do swoich spraw.

- Dobry Boże! - krzyknęłam, spróbowałam jajecznicy. - Jak wy możecie to jeść?

- Przyzwyczaisz się - zapewniła dama lekkich obyczajów.

- A ty jak długo już tu jesteś? - zapytałam. Wydawało mi się, że potrzeba lat, żeby przywyknąć do tego smaku.

- Tym razem dwa tygodnie. Dzwoniłam do mojego alfonsa, ale on nic nie wiedział o numerku, za który tu trafiłam. Doszedł do wniosku, że kantuję go za jego plecami. Wyciągnie mnie stąd, kiedy uzna, że dostałam nauczkę.

Śniadanie dobiegło końca i zaprowadzono nas z powrotem do celi. Minęły kolejne trzy godziny, a ja w dalszym ciągu nie miałam szansy skorzystać z telefonu. Nie byłam pewna, jak długo jeszcze wytrzymam bez korzystania z toalety.

- Georgia Lamendola?

Strażniczka stała po drugiej stronie krat, uśmiechając się złośliwie.

- Znaleźli twoją torebkę - oznajmiła.

Zamarłam. To ma być wszystko? „Znaleźli twoją torebkę”? Czy znaleźli to, co w niej było?

Strażniczka nie przekazała mi żadnych dodatkowych wiadomości, ale jej mina sugerowała, że wie coś więcej. Wyglądało na to, że ukrywanie informacji to jej ulubiona zabawa. Odwróciła się i odeszła.

- Hej, proszę zaczekać! Co z moim telefonem?

- Wciąż nie ma zezwolenia...

Po następnych dwóch godzinach nabrałam przekonania, że szybko stamtąd nie wyjdę. Musieli znaleźć trawę. Wkrótce ponownie zajrzała do nas Stara Raszpla.

- Twój współnik jest już na wolności. Wygląda na to, że nazwisko, które podałaś, nie zgadza się z nazwiskiem na twoim prawie jazdy. Teraz sprawdzają, czy nie jesteś poszukiwana w innych stanach. Możesz się rozgościć, to zajmie trochę czasu - powiedziała z satysfakcją.

- Jak długo?

Oczywiście nie doczekałam się odpowiedzi. Na odchodne strażniczka zaszczyliła mnie tylko głupim uśmiechem.

- Dlaczego skopałaś tamtego gliniarza? - zagadnęła dama lekkich obyczajów.

- Bo był dupkiem, dlatego! - odparłam ostro.

- Przepraszam najmocniej. Zadałam tylko zwykłe pytanie.

- To ja przepraszam. Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Po prostu tamta suka zalazła mi za skórę.

- Tak trzymaj, dziewczyno, a dasz sobie tutaj radę - skomentowała z aprobatą w głosie.

Minęła następna godzina. I znowu doczekaliśmy się wizyty Starej Raszpli.

- Georgia Lamendola alias Georgia Durante. Wychodzisz - zakomunikowała, otwierając z ociąganiem drzwi celi.

- Nie doczekałam się telefonu - zauważyłam, kiedy szliśmy korytarzem.

- A ja nie doczekałam się zezwolenia - uśmiechnęła się znacząco Stara Raszpla.

Zbliżaliśmy się do drzwi, za którymi zaczynała się moja wolność.

- Tak przy okazji, jak dorobiłaś się takiej gęby? - zapytałam.

Jej czoło zmarszczyło się, a oczy zamieniły się w wąskie szparki.

- Czy kiedy byłaś dzieckiem, przejechała cię ciężarówka, czy co?

- Ty mała bezczelna dziwko! - zakłęła pod nosem.

Poczęstowałam ją takim samym obrzydliwym uśmieszkiem, jaki musiałam oglądać przez ostatnie osiem godzin.

- Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy - rzuciła za mną, zanim stalowe drzwi zamknęły się z głośnym szczękiem.

Za drzwiami czekali na mnie Joe i Butch Marionette. Butch od sześciu miesięcy mieszkał w Las Vegas. Byłam pewna, że przez ten czas pełnił funkcję „oczu” Joego. Nie przywitałam się.

- Chodźmy, na zewnątrz czeka samochód - powiedział nonszalancko Joe.

- Nie jadę z wami.

Joe rozejrzał się dookoła, po czym od niechcienia ujął mój nadgarstek w swoją dłoń. Ścisnął go mocno i wyszeptał:

- Nie zaczynaj. Nie zrobię ci krzywdy. A teraz uśmiechnij się i po prostu wyjdź przez te drzwi.

Zrobiłam, co mi kazał. Było dla mnie oczywiste, że nie mam co liczyć na pomoc policji.

- Nie podziękujesz Butchowi za to, że wpłacił za nas kaucję? - zapytał Joe, kiedy wsiadaliśmy do samochodu Butcha.

- Nie. Sam mu podziękuj, to twój kolega.

Butch odwrócił ku mnie głowę i nasze oczy się spotkały. Ostatecznie to on pierwszy odwrócił wzrok.

- Siedziałem w jednej celi z tym gościem, który obrobił Caesars - powiedział Joe. - Wiesz, ile wyniosła jego kaucja? Dziewięćset dolarów. A wiesz, ile wynosiła nasza? Pięć tysięcy. Za osobę! Nie chciałaś mnie słuchać, Georgia. Musiałaś kłapać jadaczką. Któregoś dnia ta twoja niewyparzona gęba cię zabije, wiesz o tym?

Zignorowałam go i zajęłam się przetrząsaniem swojej torebki. Trawka wciąż tam była. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. W torebce panował taki bajzel, że policjanci prawdopodobnie zadowolili się znalezieniem dokumentu tożsamości, po czym upchnęli torbę gdzieś na dolnej półce. Gdyby chcieli zewidencjonować całą jej zawartość, całkiem możliwe, że zajmowałiby się tym do tej pory - a ja wciąż siedziałabym za kratkami.

- Gdzie jest mój wóz?

- Te fiuty odstawiły go na policyjny parking. Właśnie jedziemy go odebrać.

- Muszę skorzystać z łazienki. Możemy się gdzieś zatrzymać?

- Możemy, jeśli obiecasz, że nie uciekniesz.

Za każdym razem gdy zbierałam się na odwagę, żeby przeciwstawić się Joemu i groziłam odejściem, on pytał mnie ironicznie: „I niby dokąd pójdziesz?”. Użyłam więc tego dobrze znanego mi zwrotu, tyle tylko, że pytanie: „I niby dokąd bym poszła?”, zadałam zrezygnowanym głosem.

- W końcu to do ciebie dotarło, co?

- Tak, Joe. Nigdzie się nie wybieram.

Zatrzymaliśmy się i weszliśmy do restauracji Denny's - Joe w swoim wymiętym garniturze, ja w podartych ubraniach, z opuchniętą wargą i poobcieranym ciałem. Cóż za para. Ale w końcu było to Las Vegas, gdzie nic nie wydaje się nieodpowiednie. Joe czekał przy drzwiach łazienki, dopóki nie wyszłam. Butch usiadł przy stoliku. Miał bladą i wymizerowaną twarz, a jego rudawozłote włosy były w nieładzie.

- Zjemy coś, zanim pojedziemy po twój samochód - oznajmił mi Joe. - Musisz umierać z głodu. Dobrze wiem, że nie tknęłaś tamtego jedzenia, tak samo jak wiedziałem, że nie skorzystasz tam z ubikacji. Martwiłem się o ciebie.

- Martwiłeś się o mnie? Wczoraj w nocy zamierzałeś mnie zabić, a dzisiaj się o mnie martwiłeś? Potrzebujesz pomocy, Joe. Zamów mi jakieś jajka. Muszę zadzwonić.

Joe eskortował mnie do telefonu przy drzwiach restauracji. Nie dość, że byłam głodna, to bolał mnie każdy centymetr ciała. Zadzwoiłam do Mickeya i pokrótce wyjaśniłam, co się stało. Powiedziałam, że za kilka godzin będę w domu.

- Czy z Toni wszystko w porządku?

- Nic jej nie jest, bawi się teraz w basenie z dziewczynkami. Na pewno nie chcesz,

żeby po ciebie przyjechał?

- Nie, Mick, nie ma potrzeby. Naprawdę, poradzę sobie. Mógł-bys tylko zadzwonić do Sahary i uprzedzić ich, że dziś wieczorem nie przyjdę do pracy.

Odłożyłam słuchawkę.

- Więc to u Mickeya mieszkałaś... Co za kłamliwy sukinsyn.

- Joe, to nie była jego wina. To ja go zapytałam, czy mogę się u nich zatrzymać. Co miał niby zrobić? Odmówić mi? W końcu jesteśmy rodziną.

Odwrociłam się i poszłam do stolika.

- Powinieneś być ją widzieć, Butch. Ten glina popamięta ją na długie tygodnie, zwłaszcza kiedy będzie brał prysznic. Zdziorna z niej laseczka. Pewnie dlatego tak ją kocham - powiedział, ściskając czule moją dłoń.

Wyszarpnęłam ją z jego ręki.

- To wcale nie jest zabawne, Joe.

- Och, daj spokój, moja mała więźniarko. Za kilka lat będziemy się z tego śmiali.

- Może i tak, ale na razie wcale mnie to nie śmieszy.

Butch wysadził nas przy policyjnym parkingu. Policjanci długo zwlekali, zanim wreszcie oddali mi mój samochód. Jestem pewna, że robili to specjalnie, żeby jeszcze bardziej nas zirytować. Byłam zbyt zmęczona, żeby się z nimi spierać, czekałam więc cierpliwie, aż papierkowa robota się skończy. Kluczyki odebrał Joe i to on usiadł za kierownicą. W milczeniu pojechaliśmy do naszego mieszkania na Sahara Boulevard. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Joe wyciągnął kluczyki ze stacyjki i schował je do kieszeni, niczym cenny skarb.

- Joe, powiedziałam Mickeyowi, że będę u nich za godzinę. I tak minęło już więcej czasu. Muszę jechać.

- Wejdz do mieszkania, tylko na dziesięć minut. Chciałbym z tobą pomówić. Potem możesz jechać.

Nie mając wielkiego wyboru, weszłam po schodach na górę. Joe szedł tuż za mną. Kiedy włożył klucz do zamka, poczułam lekki niepokój.

- Porozmawiajmy lepiej na zewnątrz, przy basenie - zaproponowałam.

- Nie zrobię ci nic złego, Georgia, chcę tylko porozmawiać.

Otworzył drzwi, a ja z wahaniem weszłam do środka. Kiedy drzwi się zamknęły, Joe oparł się o nie, niczym żywa barykada.

- I co ja mam z tobą zrobić? - zapytał miękko.

- Pozwól mi odejść, Joe.

- Nigdy nie pozwolę ci odejść, Georgia. Za bardzo cię kocham, żeby pozwolić ci zniknąć ze swojego życia. Odejdiesz po moim trupie, ale do tego czasu należysz do mnie: twoje ciało, twój umysł i twoja...

- Nie kończ, Joe. Nie mów „dusza”, bo ją zламаłeś. Jestem martwa w środku. Nie widzisz tego? Wziąłeś moje ciało. Udało ci się wypaczyć mój umysł. A teraz zabiłeś to, co ze mnie zostało: moją duszę. Boję się mówić, co czuję, i dlatego staram się nic nie czuć. Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatnio się śmiałam. Wydaje ci się, że to, co zrobiłeś ostatniej nocy, tak po prostu zniknie? Nie, Joe. Próbuję wyrzucić to z głowy, ale nie potrafię.

- Przecież mnie kochasz, Georgia. Wiem, że tak jest.

- Tak, kocham cię. Ale tak samo mocno cię nienawidzę. Jestem ciągle smutna, a chcę być szczęśliwa. Nie chcę już dłużej żyć w taki sposób. I wiem, że to nie jest dobre życie dla Toni. Dzieci powinny się śmiać, a moje dziecko rzadko się śmieje. Przemykamy obok ciebie na palcach, nigdy nie mamy pewności, czy to, co powiemy albo co zrobimy, nie sprowokuje cię do gniewu. Zeszłej nocy byłeś gotowy mnie zabić. Kiedy wpadasz w szał, nie da się cię powstrzymać. Musisz pozwolić mi odejść, Joe.

- Kim on jest, Georgia?

- Kto taki?

- Ten skurwiel, z którym się spotykasz. Nie zgrywaj idiotki.

- Jezu, z nikim się nie spotykam, Joe. Dlaczego ty mnie nie słuchasz?

- Nie mówiłabyś takich rzeczy, gdybyś nikogo nie miała.

- Dlaczego nie możemy rozmawiać jak normalni ludzie, Joe? Dlaczego nie mogę mówić o tym, co czuję? Dlaczego ty nigdy nie chcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia?

- Jeśli mnie okłamujesz, przysięgam... Zabiję cię. Zabiję każdego, kto cię dotknie. Należysz do mnie.

- Nie okłamuję cię, Joe.

- Kochanie, proszę... Nie zostawiaj mnie - zaczął nagle błagać, przyciągając mnie do siebie. - Nie mogę znowu przez to przechodzić. Moje serce krwawi, kiedy to robisz. Nie mogę bez ciebie żyć, Georgia. Proszę... powiedz, że nigdy mnie nie opuścisz. Powiedz to.

- A czy ty możesz powiedzieć, że nigdy mnie nie skrzywdzisz?

- Tak mi przykro z powodu wczorajszej nocy. Wiem, że cię wystraszyłem.

- Wystraszyłeś? Joe, ty chciałeś mnie zabić! Próbowałeś przejechać mnie samochodem, na litość boską!

- Wiem, Georgia, wiem. Ale tak długo cię nie było. Nie wiedziałem, co się z tobą

dzieje. Myślałem, że straciłem cię na dobre. Nie mogłem znieść myśli, że mogłabyś już nigdy do mnie nie wrócić. Tak bardzo cię kocham, Georgia. Ty i Toni jesteście wszystkim, co mam. Jesteście całym moim życiem. Proszę, powiedz, że mnie kochasz... Po prostu to powiedz.

Tu nie było miejsca na szczerość. Joe nie chciał słuchać prawdy. Nie chciał wiedzieć, co czuję. Chciał tylko, żeby wszystko było w porządku.

W ten sposób nigdy z nim nie wygrasz, White. Po prostu powiedz mu to, co chce usłyszeć. Inaczej sama wiesz, jak to się skończy. Wiesz, jaki on jest. Uważaj na to, co mówisz; on jest teraz na krawędzi.

Ale ja chcę wreszcie wyrwać się z tego zaklętego kręgu.

On teraz i tak cię nie usłyszy, White. Nie jest w stanie cię usłyszeć.

Ani moja rodzina, ani moi przyjaciele nie rozumieją, dlaczego przy nim trwam, dlaczego do niego wracam. Wszyscy poza mną widzą tylko twardego faceta, „dominującego” Joego, nigdy nie widzieli jego łez, nie zdają sobie sprawy z jego zagubienia, nie oglądają na przemian doktora Jekylla i pana Hyde’a. Więc jak mogliby mnie zrozumieć? Jak mam się z tego wyrwać - jak mogę uwolnić się od krzywd?

Joe przycisnął mnie mocno do siebie, a jego dłonie przesuwają się po moich plecach w dół, aż do pośladków. Jego oddech stał się chrapliwy, kiedy położył prawą rękę na moich piersiach. „Kocham cię, Georgia”. Jego tętno przyspieszyło; zaczął całować moją szyję. A potem brutalnie rozdarł moją bluzkę i pchnął mnie na podłogę.

- Jesteś moja - powiedział. - Nikt inny nie będzie cię miał, nikt poza mną. Powiedz mi, że mnie kochasz.

- Przestań, Joe!

- Powiedz, że mnie kochasz!

Przed oczami stanęła mi twarz Dicka i nagle ożyło we mnie wspomnienie gwałtu.

Pocałuj mnie. Tylko jeden pocałunek - nie chcę nic więcej.

- Sprawiasz mi ból, Joe. Przestań, proszę.

- Nie walcz ze mną, kochanie, pozwól mi cię kochać.

- Ty mnie nie kochasz, Joe, ty mnie pieprzysz. To boli! Puszczaj!

- Zabiję każdego, kto cię dotknie w taki sposób. Należysz do mnie.

Ramię przeszywał mi ból, byłam wyczerpana. Nie miałam już w sobie ani siły, ani woli. Wziął mnie tak, jak wiele razy wcześniej.

- Mogę już iść? - zapytałam, kiedy było po wszystkim.

- A wrócisz?

- Nie dziś.

- Ale potem do mnie wrócisz?

- Tak, wrócę rano - obiecałam.

To był najprostszy i najszybszy sposób, żeby się stamtąd wydostać.

Wślizgnęłam się po cichu do domu kuzyna i wspięłam się po schodach. Zajrzałam do sypialni Toni i zastałam ją pogrążoną w błogim śnie. Kiedy tak stałam w zaciemnionym pokoju i przyglądałam się jej, do oczu napłynęły mi łzy. Delikatnie naciągnęłam kołdrę na jej ramiona i spojrzałam na jej anielską buzię. Mój Boże, nigdy nie chciałam, żeby twoje życie było takie poplątane, mój aniołku. Mamusia postara się to naprawić - obiecałam. Kiedy zamykałam drzwi do jej pokoju, drżały mi ręce.

Ocierając łzy, zeszłam na palcach na dół. Liczyłam, że mój kuzyn już śpi, ale nie miałam szczęścia. Kiedy weszłam do pokoju, Mickey siedział na sofie.

- Jezu - powiedział, przebiegając po mnie spojrzeniem. Pokręcił głową. - Zamierzasz do niego wrócić, prawda?

- Nie, Mick. Nie tym razem. Posmakowałam wolności, jutro rano wyjeżdżam do Nowego Jorku. Zabiorę ze sobą tyle rzeczy, ile tylko zdołam wcisnąć do samochodu. Resztę możesz wysłać mi pocztą. Jestem wykończona, Mickey. Idę do łóżka. Chciałabym wstać jak najwcześniej rano.

- Mamusiu, mamusiu - zawołała Toni, wskakując na moje łóżko. - Możemy dziś popływać łódką z kuzynem Mickeyem i dziećmi?

Otworzyłam oczy i dźwignęłam się z wysiłkiem, opierając się o wezgłowie łóżka. Każdy ruch sprawiał mi ból.

- Nie, córeczko. Dziś pojedziemy na wycieczkę samochodem, tylko ty i ja. Ale będzie zabawa, co?

Oczy Toni rozbłysły radośnie.

- Super!

Fale jasnych loków opadały na jej plecy, kiedy w podskokach wybiegała z pokoju.

Zadzwoiłam do niego dopiero, kiedy przekroczyliśmy granicę stanu Nevada. Głos w słuchawce nie zabrzmiał przyjaźnie.

- Zaufałem ci, Georgia.

- Problem w tym, Joe, że ja nie ufam tobie. Jadę do domu.

- Nie rób mi tego. Ostrzegam się, Georgia, nie rób tego. - Jego ton był zimny i nienawistny.

Pomyślałam o możliwych konsekwencjach i ogarnął mnie strach. Milczałam.

- Georgia, zasnęłaś czy zatkały ci się uszy? Jeśli natychmiast nie...

- Nie masz bladego pojęcia, co ja czuję! - wybuchnęłam gniewnie. - Robię ci uprzejmość i dzwonię, żebyś nie musiał się o mnie martwić, ale nie zamierzam wracać. Wczoraj w nocy próbowałam ci opowiedzieć o swoich uczuciach, ale ty jak zwykle nie chciałeś słuchać.

- Nie możesz wyjechać. Za kilka dni masz stawić się w sądzie.

- Załatw to, Joe. Ty nas w to wplątałeś, więc teraz nas z tego wyciągnij.

- Jeśli nie zjawisz się w sądzie, przepadnie twoja kaucja. Będę pięć tysięcy w plecy.

- Za każdym razem kiedy traktujesz mnie w taki sposób, tracisz więcej niż pieniądze.

Może jeśli uderzy cię to po kieszeni, na drugi raz lepiej się zastanowisz. Kiedy będę już w domu, dam ci znać, że dotarłam bezpiecznie. Do widzenia, Joe.

Rozdział ósmy

Po powrocie do Rochester wprowadziłam się do garażu za domem mojej matki i zaczęłam remont. Joe wyjechał z Nevady wkrótce po tym, jak uporządkował swoje sprawy w sądzie. Wpłacona za mnie kaucja przepadła i zostałam objęta nakazem aresztowania. Na szczęście nie były to jeszcze czasy wszechobecných komputerów. Nigdy nie zostałam złapana, chociaż jeszcze wiele lat później musiałam przemykać przez stan Nevada na palcach. Po trzech dniach od wyjazdu z Las Vegas Joe zjawił się w Rochester, jak zwykle z pełnymi garściami obietnic. Po raz setny zapewnił, że wreszcie się czegoś nauczył i naprawdę zamierza zmienić -swoje postępowanie.

W Rochester nie można było się ukryć - zawsze pozostawało się na widoku. Odpieranie nalegań Joego wyczerpało mnie psychicznie i w końcu skapitulowałam. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Wróciliśmy do wspólnego życia w tym samym punkcie, w którym się rozstaliśmy. Po prostu kolejna nieudana ucieczka. Wciąż marzyłam o chwili, w której znajdę w sobie wreszcie dość odwagi, żeby naprawdę sięgnąć po szczęście i normalność. A tymczasem nadal tkwiłam w zaklętym kręgu.

Minął rok od sprzedania Caesars II i naszego powrotu do Rochester. Przez ten czas zmieniłam garaż w piękną oficynę, w której każde pomieszczenie wypełniało światło. Sosnowe boazerie i nowoczesne meble w jasnych kolorach poprawiały mi nastrój. Wprowadzenie wszystkich zmian okazało się nie tylko pracochłonne, ale i kosztowne. Ostatecznie jednak każdy najdrobniejszy detal był dokładnie taki, jak chciałam. Chociaż nasze stare mieszkanie nad klubem uchodziło powszechnie za popisowo urządzone, to było w nim ciemno i przygnębiająco. Wszystko, łącznie ze ścianami, było tam czarno-czerwone. Joe nie pozwalał mi wprowadzić żadnych zmian; lubił kawalerski klimat tamtego mieszkania. Ja natomiast nigdy nie czułam się tam szczęśliwa. Kiedy uwiłam przytulne gniazdko w dawnym garażu, ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że przypadło Joemu do gustu.

Ponieważ pił o wiele mniej niż za czasów pracy w klubie, rzadziej się kłóciliśmy. Codziennie grywał z Salem Ruvio w tenisa, do tego częściej udzielaliśmy się towarzysko - naturalnie, w gronie jego przyjaciół. Wciąż zdarzały się nam piekielne awantury, w czasie których dochodziło do rękoczynów, ale było ich mniej niż kiedyś. Nie liczyłam na to, że będzie się nadal tak zachowywał, ale cieszyłam się z chwilowego spokoju.

Coś jednak wisiało w powietrzu. Joe zaczął zachowywać się jak osaczone zwierzę. Nie wiedziałam, co dokładnie go gryzie, ale miałam pewne przypuszczenia.

- Przeprowadźmy się do Kalifornii - zaproponował ni stąd, ni zowąd.

- Oszalałeś? Po co miałabym się przeprowadzać, skoro dopiero skończyłam urządzać to miejsce tak, jak chciałam?

Po ostatnich doświadczeniach nie wyobrażałam sobie wyjazdu z Joem do innego stanu. Pobyt w Las Vegas nauczył mnie jednego: nigdy nie oddalać się od rodziny i przyjaciół bardziej niż na dystans, jaki można szybko pokonać samochodem. Bez tego zabezpieczenia byłam bezbronna.

- To mieszkanie będzie przecież na nas czekać. Kiedyś tu wrócimy.

- Nie - powiedziałam kategorycznie. - Nigdzie nie jadę

- Georgia, ja muszę wyjechać. I chcę, żebyś pojechała ze mną.

- Dlaczego musisz?

- Nie zadawaj pytań, Georgia. Po prostu musimy to zrobić.

- My?

- Jedziesz ze mną, koniec dyskusji.

- A co z moją pracą?

- Możesz pracować w Kalifornii.

- Ale tutaj mam wyrobione nazwisko i mnóstwo zleceń. W Kalifornii nikt nie zna Georgii Durante. Musiałabym zaczynać od zera. Zamierzasz sponsorować mój ubraniowy zakupoholizm, dopóki nie zacznę sensownie zarabiać?

- Zawsze będziesz mieć jedzenie na stole i dach nad głową, ale nie obiecuję, że będę kupował ci ubrania. Na połowie tego gówna, które wisi w twojej szafie, ciągle dyndają nieodcięte metki. Założę się, że sama nie wiesz, co tam trzymasz. Wydajesz na ciuchy tyle forsy, że twoja szafa przypomina pieprzony sklep.

- To moja forsa, Joe. I będę ją wydawać, jak mi się spodoba. Poza tym taka garderoba jest niezbędna w mojej pracy.

- Zarabiasz cholerną fortunę, Georgia, i co z tego masz? - rzucił pogardliwie.

- Chociażby to cudowne mieszkanie, w które włożyłam tyle pracy i z którego nie zamierzam się nigdzie ruszać!

- Posłuchaj, Georgia: nie masz wyboru. Zatrzymam się u mojego brata Jimmy'ego, dopóki nie znajdę dla nas mieszkania. Przez ten czas zdążysz pozalać swoje sprawy tutaj. Kiedy urzędę się w San Diego, przyjedziesz do mnie.

Zgodziłam się, choć wcale nie miałam zamiaru opuszczać Rochester. W ciągu trzech ostatnich miesięcy 1975 roku czterokrotnie odwiedzałam Joego w San Diego. Za każdym razem miałam inną wymówkę, dlaczego moje przygotowania do przeprowadzki ciągną się tak

długo: praca, Toni i wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Joe był jednak zdecydowany ściągnąć mnie do San Diego - na stałe. Powody, dla których opuścił stan Nowy Jork, musiały być poważne, skoro bał się po mnie wrócić i zawlec mnie do Kalifornii za włosy. Dzwonił za to co wieczór i nalegał, żebym przyspieszyła przeprowadzkę. Zawsze byłam w domu, żeby odebrać jego telefon. Wyglądało na to, że boi się ponownie mnie utracić, bo nie uciekał się do przemocy. Kiedy go odwiedzałam, był delikatny i kochający - taki jak mężczyzna, w którym kiedyś się zakochałam. Ale moja pamięć o wcześniejszych doświadczeniach była nadal żywa i nie ulegałam jego namowom.

Śmierć Jimmy'ego „Młotka” Massaro była początkiem końca zorganizowanej przestępczości w Rochester. A przynajmniej oznaczała koniec pewnej epoki, która przez długi czas była częścią mojego życia. Z tych, którzy mogliby wspominać ze mną tamte „stare, dobre czasy”, niewielu dożyło do dnia dzisiejszego.

Wszystko zaczęło się od pewnego niezupełnie uczciwego gliniarza. Billowi Mahoneyowi udało się zasiać panikę w szeregach złych chłopców. Nikt z nich nie był pewien, komu może ufać. Za sprawą Mahoneya zaczęli się zwracać przeciwko sobie. Pewnego razu nawet ja zostałam zatrzymana i przewieziona na przesłuchanie. Kiedy wprowadzono mnie do biura Mahoneya, zastałam tam Ala DeCanzio, lokalnego gangstera, który z nogami wyciągniętymi na biurku rozmawiał sobie przez telefon i zachowywał się tak, jakby to miejsce należało do niego! Cóż, właściwie to prawie tak było - Al trzymał bowiem w garści Mahoneya.

Al DeCanzio był dla Mahoneya kluczem do sławy. Bez dostępu do tajemnic, które znał DeCanzio, Bill nigdy nie zdołałby osiągnąć swojego nadrzędnego celu: zniszczenia mafii i położenia kresu jej działalności w mieście Rochester. Z każdym kolejnym fragmentem układanki, jaki otrzymywał od Ala, Mahoney był coraz bliższy sukcesu. Wkrótce Bill zaczął wyciągać Ala z więzienia i zatrudniać go do różnych prac w swoim własnym domu. Było to oczywiście pogwałcenie przepisów, ale Mahoney był gotowy na wszystko, byle tylko zrealizować swoje ambicje. Al nie miał nic przeciwko pracy. W końcu mógł wyrwać się z więziennej celi i zażyć nieco ruchu. Mógł również bez żadnych ograniczeń korzystać z telefonu.

Al miał haka na każdego i po kawałeczku dzielił się swoją wiedzą z Mahoneyem. Życzenia Ala stały się dla Billa rozkazem. Na DeCanzio czekał proces o zabójstwo współnika, z którym kilka miesięcy wcześniej przeprowadził skok. Było jasne, że przekazuje informacje w zamian za własną wolność.

Al DeCanzio zaliczał się do tej samej kasty, co Jimmy „Młotek” oraz Duży Gene:

wszyscy byli żołnierzami mafii. Za rządów Franka Valentiego Al był jednym z jego ochroniarzy.

Po ustąpieniu Valentiego kontrolę nad miejskim półświatkiem przejął Sammy Gingello. Fakt, nadal miał nad sobą ludzi, którym podlegał, ale i tak był to dla niego moment chwały. Obejmował pozycję, do której dążył przez całe życie - udało mu się tego dokonać w wieku zaledwie trzydziestu trzech lat. Podczas przejścia władzy połała się krew, jednak było to nic w porównaniu z tym, co miało dopiero nastąpić. Sam nie zamierzał oddawać tego, na co tak ciężko zapracował. Gdyby ktokolwiek chciał zająć jego miejsce, musiałby to zrobić po jego trupie.

Eskortujący mnie policjanci wyszli z gabinetu Mahoneya i zamknęli za sobą drzwi; zostałam sam na sam z Alem. Al odłożył słuchawkę telefonu, założył ręce za masywny kark i odchylił się do tyłu, rozpierając się w wyściełanym fotelu Mahoneya. Muskularne nogi w dalszym ciągu trzymał wygodnie wyciągnięte na blacie biurka.

- Cześć, Georgia. Miło cię widzieć. Dobrze wyglądasz - powiedział z obrzydliwym uśmiechem, który nigdy nie schodził mu z twarzy.

Chciałabym móc zrewanżować się podobnym komplementem... Worki pod oczami zdradzały napięcie, w jakim musiał żyć. Od czasu gdy widziałam go po raz ostatni, powiększyły mu się zakola na głowie, a jego proste brązowe włosy wydawały się teraz lekko przetłuszczone.

Wbiłam w niego oskarżycielskie spojrzenie.

- Co ty, do diabła, tutaj robisz, Al?

Specjalne względy, jakimi się tam cieszył, mogły oznaczać tylko jedno: Al sypał. Dotąd nie słyszałam nic o tym, żeby był kapusiem; założyłam więc, że nikt inny jeszcze o tym nie wie.

- Bill chce przeprojektować swoje biuro, więc ściąga mnie tu kilka razy w tygodniu, żebym wbił mu parę gwoździ. Rozumiesz, tania siła robocza. W zamian mogę sobie podzwonić i rozprostować nogi - powiedział. - A co tam słyszać na ulicach?

Bezceremonialnie rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu urządzeń do nagrywania dźwięku.

- Po co mnie o to pytasz, Al? Pewnie i tak wiesz więcej ode mnie, mimo że siedzisz. A razem z tymi wszystkimi telefonicznymi rozmowami masz pewnie dość informacji, żeby napisać całą książkę.

- Właśnie to robię... Właśnie to robię. Jak się miewa Joe?

- W porządku - odparłam szorstko.

- Gdzie się ostatnio podziewa?

- Kręci się po okolicy - skłamałam. Wyjechał z Rochester cztery miesiące wcześniej.

- A może widziałaś ostatnio Sammy'ego? Albo któregoś z chłopaków?

Miałam już dość tej zabawy w kotka i myszkę.

- Al, o co w tym wszystkim chodzi? Co ty tu właściwie robisz? No i co ja tutaj robię?

Roześmiał się głośno.

- Co ja tutaj robię, to akurat wiem...

- A dlaczego ja tu jestem, Al? - Byłam wściekła, że tamci perfidni gliniarze postawili mnie w takiej sytuacji.

- Skoro ty sama tego nie wiesz, to ja tym bardziej - odparł obcesowo.

Pochyliłam się do przodu, oparłam dłonie na biurku Mahoneya i przygwoździłam Ala spojrzeniem.

- Skoro masz Nielimitowany dostęp do telefonu, to może zamówiłbyś mi taksówkę?

Wstałam. Nie mogli mnie tu trzymać. Albo chcieli mnie zrobić, albo wytrącić z równowagi kilka innych osób. Mahoney był mistrzem takich gier.

Otworzyłam drzwi i obejrzałam się na Ala, który obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek.

- Wiesz co, Al? Jesteś zwykłą mendą - wypaliłam. Nie dałam się zastraszyć. - Możesz powtórzyć tym dwulicowym sukinsynom, żeby poszli do diabła! A jeśli mają z tym jakiś problem, niech zadzwonią do mojego adwokata.

Wyszłam i z impetem zatrasnęłam za sobą drzwi.

Pomaszerowałam na koniec korytarza, nacisnęłam przycisk windy i czekałam niecierpliwie. Tak bardzo chciałam opuścić ten budynek, że kiedy drzwi windy w końcu się otworzyły, w pośpiechu wpadłam prosto na wychodzącego mężczyznę w garniturze. Był to Sal Ruvio, jeden z czystszych policjantów w Rochester.

- Georgia? Skąd się tutaj wzięłaś?

- Ty mi to powiedz, Sal! Zrób coś dla mnie i przekaz Mahoneyowi wiadomość: powiedz mu, że kiedy następnym razem będzie chciał ze mną rozmawiać, niech postara się o nakaz. Gliniarze! Wszyscy są tacy sami!

Wparowałam do windy niczym burza i nacisnęłam guzik. Drzwi się zamknęły, zostawiając skonsternowanego i zdumionego Sala po drugiej stronie. Coś się działo, choć nie miałam pojęcia co dokładnie.

Wróciłam taksówką do domu, a stamtąd, już swoim własnym samochodem, pojechałam do budki telefonicznej. Zadzwoniłam do Joego w San Diego i opowiedziałam, co

mi się przydarzyło. Wpadł w furję. Nie chciał wprowadzić mnie w szczegóły.

- Dlaczego ty nigdy mnie nie słuchasz, Georgia?

- A dlaczego ty nigdy ze mną nie rozmawiasz, Joe?

- Dlaczego? Z powodu takich historii jak ta dzisiejsza. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. W tej chwili w mieście panuje niezły burdel. Wszyscy mają pietra i upewniają się, że nie zostawili żadnych niedokończonych spraw. Mahoney wystawił cię po to, żeby dobrać się do mnie. Jezu - jęknął, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. - Nie powinienem był zostawiać cię tam samej. Jeśli Mahoney rozpuści na ulicy pogłoski, że gadałaś z Alem, przestaniesz być bezpieczna. Jutro z samego rana wsiądź z Toni do samochodu i przyjeżdżajcie tutaj. O twoje ubrania będziemy się martwić potem.

- A przez ten czas kupisz mi jakieś nowe?

- To nie jest pora na żarty, Georgia.

- To jakieś szaleństwo, Joe. Przecież ja nic nie wiem.

- Wiesz o wiele więcej, niż ci się wydaje, skarbie. A poza tym, nie chodzi o to, co wiesz. Chodzi o to, co oni myślą, że wiesz.

- Sammy by nigdy...

- Nie oszukuj się, Georgia.

Nazajutrz o piątej rano odgarnęłam śnieg z chevroleta i wraz z Toni wyruszyłam do San Diego.

Tydzień później rozpętało się piekło. Nagłówki gazet donosiły o ofiarach śmiertelnych. Dobrzy i źli chłopcy wyruszyli na wojnę. Ci źli zaczęli zabijać się nawzajem, żeby mieć pewność, że złota zasada milczenia nie zostanie złamana.

- Naprawdę za tobą tęskniłem, kochanie. Cieszę się, że wreszcie tu jesteś - powiedział Joe, ponosząc kieliszek w geście toastu. - Zakochasz się w Kalifornii.

- Nie zakocham się, jeśli moje włosy przez cały czas będą się tak skręcać.

- Daj temu miejscu szansę, Georgia. Spróbuj dla odmiany poszukać jakichś pozytywów.

- A są jakiegokolwiek? - zapytałam z powątpiewaniem.

- Będziesz musiała się przyzwyczaić - rzucił zniecierpliwiony. Jego romantyczny nastrój nagle się ulotnił.

Siedzieliśmy w cudownej restauracji nad brzegiem oceanu, popijaliśmy wino i obserwowaliśmy słońce zanurzające się powoli w wodzie. Hipnotyzowały mnie fale przyływu, uderzające rytmicznie o przybrzeżne skały. Kalifornia była piękna, ale ja nie chciałam tu być.

Kiedy wzięłam ostatni łyk wina, zjawił się kelner z naszym jedzeniem. Joe zamówił kolejną butelkę wina i zaczął kroić stek z taką zaciekłością, jakby ten czymś sobie na to zasłużył.

Przez moment przyglądałam się temu z rozbawieniem, po czym zauważyłam, że na stoliku brakuje mojego widelca.

- Przepraszam, proszę pana - zawołałam przechodzącego obok kelnera. - Czy mogę prosić o widelec?

W następnej chwili poczułam, jak widelec Joego wbija się w moją dłoń.

- Nigdy więcej tego nie rób! - powiedział z pełnymi ustami. Przełknął mięso i ciągnął dalej: - Ja jestem mężczyzną i to ja będę prosił o wszystko, czego ci potrzeba. Ty nie jesteś od tego.

Nacisk widelca na rękę nie słabł, przypominając mi o obowiązujących mnie zasadach. Łzy mimowolnie napłynęły mi do oczu.

- Wytrzymaj oczy, zanim ludzie zobaczą - nakazał Joe.

Nieświadomy incydentu kelner wrócił z widelcem.

- Dziękuję - wyszeptałam, kiedy oddalał się od stolika; nie byłam pewna, czy wolno mi podziękować.

Ledwie skubałam to, co miałam na talerzu. Czułam na sobie wyzywające spojrzenie Joego: szukał na mojej twarzy choćby cienia strachu. Rozejrzał się dookoła, po czym pochylił się w moją stronę.

- Masz swój cholerny widelec, więc jedz!

Podniosłam wzrok.

- Nie jestem głodna.

- Zjedz to pieprzone żarcie albo wepchnę ci je do gardła - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Idę do toalety - oznajmiłam, wstając i sięgając po torebkę.

- Torebkę zostawisz tutaj.

- Muszę poprawić makijaż. Na pewno rozmazał mi się tusz.

- Zostawisz ją tutaj.

Tak też zrobiłam. Joe jak zwykle domyślił się, że planowałam stamtąd uciec. Minęłam drzwi łazienki i wybiegłam z restauracji. Nie miałam pewności, gdzie dokładnie znajduje się nasza kamienica; ruszyłam więc wzdłuż plaży, mając nadzieję, że w końcu rozpoznam właściwy budynek. Wybrzeże było ciemne i zimne. Styczniowe wieczory były w Kalifornii chłodne. Fale szumiały kojąco, ale nic nie mogło wypełnić pustki, którą wtedy w sobie

czułam. Nie miałam tu przyjaciół ani rodziny, nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. Byłam sama.

Nie jesteś sama. Ja tutaj jestem. Wiesz co, White? Jesteś teraz o wiele mądrzejsza. Nie pozwól mu znowu odebrać ci niezależności. Wiesz, kim jesteś. Zawsze wiedziałaś - ale pozwoliłaś, żeby ten kretyn zasiał w twojej głowie wątpliwości. Nie pozwól, żeby znowu to zrobił. Postaw mu się. Masz wiele do zaoferowania, White. Nie trać tego na niego - on na ciebie nie zasługuje.

Kiedy wróciłam do mieszkania, Toni już spała. Joe zdążył wrócić przede mną, zapłacił opiekunce do dziecka i odesłał ją do domu. Teraz siedział na sofie z drinkiem w ręku. Tańczące w kominku płomienie odbijały się na jego twarzy; sprawiał wrażenie skruszonego.

- Znowu wszystko spieprzyłem, przepraszam. Ale ty też powinnaś wiedzieć, jak się zachować, Georgia - powiedział, próbując usprawiedliwić swoje postępowanie.

Minęłam go i stanęłam przy dużych przeszklonych drzwiach. Patrzyłam na skąpany w świetle księżyca ocean i zastanawiałam się, jak mam wyrazić mój gniew. Wzdrygnęłam się, kiedy zobaczyłam w szybie odbicie Joego, który wstał i zbliżył się do mnie. Przytulił się do moich pleców, oplatając mnie ramionami.

- Przykro mi - wymruczał i pocałował mnie w szyję.

Wyrwałam się z jego objęć.

- Mnie też jest przykro. Przykro mi, że nigdy nie będziesz zdrowy. Kiedy cię przy mnie nie było, zaczęłam żyć jak normalny człowiek. - Spojrzałam na niego i mówiłam dalej: - Zapomniałam o twoich chorych zasadach i wiesz co? Nie zamierzam ich sobie przypominać. Nie będę więcej żyć w taki sposób.

Ponownie stanęłam do niego plecami.

Odwrócił mnie ku sobie gwałtownie i wpił długie, chude palce w moje ramiona. W jego źrenicach migotały uwięzione odbicia płomieni z kominka.

- Ach tak? - odezwał się. - I wydaje ci się, że co zrobisz?

- Nie wiem.

Znów uwolniłam się z jego uścisku i ruszyłam w stronę sypialni. Joe podążał za mną, tryskając jadem.

- Myślisz, że ktokolwiek inny zechce cię z dzieciakiem? Żaden z ciebie cymes.

Jeszcze to odszczekasz, panie Cudowny - poczekaj no tylko.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie poniżać, Joe? Skoro jestem taka głupia i nic niewarta, to co ty we mnie widzisz? Dlaczego miałbyś kochać kogoś tak bezwartościowego? Możesz mi to wyjaśnić?

Nie mógł.

- Wiesz co? - ciągnęłam. - Nie jestem tak głupia, jak ci się wydaje, albo raczej jak chciałbyś, żebym była. Gdybyś czasem pozwolił mi się odezwać, może byś się zorientował, że mam coś mądrego do powiedzenia. A może właśnie tego się boisz? Jestem osobą, na miłość boską. Nie jestem twoją służącą ani twoją zabawką. Jestem żywym człowiekiem! Chcę tylko, żebyś traktował mnie jak człowieka. Dlaczego nie mogę sama poprosić o przekłety widelec?

Dajesz, dziewczyno! To było niezłe.

- Bo ty nie jesteś od tego! - wykrzyknął.

- Ty też nie! - krzyknęłam w odpowiedzi. - Mam swój własny rozum, Joe. Od tej pory, kiedy będę potrzebować cholernego widelca, to sama o niego poproszę.

Wyglądało jednak na to, że moja odważna deklaracja przekonała tylko mnie samą.

- Znowu rozmawiałeś ze swoimi przyjaciółkami. Na zbyt długo spuściłem cię z oka - warknął.

- Naprawdę ci się zdaje, że myślisz jak racjonalny człowiek, Joe?

Wziął głęboki oddech, a kiedy ponownie się odezwał, jego głos był już opanowany:

- Georgia, powiedziałem już, że cię przepraszam. A teraz może zaczniemy od nowa i będziemy udawać, że to się nie wydarzyło?

- Jasne, Joe, mogę udawać. Jestem w tym dobra.

- Co to miało niby znaczyć? - warknął.

- Nic.

Kłótnia rozgorzała na nowo, a potem znowu ucichła. Joe próbował załagodzić rany, ale strach, który przez wszystkie te lata zaszczerpił w moim sercu, zapuścił korzenie zbyt głęboko, żeby można go było stamtąd usunąć. Ostatecznie posłałam mu zmęczony uśmiech i ustąpiłam. Ale Joe miał już świadomość, że pod fasadą mojego milczenia kryje się rozszalały dziki koń. To sprawiło, że był jeszcze bardziej zdecydowany mnie okiełznać.

Leżałam obok Joego, trawiona samotnością i tęsknotą za domem. Wspomnienie minionych kilku miesięcy, spędzonych z dala od Joego, sprawiało, że perspektywa powrotu do takiego życia stała się jeszcze bardziej nieznośna. Ale na razie nie miałam wyboru.

Witamy w Kalifornii...

Następne cztery miesiące przyniosły pasmo najgorszych psychicznych prześladowań, jakich doświadczyłam przez wszystkie lata przeżyte u boku Joego. Nie mając dokąd uciec przed niekontrolowanymi wybuchami jego gniewu, spędziłyśmy z Toni niejedną noc w pobliskim kinie, czekając, aż Joe ochłonie na tyle, żebyśmy mogły wrócić do domu -

ucieczka do kina była jednak możliwa tylko wtedy, gdy dopisało mi szczęście i wybiegając z domu, zdążyłam chwycić torebkę. W przeciwnym razie musiałyśmy szukać schronienia na dworze: ubrane tylko w piżamy dygotałyśmy z zimna, stojąc bosy na mokrej od rosy trawie i modląc się, żeby Joe zdążył się uspokoić, zanim wrócimy do mieszkania.

Im bardziej mu się sprzeciwiałam, dając wyraz temu, co myślę, tym bardziej agresywny się stawał. W przeszłości trzymałam się swoich przekonań, ale jednocześnie znosiłam szyderstwa Joego i ulegałam jego żądaniom. Jednak każda chwila spędzana z dala od niego sprawiała, że odzyskiwałam zdolność jasnego myślenia. Powoli stawałam się silniejsza i moje życie z Joem wydawało mi się coraz trudniejsze do zniesienia. Nawet ton mojego głosu uległ zmianie. Z błagalnego stał się bardziej stanowczy. Joe był tak nieustępliwy, tak pewny wszystkiego, co mówił, że miałam ochotę przeciwstawiać mu się nawet wtedy, gdy się z nim zgadzałam. Nie chciałam już dłużej patrzeć na życie z jego perspektywy. Tracił nade mną kontrolę i to go przerażało. Potrafił reagować na to tylko w jeden sposób: próbując wzbudzić we mnie jeszcze większy strach. Ale ja się buntowałam, bez względu na konsekwencje.

Mojej nowe zachowanie wpędziło Joego w taką paranoję, że jeśli chciałam zjeść lunch ze swoją szwagierką Darlene, musiałam robić to w tajemnicy przed nim. Nawet spotkania z żoną jego własnego brata były dla mnie zakazane, jeśli odbywały się poza naszym domem. Chwile spędzane z Darlene były jedyną okazją do tego, bym mogła podzielić się dręczącą mnie frustracją. Przebywanie w jej towarzystwie choćby tylko przez godzinę w cudowny sposób podnosiło mnie na duchu. Chociaż jej mężowi Jimmy'emu daleko było do zachowań Joego, to on także miał skłonność do podporządkowywania sobie Darlene. Mogłybyśmy siedzieć razem całymi godzinami i uskarżać się na naszych mężów, ale ja mogłam wyrwać się spod nadzoru Joego tylko na krótkie chwile.

Płynąca w jej żyłach krew Czirokezów oraz niemieckich przodków obdarzyła ją wyjątkowym pięknem - połączeniem urody i inteligencji z subtelną elegancją. Pracowała jako przedstawicielka handlowa firmy produkującej kosmetyki. Sięgające do ramion miodowe włosy i olśniewające zielone oczy dodawały blasku nie tylko jej samej, ale też sprzedawanym przez nią produktom. Zawsze ubierała się z wyczuciem, nawet jeśli wkładała zwykłe -jeansy, to poświęcała czas, żeby odpowiednio dopasować resztę stroju.

Darlene nigdy nie łamała zasad. Pod żadnym pozorem nie przeszłaby przez jezdnię na czerwonym świetle. Jej niezłomna praworządność działała mi na nerwy, ale Darlene taka już była. Mogłam powiedzieć jej o wszystkim. Zawsze mnie wysłuchiwała - patrzyła szeroko otwartymi oczami i żywo reagowała na każde słowo. Nigdy nie była obojętna na moje

kłopoty i żeby mnie z nich wyciągnąć, gotowa była mnie kryć. Było to z jej strony nie lada poświęcenie, biorąc pod uwagę jej prawomyślność. Kiedy musiała skłamać, zazwyczaj natychmiast się zdradzała, ale mimo to nie wahała się tego robić.

Szybko się nauczyłam, że pytając ją o zdanie, zawsze usłyszę szczerą prawdę. Nawet jeśli wahałam się to zrobić, Darlene i tak zawsze mówiła, co myśli na dany temat. Podczas naszych spotkań często snułyśmy plany porzucenia naszych mężów. Ku mojemu zaskoczeniu, Darlene rzeczywiście to zrobiła - odeszła od Jimmy'ego. Od tamtej pory Joe całkowicie zabronił mi się z nią kontaktować. Nie mogłyśmy więcej się spotykać, a ja poczułam się zagubiona i porzucona. Opuściła mnie jedyna osoba, która pomagała mi pozostać przy zdrowych zmysłach. Zastanawiałam się, jak sobie bez niej poradzę.

Ale jeśli Darlene była w stanie zdecydować się na taki krok, to ja też!

W końcu nadszedł ten dzień. Z okazji zakończenia roku szkolnego klasa Toni wybierała się na spływ kajakowy. Mała była tym tak podekscytowana, że od tygodni nie mówiła o niczym innym. Siedziałyśmy razem w łazience, wypróbując różne fryzury. Toni chciała wyglądać idealnie.

- Kevin nie lubi końskiego ogona, mamusiu. Zepnij je spinką i niech będą rozpuszczone.

- Kim jest Kevin?

- Taki jeden chłopak...

- Mam wrażenie, że jest całkiem wyjątkowy...

Nagle do łazienki wpadł Joe. Wrzeszczał. Okazało się, że znalazł paczkę chipsów, którą ukryłam pod łóżkiem. Joe miał obsesję na punkcie zasad zdrowego odżywiania, więc my także musiałyśmy ich przestrzegać. Zaczął mnie szarpać i popychać i nie miał zamiaru odpuścić. Wybiegłam z domu i zbiegłam po stu dwóch schodach, jakie dzieliły nasze mieszkanie od plaży. Usiadłam na piasku, dając mu czas, żeby zdążył ochłonąć.

Zakładałam, że Joe podrzuci Toni na miejsce. Wiedział, jak bardzo czekała na ten spływ. Kiedy odważyłam się w końcu wrócić, drzwi do mieszkania były zamknięte. Musiałam kilkakrotnie nacisnąć na dzwonek, zanim Toni wreszcie mi otworzyła.

Przygryzała dolną wargę i patrzyła na mnie oskarżycielsko załzawionymi oczami. Zawiodłam ją. Joe postanowił użyć Toni, żeby odegrać się na mnie za moją ucieczkę, i odmówił zawiezienia jej na miejsce zbiórki. Nigdy nie zapomnę przygnębienia, jakie malowało się wtedy na jej twarzy. Nawet dzisiaj, kiedy jadę do San Diego autostradą numer 405 i mijam miejsce, z którego Toni miała wyjechać na swoją wycieczkę, coś skręca mnie w żołądku i nie mogę powstrzymać się od płaczu.

Joe co wieczór grywał w tenisa z emerytowanym maklerem giełdowym, który mieszkał w tym samym kompleksie kamienic co i my. Dzięki temu miałam trochę czasu dla siebie. Siadywałam wtedy na szczycie klifu i patrzyłam na spokojny ocean, układając w głowie wiersze. Spacerowałam kilometrami po plaży i rozmyślałam nad wyrwaniem się z tego szaleństwa. Jak mam tego dokonać? Dokąd pójdę? Jak się ukryję?

Pomogę ci, White. Ale to ty musisz zrobić pierwszy krok. Kiedy znajdziesz się z dala od niego i zaczniesz znowu jasno myśleć, będziesz się zastanawiać, dlaczego zwlekałaś z tym tak długo. Zaufaj mi.

Po powrocie z jednego z takich długich spacerów w promieniach zachodzącego słońca zastałam Toni zapłakaną w jej pokoju.

- Co się stało, kochanie? - spytałam, głaszcząc ją czule po policzku.

- Nie robiłam nic złego, mamusiu - odparła ze szlochem - a on kazał mi iść do łóżka. Oglądałam telewizję, a on zmienił program i powiedział, że mam iść spać. Nawet nie jest jeszcze ciemno.

Co za drań! Kiedy wzięłam ją w ramiona, przywarła do mnie mocno i poczułam, jak jej ciałem wstrząsa konwulsyjny płacz. Tuliłyśmy się do siebie nawzajem i razem płakałyśmy.

Otarłam jej łzy.

- Chodź, kochanie, pomożesz mamie przy kolacji - zachęciłam. - Jesteś absolutnie najlepszym pomocnikiem na świecie.

- Dobrze, mamusiu - zgodziła się, zeskakując z łóżka. Po jej minie widać było, że humor jej się poprawił.

Kiedy w drodze do kuchni minęłyśmy Joego, Toni starała się na niego nie patrzeć - bała się zdenerwować go tym, że jeszcze nie śpi. Najwyraźniej narobiłyśmy więcej hałasu, niż sobie życzył, bo rzucił nam pełne irytacji spojrzenie.

To nie może tak dalej trwać. Zaczynam tracić do ciebie cierpliwość, White. Ty możesz znosić to gówna, ale co z nią? To niesprawiedliwe!

Nie dysponowałam kartami płatniczymi, a Joe trzymał pieniądze schowane. Miałam wrażenie, że zawsze wie, o czym myślę, nawet jeszcze zanim moje myśli zdążyły na dobre nabrać kształtów. Zwykle udawało mu się pokrzyżować moje plany, ale mój cień nie przestawał namawiać mnie do działania.

Zrób to! Po prostu to zrób! Pamiętasz, jak miałaś dwanaście lat i wskoczyłaś do pociągu towarowego, żeby uciec z domu? Chciałaś zobaczyć świat i nikt nie był w stanie cię powstrzymać. Byłaś taka spragniona życia! Chciałaś się śmiać. Chciałaś żyć. Miałaś

charakter, White! Co się z tobą stało? Wtedy też nie miałaś pieniędzy; w końcu byłaś tylko dzieciakiem! Kiedy zgłodniałaś, po prostu wyskoczyłaś z pociągu i jadłaś rosnące przy torach jagody. Powtarzałaś sobie: „Dla chcącego nic trudnego”. To zawsze było twoje motto. Poradziłaś sobie, mając lat dwanaście, więc poradzisz sobie i teraz. Kiedyś miałaś ikrę! Jesteś twardzielką, pamiętasz? Zrób to, zanim będzie za późno. Jeśli nie potrafisz, zrobię to za ciebie. Tylko zejdz mi z drogi.

Zaczęło się lato, a z nim wakacje Toni. Wiedziałam, że jeśli nie wyrwę się z błędnego koła teraz, to nie zrobię tego już nigdy. Ale dokąd miałam pójść? Nie zdobyłam w Kalifornii żadnych przyjaciół - Joe już się o to postarał. Mogłabym zadzwonić do rodziców. Udzieliliby mi wszelkiego potrzebnego wsparcia, ale odbiłoby się to na ich kondycji psychicznej. Tom, biologiczny ojciec Toni, mógłby równie dobrze w ogóle nie istnieć. Od lat był zupełnie nieobecny w życiu swojej córki, chociaż, biorąc pod uwagę okoliczności, nie bardzo mogłam go za to winić. Tom nie był w stanie wziąć się w garść nawet na tyle, żeby płacić zasądzone przez sąd alimenty w wysokości piętnastu dolarów miesięcznie. Przyszłość Toni była wyłącznie w moich rękach. Tymczasem mijały kolejne dni, a ja wciąż byłam w tym samym miejscu. Poczułam, jakbym po raz kolejny spadała w otchłań.

Ty zasrany tchórze! Gdyby nie to, że tak rozpaczliwie mnie potrzebujesz, już nigdy bym się do ciebie nie odezwała!

Kije i kamienie kości mi połamią, ale wyzwiska nigdy mnie nie zranią.

Jasne, zacznij myśleć o połamanych kościach! To nie ja ciebie ranię, głupia!

- Mamusiu, pójdziemy dziś popływać?

- Oczywiście, kochanie, tylko się przebiorę.

Wzięłam Toni za rękę i wyruszyłyśmy na basen. Prowadziła do niego kręta ścieżka, biegnąca przez pięknie zaprojektowany teren. Łabędzie rozstąpiły się leniwie, pozwalając nam przejść dalej. Toni puściła moją dłoń i pobiegła naprzód. Wiatr rozwiewał lekko jej platynowe włosy, kiedy rzuciła się w pogoń za kaczkami, które schroniły się przed nią w stawie. Powietrze przesycone było aromatem grilla zmieszany z zapachem chloru. Przechodząc przez jeden z wielu drewnianych mostków, zatrzymałyśmy się na chwilę, żeby popatrzeć na ryby pływające w wartkim strumieniu. Toni podzieliła się krakersem z łabędziem i poszłyśmy dalej. Kiedy dotarłyśmy do mniejszego z dwóch basenów, zatrzymałam się, żeby rozścielić ręcznik na jednym z wielu wolnych leżaków.

- Nie, mamusiu - zaprotestowała Toni, ciągnąc mnie za ramię. - To basen dla dzieci. Ja chcę iść na ten dla dorosłych. Możemy? Możemy? Proszę!

- W porządku, kochanie, ale nie wolno ci iść na głęboką wodę.

- Dlaczego? Przecież umiem pływać, a ty będziesz mnie pilnować.

Kiedy przekroczyliśmy bramę dużego basenu, Toni wypatrzyła dwie dziewczynki mniej więcej w jej wieku i natychmiast pomaszerowała w ich stronę. Była tak samo spragniona przyjaźni jak ja.

Rozłożyłam ręcznik, a potem skierowałam wzrok na kort tenisowy. Joe musiał wyczuć moją obecność, bo w tej samej chwili podniósł wzrok. Uśmiechnął się i pomachał ręką, po czym wrócił do gry.

Joe zawsze grał, żeby wygrać. Wyglądał niczym grecki bóg, zwłaszcza w stroju do tenisa. Kruczoczarne włosy opadały mu swobodnie na oczy, zasłaniając to, co czaiło w jego wnętrzu. Wysokie, szczupłe i pokryte idealną opalenizną ciało sprawiało, że wszystkie kobiety pragnęły zwrócić na siebie jego uwagę. Nie mogłam mieć im tego za złe. Z zewnątrz sprawiał wrażenie idealnej partii. Kiedyś sama czułam identyczne pożądanie, ale moja fascynacja już minęła. Teraz oddałabym wszystko, byle móc obserwować go z zewnątrz. Ale byłam już w środku - w miejscu, z którego nie było wyjścia.

Sprawialiśmy wrażenie idealnej pary; do tego byliśmy parą „tajemniczą”, która budziła powszechną ciekawość. Sąsiedzi często zapraszali nas na kolacje, ale Joe nigdy tych zaproszeń nie przyjmował. Jeśli o mnie chodzi, to desperacko wręcz pragnęłam poznać jakichś nowych ludzi, porozmawiać z nimi, ale Joe nie chciał o tym słyszeć. Zawsze miał bardzo silną potrzebę prywatności i dbał o to, żeby nikt nic o nas nie wiedział. Unikanie ludzi przy dużym basenie było trudne, więc zawsze wybierałam ten mniejszy. Tam zawsze było pusto.

Ludzie odczuwają naturalną ciekawość: chcą wiedzieć, skąd jesteś, co sprowadza cię do Kalifornii i czym się w życiu zajmujesz. Udzielanie wyłącznie wymijających odpowiedzi jedynie potęguje ich ciekawość. Na wypadek gdyby ktoś mnie zapytał, -miałam mówić, że Joe jest niezależnym inwestorem. Od tej zasady nie było wyjątku - i być może były ku temu powody. Byłam więc skazana na unikanie ludzi i życie w swoim własnym, samotnym świecie.

Leżałam na leżaku, odseparowana od innych rozmawiających ze sobą kobiet. Toni dobrze się bawiła. Jej śmiech był niczym balsam na moje serce. Włożyłam okulary przeciwsłoneczne, otworzyłam książkę i zatopiłam się w lekturze. Często podnosiłam oczy znad książki, żeby sprawdzić, czy z Toni wszystko w porządku, starannie unikałam jednak kontaktu wzrokowego z tymi, których spojrzenia czułam na sobie.

Ojciec dzieci, z którymi dotąd bawiła się Toni, dołączył do zabawy. Dwie małe dziewczynki momentalnie zapomniały o Toni i na przemian skakały w ramiona ojca. Łączył

ich nie tylko śmiech, ale i szczere uczucie. Toni usiadła na krawędzi basenu i obserwowała ich igraszki; na jej twarzy tańczyły refleksy światła odbite od powierzchni wody. Czula się porzucona i bardzo pragnęła się do nich przyłączyć.

Mokre, potargane włosy zakrywały jej twarz, ale nie były w stanie ukryć jej cierpienia. Smutek, który w niej dostrzegłam, przypominał mi to, co działo się w mojej własnej duszy. Po jej ruchach poznałam, że próbuje uspokoić oddech. Przygryzła drżącą wargę, starając się nie rozpłakać. I wtedy spojrzała na mnie. Kiedy nasze oczy się spotkały, poczułam przejmujący żal. W tamtej chwili zajrzałyśmy sobie nawzajem w głąb naszych serc. Toni pragnęła mieć tatę, takiego jak tamte dziewczynki. Potrzebowała miłości i czułości. Zamiast tego dostała strach i pustkę. Nie miała taty, tak jak ja nie miałam męża. Obie miałyśmy dyktatora.

Nie musicie żyć w taki sposób! Nawet gdyby przyszło ci zamieszkać z Toni w samochodzie, to i tak byłoby lepsze - przynajmniej miałybyście siebie nawzajem.

Nie myślałam, to było spontaniczne. Wstałam z leżaka i zostawiając za sobą książkę i ręcznik, podeszłam do Toni. Chwyciła moją wyciągniętą rękę.

Kiedy zmierzałyśmy w stronę bramy, spojrzałam na kort - Joe grał z tą samą co zwykle zaciętością. Toni chciała przystanąć i ponownie nakarmić łabędzia, ale ja szłam tak szybko, że musiała podbiegać, żeby dotrzymać mi kroku.

- Dlaczego idziemy tak szybko, mamusiu?

- Bo musimy pojechać w pewne miejsce i nie chcemy się spóźnić.

- Ojej, nie możesz się spóźnić, mamusiu. Wiesz, jak się złości tata, kiedy się spóźniasz.

- Pomożesz mi się nie spóźnić? Musisz mi pomóc zanieść do samochodu kilka rzeczy. Pomożesz mi w tym? Możemy udawać, że to taki wyścig.

Chwyciłam trochę naszych ubrań, nie zastanawiając się dobrze nad tym, co biorę, a co zostawiam. Strach zastąpił we mnie zdolność racjonalnego myślenia. Zrobiłyśmy pośpiesznie kilka kursów między mieszkaniem a samochodem. W końcu wsiadłyśmy do samochodu. Moje serce waliło jak oszalałe. Ręka drżała mi tak bardzo, że nie mogłam trafić kluczykiem do stacyjki. W im większą wpadałam panikę, tym dłużej to trwało. Brama parkingowa wydawała się otwierać w zwolnionym tempie; czekałam zniecierpliwiona, oglądając się przez ramię i spodziewając się, że lada moment Joe wynurzy się gdzieś jak spod ziemi.

Weź głęboki oddech...

Uspokój się, White. Zachowuj się naturalnie, zwolnij, świetnie ci idzie. Uda ci się. Pamiętaj: dla chcącego nic trudnego. Sama mnie tego nauczyłaś!

Wyjechałyśmy z wielopoziomowego parkingu i zjechałyśmy w dół wzgórza w kierunku ulicy. Kolejny etap wymagał przejechania niepostrzeżenie obok kortu. Nic z tego. Orli wzrok Joego wypatrzył nasz wyładowany ubraniami samochód. Toni uśmiechnęła się do niego i pomachała. Zastygł w bezruchu. Jego nieznoszące sprzeciwu spojrzenie kazało mi zawrócić, jeśli wiem, co dla mnie dobre. Oderwałam oczy od jego paralizującego wzroku. Moja stopa bez udziału woli nacisnęła pedał i za oknami samochodu przemknęły rozmazane obrazy. W moich żyłach płynęła czysta adrenalina. Nie miałam pojęcia, dokąd właściwie jadę. Samochód prowadził się sam, a może to mój cień przejął całkowitą kontrolę.

Ocknęłam się na autostradzie numer 5, zmierzając na północ i nie mając zielonego pojęcia, jak tu dotarłam.

- Mamusiu, dokąd jedziemy?

- Nie wiem, kochanie.

- A co będziemy robić, jak już dojedziemy?

- Nie wiem.

- Jestem głodna. Możemy się zatrzymać w tym McDonaldzie? - zapytała, wskazując na charakterystyczne żółte łuki widoczne przed nami.

Zjechałam z szosy i podjechałam do okienka dla samochodów. Kiedy otworzyłam portfel, żeby zapłacić za zamówienie, zorientowałam się, że mam w nim tylko siedem dolarów. W przyprawie paniki spojrzałam na wskaźnik paliwa. Dzięki Bogu! Bak był pełny.

Co ja wyprawiam? Jak daleko zajadę z siedmioma dolarami w kieszeni?

Dla chcącego nic trudnego. Nie możesz teraz zawrócić, White!

Do Los Angeles dotarliśmy w porze największego ruchu. Napis „Hollywood” wyłonił się z unoszącego się nad miastem smogu. Poczułam się tam obco. To miejsce w niczym nie przypominało pięknego San Diego. Byłam oszołomiona wielkością miasta, samotna i zagubiona. I co gorsza, nie było tu nikogo, kogo obchodziłby mój los.

Samochody sunęły zderzak w zderzak. Nie wiedziałam, dokąd jechać dalej; zjechałam z autostrady i zatrzymałam się przy budce telefonicznej. Przez kilka minut wpatrywałam się tępo w aparat telefoniczny.

Do kogo mogę zadzwonić? Nie znam nikogo, kto mieszka w L.A.!

Nie panikuj, White. Myśl... Kogoś na pewno znasz.

Jim! Jim Alquist - on gdzieś tutaj mieszka.

Otworzyłam książkę telefoniczną i gorączkowo zaczęłam przerzucać strony. Dzięki Bogu, Jim figurował w wykazie. Wykreśliłam jego numer. Jeden sygnał... drugi... trzeci... O nie, nie ma go w domu. Serce mi zamarło. Nagle w słuchawce usłyszałam Jima, który

całkiem niezłe naśladowując głos Johna Wayne'a, zachęcał do zostawienia wiadomości na automatycznej sekretarce. Zostawiłam wiadomość.

Raz jeszcze zajrzałam do książki telefonicznej i zanotowałam adres, po czym pojechałam do najbliższej stacji benzynowej, żeby zapytać o drogę. Nie miałam pojęcia, jak daleko było z Hollywood do Brentwood. Jadąc miejskimi ulicami w godzinach szczytu, przyglądałam się twarzom w toczących się ospale samochodach. Wszyscy ci ludzie mieli jakiś cel, miejsce przeznaczenia, dom, do którego zdążali. Czułam się wykorzeniona i zagubiona, miałam ochotę się rozplakać, ale mój cień mi na to nie pozwolił. Toni siedziała obok, milcząca i zatroskana, spoglądając na mnie pytająco swoimi sarnimi oczami. Przywołałam na usta pokrzepiający uśmiech, ale ona tego nie kupiła. Poczucie winy z powodu Toni dołączyło do trawiącego mnie uczucia osamotnienia.

Znalazłam kolejną budkę telefoniczną i znów zadzwoniłam do Jima. Nadal nie było go w domu. Coraz bardziej spanikowana wróciłam do samochodu. Toni wyczuła mój niepokój i obrzuciła moją twarz badawczym spojrzeniem swoich brązowych oczu. Jej długie ciemne rzęsy zatrzepotały nerwowo. Przytuliłam swoją małą dziewczynkę i próbowałam ją uspokoić, ale ostatecznie to ona uspokajała mnie, dodając mi sił. Przy całym swoim zmęczeniu zachowywała się jak prawdziwy mały zuch. Krążyłam po okolicy w poszukiwaniu jakiejś niedrogiej kawiarni, w której mogłybyśmy posiedzieć do czasu, aż uda mi się skontaktować z Jimem. Kiedy wybiła jedenasta, a Jim nadal nie odbierał telefonu, przesunęłam ubrania na tylnym siedzeniu, robiąc Toni miejsce do spania. Sama przysypiałam na krótkie chwile, ale obecność podejrzanie wyglądających ludzi, którzy kręcili się po ulicy, niepokoiła mnie na tyle, że nie pozwoliłam sobie na porządny sen.

- Mamusiu, jestem głodna - brzmiały pierwsze słowa Toni po przebudzeniu.

Wiedziałam, że jeśli wydam więcej pieniędzy, nie starczy mi ich na telefon. Uruchomiłam silnik i wyruszyłam na objazd okolicy. Wreszcie natknęłam się na sklep 7-Eleven. Zostawiłam Toni w samochodzie, zaparkowanym tak, że mogłam obserwować go przez szybę sklepu; weszłam do środka i kupiłam mały kartonik mleka; ukradłam też paczkę ciastek. Nie przejmowałam się konsekwencjami. Co mogli mi zrobić - odrąbać rękę za to, że nakarmiłam swoje dziecko?

Włoczyłyśmy się po parku, dopóki nie zaczęło zachodzić słońce. Co kilka godzin ponawiałam próby dodzwonienia się do Jima i powoli kończyły mi się drobne na telefon. Podjęłam jeszcze jedną desperacką próbę.

- Och, Jimmy, chwała Bogu, że odebrałeś.

- Georgia! Właśnie wróciłem z planu zdjęciowego i odsłuchiwałem wiadomości. Jak

się miewasz?

- Nie za dobrze, Jim. Muszę cię prosić o wielką przysługę...

- Jasne.

Ogarnęła mnie euforia z powodu tego, że w końcu udało mi się do niego dodzwonić.

Zaczęłam szybko tłumaczyć:

- Wczoraj po południu odeszłam od Joego i z Solana Beach przyjechałam tutaj. To był impuls. Teraz mam przy sobie trzydzieści pięć centów i nie mam gdzie się zatrzymać. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie odebrał telefonu. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale sama nie wiem, co innego mogę zrobić. Jest ze mną moja córka i...

- Powoli, powoli. Jezu, oczywiście, że możesz się u mnie zatrzymać. Ale to tylko kawalerka. Ty i Toni będziecie musiały spać na jednej sofie.

- Lepsze to niż samochód. Dzięki, Jim. Kiedyś ci się za to odwdzięczę.

- Georgia, ale mam jeden warunek: ten dupek nigdy się nie dowie, że przyjąłem cię do siebie. Zostawiłem całe to gówno, kiedy wyjeżdżałem z Rochester. On już i tak mnie nienawidzi. Nie potrzebuje kolejnego powodu, żeby zjawić się pod moimi drzwiami w środku nocy.

- Nie martw się o to, Jim. On nie ma pojęcia, gdzie mnie szukać.

- W porządku. Jesteś o dziesięć minut drogi ode mnie - uspokoił mnie i powiedział, jak mam do niego dojechać. - Nastawię kawę.

- Jim?

- Tak?

- Dziękuję.

Nocne powietrze było chłodne i ziemię spowija gęsta mgła, przez którą trudno mi było odczytać znaki drogowe. W rezultacie dotarliśmy do domu Jima później niż po dziesięciu minutach. Poczułam zapach kawy, zanim jeszcze zdążył otworzyć nam drzwi. Jego mały parterowy domek składał się tylko z jednego pokoju oraz małej kuchni, ale urządzone był z zaskakującą wrażliwością. Spodziewałam się typowego mieszkania samotnego kawalera, a weszłam do prawdziwego domu. Momentalnie poczułam, jak otula mnie ciepło. Światło z kominka tańczyło na ścianach. Przy kominku stał fotel, na którym leżała otwarta książka. Na wezgłowie zabytkowego łóżka wisiał kowbojski kapelusz, a obok łóżka stały kowbojskie buty. Na ścianach wisiały obrazki z motywami z Dzikiego Zachodu. Przez oparcia sofy i fotela przewieszono indiańskie koce. Widać było, że Jim odnalazł spokój w tym małym świecie, który dla siebie stworzył. Wnętrze tego domu było dokładnie tym, czego potrzebowałam w moim stanie ducha.

Joe poznał Jima, kiedy wybrał się ze mną na jedno z naszych branżowych przyjęć. Znienawidził go od pierwszej chwili. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy pracowałam wspólnie z Jimem, musiałam ukrywać to przed Joem. Nie znośłam kłamać w takich głupich sprawach, ale nabrałam w tym dużej wprawy. Zdarzało mi się pozować z Jimem do wspólnych zdjęć, a Joemu na samą myśl o tym cierpła skóra. Kiedy zobaczył w gazecie czy magazynie reklamę z jednym z takich zdjęć, drogo za to zapłaciłam. Dla Joego były to wystarczające powody do tego, by przefasonować Jimowi twarz. W tej sytuacji przygarnięcie mnie do swojego domu było ze strony Jima aktem wielkiej odwagi. Większość mężczyzn, którzy znali Joego, wołała trzymać się ode mnie na dystans.

W tamtym czasie Jim zastanawiał się nad swoim życiem. Podobnie jak ja, ożenił się i miał dzieci, zanim jeszcze sam zdążył dorosnąć. Gnany pragnieniem zostania aktorem wyjechał ostatecznie do Kalifornii, zostawiając za sobą przechodzące wówczas kryzys małżeństwo. Ann miała na zawsze pozostać jego jedyną prawdziwą miłością, ale Jimowi - tak jak i mnie - życie udzieliło lekcji, że do pewnych rzeczy nie da się już powrócić.

Kiedy opuszczał Rochester, wystawił na sprzedaż cały swój majątek. Kupiłam wtedy jego zestaw stereo za pięćset dolarów. Kiedy wszystko zostało sprzedane, wyruszył na poszukiwanie sławy. Jako aktor nigdy nie odniósł spektakularnego sukcesu, ale zarabiał wystarczająco dużo, żeby móc się z aktorstwa utrzymać - a to i tak znacznie więcej, niż większość aktorów może o sobie powiedzieć. Kiedy dziś oglądam Jima w telewizji w jakiejś przyzwoitej roli, zawsze się uśmiecham i przypominam sobie stare, dobre czasy.

Toni natychmiast zwinęła się na kanapie w kłębek i zasnęła. Jim i ja jeszcze przez kilka godzin rozmawialiśmy w jego maleńkiej kuchni. Bardzo mi pomógł w tych trudnych chwilach - to dzięki niemu udało mi się wtedy nie zwariować. Był cudownym słuchaczem, a ja miałam o czym opowiadać. Nasza przyjaźń trwa po dziś dzień.

Jim wyświadczył mi wielką przysługę, pozwalając wtargnąć do swojego prywatnego świata, ale nie mogłam tego wykorzystywać. Po dobrze przespanej nocy i z odzyskanym poczuciem bezpieczeństwa mogłam wreszcie zacząć jasno myśleć. Zadzwoiłam do mojego przyjaciela Freda Reeda, który był właścicielem salonu fryzjerskiego Hair Zoo w Rochester. Kilka lat wcześniej poprosił mnie, żebym wystąpiła w reklamie jego salonu. Nie dysponował zbyt okazałym budżetem, zagrałam więc w spocie za darmo. Reklama okazała się wielkim sukcesem, a Fred otworzył z czasem sporo salonów na całym Wschodnim Wybrzeżu. Teraz przyszedł czas, żebym to ja poprosiła go o przysługę. W przypadku Freda nie musiałam zresztą wcale powoływać się na żaden dług wdzięczności - od lat łączyła nas przyjaźń. On także, podobnie jak Jim, okazał się prawdziwym wybawieniem w chwili, gdy potrzebowałam

przyjaciela. Nie zdążyłam nawet dokończyć zdania.

- Powiedz, ile potrzebujesz?

- Sama nie wiem, Fred. Myślę, że pięćset - odparłam. Położenie, w jakim się znalazłam, sprawiało, że czułam się niezręcznie.

Nazajutrz Fred wysłał mi przekaz na tysiąc dolarów. Spłacenie długu zajęło mi rok - po osiemdziesiąt dolarów miesięcznie. Fred twierdził, że nie ma potrzeby, żebym zwracała te pieniądze, ale sumienie nie pozwoliłoby mi postąpić inaczej. Zawsze byłam dumna z tego, że potrafię o siebie zadbać. Dawało mi to poczucie niezależności.

Po kilku dniach spędzonych na poszukiwaniach mieszkania do wynajęcia w przystępnej cenie znalazłam odpowiednie na Olympic Boulevard, w pobliżu La Cienga. Było to całkiem przyjemne miejsce, a czynsz był niewysoki. Tamtą okolicę nazywają często Miłą Cudów. Rany, naprawdę potrzebowałam wtedy cudu. Jak na ironię, Toni wspomina tamten czas jako najszczęśliwszy okres swojego dzieciństwa. Jim wykombinował dla nas materac i stary telewizor, a ja kupiłam na wyprzedaży garażowej kilka talerzy i trochę kuchennych sprzętów - i tym sposobem urządziłyśmy sobie z Toni dom. Byłam zaskoczona, jak niewiele potrzeba mi do szczęścia.

W starym, przypominającym niewielki zameczek budynku znajdowały się tylko cztery mieszkania. Architektura naszego, z łukowymi przejściami pomiędzy wszystkimi pomieszczeniami, bardzo przypadła mi do gustu. W mieszkaniu leżał co prawda czekoladowobrązowy dywan, ale dzięki licznym pozbawionym zasłon oknom całe mieszkanie było skąpane w świetle i mimo dywanu wewnątrz nie wydawało się ciemne. Gdybym tylko miała dość pieniędzy, zamieniłabym to mieszkanie w istny domek dla lalek. Pragnienie zapewnienia sobie i Toni prawdziwego domu dodawało mi sił - musiało mi się udać, bez względu na wszystko.

Kiedy już zadomowiłam się w nowym mieszkaniu, wzięłam się do poszukiwania agenta. Znana agencja Wormser, Heldfond and Joseph przyjęła mnie już pierwszego dnia. Zostałam z nimi przez następne piętnaście lat. Moja agentka, Janette Walton, była dla mnie jak druga mama. Zawsze miałam silne poczucie lojalności wobec tych, którzy wyciągali do mnie rękę w trudnych chwilach.

Ponieważ nie znałam w Los Angeles nikogo poza Jimem, nie miałam innego wyjścia, jak tylko zabierać Toni na wszystkie castingi. Desperacko potrzebowałam pracy i jestem pewna, że było to widać. Początkowo nic się nie działo. Konkurencja była silna. Na każdym castingu pojawiała się od pięćdziesięciu do stu modelek, zabiegających o tę samą pracę. Dziewczyny tłumnie przybywały do L.A. w nadziei na odniesienie wielkiego sukcesu.

Większość z nich gotowa była zrobić wszystko, byle dotrzeć na sam szczyt. Byłam tylko jednym z wielu ziarenek piasku na pustyni.

Moja próżność od tego nie cierpiała; za to mój portfel - tak. Potrzebowałam pieniędzy. To była zasadnicza sprawa. Wiedziałam, że wyrobienie sobie renomy jest tylko kwestią czasu, ale czy wystarczy mi środków, żeby utrzymywać się, zanim to nastąpi? Przetrwąć w pojedynkę byłoby łatwiej, ale ja musiałam zapewnić utrzymanie także Toni. Czułam ciężką na mnie presję, ale nie brakowało mi determinacji.

Po trzech tygodniach bezskutecznych prób zdobycia pracy wybrałam się na casting organizowany przez Fujifilm. Twarze japońskich mężczyzn rozjaśniły się, kiedy tylko weszłam do sali. Miałam tę robotę w kieszeni. Toni siedziała sobie cichutko, podczas gdy oni kartkowali moje portfolio.

- Hmm... Widzę, że sporo pracowałaś dla Kodaka.

Cholera, nie pomyślałam o tym.

- Ee, tak... Ale te zdjęcia są sprzed co najmniej dziesięciu lat, a to jest...

- Dziesięciu lat? To ile masz obecnie?

Lepiej uważaj, White, nie strzel gafy!

- Mam dopiero dwadzieścia dwa lata... Zaczęłam dość młodo.

Podobno dziecko prawdę ci powie... No i tak się stało.

- Mamusi - odezwała się Toni - przecież ty nie masz dwudziestu dwóch lat. Masz dwadzieścia sześć.

No, mała, dzisiaj na kolację możesz liczyć tylko na hamburgera.

Zapadło niezręczne milczenie, a ja oblałam się rumieńcem, uśmiechnęłam się, a na koniec wzruszyłam ramionami. Cała uwaga skupiona była jednak na moim uroczym brzdącu i nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Jak masz na imię? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Toni.

- A ile masz lat, Toni?

- Sześć i trzy czwarte.

- Czy ktoś robił ci już kiedyś zdjęcia?

- Wiele razy.

Może jeszcze nie wszystko stracone - tylko módl się, żeby nie powiedziała: „Kodak”.

- A czy my możemy dziś zrobić ci zdjęcie?

- Mogę, mamusi?

A chcesz chodzić głodna, mała?

- Oczywiście, kochanie.

Hmm... pokonana przez siedmiolatkę.

Toni oczarowała ich serca - i portfele. Nie pierwszy raz stawała przed obiektywem. Miała zaledwie sześć dni, kiedy wystąpiła w swojej pierwszej reklamie Kodaka. Ze swoimi platynowymi włosami i ciemnymi brązowymi oczami oraz brwiami była ucieleśnieniem marzeń każdego fotografa. Nie ma potrzeby dodawać, że Toni dostała tę pracę. Za jej honorarium mogliśmy nakupić jedzenia na kolejne dwa tygodnie. Kiedy otrzymaliśmy czek, zaszalałam i nawet kupiłam Toni stek.

Świętowaaliśmy w naszym pustym mieszkaniu. Nie miałyśmy stołu, więc na podłodze w salonie rozpostarłyśmy prześcieradło, zapaliłyśmy kilka świec i stuknęłyśmy się kieliszkami do wina pełnymi mleka. A potem wsuwałyśmy tak, jakby to miał być nasz ostatni posiłek w życiu. Toni dobrze znosiła trudności. Miałyśmy siebie nawzajem, a co najważniejsze dla Toni - miała mnie wyłącznie dla siebie.

Miesiąc po ratującej nam życie sesji zdjęciowej Toni w końcu i mnie udało się zdobyć pracę - zdjęcia do broszury reklamowej hotelu Sahara w Las Vegas. Zabrałam Toni ze sobą; kiedy pracowałam, pilnowała jej córka kuzyna Mickeya. Zarabiałam tysiąc dwieście dolarów dziennie, a sesja zdjęciowa trwała pięć dni. Toni od razu zabrała się do robienia listy zakupów. Tamta praca miała być dla nas przepustką do spokojniejszego życia, ale los niespodziewanie pokrzyżował nam plany - firma zajmująca się produkcją reklamy zbankrutowała i nie zapłaciła mi należnych pieniędzy. Jednak pomimo tych kłopotów nabierałam poczucia własnej wartości; czułam też jeszcze silniejszą motywację do tego, by zapewnić córce i sobie nowe życie.

A potem stało się nieuniknione: odebrałam telefon i w słuchawce usłyszałam głos Joego. Uciekając w pośpiechu z Solana Beach, nie zamknęłam mojego konta bankowego. Otworzyłam co prawda nowy rachunek w Los Angeles, ale zrobiłam to w tym samym banku - i wyciągi z nowego konta jakimś sposobem były wysyłane na mój poprzedni adres. Nie wiem, czyja to była wina - moja czy banku - ale tak się po prostu stało. Joe zdobył mój telefon od agenta nieruchomości. Nie miał jeszcze co prawda mojego adresu, ale jego ustalenie było w tej sytuacji dość proste. Musiałam poszukać nowego mieszkania - i to szybko.

- Gdzie jesteś, Georgia? - zapytał spokojnym tonem.

- W L.A., tu gdzie zadzwoniłeś.

- Gdzie dokładnie w L.A.? Nie jestem w nastroju do zabawy w zgadywanki!

- Co za różnica, Joe? Nie zamierzam wracać.

- Ostrzegam cię po raz ostatni, Georgia. Zbieraj dupę w troki i wracaj do domu!

Nie pozwól mu znowu cię przestraszyć. Zobacz, jak daleko zaszłaś. Dasz radę.

- Nie tym razem, Joe. Nie będę więcej żyła w taki sposób. Odmawiam, Joe.

- Po prostu wróć do domu, Georgia, a ja zapomnę, że to się w ogóle stało - powiedział.

Jak to było do przewidzenia, próbował zgrywać miłego faceta.

- Nie mogę.

- Niby dlaczego?

- Bo to się nigdy nie skończy, Joe. Ty się nigdy nie zmienisz.

- Zmienię się. Miałem dużo czasu, żeby to przemyśleć. Nie winię cię za to, że uciekłaś, ale musisz dać mi jeszcze jedną szansę. Pozwól mi to sobie udowodnić, dobrze?

- Proszę, Joe, zostaw mnie w spokoju. Teraz muszę trzymać się od ciebie z daleka.

- Czy ty mnie kochasz, Georgia?

- To nie ma nic do rzeczy, Joe. To się po prostu nie uda. Mam już serdecznie dość bycia nieszczęśliwą. Nigdy nie mogłam dać Toni tyle siebie, ile potrzebowała. Jak mogłam być dobrą matką, skoro ciągle byłam w psychicznej rozsypce? Nie było nam łatwo, ale wiesz co? Teraz obie jesteśmy szczęśliwsze niż kiedykolwiek wcześniej. Dlatego proszę cię, jeśli ci na nas zależy, zostaw nas w spokoju.

- Przynajmniej pozwól mi przyjechać i porozmawiać z tobą.

- Nie, Joe. Nie teraz.

- Martwię się o was. Masz jakieś pieniądze?

- Radzę sobie.

- Czy ty masz pojęcie, co przez ciebie przechodziłem? Nie wiedząc, gdzie, do diabła, jesteście. I czy wszystko z wami w porządku. Słyszałaś o dusicielu z Hillside, prawda?

- Tak. I co z tego?

- Co z tego? Na miłość boską, Georgia! Jesteś sama w tym pierdolonym mieście, sama z małym dzieckiem. Zdajesz sobie sprawę, jak łatwym jesteś celem? Kotku, potrzebujesz mnie bardziej, niż to sobie uświadamiasz. Wróć do domu.

- Potrafię o siebie zadbać.

- Proszę, kochanie, pozwól mi się z tobą zobaczyć.

- Nie.

- Do cholery, Georgia! - wrzasnął. - Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił. Mów, gdzie jesteś. Wiesz, że i tak cię znajdę, więc ułatw sobie życie.

- Widzisz, co miałam na myśli, Joe? Odkładam słuchawkę.

- Nawet się nie waż! Ja...

Czas zrobić kolejny krok...

Kiedy zadzwoniłam do Rochester, żeby zameldować w domu, że wszystko ze mną w porządku, dowiedziałam się, że Sammy G, a także Gene DeFrancesco i kilku innych zostało oskarżonych o zamordowanie Jimmy'ego Massaro. Miasto pogrążyło się w chaosie. Komendant Bill Mahoney tak bardzo pragnął dopaść mafię, że gotów był sprzedać duszę. Koniec końców, właśnie to zrobił. Walka, którą prowadził, kosztowała go życie. Uniknął co prawda gwałtownej śmierci, ale koniec był bliżej, niż się spodziewał. Jego serce nie wytrzymało stresu, jaki przeżywał podczas procesów, które wytoczono gangsterom.

Po jakimś czasie okazało się, że Mahoney fabrykował dowody i zmuszał podległych mu policjantów do składania fałszywych zeznań pod przysięgą, które posłużyły jako dowód w sprawie o morderstwo. Nawet bez tych fałszerstw Mahoney dysponował zeznaniami pięciu ważnych gangsterów, którzy zgodzili się zeznawać w zamian za uniknięcie kary śmierci. Najwyraźniej jednak zamierzał się zabezpieczyć na każdą ewentualność. Gdyby postępował zgodnie z przepisami, zapisałby się w historii jako świetny gliniarz.

Tymczasem fałszywe zeznania złożone przez policjanta zaprowadziły Sammy'ego Gingello i cztery inne czołowe postaci syndykatu zbrodni z Rochester za kratki. Pomimo że jego adwokatem był sam F. Lee Bowley, Sammy szedł na dno.

Wszyscy jego lojalni zwolennicy zbierali pieniądze na jego obronę - chodzili na kolacje połączone ze zbiórką funduszy, podczas których każdy gość wpłacał po tysiąc dolarów. Sammy był winny - wszyscy to wiedzieli - ale szkopał tkwił w tym, że policjanci nie mieli dowodów. Mahoney postanowił je więc stworzyć. To niesamowite, ilu „twardzieli” sypie w śledztwie swoich współników. Obrońcy prawa działają w taki sam sposób jak mafia.

W Rochester dobrzy i źli chłopcy zawsze byli ze sobą w zмовie. Niektórzy moi krewni służyli w policji, więc znałam kilku tych dobrych chłopców. Większość z nich nie brała pieniędzy za zamykanie oczu, ale za odwracanie wzroku. Kochałam Sammy'ego. Wszyscy go kochali, łącznie z niektórymi gliniarzami. Wiedzieli, że jest wrabiany. I pomagali mu pozostawać o krok przed prześladowcami, potajemnie dostarczając mu poufnych informacji na temat śledztwa.

Wciąż nie mam zaufania do większości gliniarzy. Nie podoba mi się, że mogą bawić się w Hitlera, jeśli tylko zechcą, do tego mam negatywne wspomnienia związane z kilkoma skorumpowanymi glinami. Na własnej skórze przekonałam się, jak to jest szukać pomocy u gliniarza, który został przekupiony - nauczyło mnie to, że własne problemy muszę rozwiązywać sama. Takie doświadczenia pozwoliły mi nabrać ulicznego sprytu, którego potrzebowałam, żeby przetrwać.

Jeśli wziąć pod uwagę te wszystkie wydarzenia, obawy Joego mogły być w pewnym

sensie uzasadnione. Nie wiedząc, kogo lub czego powinnam się obawiać, postanowiłam trzymać się od Rochester z daleka. Miałam tylko jedno wyjście: wytrzymać w L.A. i jakoś sobie poradzić.

Rozdział dziewiąty

- Przepraszam, czy ja i mój kolega moglibyśmy się przysiąc? - zagadnął nieznajomy mężczyzna i wskazując palcem na zegarek, dodał: - Na wolny stolik trzeba tu czekać czterdzieści pięć minut.

W porze lunchu restauracja Red Onion w Beverly Hills była wypełniona po brzegi, a ja siedziałam sama przy -czterooosobowym stoliku, rozmyślając nad swoją przyszłością. Skinęłam głową; w gruncie rzeczy ucieszyłam się z towarzystwa.

- Nazywam się Steve Zamett, a to mój wspólnik, Mike Ruben - powiedział z szelmowskim błyskiem w oku.

Obdarzony ujmującym uśmiechem Steve nie sprawiał wrażenia osoby, która próbuje udawać kogoś, kim nie jest - w Los Angeles była to rzadko spotykana cecha. Jego potężna postura i miła okrągła twarz o wyrazistych rysach współgrały z jego charakterem. Mike był jego przeciwieństwem: wyglądał na sztywniaka, miał drobną budowę ciała i nosił okulary jak denka od butelek. Przez większość czasu to Steve prowadził rozmowę; Mike milczał i pozostawał w cieniu swojego kolegi. Steve z miejsca wzbudził moją sympatię i sprawił, że poczułam się przy nim swobodnie. Nie mogłam jednak powiedzieć tego samego o Mike'u. Wydawał się bardzo zasadniczy i w ogóle się nie uśmiechał.

- Skąd jesteś? - spytał Steve, przyglądając dłonią czuprynę ciemnych kręconych włosów.

- Urodziłam się w Nowym Jorku. A do Los Angeles przeprowadziłam się parę miesięcy temu z Solana Beach.

- O, poważnie? My jesteśmy właśnie z tamtych okolic. Dokładnie mówiąc, z San Diego. Gdzie mieszkasz w L.A.?

- Mam małe mieszkanie na Olympic Boulevard. Ale już niedługo, bo akurat rozglądałam się za czymś nowym.

- Mieszkanie okazało się za małe?

- To długa historia - ucięłam. Spojrzałam przez okno i pomyślałam o położeniu, w jakim się znalazłam. Życie uciekinierki robiło się męczące. - Co was co sprowadza do L.A.?

- Działamy w branży budowlanej i dostaliśmy zlecenie w Malibu. Mamy zbudować dom dla Lee Grant - wyjaśnił Mike.

- Tak, a teraz szukamy jakiegoś lokum, w którym moglibyśmy na jakiś czas się

zatrzymać - dodał Steve, ponownie przejmując pałeczkę w rozmowie. - Gdybyś potrzebowała pomocy w przeprowadzce, to za kilka dni będziemy tu mieli ciężarówkę.

- Całkiem możliwe, że skorzystam z propozycji. Nie mam żadnych mebli, tylko łóżko i telewizor, do tego trochę naczyń i ubrań.

- Bułka z masłem - uznał Steve.

- Powinnam się już zbierać. O drugiej mam casting, a o trzeciej muszę odebrać córkę ze szkoły.

- Ile lat ma twoja córka? - zainteresował się Steve.

- Siedem.

- Mam syna w tym samym wieku. I pięcioletnią córeczkę. Gdzie uczy się twoja mała?

- W Beverly Hills. Mają tam świetne szkoły.

- Też tak słyszałem.

Wstałam i zarzuciłam na ramię torebkę, sięgając jednocześnie po swoje portfolio.

- Jak można się z tobą skontaktować? - zapytał Steve. Zanotował mój numer telefonu na papierowej serwetce. - Powodzenia z szukaniem nowego mieszkania! - zawołał za mną, kiedy kluczyłam między stolikami w kierunku wyjścia.

- Dzięki i nawzajem! - odkrzyknęłam przez ramię.

Nie spodziewałam się, żeby do mnie zadzwonili, ale pomoc przy przeprowadzce z pewnością by mi się przydała.

Casting był taki sam jak wszystkie inne. Przez drzwi przetaczał się tłum kobiet, z których każda kolejna była piękniejsza od poprzedniej, każda trzymała też w ręku portfolio. Ten casting był otwarty, więc kandydatek pojawiło się mnóstwo. O godzinie czternastej trzydzieści pięć w kolejce przede mną nadal było jeszcze dziesięć dziewczyn. Nie mogłam już dłużej czekać. Toni wkrótce miała skończyć lekcje, a mnie dzieliło od szkoły przynajmniej dwadzieścia minut drogi.

Przedzierałam się przez zakorkowane Hollywood w kierunku Beverly Hills. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, a że w samochodzie nie było klimatyzacji, makijaż spływał mi po twarzy. Prawdopodobnie i tak nie dostałabym tamtej pracy. Od przyjazdu do Los Angeles udało mi się zdobyć zaledwie kilka zleceń. W Rochester więcej propozycji odrzucałam, niż przyjmowałam. Tutaj jednak konkurencja była znacznie większa, a moja sytuacja finansowa zaczynała wyglądać nieciekawie.

Toni rozpromieniła się, kiedy podjechałam pod szkołę.

- Cześć, mamusiu - powiedziała, wskakując do samochodu.

- Przepraszam, że znowu się spóźniłam, kochanie. Jak było w szkole?

- W porządku, tylko ten smarkacz Billy upuścił w stołówce lody prosto na moją sukienkę. Sama zobacz - skrzywiła się Toni.

- Nie przejmuj się, plama zejdzie w praniu. Co jadłaś na lunch?

- Nic.

- Jak to: nic? Przecież dałam ci pieniądze.

- Wiem, ale nie miałam na nic ochoty.

- Toni, musisz jadać lunch. Inaczej się rozchorujesz.

- Nie miałam na nic ochoty, mamu. Co będzie na obiad?

- Zielona fasolka i hamburgery.

- Mamusiu, a kiedy będzie stek? Kiedy mieszkaliśmy z tatą, jedliśmy je na okrągło.

- Wołałabyś mieszkać z tatą i codziennie jeść steki?

- Nie. Lubię hamburgery. Nieważne, czy będziemy mieli steki. Naprawdę, mamusiu, to nic wielkiego. Hamburgery są w porządku.

Na położonym naprzeciwko szkoły budynku zauważyłam tablicę z napisem: „Do wynajęcia”. To byłoby idealne rozwiązanie. Gdybym się spóźniała, Toni mogłaby wrócić do domu sama. Zaparkowałam samochód i poszłyśmy przyjrzeć się ogłoszeniu. Okazało się, że wysokość czynszu przekracza moje możliwości, ale i tak zadzwoniłam domofonem do zarządcy budynku. Mieszkanie było dwupoziomowe; z sypialni na pierwszym piętrze wychodziło się na duży balkon, dzięki czemu pokój wydawał się bardziej przestronny. Wynajęcie mieszkania kosztowało pięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie - o dwieście pięćdziesiąt więcej, niż płaciłam do tej pory.

- Podoba mi się tutaj, mamusiu. Możemy tu zamieszkać? Możemy, możemy?

- Myślę kochanie, że to mieszkanie jest dla nas trochę za drogie.

Jej radosne podniecenie ustąpiło miejsca milczeniu.

- Jeśli jest pani poważnie zainteresowana, to właścicielka byłaby skłonna negocjować - odezwał się zarządca. - Między nami mówiąc, mieszkanie stoi puste już od kilku miesięcy, a ona bardzo chciałaby je w końcu wynająć.

- Naprawdę? Jak pan sądzi, na ile mogłaby się zgodzić?

Twarz Toni ponownie się rozpogodziła.

- No cóż, nie wiem. Proszę zaproponować swoją cenę, a ja sprawdzę, co ona na to.

- Niech pan zapyta, czy zaakceptuje czterysta dolarów. Zajrzę tu jutro rano.

Przez całą drogę do domu Toni namawiała mnie na przeprowadzkę do nowego mieszkania. Jego właścicielka zgodziła się obniżyć czynsz do czterystu pięćdziesięciu dolarów. Z taką kwotą mogłam sobie poradzić. Wiedziałam, że muszę szybko zmienić adres,

a zamieszkanie w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły wydawało się idealnym rozwiązaniem.

Okazało się, że w Los Angeles wyrobienie sobie pozycji uznanej modelki zajmuje więcej czasu, niż się spodziewałam; przyszła więc pora, by rozejrzeć się za prawdziwą pracą. Mój brak kwalifikacji sprawił, że nie miałam wyboru i musiałam zadowolić się minimalną pensją - po raz pierwszy od czasu, kiedy jako dziecko pracowałam dorywczo w budce z hot dogami w Willow Point Park. Odpowiedziałam na ogłoszenie w sprawie pracy w London Britches, sklepie z jeansami przy Hollywood Boulevard. Właściciel, Larry Armond, zgodził się, żebym brała wolne na czas castingów, a także dopasował godziny mojej pracy do godzin lekcyjnych Toni.

Nie mogłam pracować jako modelka, nie mając w co się ubrać - a moja szafa świeciła pustkami. Larry zaofiarował się, że będzie sprzedawać mi ubrania bez marży. Krok po kroku zaczęłam na nowo kompletować garderobę. Reszta pensji wystarczała na opłacenie czynszu, ale na nic więcej. Żeby wyżywić siebie i Toni, zaczęłam przyjmować zaproszenia na kolacje. Zawsze zamawiałam więcej, niż byłam w stanie zjeść - to, co zostawało na talerzu, kazałam pakować i zabierałam z restauracji do domu. Może i było to wyrachowane, ale najważniejsze, że dzięki temu udało się nam jakoś przetrwać. Miałam szczęście, że mieszkająca po sąsiedzku nastolatka zgadzała się pilnować Toni pod moją nieobecność.

Steve zadzwonił do mnie w najlepszym możliwym momencie. Razem z Mikiem pomogli mi przenieść się do nowego mieszkania. Byłam im bardzo wdzięczna za pomoc, czasami jednak rewanż za przysługę kosztuje nas więcej, niż warta jest sama przysługa. I tak właśnie było w tym wypadku. Z jakiegoś powodu Steve i Mike nie wynajęli mieszkania - zamiast tego za każdym razem, kiedy przyjeżdżali do Los Angeles, nocowali na podłodze w moim salonie. Trzeba jednak przyznać, że zawsze kupowali jedzenie albo zapraszali mnie i Toni na kolację.

- Kiedy zamierzasz umeblować to mieszkanie? - zapytał po pewnym czasie Steve.

- Jak tylko będę miała dość pieniędzy, żeby opłacić transport swoich mebli z Nowego Jorku.

- Posłuchaj, mam pomysł - oznajmił podekscytowany. - Za kilka tygodni wybieram się z synem do Filadelfii. Może ty i Toni przyłączycie się do nas i urządzimy sobie wyprawę przez cały kraj? Wysadzę was w Rochester, a wracając z Filadelfii, wynajmę firmę przeprowadzkową. Przywieziemy wszystkie twoje rzeczy.

Im dłużej to rozważałam, tym bardziej podobał mi się jego pomysł. Najbardziej brakowało mi mojego zestawu stereo: muzyka była mi potrzebna do życia. Zgodziłam się na propozycję Steve'a. Zestaw stereo, który kiedyś należał do Jima Alquista, miał w końcu

dotrzeć do Kalifornii.

Wyprawa okazała się naprawdę udana, a nasze dzieci świetnie się bawiły. Nocowaliśmy pod namiotem, włóczyliśmy się po jaskiniach i urządziliśmy sobie pieszą wycieczkę po Wielkim Kanionie. Zaczęłam też domyślać się, że Steve się we mnie zakochał. W moim życiu było jednak wiele spraw wymagających uporządkowania i nie śpieszyło mi się do nowego związku.

Podczas podróży spędziłam w towarzystwie Steve'a długie godziny i sporo się o nim dowiedziałam. Zdążył zapomnieć o pewnych rzeczach, o których wcześniej mi opowiadał - kiedy do nich wracał, podawał nowe wersje wydarzeń - zupełnie inne niż poprzednie. Zdałam sobie sprawę, że jest patologicznym kłamcą, i nabrałam podejrzeń, że miał burzliwą przeszłość.

Steve udawał przede mną kogoś, kim nie był - próbował mi zaimponować, pozując na kogoś ważnego. Kłamał w dosłownie każdej sprawie. Twierdził na przykład, że jest właścicielem klubu piłkarskiego z San Diego. I faktycznie nim był, tyle tylko, że zapłacił za niego sfałszowanymi certyfikatami srebra. Minął rok, zanim bank zorientował się, że papiery wartościowe zostały podrobione. Steve był oszustem - i to dobrym. Najgorsze było to, że sam wierzył w swoje kłamstwa.

Kiedy wróciliśmy do Los Angeles, rozsądek podpowiedział mi, żeby zrezygnować z kontynuowania tej znajomości. Początkowo starałam się być uprzejma i wyjaśniłam, że w moim życiu nie ma miejsca na nieuczciwość. Oświadczyłam, że zawsze staram się postępować ostrożnie, a jego zachowanie nie budzi mojego zaufania.

- Chodzi o niego, prawda? - zabrzmiał w słuchawce głos Steve'a. Dzwonił z budki telefonicznej gdzieś w L.A.

- O czym ty mówisz, Steve?

- O twoim mężu. Nadal go kochasz, mam rację?

- Steve, to nie ma nic wspólnego z Joem. W tej chwili nie jestem gotowa na żaden nowy związek; a gdybym nawet była, na pewno nie związałabym się z tobą. Nie znoszę kłamców.

- A gdyby on nie żył, czy wtedy dałabyś mi szansę?

- Co to w ogóle za pytanie? Powiedziałam ci już, że Joe nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o ciebie, Steve!

- Mogę do ciebie przyjechać?

- Nie. Nie możesz.

- Proszę. Chciałbym ci coś pokazać.

- Co takiego, Steve? - zapytałam.

- Chcę ci pokazać swój testament.

- Dlaczego miałabym go oglądać?

- Dlatego, że go zmienilem - odpowiedział. - Wszystko zapisałem tobie. Wszystko.

Coś tu jest mocno nie w porządku. Spław tego faceta - natychmiast!

- To najbardziej niedorzeczna historia, jaką w życiu słyszałam.

- Wcale nie, George. To dowód na to, jak bardzo cię kocham. Jesteś dla mnie ważniejsza od moich własnych dzieci. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie.

- Cofnij tę zmianę.

- Co?

- Cofnij zmianę testamentu. Jeśli nie widzisz, jaka to głupota, to twoje problemy są poważniejsze, niż sądziłam.

- Skoro nie mogę cię mieć, to nie mam już po co żyć. - Jego głos zabrzmiał niepokojąco szczerze. - Chcę, żebyś wszystko po mnie odziedziczyła.

- Steve, naprawdę uważam, że potrzebujesz pomocy. Nie ma takiej osoby, dla której warto odbierać sobie życie.

- Ty jesteś taką osobą - wyszeptał.

- Człowieku, powinieneś się leczyć - ucięłam. - Muszę -kończyć.

- Zaczekaj! Proszę. Powiedz, że pozwolił mi przynajmniej spróbować. Potrafię sprawić, że mnie pokochasz. Wiem o tym.

W tym, co mówił, nie było nic interesującego. Z uporem ponawiał swoje bezowocne uwodzicielskie starania. Słuchając jego gadaniny, naszkicowałam w notatniku śmieszna postać, a na koniec dorysowałam jej spiczaste rogi.

- Steve, nic do ciebie nie dociera. Ani jedno słowo z tego, co powiedziałam. Nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Do widzenia.

- George... - to było wszystko, co zdążył powiedzieć, zanim odłożyłam słuchawkę.

Dryń, dryń, dryń, dryń. Piąty, szósty, dziesiąty.

Ze wszystkich wspomnień związanych ze Steve'em najgłębiej utkwilo mi w pamięci owo: dryń, dryń, dryń, dryń. Do dzisiaj słyszę tamten dzwoniący telefon. Rozłączałam się, a on po chwili dzwonił ponownie. Kiedy włączałam automatyczną sekretarkę, Steve zaczynał nagrywać wiadomości i nie przestawał, dopóki nie skończyła się taśma. Zmieniłam nawet numer telefonu, ale udało mu się ustalić nowy. Dryń, dryń, dryń, dryń. To dzwonicie zaczynało doprowadzać mnie do obłędu. Steve potrafił też pojawić się pod moimi drzwiami w środku nocy i ze łzami w oczach błagać, bym wpuściła go do środka. Kiedy dzwoniłam po

policję, odchodził - ale tylko po to, żeby nazajutrz wrócić i uraczyć mnie jakąś nową historyjką.

Któregoś wieczoru stanął pod drzwiami z krwawiącą raną.

- Proszę, błagam, otwórz drzwi - jęczał. - Oni tam są. Pchnęli mnie nożem. Otwórz drzwi, Georgia. Potrzebuję karetki. Spójrz przez wizjer, jeśli mi nie wierzysz. Wykrwawię się tutaj na śmierć.

Rzeczywiście mu nie wierzyłam; wszystkie jego dotychczasowe opowieści były tak samo niestworzone. Ale kiedy wyjrzałam przez wizjer, zobaczyłam, że Steve naprawdę krwawi. Tym razem nie kłamał.

- Co się stało? - zapytałam przejęta, otwierając drzwi.

- Zaparkowałem w bocznej alejce i wtedy skoczyło na mnie dwóch czarnych facetów. Dźgnęli mnie nożem. Mogłabyś przynieść mi ręcznik? - poprosił.

Zauważyłam, że drży na całym ciele.

- Zadzwoń pod 911 - powiedziałam, kiedy wróciłam do Steve'a z ręcznikiem.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie będzie.

On kłamie, White.

- Steve, przecież ty krwawisz! Musisz pojechać do szpitala.

Policjanci przybyli na miejsce jeszcze przed sanitariuszami. Kiedy wypytywali Steve'a o okoliczności zdarzenia, opowiedział im historię różniącą się nieco od wersji, którą wcześniej usłyszałam. Policjanci odprowadzili Steve'a do karetki, po czym wrócili do mojego mieszkania.

- To zabrzmiało jak czyste szaleństwo, ale wydaje mi się, że on mógł sam dźgnąć się nożem - powiedziałam.

- Dlaczego pani tak uważa? - zapytał podejrzliwie policjant.

- Bo wiem, że byłby w stanie powiedzieć i zrobić wszystko, byle tylko skłonić mnie do otwarcia drzwi. Miałam już z nim problemy; wszystko jest w kartotekach waszego wydziału. On nie jest zrównoważony.

- Wiemy o tych problemach - odparł gliniarz - ale tym razem sytuacja jest o wiele poważniejsza. On twierdzi, że urządzili go tak faceci, których wynajął pani mąż.

- Co takiego? Przecież mój mąż nawet nie wie o jego istnieniu. Nie ma nawet pewności, czy ja żyję. Ten człowiek to nałogowy kłamca. Ja po prostu wiem, że sam się zranił.

- Mimo wszystko będziemy musieli to sprawdzić. Gdzie mieszka pani mąż?

- O nie! Nie chcę, żeby mnie znalazł. Nic wam nie powiem. Dlaczego nie możecie

przejmować się tak bardzo moim bezpieczeństwem? Macie pojęcie, ile razy dzwoniłam do was po pomoc? Ten facet to świr. Dlaczego mi nie wierzycie? Dlaczego nigdy nic z nim nie zrobiliście?

- Czy on kiedykolwiek zaatakował panią fizycznie?

- Nie, ale...

- Dostajemy wiele zgłoszeń od kobiet, które skarżą się na swoich partnerów, ale jeśli oni...

- On nie jest moim partnerem. Ciągłe wam to powtarzam. Czy naprawdę musi mnie zabić, żebyście wzięli się do roboty? Ten człowiek jest chory!

- Przykro mi, proszę pani, ale jeśli on nie zrobił pani fizycznej krzywdy, to nic nie możemy zrobić. Mamy związane ręce. A wracając do pani męża...

Ci gliniarze są do niczego. Sądziłam, że zdążyłaś się już tego nauczyć. Może powinniśmy zająć się tym same.

- Nie możecie kontaktować się z moim mężem. Sama nie wiem, kogo boję się bardziej: tego świra czy swojego męża. Proszę, przynajmniej sprawdźcie to, co wam powiedziałam.

Tak też zrobili. Połączyli się ze szpitalem i dowiedzieli się, że rana Steve'a nie była poważna; ostatecznie zadowolili się więc moją wersją wydarzeń.

Na temat Joego powiedziałam Steve'owi tylko tyle, że się go boję i że ma powiązania z pewnymi niebezpiecznymi ludźmi. Nigdy nie wtajemniczałam go w szczegóły dotyczące swojej przeszłości. Zaczęłam wszystko od nowa - tamto życie zostawiałam za sobą i chciałam o nim zapomnieć. Steve popuścił jednak wodze swojej bujnej wyobraźni - moja przeszłość stała się nowym polem do popisu dla jego chorego umysłu.

Co będzie, jeśli skontaktuje się z Joem i zdradzi mu, gdzie mieszkam?

Mniej więcej tydzień później, po trzystu kolejnych telefonach, Steve ponownie złożył mi wizytę - tym razem twierdził, że zmarła jego córka. Słyszałam dobiegający zza zamkniętych drzwi spazmatyczny szloch. Czy ktokolwiek byłby w stanie kłamać w takiej sprawie? To, co mówił, mogło być prawdą, a ja poczułam się winna, że w takiej sytuacji nie wpuściłam go do środka.

Postanowiłam mu otworzyć. Steve wyglądał jak psychiczny i fizyczny wrak człowieka. Miałam wyrzuty sumienia, że tak długo trzymałam go pod drzwiami. Mówił prawdę: widziałam to po jego zachowaniu. Łkał tak strasznie, że ledwo był w stanie wyjaśnić, co się właściwie stało.

- Ona miała dopiero pięć lat, George - wyjąkał z płaczem. - Jak Bóg mógł odebrać mi

moje małeństwo? Ona... O Boże.

- Rozumiem, Steve. Spokojnie - powiedziałam, otaczając go ramieniem.

- Bądź wdzięczna, że twoja córka żyje, George. Tamten widok... Jej drobne ciało leżące pod samochodem... Jej pogięty rower... O Boże! - Schował twarz w dłoniach i zaniósł się niekontrolowanym szlochem.

Czułam się okropnie. Co można zrobić, żeby pocieszyć kogoś, kto stracił dziecko? Niewiele.

- Och, Steve. Jest mi tak bardzo, bardzo przykro.

- Pozwolisz mi zostać tutaj na noc? Nie mogę być sam, nie dziś - wydusił z siebie pomiędzy kolejnymi atakami płaczu.

- Może weźmiesz valium?

- Jedna tabletkę nic nie pomoże. Daj mi dwadzieścia.

- Steve, nie mów tak. Nie myślisz racjonalnie.

- Tak uważasz? Moja córeczka nie żyje. Ty nie chcesz ze mną rozmawiać. Po co miałbym żyć?

- Weź to i spróbuj się trochę przespać.

Dałam mu dwie niebieskie pastylki, które towarzyszyły mi wiernie podczas wszystkich traumatycznych wydarzeń w moim życiu, a potem poszłam na górę przynieść Steve'owi poduszkę i koc.

- Zostaniesz przy mnie, dopóki nie zasnę? - zapytał.

Kiedy wreszcie położyłam się do łóżka, nie mogłam spać. Wyobrażałam sobie, jakbym się czuła, gdybym straciła Toni. Z całego serca współczułam Steve'owi. To wszystko było zbyt straszne, by o tym myśleć. Sen zmorzył mnie dopiero o wschodzie słońca.

Kiedy się obudziłam, zobaczyłam Steve'a, który stał u stóp mojego łóżka i wpatrywał się we mnie niczym w transie. Jego wzrok wydawał się sięgać daleko poza punkt, w którym utkwione były jego oczy.

- Muszę już iść. Mam dużo spraw, którymi trzeba się zająć. Dziękuję ci, że pozwoliłaś mi tu wczoraj zostać. Mogę później do ciebie zadzwonić? - spytał. Oczy miał nadal zaczerwienione i opuchnięte.

Gdybyś odmówiła, czy cokolwiek by to zmieniło? Mówię ci, White, ten facet wpędzi nas do grobu. Wykorzystuje twoje współczucie. Nie wpadnij znowu w tę samą pułapkę. Sądziłam, że czegoś się nauczyłaś.

Kilka godzin po wyjściu Steve'a zadzwoniłam do Mike'a Rubena. Już od dłuższego czasu nie widywałam go ani z nim nie rozmawiałam. Miałam wrażenie, że on i Steve nie są

obecnie w najlepszych stosunkach.

- O czym ty mówisz, Georgia? Rodzina Steve'a mieszka po drugiej stronie ulicy. Właśnie widzę jego córkę z okna swojej kuchni. Nic jej nie jest.

- Co takiego? Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Słuchaj, Georgia: ten gość oznacza same kłopoty. Jest zdrowo stuknięty. Nie tak dawno naciął mnie na osiemdziesiąt kawałków i wiesz co? Machnąłem na to ręką. Nie mogę nic zrobić na drodze prawnej. On jest więcej niż cwany; jest wyrachowany i podły. Boję się, że gdybym starał się odzyskać te pieniądze, on zrobiłby coś okropnego mojej rodzinie. Posłuchaj mojej rady i trzymaj się od niego z daleka.

- Poczekaj, poczekaj. Twierdzisz, że jego córka żyje? Że nie potrafił jej żaden samochód? Jesteś absolutnie pewny, że to dziec-ko na ulicy to właśnie ona? - dociekałam.

Byłam przekonana, że przez Mike'a musi przemawiać jego osobista niechęć do Steve'a. To niemożliwe, żeby Steve poprzedniej nocy po prostu odegrał przede mną całą tę scenę.

- Georgia, patrzę na nią dokładnie w tej chwili. Nawiasem mówiąc, Steve właśnie wjeżdża na podjazd przed swoim domem.

- Co to znaczy: swoim domem? To on też tam mieszka?

- Nie wiedziałaś, że jest żonaty?

- Żonaty! Twierdził, że jest rozwiedziony. Jezu, ten facet jest po prostu niesłychany.

- Jak tak dalej pójdzie, to niedługo faktycznie czeka go rozwód. Spędza tyle czasu w L.A., że Carol zaczęła podejrzewać go o romans. Odkąd przestaliśmy być współnikami, nie może już wykorzystywać mnie do mydlenia jej oczu.

- Mike, wytłumacz mi, jak on mógł zabrać swojego syna w podróż przez pół kraju i oczekiwać, że żona się o tym nie dowie?

- Pewnie kazał dzieciakowi kłamać.

- To chore.

- On jest chory, Georgia. Mówię ci, trzymaj się od niego z -daleka.

Koleś nie potrzebuje psychiatry - jemu potrzebna jest lobotomia!

Byłam do głębi wstrząśnięta. Mając w pamięci jego zachowanie ubiegłej nocy, ciężko było sobie wyobrazić, że kłamał. On sam musiał wierzyć w to, co wtedy mówił. Żaden normalny człowiek nie byłby w stanie tak doskonale udawać. Zadrzałam. Ogarnął mnie lęk.

Ostrzegałam cię, White! Musisz przestać zachowywać się jak panienka o miękkim sercu. Nie pozwól, żeby ludzie w taki sposób cię wykorzystywali. Nie ma nic złego w byciu twardą suką. To się nazywa walka o przetrwanie!

Kiedy Steve zadzwonił, byłam gotowa się z nim rozprawić.

- Cześć, George. To był najgorszy dzień mojego życia. Nikomu bym tego nie życzył - powiedział zmęczonym głosem.

- Steve, chciałabym przyjść na pogrzeb.

- Ee... To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Dlaczego nie? - zapytałam i z przyjemnością słuchałam, jak się wiję niczym piskorz.

- Moja była żona jest bardzo roztrzęsiona; nie wydaje mi się, żeby...

- Chciałeś powiedzieć: twoja obecna żona. Prawda, Steve?

Umilkł tak nagle, jakbym wcisnęła przycisk pauzy. Po chwili odezwał się ledwie słyszalnym głosem:

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że gdyby twoja córka nie żyła, twoja żona faktycznie mogłaby być roztrzęsiona. Ale wasza córka żyje, więc może twoja żona ma jakieś inne powody do zdenerwowania? Nigdy, przenigdy do mnie nie dzwoń i nie zbliżaj się do mojego domu. Posłuchaj mojej rady i poszukaj pomocy, Steve. Aha, i jeszcze jedno: wiedz, że kupiłam sobie pistolet. Policja w Beverly Hills zdążyła już cię poznać. Jeśli kiedykolwiek się do mnie zbliżysz, zabiję cię. - Rzuciłam słuchawkę na widelki.

Dryń, dryń, dryń, dryń. Pojechałam do najbliższego sklepu z bronią.

Dobra robota, White! Wreszcie zaczynasz rozumieć, jak należy postępować.

Zanim mogłam odebrać broń ze sklepu, musiałam odczekać dwa tygodnie - takie były przepisy. W tym czasie zrobiło się aż nazbyt spokojnie. Cisza, jaka nastąpiła, była jeszcze bardziej niepokojąca niż wcześniejsze nieustanne dzwonienie telefonu. Steve musiał coś kombinować. W przerwach pomiędzy pracą w sklepie i innymi obowiązkami zaczęłam rozglądać się za kolejnym mieszkaniem.

Prawdziwym problemem było dla mnie zonglowanie czasem. Któregoś dnia, znowu spóźniona, wracałam z castingu do domu. Dotarłam na miejsce o piętnastej trzydzieści, spodziewając się, że Toni będzie już cierpliwie na mnie czekać. Nie było jej jednak. Poszłam do szkoły, licząc na to, że znajdę ją na boisku, ale okazało się, że nikogo tam nie ma. Ogarnięta paniką zapukałam do drzwi sąsiadów z piętra niżej. Toni lubiła odwiedzać tam nastolatkę imieniem Orna - jednak tego dnia Orna w ogóle jej nie widziała. Popędziłam z powrotem do mieszkania z zamiarem wezwania policji. Ze strachu ścisnęło mnie w dołku. Kiedy tylko otworzyłam drzwi, usłyszałam dzwonek telefonu. Modliłam się w duchu, żeby to była Toni.

- Halo?

- Mam Toni - usłyszałam w słuchawce triumfalny głos.

- Dokąd zabrałeś moją córkę, Steve?

- Poszliśmy na lody. Dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

Wyobraziłam sobie szeroki uśmiech, który pojawił się na jego twarzy.

- Przyrowadź Toni z powrotem, Steve. W tej chwili!

- Porozmawiasz ze mną, kiedy przyjdę?

- Tak, porozmawiam. Tylko przyrowadź ją tutaj, natychmiast!

Po dziesięciu minutach Steve stanął na progu razem z Toni.

- Cześć, mamusiu - powiedziała Toni, zupełnie nieświadoma faktu, że przebywała w towarzystwie niezrównoważonego mężczyzny.

Steve stał za nią, trzymając w rękach długie pudełko.

- Kochanie, zjedź na dół i pobaw się przez chwilę z Orną.

- Nie muszę najpierw odrobić lekcji?

- Nie, możesz odrobić je później.

- Hura! - zawołała i wyleciała z mieszkania jak z procy.

Cała najeżona skupiłam uwagę na Stevie.

- Co ty sobie wyobrażasz, Steve? Wydaje ci się, że masz prawo zabierać gdzieś moją córkę bez mojego pozwolenia? To, co zrobiłeś, ma swoją nazwę.

- Kupiłem ci prezent - odpowiedział, nie zwracając uwagi na mój gniew.

- Nie chcę od ciebie żadnych prezentów. Chcę, żebyś zniknął z mojego życia, do cholery!

Steve tymczasem rozpakowywał podłużne pudełko. Odrywając taśmę, uśmiechnął się kpiąco.

Do tego faceta nic nie dociera, White. Nie poradzisz sobie z nim, nawet mnie to przerasta. Będzie lepiej, jeśli po jego wyjściu zadzwonisz po policję - znowu.

Półprzutomna z przerażeniem obserwowałam, jak metodycznie wyciąga z pudełka dwulufową strzelbę. Obezwładnił mnie sadystyczny grymas na jego twarzy. Przypominał Jacka Nicholsona z *Lśnienia* - wybałuszone oczy, zaciśnięte zęby i wykrzywione w nienaturalnym uśmiechu usta. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z tą stroną jego osobowości i nie byłam pewna, czy zdołam przemówić do rozsądku komuś, kto popadł w taki obłąd.

- Co ty wyprawiasz? - wykrzyknęłam.

- Jeśli ja nie mogę cię mieć, to on też cię nie dostanie - powiedział.

Jego szklany, niewidzący wzrok nie pozostawiał złudzeń: z tym człowiekiem nie

można było negocjować. Ogarnięta strachem zaczęłam mimowolnie szykować się na śmierć. Mój umysł pracował na pełnych obrotach. Jak mogę się z tego wykaraskać?

- Chciałem tylko, żebyś dała mi szansę. Wiem, że potrafiłbym cię uszczęśliwić, ale ty nie pozwoliłaś mi tego udowodnić.

Modliłam się, by Toni nie wróciła do mieszkania.

- Nie chciałem tego robić, ale on nie może cię mieć. Nie zasługuje na ciebie. Zabiję się, ale najpierw zabiję jego. Wiem, gdzie mieszka. Obserwowałem go. Ten facet spierdolił wszystko, czego się dotkniesz. Jak nigdy bym cię tak nie traktował. Mogłem sprawić, że byłabyś szczęśliwa... gdybyś tylko dała mi szansę. Połóż się na łóżku. Załatwię to szybko; nie chcę, żebyś cierpiała - powiedział. Po policzkach spływały mu łzy. Wyraz jego twarzy stopniowo złagodniał.

Posłuchaj mnie uważnie, White. Wciąż możemy się uratować, przecież już nieraz sobie radziłyśmy. Przede wszystkim nie panikuj. Przejmij kontrolę. Nie możesz teraz umrzeć; zaszliśmy już zbyt daleko. Myśl!

Nagle przyszedł mi na myśl moje doświadczenia z przeszłości. Dobrze pamiętałam, jak można kupić życie za słowa „kocham cię” - teraz jednak mogłam mieć do czynienia z innym rodzajem choroby. Nie wiedziałam, czy tamten sposób zadziała także i w tym wypadku.

- Steve, połóż się ze mną - zaproponowałam. - Mógłbyś mi pokazać, co straciłam. Przynajmniej tyle jestem ci winna.

Aby go skusić, uciekłam się do zmysłowego języka ciała: powoli położyłam się na plecach i rozpięłam bluzkę, odsłaniając piersi.

Kiedy spojrzałam na twarz Steve'a, odniosłam wrażenie, że powoli odzyskuje kontakt z rzeczywistością. Zaskoczona tą przemianą, posunęłam się dalej: zaczęłam powoli i kusząco unosić do góry biodra. Łakomy wzrok Steve'a ślizgał się po całym moim ciele. Wypukłość w jego spodniach dowodziła, że moje starania odnoszą skutek. Potrząsnął głową, jakby obudził się ze snu. Zawahał się, przekrzywiwszy głowę. W jego oczach widziałam pożądanie, spod którego wзираło jednak nieuleczalne szaleństwo. Pragnienie, by mnie posiadać, wzięło w końcu górę nad chęcią pozbawienia mnie życia. Położył obok mnie strzelbę, a ja poczułam na nodze dotyk zimnej stali. Usiadł na mnie okrakiem i zaczął obmacywać piersi; po chwili wzięłam moją rękę i przyciągnął ją do swojego członka.

- Dotknij go.

Dotyk mojej dłoni, przesuwającej się po jego członku, a także ruchy moich bioder sprawiły, że Steve wprost oszalał z podniecenia. Przeturlał się na bok i zaczął niecierpliwie ściągać spodnie. To była okazja, o którą się modliłam. Dzięki Ci, Boże. Zrobiłam użytek

z jego zaskoczenia: chwyciłam za strzelbę i pośpiesznie odszukałam palcem spust.

Zaczęliśmy się szarpać, usiłując wzajemnie wyrwać sobie broń. Nagle strzelba wypaliła, a pociski wyrwały w ścianie wielką dziurę. Huk sprawił, że Steve na moment znieruchomiał - wykorzystałam to i zerwałam się na równe nogi, po czym rzuciłam się do ucieczki. Błyskawicznie zbiegłam po schodach i załomotałam do mieszkania sąsiadów. Echo wystrzału wciąż dudniło mi w uszach.

Wydawało mi się, że upłynęła cała wieczność, zanim drzwi wreszcie się otworzyły. Gwałtownie wepchnęłam się do środka, po czym zatrzasnęłam i zabarykadowałam drzwi; Orna zadzwoniła w tym czasie pod 911.

Jestem z ciebie dumna, White. Zachowałeś się jak zawodowiec. Kto powiedział, że nie potrafisz o siebie zadbać? Dla chcącego nic trudnego...

Policjanci znowu sporządzili służbową notatkę. Beznamiętnym wzrokiem obserwowałam ich przy pracy i wyobrażałam sobie jednocześnie, co napiszą w kolejnej notatce: ciało znaleziono w pozycji leżącej, twarzą do góry...

Policja nie była w stanie mi pomóc - co do tego nie miałam już wątpliwości. Nikt nie zdoła powstrzymać obłąkanej osoby, która zaplanowała sobie dokonanie zabójstwa. Musiałam opuścić to miejsce. Steve wróci, a ja następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia. Policjanci zaczekali, dopóki się nie spakowałam. Nie wiedziałam, kiedy będziemy mogły tu wrócić, zabrałam więc dużo rzeczy.

Trzymając córkę za rękę, ostatni raz rozejrzałam się dookoła, po czym zamknęłam drzwi. Zrobiłam kolejny krok ku nieznannej przyszłości.

Po wszystkich daremnych próbach szukania pomocy u policji doszłam do wniosku, że mojego problemu nie da się rozwiązać konwencjonalnymi metodami. Nie było sposobu, by powstrzymać ogarniętego obsesją maniaka. Chociaż... Właściwie to był jeden sposób. Ostatnia deska ratunku - i teraz przyszła pora, żeby z niej skorzystać. Z wahaniem podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

- Cześć, Joe.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- Gdzie jesteś?

- Ja...

- Gdzie się ukrywałaś? Zamartwiałem się o ciebie.

- Jestem w Rochester.

- W Rochester! Wyprowadziłaś się z Los Angeles?

- Nie... Właściwie... Tylko na jakiś czas.

- Co się stało, Georgia?

- Mam problem. Potrzebuję twojej pomocy. Nie mam do kogo się zwrócić.

Zawahał się.

- Jaki to problem? - zapytał wreszcie z niepokojem w głosie.

- No cóż... Jest pewien facet...

Nastrój Joego uległ zmianie. Instynktownie wyczuwałam, jak zaciska zęby. Przez głowę przemknęła mi myśl, że być może popełniłam błąd, ale szybko odsunęłam ją od siebie. Ze świadomością, że tak naprawdę nie mam innego wyjścia, zaczęłam dokładnie relacjonować wydarzenia ostatnich miesięcy, uważając przy tym, by starannie dobierać słowa. Joe słuchał w milczeniu. Ani razu się nie odezwał. Czyżby odłożył słuchawkę?

- Joe?

- Jestem - powiedział zdeglustowanym tonem.

- Musisz mi pomóc. On mnie zabije. Czeka tylko, aż tam wrócę. Mój kuzyn Randy powiedział, że ktoś włamał się do mojego mieszkania. Randy naprawił drzwi, ale on wróci. Boję się tam pojechać. Joe... Pomożesz mi?

- Georgia, jeśli ktokolwiek cię zabije, to będę to ja. Jak ty to robisz, że ciągle pakujesz się w takie tarapaty? Zrozumiałaś nareszcie, że jestem ci potrzebny? Kto inny zrobiłby dla ciebie tyle co ja? Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał; o tym, że jesteś sama w tym wielkim mieście, z tymi wszystkimi świrami dookoła. Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie. Dlaczego po prostu nie wrócisz do domu? Dlaczego nie wrócisz tam, gdzie jest twoje miejsce?

- Joe, zadzwoniłam do ciebie, bo potrzebuję twojej pomocy, a nie po to, żeby się kłócić. Pomożesz mi czy nie?

- Kiedy zamierzasz wrócić?

- Nie zamierzam! Skoro nie chcesz mi pomóc...

- Kiedy zamierzasz wrócić do Los Angeles, Georgia?

- Och. Kiedy będę miała pewność, że mogę... Że jestem bezpieczna - odparłam. Świadomość, że daję Joemu możliwość dotarcia do mnie, sprawiała, że czułam się nieswojo.

- W porządku. Kupisz bilet, a potem zadzwonisz do mnie i powiesz, którym samolotem przylecisz. Nie zabieraj ze sobą Toni.

- Dobrze - powiedziałam i odetchnęłam z ulgą.

Po dwóch tygodniach spędzonych w ukryciu w domu rodziców musiałam coś zrobić. Czy kiedykolwiek będę mogła poczuć się bezpiecznie? Do tej pory Joe nie starał się mnie odnaleźć; zakładałam więc, że w końcu pogodził się z moim odejściem - a przynajmniej

miałam taką nadzieję. Zdawałam sobie sprawę, że zwracając się do niego o pomoc, igrzm z ogniem. Ponowne otwarcie tamtych drzwi - po tym, jak całymi miesiącami starałam się wyrwać spod jego kontroli - stanowiło jednak ryzyko, które musiałam podjąć. Niech to diabli. Wyglądało na to, że znowu będę musiała się przeprowadzić.

Godzinę później raz jeszcze zadzwoniłam do Joego, żeby podać mu szczegóły mojego lotu do Los Angeles. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Mam bilet na lot United Airlines, numer 227. Ląduję w Los Angeles jutro o dwudziestej trzydzięci.

- Dobrze. Wyślę kogoś, kto spotka się z tobą po wyjściu z samolotu.

- Jak go rozpoznam?

- To on rozpozna ciebie. Dostał polecenie, żeby w dzień i w nocy nie spuszczać cię z oka, dopóki problem nie zostanie rozwiązany.

- Co on zrobi, Joe?

- Dobrze wiesz, że o takich sprawach nie rozmawia się przez telefon. Nie martw się, kotku; będziesz w dobrych rękach. Nic ci nie grozi. Posyłam ci jednego z najlepszych speców w branży.

- Georgia, jesteś pewna, że wszystko gra? - zapytał mój ojciec.

- Tak, tatusiu, wszystko w porządku - zapewniłam. - Kiedy wreszcie przestaniesz się o mnie martwić?

- No, nie wiem... Nie dzwoniłaś do żadnych przyjaciół i byłaś taka niespokojna. Jest coś, o czym nam nie mówisz? - spytał zatroskany.

- Tato, po prostu trochę martwię się o pieniądze. Ale będzie mi łatwiej sobie poradzić, kiedy nie będę musiała niepokoić się o Toni.

Przy bramce ojciec podał mi mój podręczny bagaż i powstrzymując łzy, uściskał mnie serdecznie.

- Dwa tygodnie to za mało czasu, ale cudownie było mieć cię w domu chociaż przez krótką chwilę. Zadzwoń i daj nam znać, kiedy dotrzesz bezpiecznie na miejsce.

- Zadzwonię, tato. Opiekujcie się moim maleństwem, dopóki nie będę mogła zabrać jej do siebie. Kocham cię - zawołałam i posławszy mu całusa, weszłam do rękawa prowadzącego na pokład samolotu.

Wyglądałam przez okienko jumbo jeta i obserwowałam urzeczona, jak dzień spotka się z nocą; między nimi rozciągała się szkarłatna smuga. Ten kontrast światła i mroku sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, co przyniesie mi wieczór.

Kiedy wylądowaliśmy w Los Angeles, wyszłam z samolotu i rozejrzałam się dookoła.

Do tej pory nikt się ze mną nie skontaktował. Poczekalam, aż ostatni pasażerowie opuszczą pokład. Nadal nic. Przelknęłam ślinę. Nie panikuj. Zauważyłam otyłego faceta, siedzącego samotnie w poczekalni. Mniej więcej sto trzydzieści kilogramów żywej wagi ledwo mieściło się na zajmowanym przez niego krzeselku.

Czy to może być on? Boże, mam nadzieję, że nie. Wygląda tak, jakby nie był w stanie wyjść stąd o własnych siłach.

Po chwili dostrzegłam dużego mężczyznę w jeansach i sportowej marynarce, który stał koło automatów telefonicznych. Miał mocno umięśnione nogi i ramiona, do tego ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jasnobrązowe, lekko pofalowane włosy. Jego nos musiał być już kilkakrotnie złamany, a na lewym policzku widoczna była prawie dziesięciocentymetrowa blizna. Nie miałam wątpliwości - to ten człowiek. Każda firma castingowa z miejsca zatrudniłaby go do roli, którą miał odegrać. Kiedy ruszył w moją stronę, na jego twarzy pojawił się niewymuszony uśmiech.

- Cześć, jestem Al. A ty wyglądasz jeszcze piękniej niż na zdjęciu - powiedział, wyjmując mi z ręki podrózną torbę.

- Dzięki. Już miałam dzwonić do Joego. Myślałam, że się nie zjawisz.

- Od razu cię wypatrzyłem, ale musiałem się upewnić, czy nie czeka na ciebie żaden niechciany komitet powitalny.

Przyglądaliśmy się walizkom przesuwającym się po bagażowym taśmociągu.

- Al, może ty pójdziesz po samochód, a ja tu zaczekam?

- Niestety, będziesz musiała się przespacerować. Nie mogę zostawić cię samej.

- Przespacerować? - powiedziałam, spoglądając na swój bagaż. Niby jak mamy się stąd ruszyć z tymi wszystkim tobołami? W tym samym momencie Al pozbierał moje walizki i podniósł je z taką łatwością, jakby w środku znajdowało się samo pierze. Po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się bezpieczna.

Pojechaliśmy Century Boulevard w kierunku autostrady numer 405, a następnie skierowaliśmy się na północ, do Beverly Hills.

- Opowiedz mi o tym gościu. Co to za historia?

- Możesz mi wierzyć, Al, że spotkałam już na tym świecie kilku naprawdę chorych ludzi. Kojarzysz pewnie dusiciela z Hillside? Niedawno go złapali. Poznałam go osobiście; kiedyś bywał nawet w moim domu w Rochester. Ale ten gość przebija wszystkich. Uznał, że skoro on nie może mnie mieć, to nie dostanie mnie nikt inny.

Opowiedziałam mu o spotkaniach ze Steve'em, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Al wysłuchał mnie uważnie.

- Jak on wygląda?

- Całkiem niezłe. Patrząc na niego, nigdy byś się nie domyślił, jak bardzo pokręcony jest jego umysł. Wysoki, około metra osiemdziesięciu pięciu; czarne kręcone włosy, bardzo gęste.

Al chłonał każde moje słowo, od czasu do czasu kiwając głową i skrzętnie zapamiętując wszystkie informacje.

- Jest całkiem dobrze zbudowany jak na kogoś, kto nie ćwiczy.

- Kim jest z pochodzenia?

- Żydem.

- Żydem? Czy Joe o tym wie?

- Ludzie to ludzie, Al. Świat nie składa się z samych Włochów. Ty jesteś Włochem?

- Jasne - odparł takim tonem, jakby poczuł się urażony.

- Hm, można by cię wziąć za typowego anglosaskiego chłoptasia - drażniłam się z nim. - A jak masz na nazwisko?

- Tego nie musisz wiedzieć - odparł chłodno.

- Masz rację; nie muszę.

- Czy facet nosi broń? - zapytał, przechodząc z powrotem do rzeczy.

- Tak. Ma trzydziestkę ósemkę i strzelbę. Dwa tygodnie temu sterroryzował mnie nią w sypialni. Spróbowałam mu wmówić, że mi na nim zależy. Wydawało mi się, że w końcu go przekonałam. Wtedy złapałam za strzelbę, a ona nagle wypaliła. Kiedy będziemy na miejscu, zobaczysz dziurę w ścianie. Dzięki Bogu, że nikt nie przechodził koło domu, kiedy to się stało. Tego samego dnia uciekłam do Nowego Jorku.

- Sądzisz, że pojawi się u ciebie dziś w nocy?

- Jestem pewna, że codziennie sprawdza mieszkanie. Jak tylko się zorientuje, że wróciłam, na pewno się zjawi.

Skręciliśmy z Wilshire Boulevard w South Elm Drive. Wszystko na południe od Wilshire uchodziło w Beverly Hills za slumsy. Tutejsza okolica mocno kontrastowała z dzielnicą okazałych posiadłości, która zaczynała się o jedną przecznicę na północ. Al dwukrotnie przejechał obok mojego domu i okrążył cały kwartał ulic, zanim w końcu zaparkował w sąsiedniej alejce. Zostawiłam bagaże w samochodzie i po cichu wspięłam się po schodach. Al szedł tuż za mną z pistoletem w dłoni.

Drzwi do mieszkania były lekko uchylone. Odsunęłam się i puściłam Ala przodem. Ostrożnie pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Zapaliłam światło i zamknęłam drzwi. Al powoli obszedł każde pomieszczenie. Wszystkie rośliny w mieszkaniu były martwe. Nie

zwiądły z braku wody - były martwe. Na podłodze obok dużej palmy leżało puste opakowanie po wybielaczu. Ten porąbany sukinsyn nalał wybielacza do każdej doniczki.

Al sprawdził pokoje na piętrze, po czym zszedł na dół.

- Nikogo nie ma. Ale to, co tam zobaczysz, raczej ci się nie spodoba - uprzedził, wkładając broń do kieszeni spodni.

Kiedy wchodziłam po schodach, strach ścisnął mi żołądek. Drzwi szafy były otwarte, a podłogę zaścielały strzępy moich ubrań. Steve wyciągnął po jednym elemencie z każdego kompletu i pociął je na małe kawałki. W jednym z kostiumów brakowało spodni, w innych - żakietu lub kamizelki. Miałam ochotę się rozpłakać. Odbudowanie mojej garderoby zajęło mi przecież tyle czasu. Poduszki i kołdra również zostały pocięte i wszędzie walało się wysypane z nich pierze. Obrazki na ścianach były odwrócone do góry nogami. Steve dorysował też wąsy na wielu zdjęciach w moim portfolio. Dobrze wiedział, że bez niego będę uziemiona. Wyjeżdżając do Rochester, nie planowałam pracować, więc portfolio nie było mi tam potrzebne - teraz jednak pożałowałam, że nie zabrałam go ze sobą. Na ścianie Steve napisał czerwonym markerem „TWOJE SERCE” i dorysował strzałkę, wskazującą na dziurę po kulach.

Al stał za moimi plecami i przyglądał się temu pobojuwisku.

- Koleś jest nieźle porąbany - skomentował, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Jak ty sobie z nim poradziłaś w pojedynkę? Facet chce twojej krwi, to pewne. Jezu Chryste, tym razem robota sprawi mi prawdziwą przyjemność.

Na jego twarzy wciąż malowało się zdziwienie.

We mnie natomiast narastała wściekłość, która już nazbyt długo była tłumiona przez lęk. Teraz, mając u boku Ala, który mógł mnie obronić, poczułam się bezpieczna. Nareszcie mogłam uwolnić hamowany wcześniej gniew - i tak też zrobiłam. Georgia Black przejęła kontrolę.

Ten skurwiel zapłaci za to, co zrobił.

Al ani przez moment nie spuszczał mnie z oka. Razem poszliśmy do samochodu po bagaże. Al ponownie sam wniósł na górę wszystkie moje walizki. Ja zajęłam się jego bagażem: małym marynarskim workiem i sporym, dość ciężkim neseserem. Później zamówiłam pizzę i odsłuchiwałam taśmę z automatycznej sekretarki. Poza całym mnóstwem odgłosów odkładanej słuchawki nagrała się też wiadomość od mojej agentki.

„Cześć, kochanie. Mówi Janette. Wiem, że jesteś w Nowym Jorku, ale pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś dziś wieczorem zadzwoniła do mnie do domu. Odebrałam bardzo dziwny telefon od faceta nazwiskiem Steve jakiś tam. Nasłuchiwałam się od niego okropnych

rzeczy na twój temat i gdybym cię dobrze nie znała, pewnie skreśliłabym cię z listy modelek pracujących dla naszej agencji. Rzecz w tym, że jeśli ten facet wykonuje podobne telefony do naszych klientów, może narobić nam problemów. Aha, prawie bym zapomniała. Mam dla ciebie ciekawy casting w najbliższy wtorek. Podam ci szczegóły, kiedy do mnie zadzwonisz. Pa, kochanie”.

Niech to szlag! Zagotowałam się ze złości. Al był zajęty czyszczeniem swoich pistoletów. To dlatego ten neseser był taki ciężki. Miał w nim cały cholerny arsenał!

Najwyższy czas, żebyś zaczęła działać, White. Dlaczego tak długo z tym zwlekałaś? Co ten palant sobie w ogóle wyobraża - że niby z kim ma do czynienia?

- Koleś dostanie to, na co sobie zasłużył - rzucił zimnym głosem Al, nie przerywając czyszczenia broni.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, co się może wydarzyć, i ogarnął mnie strach, który momentalnie przyćmił gniew. To nie były przelewki.

- Co masz na myśli, Al? - spytałam i poczułam, jak jeżą mi się włoski na przedramionach.

Al utkwiał we mnie swoje zielone oczy, a jego twarz spoważniała.

- A co twoim zdaniem powinien dostać? - zapytał.

- Chcę, żeby dostał łomot. Na tyle mocny, żeby to do niego dotarło.

Tylko mi teraz nie tchórz, White.

- Jesteś pewna, że do tego faceta cokolwiek dotrze?

O tym nie pomyślałam. Musiałam podjąć ostateczną decyzję - wóz albo przewóz. Uznałam, że nawet w przypadku Steve'a nie mogę bawić się w Boga i odbierać komuś życia.

- Joe uważa, że gościa należy wyeliminować. Mówiąc szczerze, ja też tak sądzę. Tacy jak on nigdy niczego się nie nauczą. Możesz wsadzić go za kraty na dwadzieścia lat, a on pojawi się pod twoimi drzwiami tego samego dnia, kiedy wyjdzie na wolność. Albo ty go załatwisz, albo któregoś dnia on załatwi ciebie.

To była prosta, lecz zabójcza logika.

Po długiej chwili ciszy Al dodał:

- To, co proponujesz, nie jest rozsądne. Ale decyzja należy do ciebie.

Przestałam wstrzymywać oddech i ponownie zaczęłam normalnie oddychać. To ja decydowałam. A więc Steve będzie żył. Joe dał Alowi jasne instrukcje - miał wypełnić moje polecenia, niezależnie od tego, co sam uważał za słuszne. Joe uznał moje wołanie o pomoc za szansę na to, żeby mnie odzyskać - miał nadzieję, że jeśli ocali mnie niczym rycerz na białym koniu, to ja z wdzięczności do niego wrócę. Zdawał sobie sprawę, że gdyby kazał Alowi

wyeliminować Steve'a wbrew mojej woli albo zaciągnąć mnie siłą do Solana Beach, to przegrałby tę bitwę. Zdążyłam już poznać niezmienny schemat jego zachowań: Joe grał teraz rolę miłego gościa.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi i oboje podskoczyliśmy. Al chwycił jeden z pistoletów i pośpiesznie wepchnął swoją teczkę do szafy. Stał za drzwiami i gestem nakazał mi je otworzyć.

- Kto tam!?! - krzyknęłam.

- Przywiozłem pizzę.

Ala nie opuściło napięcie. Nie znał głosu Steve'a i wołał zachować ostrożność.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam młodego chłopaka trzymającego pudełko z pizzą.

- To będzie osiem dolarów i pięćdziesiąt sześć centów, proszę pani.

- Zaczekaj tutaj.

Poszłam do kuchni i wyciągnęłam z torebki dwadzieścia dolarów. Kiedy odwróciłam się ku drzwiom i zobaczyłam Ala z bronią w ręku, stojącego zaledwie kilka stóp od niczego nieświadomego chłopca, zadrżałam. Gdyby Steve wtargnął do mieszkania w tym właśnie momencie, niewinny chłopak znalazłby się w oku cyklonu. Chciałam jak najszybciej się go pozbyć - wręczyłam mu dwudziestkę i kazałam zatrzymać resztę.

- Masz gest, co? Od razu widać, z kim się zadawałaś - skomentował Al.

- Możliwe, że zbyt często - pomyślałam na głos. Przejęłam od tamtych ludzi znacznie więcej cech, niż wydawało mi się to kiedyś możliwe.

Zabraliśmy się do pizzy. Podczas jedzenia Al poinstruował mnie, co mam mówić i jak się zachować, kiedy pojawi się Steve. Pistolet przez cały czas leżał w zasięgu jego ręki.

- No więc dobrze - powiedział Al. - Zrobimy to po twojemu. Ale jeśli twoje albo moje życie będzie zagrożone, załatwię to inaczej. Rozumiemy się? - Al zawahał się przez moment. - Powinnaś teraz odpocząć. Jutro musisz być w formie.

Wepchnęłam pióra z powrotem do poduszki i włożyłam na nią świeżą poszewkę. Następnie wyjęłam z szafy dodatkowy koc i zaniiosłam go Alowi. Stał w ciemnym pokoju, czujnie spoglądając przez okno.

- Do zobaczenia rano, Al - powiedziałam.

- Georgia?

Odwróciłam się w jego stronę.

- Tak?

- Czujesz coś do tego gościa?

- Tak. Pogardę. Brzydzę się nim. Rzygać mi się chce, gdy zbyt długo o nim myślę.

Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

- Tak, wystarczy. Dobranoc, Georgia. Śpij dobrze. Już niedługo twoje życie znowu będzie należało do ciebie.

Ciekawe, jakie to uczucie.

Spałam jak dziecko. Natomiast Al przez całą noc nie zmrużył oka. Rano zastałam go przy tym samym oknie, przy którym zostawiłam go minionej nocy. Miał na sobie dokładnie to samo ubranie, z wyjątkiem sportowej marynarki. Ciemna wpuszczona w jeansy koszulka z krótkim rękawem odsłaniała muskularne ramiona i uwydatniała szerokie bary. Z pewnością nie wyglądał na człowieka, na którego chciałoby się natknąć w jakimś ciemnym zaułku. Usłyszał, że wchodzę do pokoju, ale nie oderwał wzroku od okna.

- Jakim samochodem jeździ ten gość? - zapytał, obserwując zza firanki ulicę.

- Ciemnoniebieskim lincolnem continentalem, rocznik siedemdziesiąty szósty.

Al odwrócił się i spojrzał na mnie.

- W nocy przejeżdżał tędy trzy razy. Wie, że tu jesteś.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Kiedy wyjechałaś do Nowego Jorku, zostawiłaś odsłonięte zasłony. Ilu z twoich sąsiadów zostaje w domu w ciągu dnia?

- Jedna osoba.

- W którym mieszkaniu?

- Piętro niżej, po lewej stronie. Dziewczyna, która mieszka naprzeciwko mnie, jest poza miastem.

- To dobrze.

- Jesteś głodny, Al?

- Jasne. Chętnie bym coś przekąsił.

- W takim razie będę musiała wyskoczyć do sklepu. Nie było mnie tu przez dwa tygodnie.

- To nie jest dobry pomysł. Jest tu w okolicy jakiś sklep, który dowozi zakupy do domu?

- Tak, mogę zadzwonić do delikatesów. Przespałeś się w nocy, Al?

- Nie, właściwie to nie.

- Chyba powinieneś, nie uważasz?

- Niezła myśl - przyznał.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Halo? - Usłyszałam szcęk odkładanej słuchawki. - To był on. To już długo nie

potrwa.

Tymczasem mijały kolejne godziny, a Steve się nie pokazywał. Al przysypiał na krótko i zaraz się budził. Po pewnym czasie ponownie zadzwonił telefon. Steve znowu się rozłączył. Zapadła noc. Przedłużająca się cisza zaczynała działać mi na nerwy. Podskoczyłam, kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci. Al stał gotowy, wyprostowany niczym struna.

- Halo? - W słuchawce słyszałam oddech Steve'a. - Halo?

- Jadę do ciebie - odezwał się wreszcie; w tonie jego głosu pobrzmiwała groźba.

- Ty sukinsynu! Nie ujdzie ci to na sucho, Steve!

- Chcę z tobą pomówić.

- Nie mam o czym. Po prostu trzymaj się z daleka od mojego życia, do cholery.

- Jadę do ciebie.

- Ostrzegam cię, Steve. Nie pokazuj się tutaj! - Rzuciłam gwałtownie słuchawkę. - Będzie tu za dziesięć minut - powiedziałam sama do siebie.

Zjawił się już po pięciu. Kiedy zabrzęczał dzwonek, Al zajął swoją pozycję za drzwiami.

- Jesteś gotowa? - Przyjrzał mi się, szukając wzrokiem oznak słabości.

Byłam aż nadto gotowa.

- Odejdź, Steve! - krzyknęłam przez zamknięte drzwi.

- Otwieraj! - zażądał.

Uchyliłam drzwi na tyle, na ile pozwalał założony łańcuch. Steve miał na sobie garnitur i nedorzecznie wyglądający krawat. Najwyraźniej sądził, że tym strojem zrobi na mnie wrażenie.

- Czego ty ode mnie chcesz, Steve!?! - wrzasnęłam.

- Wpuść mnie. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Nie chcę już nigdy więcej oglądać twojej gęby. A teraz won.

Naparł całym ciężarem ciała na drzwi, wrywając łańcuch. Uderzona odskakującymi drzwiami upadłam na podłogę. Steve znalazł się na mnie i zacisnął dłoń na mojej szyi.

Al zareagował błyskawicznie i kopnął go w głowę. Steve zwałił się na ziemię. Sięgnął ręką po ukryty pod marynarką rewolwer, jednak Al kolejnym kopniakiem wytrącił mu go z ręki. Podniosłam broń i wycelowałam w Steve'a. Ręka mi drżała. Dobry Jezu! Czy potrafiłabym go zabić, gdybym musiała?

W milczeniu toczyłam wewnętrzną walkę z Georgią Black.

- Jak możesz mi to robić, Georgia? Przecież ja cię kocham! - krzyknął piskliwym

głosem Steve, kurczowo ściskając dłońmi kolano.

- Wolę nie wiedzieć, co byś zrobił, gdybyś mnie nienawidził - odpaliłam ze złością.

Steve podniósł się, po czym rzucił się na Ala i przyparł go do ściany. Mój palec, śliski od potu, jeszcze mocniej zacisnął się na spuście. Nie chciałam zabijać, ale przygotowałam się psychicznie do pociągnięcia za spust. Dzięki Bogu, Al szybko opanował sytuację. W miejscu, w którym kilka razy uderzył głową Steve'a o ścianę, popękany tynk pokrył się krwią. Oszołomiony Steve z uporem wracał jednak po kolejne ciosy.

Walka przetaczała się przez cały pokój. W pewnym momencie Steve runął na stół do kawy i rozbite szkło rozcięło mu głowę. Krwawiąc obficie, po raz kolejny dźwignął się na nogi. Al uderzył go pięścią w twarz, a następnie poprawił ciosem w brzuch. Kiedy Steve zgiął się wpół, otrzymał jeszcze jeden cios w twarz - tym razem kolanem. Usłyszałam cichy chrzęst łamanych kości. Wcześniej ten odgłos budził we mnie odrazę. Teraz jednak kontrolę przejęła Georgia Black.

Steve upadł po raz ostatni. Próbował jeszcze się podnieść, ale kopniak Ala sprowadził go z powrotem do parteru. Za każdym razem kiedy się poruszał, na jego głowę spadały kolejne ciosy. Wreszcie Al pochylił się nad nim i chwycił go za włosy; ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- A teraz coś od Joego, skurwysynie! - warknął, po czym wyprostował się i z całej siły kopnął leżącego w głowę.

Steve leżał nieruchomo, a jego twarz przypominała krwawą miazgę. Zapadła złowieszcza cisza. Miałam wrażenie, jakbym obserwowała to wszystko, stojąc poza własnym ciałem. W końcu podeszłam powoli do Steve'a; adrenalina buzowała mi w żyłach. Usiadłam okrakiem na jego ciele, nachyliłam się i pociągając za ohydny krawat, dźwignęłam jego głowę z podłogi. Nie obawiałam się - głowa Steve'a opadła do tyłu pod własnym ciężarem i kołysała się bezwładnie. Oczywiście miał otwarte, ale całkiem możliwe, że nie był na tyle przytomny, by usłyszeć potok wulgarnych obelg, jaki wylewał się z moich ust. Kiedy skończyłam, wypuściłam z ręki krawat i głowa uderzyła o podłogę, wpadając prosto w kałużę krwi.

Al stał o kilka kroków dalej i jak gdyby nigdy nic palił papierosa, nieznacznie się przy tym uśmiechając. Z zachwytem obserwował moje dotychczasowe poczynania i najwyraźniej czekał na rozrywkę, jaką miał mu zapewnić kolejny mój ruch. Ku własnemu zdumieniu wyciągnęłam rękę, wyjęłam zapalonego papierosa z dłoni Ala, po czym zgasiłam go, wkładając rozżarzony koniec do ust Steve'a. Kiedy ponownie spojrzałam na Ala, posłał mi konspiracyjny uśmiech; niewiele brakowało, a figlarnie mrugnąłby do mnie okiem.

Przez wiele kolejnych lat rozpamiętywałam tamtą chwilę - z przerażeniem myślałam o tym, jak bezdusznie i obłąkańczo się zachowałam. Przeraziła mnie świadomość, że okazałam się zdolna do takiej nienawiści i takiego okrucieństwa. Czy stałam się do tego stopnia niewrażliwa na przemoc, że przestałam czymkolwiek różnić się do tamtych ludzi? Steve co prawda sam doprowadził mnie do takiego stanu, ale mimo to... To, co wtedy zrobiłam, wcześniej było dla mnie nie do pomyślenia.

- Pozwól mi skończyć z tym zasrańcem - powiedział Al, przykładając pistolet z tłumikiem do głowy Steve'a.

Czy to taka gra? Jakiś rodzaj próby strachu? Jeśli zdecyduję się zagrać i okaże się, że on mówi poważnie, to Steve zginie.

- Nie. Niech sobie żyje - powiedziałam. - Niech zapamięta, jaką cenę zapłacił za miłość do mnie.

Steve nie był w stanie się ruszać, ale z jego gardła wydobywały się głębokie jęki. Był wystarczająco przytomny, by zdawać sobie sprawę, że jego życie zawisło na włosku. Chociaż możliwe, że gdyby mógł mówić, to wybrałby śmierć.

- W porządku - stwierdził Al. - Podjedź samochodem pod wiatę garażową, a potem ściągniemy go na dół po tylnych schodach.

- I co dalej?

- Dalej ja się tym zajmę.

Wręczył mi kawałek papieru ze wskazówkami, jak mam dojechać do pewnego hotelu na Sunset Boulevard. Miałam tam zostać, dopóki Al po mnie nie zadzwoni. Pociągnęłam go za sobą do kuchni. Kiedy się tam znaleźliśmy, zapytałam szeptem:

- Nie zamierzasz chyba go zabić, co?

- Dostałem instrukcje, żeby zrobić wszystko, o cokolwiek mnie poprosisz. Dla mnie to bez różnicy, czy ten facet przeżyje, czy zginie. Decyzja należy do ciebie.

- Nie chcę, żeby zginął.

- W porządku, będzie żył.

Zaciągnęliśmy go do samochodu. Potem pobiegłam z powrotem na górę, wzięłam kilka ścierek i wiadro z wodą i umyłam schody. Zastanawiałam się nad usunięciem krwi także ze swojego dywanu, ale było jej zbyt dużo. Pośpiesznie wytarłam ściany, zebrałam swoje bagaże i pojechałam do hotelu w Hollywood.

Kiedy już znalazłam się w tej podłej norze, miałam dość czasu na rozmyślanie. To, co się wydarzyło, przypominało sceny z jakiegoś filmu. Wszystko wydawało się takie nierealne. Co ja narobiłam? Nie, to niemożliwe, żebym to ja zrobiła te wszystkie rzeczy. Kim więc była

ta osoba? Miałam mętlik w głowie.

Steve umrze.

Jak mogłaś być tak głupia? Przecież to oczywiste: on nie może przeżyć. Jeśli przeżyje i zacznie mówić, Al cię dopadnie. Steve zasłużył sobie na śmierć po tym wszystkim, co ci zrobił.

Dlaczego właściwie znalazłam się w tym obskurnym hotelu? Może Al planuje po mnie wrócić. Joe mnie wrobił, to jasne! To zawsze jest ten, który był najbliżej ciebie - osoba, której byłaś gotowa powierzyć własne życie. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Uspokój się, White. Wiesz, że nie pozwolę, żeby do tego doszło. Czy kiedykolwiek cię zawiódłam?

Kręciło mi się w głowie. Bałam się zamknąć oczy, krążyłam nerwowo po pokoju, a w myślach rozbrzmiewały mi groźby Joego:

Jeśli ktokolwiek cię zabije, to będę to ja. Jak ty to robisz, że ciągle pakujesz się w takie tarapaty?

Kim on jest, Georgia?

Jeśli mnie okłamujesz, przysięgam, że cię zabiję. Zabiję każdego, kto cię dotknie. Jesteś moja.

Nie rób mi tego. Ostrzegam się, Georgia; nie rób tego...

Umrzesz. Tak samo jak ten skurwysyn, z którym się spotykasz!

Muszę pozbyć się tego dywanu. Nie, nie mogę teraz wrócić do domu, on mnie tam znajdzie. Zadzwoń do Joego! Nie... Joe to wróg.

Popadasz w paranoję, White. Gdybyś tylko pozwoliła mi pociągnąć za spust, nie miałabyś się czym przejmować. Weź valium, prześpij się - ja się tobą zajmę.

Dobrze...

Rozdział dziesiąty

Przekręcając klucz w drzwiach swojego mieszkania, usłyszałam stłumiony dźwięk dzwonka. Rzuciłam torbę na ziemię i pobiegłam do telefonu.

Głos po drugiej stronie był zbyt cichy, bym mogła cokolwiek zrozumieć. Mocniej przycisnęłam słuchawkę do ucha i powtórzyłam: „Halo”. To był Steve. Dzwonił ze szpitalnego łóżka - leżał tam unieruchomiony na wyciągu, na który trafił z kilkoma połamanymi kośćmi, a także złamanym nosem oraz szczęką.

- Wciąż cię kocham - powiedział ledwie słyszalnym głosem. - Rozumiem, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś. Nie ma sprawy. Nadal cię kocham. Zawsze będę cię kochać...

W słuchawce rozległ się sygnał.

Mój Boże, więc to jeszcze nie koniec.

Nigdy się go nie pozbędziesz. On nigdy nie odpuści. Powinnaś była pozwolić mu zginąć!

Na widok ciemnobrązowych plam na dywanie poczułam, jak skręca mi się żołądek. Zaczęłam szukać w myślach rozwiązania problemu. Co powinnam zrobić? Obsesja Steve'a doprowadzi w końcu do tego, że ktoś zginie; na razie wszystko wskazywało na to, że tym kimś będę ja. Moje wcześniejsze próby zapewnienia sobie ochrony ze strony policji zawiodły. Najwyraźniej musiałabym znaleźć się o krok od śmierci, albo wręcz zginąć, żeby policjanci mogli wreszcie cokolwiek zrobić.

Joe pozwolił mi załatwić sprawę po mojemu. Mój plan nie wypalił - z konsekwencjami musiałam radzić sobie sama. -Dalsze angażowanie Joego w tę sprawę doprowadziłoby do tego, że znalazłabym się w sytuacji równie nieznosnej jak obecna. Zresztą, gdybym wcześniej postąpiła tak, jak sugerował Joe, nie stałabym teraz przed takim dylematem. Na razie Joe grał miłego gościa w nadziei, że w ten sposób osiągnie swój cel. Najlepiej było zostawić go teraz w spokoju.

Nie miałam wyboru. Zaczęłam nosić przy sobie broń i tym razem już nie zawahałabym się jej użyć.

Od czasu brutalnego pobicia Steve'a minęło kilka tygodni. Znowu zaczęły się irytujące głuche telefony, ale poza tym było dość spokojnie. Wiedziałam, co oznacza ten spokój. Rozważałam zwrócenie się o pomoc do Sammy'ego G, ale on miał wówczas dość własnych kłopotów - zarówno ze strony gangsterów, jak i stróżów prawa. Nerwowo wyczerpana, zadzwoniłam ostatecznie do Frankiego. Zawsze mogłam na niego liczyć i nigdy

nie oczekiwał ode mnie niczego w zamian.

- Oczywiście, że mogę tam przylecieć, maleńka. Kupię bilet na nocny lot.

- Jak długo będziesz mógł tu zostać, Frankie?

- Dopóki będziesz mnie potrzebowała.

Następnego dnia rano odebrałam go z lotniska i od razu opowiedziałam mu całą historię.

- Dlaczego Joe nie zabił tego skurwiela? Zadajesz się z bandą pieprzonych mięczaków, maleńka. Trzeba było od razu zadzwonić do mnie.

- To ja nie pozwoliłam mu tego zrobić, Frankie.

Położył mi dłonie na ramionach i wszystkie moje zmartwienia natychmiast uleciały gdzieś daleko.

- Moja mała Georgie, musisz się wreszcie obudzić. Musisz być twarda - powiedział łagodnie.

- Tak się cieszę, że tu jesteś. Teraz czuję się bezpieczna. To był prawdziwy koszmar.

- Przede wszystkim trzeba poszukać ci jakiegoś nowego mieszkania.

- Znalazłam już jedno niedaleko szkoły. Ale musiałabym zapłacić czynsz za dwa miesiące z góry, a do tego jeszcze kaucję. Nie mam teraz tyle pieniędzy.

- Kochanie, ja się tym zajmę, niczym się nie martw. Musisz dać sobie wreszcie spokój z tą cholerną dumą. Przecież wiesz, że wszystko, co mam, należy do ciebie. Wystarczy, że poprosisz.

Roześmiałam się.

- Jasne, łatwo ci mówić, skoro sam nic nie masz.

- Widzę, że nie straciłaś poczucia humoru - powiedział z promiennym uśmiechem.

- Czy to siwy włos? - zapytałam, przeczesując dłonią jego czuprynę i przyglądając się uważnie jego włosom.

- Zgadza się, maleńka. Mam ich już całkiem sporo. No to co, decydujemy się na to nowe mieszkanie?

- Brzmi rozsądnie. Dzięki, Frankie. Oddam ci wszystko co do grosza.

- Tylko spróbuj, a połamię ci te twoje chude nogi. Jak radzi sobie z wszystkim Toni Lee?

- Teraz mieszka w Rochester, ale jest zadziwiająco dzielna. To dla niej nic nowego, Frankie. Nie miała do tej pory zbyt szczęśliwego dzieciństwa. Pewnego dnia jej to wynagrodzę.

- Życie czasem dziwnie się układa - powiedział. - Pozwoliłem ci odejść, żeby

oszczędzić ci tego wszystkiego, co koniec końców i tak cię spotkało. Powiniennem był się z tobą ożenić, maleńka. Wiele razy plułem sobie w brodę za to, że okazałem się takim głupcem. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Szukałem kobiety, która choć trochę by ciebie przypominała, ale nigdy na taką nie trafiłem. Żadna nie może się z tobą równać, Georgie. Zaslugujesz na znacznie więcej, niż do tej pory dostałaś od życia. Jesteś najlepsza, maleńka, nigdy o tym nie zapominaj.

- Dziękuję, że to mówisz, Frankie. Nie jestem pewna, czy w to wierzę, ale miło to usłyszeć.

- Nie jesteś pewna, czy w to wierzysz? Nie jesteś pewna? Dobry Boże, moja mała Georgie. Co ten facet z tobą zrobił przez te wszystkie lata? - powiedział smutno, głaszcząc mnie po głowie. - Sam nie wiem, którego z nich bardziej chciałbym sprzątnąć - powiedział do siebie.

Staliśmy tak jeszcze przez dłuższą chwilę, nie mówiąc już ani słowa.

Frankie nie odstępował mnie ani na krok. Chodził ze mną do banku, na castingi, a nawet na zakupy do sklepu spożywczego. Gdziekolwiek zaprowadziły mnie moje codzienne obowiązki, szedł za mną mój tymczasowy ochroniarz.

Podczas jego pobytu w L.A. ponownie zostaliśmy kochankami, ale nie dopuszczałam do siebie myśli o wspólnej przyszłości. Staralam się zerwać ze swoim dawnym życiem. Zbyt wiele upłynęło czasu; zbyt wiele straciłam ze swojej dawnej niewinności. Jednak nasza przyjaźń nigdy nie przestała być dla mnie źródłem otuchy.

Lubiłam towarzystwo Frankiego. Minał szmat czasu, odkąd ostatni raz pozwoliłam sobie na odrobinę szaleństwa. W ciągu ostatnich lat moje życie stało się tak cholernie poważne. Mieszkająca we mnie mała dziewczynka od dawna nie miała możliwości zabawy - i teraz w pełni korzystała z nadarzającej się okazji.

Nawet w chwilach, kiedy się zaśmiewaliśmy i robiliśmy różne wariackie rzeczy, Frankie nigdy nie zapominał, po co przyjechał do L.A. W czasie naszych wspólnych wyjść kilka razy zauważył śledzącego nas Steve'a; nie wspominał mi o tym jednak, bo nie chciał mnie niepokoić. Steve po cichu szykował się do ataku - ale Frankie był gotowy.

Wreszcie cisza została przerwana. Dryń, dryń, dryń, dryń - usłyszałam dobrze znany mi dźwięk.

- George, nie odkładaj słuchawki! Posłuchaj: wyjeżdżam stąd. Znikam z twojego życia na dobre. Przecież właśnie tego chciałaś, prawda?

- Po co do mnie dzwonicz, Steve? Czego ciągle nie rozumiesz?

- George, ja naprawdę zamierzam odejść. Mam już tego dość. Postawiłaś na swoim,

ale nie mam do ciebie pretensji. Zniszczyłem wiele twoich rzeczy i źle się z tym czuję. Wiem, że nie masz pieniędzy, żeby kupić nowe. Dlatego chcę zapłacić za wszystko, co zniszczyłem. Tylko wtedy będę mógł wyjechać i nie czuć się przy tym jak skończony dupek.

- W porządku, Steve. Przynies pieniądze. Zostawisz je pod moimi drzwiami i odejdziesz.

- O nie, drugi raz nie popełnię tego błędu. Spotkajmy się w banku. Pełno tam ludzi. Nie będę mógł zrobić ci tam krzywdy; zresztą wcale tego nie chcę. Jeśli mi nie wierzysz, zabierz ze sobą swojego przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

- Tego, który z tobą mieszka.

- Skąd wiesz, że ktokolwiek ze mną mieszka? - zapytałam, wyglądając przez okno.

Czułam na sobie jego wzrok, ukrywał się gdzieś w mroku i obserwował mnie nieustannie. Świadomość, że może bez mojej wiedzy śledzić każdy mój ruch, była dla niego źródłem jakiejś perwersyjnej przyjemności.

- Wiem o tobie wszystko, George, ale nie chcę tego dłużej ciągnąć. Znikam stąd raz na zawsze.

- Dobrze, Steve, spotkajmy się w banku jutro o trzynastej. Ale jeśli zamierzasz wywinąć jakiś numer, to już jesteś trupem.

Odłożyłam słuchawkę w tej samej chwili, w której Frankie odłożył słuchawkę drugiego telefonu.

- Georgie, czyś ty oszalała? Nie mogę dopaść go w banku, w samym środku dnia!

- Frankie, wcale nie oczekuję, że to zrobisz. Jeśli on naprawdę zamierza wyjechać i po tym spotkaniu da sobie spokój, to chętnie zakończę to właśnie tak.

Frankie i ja przyjechaliśmy do banku na godzinę przed umówionym spotkaniem. Steve już tam był. Najwyraźniej oboje darzyliśmy się jednakowym zaufaniem.

- Coś mi tu śmierdzi, maleńka. Mam złe przeczucia.

- Co złego mogłoby się wydarzyć w obecności tylu ludzi, Frankie? Ty będziesz obok mnie, a poza tym na wszelki wypadek wzięłam ze sobą broń. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Coś tu nie gra - powtórzył, lustrując wprawnym okiem wnętrze banku.

Steve podszedł do nas dziarskim krokiem; mimo blednących siniaków pokrywających jego twarz emanował pewnością siebie. Miał na sobie granatowy garnitur, podobny do tego, który jakiś czas temu mocno nasiąkł jego krwią. Z uśmiechem wyciągnął do Frankiego rękę i przedstawił się. Zachowywał się tak, jakby właśnie wydawał przyjęcie i witał nowo

przybyłych gości.

Frankie się wściekł. Kiedy się odezwał, nabrzmiałe żyły widoczne pod jego skórą zaczęły pulsować:

- Daj dziewczynie jej pieniądze, pojebie, a potem spierdalaj z tego stanu, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

W tamtej chwili zrozumiałam, dlaczego Frankie nigdy nie chciał mówić o sekretnej części swojego życia. W tym drugim życiu Frankie był zupełnie inną osobą - taką, której nie chciałam poznać bliżej. Steve też nie miał na to ochoty. Szybko się odwrócił i pomaszerował do siedzącego za kontuarem kasjera. Udaliśmy się do skarbcza. Frankie czekał w tym czasie na zewnątrz, wyszukując wzrokiem każdego, kto wydał mu się choć trochę podejrzany.

Pracownik banku przeniósł kasetkę ze skarbcza do pustego pokoju i zostawił mnie sam na sam ze Steve'em. Nagle przestałam czuć się bezpiecznie.

Steve z dumą otworzył kasetkę i zademonstrował pliki banknotów - były tam same studolarówki.

- Mam tutaj dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, George.

- Wspaniale, Steve. Odlicz trzy tysiące i będziemy kwita.

- To wszystko jest twoje. Pojedź ze mną do Europy. Będziemy tam szczęśliwi.

- Steve, daj mi te trzy tysiące, które jesteś mi winien, a potem dotrzymaj obietnicy i wyjedź - powiedziałam. Ogarnęło mnie nieprzyjemne przecucie, że to spotkanie źle się skończy.

- Wiem, że możemy być szczęśliwi - powiedział z desperacją w głosie. - Pozwól mi się tam zabrać i zostań ze mną przynajmniej do czasu, aż skończą się pieniądze. Potem, jeśli nie będziesz szczęśliwa, wrócisz tutaj. W ten sposób dasz mi szansę, żebym mógł cię przekonać.

- Steve, spójrz na mnie. Posłuchaj, co ci powiem! Jeśli będziesz dalej trzymać się tych swoich pieprzonych fantazji, to nie dożyjesz do kolejnych urodzin. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie masz do czynienia z amatorami. Nigdy więcej do mnie nie dzwoń i nie próbuj się ze mną spotykać, po prostu wsiądź do samolotu i wynoś się stąd do diabła. Jeśli nie... Po prostu posłuchaj mojej rady i zrób to, Steve.

- Czy mogłabyś przynajmniej...

Zostawiłam go tam i wyszłam z banku. Nie byłam ani trochę bogatsza niż w chwili, w której do niego wchodziłam. Nie byłam też bezpieczniejsza.

- Dostałaś pieniądze? - spytał Frankie w drodze do samochodu.

- Nie.

- Nie?! Co się stało?

- Próbował mnie przekupić; obiecał mi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli wyjadę z nim do Europy.

- I odmówiłaś?

- Oczywiście, że odmówiłam! Odbiło ci? - Zirytowała mnie sama myśl, że mógł mówić poważnie.

- Hej, dwieście pięćdziesiąt kawałków to kupa szmalu.

- Znajac Steve'a, to albo skłamał co do ilości tej gotówki, albo były to fałszywki. On nigdzie się nie wybiera, Frankie. Powinam była się tego domyślić.

- Ten pojeb najwyraźniej chce umrzeć. Możemy mu w tym pomóc - stwierdził obojętnym tonem Frankie.

- Wpadnijmy po drodze do tego nowego mieszkania. Sprawdzę, czy mogłabym się wprowadzić trochę wcześniej, niż to było umówione. Może trochę forsy przekona właściciela do pośpiechu.

Czułam się tak, jakbym została uwięziona w jakimś niekończącym się sennym koszmarze. Byłam wyczerpana ciągłymi przeprowadzkami, uciezkami i życiem w ukryciu. Frankie wynajął firmę zajmującą się przeprowadzkami i jeszcze przed końcem tygodnia przeniosłam się do nowego mieszkania. Budynek, do którego się wprowadziłam, dzieliło zaledwie kilka kroków od tego, w którym mieszkałam do tej pory; Frankie kazał jednak kierowcy ciężarówki kluczyć po ulicach przez trzy godziny - dopóki nie upewnił się, że nikt nas nie śledzi. Sowiec wynagrodził kierowcy stracony czas i paliwo.

- Zdaje się, że muszę udzielić ci kilku lekcji na temat życia w ukryciu - wysapał Frankie, który pomagał wnosić na drugie piętro ciężką ceramiczną donicę. - Posiadanie tyłu rupieci bywa kłopotliwe, kiedy trzeba szybko się przeprowadzić.

- Wiem, Frankie. Ale lubię czuć, że mam prawdziwy dom. To daje mi poczucie oparcia. Potrzebuję tego.

Frankie uniósł brwi, po czym z protekcyjnym uśmiechem wspiął się po schodach.

Ponieważ Steve nie wiedział, gdzie obecnie mieszkam, poczułam się bezpieczniej i odważyłam się wychodzić z domu bez ochroniarza. Któregoś dnia wybrałam się do banku po kilka osobistych dokumentów, które przechowywałam w skrytce depozytowej. Kiedy wychodziłam z sali depozytowej, przy drzwiach natknęłam się na dwóch mężczyzn w garniturach. Przeczucie podpowiadało mi, że nie są pracownikami banku.

- FBI, panno Durante - oznajmili, pokazując służbowe legitymacje. - Chcielibyśmy

zadać pani kilka pytań. Zechce pani pójść z nami?

Co będzie, jeśli mnie przeszukają i znajdą w mojej torebce naładowaną trzydziestkę ósemkę?

No dobra, White, tylko bez paniki. Pozbądź się broni.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym im odmówić.

- Tak, jasne... ale czy mogę skorzystać najpierw z toalety?

- Oczywiście, proszę tędy - zgodził się wyższy z agentów, po czym odwrócił się i poszedł przodem.

W drodze do toalety towarzyszyły nam podejrzliwe spojrzenia urzędników bankowych. Proszę, niech toaleta będzie pusta. Była. Zakopałam rewolwer na samym dnie kosza na śmieci, wzięłam kilka głębokich oddechów i wyszłam z łazienki.

- Jestem gotowa.

Eskortowana z obu stron przez agentów dotarłam do czekającego na zewnątrz samochodu.

- O co właściwie chodzi? - spytałam.

Samochód ruszył, a ja poczułam, że powoli odzyskuję spokój.

- Sądzę, że dobrze pani to wie, panno Durante. Mam się do pani zwracać „panno Durante” czy może raczej „pani Lamendola”? - Agent przyglądał się uważnie mojej reakcji na to pytanie.

- Ani tak, ani tak - odparłam z kamienną twarzą. - Możesz mówić mi Georgia. Dokąd jedziemy?

- Do hotelu Bonaventure w śródmieściu. To bezpieczne miejsce. Nikt cię tam z nami nie zobaczy. Twoje bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze, Georgia. Jesteśmy po twojej stronie.

Kiedy winda wiozła nas na jedenaste piętro, przestępowałam nerwowo z nogi na nogę, wpatrując się w ściany kabiny. W apartamencie czekało dwóch kolejnych agentów. Na nasz widok wstali, przedstawili mi się i zaproponowali filiżankę kawy. Bardziej przydałby mi się mocny drink.

Wszyscy obecni usiedli, z wyjątkiem gościa o imieniu Nelson. Z rękami w kieszeniach podszedł wolnym krokiem do okna, a następnie odwrócił się w moją stronę.

- Jesteśmy gotowi zagwarantować ci ochronę, Georgia - oświadczył. - Możemy dać ci nową tożsamość i zorganizować przeprowadzkę do Europy, jeśli tego sobie życzysz. Możemy ci nawet zapewnić dość pieniędzy, żebyś zaczęła nowe życie. Będiesz całkowicie bezpieczna. Ale najpierw potrzebujemy odpowiedzi. I wiemy, że możesz nam ich udzielić.

Był chłodny i beznamiętny; okazanie odrobiny ludzkich emocji sprawiłoby, że wydawałby się nieco bardziej przekonujący.

- Kurczę, naprawdę potrzebuję forsy i z przyjemnością zamieszkałabym w Europie. Ale obawiam się, że nie wiem nic o rzeczach, o które zamierzacie mnie pytać. Mogę zapalić?

Nelson podniósł dłoń na znak, że nie ma nic przeciwko.

- Co wiesz na temat zamachu na Bompensiero?

- Nic - odparłam, wypuszczając z ust kłęb dymu.

- A na temat Joego Bello?

- Zupełnie nic.

- Daj spokój, Georgia - zachnął się podniesionym głosem Nelson. - Twierdzisz, że nie znasz Joego Bello?

- Hm... Znam go, ale nic o nim nie wiem.

Nelson utkwiał we mnie swoje stalowe spojrzenie.

- Masz wybiórczą pamięć. Zawsze wyrażasz się w tak pokrętny sposób?

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam obojętnie przez okno.

- 22 lutego 1976 roku byłaś w domu Bello na przyjęciu, na które wybrałaś się w towarzystwie swojego męża, mam rację?

- Skoro twierdzisz, że tam byłam, to widocznie tak było. - Uśmiechnęłam się kwaśno.

Agent o ostrych rysach twarzy i gładko przylizanych brązowych włosach (od razu rozpoznałam, że to tupecik) siedział w milczeniu, studiując moją mowę ciała. Facet działał mi na nerwy.

- Na tym przyjęciu bawiło się wielu znanych członków mafii. Słyszałaś może jakieś rozmowy, które mogłyby nas zainteresować? - kontynuował Nelson

- Nie.

- Dlaczego pojawił się tam Salvatore Reale?

Serce zabiło mi mocniej.

- Nie znam nikogo takiego.

W odpowiedzi rzucili na stół zdjęcie, przedstawiające mnie i Sala w nowojorskiej restauracji Separate Table. Zerknęłam na nie pobieżnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Chcesz może powiedzieć, że ich również nie znasz? - zapytał Nelson, wykładając na stół kolejne zdjęcia.

Był na nich Paul Castalano, głowa rodziny Gambino; Tony Lee, pełniący w rodzinie Gambino funkcję kapitana; wreszcie Sammy G oraz Joe Colombo, uwiecznieni podczas kolacji zorganizowanej przez ruch na rzecz praw obywatelskich Amerykanów włoskiego

pochodzenia.

- Mili goście, z którymi się przyjaźnisz - dodał jadawicie -Nelson.

Ci ludzie mieli bogatszą fotokronikę mojego życia niż ja sama.

- To tylko znajomi z dawnych czasów...

Nelson pochylił się, opierając dłonie na stoliku do kawy. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Bądź z nami szczerą, Georgia. Możemy ci pomóc.

Odwzajemniłam jego spojrzenie i spokojnym głosem powiedziałam:

- O niczym nie wiem.

Po kilku godzinach bezowocnych starań agenci wyraźnie zaczęli tracić do mnie cierpliwość. Nelson krążył nerwowo po pokoju, rozdrażniony uporem, z jakim odmawiałam bardziej szczegółowych odpowiedzi. Być może sądził, że ma do czynienia z przypadkiem ofiary przywiązanej do swego prześladowcy. Może zresztą tak właśnie było. Byłam nieugięta w swoim uporze, chociaż pójście na pewien kompromis mogło leżeć w moim własnym interesie.

Nelson stanął tuż przede mną: władcza postać w szarym garniturze, bordowym krawacie i prążkowanej koszuli.

- Mam już dość tej zabawy, Georgia! - oznajmił. - Powiedzieliśmy, że możemy zapewnić ci ochronę, ale jeśli nie będziesz z nami współpracować, będziemy zmuszeni ujawnić twoje nazwisko drugiej stronie.

- Nie możemy brać odpowiedzialności za to, co mogłoby ci się wtedy przydarzyć - dodał dziwnie monotonnym głosem jego wysoki kumpel.

- Przepraszam, chyba się pogubiłam - powiedziałam sarkastycznym tonem. - Kto tu właściwie jest czarnym charakterem?

Nie doczekałam się odpowiedzi. Zamiast mi jej udzielić, wyciągnęli kolejne zdjęcie. Tym razem była to fotografia Ala.

- Znasz tego gościa?

Zawahałam się, ale na tyle krótko, że tego nie zauważyli. Pod maską obojętności drżałam z niepokoju.

- Nie - zaprzeczyłam.

- Hmm. To niezbyt sympatyczny facet. Właściwie to ktoś, kogo spokojnie mogłabyś nazwać „czarnym charakterem”. Ale myślę, że ty już dobrze o tym wiesz, prawda? - Zrobił krótką pauzę. - Jak ci się wydaje, co by zrobił ten facet, gdyby się dowiedział, że z nami rozmawiałś?

Zapaliłam kolejnego papierosa i spojrzałam na zegarek.

- Czy mogłabym skorzystać z toalety?

- Śmiało. - Nelson gestem ręki wskazał mi drzwi łazienki. - Nigdzie nam się nie śpieszy.

Kiedy tylko zamknęłam za sobą drzwi, zaczęłam desperacko szukać w torebce valium.

Jasna cholera. Al i Joe zabiją mnie, jeśli ściągnę im na głowy tych gości.

Wreszcie znalazłam valium i popiłam tabletkę wodą; następnie odczekałam kilka chwil, dopóki nie opanowałam nerwów. Poprawiłam makijaż w nadziei, że pomoże mi to zmiękczyć serca agentów.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedziałam, kiedy wróciłam do pokoju. - Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie. Ja nic nie wiem. Naprawdę nic.

- Steve twierdzi co innego - odparł Nelson.

- Twierdzi, że wiesz całkiem sporo - dodał jego kolega w tandetnej peruce.

A więc to wszystko sprawka Steve'a. Ranny pies robi się niebezpieczny. Popelniłaś duży błąd, White. Nie trzeba było zostawiać go przy życiu.

- Rozumiemy twoje obawy, Georgia, ale tak jak mówiliśmy: jesteśmy gotowi przerzucić ciebie i Steve'a do...

- Co takiego?

- Steve opowiedział nam o pobiciu i o tym, że grożono wam śmiercią. Jeśli wasza dwójka chce żyć w spokoju, musisz być z nami szczerą.

Wybuchnęłam takim śmiechem, że ledwo byłam w stanie mówić.

- Nie wierzę! Musicie mieć iloraz inteligencji o trzy punkty niższy od przeciętnej rośliny! Niech no się upewnię, czy dobrze was zrozumiałam: sądzicie, że jestem zakochana w Stevie i że to Joe rzuca kłody pod nogi naszej miłości?

- No... tak. Nie tak to wygląda? - spytał Nelson.

- Boże, koleś jest niezły. Jest naprawdę dobry. Musi być, bo jeśli nie, toby oznaczało, że ktoś się nieźle wygłupił, zatrudniając was w tej waszej agencji - stwierdziłam z satysfakcją, obserwując ich zakłopotane miny.

Nie odzywali się ani słowem. Po prostu siedzieli i spoglądali jeden na drugiego w milczeniu.

- Ten Steve to kompletny świrus! Wolałabym mieć do czynienia z mafią niż z nim. Jeśli mi nie wierzycie, zadzwońcie na policję w Beverly Hills. Składałam już na niego niejedną skargę. Facet ma obsesję na moim punkcie! Nie wierzę, że daliście sobie wcisnąć taki kit. A teraz, skoro tak bardzo troszczycie się o moje życie, pomóżcie mi pozbyć się z niego Steve'a. Tak zwana policja nie jest w stanie nic na to poradzić. Jak wam się wydaje:

dlaczego musiałam zrobić to, co zrobiłam? Bo nie było nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić.

Twarz Nelsona przypominała wielki znak zapytania. Twarze pozostałych agentów były czerwone i skwaszone. Wszyscy wpatrywali się we mnie, oniemiała z wrażenia. W ciągu kilku ostatnich chwil usłyszeli ode mnie więcej niż przez wszystkie poprzednie godziny. W końcu mi uwierzyli. Nie było jednak wątpliwości, że zdążyli otworzyć drzwi, które teraz nie tak łatwo było im zamknąć. FBI dało się wykorzystać Steve'owi. Jego strategia była naprawdę błyskotliwa.

Tak się złożyło, że Joe był głównym podejrzanym w sprawie, nad którą agenci federalni pracowali od ponad roku. Steve napatoczył się w idealnym dla nich momencie. Pozytywni bohaterowie doczekali się wreszcie wielkiego przełomu. Ale Steve nie miał tak naprawdę pojęcia, w co się pakuje. Jeśli chodziło o Alę, to miał szczęście, że agentom zależało na rybie grubszej od niego.

Nelson przesunął okulary na czoło, odchylił się do tyłu na krześle i okrężnymi ruchami pocierał oczy.

- Wygląda na to, że spędziliśmy tu dużo czasu i nic nie osiągnęliśmy - stwierdził, umieszczając okulary z powrotem na nosie.

Moje przesłuchanie wkrótce dobiegło końca i agenci odwieźli mnie do banku. Kiedy wysiadałam z samochodu, Nelson udzielił mi na odchodne dobrej rady:

- Będzie lepiej, jeśli nie poinformujesz Joego o naszym małym spotkaniu. Dla swojego własnego bezpieczeństwa.

- Nie zamierzam go informować - odparłam. Wątpiłam jednak w szczerą intencję Nelsona.

- W porządku. Uważaj na siebie.

Wsiadłam do swojego samochodu i obserwowałam, jak na Wilshire Boulevard wóz federalnych skręca w prawo. Ja pojechałam w lewo. Przez mniej więcej pół godziny krążyłam po bocznych uliczkach, dopóki nie nabrałam pewności, że nie jestem śledzona. Pamiętałam, czego nauczył mnie kiedyś Salvatore Reale: skrócić cztery razy w prawo, żeby mieć pewność, że nie ciągniesz za sobą ogona. Postąpiłam zgodnie z jego radą, po czym zatrzymałam się koło budki telefonicznej i zadzwoniłam do Joego.

- Halo? - usłyszałam jego niewyraźny głos.

Niewiele brakowało, bym odwiesiła słuchawkę, ale ostatecznie odważyłam się odezwać.

- Joe, to ci się nie spodoba - uprzedziłam, po czym zaczęłam mu o wszystkim

opowiadać.

- Georgia! Do kurwy nędzy, czy ty ciągle niczego się nie nauczyłaś? Nie gadaj o takich sprawach przez cholerny telefon! Starczyło ci przynajmniej rozsądku, żeby sprawdzić, czy nikt cię nie śledzi?

- Tak.

- No to pakuj tyłek do wozu i jedź prosto do San Diego. Nie zatrzymuj się w domu.

- Nie mogę. Ja...

- W tej chwili! - wrzasnął i rozłączył się.

Zadzwoiłam do Frankiego i powiedziałam mu, co się stało.

- Musisz pojechać do San Diego, mała. Musisz wyjaśnić Joemu, co się tutaj dzieje.

Frankie nienawidził Joego, ale w sytuacji takiej jak ta czuł z nim więź. Górę wzięło przywiązanie do kodeksu, którego przestrzegali wszyscy Włosi żyjący na bakier z prawem.

- Jeśli FBI cię śledziło - tłumaczył - to prawdopodobnie zdążyli namierzyć także mnie. Naszym przyjaciółom ze Wschodniego Wybrzeża może przez to zrobić się gorąco i nie będą z tego powodu zadowoleni. Muszę wrócić do Nowego Jorku i załagodzić sytuację, zanim komuś puszcza nerwy. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nasiadówkę? Ale...

- Nie dostałem pozwolenia, Georgie. Nie mogę wyjaśnić ci tego przez telefon. Możliwe, że ty również będziesz musiała przylecieć na kilka dni do Nowego Jorku. Jeśli do tego dojdzie, przyślę ci bilet.

- Boję się jechać do San Diego, Frankie.

- Ale musisz to zrobić, maleńka. Nie możesz trzymać go w nieświadomości.

- Wiem o tym.

- Kiedy wrócisz z San Diego, mnie już tu nie będzie. Masz jakieś miejsce, w którym możesz się zatrzymać?

- Nie - odparłam. Ogarnął mnie lęk. Czułam się taka samotna.

- Zostawię ci trochę pieniędzy. Wynajmij pokój w hotelu, dopóki nie wykombinuję, co robić dalej.

- Będę za tobą tęsknić, Frankie.

- Wiem, maleńka, ja za tobą też. Nie podoba mi się, że muszę cię tak zostawiać, ale nie mam wyboru.

- Rozumiem. Do zobaczenia, Frankie.

- Georgie? Kocham cię, mała.

- Ja też cię kocham, Frankie - wydusiłam przez zaciśnięte gardło, ale on już mnie nie

usłyszał. Połączenie zostało przerwane.

- To wszystko moja wina - powiedziałam na głos, po raz kolejny zerkając w lusterko wsteczne.

Gdybym nie poprosiła Joego o pomoc, nie miałby dzisiaj tych kłopotów. Pewnie zdążył już wpaść w szal. Boże, on mnie zabije.

Upewniłam się, że nikt mnie nie śledzi. Na wszelki wypadek skręciłam kilka razy i dopiero wtedy pojechałam z powrotem do banku odzyskać rewolwer. Na szczęście nadal był tam, gdzie go zostawiłam.

Przez całą drogę do San Diego zżerały mnie nerwy.

Idąc ścieżką prowadzącą do pięknego wielorodzinnego domu położonego nad krawędzią klifu, przystanęłam na moment. Rzeński zapach morza i dobiegający z dołu odgłos fal uderzających o skały sprawiły, że nagle poczułam się oderwana od rzeczywistości. To wszystko musiało być złym snem. Czy moje życie kiedykolwiek będzie tak prawdziwe jak te zapachy i dźwięki, które docierały do moich zmysłów? Ogarnął mnie spokój. Ale stanąwszy przed drzwiami, wiedziałam, że gdy tylko się otworzą, spokój prysnie.

Drżącą ręką nacisnęłam dzwonek. Przygotowałam się na spodziewany cios w głowę. Joe otworzył mi i cofnął się o krok, wpuszczając mnie do środka.

- Przepraszam, Joe. To wszystko moja wina. Nie miałam pojęcia...

- Myślisz, że ktoś za tobą jechał? - zapytał, nie zwracając uwagi na moje gorączkowe próby wytłumaczenia się.

- Nie, nie wydaje mi się - odparłam. Drżałam jak z zimna.

Ku mojemu zdumieniu, Joe wydawał się opanowany. Bez słowa nalał nam obojgu po drinku. Zaskoczona jego spokojną reakcją, starałam się odprężyć. Joe podał mi szklanę, po czym otoczył mnie ramionami i mocno przytulił.

- No dobrze, teraz usiądź i opowiedz mi wszystko od początku.

Kiedy skończyłam, Joe przełknął ślinę i przeczesał dłonią włosy.

- W porządku. Więc zrobimy tak...

Rozmawialiśmy do czwartej nad ranem. Wreszcie oboje czuliśmy się już znużeni. Tak jak się spodziewałam, Joe znowu próbował mnie przekonywać, jak bardzo mnie kocha. Ja także nadal coś do niego czułam, ale usiłowałam zdusić w sobie te uczucia; patrząc na niego, starałam się widzieć wyłącznie twarz damskiego boksera, dręczyciela i tyrana.

- Chodźmy do łóżka - zaproponował, jakby było to coś zupełnie naturalnego.

- Joe, nie sądzę...

- Chcę cię tylko przytulić, kochanie. Nie będziemy robić nic więcej, w porządku?

Poza tym, nie możesz wyjechać, zanim nie porozmawiasz z Alem. Trzeba go będzie przekonać, że potrafisz trzymać buzię na kłódkę.

- Federalni nie wyglądali na zainteresowanych Alem ani sprawą tego pobicia.

- Tak, wiem. On jest tylko pionkiem w porównaniu z tymi, do których chcą się dostać. Ale i tak skorzystają z okazji i spróbują go przycisnąć - powiedział Joe, kiedy szliśmy korytarzem do sypialni.

- Masz jakiś T-shirt? - zapytałam.

- Nie będzie ci potrzebny.

- Joe.

- Nie martw się.

Usiadłam na brzegu łóżka, odwrócona do Joego plecami. Kiedy rozpinalam bluzkę, czułam na ciele jego rozpalone spojrzenie. Szybko się rozebrałam, nie zdejmując jednak majtek ani stanika, po czym wślizgnęłam się pod kołdrę.

- Przyjemnie widzieć, jak znowu tutaj leżysz - powiedział.

Stał u stóp łóżka i również zaczął się rozbierać. Jego pożądanie rosło z każdą kolejną zdejmowaną sztuką odzieży. Zawstydzona zamknęłam oczy.

Kiedy Joe położył się przy mnie, obróciłam się na bok, plecami do niego. Świeży, czysty zapach jego ciała łączył się z dyskretną wonią wody kolońskiej.

- Moja słodka, tak dobrze poczuć cię znowu obok. Tak bardzo za tobą tęskniłem. - Poczułam na sobie twarde nacisk jego podnieconego ciała.

Zesztywniałam.

- Joe, obiecałeś.

- Wiem, wiem. Kocham cię, Georgia.

Nie odezwałam się.

- Dobranoc, moja maleńka - wyszeptał czule.

- Dobranoc, Joe.

Kiedy otworzyłam oczy, światło słoneczne wlewało się do sypialni przez duże panoramiczne okno. To mieszkanie w niczym nie przypominało ponurego lochu nad klubem, w którym mieszkaliśmy w Rochester. W ciszy poranka rozbrzmiewał melodyjny śpiew ptaków. Poczułam ogromny spokój, tak jakby moje normalne życie uległo zawieszeniu.

Joe beztrąsko wkroczył do pokoju z tacą, na której były kawa i tosty.

To coś nowego.

Siedzieliśmy na łóżku po turecku i popijaliśmy kawę, a Joe omawiał ze mną mój plan działania na rozpoczynający się dzień.

- Dokończmy kawę na patio - zaproponował wreszcie.

Wstałam i wskoczyłam pod prysznic. Strumień gorącej wody przyjemnie chłostał moje ciało, uwalniając je od napięć nagromadzonych poprzedniego dnia. Otuliłam się szlafrokiem, który nadal wisiał w szafie, czekając na mój powrót, po czym wyszłam na patio.

Joe wpatrywał się w morze; w długich, smukłych palcach trzymał kubek z kawą. Wzięłam głęboki oddech, chłonąc atmosferę poranka. Wszystko było takie spokojne. Nagle jednak zobaczyłam samotną siedzącą na klifie kobietę, której cichy płacz zagłuszany był przez wiatr... i wróciły do mnie wspomnienia.

Spędziłam na tym klifie tyle dni, obserwując falujące odwiecznym rytmem wody oceanu. Tamto miejsce było moim schronieniem w czasie wszystkich bolesnych chwil.

Joe dopił kawę i odstawił kubek. Popatrzył na mnie zza lekko przydymionych szkielec przeciwsłonecznych okularów.

- Kocham się Georgia. - Jego oczy zaszklily się. - Jestem takim głupcem. Ty już podjęłaś decyzję, prawda?

Nie odpowiedziałam. Kochałam takiego Joego, jaki stał teraz przede mną; zaszłam już jednak zbyt daleko, by zawracać z obranej drogi.

Pojechałam do domu Ala i zapukałam do drzwi. Wyglądało na to, że mój widok go zaskoczył. Było to całkiem zrozumiałe, zważywszy, że nikt nie uprzedził go o tym, co miał za chwilę usłyszeć. Nie okazał zdenerwowania. Wypranym z emocji głosem stwierdził tylko:

- Powinienem był zabić tego pojeba.

Wzruszyłam ramionami.

Al miarowym krokiem przemierzał pokój, kiedy uzgadnialiśmy, co powinniśmy robić na wypadek różnych scenariuszy wydarzeń. W końcu Al zaakceptował nasze ustalenia i opuściłam jego dom. Uff, wreszcie miałam to za sobą.

Wjechałam na autostradę i skierowałam się na północ, ku Solana Beach. Kiedy zbliżałam się do zjazdu z autostrady, we wstecznym lusterku zauważyłam migające czerwone światła.

- Cholera.

Kolejny mandat - tylko tego mi brakowało.

Z nieoznakowanego samochodu wyszło dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Przyłożyłam dłoń do ust i zaprezentowałam im uśmiech skruszonej uczennicy. Moje starania były jednak daremne.

- Dokąd się pani tak śpieszy? - zapytał surowo jeden z mężczyzn.

- Do domu.

- A gdzie jest ten dom?

- W Los Angeles.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę.

Wręczyłam mu dokumenty. Poszedł z nimi do swojego samochodu, zostawiając mnie ze swoim towarzyszem.

- Koło La Jolla jechała pani 164 kilometry na godzinę. Dopiero tutaj udało nam się panią dogonić.

Nie skomentowałam tego, bo co mogłam powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

- Więc mieszka pani w L.A., tak?

- Zgadza się.

- Co robi pani w San Diego?

- Miałam wizytę u tutejszego lekarza.

- I przyjechała pani w tym celu aż z L.A.?

- Cóż, kiedyś tu mieszkałam. A w Los Angeles nie znalazłam jeszcze odpowiedniego lekarza.

Potrafisz szybko myśleć, White.

Mój rozmówca przyglądał mi się z uprzejmym zdziwieniem.

- Hmm. Aż z L.A.

Drugi mężczyzna wrócił i oddał mi dokumenty; jego oczy przez cały czas rozglądały się czujnie.

- Życzymy miłego dnia. I proszę nie przesadzać z prędkością, jeśli pani życie miłe.

Odwrócili się i odeszli w kierunku swojego samochodu. Coś mi tu nie pasowało. Dlaczego nie wlepili mi mandatu? Przyłapali mnie na gorącym uczynku - nie było co do tego wątpliwości. Nawet nie próbowałam się z tego wyłgać. Byłam zupełnie zbita z tropu. Potrafiłabym zrozumieć ich wyrozumiałość, gdybym jechała nieco ponad setką, ale tu chodziło o sto sześćdziesiąt na godzinę.

Ach... To nie byli żadni policjanci. Nie skręcaj do Solana -Beach; po prostu jedź dalej przed siebie.

Jechali za mną jeszcze przez kilka kilometrów, po czym zjechali z autostrady. Kiedy upewniłam się, że zniknęli na dobre, wcisnęłam gaz do dechy i pograżyłam się w rozmyślaniach; podróż do Los Angeles zajęła mi dwie godziny.

Pod dom dotarłam o trzeciej po południu; zanim weszłam do środka, rozejrzałam się uważnie, czy w pobliżu nie ma śladu Steve'a. Migająca lampka sygnalizowała nowe wiadomości na automatycznej sekretarce. Przewinęłam taśmę i otworzyłam lodówkę.

Z mojego gardła wydobył się przeraźliwy krzyk. Obok bochenka chleba leżał martwy szczur.

- STEVE!

Na taśmie automatycznej sekretarki nagrały się głównie dźwięki odkładanej słuchawki; w końcu jednak rozległ się także męski głos: „Cześć, Georgia. Mówi Nelson, twój kumpel z FBI. To, co zrobiłaś, nie było zbyt mądre. Myślałem, że możemy ci zaufać. Może miałaś co do nas rację. Może nasz iloraz inteligencji faktycznie jest o trzy punkty niższy niż u roślin. Tak czy owak, wciąż mamy na ciebie oko. Byłaby wielka szkoda, gdyby coś ci się przytrafiło. Uważaj na siebie. Odezwiemy się...”.

Przez kolejne trzy tygodnie agenci śledzili każdy mój krok. Nie starali się nawet robić tego dyskretnie. A jeśli się starali, to kiepsko im to wychodziło. Byłam pewna, że mój telefon jest na podsłuchu. W głębi duszy czułam się dzięki temu bezpieczna - miałam świadomość, że gdzieś tam wciąż ukrywa się Steve i tylko czeka na okazję, żeby mnie sprzątnąć; wiedziałam też, że dopóki obserwuje mnie FBI, Joe nie odważy się użyć wobec mnie przemocy. Niemniej ta ciągła inwigilacja działała mi na nerwy i sprawiała, że nieustannie musiałam pamiętać, żeby nie zrobić czegoś niezgodnego z prawem. Wpadłam w taką paranoję, że bałam się złamać nawet drobne przepisy drogowe. Miałam już wcześniej do czynienia z nieuczciwymi gliniarzami i wiedziałam, że sprawiedliwość to dla nich kwestia własnego widzimisię. Gdyby zechcieli mnie dopaść, nie zawahaliby się sfałszować dowodów.

Ludzie z FBI mieli pewność, że na temat Steve'a powiedziałam im prawdę. Wiedzieli, że muszą działać szybko. W przeciwnym razie czas i pieniądze, jakie zainwestowali w tę sprawę, mogły pójść na marne. Podjęli ryzyko, odkrywając przede mną karty i ujawniając, że polują na Joego i jego przyjaciół. Ich plan nie wypalił i teraz nie mieli innego wyjścia, jak tylko w pośpiechu kompletować resztę fragmentów układanki. Jednak na początek postanowili dostać w swoje ręce osobę, której nazwisko nie kończyło się na samogłoskę.

Zadzwonił telefon.

- Cześć, Georgia. Z tej strony Nelson. Sądzymy, że możemy ci pomóc pozbyć się twojego małego problemu ze Steve'em. Pogadajmy.

Rozpoczęły się potajemne spotkania. Otrzymałam pseudonim „Czarna Wdowa”. Spotykaliśmy się w hotelu Sunset Plaza; nie był tak szycowny jak Bonaventure. Domyśliłam się, że w agencji było krucho z forszą. Ciekawe dlaczego.

- Panowie, zanim przejdziemy do rzeczy, chcę postawić sprawę jasno - oświadczyłam. - Jestem tu po to, żeby pomóc wam dorwać Steve'a. Nie pytajcie mnie o Joego, bo się pożegnamy.

Agenci wymienili spojrzenia i wszyscy skinęli głowami. Zdawałam sobie sprawę, że

są przebiegli i mają swoje ukryte zamiary, ale mimo to zdecydowałam się wejść do gry. Nie miałam wyboru. Jak powiedział Al: albo ty go załatwisz, albo któregoś dnia on załatwi ciebie. Instynkt podpowiadał, żeby im nie ufać, ale na razie byli mi potrzebni.

Zaczęły się psychologiczne gierki. Kto komu próbował zamącić w głowie? Moim zadaniem było namieszanie w głowie Steve'owi, co prawdopodobnie nie było najrozsądniejszą rzeczą w wypadku osoby do tego stopnia szalonej. Czy federalni próbowali zrobić to samo ze mną? Wzajemne zaufanie było ostatnią rzeczą, jaka łączyła uczestników tego spisku; spisku, którego celem był... no właśnie kto?

- Wiesz, gdzie on mieszka? - zapytał jeden z agentów.

- Nie, ale dzwoni do mnie przynajmniej dwadzieścia razy dziennie. Założyliście mi podsłuch, a nie możecie go namierzyć?

Nie doczekałam się odpowiedzi.

- Kiedy znowu zadzwoni, powiedz, że chcesz się z nim spotkać. Dopilnuj, żeby to było jakieś publiczne miejsce. Nie chciałybyś znaleźć się z nim sam na sam - ostrzegł Nelson.

- Wiem o tym lepiej od was - zauważyłam.

- Sugerowalibyśmy ci lokal Nate and Al's na Beverly Drive. Ale może się zdarzyć, że on nie da ci wyboru; wtedy musisz ruszyć głową. Powiedz, że się boisz. Niech myśli, że daliśmy drugiej stronie cynk o tym, że z nami współpracujesz.

- A skąd mogę wiedzieć, że faktycznie tego nie zrobiliście? O ile pamiętam, to właśnie tym mi groziliście, jeśli nie zgodzę się wam pomóc.

- Będziesz musiała nam zaufać, Georgia. Nie masz innego wyjścia. Wszystko, co nam powiedziałaś o tym fanatyku, okazało się prawdą. Jest groźny dla społeczeństwa, ale bezpośrednio niebezpieczeństwo grozi przede wszystkim tobie. To fakt, że my mamy swoje własne powody, żeby go dorwać. Rozwalił nam dochodzenie; kosztowało nas to kilkaset tysięcy dolarów. Na dodatek przez niego wyjdziemy w trakcie procesu na głupków. Ale najważniejsze jest dla nas twoje bezpieczeństwo.

- Moje bezpieczeństwo, Nelson? To ono jest dla was najważniejsze? Kiedy nie chciałam odpowiadać na wasze pytania, byliście gotowi rzucić mnie wilkom na pożarcie. A teraz chcecie ratować mi życie. Dlaczego jakoś trudno mi w to uwierzyć?

- Posłuchaj, wyświadczamy sobie wzajemnie przysługę. Nie masz wyboru; no chyba że chcesz zadzwonić do Ala, a potem spędzić resztę życia za kratkami. O ile oczywiście pożyjesz wystarczająco długo, żeby gdziekolwiek zadzwonić.

Miał rację, rzeczywiście nie miałam wyboru. Gdybym nie zdecydowała się z nimi współpracować, zginęłabym z ręki Steve'a Zametta. W tej chwili federalni byli moim jedynym

ratunkiem. Dopóki ceną za ich pomoc nie była współpraca w innych sprawach, nie miałam nic do stracenia.

- No dobrze, to jaki jest plan? - zapytałam. Mój los był teraz w ich rękach.

- Przekonaj go, że wyznaczono cenę za głowy was obojga. Niech myśli, że tkwicie w tym razem.

- Lepiej, żeby to wypaliło, Nelson. Dużo ryzykuję, zbliżając się do tego maniaka.

- Wiemy o tym, Georgia. I nie zawiedziemy cię. Ani przez moment nie spuścimy cię z oczu. Po prostu umów się z nim w miejscu, w którym będą wokół was ludzie, w ten sposób nic ci nie będzie groziło. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby cię ochronić. Masz już broń, więc zawsze noś ją przy sobie.

- Skąd wiesz, że mam broń?

- Bo moje IQ jest niższe od IQ rośliny tylko o dwa, a nie o trzy punkty. Wiesz, jak się nią posługiwać? - upewnił się Nelson.

- Tak. Wyciągasz, celujesz i pociągasz za spust.

- Nie myśl sobie, że dajemy ci licencję na zabijanie. Tę przyjemność rezerwujemy dla siebie - powiedział półżartem. - Ale gdyby twoje życie było w niebezpieczeństwie, będziesz mogła się bronić.

Z każdą chwilą coraz bardziej się denerwowałam.

- Sądysz, że może do tego dojść? - spytałam.

- Będziemy tam z tobą, Georgia. Twoja broń to tylko dodatkowe zabezpieczenie.

- Mam nadzieję, że wasza obecność nie będzie dla Steve'a tak oczywista jak dla mnie.

- Wydaje mi się, że masz w tych sprawach nieco większe doświadczenie od pana Zametta.

- Nie, to z was są tacy geniusze.

- Uważaj, Georgia - powiedział Nelson. - Takie stwierdzenie stawia nas znacznie powyżej poziomu roślin.

- W takim razie odwołuję to - zażartowałam.

- Za późno, mamy to już nagrane. Ale coś ci powiem - oznajmił Nelson, po czym zrobił krótką pauzę. Stał z rękami w kieszeniach i popatrzył w sufit, próbując dobrać słowa tak, żeby narobić sobie jak najmniej wstydu. - Przepracowałem w FBI więcej lat, niż potrafisz policzyć, a tymczasem ten palant... Chryste, ciągle nie mieści mi się to w głowie. Ten gnojek oszukał nawet mnie. Zakwaterowaliśmy go w hotelu Bonaventure, opłacaliśmy wszystkie jego wydatki, łącznie z rachunkiem za rozmowy telefoniczne na sześćset dolarów. Zakpił sobie z nas... ale nie ujdzie mu to na sucho.

Jestem tego pewna. Kiedy tym ludziom na kimś zależy, zawsze go dopadną - w taki czy inny sposób.

- Czy on był w Bonaventure, kiedy mnie tam zawieźliście? - spytałam.

- Tak, w sąsiednim pokoju. Jest coś jeszcze. - Nelson znowu przez moment się zawahał. - Pamiętasz, jak poprosił cię o spotkanie w banku?

- Jasne.

- A pamiętasz tamtego urzędnika bankowego?

- Tak?

- To był jeden z nas. Jak ci się wydawało, skąd Steve wytrzasnął pieniądze, które pokazał ci tamtego dnia w skarbcu?

- Nie zastanawiałam się nad tym i wcale mnie to nie obchodziło.

- Dostał je od nas. Byliśmy przekonani, że kiedy zobaczysz tę forszę i zdasz sobie sprawę, że masz jakieś wyjście z sytuacji, że oboje możecie uciec do Europy, to wtedy zdecydujesz się z nami rozmawiać. Te pieniądze mogły być twoje. Nadal mogą. Wystarczy, że z nami porozmawiasz.

Wiedziałam, że musi być jakiś haczyk. Wstałam i podeszłam do drzwi.

- Zaczekaj - powiedział Nelson, zagrządzając mi drogę. - W porządku, obiecuję: więcej tego tematu nie poruszę.

Zawahałam się i spojrzałam na niego nieufnie, w końcu jednak ponownie usiadłam.

- Tak czy inaczej - ciągnął Nelson - pojechaliśmy do kryjówki Steve'a. To było gdzieś w pobliżu Santa Monica Boulevard, w zachodniej części Hollywood. Kiedy się tam zjawiliśmy, facet zaczął grozić nam bronią. Dziś żałuję, że go wtedy nie załatwiliśmy. Nadal nie wiem, czy naprawdę bał się wtedy o swoje życie, czy był to po prostu kolejny jego podstęp. Był niezłe poobijany; dopiero co wyszedł ze szpitala. Uwierzyliśmy mu, kiedy powiedział, że obawia się sprzątnięcia przez któregoś z twoich przyjaciół - powiedział Nelson i spojrzał na mnie spod wysoko uniesionych brwi.

- Sam powiedz, Nelson, co innego mogłam zrobić? - zapytałam, próbując zrobić minę niewiniątka. Zadziało.

- Właściwie to był tak roztrzęsiony, że poprosił jednego z naszych, żeby poprowadził jego samochód - opowiadał dalej Nelson. - My pojechaliśmy za nimi naszym wozem. Potem odkryliśmy, że tamten samochód, którym kierował nasz agent, był kradziony. Jezu, ale ten gość ma jaja. - Nelson pokręcił z niedowierzaniem głową.

Roześmiałam się. FBI zostało wmanewrowane w taką samą tragikomedię pomyłek, w jakiej uczestniczyłam ja sama, różnica polegała tylko na tym, że oni mieli środki

i możliwości, żeby wyładować swoją frustrację, kiedy gnojek posunął się za daleko.

- Cieszę się, że mi o tym opowiedziałeś, Nelson. Skoro FBI pozwoliło się do tego stopnia oszukać, to może ja wcale nie jestem aż taka naiwna, jak zaczynałam sądzić.

- Właśnie dlatego powiedziałem ci tę historię. Steve nieźle nas załatwił. Chcemy go dopaść tak bardzo jak ty.

- Jak on się z wami skontaktował? - zapytałam.

- O, to jeszcze inna historia. Tak naprawdę to nie przyszedł bezpośrednio do nas. Zgłosił się do Urzędu Skarbowego. Powiedział im, że wie wszystko na temat pieniędzy, które mafia transferuje z Nowego Jorku do MB Financial; jak sama wiesz, to firma należąca do Joego Bello. Domagał się dziesięciu procent od sumy, jaką skarbówka odzyska dzięki dostarczonym przez niego informacjom. Tak się złożyło, że jeden z urzędników skarbówki współpracował z nami przy naszym śledztwie. Zadzwonił do nas i zapytał, czy nie chcielibyśmy pogadać z żoną Joego Lamendoli. Nie mogliśmy uwierzyć, że trafia nam się taka gratka! I to zupełnie niespodziewanie! Tak jak mówiłem, Steve przekonał nas, że boisz się o swoje życie. Twierdził, że zaczniesz mówić, jeśli tylko będziesz miała pewność, że ty i on możecie bezpiecznie wyjechać z kraju. Właśnie tego potrzebowaliśmy, żeby domknąć śledztwo. Gdyby Steve zdołał spełnić wszystkie swoje obietnice, zgarnąłby dziesięć procent od Bóg wie ilu setek tysięcy dolarów. Do tego doszłaby ta mała sumka, którą my zamierzaliśmy się z wami podzielić. No i zdobyłby też ciebie. Czego więcej potrzeba facetowi do szczęścia?

- Zdziwiłbyś się - mruknęłam, w dalszym ciągu starając się poukładać sobie w głowie wszystkie te informacje.

- Byliśmy tak blisko... - powiedział Nelson. Jego wzrok powędrował w stronę okna, a głos się urwał. - Reszta to już oczywiście historia.

- Mówiłam wam, że jest dobry. Nie chcieliście mnie słuchać.

- Już dobrze, nie ma co ciągle do tego wracać. Skupmy się na tym, jak teraz sobie z tym poradzić. To nie jest zabawa.

- Nie gadaj. Zamierzacie założyć mi podsłuch?

- Nie. Nauczyliśmy się już nie lekceważyć tego faceta. Jest zbyt cwany. Na początku będzie podejrzliwy, ale nadal chce cię dostać i to na tym najbardziej mu zależy. Dlatego będzie chciał ci uwierzyć. Jesteśmy pewni, że sobie poradzisz, inaczej nie powierzylibyśmy ci tego zadania. Wiemy, że twarda z ciebie sztuka. Obracałaś się w towarzystwie różnych bezwzględnych typów, bywałaś w różnych interesujących sytuacjach (o jednych wiemy, o innych nie), a mimo to przetrwałaś. Tym razem też dasz sobie radę. Zasłużysz sobie na swój

pseudonim, kiedy to się wreszcie skończy. Bo skończy się, możesz być tego pewna. Musisz mieć do nas zaufanie, więc będę z tobą szczery. To prawda, chcielibyśmy, żebyś opowiedziała nam o różnych innych sprawach; ale to nie jest warunek naszej pomocy w pozbyciu się pana Zametta. Nam też zależy na tym, żeby go dopaść. Nasze powody są równie osobiste jak twoje. Chyba teraz to rozumiesz. Więc zapomnijmy o tym, co było, i dorwijmy tego gościa. W porządku?

Brzmi przekonująco, ale uważaj...

Nie minęło wiele czasu, a w moim mieszkaniu ponownie rozległ się znajomy dzwonek.

- Nie odkładaj słuchawki! Proszę, porozmawiaj ze mną.

- Dobrze, Steve. Mów.

Zaskoczony faktem, że zamierzam go wysłuchać, przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

- Ee... Przepraszam, że rozmawiałem z FBI. Byłem wściekły i czułem się zraniony. Kocham cię, Georgia.

- Przepraszam nie wystarczy, ty dupku. Nie widzisz, co narobiłeś?

- Co masz na myśli?

- Wdepnąłeś w gówno, o którym nie masz zielonego pojęcia. I dlatego oboje zginiemy.

- O czym ty mówisz!?! - krzyknął z paniką w głosie.

- Zadarłeś z dużymi chłopcami, Steve. Oni już wiedzą, że byłem przesłuchiwana przez FBI. Nic im nie powiedziałam, ale te skurwysyny z FBI i tak rozpuściły na ulicach plotkę, że poszłam na współpracę. Mafia wie, że to ty ściągnąłeś im na głowy federalnych. Jesteś specjalistą w wykopywaniu sobie grobu, ale tym razem udało ci się wykopać także mój. Jest cena za nasze głowy, Steve. Powinieneś być zadowolony: teraz będziemy mogli być razem na wieki. Joe już nie jest w stanie mi pomóc. Mógł mnie tylko ostrzec, żebym wynosiła się z miasta. Powinnam była pozwolić Ałowi cię zabić, ty bezwartościowa kupo gówna! - wrzasnęłam i rzuciłam słuchawką.

Telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Podniosłam słuchawkę i bez słowa odłożyłam ją z powrotem na widełki. Taka zabawa trwała przez dziesięć kolejnych minut. Przy ósmym albo dziewiątym telefonie zdecydowałam się wreszcie odezwać.

- Czego?! - ryknęłam.

Steve oddychał szybko i głośno przełknął ślinę.

- Chryste, Georgia, porozmawiajmy. Co to znaczy, że jest cena za nasze głowy?

- Tak trudno to zrozumieć, Steve? Pif-paf i jesteśmy martwi, ty dupku!

Klik.

Dryń, dryń, dryń, dryń. Nie odebrałam. Teraz miałam go w garści.

Ten człowiek był tak samo głupi, jak sprytny. Wiedziałałam, że w jego głowie kłębią się teraz myśli o czekającej go śmierci. Przez dwa dni nie odbierałam telefonu. Nie ufał mi na tyle, żeby zaryzykować pojawienie się pod moimi drzwiami. Rozkoszowałam się jego przerażeniem.

Już ja cię nauczę zadzierać z White, ty parszywa kanalio.

- Dobra robota, Georgia - pochwalił mnie Nelson. Dzwonił z telefonu zainstalowanego w swoim samochodzie. - Wygląda na to, że wiesz, jak tego gościa przycisnąć.

- Tak, mam dobre podejście do niepoczytalnych ludzi.

- Muszę się z tobą zgodzić. Swoją drogą, to jak ty przyciągasz do siebie tych wszystkich świrów?

Dobre pytanie. W swoim czasie powinnaś się nad tym zastanowić.

- Nie ma pojęcia - odparłam. - Pewnie mam zbyt miękkie serce. Ale to się zmienia.

- Myślę, że już pora odebrać jego kolejny telefon.

- Wiecie już, skąd dzwoni?

- Nie, za krótko trzymasz go na linii. Przy okazji, młoda damo, muszę ci zwrócić uwagę na twój język. Gdzie ty się nauczyłaś takich słów? Gdybym był Steve'em, już nigdy bym do ciebie nie zadzwonił.

- Cóż, nie jesteś nim.

- Masz włoski temperament, bez dwóch zdań. Nie chciałbym być twoim mężem - zażartował.

- Pierdol się, Nelson.

Uśmiechnął się.

- To właśnie w tobie lubię: tę uprzejmą rezerwę.

Facet zaczyna się robić nieco zbyt przyjacielski. Trzymaj go na dystans, White.

Ku mojemu zaskoczeniu Steve nie zadzwonił ponownie. Zająłam się swoimi codziennymi sprawami, próbując znaleźć w nich poczucie normalności - choć nie byłam pewna, na czym owa normalność właściwie polega. Tęskniłam za córką, ale Toni lepiej było tam, gdzie teraz mieszkała. To wszystko wkrótce się skończy i znowu będziemy mogli być razem.

Kiedy telefon w końcu się odezwał, byłam pewna, że w słuchawce usłyszę głos Steve'a.

- Cześć, kochana - przywitała się moja agentka, Janette. - Dasz radę przyjść dzisiaj na casting? Wiem, że informuję cię w ostatniej chwili, ale klient poprosił specjalnie o ciebie.

- Naprawdę? W takim razie jasne. Gdzie to jest?

- Hotel Holiday Inn, koło skrzyżowania Sunset i autostrady 405. Wiesz, to taki okrągły budynek, tuż przy zjeździe na Sunset Boulevard.

- Tak, znam to miejsce. O której godzinie?

- O szóstej. Teraz mamy piątą. Przy tych korkach powinnaś zaraz wychodzić, jeśli nie chcesz się spóźnić.

- W porządku, Janette. Jak mam się ubrać?

- Hmm... Nie powiedzieli. Włóż coś nieformalnego.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Aha, kochanie, jeszcze jedno: prosili, żebyś zaparkowała od zaplecza.

- Jasne. Janette, muszę już lecieć, jeśli mam zdążyć na czas.

- Ta praca jest ci przeznaczona, kochanie. Powodzenia!

Przejrzałam się w lustrze i chwyciwszy to, co udało mi się uratować ze swojego portfolio, wybiegłam z mieszkania. Gnałam przez pełne samochodów ulice, myśląc o szansach na zdobycie tej pracy. Potrzebowałam szczęśliwej odmiany losu - i to szybko. Limity kredytowe na moich kartach były już dawno przekroczone, a tymczasem zbliżał się termin zapłaty kolejnego czynszu.

Wjechałam na parking dziesięć minut przed czasem. Byłam już jedną nogą poza samochodem, kiedy nagle drzwi od strony pasażera otworzyły się i do środka wdarł się Steve. Pociągnął mnie do tyłu jedną ręką, a drugą przystawił mi do głowy rewolwer.

Zaczęłam się z nim szarpać i udało mi się wytrącić mu z ręki broń. Wciąż trzymając mnie za ramię, pochylił się, by podnieść rewolwer z podłogi. Jego uścisk zelżał i byłam w stanie się wyrwać. Wskoczyłam z samochodu i przebiegłam przez niemal zupełnie pusty parking, po czym wpadłam do hotelowego holu. Znalazłam automat telefoniczny i wstukałam na klawiaturze numer alarmowy do FBI. Tupiąc niecierpliwe nogą i wpatrując się w wejście do hotelu, czekałam, aż ktoś odbierze.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność.

- Dajcie mi do telefonu Nelsona, natychmiast!

- Kto dzwoni?

- Czarna Wdowa. Pośpieszcie się! Błagam...

- Z tej strony Nelson.

- Nelson! Gdzie, do cholery, są twoi ludzie? Przed chwilą Steve przyłożył mi do

głowy broń!

- Uspokój się. Gdzie jesteś?

- W Holiday Inn, na rogu 405 i Sunset. Stałam na parkingu, a on wszedł do mojego samochodu. O Boże. Jest już w hotelu!

- Ukryj się. Moi ludzie będą tam za...

Upuszczona przeze mnie słuchawka kołysała się w powietrzu. Pobiełam do recepcji i zanurkowałam za kontuar. Pracujący tam młody człowiek zrobił zdumioną minę - jeśli nie przestanie się tak gapić, zdradzi mnie przed Steve'em.

- Proszę, udawaj, że mnie tu nie ma. Nie patrz na mnie - poprosiłam. - Widzisz tamtego faceta?

- Tak - potwierdził, patrząc prosto przed siebie.

- Jest uzbrojony. Zadzwoń na policję... tylko dyskretnie.

Zrobił, o co go prosiłam, chociaż jego występ raczej nie przyniósłby mu Oscara.

- Możesz już wyjść - powiedział po chwili łamiącym się ze strachu głosem. - Właśnie sobie poszedł.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie zjawi się FBI.

- FBI? Co tu się właściwie dzieje?

- Jest tu jakieś bezpieczne miejsce, w którym mogłabym poczekać? Biuro albo coś takiego?

- Jasne, chodź za mną.

Do biura dotarłam, czołgając się po podłodze. Byłam zbyt przerażona, żeby zaryzykować pokonanie tej drogi w pozycji wyprostowanej. Obawiałam się, że Steve czai się gdzieś za rogiem i tylko czeka, aż zrobię jakiś ruch.

Kiedy do biura weszli w końcu agenci, spojrzałam na nich z wściekłością.

- Gdzie byliście?

- Przepraszamy, Georgia. Jechałaś tak szybko, co chwila zmieniałaś pas... zgubiliśmy cię. - Agenci przypominali zbesztane dzieci.

- Oczywiście.

- To się więcej nie powtórzy.

- Gdzie jest ten cały zaawansowany sprzęt, którym powinniście dysponować? Jezu Chryste, skoro nawet ja mogę się wam wymknąć, to ilu morderców grasuje bezkarnie po ulicach?

Oblali się rumieńcem i pospuszczali głowy. Kiedy odwozili mnie do domu, nadal odnosiłam się do nich z chłodną wrogością. Nikt nie potrafił mi pomóc. W gruncie rzeczy

byłam zdana sama na siebie. Moim jedynym sojusznikiem była Georgia Black. Dobrze sobie radziła - przynajmniej do tej pory.

Leżałam na łóżku, czekając, aż opuści mnie napięcie. Twarz Toni uśmiechała się do mnie ze zdjęć wiszących na ścianach. Poczułam nieodpartą potrzebę, by usłyszeć jej głos.

Już niedługo, maleńka. Niedługo to się skończy.

- Halo, czy to Georgia Durante?

- Tak. Kto mówi?

- Nie znasz mnie. Mam na imię Shawwna. Miałam nadzieję, że będziesz mogła mi jakoś pomóc. Znalazłam twój numer w notatniku Steve'a Zametta. Opowiadał mi o tobie. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego telefonu, ja po prostu muszę poznać prawdę.

- Nie wiem, co naopowiadał ci Steve, ale jestem pewna, że wszystko było kłamstwem. Gdzie on teraz jest? - zapytałam.

Nie byłam pewna, czy to nie Steve kazał tej dziewczynie do mnie zadzwonić. Od incydentu w Holiday Inn minęły trzy tygodnie i przez cały ten czas Steve nie dawał znaku życia.

- Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz - wybąkała nieśmiało.

W jej głosie wyraźnie słychać było rozczarowanie. Czy powinnam jej ufać?

- Sama już nie wiem, w co mam wierzyć - powiedziała. - Steve twierdził, że twój mąż zlecił jego zabójstwo. Czy to prawda?

- Kim jesteś, Shawwna? I co cię łączy z tym chorym człowiekiem?

- Przepraszam. Chyba powinnam wcześniej to wyjaśnić. Steve'a poznałam w banku. Zagadnął mnie, zaczęliśmy rozmawiać i dałam mu swój numer telefonu. Obiecał, że pomoże mi rozwiązać pewne problemy związane z moim domem. Zanim się obejrzałam, wprowadził się do mnie. Czulałam się trochę nieswojo, ale opowiedział mi tę historię o twoim mężu i powiedział, że musi na jakiś czas pozostać w ukryciu. Pozwoliłam mu więc zostać. W tym czasie sprzedałam dom, a Steve pomógł mi przeprowadzić się do nowego mieszkania.

- Jak na razie brzmi znajomo - stwierdziłam z nutką rozbawienia w głosie.

- Co to znaczy?

- Nic, mów dalej.

- No cóż, choruję na stwardnienie rozsiane. Niedługo będę przykuta do wózka. Pieniądze ze sprzedaży domu są mi potrzebne, żeby móc się utrzymać. Steve powiedział, że może je dla mnie zainwestować i w ciągu roku potroić całą sumę. Dałam mu pieniądze i od tamtej pory nie widziałam ani jego, ani swojego mercedesa. Mam paskudne wrażenie, że zostałam oszukana. Łudziłam się, że będziesz wiedziała o czymś, co pomoże mi

odzyskać pieniądze.

- Witam w klubie ludzi nabranych przez Steve'a. Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało, ale może jeszcze nie wszystko stracone. Wydaje mi się, że jestem w stanie ci pomóc. Możemy się spotkać?

Umówiłam się w San Diego z ludźmi z FBI i razem pojechaliśmy pod adres, który dała mi Shawna. Raz jeszcze opowiedziała swoją historię, tym razem podając więcej szczegółów. Agenci pobledli z wściekłości. Sposób działania tego faceta nie przestawał ich zaskakiwać. Wydawało im się, że mieli już do czynienia z wszelkimi możliwymi typami ludzi, ale Steve wymykał się wszystkim schematom. Stanowił klasę sam dla siebie - nie wymyślili jeszcze na nią nazwy.

Shawna była szczerą, filigranową osobką o krótko ostrzyżonych brązowych włosach i iskrzących się oczach. Była ufna i miała wielkie serce, ale jeśli chciała przetrwać, potrzebna jej była własna wersja Georgii Black.

Zgodnie z planem miała zadzwonić do FBI, gdy tylko Steve ponownie się do niej odezwie. Miała spróbować zwabić go propozycją zainwestowania dalszych pieniędzy, ale przede wszystkim chodziło o ustalenie miejsca jego pobytu. Nie pozostawało nam nic innego, jak czekać.

Cztery dni po naszym spotkaniu w mieszkaniu Shawny zadzwonił telefon. Steve powiedział jej, że był z dziećmi na wsi, a teraz odwozi je z powrotem do domu. Obiecał, że zadzwoni do niej później. Shawna przez całą rozmowę była słodka i niewinna, a Steve niczego się nie domyślił. Gdy tylko się rozłączył, natychmiast powiadomiła FBI. Niedługo potem zadzwonił do mnie Nelson.

- Jak się dziś miewa Czarna Wdowa? - spytał, po czym dodał nonszalanckim tonem: - Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- Dorwaliście go?

- A żebyś wiedziała - potwierdził triumfalnie.

- Och, Nelson, co za ulga! To wspaniała wiadomość. Wreszcie mogę sprowadzić do siebie moją córeczkę. Jak to zrobiliście? Ze szczegółami, poproszę.

- Odezwała się do nas Shawna. Steve powiedział jej, że właśnie odwozi do domu swoje dzieciaki. Nie sądziliśmy, że faktycznie zrobi to, co powiedział, ale okazało się, że ten jeden raz mówił prawdę. Otoczyliśmy okolicę. Kiedy podjechał pod dom, dwóch naszych agentów wyskoczyło z krzaków z bronią gotową do strzału. Oględnie mówiąc, był zaskoczony. Udało ci się go nieźle nastraszyć. Do tego stopnia, że facet wyciągnął rewolwer i zaczął celować do agentów FBI. Biedak był kompletnie skołowany. Myślał, że to tamci po

niego przyszli - zarechotał Nelson. - Miał szczęście, że były tam jego dzieciaki. Nie mieliśmy serca zastrzelić go na ich oczach. Teraz czeka cię nieprzyjemne zadanie: będziesz musiała przyjechać do San Diego i złożyć zeznania.

- Z wielką chęcią, Nelson. - Westchnęłam z ulgą.

- Jeszcze tylko ten jeden przykry obowiązek i serial ze Steve'em dobiegnie końca. Myślę, że facet długo nie wyjdzie na wolność, już my się o to postaramy, możesz być pewna.

- Dziękuję ci, Nelson - powiedziałam szczerze.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Może kiedy skończysz zeznawać, dasz się zaprosić na kolację? Uczciłibyśmy nasze zwycięstwo.

- Bardzo chętnie. Ale sama zacznę świętować wcześniej.

Tego samego wieczoru postanowiłam zaszaleć: kupiłam kilka butelek szampana i zaprosiłam do siebie Susan, dziewczynę mojego kuzyna Randy'ego. Randy i Susan mieszkali w Kalifornii dopiero od niedawna i próbowali jakoś się tu urządzić, zmagając się z ciągłym brakiem gotówki. W tej kwestii nie byłam w stanie im pomóc. Na świętowanie zaprosiłam także swoją sąsiadkę Sheilę. Po opróżnieniu pierwszej butelki zaszumiało nam w głowach. Sheila była umówiona na randkę ze znanym adwokatem F. Lee Baileyem i z tego względu opuściła nas dość wcześnie. Zanim jednak wyszła, zadzwoniła do Pips, prywatnego klubu, którego była członkiem, i podała moje nazwisko. Tymczasem Susan i ja świętowałyśmy dalej.

Kiedy o dziewiątej wieczorem dotarliśmy do Pips, impreza trwała w najlepsze. Stałyśmy na zatłoczonym parkiecie, rozglądając się za jakąś wolną sofą, kiedy ktoś poprosił Susan do tańca. Po chwili oboje zniknęli w tłumie, a ja zostałam sama.

- Masz ochotę zatańczyć? - zapytał jakiś stojący za moimi plecami mężczyzna.

- Nie, dziękuję - odparłam, odwracając się w jego stronę.

- W takim razie może się czegoś napijesz?

- Nie, dzięki. Chyba mam już dość na dziś wieczór. Nie zdążyłam jeszcze nic zjeść.

Jeszcze jeden drink i pewnie upadłabym na twarz.

- Nic nie jadłaś? Więc pewnie jesteś głodna?

- Nie, przyszłam tu z koleżanką... O, tutaj jest.

- Cześć, mam na imię Susan. A ty to kto? - zagadnęła wesoło. Jej długie, mocno kręcone włosy zafalowały sprężysto.

- Jestem Richard Adray. Jesteś głodna?

- Pewnie, umieram z głodu! - odparła bez wahania.

- Świetnie, a więc postanowione. Zorganizuję nam stolik.

Zacząłam protestować, ale ponownie rozbrzmiała muzyka i zagłuszyła moje słowa. Richard oddalił się, a ja rzuciłam Susan gniewne spojrzenie.

- Po co to powiedziałaś? - zapytałam ze złością.

- Rozchmurz się, Georgia. On zamierza nas nakarmić, a nie zgwałcić - odparła, odgarniając gęste loki z piegowatej twarzy.

- Nasz stolik jest już gotowy - oznajmił po powrocie Richard, po czym zaprowadził nas do sali restauracyjnej.

Nie miałam pojęcia, kim był, ale sądząc po sposobie, w jaki obsługiwał go personel klubu, musiał być wpływową osobą. Zjedliśmy wystawną kolację w eleganckiej sali pełnej faktycznych i niedoszłych gwiazd filmowych.

Naprzeciwko naszego stolika siedział Warren Beatty w towarzystwie trzech olśniewająco pięknych kobiet; mimo to jego wzrok wędrował po sali, od czas do czasu zatrzymując się na mnie. Przy barze stał Frank Sinatra wraz z niejakim Jillym, którego poznałam przelotnie jeszcze w Nowym Jorku. W przyległej sali siedziała Lucille Ball, pochłonięta grą w tryktraka z Jimem Rosem - reżyserem, który mieszkał ze mną po sąsiedzku. Jim i ja poznaliśmy się na castingu do pewnej reklamy i z miejsca się zaprzyjaźniliśmy. Kilka razy schroniłam się w jego domu, kiedy zauważyłam kręcącego się w pobliżu Steve'a.

Richard często rozglądał się po obecnych na sali znajomych twarzach. Wyczuwałam, że szuka na nich oznak uznania dla prestiżu, jakiego dodawało mu nasze towarzystwo. Był całkiem miły, ale nieco zbyt pewny siebie jak na niedostatek walorów, które mogłyby tę pewność siebie uzasadniać. Był niski, miał szpakowate, kręcone włosy i okrągłą twarz. Nie nazwałabym go przystojnym. Pomimo dopiero trzydziestu pięciu lat wyglądał na kogoś, kto dobija do pięćdziesiątki.

Sama kolacja była interesująca, ale poza tym nic innego nie wzbudziło mojego zainteresowania. Po jedzeniu potańczyliśmy jeszcze chwilę, po czym Susan i ja poszłyśmy do domu.

- Dałam Richardowi twój numer telefonu - wyznała Susan.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Wydawał mi się miły. Musisz zacząć żyć, Georgia. Dobrze ci zrobi, jeśli w końcu zaczniesz wychodzić i trochę się rozerwiesz.

- On nie był w moim typie, Susan - oświadczyłam. Nie interesowało mnie nic poza przetrwaniem.

Tamten okres mojego życia dobiegał wreszcie końca. Czułam się zmęczona, a zarazem przytłoczona ilością błędnych decyzji, jakie podjęłam dotąd w swoim życiu

osobistym. Choć sporo już przeżyłam, tak naprawdę nie miałam żadnych zdrowych doświadczeń z mężczyznami, które pozwoliłyby mi jasno widzieć różnicę pomiędzy tym, co normalne, a tym, co nie.

Joe odseparował mnie od świata, nie pozwalając nauczyć się cegokolwiek o życiu. Musiałam patrzeć na nie wyłącznie jego oczami. Teraz doświadczałam na własnej skórze tych wszystkich rzeczy, przed którymi mnie ostrzegł. Nie ufałam swoim wyborom i nie chciałam umawiać się z mężczyznami. Czułam, że zanim zdecyduję się wkroczyć na ten nieznany teren, muszę najpierw lepiej poznać samą siebie i nabrać poczucia własnej wartości.

Trzy dni później pojechałam do San Diego złożyć zeznania w sądzie. Byłam szczęśliwa, że Steve znalazł się za kratkami i zniknął wreszcie z mojego życia. Kiedy wprowadzono go na salę sądową, był skuty kajdankami i miał na sobie żółty więzienny uniform. Ten kolor dobrze do niego pasował - wcześniej śpiewał przecież jak kanarek, a kanarki są żółte, prawda? Ale tym razem to ja miałam wyśpiewać co nieco na jego temat. Steve patrzył na mnie błagalnym wzrokiem szczeniaczka, jednak jego spojrzenie odwzajemniła Georgia Black. Tego cudownego dnia pan Zamett nie miał co liczyć na współczucie.

Jako pierwsza zeznawała Shawna; potem przyszła kolej na mnie, a na końcu na FBI. Steve nie miał najmniejszych szans. Kiedy rozprawa dobiegła końca, wyprowadzono go z sali. Do ostatniej chwili nie przestawał patrzeć mi w oczy: jak mogłaś mi to zrobić, Georgia? Przecież ja cię kocham!

Wczesnym wieczorem Nelson i ja zjedliśmy uroczystą kolację na tarasie restauracji położonej tuż nad brzegiem morza. Może była to zasługa światła, ale jego oczy wydały mi się tak czyste i niebieskie jak niebo za jego plecami. Z jakiegoś powodu w każdym agencie FBI już z daleka można rozpoznać agenta federalnego i Nelson nie był tu wyjątkiem. Tamtego wieczoru zrzucił jednak swoją maskę profesjonalisty. Zachowywał się jak zupełnie inna osoba. Zawodowe nawyki zostawił na sali sądowej.

- No, to jednego mamy z głowy - powiedział, kiedy stuknęliśmy się kieliszkami z winem.

Jednego?

Po chwili z troską w głosie dodał:

- Wyglądasz na zmęczoną. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Roześmiałam się gorzko.

- A potrafiś załatwić mi nowe życie? - odparłam, upijając łyk wina.

- Już ci to kiedyś proponowałam. Czyżbyś zmieniła zdanie? - W Nelsonie przez

moment odżyła nadzieja.

- Nie, Nelson. Nie zmieniałam - zapewniłam go cierpkim tonem.

- Wiec co zamierzasz teraz zrobić ze swoim życiem, Czarna Wdowo?

- Przeżyć je bez strachu, dzięki tobie.

- Myślisz, że to możliwe?

- Wszystko jest możliwe.

- Ty jesteś tego najlepszym dowodem - powiedział, unosząc kieliszek w moją stronę.

Sprawił wrażenie, jakby coś go trapiło. Nie powiedział tego wprost, ale ja widziałam, w jakim kierunku próbuje zmierzać, i postanowiłam ignorować te wysiłki. Nelson wiercił się na krześle, zastanawiając się, jak skierować rozmowę na temat, którego nie chciałam poruszać. Mnie tymczasem zależało tylko na tym, żeby napić się wina i cieszyć się zwycięstwem. Zamówiliśmy kolejną butelkę; zaczęłam się odprężyć.

- Jesteś piękną kobietą. Georgia. Prawie zaczynam rozumieć obsesję Steve'a na twoim punkcie.

Chociaż nie chciał tego okazywać, wyczułam w nim pragnienie bliskości.

To nie pora na odprężenie, White. On jest twoim wrogiem - więc skup się.

- Dziękuję za komplement, Nelson, ale jeśli potrafisz zrozumieć taką obsesję, to chyba powinieneś zarezerwować sobie celę obok Steve'a. Pamiętaj, że to ty nadałeś mi mój pseudonim. Jeśli koniecznie chcesz, żebym sobie na niego zasłużyła, to tak trzymaj - powiedziałam z szelmowskim uśmieszkiem.

- A jak chcesz poradzić sobie ze swoim drugim problemem? - zapytał Nelson, ponownie przywdziewając swoją zawodową maskę.

- Z jakim drugim problemem?

- Z Joem.

- Och, myślę, że czas załatwił sprawę. Rozmawiałam z nim. Wygląda na to, że pogodził się z faktem, że nie zamierzam do niego wrócić.

- Daj spokój, Georgia. Przecież wiem, że nie jesteś głupia. Joe przyczył się z naszego powodu. Teraz, kiedy znikniemy wam z oczu, pokaże swoją prawdziwą twarz.

- Może masz rację...

- Georgia... - Zawahał się. - Mamy powody przypuszczać, że wciąż grozi ci niebezpieczeństwo.

- Co masz na myśli?

- Chciałbym, żebyś nam zaufała. Do tej pory dotrzymywaliśmy danego ci słowa, prawda?

To nie żadna uroczysta kolacja. On cały czas jest w pracy. Obudź się, White.

- Nelson, zawarliśmy umowę. Wy zrobiliście swoją część, a ja swoją. Na tym koniec.

- Georgia, są pewne sprawy, o których nie mogę z tobą rozmawiać. Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że nie jesteś tak bezpieczna, jak mogłoby ci się wydawać.

- Nelson, jeśli to prawda, to moje życie bardzo się nie zmieni, nie sądzisz? - powiedziałam lodowato.

- Zrobisz coś dla mnie?

- Pewnie nie.

- Obiecuj, że do mnie zadzwonisz, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Nawet gdybyś chciała po prostu pogadać. Chciałbym, żebyś traktowała mnie jak przyjaciela. Zapomnij o tym, czym się zajmuję. Przez kilka miesięcy naprawdę cię polubiłem. Troszczę się o ciebie niezależnie od swojej pracy.

Jasne, a moje IQ jest o trzy punkty niższe niż u przeciętnej rośliny.

Rozdział jedenasty

Nadeszły dla mnie nieco lepsze czasy. W końcu zaczęłam iść do przodu. Moja kariera zaczęła nabierać rozpędu. Wkrótce po tym, jak zeznawałam na rozprawie Steve'a, dostałam pierwsze duże zlecenie telewizyjne - miałam wystąpić w reklamie Toyoty. Nareszcie mogłam sprowadzić do siebie Toni, nie obawiając się o jej bezpieczeństwo i o to, czy będę w stanie zaspokoić jej potrzeby.

Stawiłam się na planie zdjęciowym w Raleigh Studio do pracy przy swojej pierwszej reklamie samochodowej. Spot miał tytuł *Kosmos*. Do samochodu przymocowano skomplikowany hydrauliczny podnośnik, dzięki któremu pojazd miał wyglądać tak, jakby unosił się w przestrzeni kosmicznej. W ostatnim ujęciu samochód miał wylądować na specjalnej platformie, mniej więcej dziesięć metrów nad ziemią. Moim zadaniem było wysiąść z niego, zdjąć kask i uśmiechnąć się do obiektywu kamery, potrząsając jednocześnie włosami. Moja gaża: dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, była dla mnie jak okrągły milion.

- Mam nadzieję, że płacą ci za to stawkę kaskaderską! - powiedział jeden z pracujących na planie mężczyzn.

- Co masz na myśli?

- Tam na górze będziesz miała tylko pół metra wolnego miejsca do krawędzi platformy. Łatwo możesz stracić równowagę, a upadek z dziesięciu metrów to cholernie nieprzyjemna sprawa. Za takie ryzyko należy ci się stawka, jaką biorą kaskaderzy - wyjaśnił, odgarniając z twarzy długie proste włosy.

Jeśli o mnie chodziło, to byłam szczęśliwa, że w ogóle coś zarobię.

- Przy okazji: jestem Jim Harkess - przedstawił się, wyciągając do mnie rękę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Georgia Durante. Miło cię poznać. Czym się zajmujesz, Jim?

- Jestem właścicielem firmy Two's Company. Nasza działka to montaż i ustawianie sprzętu, i przygotowanie samochodów do zdjęć.

- Naprawdę? Właściwie to nigdy się nie zastanawiałam, co jest potrzebne do nakręcenia prostej reklamy samochodu.

- Prostej? - powtórzył ze śmiechem. - Tak naprawdę nic nie jest proste; chociaż ja muszę sprawić, żeby tak to właśnie wyglądało.

W czasie gdy reżyser wprowadzał poprawki w ustawieniach kamery i oświetlenia, Jim wytłumaczył mi, w jaki sposób powstają telewizyjne reklamy samochodów. Kiedy dzień

zdjęciowy dobiegł końca, zdobyłam elementarną wiedzę na temat świata, o którego istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Od tamtej pory zaczęłam uważniej oglądać spoty reklamowe; dzięki zakulisowej wiedzy mogłam zwracać uwagę na niuanse, które składały się na ostateczną wersję każdego filmu. Wcześniej nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, jak wiele samochodowych reklam pojawia się na wizji.

W mojej głowie zapaliło się światełko. Ktoś przecież musi prowadzić te wszystkie samochody. Zawsze uwielbiałam prowadzić i miałam do tego naturalny talent, nigdy jednak specjalnie się nad tym nie zastanawiałam, chociaż od dawna mi powtarzano, że powinnam zostać kierowcą kaskaderskim. Ludzie mówili mi również, że powinnam napisać książkę - o tym także nigdy poważnie nie myślałam.

Jim twierdził, że chociaż twarze profesjonalnych kierowców nigdy nie pojawiały się w reklamach, to ich honoraria wynosiły tyle, co gaże aktorów występujących przed kamerami. Związana kontraktem z Toyotą, nie mogłam zagrać w telewizyjnej reklamie żadnego innego producenta samochodów przez następnych dwadzieścia jeden miesięcy. Trybiki w mojej głowie zaczęły pracować na przyspieszonych obrotach. Gdybym nie pokazywała swojej twarzy, mogłabym pracować dla nich wszystkich!

Tydzień później zadzwoniłam do Jima Harkessa i umówiłam się z nim na lunch. Chciałam się dowiedzieć, co trzeba zrobić, żeby wejść do tej branży. Jim zasugerował zapisanie się do szkoły jazdy wyczynowej Bondurant i dał mi namiary na ludzi, z którymi powinnam się skontaktować. To właśnie wtedy pomyślałam, że kariera kierowcy to coś interesującego.

Idąc za radą Jima, zaczęłam stawiać pierwsze kroki na nowej drodze. Była ona jednak długa i mozolna. O dziwo, największą przeszkodą okazała się moja twarz. W tamtym świecie do kobiet odnoszono się ze sporą nieufnością, zwłaszcza jeśli wyglądały tak jak ja. Do tego zawodu nadawał się tylko pewien szczególny typ ludzi: rozumiejących, na czym polega sztuka jazdy na krawędzi - i potrafiących wyjść z tego bez szwanku. Miałam odpowiednie kwalifikacje, ale reżyserzy filmów reklamowych z góry zakładali, że nie mam do zaoferowania nic poza urodą. Nie wiedzieli, że mają do czynienia z Georgią Black.

Dla chcącego nic trudnego.

Z niepokojem spoglądałam w dół przez okienko samolotu, czułam się tak, jakby od mojego ostatniego pobytu w Rochester minęło całe życie. Kiedy obserwowało się miasto z tej wysokości, chaos, który je ogarnął, wydawał się czymś odległym i nierealnym. Co za potworny bajzel. Równocześnie moja własna przyszłość po raz pierwszy od długiego czasu wyglądała obiecująco. Nie mogłam się doczekać, żeby znowu zobaczyć Toni.

Zamierzałam pojawić się w Rochester i wyjechać stamtąd niezauważona - jednak w tym mieście było to właściwie niewykonalne. W hotelu Flagship natknęłam się przypadkowo na Sammy'ego G, który jadł tam lunch w towarzystwie F. Lee Baileya.

- Georgia! - wykrzyknął Sammy, kiedy przechodziłam obok ich stolika. - Co porabiasz w mieście, mała?

- Georgia? - spytał lekko zdziwiony Bailey.

- Tak, Lee. To moja stara przyjaciółka, Georgia Durante. Teraz mieszka w Kalifornii. Zostawiła starych przyjaciół, żeby tu sobie odmrażali tyłki - dodał, puszczając do mnie oko.

Miałam dopiero dwadzieścia siedem lat, a Sammy mówił o mnie tak, jakbym była wiekową osobą. Ale piętnaście lat znajomości wystarczyło chyba, żeby zostać uznaną za starą przyjaciółkę.

- Jesteś tą Georgią, która przyjaźni się z Sheilą Sisco? - zagadnął Bailey.

- Tą samą - potwierdziłam.

Zaskoczony Sammy spoglądał to na mnie, to na Lee.

- To wy dwoje macie wspólną znajomą?

- Na to wygląda, Sam. - Roześmiałam się. - Cokolwiek zrobisz, ja o wszystkim się dowiem; nawet pięć tysięcy kilometrów stąd.

- I vice versa, przyjaciółeczko - odparł Sammy, unosząc brwi, po czym dodał: - Jaki ten świat mały, co?

- Wydaje się mały tylko wtedy, kiedy mieszkasz w Rochester - stwierdziłam.

- I tu masz rację - zgodził się z westchnieniem.

- No cóż, miło cię w końcu poznać - powiedział Bailey. - Sheila ciągle mi o tobie opowiada.

Musiał zarabiać co najmniej 500 dolarów za godzinę - wywnioskowałam to nie tylko z jego adwokackiej renomy, ale przede wszystkim z jego stroju. Był ubrany jeszcze bardziej nienagannie niż Sammy - którego pod tym względem trudno było prześcignąć.

Sammy nalegał, żebym z nimi została na drinka.

- Nadal pijasz szkocką, mała?

- Nie, Sam. Teraz, kiedy jestem już dorosła, przestawiłam się na wino. Ale napiję się szkockiej, przez wzgląd na dawne czasy.

- Co słyszeć u Joego?

- Nie wiem. Ostatnio rzadko go widuję.

- Nie mów, że go zostawiłaś?

- Dokładnie tak.

- Najwyższy czas - stwierdził z szerokim uśmiechem, po czym zmarszczył czoło i zapytał: - Ten gnojek próbuje ci się naprzykrzać?

- Nie. Nawet nie wie, gdzie mieszkam - skłamałam. Sammy miał dość własnych kłopotów. Przejmowanie się moimi było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował. - A co z tobą, Sammy? Jak to wygląda?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Marnie. Ten pieprzony Mahoney... Co za kłamliwy skurwiel. Twierdzi, że uczestniczyłem w jakimś spotkaniu w sprawie zabicia tamtego obleśnego chujka. A przecież mnie nawet nie było wtedy w mieście. Ale mam asa w rękawie. Mam alibi. - Sam ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tamtej nocy byłem w hotelu na Florydzie. Recepcjonistka mnie zapamiętała. Jak mogłaby zapomnieć, w końcu dałem jej 200 dolarów napiwku!

Otworzyłam usta i słuchałam z niedowierzaniem.

- Sama nie wiem, dlaczego ciągle się dziwię, kiedy słyszę o nieuczciwych gliniarzach. Powinam się już przyzwyczać. Tak czy owak, wygląda na to, że tym razem twoja hojność wyszła ci na dobre, Sammy - powiedziałam, zerkając jednocześnie na posępną minę Bailey'a.

Adwokat z jakiegoś powodu nie był zachwycony pomysłem wykorzystania tamtej dziewczyny w roli świadka. Nie znałam szczegółów całej sprawy, znałam jednak Sammy'ego - i to na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że postawi na swoim.

- To ryzykowne zagarnie, Sam - powiedział Bailey. - Zdecydowanie ci to odradzam.

- Nie tym razem, Lee. Tym razem zrobimy to po mojemu - odpowiedział stanowczo.

Bailey pokręcił tylko głową i upił łyk ze szklanki. Potem odwrócił się w moją stronę i bezradnie wzruszył ramionami.

- Potrafisz przemówić temu facetowi do rozsądku? Płaci mi kupę forsy za rady, a potem nie chce z nich korzystać.

- To cały Sam: urodzony hazardzista - odpowiedziałam. - Kiedyś obstawiał, która kropla spłynie szybciej po szybie. W dodatku zawsze wygrywa. Nieważne, ile oczek wypadnie; Sam zawsze jest górą.

Tak było. Że też nigdy wcześniej mnie to nie zastanowiło.

- Sammy! - wybuchnęłam. - Czy ty przez te wszystkie lata oszukiwałeś w kości?

Sammy i Bailey roześmiali się głośno.

Nie chciałam dłużej przeszkadzać w tych kosztownych prawniczych konsultacjach, dlatego dopiłam drinka i wstałam, szykując się do wyjścia. Sammy również się podniósł. Miałam złe przeczucia co do jego procesu, ale ze względu na niego starałam się okazywać optymizm.

- Powodzenia, Sammy. Będę się za ciebie modliła.

- Dzięki, mała - powiedział. Próbował udawać, że nie przejmuje się powagą swojej sytuacji. - Uważaj na siebie, a gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać. Zawsze możesz się do mnie zwrócić, gdziekolwiek bym był.

Wiedziałam, co ma na myśli, chociaż nie chciałam tego przyznać sama przed sobą. Oczy mi się zaszklily, więc szybko pocałowałam Sammy'ego w policzek i obróciłam się ku Baileyowi.

- Muszę lecieć. Miło było cię poznać, Lee. Będziemy w kontakcie, Sam. Kocham cię.

Idąc w stronę schodów, rozplakałam się. Zanim zeszłam na dół, miałam ochotę obejrzeć się, uśmiechnąć do Sammy'ego po raz ostatni i pomachać mu na pożegnanie - ale nie mogłam pozwolić, żeby zobaczył moje łzy. Sammy był najmocniejszym ogniwem łączącym mnie ze światem, który pozostawiłam za sobą; czułam, że po tym spotkaniu nie zobaczę już Sammy'ego przez długi, bardzo długi czas.

Prawda wyszła na jaw kilka miesięcy po procesie. Okazało się, że Bailey miał absolutną rację co do świadka z Florydy. Mahoney dostał cynk, że Sammy ma alibi, i z miejsca kazał swoim oficerom śledczym zająć się tą sprawą. Wysłał ich na Florydę, żeby trochę tam powęszyli. Gliniarze odkryli, że rodzina recepcjonistki wykorzystywała swoje łodzie rybackie do przemykania niewielkich ilości narkotyków. Z tego, co słyszałam, ludzie Mahoneya obiecali dziewczynie, że jeśli nieco rozminie się z prawdą, to jej rodzina uniknie problemów. Recepcjonistka złożyła zeznania pod przysięgą - i skłamała! Oświadczyła, że nigdy wcześniej nie widziała Sama na oczy. Nie chciałabym być w jej skórze, gdyby Sammy kiedykolwiek wyszedł na wolność.

Tymczasem wszyscy najważniejsi członkowie przestępczego syndykatu z Rochester wylądowali za kratkami. Było to historyczne zwycięstwo „sił dobra” w wojnie ze zorganizowaną przestępczością. Z całego kraju napływały do Rochester gratulacje od wszystkich organów rządowych. Podobno nawet sam prezydent Stanów Zjednoczonych zadzwonił osobiście do Billa Mahoneya, żeby wyrazić uznanie dla jego dokonań. FBI również dołączyło do tych gratulacji, chociaż federalni czuli się urażeni faktem, że ich udział w sukcesie był znikomy. A był taki, ponieważ Mahoney - kiedy tylko pozwalały mu na to przepisy - konsekwentnie zatrząskiwał federalnym drzwiami przed nosem. FBI nabrało podejrzeń, które ostatecznie doprowadziły do wszczęcia dochodzeń w stosunku do Billa Mahoneya i całego wydziału policji w Rochester.

Odtąd dziennikarze „Democrat and Chronicle” mieli niezłe używanie. Przez następne kilka lat cały nakład ich gazety regularnie sprzedawał się na pniu, a ja żałowałam, że nie

miałam akcji ich wydawcy.

W ciągu czterech czy pięciu miesięcy bramy więzienia się otworzyły i cała piątka skazanych za morderstwo wyszła na wolność. Wydarzenia przybrały zupełnie niespodziewany obrót. Oficerowie policji z Rochester zostali uznani za winnych krzywoprzysięstwa oraz fałszowania dowodów i powędrowali do cel dopiero co zwolnionych przez gangsterów. Nawet ludzie, którzy nie mieli nigdy nic wspólnego z mafią, kibicowali w tej sprawie Sammy'emu i jego chłopcom - i zupełnie słusznie. To, co ich spotkało, mogło się przydarzyć każdemu obywatelowi. Każdy ma prawo od uczciwego procesu - nawet mafiosi.

Chociaż Sammy spędził w więzieniu krótki czas, to i tak było to zbyt długo. Ci, którzy pozostali na wolności, nie byli w stanie poradzić sobie sami. Grube ryby za kratkami nie mogły udzielić im wsparcia, którego bardzo potrzebowali. Starzy kumple Franka Valentiego ponownie wyszli na ulice. Krok po kroku przejmowali kolejne szulernie, automaty do gier, przedsiębiorstwa transportowe. Dochody z lukratywnych miejskich kontraktów na usługi budowlane zaczęły trafiać do innych kieszeni. Gliniarze nadal brali pieniądze za przymykanie oczu, tyle tylko że teraz płacił im już kto inny. Gazety ochrzciły nowych graczy mianem „Drużyny B”. Sammy i jego wierni żołnierze zostali nazwani „Drużyną A”. Wysiłki Mahoneya nie przyniosły w gruncie rzeczy żadnego rezultatu. Zorganizowana przestępczość będzie istniała zawsze.

Sam wierzył, że wróci i odzyska to, co miał przed odsiadką. I rzeczywiście mu się udało, jednak nie bez walki. Zdołał odzyskać kontrolę nad kasynami, ale jego wrogowie zaczęli kolejno podkładać w nich bomby. Stali klienci bali się je odwiedzać. Hazardowy biznes poważnie ucierpiał.

Sammy G miał wiele stałych przyzwyczajęń. Uknucie planu pozbawienia go życia nie należało do szczególnie trudnych zadań. Sam był odważny i bezczelny, nie zamierzał się ukrywać i dalej prowadził szpanerskie życie, z którego zawsze był znany. Nigdy jednak nie pojawiał się nigdzie w pojedynkę; zawsze towarzyszyło mu dwóch zaufanych ochroniarzy: Tommy Taylor i Tom Torpey. Jego ostentacyjna obecność na mieście była pokazem siły. Taki już miał styl. Hollywood by go pokochało.

Thum, który kłębił się w Blue Gardenia w porze lunchu, już dawno zniknął. W lokalu pozostało tylko kilkoro maruderów. Sam skończył posiłek i relaksował się przy drinku. Blue Gardenia była jednym z jego ulubionych miejsc - można było go tam spotkać mniej więcej trzy razy na tydzień.

Sammy G może i nie był wykształcony, ale z pewnością nie można było nazwać go

głupcem. Zesztywniał na widok faceta stojącego w kabinie telefonicznej. Mężczyzna zachowywał się nerwowo. Kiedy tylko poczuł na sobie podejrzliwy wzrok Sammy'ego, natychmiast się ulotnił. Coś się szykowało. Sammy posłuchał swojego przeczucia i zaczął zbierać się do wyjścia.

Był już w drzwiach, gdy nagle wybuchła bomba i posypało się szkło. Podmuch eksplozji wyrzucił Sammy'ego na zewnątrz, prosto w śnieżną zaspę dwa metry dalej. Jakimś cudem odniósł tylko niewielkie obrażenia. Ale jego zemsta była dotkliwa.

Był to pierwszy z wielu zamachów na jego życie. Teraz, kiedy wróg przelał pierwszą krew, Sam był wstrząśnięty, nie stracił jednak jasności umysłu - wiedział, co musi zrobić. Nie chciał, żeby do tego doszło, jednak nie pozostawiono mu wyboru. Zwołał swoich żołnierzy i wziął srogi odwet na przeciwnikach. Zaczęła się wojna.

Jedną z wielu podziurawionych przez kule ofiar był Tommy DiDio. Zmarł, chociaż ukrył się w ustronnym motelu w pobliżu zjazdu ze stanowej drogi szybkiego ruchu numer 45. Tom należał do ludzi z poprzedniej ekipy - był jednym z chłopców Franka Valentiego. Na wiele lat zapadł się pod ziemię i nie odważył się wyściubić nosa, dopóki Sam z resztą wierchuszki nie powędrował za kratki. Niestety, wkrótce znowu trafił pod ziemię - tym razem już na dobre.

Czy informacje, które zdobyłam tamtego dnia, kiedy w Overlook szpiegowałam DiDio na polecenie Sama, kosztowały kogoś życie? Z tego, jak blisko byłam związana z tamtym światem, zdałam sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy go opuściłam.

Wreszcie Mahoney zdecydował się odwiedzić w więzieniu Franka Valentiego, teraz już starego i obłożnie chorego człowieka, i poprosił go, żeby skończył rządy terroru, które sam sprowokował. Valenti prawdopodobnie miał już nigdy nie opuścić swojej celi, ale nadal mógł pociągać z niej za sznurki. Faktem jest, że za dawnych lat Bill Mahoney i Frank Valenti byli przyjaciółmi. Niektórzy spekulowali nawet, że Mahoney rozpętał swoją krucjatę w interesie Valentiego, ale nigdy nie zdołano tego udowodnić.

Richard Adray zadzwonił do mnie wkrótce po moim powrocie do Los Angeles - miejsca, które teraz nazywałam domem. Miałam ochotę zamordować Susan za to, że dała mu mój numer.

- Miałabyś ochotę zjeść ze mną w piątek kolację? - zaproponował po raz czwarty. Był uparty, musiałam mu to przyznać.

- Dziękuję, Richard, ale nie mam opiekunki do dziecka.

- Wcale jej nie potrzebujesz. Zapraszam też twoją córkę.

Ponieważ nie potrafiłam wymyślić na poczekaniu żadnej innej wymówki, poszliśmy

na kolację z Toni. Richard wydawał się miłym człowiekiem. Moje początkowe obawy rozwiały się po kilku randkach, w których zawsze uczestniczyła moja córka.

Richard był krępy i niski - miał zaledwie nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu - ale jego pieniądze sprawiały, że wydawał się wyższy. Dowartościowywał się swoją ogromną fortuną. Zaczęłam to dostrzegać dopiero wtedy, gdy sama stałam się bardziej zdrowo myślącą osobą. Pomimo że pochodził z Bliskiego Wschodu, Richard miał jasną skórę. Jego kręcone, ciemne włosy były poprzetykane nitkami siwizny, zbyt licznymi jak na kogoś, kto miał dopiero trzydzieści pięć lat. Najbardziej atrakcyjne były jego błękitne oczy, w których koniec końców utonąłam.

Przyjemnie było mieć przyjaciela, z którym mogłam porozmawiać; z czasem zaczęłam z niecierpliwością czekać na nasze spotkania. Nie przepadałam za randkami - głównie dlatego, że nigdy nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Tymczasem Richard sprawił, że moje fobie zniknęły: kiedy wieczór dobiegał końca, chętnie zadawała się niewinnym całusem na dobranoc. Dobrze się przy nim czułam, a Toni podobało się, że Richard poświęca jej uwagę.

I wtedy zadzwonił Nelson.

- Witaj, Czarna Wdowo. Jak ci się żyje?

- Wspaniale, Nelson. Znowu mam przy sobie córkę. Pracuję. Świetnie sobie radzę.

- No cóż, bardzo mi przykro, że muszę ci popsuć humor - powiedział - ale nasz przyjaciel Steve znowu zaczyna swoje stare sztuczki.

Serce mi stanęło.

- Och, nie. Co się znowu stało?

- Na szczęście tym razem zdołaliśmy mu przeszkodzić, ale następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

- Co się dzieje, Nelson? Czy on wyszedł?

- Nie, nie. Ale teraz próbuje grać w swoje gierki zza krat. Siedział w jednej celi z naszym informatorem, który w tym tygodniu wyszedł na wolność. Mówiąc krótko, Steve zaproponował mu dziesięć tysięcy dolarów za zabicie cię. - Nelson zrobił krótką pauzę, czekając na jakąś reakcję, ale byłam zbyt odrętwiała, żeby wydusić choć słowo. - W tej chwili nic ci nie grozi, ale powinnaś rozejrzeć się za nowym mieszkaniem. Zastrzeż numer telefonu i nie zostawiaj nikomu nowego adresu.

- Kiedy to się wreszcie skończy, Nelson?

- Zawsze będę na ciebie uważał, przecież o tym wiesz.

- W ciągu tego roku przeprowadzałam się już tyle razy, że chyba mogłabym trafić do

Księgi rekordów Guinnessa.

- Pewnie tak. Zrób coś dla mnie. Oszczędź FBI trochę czasu i pieniędzy i daj nam znać, gdzie wylądujesz, dobrze?

Znalazłam mały, uroczy domek tuż pod Beverly Hills. Urzekł mnie plot z pomalowanych na biało desek. Zawsze chciałam mieszkać w domu z białym parkanem. Wciąż wierzyłam, że moje życie może wyglądać tak jak w serialu *Ozzie and Harriet*. Nawet jeśli nie miałam swojego Ozziego, to i tak pragnęłam stworzyć taki dom dla swojej małej dziewczynki. Przez moje złe decyzje straciła tak wiele z dzieciństwa.

Czynsz wynosił 1200 dolarów miesięcznie, ale już nie narzekałam na brak gotówki. Zdażyłam spłacić wszystkich, którzy w przeszłości pożyczili mi pieniądze. Pozbywszy się długów, zdecydowałam się zaszaleć i wynajęłam dom.

Wkrótce po przeprowadzce odebrałam telefon od Joego.

- Cześć, kochanie - usłyszałam w słuchawce jego łagodny, czuły głos.

- Cześć, Joe. Jak się miewasz?

- Tak dobrze, jak można się spodziewać. U ciebie wszystko w porządku?

- Tak, właśnie się zadomawiam.

- Jesteś pewna, że stać cię na ten dom?

- Mam pracę.

- Dlaczego nie pozwolisz mi sobie pomóc? Chryste, ale ty jesteś uparta.

Jasne, już to widzę. Zapłaci twój czynsz i kupi sobie prawo do tego, żeby znowu cię kontrolować. Jesteś wystarczająco bystra, żeby wreszcie zrozumieć, o co chodzi w taktyce „miłego gościa”. Nie potrzebujesz go.

- Dziękuję Joe, ale dam sobie radę.

- W przyszłym tygodniu przyjeżdża do mnie matka. Pytała, czy cię zobaczy. Mogłabyś wziąć Toni i przyjechać do mnie na weekend. Mama planuje zrobić swoją słynną zapiekankę makaronową ciotki Fannie.

- Joe, powinniśmy porozmawiać o rozwodzie. Nie możesz ciągle unikać tego tematu.

- Dlaczego? Spotykasz się z kimś? - zapytał podejrzliwie.

- Nie, ale kiedyś musimy w końcu się z tym zmierzyć.

- Lepiej, żebyś się z nikim nie umawiała, Georgia. Ciągle jesteś moją żoną - warknął.

- Joe, jesteśmy w oficjalnej separacji. Wystarczy, że minie jeszcze trochę czasu, i dostanę rozwód nawet bez twojej zgody.

- Więc właśnie tak będziesz musiała to zrobić. Przyjedziesz w ten weekend czy nie?

- Joe, nie sądzę...

- Kochanie, nie każ mojej matce cierpieć z powodu naszych problemów. Sama wiesz, jak bardzo kocha ciebie i Toni. Spędźmy razem miły weekend, dobrze?

- W porządku, Joe. Przyjadę. Ale nie wdawajmy się w żadne kłótnie, proszę.

Ja także kochałam Sue, mamę Joego. Była teściową, o jakiej marzą wszystkie kobiety. W weekend Joe zachowywał się wzorowo i rodzinne spotkanie się udało. Śmiałyśmy się i wspominaliśmy - to były wyjątkowo szczęśliwe chwile. Zapach przygotowywanego przez Sue jedzenia przywoływał we mnie wspomnienie czasów, kiedy byłam z Joem szczęśliwa. Jak wszystko mogło się tak popsuć? Joe ani na moment nie uwolnił wtedy swoich demonów, ale wiedziałam, że nadal gdzieś się w nim czają. Zmieniłam się, stałam się silniejsza i bardziej zdecydowana. Joe zdawał sobie sprawę, że jego stare metody przestały działać. Przekroczyła granicę, zza której nie było już powrotu. Teraz pozostało mi już tylko przekonać o tym Joego.

W czasie pobytu Sue u syna lekarze zdiagnozowali u niej guza mózgu. Ta wiadomość zdruzgotała nas oboje. Joe rozpaczliwie szukał wszelkich dostępnych terapii, zanim wreszcie pogodził się z faktem, że śmierć jego matki jest nieunikniona. Przez trzy kolejne miesiące w każdy weekend jeździłam do San Diego. Sue czekała na moje wizyty. Kapałam ją, myłam jej włosy i depilowałam nogi. Te najprostsze czynności sprawiały jej radość. A ja czułam się dobrze, mogąc jej pomóc.

Zanim Sue zmarła, Joe i ja osiągnęliśmy zupełnie nowy poziom wzajemnego zrozumienia. Tamto smutne doświadczenie sprawiło, że zostaliśmy przyjaciółmi. Śmierć matki była dla Joego bolesną lekcją, że czasem trzeba pozwolić drugiej osobie odejść.

W dalszym ciągu spotykałam się z Richardem. Toni zdążyła się już do niego przywiązać. Richard dobrze wiedział, jak zdobyć sympatię dziecka. Za każdym razem kiedy po nas przyjeżdżał, przywoził Toni jakąś drogą zabawkę. Powoli zastawiał sidła.

Czasem wskazywał na ludzi w restauracjach, w których zbierała się hollywoodzka śmietanka. „Spójrz na nich - mawiał. - Żaden z nich nie jest szczęśliwy. Wszyscy uganiają się za iluzjami. Prawdziwe szczęście to posiadanie rodziny”.

Rodzina - co za cudowny pomysł.

Takie szczęście naprawdę nie istnieje, White. Nie słuchaj go. Facet wciska ci kit!

Wbrew głosowi rozsądku zaczynałam traktować Richarda coraz poważniej. Minęło osiem miesięcy i doszliśmy do etapu pocałunku przy drzwiach. Miałam poczucie, że żaden mężczyzna nie uzna mnie za kobietę, o którą warto zabiegać, i bałam się otworzyć serce. To by oznaczało rezygnację ze wszystkiego, o co tak ciężko walczyłam. Ale Richard potrafił uderzać we właściwe struny.

Byłam zaskakująco szczęśliwa - musiałam to przyznać. Richard traktował mnie i Toni jak królowny, do czego żadna z nas nie była przyzwyczajona. Czułam się przy nim wyjątkowa; jak ktoś, kto naprawdę ma coś do zaoferowania drugiej osobie. W tamtym trudnym emocjonalnie okresie mojego życia Richard był niczym balsam dla mojej duszy. Wiedział o mojej przeszłości z Joem, a także o moich kłopotach ze Steve'em, a jednak nie próbował mnie osądzać.

Nie był specjalnie atrakcyjny i pomimo swojej zamożności kiepsko wykształcony. Uznałam, że to właśnie jego przeciętna inteligencja zdecydowała o tym, że chciał mieć właśnie mnie - po prostu nie przyszło mu do głowy, że mógłby chcieć czegoś więcej. Ale mimo to dobrze rozgrywał swoją partię i był cierpliwy. Wiedział, czego chce, i aby to osiągnąć, był gotowy prowadzić dowolną grę - był pewny, że w końcu to właśnie on będzie zwycięzcą.

Po upływie kolejnego roku wreszcie dostałam rozwód. Joe nie próbował protestować. Zatrzymał to, co należało do niego, a także to, co powinno przypaść mnie. Nie upominałam się o nic. Wystarczył mi sam rozwód.

Co prawda wspomnienia przeszłości ciągle jeszcze mnie nawiedzały, ale stopniowo zacierały się w mojej pamięci. Często rozmawiałam z Joem i przestałam się go bać. Od czasu do czasu nawet się odwiedzaliśmy. Wpadałam do niego, kiedy praca wymagała ode mnie wyjazdu do San Diego, a on przyjeżdżał niekiedy do L.A. Nigdy nie sądziłam, że uda nam się w taki sposób ułożyć nasze stosunki. Nie dopuszczałam do siebie możliwości powrotu do niego, ale Joe wciąż kurczowo trzymał się nadziei, że kiedyś jeszcze będziemy razem.

Podczas jednej z moich zawodowych podróży na Południe odwiedziłam Joego w konkretnym celu. Zrobiłam to, choć nie byłam pewna, czy bezpośrednia rozmowa jest najlepszym sposobem na załatwienie tej sprawy. Kiedy zapukałam do jego drzwi, słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Joe na mój widok uśmiechnął się i nalał nam po kieliszku wina. Siedzieliśmy na patio i obserwowaliśmy zachód słońca, tak jak wielokrotnie robiliśmy to w przeszłości.

- Joe, Richard mi się oświadczył - wyznałam wreszcie.

Niewiele brakowało, a udławiłby się winem. Po chwili zaskoczenie na jego twarzy ustąpiło miejsca niepokoju.

- Chyba się nad tym nie zastanawiasz, prawda?

- Cóż...

- Nie wierzę! Jak mogłaś choćby tylko pomyśleć o sypianiu z tym arabusem?

- On jest dla mnie dobry, Joe. Jest dobry dla Toni. Obie zasługujemy na prawdziwe

życie.

- Wiem, że byłem gównianym mężem i gównianym ojcem. Ale chyba nie myślisz o tym poważnie?

Zanim ponownie się odezwałam, zastanowiłam się przez -chwilę.

- Zgodziłam się.

- Chodzi o pieniądze, tak?

- Nie, Joe. Nie chodzi o pieniądze.

- No przecież nie o jego wygląd ani o intelekt!

- Co do tego, masz rację. Ale Richard był przy mnie wtedy, kiedy potrzebowałam przyjaciela. Doceniam takie rzeczy, Joe. Jest dobry. Jest miły...

- Kogo ty próbujesz przekonać: mnie czy siebie?

- Toni jest teraz innym dzieckiem. Dużo się śmieje. Nie pamiętam już, kiedy wyglądała na tak szczęśliwą.

- No cóż, to wspaniałe wiadomości. Świętujmy. - Jednym haustem opróżnił kieliszek i nalał sobie kolejny.

- Już nigdy nie pokocham nikogo tak mocno i tak intensywnie, jak kiedyś kochałam ciebie, Joe. Ale to są różne rodzaje miłości. Tego, co czuję do Richarda, nie da się nawet porównać z tamtym uczuciem. Tamta miłość była zbyt bolesna. Zdarzyła się raz i to wystarczy. Richarda kocham zupełnie inaczej.

Moje słowa sprawiły, że poczuł się lepiej.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja - odezwał się - że kiedy już skończysz robić to, co twoim zdaniem musisz zrobić, wtedy znowu będziemy razem. Jestem teraz takim facetem, jakiego zawsze chciałaś. Bardzo się zmieniłem. Musisz to przyznać, Georgia.

- To prawda, zmieniłeś się, ale za mało i zbyt późno. Już dawno podjęłam decyzję: nie jesteś osobą, z którą chcę spędzić resztę życia.

- A on jest?

- Jestem teraz szczęśliwa, Joe. I na tym poprzestańmy.

- Gówno prawda! Może uda ci się wmówić to jemu, ale na pewno nie mnie!

- Nie mówmy już o tym, Joe. Pomyślałam, że zanim to zrobię, powinnam z tobą porozmawiać. Byłam ci to winna. Ale nie chcę się kłócić.

- Kiedy ma się odbyć to radosne wydarzenie?

- Jeszcze nie wiem.

- Owszem, wiesz.

- Nie wiem, Joe.

- W każdym razie, kiedy już się dowiesz, chcę, żebyś mnie poinformowała.

- Nie wydaje mi...

- Chciałbym cofnąć te wszystkie złe rzeczy, które ci zrobiłem. Dlaczego byłem takim pieprzonym idiotą? Nadal cię kocham, Georgia. I będę cię kochał aż do śmierci. Nie mam do ciebie pretensji o to, że chcesz lepszego życia. Ale jedno musisz mi obiecać.

- Co?

- Że nigdy nie wyrzucisz mnie ze swojego życia. Jeśli nie będę mógł przynajmniej słyszeć twojego głosu, nie mam po co żyć.

- Nie zrobię tego, Joe.

- Ty i Toni jesteście wszystkim, co mam. Jej też nie możesz mi odebrać. Nigdy nie naprawię krzywdy, jaką wyrządziłem tobie, ale daj mi chociaż szansę, żeby mógł to wynagrodzić Toni. Proszę, nie pozwól, żeby przez resztę życia miała o mnie wyłącznie złe wspomnienia. Musisz mi pozwolić się z nią widywać. Nie wykluczaj mnie. Obiecay mi to, Georgia.

- Powiedziałam, że cię nie wykluczę. Nie próbuję cię ukarać, Joe. Sama nie wiem, jak to się stało, ale sprawy między nami ułożyły się tak, że czuję się z tym dobrze. Nigdy bym nie pomyślała, że będziemy w stanie rozmawiać tak jak teraz, bez...

- Nie! Nie wracajmy do tego, co było. Dopóki mogę spędzać trochę czasu z Toni i rozmawiać z tobą, przeżyję. Przynajmniej tyle jestem ci winien.

- Dziękuję, Joe.

- Może któregoś dnia zobaczysz, że nie jestem takim złym gościem. Może...

Bardzo długo tulił mnie w milczeniu. Jego łzy spływały strużkami po moim karku. Ja również płakałam, z żalu po tym, co mogło być, ale już być nie może.

- Pozwól mi się z tobą kochać; ten ostatni raz...

Ledwo zdążyłam się obudzić, kiedy zadzwonił telefon. Nie zdążyłam jeszcze wypić mojej porannej kawy, ale po tym, co miałam za chwilę usłyszeć, potrzebowałam raczej szklanki szkockiej z wodą.

- Witaj, Czarna Wdowo.

- Nelson! Czyżbyś nadal czaił się gdzieś w moim życiu?

- Mówiłem ci przecież, że zawsze będę cię pilnował, prawda?

- Co się stało, Nelson? Co on znowu kombinuje?

- Tym razem nie chodzi o Steve'a. Dziś rano przyszedłem wcześniej do biura i odebrałem pewną wiadomość, którą przysłali nam faksem. Pomyślałem, że pewnie chciałybyś to usłyszeć, o ile jeszcze o niczym nie wiesz.

Poczułam tępy ucisk w klatce piersiowej. Wzięłam głęboki oddech.

- O co chodzi, Nelson?

- Zeszłej nocy dopadli twojego przyjaciela.

- Którego przyjaciela, Nelson? - zapytałam. Zamknęłam oczy i modliłam się bezgłośnie.

- Zabili Sammy'ego Gingello.

- O Boże... Sammy! - krzyknęłam, czując, jak żołądek podjeżdża mi do gardła. - Jak to się stało?

Ostatnio za każdym razem, gdy dzwoniłam do domu, dowiadywałam się o kolejnej zamordowanej osobie. To, co się stało, było tylko kwestią czasu. Natychmiast po rozmowie z Nelsonem zadzwoniłam do kilku osób, które tamtej feralnej nocy spotkały Sammy'ego w różnych miejscach. Odtworzyłam przebieg wydarzeń na podstawie ich relacji i swoich własnych doświadczeń z czasów, kiedy bywałam na mieście w towarzystwie Sama. W ten sposób odtworzyłam w myślach ostatnią drogę Sammy'ego...

Sammy wkroczył śmiało do pękającego w szwach baru Club Car na Lyell Avenue - biła od niego pewność siebie mafijnego dona, którym przecież był. Tuż za nim podążali jego ochroniarze, Tommy Taylor i Tom Torpey. Byli jego oczami, kiedy przeciskał się przez tłum i ścisnął wyciągające się ku niemu ze wszystkich stron dłonie. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że do lokalu przybył sam prezydent. Sammy posuwał się naprzód powoli, pozdrawiając obecnych skinieniem głowy i co jakiś czas przystając, żeby zamienić kilka słów z niektórymi ze swoich zwolenników.

- Dobrze cię znowu widzieć, Sammy - dobiegł okrzyk z tłumy.

- Tych pierdolonych kapusiów powinno się usmażyć na krześle elektrycznym! - stwierdził ktoś inny, klepiąc Sammy'ego po plecach.

- Trzymaj łapy przy sobie! - rzucił natychmiast Tommy Taylor, lodowatym spojrzeniem zmuszając zuchwalca do cofnięcia się.

- Nie ma sprawy, nie ma sprawy - powiedział mężczyzna, unosząc do góry ręce i wtapiając się w tłum.

Przy stoliku w kącie lokalu siedziało dwóch oficerów policji, którzy przyglądali się całej scenie i pewnie żalowali, że nie są niewidzialni. Ich koledzy, którzy sfabrykowali dowody, na podstawie których skazano oskarżonych o zabójstwo Jimmy'ego „Młotka” Massaro, teraz sami powędrowali za kraty, zajmując miejsca zwolnione przez Sammy'ego i jego świtę. Boss powrócił, ale jego nieobecność trwała zbyt długo, a gra szła o zbyt wielkie pieniądze, żeby mógł liczyć na bezbolesny powrót na tron w zdradliwym świecie

przestępczości zorganizowanej. Królestwo wciąż należało do Sammy'ego, ale pod jego nieobecność niektórzy z jego lojalnych żołnierzy przeszli na stronę nieprzyjaciół. W tamtym świecie, w którym lojalność to władza, trudno było teraz przewidzieć, kto może okazać się wrogiem.

Kula z imieniem Sammy'ego gdzieś już na niego czekała. Sammy przeczuwał to, ale nie miał zamiaru żyć w ukryciu. Wbrew radom dwóch wielkich facetów, którzy stali teraz u jego boku, nie włożył kamizelki kuloodpornej. Zostawił ją na tylnym siedzeniu swojego buicka, razem z naładowaną strzelbą kalibru.20. Do cholery z kamizelką - przecież taka „bielizna” zdefasonowałaby kosztowny, uszyty na miarę jedwabny garnitur, który tak idealnie leżał na Sammym.

- Spadajmy stąd - zarządził Sam, opróżniwszy ostatnią szklaneczkę szkockiej. - Sprawdzimy, co słychać na drugim końcu miasta.

W drodze do wyjścia nie obyło się bez takiego samego przedstawienia, w jakim Sammy brał udział, wchodząc do baru. Zanim wsiedli do samochodu, Taylor i Torpey dokonali szybkich oględzin pojazdu. Jadąc Lyell Avenue, zastanawiali się, czy nie wstąpić do dawnego Caesars II, obecnie noszącego nazwę Alexander's. Ostatecznie postawili tego nie robić: po pierwsze dlatego, że klub stracił na atrakcyjności w porównaniu z czasami, kiedy należał jeszcze do Joego Lamendoli; po drugie dlatego, że obecnym właścicielem był brat tej parszywej mendy Jimmy'ego Massaro. Wizyta w jego lokalu to nie był dobry pomysł.

Następnym przystankiem był klub 747. Sammy wpadł tam na krótko, a potem przeniósł się do Encore, gdzie w słabo oświetlonym pokoju na zapleczu rozegrał kilka partyjek kości. Całą wygraną wręczył stojącej obok niego dziewczynie, która, jak sądził, przyniosła mu szczęście. Ostatnim przystankiem miało być Ben's Café Society.

Jeżdżąc od baru do baru - zgodnie z ulubionym rytuałem Sammy'ego, za którym tak bardzo tęsknił w czasie długich nocy i dni spędzonych za kratkami - nie zauważyli jasnego lincolna ze zgaszonymi światłami, który przez cały wieczór podążał za nimi, trzymając się w cieniu i zachowując dystans dwóch przecznic.

Z Ben's miałam wiele miłych wspomnień - tyle razy się tam śmiałam, a nawet uroniłam kilka łez. Kiedyś było to jedno z moich ulubionych miejsc. Oczami wyobraźni widziałam dokładnie jego wystrój. Pamiętałam, jakie było ustawienie stolików i gdzie stał fortepian... wszystko wydawało się dobrze znajome, tak samo jak uśmiechy witające Sammy'ego, kiedy z gracją zmierzał do stolika, który zawsze stał pusty i czekał na jego przybycie.

Sam zauważył przy barze samotną, zapłakaną dziewczynę i polecił postawić jej

drinka, chociaż najwyraźniej zdążyła już wypić o jednego za dużo. Nie musieli zamawiać nic dla siebie, bo kiedy podeszli do stolika, czekały już tam na nich trzy szklaneczki whisky. Po kilku minutach dołączyły do nich cztery małe kieliszki. Torpey i Taylor sączyli swoje drinki powoli - byli w pracy.

W tym samym czasie, kiedy do ich stolika podchodziły kolejne osoby, pragnące osobiście powitać króla, przez parking skradał się Sonny Serpentino z bombą w rękę. Po drugiej stronie ulicy, w Rascal Café, siedział niczego niepodejrzewający komendant Bill Mahoney, wpatrywał się w pustą szklanekę i rozmyślał nad swoją karierą. Do pewnego momentu wszystko szło tak dobrze. A teraz cały jego świat nagle się zmienił. Dobrzy chłopcy stali się czarnymi charakterami. Jak mógł być tak nieostrożny? Teraz wszystkie te lata, które poświęcił służbie prawa, pójdą w zapomnienie. Nie odejdzie ze służby tak, jak to sobie planował - w glorii bohatera. Zamówił kolejnego drinka, żeby o tym zapomnieć.

Nagle drzwi baru otworzyły się z impetem i pijacki śmiech poniósł się po parkingu. Serce Sonny'ego zamarło; ukrył się ostrożnie za buickiem rocznik 1978. Musiał działać szybko. To była jego ostatnia szansa. Tego wieczoru już dwa razy musiał przerwać swoją misję. Tym razem musiało mu się udać.

Tymczasem w środku podszedł do Sammy'ego Murph Marciano, który pracował dla prokuratury przy sprawie Sammy'ego. Obaj byli przyjaciółmi jeszcze z czasów dzieciństwa. Kiedy dorośli, ich drogi rozeszły się - Murph stanął po stronie prawa, a Sammy po drugiej stronie barykady.

- Dobrze cię znowu widzieć, Sam - powiedział szczerze Murph.

- Tak, dzięki za pomoc - odparł ironicznie Sammy.

Murph zmarkotniał i odwrócił twarz. Kiedy Sammy położył mu rękę na ramieniu, Murph spojrzał na niego zbolałym wzrokiem. Kochał Sama. Nie był winien temu, że sprawy potoczyły się w taki a nie inny sposób.

- Ech, zrobiłeś, co musiałeś zrobić, ale powinieneś być mnie posłuchać, kiedy byliśmy dziećmi. Już wtedy ci mówiłem, że te przeklęte książki wpędzą cię w tarapaty. Powinieneś pamiętać, gdzie masz przyjaciół, Murph - napomniął Sam, lustrując wzrokiem twarz swojego starego przyjaciela.

Murph wstrzymał oddech. Po chwili Sam mrugnął do niego i dodał:

- Nie mam ci tego za złe, chłopie.

Murph odetchnął z ulgą, wdzięczny za rozgrzeszenie. Może teraz znowu będzie mógł spać spokojnie. Siedział okrakiem na barykadzie i naprawdę robił, co mógł, żeby się na niej utrzymać.

Sonny skończył podkładać bombę i czmychnął do bocznej uliczki, w której zostawił swojego lincolna. Czekał z palcem na detonatorze i z zastygłym na twarzy uśmiechem.

Kiedy barman zaczął przyjmować ostatnie zamówienia przed zamknięciem lokalu, Mahoney zapłacił rachunek i wyszedł, zatopiony we własnych myślach. W drodze do zaparkowanego półtorej przecznicy dalej samochodu zauważył złotego lincolna. To właśnie dostrzeżenie szczegółów sprawiło, że stał się kiedyś dobrym gliniarzem. Dobry czy zły, nigdy nie przestanie być gliną. Był nim już zbyt długo, żeby teraz zmieniać cokolwiek w swoim życiu. Zbyt wiele wypitych drinków zmąciło mu umysł. Pomyślę o tym jutro. Tej nocy i tak już za dużo rozmyślał.

- No, co wy na to, chłopaki - powiedział Sammy. - Wpadniemy jeszcze do nocnego klubu, zanim damy sobie na dziś spokój?

- Chyba przeciągamy już strunę, Sammy - odparł Taylor.

- Tak, może i masz rację.

Wstali i zaczęli zbierać się do wyjścia. Torpey i Taylor byli czujni. Udało im się: minął kolejny wieczór bez żadnego incydentu. Może jutro pojedą rolls-royce'em.

- Dziękuję za drinka, panie Gingello - wybelkotała siedząca na barowym stołku zapłakana dziewczyna.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Sammy i nie zatrzymując się, poprawił spinki w mankietach i krawat.

Może wszyscy wypili po prostu o jedną kolejkę za dużo. Nie zwracali już takiej uwagi na szczegóły jak wtedy, kiedy wieczór dopiero się zaczynał. Sammy otworzył drzwi samochodu jako pierwszy i beztrako wszedł do środka. Taylor i Torpey dopiero co otworzyli swoje drzwi i jeszcze nie zdążyli wgramolić się do wozu - ale Sonny nie mógł już dłużej wytrzymać. Spoconym palcem nacisnął przycisk detonatora.

Wyobrażałam sobie, jak Sammy uśmiecha się coraz szerzej na widok jaskrawopomarańczowych płomieni. Odłamki szkła i szczątki karoserii wystrzeliły na wszystkie strony w promieniu ponad czterdziestu metrów. Siła eksplozji odrzuciła Taylora i Torpeya na dziesięć metrów od samochodu. Huk było słychać w miejscach oddalonych od South Avenue nawet o pięć kilometrów.

Mahoney usłyszał stłumiony odgłos w drodze do domu, wzruszył ramionami i pojechał dalej.

Murph był pierwszą osobą, która wybiegła z baru na parking.

- O mój Boże, dopadli Sammy'ego - zawołał z niedowierzaniem. - Niech ktoś wezwie karetkę!

Rzucił się w kierunku samochodu, ale buchające płomienie nie pozwoliły mu zbliżyć się na tyle, żeby mógł spróbować ratować przyjaciela.

Jako pierwsza dotarła na miejsce straż pożarna. Torpey i Taylor krążyli wokół wozu, obaj byli ogłuszeni i pod wpływem szoku, ale nie odnieśli żadnych poważniejszych obrażeń. Strażacy nie byli w stanie dostrzec Sammy'ego przez zasłonę płomieni. Udało im się ugasić pożar, ale musiały minąć jeszcze dwie długie minuty, zanim w końcu go zobaczyli. Leżał na plecach, obok progu po stronie kierowcy; nieruchomy i z szeroko otwartymi oczami. Wokół niego było bardzo niewiele krwi, ale jego prawa noga była całkowicie oderwana, a lewa trzymała się na strzępach ciała. Na twarzy miał kilka skaleczeń i siniaków, ale poza tym górna połowa jego ciała była właściwie nienaruszona.

Strażacy uznali, że Sammy nie żyje, i odciągawszy go dymiącego wraku, ułożyli jego ciało na noszach. Zrozpaczony tłum gapiów przyglądał się temu z przerażeniem. I wtedy Sammy się poruszył. Nadal żył! Próbował unieść głowę i spojrzeć na swoje nogi, ale nie starczyło mu sił. Nawet w ciężkim szoku nie brakowało mu determinacji. Zmobilizował całą siłę woli i wreszcie udało mu się unieść górną połowę ciała na tyle, żeby zobaczyć, że nie ma już nóg. Bez słowa opadł ponownie na nosze.

- Kto ci to zrobił, Sammy? - zapytał przybyły na miejsce oficer policji.

Sammy spojrzał na niego, podniósł prawą rękę i wyprostował środkowy palec; potem zamknął oczy.

Kiedy wsuwano pokaleczone ciało Sama do karetki, jego ramię zsunęło się z noszy i dyndało bezwładnie. Nikt z zebranych na parkingu ludzi nie poruszył się, dopóki syrena karetki nie ucichła zupełnie w oddali. Jednak nawet wtedy nikomu nie było pilno do uruchomienia swojego samochodu. Godzinę później w szpitalu Genesee stwierdzono zgon Sammy'ego G, wywołany wstrząsem i utratą krwi.

Krwawa wojna, która wybuchła po śmierci Sammy'ego G, doczeka się pewnie kiedyś filmowej opowieści, ale na razie ślad po tamtych wydarzeniach pozostaje wyłącznie w pamięci tych nielicznych, którzy zdołali je przeżyć. Był to nie tylko koniec mafii w północnej części stanu Nowy Jork, ale także punkt zwrotny w moim życiu - rozdroże, na którym już dawno powinnam była stanąć. Był to zarazem jedyny sposób, w jaki mogła zakończyć się historia Sammy'ego. Mieczem wojujesz, od miecza giniesz.

Skruszony został kamień węgielny mojej przeszłości związanej z przestępczym półświatkiem. W ten sposób dokonało się zamknięcie pewnego etapu - coś, czego potrzebowałam, żeby móc zmienić swoje życie. Mrok odnajdywał mnie jeszcze od czasu do czasu, domagając się spłaty starych długów; mimo to jednak udało mi się ruszyć naprzód ze

swoim życiem, bez oglądania się na świat, którego nie chciałam już dłużej pamiętać.

Żegnaj, mój przyjacielu... Spoczywaj w pokoju...

Dzisiaj zorganizowana przestępczość wciąż prowadzi w Rochester swoje interesy - zmienili się tylko wszyscy gracze. Wszystko się zmienia. Cienie mojej przeszłości nawiedzają mnie i odchodzą, ale gangsterów widuję dziś głównie w telewizji. Film *Chłopcy z ferajny* wiernie oddawał to, w jaki sposób ja sama postrzegałam życie w mafii. Ale to wszystko należy już do mojej przeszłości. Dzisiaj moje życie jest inne, tak samo jak inni są ludzie w nim obecni. Ale jedna rzecz się dla mnie nie zmieni: tamte wydarzenia, niczym negatywy zdjęć na błonie światłoczułej, zapisały się na trwałe w moim umyśle.

Rozdział dwunasty

Nie wysłaliśmy żadnych zaproszeń. W dużym apartamencie w hotelu Desert Inn w Las Vegas obecna była tylko rodzina i kilkoro najbliższych przyjaciół. Joe nie był zachwycony tym ślubem. Wiedział, że do niego dojdzie, ale nie znał daty ani miejsca. Co prawda zaczęliśmy w końcu normalnie ze sobą rozmawiać i nie próbował już używać przemocy, żeby mnie odzyskać, ale mimo to wolałam być ostrożna, znając jego nieprzewidywalną osobowość. Był rok 1979, Święto Dziękczynienia. Moje nowe życie zaczynało się tego samego dnia, którego sześć lat wcześniej Jimmy Massaro zakończył swoje.

- Ogłaszam was mężem i żoną.

Odetchnęłam. Przyszła kolej na podpisanie aktu ślubu.

Na druhnę wybrałam Darlene, była żoną młodszego brata Joego. Kiedy wzięła do ręki długopis i miała złożyć podpis jako świadek, zawahała się. Łatwo było ją rozszyfrować. Niepokoiła się, że Joe lub jego brat Jimmy mogliby się dowiedzieć, że przyłożyła rękę do popełnianej przez mnie „zbrodni”, jaką było ponowne wyjście za mąż. Kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem, Joe zabraniał mi przyjaźnić się z Darlene, ponieważ uważał, że jej niezależny charakter ma na mnie zły wpływ - a teraz Darlene została na dodatek moją druhną. Nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze z szaleństwem tamtego świata, który obie poznałyśmy. Potrafiłam zgadnąć, o czym teraz myśli. Wreszcie westchnęła pod nosem: „O Boże”, i szybko podpisała akt ślubu w odpowiednim miejscu.

Fotograf, który pragnął uwiecznić ten moment, przytrzymał ją za ramię:

- Dokąd pani ucieka? Proszę dać mi szansę zrobić zdjęcie.

Darlene zerknęła na mnie, przewróciła oczami i niechętnie wróciła pozować do idealnej fotografii.

- To wszystko jest po prostu zbyt dziwne - szepnęła do mnie, kiedy fotograf poszedł utrwaląc kolejne wspomnienia.

- Nie aż tak dziwne jak nasza przeszłość, Dar - odparłam również szeptem, uśmiechając się do niej.

Moi rodzice, oboje z wilgotnymi oczami, na przemian składali mi gratulacje.

- Jesteśmy dziś tacy szczęśliwi, kochanie - powiedziała moja matka. - Może teraz zaznasz w końcu trochę spokoju.

Gdyby wiedziała choćby o połowie tego, co dotąd przeżyłam...

- Chciałabym, żeby Sharon też tutaj była, mamó. Wtedy już niczego nie brakowałoby

mi do szczęścia.

- Przecież wiesz, że twoja siostra nie weszłaby do samolotu, nawet gdyby zależało od tego jej życie - przypomniał mi tata.

- Wiem. Tyle rzeczy ją przez to omija.

- Georgia! Dzwoni twoja siostra! - wrzasnęła opryskliwym tonem moja świeżo upieczona teściowa, stojąca na drugim końcu sali.

Relacje łączące Richarda z jego despotyczną matką były zdecydowanie dziwne; miałam nadzieję, że moje stosunki ze zdziwaczalą teściową jakoś się ułożą i że nie zostanę przez nią stłamszona.

- O wilku mowa - powiedziałam i kurcząc się ze wstydu, przeszłam przez cały pokój do telefonu.

- Gratulacje, siostrzyczko.

- Dzięki, Sharon. Brakuje nam tu ciebie.

- Ja też chciałabym tam z wami być. Mam nadzieję, że twoje małżeństwo będzie udane. Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwą. Toni jest pewnie bardzo podekscytowana?

Stojąca obok mnie Toni przypominała małą księżniczkę. Wyglądała promiennie. Nachyliłam się, by ją pocałować, a fotograf uchwycił ten moment nieupozowanej czułości.

- Mamo, czy teraz mam mówić do Richiego „tatusiu”?

- Jeśli tylko chcesz, kochanie. Myślę, że mu się to spodoba.

Słyszałam, jak matka Richarda hałaśliwie i w prostacki sposób rozstawia po kątach personel wynajęty do obsługi uroczystości. Doszłam jednak do wniosku, że jeśli to ona ma być największym z moich problemów, to nauczę się to znosić. Tymczasem polał się szampan i rozbrzmiały dźwięki fortepianu. Właśnie zaczynało się moje nowe życie.

Stałam akurat przy barze i gawędziłam z naszymi gośćmi, kiedy otworzyły się drzwi apartamentu. Oczy zgromadzonych zwróciły się na dwóch mężczyzn, którzy weszli do środka. Wszyscy natychmiast pojęli, że nie są to zwyczajni goście - jeden z nich był tak duży, że musiał się pochylić, by zmieścić się w drzwiach. Podążyłam wzrokiem za spojrzeniami innych i ujrzałam zmierzającego w moją stronę Joeya Tiraborellego oraz jego ochroniarza, Tommy'ego Taylora. Joey maszerował pewnym krokiem, a na jego twarzy malował się arogancki uśmieszek. Kompletnie łysy, muskularny i ważący dobre sto dziesięć kilogramów Tommy przypominał postać z etykiety detergentów marki Mr. Clean.

Joey był kumplem Sammy'ego G, a także człowiekiem, który dawno temu w pewnym nocnym klubie w Rochester brutalnie pobił na moich oczach Joego. Z kolei Tommy Taylor był jednym z dwóch ochroniarzy, którzy towarzyszyli Sammy'emu w noc jego zabójstwa.

- Joey! - wydałam stłumiony okrzyk.

Nie miałam pojęcia, co on i Tommy mogli tutaj robić. Od znajomych z Rochester słyszałam, że po śmierci Sammy'ego Joey stracił wpływy i musiał się ukrywać. Dowiedziałam się też, że popadł w silne uzależnienie od kokainy i narobił sobie długów w całym mieście.

Podszedł do mnie z otwartymi ramionami: objęliśmy się, po czym Joey ucałował mnie w oba policzki. W rogu sali zauważyłam Darlene, która przyglądała się tej scenie; nie przepadała za Joeyem i teraz było to po niej widać.

- Co wy tu robicie? - zapytałam i jednocześnie zdałam sobie sprawę, że przestała grać muzyka.

Wszyscy obecni obserwowali nas z zaciekawieniem. Mina stojącego przy drugim końcu baru Richarda wyrażała nieufność zmieszaną ze strachem.

- Wpadliśmy napić się szampana! - oznajmił wesoło Joey, próbując rozluźnić atmosferę, jaka zapanowała na sali.

Spojrzałam na mężczyznę siedzącego przy fortepianie.

- Graj dalej - poleciłam.

Ponownie rozległa się muzyka, ale goście nadal wyglądali na zaniepokojonych; dotyczyło to zwłaszcza Darlene.

- Słyszałem, że wychodzisz za mąż, a ponieważ akurat byłem w mieście, postanowiłem zrobić ci niespodziankę.

- No i zrobiłeś. Kto powiedział ci o ślubie?

- W zeszłym tygodniu wpadłem przypadkiem na twoją siostrę.

- Piękna z ciebie panna młoda, Georgia - wtrącił Taylor.

- Dzięki, Tommy. Chyba ja sama muszę tak sądzić, skoro zostałam nią już po raz trzeci.

Roześmialiśmy się.

- A gdzie jest szczęśliwy wybranek? - spytał Joey, rozglądając się w poszukiwaniu najbardziej prawdopodobnego kandydata.

Ruchem głowy wskazałam na Richarda, który niepewnie ruszył w naszą stronę.

Wygląd Tommy'ego Taylora robił wrażenie. Potężny byczy kark i łysa głowa w dalszym ciągu przykuwały uwagę obecnych. Tommy palił papierosa, przyglądając się nadchodzącemu Richardowi. Kłęb dymu spowił jego twarz, a wylupiaste oczy zwięzły się w szparki. Zmierzył Richarda spojrzeniem. Nie wyglądał na zachwyconego tym, co zobaczył.

- Richard, to Joey Tiraborelli i Tommy Taylor. Moi starzy znajomi z Rochester.

- Miło was poznać - powiedział mój mąż, rzucając po sali nerwowe spojrzenia.

Zapadło krępujące milczenie. Joey z kamienną twarzą spojrzał Richardowi prosto w oczy. Przygwoździwszy go wzrokiem, odezwał się szorstko:

- Lepiej, żebyś był dla niej dobry.

Sposób, w jaki to powiedział, wywołał ciarki na moich plecach. Richard również zrozumiał ostrzeżenie. Atmosfera stawała się coraz gęstsza. Wreszcie Tommy zdecydował się rozładować napięcie. Otoczył mnie ramieniem i powiedział:

- Georgia to naprawdę wyjątkowa osobka. Szczęściarz z ciebie, Richard.

- Dziękuję, wiem o tym - odparł Richard, nadal zauważalnie spięty.

- Jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy pomówić na osobności, Georgia? - spytał Joey, ignorując Richarda.

- Kim są ci faceci? - wyszeptał mi do ucha Richard, odciągając mnie na bok.

- To chyba oczywiste, prawda?

- Faktycznie. I to dla każdego na tej sali. Pozbądź się ich.

Zostawiłam zabawianie naszych gości Richardowi, a sama zaprowadziłam Joeya do eleganckiej sypialni na piętrze, na które prowadziły spiralne schody. W ślad za nami podążył Tommy.

- No więc, w czym rzecz?

- W Rochester źle się dzieje, Georgia. Odkąd zabrakło Sammy'ego G, mamy praktycznie jedno morderstwo na tydzień.

- Wiem, słyszałam o tym.

- Toczy się cholerna walka o wpływy i obawiam się, że to nie my ją wygrywamy.

Tommy kiwał potakująco głową po każdym słowie.

- To już nie jest mój świat, Joey.

- To zawsze będzie twój świat, kochanie. Dziewczynę można wyrwać z Nowego Jorku, ale nigdy nie wyrwie się Nowego Jorku z dziewczyny.

- Chcesz się założyć? Nigdy nie odmawiałeś zakładu, Joey. Może postawisz coś i tym razem?

- Georgia, muszę na jakiś czas zniknąć - powiedział, zmieniając ton na bardziej pojednawczy. - Potrzebuję pięciu patyków.

- Jezu Chryste, Joey, dzisiaj wzięłam ślub.

Jego górna warga uniosła się i rozciągnęła w szerokim uśmiechu.

- Wydaje ci się, że skoro wyszłaś za milionera, to możesz zapomnieć o starych przyjaciółach? Założę się, że nawet w tamtej kasetce masz więcej niż pięć tysięcy.

- To on jest milionerem, Joey. Nie ja.

- Chyba wiem, jak można zrobić z ciebie milionerkę, i to całkiem szybko.

- Daj spokój, Joey. Nie żartuj w ten sposób.

- To nie żart - odparł, uśmiechając się lodowato.

- Co to ma być, Joey? Pieprzona próba wymuszenia? - warknęłam.

- Oczywiście, że nie, kochanie. - Joey złagodniał. - Jesteśmy przyjaciółmi.

A przyjaciele sobie pomagają. Jestem w sytuacji bez wyjścia, George. W przeciwnym razie o nic bym cię nie prosił. Jeśli za pięć lat chcesz jeszcze zobaczyć swojego starego kumpla żywego, pomożesz mi. Jeśli odmówisz, to wydasz na mnie wyrok śmierci.

- Nie wciskaj mi tego kitu, Joey. Nie wydaję na ciebie żadnego wyroku. Ty sam to zrobiłeś, i to już dawno temu.

- Powiedz mi, ile razy ratowałem twój tyłek przed tamtym gnojkiem, który był twoim mężem? - przypomniał.

Oczami wyobraźni zobaczyłam wyraźnie, jak Joey robi na czole Joego znak krzyża jego własną krwią.

- To nie ty ratowałeś mój tyłek, tylko Sammy. A ja nigdy was nie prosiłam o tę przysługę. Poza tym, mieliście swoje własne powody. Nie próbuj mi wmawiać, że zrobiliście to wszystko z mojego powodu. Teraz to ty zapominasz, że rozmawiasz z dziewczyną z Nowego Jorku.

- Gdyby Sammy nie został bossem, być może nigdy nie miałabyś szansy, żeby włożyć tę piękną białą sukienkę. I cholernie dobrze o tym wiesz. Kto tu kogo oszukuje?

Tommy w milczeniu przysłuchiwał się naszej scysji. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani przez moment. Nie uśmiechnął się ani nie zmarszczył brwi.

- A co to ma niby do rzeczy?

- Wszystko! Jesteś mi coś winna, kochana - prychnął.

- Gównu ci jestem winna! - rzuciłam.

Z każdą sekundą narastało we mnie wzburzenie. Jak on śmie mówić do mnie w ten sposób, i to jeszcze w dzień mojego ślubu! Nie dość, że tych dwóch cwaniaków zjawia się nieproszonych na moim ślubie, to na dodatek mają czelność twierdzić, że jestem ich dłużniczką. I jeszcze te ich zawołane groźby pod adresem mojego męża - tego było już za wiele. Moje dawne życie brutalnie wdzierało się do nowego.

Joey usiadł obok mnie na łóżku.

- George, kochanie - powiedział błagalnym tonem, obejmując mnie w pasie. - Pożycz mi te pieniądze, przez wzgląd na stare czasy. Wszystko ci oddam.

Ten kliwy pokaz nie zrobił na mnie wrażenia. Odparłam bez cienia współczucia:

- Po pierwsze, Joey, to słyszałam, że ostatnio nie żałujesz sobie koki. Ze te pieniądze nie kupisz sobie biletu w jakieś odległe miejsce, żeby poczekać tam, aż sytuacja się uspokoi. Wiesz cholernie dobrze, że po prostu wciągniesz tę forszę nosem.

- Skoro już o tym wspomniałaś... - Wyciągnął z kieszeni fiolkę, wysypał z niej nieco białego proszku i podsunął go w moją stronę.

- Nie, Joey, ja nie tykam tego gówna. A ty rób tak dalej i niedługo nie będziesz musiał przejmować się mafią. Gdyby Sammy żył, to sam by cię za to zatłukł - stwierdziłam, przyglądając się, jak wciąga kokainę. Wstałam i zdegustowana dodałam: - A teraz muszę wrócić do gości. W końcu to mój ślub.

- A co z forszą? - Joey nie rezygnował.

Jedynym sposobem na to, żeby się go pozbyć i nie zepsuć przy okazji całej uroczystości, było dać mu trochę pieniędzy.

- Joey - powiedziałam - tylko gangsterzy chodzą z pięcioma tysiącami dolarów w kieszeni. Tutaj jest prawdziwy świat. Dam ci tysiąc i ani centa więcej. Jeśli chcesz wiedzieć, to będą to moje pieniądze. Będę musiała zwrócić je Richardowi. I oczekuję, że ty też kiedyś spłacisz mi swój dług... w taki czy inny sposób.

Zeszliśmy na dół. Odszukałam Richarda, odciągnęłam go na stronę i oznajmiłam, że potrzebuję tysiąca dolarów. Nie był zachwycony, ale nie zadawał pytań. Dyskretnie wręczyłam pieniądze Joeyowi.

- Przy okazji - powiedział Joey - w tutejszym kasynie obito nam się o uszy nazwisko Jimmy'ego Lamendoli. Czy Joe wie, że bierzesz dziś ślub?

Darlene stała na tyle blisko, by usłyszeć naszą rozmowę. Wciągnęła powietrze do płuc i zamarła. W mgnieniu oka jej twarz upodobniła się do koloru jej sukienki i stała się bladozielona.

- Nie, nie wie. Jestem pewna, że to tylko zbieg okoliczności - odparłam, bardziej dla Darlene. - Chyba nie muszę dodawać, że mnie nie widzieliście.

Joey i Tommy dokończyli szampana i wyszli.

Doskonały początek nowego życia.

Cholera! A więc Jimmy był gdzieś w hotelu. Skoro Joey Tiraborelli bez trudu dowiedział się, gdzie przebywam, to obecność Jimmy'ego w tym miejscu mogła wcale nie być dziełem przypadku. Próbowałam cieszyć się ostatnimi chwilami dnia ślubu, ale moje serce przyśpieszało za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi.

W końcu wszyscy goście opuścili apartament. Przy barze tkwił nadal jedynie Andy,

ojciec Richarda. Nie chciałam być niegrzeczna, więc stanęłam za kontuarem, zrobiłam sobie drinka i postanowiłam dotrzymać mu towarzystwa.

Otwarte kręte schody prowadziły na obszerny, ogrodzony barierkami podest, z którego rozciągał się widok na całe dolne piętro apartamentu. Co jakiś czas pojawiał się tam Richard i pochrząkując, dawał ojcu do zrozumienia, że za bardzo się zasiedziało. Andy nie rozumiał aluzji. Raz po raz dolewał wódki do często opróżnianego kieliszka.

Ojciec Richarda podniósł swoje ciemne oczy i spojrzał na mnie mętym wzrokiem. Jego gniewna twarz, wielki nos i ciemna karnacja upodabniały go do jednego z mafiosów - tyle tylko że był zbyt niski, by ktokolwiek mógł się go przestraszyć. Nawet ja przewyższałam go o ponad pięć centymetrów.

- No, młoda damo - odezwał się bełkotliwie - masz świadomość, że właśnie poślubiłaś maminsynka?

Był pijany i nie zdawał sobie sprawy, jak głośno mówi. Richard mógł usłyszeć każde jego słowo. Ja sama tylko słuchałam, nic nie mówiąc.

- Nie wyszłaś tylko za mojego syna; poślubiłaś też jego matkę - ciągnął Andy ze złośliwym błyskiem w oku. - Nie będzie ci łatwo. Ale jeśli dasz mi wnuka, zadbam, żeby ci się to opłaciło. Będiesz ustawiona do końca swoich dni, bez względu na to, czy pozostaniesz żoną Richarda, czy nie.

Co takiego? Czyżby właśnie w taki sposób bogacze przeżywali swoje życie? Każda sprawa załatwiana jak czysty biznes - podpisem na wykropkowanej linii? Już wcześniej podpisałam intercyzę, rezygnując z prawa do wszystkiego, co normalnie by mi przysługiwało. Nie miałam nic przeciwko podpisywaniu tych papierów. Jedyne, co mi przeszkadzało, to wrażenie, że zawieram biznesową umowę, a nie małżeństwo.

Nie wyszłam za Richarda dla pieniędzy. Wyszłam za niego w zamian za obietnicę bajkowego życia, którego nigdy nie miałam. Wyszłam za niego, żeby dać córce takie dzieciństwo, jakie sama kiedyś przeżyłam. Wyszłam za niego, ponieważ wydawało mi się, że jest to najrozsądniejsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. W mrocznym świecie, do którego byłam przyzwyczajona, Richard wydał mi się światłem. Ten człowiek nie byłby w stanie grać ludzkimi istnieniami tak, jakby rozgrywał partyjkę monopolu.

- Posłuchaj, Andy: Richard i ja będziemy mieli dzieci, tylko jeśli sami tak zdecydujemy, i dopiero wtedy, kiedy oboje podejmiemy taką decyzję. Nie jestem jakimś narzędziem do rodzenia ci wnucząt. Problem z ludźmi takimi jak ty polega na tym, że pieniądź jest dla was bogiem. Wydaje się wam, że możecie kupić wszystko, łącznie z innymi ludźmi. Otóż muszę cię zaskoczyć: mnie nie można kupić!

Ciszę, jaka po tym zapadła, przerwały dopiero dobiegające z piętra odgłosy zamykanych z impetem szuflad. Chwilę później Richard zbiegł po schodach i obrzucił nas nienawistnym spojrzeniem - nigdy wcześniej nie widziałam u niego podobnego wyrazu twarzy.

- Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur ani chwili dłużej - wrzasnął i wybiegł z apartamentu, zatrzasnął za sobą drzwi.

Spojrzałam na teścia. Niezręczna sytuacja zaczynała się przeciągać. W końcu Andy podniósł się z barowego stołka.

- Cóż, na mnie chyba już czas - wymamrotał i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. Drzwi już się za nim zamykały, kiedy cofnął się i zaglądając do środka, powiedział: - Zastanów się nad tym.

Tym razem drzwi zamknęły się na dobre - stało się to w tej samej chwili, w której rozbił się o nie i roztrzaskał na setki odłamków mój kieliszek.

Przyszła pora przestawić się na szkocką. Nalałam sobie szklanek, tym razem rezygnując z dodania wody, i przez następne dwie godziny czekałam na powrót Richarda. Nie zjawił się. Ostrożnie zdjęłam suknię ślubną; pomyślałam, że któregoś dnia może znowu będę miała okazję ją włożyć. Ubrałam się w jeansy i gruby wełniany sweter, po czym poszłam do kawiarni. Mijając strażnika przy frontowych drzwiach, dostrzegłam na jego twarzy ślad współczucia; szybko odwróciłam oczy. Ponownie wysłałam wiadomość na pager Richarda; i ponownie bez odpowiedzi.

Kiedy jakiś czas później wracałam do apartamentu dla nowożeńców, starałam się unikać kontaktu wzrokowego ze strażnikiem. Dopiero pod drzwiami zorientowałam się, że nie wzięłam klucza. Pomyślałam, że strażnik musi mieć zapasowy - i faktycznie, miał. Szliśmy korytarzem w zupełnym milczeniu. Kiedy włożył do zamka klucz i otwierał drzwi, zdecydował się dać wyraz swojej trosce.

- Nie układa się, co? - zagadnął, starając się nadać swojemu głosowi życzliwe brzmienie.

- Najwyraźniej - odparłam i zamknęłam za sobą drzwi.

Przez jakiś czas wpatrywałam się w sufit, aż wreszcie zasnęłam. Obudził mnie dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Wstałam i z podestu spojrzałam na widoczny w dole salon. Richard zauważył, że go obserwuję, i zaczął przeklinać mnie za to, że stracił w kasynie czterdzieści tysięcy dolarów. Zapewne w ten sposób dawał upust swojej frustracji.

- Nie kazałam ci grać. O co masz do mnie pretensje?

- Nie stawaj po stronie ojca przeciwko mojej matce!

- Richard, o czym ty mówisz? Nie powiedziałam przeciw twojej matce nawet jednego słowa!

Po trwającej kwadrans bezsensownej kłótni Richard poszedł spać - na sofie.

Noc poślubną spędziłam więc w łóżku samotnie.

Jakimś cudem zaszłam w ciążę jeszcze w czasie miesiąca miodowego. Po pięciu, jakie miałam z Andym w dniu ślubu, nie byłam aż tak zachwycona ciążą jak Richard; jednak w miarę jak rósł mój brzuch, rosło też uczucie do Richarda. Pomijając kłopoty z teściową, nie potrafiłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek wcześniej była bardziej szczęśliwa. Nie ufałam jednak temu uczuciu - zupełnie jakbym się obawiała, że jeśli tylko za bardzo się do swojego szczęścia przyzwyczaję, to zostanie mi ono odebrane. Pojawiła się jednak nadzieja, że ta obecność światła w moim życiu okaże się trwała. Wiodłam rodzinne życie, o którym zawsze marzyłam i które dzięki bogactwu Richarda okazało się jeszcze wspanialsze. Powoli zaczynałam darzyć Richarda zaufaniem. W moich oczach zasługiwał na to, żebym otworzyła dla niego swoje serce; zrobiłam to więc i zaczęłam dawać mu więcej od siebie.

Kiedy wychodziłam za Richarda za mąż, kochałam go, ale nie byłam w nim zakochana. Nie miał w sobie tego, czego szukałam u mężczyzny: nie był ani przystojny, ani wykształcony. Ale jednocześnie nie sądziłam, by mogła istnieć osoba, która posiadałby te cechy, i na dodatek potrafiłaby ofiarować mi to, czego tak bardzo pragnęłam: rodzinę, jaką pamiętałam z *Ozzie and Harriet*. Zrezygnowałam więc z części pragnień w zamian za prawdziwe życie rodzinne; nie chciałam, żeby moja córka dorosła, nigdy takiego życia nie zaznawszy. Ku mojemu zaskoczeniu, Richard znalazł jednak w końcu drogę do mojego pilnie strzeżonego serca.

Toni przyprawiała do domu niekończący się korowód przyjaciół. Nie musiała już bawić się po cichu i uważać, by nie rozdrażnić ojca. W domu Richarda nawet moja rodzina witana była bez choćby cienia niezyczliwości. Richard był altruistyczny aż do przesady wobec wszystkich, którzy znaczyli coś w moim życiu.

Opłacał Toni prywatnych nauczycieli i kupował jej najmodniejsze ubrania znanych projektantów. Był dla niej bardzo dobry. Otaczał ją miłością, której była dotąd pozbawiona, a ona rewanżowała mu się tym samym. Miała teraz wszystko, co niezbędne, by mogła iść przez życie i nie czuć się gorsza od innych - tak jak ja czułam się w jej wieku.

Dwa tygodnie przed naszym ślubem Richard sprzedał swój biznes. Przedmiotem transakcji był Adray's, czyli świetnie prosperujący sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego, który sprzedawano tam po cenach hurtowych. Sklep przynosił właścicielowi miliony dolarów miesięcznie. Było to pierwsze przedsięwzięcie tego typu; obecnie rynek

zdominowany jest przez sieci w rodzaju Good Guys czy Best Buy, ale w tamtych czasach Richard był prawdziwym pionierem. Kluczem do sukcesu była wielkość sprzedaży. Zysk na towarze nie przekraczał sześciu procent, ale nawet sześć procent od tak wielkiej ilości sprzedawanych produktów wystarczyło, żeby uczynić Richarda bardzo bogatym człowiekiem. W wieku trzydziestu sześciu lat miał więcej pieniędzy, niż mógłby chcieć bądź potrzebować, a także, co jeszcze ważniejsze, dość czasu na to, by móc cieszyć się ich posiadaniem. Ale zarazem to właśnie czas okazał się w jego wypadku przekleństwem.

Nie byłam przyzwyczajona do kultury, z której wywodził się Richard. Całe dotychczasowe życie spędziłam w otoczeniu żywiolowych Włochów i w rodzinie Richarda brakowało mi fizycznego okazywania sobie uczuć. Korzenie Richarda były libańsko-rumuńskie; chociaż urodził się a Ameryce, to wychował się w duchu kompletnie mi obcych tradycji Bliskiego Wschodu. Nie rozumiałam religii muzułmańskiej i nie czułam potrzeby, żeby dowiadywać się o niej czegoś więcej. Na dodatek Toni i ja kręciłyśmy nosem na potrawy, które przygotowywała matka Richarda.

Jego matka od początku spędzała u nas tyle czasu, że w praktyce była stałym domownikiem; w końcu zresztą faktycznie się do nas przeprowadziła. Richard miał z matką wspólne rachunki bankowe; ja natomiast posiadałam oddzielne konto, na które Richard co miesiąc wpłacał pieniądze. Moja teściowa towarzyszyła nam podczas każdego wakacyjnego wyjazdu z naszymi znajomymi. Jej hałaśliwe i apodyktyczne zachowanie sprawiało, że wszyscy czuli się w jej obecności niekomfortowo, ale Richard nie chciał tego dostrzec. Ja sama powstrzymywałam się od skarg - byłam wdzięczna Richardowi za to, że z taką wyrozumiałością przyjął obecność moich rodziców w życiu naszej rodziny. Po jakimś czasie zaczęły jednak puszczać mi nerwy. Richard zachowywał się tak, jakby to matka była jego żoną. Kiedy skrytykowałam łączące ich dziwaczne relacje, Richard przerwał mi i stwierdził, że przecież zaspokajają wszystkie moje potrzeby, a na ten temat nie będzie ze mną dyskutować.

Któregoś dnia uznał, że warto kupić rolls-royce'a. Jego apetyt na zabawki był nienasycony. W garażu miał już jedenaście innych samochodów, ale każde nowe cacko pozwalało mu podbudować wątłe poczucie własnej wartości. Rollsa kupił tak samo jak wszystko inne: za gotówkę. Dla Richarda Adraya i jego rodziny nadawało się tylko to, co najlepsze.

Ponieważ mógł kupić wszystko i spełnić każdą zachciankę, szybko nudził się swoimi materialnymi zabawkami. Wyczekiwał niecierpliwie narodzin dziecka, ale zanim do nich doszło, Richard zaczął zabijać nudę rekreacyjnym zażywaniem kokainy. Zawsze byłam zdania, że posiadanie zbyt wielkich pieniędzy wydobywa z ludzi to, co w nich złe; ale o tym,

do czego potrafi doprowadzić połączenie pieniędzy oraz narkotyków, miałam się dopiero przekonać.

Czasami mnie także dopadała nuda. Nie byłam przyzwyczajona do niepracowania. Kiedy moja ciąża stała się dobrze widoczna, wystąpiłam co prawda w kilku reklamach skierowanych do kobiet oczekujących dziecka, ale większość moich dni wlokła się w ślimaczym tempie. Zatrudniliśmy pokojówkę, która mieszkała z nami i zajmowała się sprzątaniami, praniem i gotowaniem. Ponieważ dla mnie nie zostawało już nic do zrobienia, spędzałam dni na jądaniu lunchów z przyjaciółmi, wizytach u manicurzystek i kosmetyczek, a także kupowaniu ubrań, w których - nie miałam co do tego wątpliwości - będę wyglądała świetnie, kiedy tylko moja figura wróci do normalnego stanu.

Rozglądałam się niecierpliwie za jakimś zajęciem, aż w końcu wzięłam się do gruntownego remontu naszego i tak już pięknego domu w Beverly Hills. Była to rezydencja o powierzchni pięciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, ulokowana na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na światła leżące w dole miasta.

Wyzwoliłam w sobie pokłady kreatywności. Zawsze się zastanawiałam, co mogłabym osiągnąć, gdyby moje możliwości finansowe dorównywały możliwościom mojej wyobraźni. Na końcu blisko trzydziestometrowego korytarza kazałam zawiesić lustro fazowane - dzięki temu korytarz wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Żeby nieco ocieplić tę wielką, pustą przestrzeń, zamieniłam korytarz w galerię fotografii. Porozwieszałam na ścianach rodzinne zdjęcia, a także niektóre z tysięcy przechowywanych w pudłach fotografii z moich profesjonalnych sesji zdjęciowych. Spełniły swoje zadanie.

Kiedy remont dobiegł końca, dom prezentował się wspaniale, ale wciąż brakowało w nim ciepła. Ostatecznie zadowoliliłam się chłodną elegancją. Na remont wydałam więcej pieniędzy, niż Richard zapłacił wcześniej za całą nieruchomość, ale było warto - dom wreszcie nosił mój indywidualny rys.

Cztery miesiące po moim ślubie Joe przeprowadził się do Los Angeles; nie miał jeszcze pojęcia o tym, że jestem w ciąży, i nadal był przekonany, że między nami jeszcze nie wszystko definitywnie skończone. Jakiś czas później odebrałam telefon.

- Musisz zainwestować dla mnie trochę pieniędzy. Nie mogę zrobić tego pod własnym nazwiskiem, a nie chcę, żeby gotówka leżała bezczynnie - oznajmił Joe, którzy dzwonił ze swojego nowego mieszkania w zachodnim Hollywood, oddalonego zaledwie o kilka kilometrów od mojego domu.

- Nie chcę żadnych problemów z Richardem, Joe.

- Jakich problemów? Nie ma powodu, żeby miał się o czymkolwiek dowiedzieć.

- A co z deklaracjami podatkowymi? Wszystko się wyda.

- Georgia, siedzę tu ze stu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. W gotówce. Po prostu przyjedź i zabierz je stąd. Nie interesuje mnie, co dokładnie z nimi zrobisz, po prostu je zainwestuj. Powiedz mu, że to twoja działka za jakąś nieruchomość, którą sprzedaliśmy. Władze nigdy nie będą dociekać, skąd masz tę forszę; na pewno nie przy tych wszystkich milionach, jakie posiadacie - dodał z nutką sarkazmu w głosie.

- To miliony Richarda, a nie moje.

- Jesteś jego żoną. I mieszkasz w Kalifornii, kochanie, więc jego forsa należy także do ciebie.

Nigdy nie powiedziałam Joemu, że zrzekłam się praw do tych wszystkich milionów. Żeby pogodzić się z moim małżeństwem, Joe musiał uwierzyć, że zawarłam je dla pieniędzy. Jeśli to przekonanie mogło go powstrzymać od ingerowania w moje nowe życie, to nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu.

- W porządku, Joe. Przyjadę po pieniądze jutro - zgodziłam się, żeby zakończyć tę rozmowę.

- Dlaczego nie dzisiaj?

- Bo Richard niedługo wróci do domu na obiad.

- Niech sobie dupek poczeka. Ile razy ja musiałem czekać na obiad?

- Z tego, co pamiętam, to rzadko. Do zobaczenia jutro.

Odłożyłam słuchawkę z poczuciem niepokoju. Joe był zbyt blisko, żebym mogła czuć psychiczny komfort. Moje życie układało się za dobrze - coś musiało je popsuć. Sądziłam, że upływ czasu rozwiąże mój problem z byłym mężem; jednak teraz, kiedy Joe zamieszkał praktycznie tuż pod moim nosem, czas będzie płynąć znacznie wolniej, a ja stanę się w końcu psychicznym wrakiem.

Gdy weszłam do jego mieszkania, Joe wyglądał na zagubionego. Szukał w mojej twarzy jakiegoś śladu tego, co kiedyś nas łączyło i co, jak się łudził, może nas jeszcze ponownie połączyć.

- Wiesz, za czym najbardziej tęsknię, kochanie?

- Za czym?

Wziął mnie za rękę.

- Za tym, jak siedzieliśmy razem i piliśmy wspólnie poranną kawę. Naprawdę mi tego brakuje - wyznał.

Spojrzałam na nasze stykające się place i delikatnie cofnęłam dłoń.

- A ja przy porannej kawie tęsknię za widokiem z klifu. Nie rozumiem, jak mogłeś

z tego zrezygnować i przenieść się do Los Angeles.

- Musiałem podjąć pewne kroki. Będę potrzebował twojej pomocy w załatwieniu kilku spraw. A poza tym, będę teraz bliżej ciebie i Toni.

- Joe, ja jestem mężatką.

- A co to ma wspólnego z częstszym widywaniem Toni? - zapytał, po czym wyciągnął worek marynarski wypełniony plikami studolarówek. - W środku jest sto pięćdziesiąt kawałków. Gdyby coś mi się przytrafiło, niech ta forsa trafi do Toni. Odsetki z inwestycji możesz zatrzymać.

- Nie potrzebuję. Odliczę podatek i prześlę ci odsetki.

- Wiesz, że kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem? Nie kupiłem ci nawet jednej cholernej sukienki. Byłem takim samolubnym gnojkiem.

- Nie ma sprawy, Joe. I tak nie noszę sukienek. Mam za chude nogi.

- Nie masz chudych nóg, Georgia. Powiedziałem ci tak tylko dlatego, żeby inni faceci nie mogli podziwiać czegoś, co należało do mnie. Z twoimi nogami jest wszystko w porządku - przyznał.

- Naprawdę? Uważasz, że mam ładne nogi?

- Masz piękne nogi, kotku.

Powiedział to z taką szczerością, że niemal mu uwierzyłam. Jego twarz przybrała znajomy wyraz. Patrzył na mnie pożądliwie i pieścił oczami moje ciało. Uznałam, że pora się zbierać.

- Lepiej już pójdę, Joe - powiedziałam, zerkając na zegarek. - Muszę odebrać Toni ze szkoły.

- Och, czy to znaczy, że nie macie służącego, który zrobiłby to za ciebie? - zapytał ironicznie.

Wystarczyło jedno moje zde gustowane spojrzenie i Joe natychmiast zaczął mnie przeproszać.

- Wybacz, kochanie - powiedział, chwytając mnie za talię i przyciągając ku sobie. - A to co? Co się stało z twoją linią? To życie w luksusie zaczyna ci wychodzić bokami. Widzisz, co się dzieje, kiedy nie ma mnie przy tobie i nie mogę pilnować twojej diety?

To dobra pora, żeby mu powiedzieć.

- Jestem w ciąży, Joe.

- W ciąży! Jak to się, kurwa, stało?

- Stało się.

- Dlaczego nigdy nie zaszłaś w ciążę ze mną? Bóg mi świadkiem, że robiliśmy to

wystarczająco często!

- Zaraziłeś mnie rzeżączką, pamiętasz?

- Podobno potrzebowałaś operacji, żeby zająć w ciążę. Chyba że to było jeszcze jedno kłamstwo? Brałaś pigułki, mam rację? - spytał oskarżycielskim tonem.

- Nie, nie brałam. Lekarz powiedział, że moje jajowody mogą udrożnić się same, kiedy przyjdzie pora. I pewnie właśnie tak się stało. Poza tym, Joe, byłeś zbyt egoistyczny, żeby mieć dzieci. Więc nie udawaj teraz, że ci na nich zależało. Może po prostu Bóg dał mi znak, że teraz jest odpowiednia pora.

- Nie myślisz chyba o tym, żeby urodzić?

- Oczywiście, że je urodzę, Joe.

- Nie możesz mi tego zrobić, Georgia.

- Joe, mam teraz nowe życie, a to jest jego część. Proszę cię, pozwól mi być szczęśliwą. Teraz muszę już iść, Joe. Jestem spóźniona.

Zostawiłam go siedzącego na krześle; twarz wykrzywiła mu bolesna pewność, że już nigdy nie będziemy mogli być razem. Na widok jego rozpaczki krajało mi się serce, ale jednocześnie czułam ulgę, że w końcu powiedziałam prawdę. Oboje musieliśmy uwolnić się od przeszłości - i od myśli o wspólnej przyszłości, której dla nas nie było.

Mniej więcej tydzień później Marina, nasza gosposia, zapukała do drzwi mojej łazienki.

- Proszę pani, przed bramą stoi jakiś człowiek, który chce z panią mówić.

Spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, dlaczego mężczyzna, na którego czekałam, pojawił się tak wcześnie.

- Wpuść go, Marina, i zaprowadź do sali bilardowej - poinstruowałam ją. - Ja zaraz będę gotowa.

- Tak, proszę pani - odparła i pośpiesznie oddaliła się korytarzem.

Szybko się wytarłam, narzuciłam na siebie sfatygowany biały szlafrok i podążyłam korytarzem w kierunku sali bilardowej, żeby przywitać mężczyznę z próbkami tkaniny na nowe zasłony.

Kiedy tam weszłam, stanęłam jak wryta. W środku zastałam Joego, który nalał sobie whisky z wodą, a teraz spokojnie grał w bilard.

- Wszystkich gości witasz w taki sposób?

- Co ty tu robisz, Joe? - zapytałam spanikowana.

- Ładnie sobie mieszkacie. Tak, przebyłaś długą drogę z Lyell Avenue, nieprawdaż, kochanie?

- Proszę, Joe. Tylko niczego nie zaczynaj.

- Niczego nie zaczynam, Georgia. Wyjeżdżam. Wracam do Solana Beach. Wszystkie rzeczy czekają już spakowane w samochodzie. Przyszedłem tylko się pożegnać i przekonać się, jak mieszka moja druga połowa. Może byś mnie oprowadziła?

Najwyraźniej wcale nie śpieszyło mu się do wyjścia, więc oprowadziłam go szybko po domu i pokazałam mu wszystko, z wyjątkiem głównej sypialni.

- Gdzie jest wasza sypialnia?

- Na drugim końcu domu.

- Chcę ją zobaczyć.

- Po co?

- Po prostu mi ją pokaż.

Odwrociłam się niechętnie i poprowadziłam go korytarzem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, otworzyłam drzwi, a sama zatrzymałam się na progu. Joe długo i uważnie oglądał pokój. Wreszcie usiadł na łóżku i poklepał materac obok siebie.

- Chcę się z tobą kochać w tym łóżku - oznajmił stanowczo.

- Czyś ty oszalał?

Joe wstał i zbliżył się do mnie.

- Wiesz, kocham twój zapach po tym, jak wychodzisz spod prysznic - powiedział miękkiem głosem.

Rozsunął poły szlafroka, odsłaniając moje nagie ciało. Szybko ponownie się zakryłam i odsunęłam się od Joego.

- Czas już na ciebie, Joe.

Nagle drzwiach stanęła Marina.

- Proszę pani, jakiś pan przyszedł się z panią zobaczyć.

- Dziękuję, Marina. Powiedz mu, że zaraz do niego przyjdę - poleciłam, wdzięczna za to niespodziewane najście. - Proszę, Joe, musisz już iść. Lada moment może zjawić się Richard. Nie komplikuj mi życia.

- Kocham cię, Georgia.

- Jeśli mnie kochasz, wyjdiesz stąd w tej chwili.

Joe ugiął się pod presją i dał wreszcie za wygraną.

- Jeden weekend w tym miesiącu chcę spędzić z Toni.

- W porządku. Przyjedzie do ciebie pociągiem.

- Obiecujesz?

- Przecież powiedziałam. A teraz, proszę... idź już!

- Włóż coś na siebie, zanim tam pójdziesz - powiedział i odwrócił się.

Nie chciał, żebym się zorientowała, jak wielki ból rozsadza mu piersi. Potem wyszedł.

Richard wrócił do domu zaledwie dziesięć minut po wyjściu Joego.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? - zapytał, zauważywszy mój niepokój.

- Nic.

- Kto tu dzisiaj był?

- Nikt. Dlaczego uważasz, że ktoś miałby tutaj być?

- Kto w takim razie pił szkoocką z barku?

- Ach, to ja.

- Zdawało mi się, że w czasie ciąży miałaś pić wyłącznie wino? A tak w ogóle, to dlaczego pijesz w środku dnia?

- A dlaczego ty zażywasz w środku dnia narkotyki? - odwarknęłam. - W twojej łazience znalazłam kokainę. Twierdziłeś, że z tym skończyłeś.

Teraz to on musiał się bronić; była to taktyka, której nauczyłam się od Joego.

Świadomość, że Joe wrócił z powrotem do Solana Beach, podziałała na mnie odprężająco. Jedyne, co nas teraz łączyło, to pieniądze, które udało mu się ocalić przed FBI - a wszystko dzięki przekazanemu przeze mnie ostrzeżeniu, że federalni obserwują jego dom. Zanim agenci przeprowadzili nalot na jego mieszkanie, Joe zdążył ukryć forszę w siedziskach dwóch barowych stołków. Śmiał się później, opowiadając, jak federalni wywrócili mieszkanie do góry nogami, a mimo to nic nie znaleźli. Przez cały czas, kiedy go przesłuchiwali, siedzieli dokładnie na pieniądzech.

Zainwestowałam powierzoną mi przez Joego forszę i w ciągu pierwszego roku zarobiłam dla niego trzydzieści procent. Po tych wszystkich latach wysłuchiwania, jaka jestem głupia, sama wybrałam sposób zainwestowania pieniędzy, a inwestycja przyniosła zysk - nie tylko sprawiło mi to wielką satysfakcję, ale też pozwoliło uwierzyć we własną inteligencję. Zaczynałam odkrywać, kim jestem.

Wokół siebie miałam teraz życzliwych, pozytywnie nastawionych ludzi. Pesymizm przestał zatruwać moje myśli. Dzięki Richardowi mogłam czuć, postępować i myśleć w sposób zupełnie wolny, bez cienia strachu. Richard podziwiał moje dokonania, zamiast je wyśmiewać. Zaczęłam odkrywać swoje mocne strony, ponieważ nie bałam się już ich pokazać. Otworzyłam umysł i pozwoliłam rozwijać się ukrytym talentom, które przecież zawsze posiadałam. Byłam pewna, że dokonałam właściwego wyboru. Z biegiem czasu moje życie mogło stawać się tylko jeszcze bardziej udane.

Uwielbiałam obserwować, jak rośnie mój brzuch. Uwielbiałam każdą minutę bycia

w ciąży. Wszystko wydawało się takie idealne. Nigdy wcześniej nie czułam się szczęśliwsza. Richard coraz częściej sięgał jednak po narkotyki - i ten fakt zwiastował przyszłe problemy.

Dzień narodzin mojego syna, Dustina, był jednym z najszczęśliwszych w moim życiu. Szpitalny pokój wypełniony był kwiatami i balonami. Nawet Joe zadzwonił, żeby życzyć mi szczęścia.

- Jak go nazwałaś? - zapytał.

- Dustin.

- Dustin! Co to w ogóle za imię? Dlaczego nie nazwałaś go Rocky?

- Ciesz się, że nie nazywa się Mohammad - zażartowałam i oboje zachichotaliśmy.

- Jesteś szczęśliwa, Georgia?

Uśmiechnęłam się do swojego nowo narodzonego syna i poczułam, jak wręcz rozsada mnie radość.

- Tak, Joe. Jestem bardzo szczęśliwa. Mam pięknego, zdrowego synka i swoją córeczkę. Jak mogłabym być szczęśliwsza?

Marina doczekała się awansu z gosposi na nianię. Podróżowała z nami wszędzie, gdziekolwiek się udawaliśmy. Mogłam wyjść z domu ze spokojnym sercem, mając pewność, że Dustin otoczony jest troską i miłością.

Ojciec Richarda nie był zachwycony, kiedy ochrzciłam Dustina, ale w tej kwestii nie zamierzałam ustępować. Postawiłam sprawę jasno: mój syn zostanie ochrzczony jako katolik. Kiedy dorośnie, będzie mógł sam podjąć decyzję, ale do tej pory będzie katolikiem.

Toni była zachwycona posiadaniem maleńkiego braciszka, ale większość uwagi poświęcana była teraz jemu. Przyzwyczajenie się do tej nowej sytuacji sprawiło jej trochę problemów. Ponownie zrobiła się cicha i wycofana. Starłam się zachęcać ją do udziału w codziennej opiece nad braciszkiem; chciałam sprawić, żeby poczuła się częścią tego, co działo się w naszej rodzinie. Nie mogłam jednak kontrolować zachowania Richarda i jego rodziny - dla nich Dustin był królem.

Nie pamiętałam, żebym była równie szczęśliwa po przyjściu na świat Toni. Każda, najdrobniejsza nawet rzecz, jaką zrobił Dustin, była wydarzeniem: pierwszy krok, pierwszy ząbek, pierwsze słowo. Trzydzieści lat to dobry wiek na to, żeby być matką. Toni została oszukana przez los, który dał jej dziecko za matkę. I ja także padłam ofiarą tamtego oszustwa. Teraz jednak mogłam przeżyć to wszystko, czego nie miałam okazji doświadczyć w pierwszych latach życia swojej córki. Życie było dobre. A ja w końcu byłam szczęśliwa.

Rozdział trzynasty

Szybko się nauczyłam, że bycie bogatym nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Żadne futra z norek, biżuteria z diamentami ani kosztowne gadżety nie mogły dać mi tego szczęścia, którego tak desperacko pragnęłam. Chciałam mieć rodzinę.

Po powrocie do domu ze swoim nowo narodzonym synem czułam się jak w siódmym niebie i myślałam, że moje życie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Dziewięć dni po porodzie siedziałam w salonie, zajęta karmieniem syna, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę dokładnie w tym samym momencie, w którym Richard odebrał w innym pomieszczeniu.

- Cześć, Denny - usłyszałam, jak ścisza głos do szeptu.

Ciekawość powstrzymała mnie przed odłożeniem słuchawki. Dlaczego mówisz szeptem?

- Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać - ciągnął dalej. - Podam ci inny numer. Złapiesz mnie pod nim za godzinę. I nie dzwoń do domu dziś wieczorem. Potem ci wszystko wyjaśnię.

Zanotowałam w pamięci numer, który podał Denny'emu, i wróciłam na sofę. Po kilku minutach w salonie zjawił się Richard.

- Wychodzę na jakiś czas, kochanie.

- Dokąd idziesz?

Richard bawił się nerwowo kluczykami, które trzymał w ręku.

- Idziemy z Denny'ym na drinka. Wrócę wcześniej.

- Kupiłbyś w drodze powrotnej mleko?

- Oczywiście. Potrzebujemy czegoś jeszcze? - spytał zbyt gorliwie, całując mnie jednocześnie czule na pożegnanie.

Poczekalam godzinę, tak jak poinstruował Denny'ego, po czym zadzwoniłam pod zapamiętany numer telefonu. Ręka mi się trzęsła, kiedy wybierałam na tarczy kolejne cyfry. Zanim jeszcze po drugiej stronie linii ktokolwiek zdążył odebrać, wiedziałam już, czego mogę się spodziewać,

- Halo? - odezwała się jakaś kobieta. Nie znałam jej głosu.

- Czy mogę rozmawiać z Richardem? - poprosiłam pewnym siebie tonem.

Najwyraźniej wiedziała, że Richard spodziewa się telefonu, bo bez wahania wręczyła mu słuchawkę.

- Cześć, Denny.

- Żaden Denny, ty sukinsynu! Gdzie, do cholery, jesteś?

Zapadła martwa cisza, a chwilę później usłyszałam długi dźwięk przerwane połączenia.

Mój świat się zawalił. Spojrzałam na śpiącego spokojnie syna, zupełnie nieświadomego, jak bardzo ten jeden moment zmieni jego życie. Jak mogłam sprowadzić na świat kolejne dziecko, które będzie dorastać bez ojca? Zalała mnie fala wspomnień z czasów, kiedy pozbawiona pieniędzy samotnie wychowywałam Toni. Byłam zdruzgotana, ale przede wszystkim wściekła. Wściekła, że Richard ośmielił się zniszczyć mój sen. Mieliliśmy rodzinę. Teraz trzy żywe istoty będą cierpieć - i w imię czego?

Toni wreszcie zaczęła prowadzić spokojne, szczęśliwe życie; odbieranie jej tego i zmuszanie, żeby znowu zaczynała wszystko od początku, było niesprawiedliwe. To, co zrobił Richard, było niesprawiedliwe także w stosunku do mającego zaledwie dziewięć dni Dustina, który nigdy nie będzie miał prawdziwej rodziny - takiej z mamą i tatą, którzy razem mieszkają i razem jedzą kolacje. Wreszcie, to było niesprawiedliwe wobec mnie. Wierzyłam w Richarda. Chociaż wychodząc za niego za męża, nie byłam w nim zakochana, to z biegiem czasu moje zaufanie do niego urosło, a ja pozwoliłam sobie poczuć do niego coś więcej. Ofiarowałam mu część siebie, nad którą tak bardzo obawiałam się stracić kontrolę - a on bezmyślnie ją wykorzystał.

To tyle, jeśli idzie o Ozziego i Harriet, White. W dzieciństwie chyba naoglądałaś się telewizji. Dlaczego mnie nie słuchałaś? Od tej pory to ja podejmuję decyzje!

Po dwudziestu minutach Richard pojawił się w domu. Do tej pory zdążyłam już wpaść w szal.

- Nie pieprzyłem jej! - bronił się Richard. - Pozwoliłem tylko, żeby mi obciągnęła!

- Och, i to już wszystko? Jaka ja jestem głupia, że się tym przejęłam. Wynoś się z tego domu, Richard. I zabieraj ze sobą swoje ciuchy!

- To mój dom. Nigdzie się stąd nie ruszę.

- Niech tak będzie. Od jutra zacznę szukać dla siebie mieszkania. A do tego czasu: w którym pokoju chcesz spać?

- Georgia, posłuchaj mnie...

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Nie jestem w nastroju do słuchania. Naprawdę boję się tego, co mogłabym ci zrobić. Zejdź mi z oczu, dla własnego dobra!

Richard nie zamierzał ustępować. Z uporem usiłował wytłumaczyć coś, dla czego nie było żadnego wytłumaczenia. Postanowiłam wyjść, zanim stracę resztki panowania nad sobą.

W domu nie było co prawda mieczy, ale były strzelby i pistolety.

Przez jakiś czas jeździłam bez celu po mieście, aż wreszcie wylądowałam przed drzwiami Jima Alquista. Powstrzymując łzy, nacisnęłam na dzwonek i czekałam. Opowiedziałam mu o tym, co się stało, nadal byłam roztrzęsiona, ale udało mi się nie rozplakać. Odtąd już nikt nie będzie wart moich łez - nigdy więcej. Jim starał się mnie pocieszać, ale rana była zbyt świeża.

- Co za pierdolony dupek! Nie zdaje sobie sprawy z tego, co ma?

- Z tego, co miał, Jim. Jutro zamierzam rozejrzeć się za mieszkaniem.

- Naprawdę zamierzasz to wszystko porzucić?

- To wszystko nie ma żadnego znaczenia, jeśli nie jestem szczęśliwa. Nie będę mieszkała pod jednym dachem z człowiekiem, który nie potrafi dostrzec, co jest naprawdę ważne w życiu. Skoro tak łatwo mógł machnąć na to ręką, to szkoda na niego nawet jednej minuty mojego czasu. Dość już go straciłam. Chciałam mieć rodzinę, a nie powtórkę ze swojej przeszłości. Nie ma sensu z nim zostawać. Między nami już nigdy nie będzie tak jak wcześniej. Wiem to z własnego doświadczenia.

- Nie bądź głupia, Georgia. Zastanów się przez chwilę. Dokąd pójdziesz? Nie masz żadnych mebli, bo wszystkie rozdałaś. Jeśli teraz odejdziesz, twoja intercyza gwarantuje ci tylko trzydzieści tysięcy dolarów. Jak daleko na tym zajedziesz, w dodatku z dwójką dzieci? Takie pieniądze nie wystarczą ci nawet na roczny czynsz. Poza tym, pomyśl o Toni. To pierwszy raz, kiedy to dziecko może liczyć na jakąś stabilność.

- Wiem o tym lepiej od ciebie - odparłam smutno. - I nienawidzę go za to!

- Taka nagła zmiana byłaby dla Toni zbyt dużą traumą. Myślę, że mogłaby sobie z tym nie poradzić. Nie mówię, że powinnaś żyć z tym facetem jak żona, ale na litość boską, Georgia... Zostań z nim przynajmniej do czasu, aż będziesz miała dość pieniędzy, żeby poradzić sobie na własną rękę. Zapomniałaś już, jak ciężko ci było pod odejściu od Joego?

- Rozumiem to, ale w tej chwili nie mogę znieść myśli, że miałabym żyć z tym człowiekiem pod jednym dachem. Nie mówiąc o przebywaniu z nim w jednym pokoju.

- Zmiana z księżniczki w nędzarkę też nie będzie taka prosta, jak ci się wydaje. To będzie trudne doświadczenie i dla ciebie, i dla Toni.

- Nie mogę tak po prostu tam wrócić.

- Przecież nie musisz podejmować decyzji w tej chwili. Zostań tu na noc. Jutro będziesz w stanie myśleć jaśniej - powiedział.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Mam mu powiedzieć, że tutaj jesteś? - zapytał Jim.

- Tak, nie mam powodu kłamać.

Jim odebrał, po czym wręczył mi słuchawkę.

- Czego chcesz, Richard? - spytałam spokojnie.

- Żebyś wróciła do domu. Mały cię potrzebuje. Jak mogłaś go tak zostawić?

- Nie zostawiłam jego, tylko ciebie. Zanieś go do pokoju Mariny. Ona się nim zajmie, skoro ty sobie nie radzisz.

- Dziecko potrzebuje matki. A poza tym, o co chodzi z tobą i Jimem? Szukałaś wymówki, żeby wdać się z nim w romans? A może już ze sobą sypiacie?

- Idź do diabła, Richard! - Rzuciłam słuchawkę.

- Dlaczego wszyscy twoi mężowie mnie nienawidzą? - zapytał Jim, kiedy powtórzyłam mu słowa Richarda.

Oboje nas to rozśmieszyło. Jim otworzył butelkę wina i przez resztę wieczoru wprawialiśmy się w stan alkoholowego zamroczenia.

Nazywają to depresją poporodową. Moja była głęboka i trwała przez dobry miesiąc. Krew w moich żyłach zamieniła się w lód, tak jak i moje serce. Mój pancierz stał się tak gruby, że nic nie było w stanie go przebić. Georgia Black rządziła niepodzielnie. Przekazałam jej ster. To był koniec.

Kiedy na spokojnie przemyślałam swoje położenie, zdałam sobie sprawę, że Jim miał rację. Jeśli chciałam ułatwić sobie odejście, musiałam poczekać na właściwy moment. Zaczęłam ćwiczyć jak szalona, żeby móc ponownie stanąć przed obiektywem i zabezpieczyć się finansowo. Wkrótce potem zadzwoniłam do swojej agentki i poinformowałam ją, że jestem gotowa wrócić do pracy.

- Wybrałaś idealny moment - powiedziała Janette. - Akurat mam dla ciebie zlecenie.

- Co to za praca?

- Siedem dni na statku wycieczkowym w Meksyku. Chodzi o zdjęcia do prospektu reklamowego, ale klient chce także zrobić fotosy i wykorzystać je w spocie reklamowym. Wiem, że twój mąż nie jest zachwycony takimi długimi wyjazdami, ale to dobra okazja, złociutka.

Pieprzyć go. Kogo obchodzi, co on sobie myśli? Dbaj o swój interes, White. Nikt inny tego za ciebie nie zrobi - powinnaś się już tego nauczyć.

- Wchodzę w to. Kiedy zaczynają się zdjęcia?

- W przyszłym tygodniu. Odezwę się do ciebie i podam ci szczegóły. Cieszę się, że wróciłaś, moja droga.

- Ja również.

Kierowała mną nie tylko potrzeba zasilenia konta w banku, chciałam także wydobyć się z depresji. Praca zawsze była świetną odskocznią. Nasi znajomi nie mogli zrozumieć, dlaczego dziewczyna, która ma wszystko, zamierza nadal pracować. Czego ona może jeszcze chcieć? Richard i ja zachowywaliśmy się w sposób cywilizowany, udając szczęśliwą parę, ale oboje wiedzieliśmy, jaka jest prawda. Z naszych problemów zdawali sobie sprawę jedynie nasi najbliżsi.

Moi rodzice ze smutkiem obserwowali, jak po raz kolejny staję na poważnym życiowym zakręcie, zapewniałam ich jednak z uśmiechem, że wszystko naprawdę jest w porządku. Matka Richarda była zadowolona. Wiedziała, że już wkrótce znowu będzie miała swojego synka wyłącznie dla siebie. Ale zanim to miało nastąpić, wzięłam udział w wielkiej grze pozorów. Nadal kilka razy w tygodniu wychodziliśmy wspólnie na kolacje i podejmowaliśmy gości. Nosiałam już tę maskę wcześniej, więc nie była to dla mnie pierwszozna. Przez te wszystkie lata zdążyłam opanować swoją rolę do perfekcji.

Problemy Richarda z narkotykami nasiliły się. Im więcej zażywał kokainy, tym częściej zaglądał do kieliszka. Nie starał się już tego ukrywać. O ile wcześniej wracał do domu późną nocą, o tyle teraz zdarzało mu się nie wracać w ogóle. Nigdy nie pytałam, gdzie był ani co robił; prosiłam tylko, żeby starał się być dyskretny. Jego zachowanie stało się przewidywalne. Za każdym razem, kiedy brał z garażu rolls-royce'a albo cléneta, wiedziałam, że zamierza spędzić wieczór na Hollywood Boulevard. Krążył po bulwarze, szukając prostytutek. Jakby tego było mało, zanim szedł z nimi do łóżka, zabierał je na kolacje do prywatnych klubów, których byliśmy członkami.

Ego Richarda potrzebowało uznania. Wydawało mu się, że jego nieprzyzwoite zachowanie wzbudzi zazdrość u wszystkich jego przyjaciół. Nie wiedział, że oni po prostu sobie z niego kpią. Przyglądali się z politowaniem, jak niszczy swoje życie z pomocą ulicznych dziewczyn i prochów.

Richard wkrótce poszedł o krok dalej: zaczynał teraz każdy dzień nie tylko od kubka porannej kawy, ale i od działki kokainy. Do tej pory zdążyłam już uświadomić sobie powody, dla których przed ślubem podsunął mi intercyzę. Richard tak naprawdę wcale nie chciał małżeństwa - zależało mu wyłącznie na dziecku. Wiele lat później jeden z jego przyjaciół opowiedział mi o tym, jak Richard, zanim jeszcze mnie poznał, przechwalał się, że znajdzie idealną kobietę, ożeni się z nią, jak najszybciej ją zapłodni, a potem rozwiedzie się i zatrzyma dziecko. Miał jednak poważny problem: dziecko było także moje. Nie miał żadnego dokumentu, na mocy którego mógłby mi je odebrać, a przynajmniej jeszcze go nie miał.

Niedługo po sesji na statku wycieczkowym dostałam propozycję udziału w reklamie

niemieckich papierosów - zdjęcia miały odbyć się w Nowej Zelandii. Do tej odległej krainy ściągnięto trzech modeli i trzy modelki. Nigdy wcześniej nie widziałam równie fantastycznych krajobrazów. Po krętych drogach, otoczonych przez bujną roślinność, snuły się stada owiec. Puszyste obłoki muskały szczyty łagodnych wzgórz. Wszystkie cztery plany zdjęciowe znajdowały się w sercu gęstych lasów - na miejsce docieraliśmy helikopterami lub wodolotami. Obserwowanie z powietrza gór odbijających się w lustrze czystej wody zapierało dech w piersiach. Czasem trudno było się zorientować, co jest prawdziwą górą, a co tylko jej wodnym odbiciem. Zanurzyłam się w tym pięknie, zapominając na chwilę o swojej poranionej psychice.

Manfred, fotograf pochodzący z Niemiec, był stuprocentowym perfekcjonistą. Odmawiał wykonywania zdjęć, jeśli na niebie widoczna była choćby jedna chmurka. W rezultacie spędziliśmy mnóstwo czasu na pokładzie helikoptera, który przewoził nas znad jednego pięknego jeziora nad drugie, zanim wreszcie udało się zrobić jedno jedyne zdjęcie. Dzięki niemieckiemu stylistyce mieliśmy do dyspozycji najmodniejsze ciuchy. Płacono nam tysiąc dolarów dziennie za łowienie ryb w najcudowniejszym zakątku świata.

Wieczorami, kiedy siedzieliśmy przy ognisku, popijając wino i jedząc świeże ryby, miałam okazję porozmawiać od serca z innymi modelkami. Po pięciu dniach byliśmy dla siebie niczym starzy przyjaciele. Wszyscy byliśmy tuż po trzydziestce i już od wielu lat pracowaliśmy w tej branży. Pieniądze, które zarabialiśmy, były zawsze na tyle dobre, że nikomu nie przeszło przez myśl, by spróbować zrobić w życiu coś konstruktywnego, używając do tego głowy. Nic dziwnego, skoro uśmiechając się do obiektywu, można było bez trudu zarobić tyle samo, ile prawnik lub lekarz zarabiali przez okrągły rok. Ale jednocześnie wszyscy mieliśmy świadomość, że nasz wiek wkrótce wymusi w naszym życiu zmiany - i że kiedy ten moment nadejdzie, musimy być przygotowani. Podczas jednej z takich pogawędek przy ognisku wspomniałam o swoim zainteresowaniu karierą kierowcy oraz o bezowocnych próbach wejścia w tę branżę.

Molly Lynn odwróciła ku mnie głowę i długie brązowe włosy opadły jej na twarz.

- Znam w Stanach gościa, który jest właścicielem zespołu kierowców. Po powrocie zadzwonię do niego i umówię was na lunch, żeby mógł cię poznać - zaproponowała.

- Trzymam cię za słowo, Molly - odparłam.

- Nie ma sprawy. Kiedy ten facet cię zobaczy, przyjmie cię z miejsca. Możesz mi wierzyć.

Podczas lotu do domu każde z nas otrzymało wypłatę: dziesięć tysięcy dolarów. Kiedy samolot wylądował na Tahiti uzupełnić paliwo, postanowiłam, że zostanę tam na kilka dni.

Zadzwoiłam z lotniska do swojej agentki, żeby dać jej znać, że dostaliśmy pieniądze i wszystko poszło pomyślnie.

- Zamierzam zrobić sobie krótki przystanek na Tahiti, Janette.

- Nic z tego, kochanie. Masz już nowe zlecenie: kolejne niemieckie papierosy. To ci od castingu, na który poszłaś przed wyjazdem. W poniedziałek musisz być w Europie.

- Więc nie mam zbyt wiele czasu.

- Zgadza się.

- Ile potrważą zdjęcia?

- Dziesięć dni, tak jak ostatnio.

Hmm... O dwadzieścia tysięcy dolarów bliżej do wolności.

- Do zobaczenia jutro w agencji - powiedziała Janette. - Przykro mi, że nie możesz zostać na Tahiti. Może następnym razem.

Po zakończeniu zdjęć do reklamy drugich niemieckich papierosów dostałam propozycję udziału w reklamie kolejnych. Ani razu nie zapytano mnie przy tym, czy nie pracowałam już dla konkurencji. W rezultacie moja twarz pojawiła się tamtego roku na billboardach, autobusach i w magazynach w całych Niemczech - reklamując wyroby trzech różnych firm tytoniowych. W tym samym czasie w Stanach trwała akurat kampania reklamowa papierosów More, również z moim udziałem. Kiedy tamten kontrakt dobiegł końca, podpisałam następny - na reklamę papierosów Kent Golden Lights. Następnie pojawiłam się w reklamach piwa i mocniejszych alkoholi, zarówno w Stanach, jak i w Meksyku. Molly Lynn dotrzymała słowa i zaczęłam grywać w telewizyjnych reklamach samochodów. Można powiedzieć, że tamten rok upłynął mi pod znakiem fajek, wódy i szybkich fur.

Wally Crowder, właściciel Motion Research Driving Team, sądził, że zatrudniając mnie w swojej firmie, zrobił świetny interes - zyskał kolejną ładną buzię, którą będzie mógł popisywać się przed klientami. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że naprawdę potrafię prowadzić.

Pierwszą pracą, do jakiej oddelegował mnie Wally, było nakręcenie reklamy Chryslera na torze wyścigowym Laguna Seca nieopodal Carmel. Scenariusz wymagał udziału dwóch kobiet kierowców. Wally nie zrobił mi żadnego szkolenia, nie wiedziałam więc, czego mogę się spodziewać. Nie miałam zielonego pojęcia, jak obsługiwać krótkofalówkę, a używany na planie zdjęciowym slang brzmiał jak jakiś obcy język. Niech cię diabli, Wally, za nieprzeszkolenie mnie. Nie miałam innego wyjścia - musiałam improwizować.

Druga dziewczyna była w identycznej sytuacji. Dzięki doświadczeniu z toru

wyścigowego miałam jednak nad nią pewną przewagę: wiedziałam, jak obchodzić się z samochodem. Tymczasem ona już podczas pierwszego ujęcia, w czasie którego jechała razem z reżyserem, wpadła w poślizg i o centymetry uniknęła zderzenia ze ścianą. Natychmiast odesłano ją do domu i dokończenie reklamy spadło na moje barki. Nie mogłam uwierzyć, że po takich wpadkach producenci w dalszym ciągu mieli do Wally'ego zaufanie - ale wpływ na to miały różne zakulisowe gierki, o których nie miałam jeszcze wówczas pojęcia.

Prawdziwą inicjacją była dla mnie moja pierwsza „conga” - układ, w którym sześć samochodów jedzie jeden za drugim, a ich zderzaki dzieli nie więcej niż dziesięć centymetrów. Skoncentrowałam się na samochodzie przede mną. Nagle z krótkofalówki dobiegł głos reżysera: chciał wiedzieć, czy mam na sobie białe spodnie.

- Tak, mam - odparłam, zdejmując jedną rękę z kierownicy, żeby obsłużyć krótkofalówkę. Moje oczy nadal były przyklejone do samochodu przede mną.

- Zdejmij je. Odbijają się w przedniej szybie. Tylko szybko, bo tracimy dobre światło!

Znów najadłam się wstydu. Niech cię szlag, Wally. Skąd niby miałam wiedzieć, że powinnam ubrać się na czarno? Sznur samochodów zatrzymał się powoli. Nie wysiadając z wozu, ściągnęłam spodnie i natychmiast wznowiliśmy filmowanie. Nie wiedziałam, że oni mieli już ujęcie, o które naprawdę im chodziło. Przez cały czas tuż obok mojego samochodu jechał wóz z kamerą - która filmowała moje krocze! Byłam tego całkowicie nieświadoma, bo ani na moment nie oderwałam wzroku od samochodu przede mną. Dzięki Bogu, że miałam na sobie majtki. Nazajutrz, oglądając materiały nakręcone poprzedniego dnia, wszyscy, łącznie ze mną, nieźle się uśmiali. Ale nauczyłam się, że nie powinnam być aż tak naiwna.

Nigdy nie przeszłam żadnego szkolenia w zakresie techniki jazdy przed kamerami, ale tak naprawdę to nie jest coś, czego można się nauczyć. To raczej kwestia wyczucia, świadomości tego, co widzi kamera. Na własną rękę zapisałam się do szkoły jazdy wyczynowej Bondurant. Świadectwo jej ukończenia dobrze wyglądało w moim CV, ale większości rzeczy i tak uczyłam się sama, w czasie pracy na planie. To, że byłam związana z zespołem kierowców, przydawało mi wiarygodności, ale przynależność do zespołu kierowanego przez Wally'ego wcale nie oznaczała, że było się porządnie przygotowanym. Na szczęście dobrze prezentowałam się przed kamerą - otwierało to nieco szerzej drzwi do kariery. W tej branży pracowało niewiele kobiet i nie bardzo było w kim wybierać; dlatego większość reżyserów była cierpliwa, kiedy zdarzało mi się coś schrzanić.

Z każdym kolejnym angażem uczyłam się czegoś nowego. Kiedy poproszono mnie, bym wykonała skok samochodem, udawałam, że robiłam to wcześniej tysiąc razy - i zrobiłam

tak, jakby to był tysiąc pierwszy. Po prostu spróbowałam. Inaczej niż w życiu osobistym, za kierownicą nigdy nie brakowało mi pewności siebie. Tutaj to ja kontrolowałam sytuację. Wszystko zależało ode mnie. Decyzje, które podejmowałam na fotelu kierowcy, musiały być właściwe - w tym świecie nie było miejsca na błędy. Kiedy zmieniałam biegi, dochodziła do głosu moja mroczna strona, a ja przygotowywałam się do tego, by wreszcie ruszyć naprzód ze swoim życiem. Wkrótce zaczęłam grać w reklamach samochodów częściej, niż pracowałam jako modelka.

Moje małżeństwo z Richardem trwało już niemal trzy lata. Moje oszczędności rosły; jednocześnie rosła też liczba dziewczyn, z którymi spotykał się Richard. W jego słowniku nie było słowa „dyskrecja”. Jeśli się nad tym zastanowić, to nie było tam także wielu innych słów. Wiedziałam, że to nie potrwa długo. Odłożyłam już niemal tyle pieniędzy, żeby móc wpłacić zaliczkę za dom. Życie z Richardem pod jednym dachem wyczerpywało mnie psychicznie. Co prawda nigdy się nie kłóciliśmy, ale atmosfera była ciężka od niewypowiedzianych słów.

W swoje trzydzieste drugie urodziny Richard wyjechał z miasta. Zaplanowałam urodzinową kolację z przyjaciółkami i zarezerwowałam stół w Touch - niedawno otwartym prywatnym klubie w Beverly Hills, należącym do Hugh Hefnera oraz kilku jego wspólników. Opłata członkowska była tak wysoka, że klientela klubu składała się wyłącznie z osób zamożnych lub sławnych. Twarze bywalców były dobrze znane. Byli wśród nich wszyscy członkowie Pips, innego ekskluzywnego klubu w Beverly Hills, którzy zyskali teraz nowe miejsce spotkań.

Po kolacji moje przyjaciółki poszły do domu, a ja przeniosłam się do sali dyskotekowej. Zauważyłam tam O.J. Simpsona oraz jego dziewczynę Nicole, którzy w towarzystwie garstki przyjaciół rozsiedli się na wygodnych kanapach. Nicole jak zwykle ssała lizaka. Był to jej znak rozpoznawczy - nikt jeszcze nie widział jej bez lizaka w ustach. Podeszłam do nich.

O.J. wstał na mój widok i przywitał się za mną serdecznie.

- Siadaj. Pomożesz nam świętować moje urodziny - zachęcił.

- Ja też mam dziś urodziny! Nie wiedziałam, że urodziłeś się 9 lipca - powiedziałam zaskoczona.

Do stolika podeszła tymczasem kelnerka.

- Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze, panie Simpson? - zapytała.

- Przynieś nam jeszcze jedną butelkę dom pérignon - polecił.

- W tej chwili, panie Simpson.

- Udało ci się ostatnio uniknąć przejechania kogoś? - zagadnął O.J. i zaśmiał się chrapliwie.

- Nie od czasu tamtej reklamy Hertza. Ale nie liczę tych wypadków, kiedy nikt mi za to nie płacił - odparłam z szerokim uśmiechem.

- Jedno muszę ci przyznać: wiedziałem, że jesteście profesjonalnymi kierowcami, ale i tak czułem się nieswojo, robiąc te wszystkie uniki, kiedy śmigaliście tuż przed moim nosem.

- O jakich profesjonalnych kierowcach mówisz? Dla trzech z tamtych facetów to był pierwszy dzień w tej pracy - zażartowałam.

Mało brakowało, a O.J. zadławiłby się swoim drinkiem. Po chwili jednak zorientował się, że robię go w balona. Przez chwilę podziwiałam jakąś parę na parkiecie, która tańczyła kapitalnie przy dźwiękach *Thriller* Michaela Jacksona. Kiedy piosenka dobiegła końca, zerknęłam ponownie na sączącego szampana O.J.-a; jego oczy utkwione były nieruchomo w jakimś punkcie. Podążyłam wzrokiem za jego lodowatym spojrzeniem i zauważyłam mężczyznę, który gapił się na Nicole. Dziewczyna najniżej w świecie lizała lizaka, ale tamtemu facetowi wyraźnie chodziło po głowie coś innego. Niepokojące spojrzenie O.J.-a stało się jeszcze bardziej intensywne; migające światła stroboskopów nadawały jego twarzy niesamowity wyraz. Dobrze znajomy widok sprawił, że poczułam w sobie chłód. Momentalnie stanął mi przed oczami Joe. Nigdy wcześniej nie widziałam na twarzy O.J.-a czegoś podobnego. To, co teraz zobaczyłam, przeraziło mnie.

Czy Nicole zdaje sobie sprawę z tego, co ją czeka? Była mniej więcej w tym samym wieku co ja, kiedy związałam się z Joem. Taka młoda. Taka naiwna. Co ja wiedziałam, będąc w jej wieku?

Moje obawy potwierdziły się, kiedy poszłam do łazienki. Przy lustrze stała Nicole i poprawiała makijaż. We fluorescencyjnym świetle dostrzegłam na jej twarzy sińce, które starała się zamaskować.

- Nicole, wiem, że to nie moja sprawa, ale chyba wiem, przez co przechodzisz...

- Co masz na myśli? - zadała to pytanie tonem, który miał oddalić moje podejrzenia.

- To O.J. ci to zrobił, prawda?

- Ależ skąd - zaprzeczyła. - Potknęłam się przy basenie i upadłam na twarz. Straszna ze mnie fajtłapa.

- Naprawdę? - powiedziałam, rzuciwszy jej znaczące spojrzenie.

Nie było sensu nic więcej mówić. Nicole, zaślepiona przez miłość, nie przyjmowała do wiadomości faktów. Sama dobrze to pamiętałam. Nicole nie była gotowa o tym rozmawiać, a ja czułam, jak pod wpływem ogarniającej mnie bezradności żółądek podchodzi

mi do gardła. Chciałam nią potrząsnąć, ale zdawałam sobie sprawę, że będzie musiała odebrać taką samą lekcję, jaką ja kiedyś odebrałam... i że będzie to lekcja bolesna.

Richard i ja prowadziliśmy odrębne życie. Któregoś dnia mój mąż wyjechał z dziećmi na weekend do Las Vegas. Pomimo stanu naszego małżeństwa był zawsze dobry dla Toni i nigdy nie odsuwał jej na boczny tor. Kiedy mi się oświadczył, zadeklarował, że chciałby prawnie adoptować Toni - jeszcze jedna przynęta, która miała zwabić mnie do zastawionej przez niego pułapki. Przeprowadził całą urzędową procedurę, która została sfinalizowana w czasie, kiedy byłam w ciąży z Dustinem. Tom, biologiczny ojciec Toni, nie zgłosił sprzeciwu.

Życie Toni wypełniały teraz lekcje tańca i konnej jazdy, wycieczki z przyjaciółmi, przyjęcia i szkolne przedstawienia - w większości z tych wydarzeń Richard brał czynny udział. Toni czuła się ważną częścią jego życia, była szczęśliwa i zadowolona. To właśnie o Toni martwiłam się najbardziej, kiedy planowałam odejście od Richarda. Okropnie mnie to dręczyło. Ale nie mogłam dłużej żyć w taki sposób. Nie wyszłoby to na dobre żadnej z nas.

W czasie ich pobytu w Las Vegas postanowiłam zrobić imprezę dla ekipy, z którą byłam w Nowej Zelandii. Pusty dom sprawiał, że szczególnie mocno doskwierała mi samotność; potrzebowałam towarzystwa dobrych przyjaciół, żeby oderwać myśli od tej piekielnej farsy, jaką stało się moje małżeństwo.

Podczas imprezy zaczęłam szukać zdjęć zrobionych w trakcie naszej nowozelandzkiej przygody. Dla całej naszej grupy był to wyjątkowy czas i uwielbialiśmy wracać do tamtych wspomnień. W szufladzie Richarda natknęłam się przypadkiem na woreczek z kokainą. W przeszłości zdarzyło mi się parokrotnie zażywać ją razem z Richardem, ale przestałam, kiedy zorientowałam się, jak bardzo kusząca staje się dla mnie perspektywa kolejnego razu. Nie brałam kokainy od czasu, kiedy zaszłam w ciążę. Widok woreczka wypełnionego białym proszkiem przywoływał mi na myśl obraz destrukcji. Miałam właśnie wrzucić zawartość torebki do toalety, kiedy napatoczył się któryś z moich gości.

- Hej, zamierzasz może się podzielić?

Zawahałam się, ale ostatecznie podałam mu torebkę.

- Trzymaj, bawcie się dobrze. Wszystko, co zostanie, trafi do sedesu.

Kiedy przekazywana z rąk do rąk kokaina dotarła do mnie, odmówiłam. Ale po kilku kolejnych drinkach skusiłam się. Po imprezie wyrzuciłam to, co zostało w torebce, i nigdy więcej nie tknęłam tego towaru.

W następny weekend przyjechał do Los Angeles Fred Reed, mój przyjaciel z Rochester, który odbywał właśnie swoją coroczną podróż z dziećmi na Zachodnie

Wybrzeże. Planowałam umówić się z nim na lunch.

Byłam zajęta karmieniem Dustina, kiedy do kuchni wszedł Richard. Usiadł przy nas z kawą i przez chwilę bawił się z Dustinem. Syn był jego dumą i radością. Wiedziałam, że moje odejście będzie dla Richarda ciężkim przeżyciem.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- Fred jest w mieście i zabieram go na lunch. Chcesz się przyłączyć?

- Nie, zamierzam dziś pojeździć trochę konno. Konie potrzebują ruchu. Dokąd chcesz go zabrać?

- Nie jestem jeszcze pewna. Gdzieś do Beverly Hills. Może do Polo Lounge - odparłam.

- Pozdrów go ode mnie - powiedział, wylewając resztkę kawy do zlewu, po czym wyszedł z kuchni.

- Pa, pa, tatusiu - zawołał za nim Dustin, ale Richard już go nie słyszał.

Około jedenastej słońce przebiło się przez mgłę, odkrywając nowe, rześkie oblicze dnia. Uznałam, że zamiast siedzieć w jakiejś dusznej knajpie, lepiej będzie zabrać Freda na przystań. Usiedliśmy przy oknie w restauracji położonej na nabrzeżu i przyglądaliśmy się łodziom, przepływającym leniwie kanałem. Fred przekazał mi wszystkie nowiny z naszego rodzinnego miasta. Kiedy przyniesiono nam wino, podniósł kieliszek i wzniosł za mnie toast.

- Georgia, widywałam cię w trudnych dla ciebie momentach. Bardzo się cieszę, że wreszcie jesteś szczęśliwa - powiedział szczerze.

Może powinnam zostać aktorką - pomyślałam, kiedy stuknęliśmy się kieliszkami. Upiłam łyk wina i odwróciłam wzrok, zanim Fred miał szansę wyczytać cokolwiek z moich oczu. Całymi latami udawałam, że jestem szczęśliwa. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, była satysfakcja tych wszystkich ludzi w Rochester, którzy źle mi życzyli. Gdyby tylko moi nieprzyjaciele zorientowali się, że moje małżeństwo stało się koszmarem, z pewnością sprawiłoby im to przyjemność. Fred był przyjacielem, ale pochodził z Rochester, a ja zawsze miałam w pamięci złożoną sobie obietnicę: udowodnię plotkarzom z czasów swojej młodości, że na przekór ich przewidywaniom będę odnosić sukcesy i zyskam szacunek innych.

Spojrzałam na pogodny krajobraz za oknem i nagle zakrztusiłam się winem. Za sterami naszej łodzi stał sobie Richard i beztrąsko żeglował kanałem w towarzystwie dwóch zdirowatych kobiet. Najwyraźniej właśnie wciągali kokainę, a jedna ze stojących u boku Richarda dziewczyn piła z gwinta jakiś mocny alkohol. Wyglądało na to, że świetnie się bawią. Obsesyjne upodobanie Richarda do takiej zgnilizny moralnej doprowadziło mnie do furii.

- Wszystko w porządku? - zapytał zaniepokojony Fred.

- Tak, po prostu wino wleciało mi nie tam, gdzie trzeba. Przepraszę cię na minutkę.

Wstałam i udałam się w kierunku damskiej toalety.

Richard zmierzał do przystani. Wskoczyłam do samochodu i pognałam do Marina City Club, gdzie cumowaliśmy zwykle naszą łódź. Kiedy stanęłam przed bramą, uświadomiłam sobie, że nie mam przy sobie klucza. Po drugiej stronie bramy jakiś Meksykanin zamiatał akurat chodnik.

- Masz klucz do tej bramy? - zapytałam kategorycznym tonem.

Mężczyzna skinął głową.

- Otwieraj! - zażądałam.

Popędziłam na koniec nabrzeża. Zjawiłam się tam w tej samej chwili, w której łódź zaczęła przybijać do kei. Widok miny Richarda był wprost bezcenny. Nie mógł zrobić już nic innego, jak tylko płynąć naprzód. Znalazł się w pułapce. Kiedy łódź wystarczająco zbliżyła się do kei, wskoczyłam na pokład. Założyłam Richardowi nelsona i szarpnęłam go za szyję z taką siłą, że kapitańskie krzeselko, na którym siedział, połamało się, a on sam wylądował tyłkiem na pokładzie. Pozostawiona sama sobie łódź obijała się o krawędź kei.

- Co ty mu robisz? - wrzasnęła jedna z jego towarzyszek.

Byłam taka wściekła, że zapomniałam o dziewczynach. Ale teraz, kiedy same mi o sobie przypomniały, skupiłam się na nich i jednym zamaszystym ruchem wypchnęłam obie za burtę. Na odchodne wymierzyłam jeszcze Richardowi kopniaka, po czym zeskoczyłam z łodzi. Pobiegłam do samochodu i szybko wróciłam do restauracji. Od mojego wyjścia minęło pięć lub sześć minut. Spokojnie zajęłam miejsce przy stoliku, wzięłam do ręki kieliszek i jak gdyby nigdy nic kontynuowałam rozmowę z Fredem. Tak, zdecydowanie byłabym świetną aktorką.

Fred i ja piliśmy przez całe popołudnie. Lunch zamienił się w obiad, a my nadal nie kończyliśmy. Dopiero po północy powiedzieliśmy sobie wreszcie dość. Byłam mocno wstawiona. Kiedy dotarłam do domu i otworzyłam drzwi swojej sypialni, ze zdumieniem ujrzałam tam Richarda, chrapiącego w najlepsze na moim łóżku.

Trzeba mu to przyznać, White - ma facet jaja!

Natychmiast wyruszyłam na poszukiwanie broni, ale Richard starannie ukrył gdzieś całą broń palną, jaką trzymaliśmy w domu - nie uśmiechało mu się ponowne wymienianie wszystkich okien. Ostatnimi czasy Georgia Black często dochodziła do głosu. Któregoś dnia, żeby dać upust swojej wściekłości, podziurawiłam wszystkie okna kulami. Teraz jednak zapragnęłam krwi. Rozejrzałam się za jakąś inną bronią. Ach, pogrzebacz z kominka.

Pomaszerowałam z powrotem do sypialni i z całej siły przywaliałam Richardowi pogrzebaczem w plecy.

To go oduczy pogrywania z tobą.

- Co jest, kurwa!?! - ryknął Richard.

- Jeśli chcesz dożyć poranka, sugeruję, żebyś wyszedł - powiedziałam opanowanym głosem, którego ton przestraszył nawet mnie samą.

Richard wybiegł z domu w piżamie i wskoczył do swojego rolls-royce'a. Wyjechał z podjazdu tyłem i zarysował swój cenny wóz, kiedy z impetem przejeżdżał przez półotwartą bramę. Wrócił do domu po trzech dniach. Wciąż miał na sobie tę samą piżamę.

Nazajutrz zaczęłam przeglądać oferty nieruchomości na sprzedaż i ogarnęło mnie przygnębienie. Wycenione na trzysta tysięcy dolarów domy, które znalazłam w Beverly Hills i najbliższych okolicach, przypominały nędzne chałupy w porównaniu ze standardem, do którego zdążyłam się przyzwyczaić. Miały maleńkie pokoje, mikroskopijne szafy i żadnego ogrodu. Jeśli chciałam kupić coś, co przypominało dom, to przy moim budżecie jedynym wyjściem była dolina San Fernando. „Dolina” była dla mnie obcym terenem. Chociaż od Beverly Hills dzieliło ją zaledwie dziesięć minut drogi, była to droga w niewłaściwym kierunku, oddalająca mnie od świata, który zdążyłam poznać.

Tuman kurzu ciągnął się za limuzyną pędzącą po dnie wyschniętego jeziora w El Mirage. Po przejechaniu ośmiu kilometrów dotarliśmy do celu podróży: kompletnego pustkowia, gdzie w zasięgu wzroku nie było nic poza czarnym, złowrogo wyglądającym pojazdem. Nad ogromnymi połaciami spękanej, pustynnej ziemi unosiło się rozedrgane od upału powietrze. Z eleganckiego samochodu wynurzyło się sześciu kierowców: pięciu mężczyzn i ja. Nasz wygląd robił wrażenie - wszyscy byliśmy ubrani w identyczne czarne kombinezony wyścigowe oraz kaski. Wally, szef naszego zespołu, świetnie się bawił, przygotowując to widowisko. Temperatura na pustyni Mojave wynosiła piekielne czterdzieści osiem stopni Celsjusza. Tymczasem w wyścigowym prototypie nie było klimatyzacji, jego okna były szczelnie zamknięte, a ja byłam ubrana cała na czarno. Nabrałam pewności, że zasłużę sobie na każdego centa, którego miałam tu zarobić.

Niewiele brakowało, bym nie przyjęła tamtego zlecenia, bo korciło mnie, żeby kontynuować poszukiwania nowego domu. Zadziwiające, że gdybym nie zdecydowała się na ten wyjazd na pustynię, to nigdy nie znalazłabym domu, w którym mieszkam do dzisiaj.

Po długim, piekielnym, upalnym dniu ruszyliśmy w drogę powrotną do Los Angeles zmęczeni i wycieńczeni. Bob Schultz, jeden z kierowców wchodzących w skład naszego zespołu, również był w trakcie poszukiwań nowego domu - i jemu także nie dopisywało dotąd

szczęście. Kiedy jednak opisałam mu, czego dokładnie szukam, przypomniał sobie, że widział już dom, który odpowiadał mojemu opisowi. Ponieważ przejeżdżaliśmy akurat w pobliżu, Bob poprosił szofera naszej limuzyny, żeby zawiózł nas w tamto miejsce.

- Bob, to jest to! Ma wszystko, czego szukam. Stoi w ślepej uliczce, ma domek dla gości, basen i duży ogród. Ile za niego chcą? - dopytywałam podekscytowana.

- Trzysta osiemdziesiąt dziewięć tysięcy.

- Jeśli w środku jest tak samo ładny jak na zewnątrz, to złożę im ofertę! - krzyknęłam, bezskutecznie próbując opanować podniecenie.

Następnego dnia zadzwoniłam do agentki nieruchomości i poprosiłam, żeby załatwiła możliwość obejrzenia domu. Kiedy tylko się po nim przeszłam, natychmiast poczułam dobre wibracje. Każdy pokój miał sklepiony sufit. Wysokość pomieszczeń sprawiała, że dom wydawał się jeszcze bardziej przestronny. Łączna powierzchnia, liczona razem z domkiem dla gości, wynosiła dwieście sześćdziesiąt metrów kwadratowych, a więc była dwa razy mniejsza od powierzchni domu Richarda. Dom potrzebował pewnego nakładu pracy, żeby dostosować go do moich standardów, ale remonty to nie było dla mnie nic nowego. Właściciele przyjęli moją ofertę, a transakcja miała zostać zamknięta za sześćdziesiąt dni. Sześćdziesiąt dni życia pod jednym dachem z Richardem.

Kiedy moje odejście stało się realną perspektywą, Richard zaczął zachowywać się jak skończony drań.

- Nie zabierzesz mi syna, po moim trupie! - wrzasnął i wybiegł z domu, trzaskając na odchodne drzwiami.

Niech tak będzie...

Georgia Black obmyśliła plan. Richard miał słabe serce. Przeżył już jeden zawał, którego dostał w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat. W czasie podróży do szpitala zapadł w stan śmierci klinicznej i lekarz stwierdził jego zgon, jednak w szpitalu zdołano go skutecznie reanimować.

Możesz go zabić, White. I nie będziesz nawet musiała pociągać za spust.

Zadzwoniłam do Pips, kiedy Richard jadł tam obiad z jedną ze swoich prostytuttek.

- Chciałabym rozmawiać z Richardem Adrayem.

- Ee, nie wydaje mi się, żebym go tu dzisiaj widział - powiedział barman, który rozpoznał mój głos.

- John, to nagły wypadek. Spróbuj go znaleźć.

Richard w mgnieniu oka znalazł się przy telefonie. Postarałam się przybrać histeryczny ton głosu i zaczęłam krzyczeć do słuchawki:

- Właśnie zabiłam dzieci! Teraz już żadne z nas ich nie dostanie!

Rozłączyłam się i natychmiast zabrałam się do polewania schodów i ścian keczupem, którzy następnie rozmasałam tak, żeby przypominał krew.

To powinno załatwić sprawę.

Dotarcie do domu zajęło mu pięć minut. Siedziałam na sofie w salonie, zwrócona twarzą do drzwi wejściowych; nie chciałam stracić ani jednej chwili z tego widowiska.

Nikt nie odbierze ci syna. Nigdy na to nie pozwolę. Nie ma mowy.

Richard wytrzeszczył oczy na widok tego, co, jak mu się zdawało, było krwią. Popędził do pokojów dzieci i przekonał się, że nic im nie jest. Kiedy stanął ze mną twarzą w twarz w salonie, całe jego ciało dygotało - ale nie umarł.

Cholera jasna! Nie udało się. I co ja teraz zrobię?

Już ja coś wymyślę. Nie martw się, White.

Moja nienawiść do Richarda nie znała granic. Obiecałam sobie, że kiedy już uwolnię się od tego małżeństwa, nigdy więcej nie pozwolę żadnemu mężczyźnie się do siebie zbliżyć. Już samo poniżenie, jakim było dla mnie znoszenie jego niewierności, było wystarczająco okropne; jednak groźba odebrania mi syna oznaczała wypowiedzenie wojny. Richard nie kupi Dustina jak jakiejś rzeczy.

Dom był wystarczająco duży, żebyśmy mogli się unikać, nie licząc krótkich chwil, kiedy mijaliśmy się na korytarzu. Przez większość czasu azylu dostarczał mi mój walkman, a Richarda traktowałam tak, jakby był niewidzialny. Porozumiewaliśmy się ze sobą wyłącznie przez prawników. Ron Litz, mój adwokat, nie był zachwycony moim ostatnim wyczynem.

- No dobrze, Georgia - powiedział - tym razem naprawdę przegięłaś. Musisz iść do psychiatry. Będziemy musieli jakoś udowodnić, że działałaś pod wpływem wyjątkowego stresu.

- Stresu? Życie w tych warunkach to nie stres, to szaleństwo! - wrzasnęłam.

- Po tym, co się tu stało, muszę się z tobą zgodzić.

Moje życie było stresujące, ale Georgia Black doskonale wiedziała, co robi. Ja chciałam być po prostu szczęśliwa. Black chciała wyłącznie zemsty. Na razie jednak musiałam działać zgodnie z programem.

Ron wyglądał na skonsternowanego.

- Co cię opętało, że zrobiłaś coś takiego? - spytał, kręcąc głową.

Opętała mnie Georgia Black - ale Ron by tego nie zrozumiał.

- Chciałam go zabić - odezwała się na głos Black.

Oczy prawnika rozwarły się szeroko. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił

powietrze.

- Nie ułatwiasz mi pracy. Sądzisz, że jesteś w stanie powstrzymać się od takich zachowań? - zapytał.

- Postaram się, Ron. Ale zapowiadam ci to od razu: on nie dostanie mojego syna. Wydaje mu się, że za pieniądze może kupić wszystko. Prędeż go zabiję.

Podczas pierwszej wizyty psychiatra dał mi test osobowości, którego wypełnienie zajęło mi cztery godziny. Tydzień później wyjechałam do Jackson Hole w Wyoming, gdzie miałam wziąć udział w kręceniu reklamy Jeepa. Po długim dniu opętańczej jazdy przed kamerami wróciłam do hotelowego pokoju po odrobinę dobrze zasłużonego odpoczynku. Zauważyłam migające światełko automatycznej sekretarki. To psychiatra chciał, żebym jak najszybciej zadzwoniła do niego do domu.

- Co się stało, doktorze?

- Chciałem się upewnić, czy pojawi się pani u mnie na wizycie umówionej na następną czwartek - powiedział z silnym francuskim akcentem.

- Tak, mam zamiar się pojawić. Dzwonił pan do mnie tylko w tej sprawie?

- Dobrze, w zasadzie tak. Mam już wyniki pani testu i musimy o nich porozmawiać.

- W czym problem, doktorze?

- Przedyskutujemy to w czwartek, kiedy mnie pani odwiedzi. Chciałem tylko mieć pewność, że zamierza pani przyjść.

- Dobrze... w porządku. Do zobaczenia w czwartek.

Byłam zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać. Umyłam twarz i położyłam się do łóżka. Od czekającej mnie o czwartej rano pobudki dzieliło mnie zbyt niewiele czasu, żebym miała tracić noc i rozważać, o co mogło chodzić lekarzowi. Dowień się w czwartek. Nie mogłam pozwolić, żeby moje osobiste problemy przeszkadzały mi w pracy. Na planie filmowym przewoziłam w samochodzie czterech pasażerów. Jeden niewłaściwy ruch mógł oznaczać katastrofę. Intensywność mojej pracy pomagała mi przechodzić przez wiele bolesnych momentów w życiu. Po prostu nie mogłam sobie pozwolić na rozpamiętywanie tych problemów.

Nazajutrz rano dotarłam na plan jeszcze przed wschodem słońca - była to stała pora, o której zaczynała się praca nad wszystkim reklamami samochodowymi. Musieliśmy nagrać od nowa część nakręconego poprzedniego dnia materiału. Najwyraźniej moi pasażerowie nie sprawiali wrażenia, jakby specjalnie dobrze się bawili. Kamera uchwyciła malujące się na ich twarzach przerażenie.

- Co możesz zrobić, żeby poczuli się bardziej komfortowo, Georgia? - zapytał reżyser

Dennis Gripentrog, kiedy staliśmy przy ciężarówce z jedzeniem i w porannych ciemnościach sączyliśmy pierwszą tego dnia kawę.

- Dlaczego nie przestawisz gdzieś tej karetki? Już sam jej widok napędza im stracha. Te dzieciaki to nie kaskaderzy. Z tego, co pamiętam, to przed wyjazdem sugerowałam ci, żeby zatrudnić profesjonalistów i to ich wsadzić ze mną do samochodu. Czego się spodziewasz po ludziach, których zatrzymujesz na ulicy i pytasz, czy nie chcieliby zagrać w reklamie? Czy ktokolwiek w ogóle im wyjaśnił, co będą tutaj robić?

- Klient nie miał na tyle dużego budżetu, żeby zatrudnić czterech dodatkowych kaskaderów i płacić im honoraria. Agencja reklamowa domagała się, żebyśmy wzięli kogoś z lokalnych mieszkańców.

- Chcesz mi powiedzieć, że te dzieciaki pracują za zwyczajną dniówkę? - zapytałam.

Dennis wzruszył ramionami.

- Tak sędzę. Nie zajmuję się wypłatami. To nie moja działka.

- No dobrze, zobacz, ile teraz to kosztuje - zauważyłam. - Wczoraj straciliśmy cały dzień. Koszt ponownego nakręcenia całego materiału będzie wyższy niż koszt zatrudnienia profesjonalistów. A do tego wcale nie jest wykluczone, że scena znowu się nie uda.

- Powiedz to tym liczykrupom z Detroit. A teraz po prostu zrób, co możesz, żeby trochę się odprężyli. Mamy piętnaście minut do wschodu słońca.

- Wspaniale.

Scenograf skonstruował gigantyczne litery, które układały się w słowa: „Wagoneer” oraz „Cherokee”, czyli nazwy dwóch modeli, które występowały w naszych reklamach. Litery zbudowane były głównie z siatki ogrodzeniowej, którą pokryto materiałem do złudzenia przypominającym litą skałę i dopasowanym do scenerii tła, czyli prawdziwych gór Grand Teton. Napis miał sześć metrów wysokości i ponad dwadzieścia metrów długości. Scena miała przedstawiać przejazd po szczycie liter samochodem o odpowiedniej nazwie. Powierzchnia na szczycie nie była płaska, lecz powycinana zgodnie z naturalnymi krzywiznami liter, a do tego była pokryta różnych rozmiarów żwirem, co stwarzało ryzyko poślizgu. Litery sprawiały wrażenie wyciętych z kamienia. Wyglądały świetnie. Ale moje zadanie było cholernie trudne.

Zanim scenografia została zbudowana, przeglądałam specyfikację techniczną z projektantem i wyjaśniałam swoje wymagania odnośnie do bezpieczeństwa. Niestety, projektant popełnił błąd w wyliczeniach i zostawił mi jedynie po dziesięć centymetrów podłoża po obu stronach samochodu. Przejazd w takich warunkach był wykonalny, ale nie zostawiał kierowcy zbyt dużego pola manewru na wypadek błędu. Z profesjonalnymi

kaskaderami w roli pasażerów do nagrania całej sceny wystarczyłyby dwa duple. Z każdym kolejnym dublem ryzyko rosło. Ujęcia z dalekiego planu były już gotowe, ale do reklamy potrzebne były jeszcze zbliżenia.

Moich pasażerów niepokoił fakt, że kierowcą jest kobieta. Ich życie dosłownie spoczywało w moich rękach. Już sam wjazd po rampie na szczyt liter był dla nich wystarczająco strasznym przeżyciem. Dla mnie było to z kolei pierwsze tego rodzaju doświadczenie. Nigdy wcześniej nie wjeżdżałam po rampie takich rozmiarów. Oczywiście, oni nie mieli o tym pojęcia, podobnie zresztą jak i firma zajmująca się produkcją reklamy.

Nie obawiałam się jednak tego zrobić. Podczas podjazdu czułam się jak na kolejce górskiej - widziałam przed sobą wyłącznie niebo - bez żadnych punktów odniesienia. Jechałam całkowicie na ślepo, kierując się jedynie wyczuciem i intuicją. Na domiar złego rampa zakręcała, zamiast prowadzić prostą linią na szczyt. O tym, w którym miejscu zaczynał się zakręt, nie informowało zupełnie nic poza intuicją. Przejazd musiał odbyć się szybko, ale prędkość musiała być odpowiednio dobrana. Jadąc na ślepo po rampie, mogłam tylko się modlić, żeby w momencie, w którym z impetem wjadę z rampy na szczyt pierwszej litery, moja prędkość okazała się właściwa.

Na dodatek pole widzenia ograniczała kamera przymocowana do dachu jeepa. Jakby tego jeszcze było mało, przednia szyba pokryta została półprzezroczystym materiałem. Miał zatrzymywać promienie słoneczne, żeby nasze twarze mogły być prawidłowo oświetlone. Do tego, żeby obserwować drogę przed samochodem, zostawało mi niecałe pięć centymetrów szyby, licząc od jej dolnej krawędzi.

Litery w słowie „Wagoneer” były najtrudniejsze. Wycięcia na szczycie litery „W” były zbyt szerokie. Musiałam mieć odpowiednio dużą prędkość, żeby podczas przejazdu nie utknęły w nich moje koła. Taka prędkość powodowała z kolei, że jeep momentalnie odrywał się od nawierzchni, a kiedy opony ponownie dotykały podłoża, samochodem zarzucało na boki - w tej sytuacji dziesięciocentymetrowy zapas podłoża po bokach nabierał decydującego znaczenia.

Skoncentrowanie się na tych wszystkich szczegółach było wystarczająco trudne; a teraz oczekiwano ode mnie jeszcze tego, że nakłonię swoich pasażerów do uśmiechu i powstrzymam ich od kurczowego wbijania palców w fotele. Zaserwowałam im krótką przemowę, mającą dodać im otuchy, i przygotowałam się do pierwszej tego ranka próby.

- Akcja, Georgia - zawołał asystent reżysera.

- Jesteście gotowi, chłopaki?

- Bardziej już nie będziemy - odparł pasażer po mojej prawej stronie. Jego oczy

otworzyły się szeroko, kiedy tylko zaczęłam przyśpieszać.

- W porządku, jedziemy. Uśmiechajcie się i zachowujcie tak, jakbyście świetnie się bawili.

Musiałam pamiętać także o własnej minie. Jednoczesne koncentrowanie się na prowadzeniu i uśmiechu nie było najłatwiejszym zadaniem. Ani przez moment nie myślałam jednak o swoich osobistych problemach. Podczas pracy moje prawdziwe życie było niczym czysta kartka. Żyłam chwilą. Co za wspaniała odskocznia.

- Z powrotem na pozycję numer jeden, Georgia. Zrobimy to jeszcze raz.

Zrobiliśmy.

- Zatrzymaj się na chwilę, Georgia, musimy zmienić taśmę. Potem wracaj na pozycję numer jeden. Nakręcimy to jeszcze raz.

- Jeszcze raz? - zapytał jeden z pasażerów.

- Hej - odparłam - to od was zależy, ile razy będziemy to powtarzać. Widocznie się nie uśmiechaliście albo coś w tym rodzaju. Ja nie rozbiłam wozu, więc to nie przeze mnie.

Zrobiliśmy kolejną próbę.

- Georgia, mogłabyś wyjść z samochodu i podejść tu do nas? Reżyser chciałby zamienić z tobą słówko. Over.

- Zrozumiałam. Zaraz tam będę, Gary.

Reżyser i ludzie z agencji reklamowej stali zbici w grupkę przed monitorem. Rozstąpili się, żebym mogła zobaczyć powtórkę.

- Widzisz tego tam, na tylnym siedzeniu? Przyjrzyj mu się na następnym ujęciu. Usta się uśmiechają, ale tylko spójrz na jego oczy! Wdziałaś kiedyś takie przerażenie? Przewiń do trzeciego ujęcia, Rick. Dobra, zobacz teraz. Koleś z tyłu sprawia wrażenie bardziej odprężonego, ale za to ten z przodu wygląda jak trzy ćwierci od śmierci. Co możemy z tym zrobić? - zapytał sfrustrowany Dennis, tak jakbym miała w zanadrzu jakąś magiczną formułkę.

- Pokażmy im to nagranie - zaproponowałam. - Jeśli zobaczą to sami, lepiej zrozumieją, w czym rzecz.

Kiedy „lokalne talenty” obejrzały nagranie, Dennis udzielił im kilku wskazówek, starając się trzymać nerwy na wodzy. Jako reżyser nie słynął ze szczególnej cierpliwości wobec przejawów niekompetencji. Od tej reklamy wiele zależało także i dla niego. Reklama musiała zostać nakręcona, zmontowana i przygotowana do emisji do przyszłego tygodnia. Gdyby nie dotrzymał terminu, miałyby to katastrofalne skutki dla jego reputacji i mogłoby zniechęcić Jeepa do powierzenia mu w przyszłości kolejnych zleceń.

Wróciliśmy do samochodu, zapięliśmy pasy i ruszyliśmy z powrotem w kierunku pozycji numer jeden.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedziałam. - Zdradzę wam mały sekret. Widzieliście, jak dokładnie filmuje was kamera?

- Tak. Nie sądziliśmy, że będzie nas widać w samochodzie.

- Oni pewnie też nie sądzili, że będziecie was aż tak łatwo rozpoznać na filmie. Ale skoro już tak jest, to czy zdajecie sobie sprawę, co to dla was oznacza? Zaliczą was do odtwórców głównych ról.

- Będziemy sławni! - odparli radośnie.

- Nie tylko o to chodzi. Zarobicie dzięki temu około czterdziestu patyków. W tej okolicy pewnie można kupić za to dom.

Wyglądali na osłupiałych.

- Oczywiście to tylko moje szacunki, ale z tego, co słyszałam, zrobią z tego materiału kilka spotów. I będą je puszczać cholernie często przez jakiś czas.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że za każdym razem, kiedy pokażą to w telewizji, dostaniecie pocztą czek z honorarium. Z doświadczenia wiem, że powinno to dać około czterdziestu tysięcy w ciągu roku.

Na ich twarzach odmalowało się podniecenie. Dokładnie takie, jakiego potrzebowały nasze kamery.

- Ale pewnie do tego nie dojdzie.

- Dlaczego nie? - zapytali chórem.

- Kończy nam się czas. Jeśli nie nakręcimy tej sceny podczas następnych kilku ujęć, to po prostu to anulują. Mamy jeszcze cztery próby, zanim skończy się nam dzienne światło. W budżecie nie ma pieniędzy na kolejny dzień zdjęciowy. Uda się nam tylko wtedy, jeśli będziecie wyglądali na szczęśliwych. Jeśli którykolwiek z was wygląda na przestraszonego, to oni nie mogą wykorzystać ujęcia.

Udało się. Za pieniądze można kupić uśmiech. Następne ujęcie okazało się idealne. Zrobiliśmy jeszcze dwie kolejne wersje, żeby klient miał z czego wybierać. Dennis był wniebowzięty.

- Coś ty im powiedziała? - dopytywał.

- Nic - odparłam niewinnym tonem. - Myślałam, że to zasługa twojej błyskotliwej reżyserii. Ale obiecałam im, że jeśli nie zrobią tego jak należy, to pokażę im, jak to jest rozbić się w nowiutkim jeepie.

Dennis zachichotał. Po dwudziestu siedmiu dublach wykonanych w ciągu dwóch dni pasażerowie zostali w końcu zwolnieni do domów, a my zajęliśmy się kręceniem kolejnej sceny.

W sobotę zdjęcia dobiegły końca i wieczorem odbyła się tradycyjna impreza z tej okazji. W niedzielę rano wyruszyliśmy w drogę powrotną do L.A., gdzie czekały na mnie moje rozterki. W czwartek nasz spot został wyemitowany w telewizji. Obejrzałam go tuż przed wyjściem na umówioną wizytę u psychiatry. Widzom musiał się wydać bardzo prosty. Nasza piątka podróżuje samochodem i śmieje się swobodnie, podskakując na kolejnych literach. Pokazanie tej sceny trwało zaledwie trzy sekundy. Uśmiechnęłam się przelotnie. Gdyby tylko wiedzieli. Zaczynało się już robić późno, zgasłam więc telewizor i w pośpiechu wyszłam z domu. Bardzo chciałam się dowiedzieć, dlaczego moja dzisiejsza obecność w gabinecie psychiatry była aż tak ważna.

Psychiatra siedział za biurkiem i palił fajkę. Czekałam, aż wreszcie coś powie, ale on tylko się na mnie gapił. Głaskał się po pokrytym zarostem podbródku, szukając właściwych słów, od których mógłby zacząć.

- No więc? - odezwałam się wreszcie zniecierpliwiona.

Po kilku kolejnych chwilach denerwującej ciszy zdecydował się wreszcie przemówić:

- Muszę pani powiedzieć... Jestem psychiatrą od ponad dwudziestu lat. Robiłem ten test wszystkim swoim pacjentom. Ale pierwszy raz się zdarzyło, żebym otrzymał takie wyniki - powiedział, uważnie przyglądając się mojej twarzy.

- No i co te wyniki mówią? - zapytałam. Ogarniała mnie coraz większa frustracja.

- Proszę pozwolić, że najpierw coś wyjaśnię. Jest to bardzo dokładny test, który pozwala przypisywać ludzi do określonych kategorii w oparciu o udzielone przez nich odpowiedzi.

- Tak, no i co?

- Nie podpada pani pod żadną z tych kategorii.

- Więc twierdzi pan, że... Nie mam swojej kategorii? Tak?

- Zgadza się.

- Do diabła, doktorze. Sama mogłam to panu powiedzieć!

- Ludzie w Minnesocie nie wiedzą, co o tym myśleć. Chcieliby, żeby poleciała tam pani, oczywiście na ich koszt, żeby mogli poddać panią dalszym testom.

Nawet o tym nie myśl, White. Właśnie takiej amunicji potrzebuje Richard, żeby odebrać ci Dustina. Ciesz cię, że wyniki są zbyt niejednoznaczne, żeby mógł je wykorzystać.

- Bardzo mi przykro, że zepsułam ich doskonały test. Chyba mają teraz trochę roboty.

Wygląda na to, że istnieje kategoria, którą przeoczyli. Tak musi być. Bardzo bym nie chciała żyć sobie bez żadnej kategorii.

- Czy to oznacza, że nie pojedzie pani do Minnesoty?

- Właśnie tak. Nie mam na to czasu. Zaczniemy od tego, że wcale nie miałam ochoty tu przychodzić. Powiem coś panu w sekrecie, doktorze: wiem o tym, że mam trochę nie po kolei w głowie. Pan powinien się przejmować raczej tymi, którzy nie mają o tym pojęcia. Może być pan spokojny. Pozwolę mu żyć.

Jeszcze tylko trzydzieści dni i będę dumną właścicielką swojego własnego domu, ale najpierw trzeba było ustalić warunki rozwodu.

- Nie chcę iść do sądu, Ron - oświadczyłam swojemu prawnikowi. - Chcę tylko ruszyć naprzód ze swoim życiem.

- Zdajesz sobie sprawę, z czego w ten sposób zrezygnujesz? A co z alimentami? Mogę wywalczyć dla ciebie tysiące dolarów miesięcznie. Nie wierzę, że zadowolisz się dwustoma pięćdziesięcioma dolarami na dziecko. To niedorzeczne.

- To prawda, ale pójście do sądu nie jest warte psychicznej ceny, jaką musiałabym za to zapłacić. Richard zgodził się na wspólne sprawowanie opieki. Gdybym chciała się z nim procesować, nie miałabym szans przeciwko jego milionom. I ryzykowałabym utratę syna.

- Ale każdy sędzia wyśmiałby ofertę, jaką ci przedstawił - upierał się Ron. - Georgia, pomyśl nad tym przez chwilę. Richard adoptował Toni, macie razem syna. Sędzia weźmie pod uwagę poziom życia, do jakiego przywykliście. Z takimi pieniędzmi, jakie zostałyby ci przyznane, nie musiałabyś pracować do końca życia. Zwłaszcza jeśli powiedziałaś przed sądem o jego uzależnieniu od narkotyków i kontaktach z prostytutkami.

Ron niczego nie rozumiał. Gdybym odrzuciła ofertę Richarda i poszła do sądu, przegrałabym. Przekonałam się już na własnej skórze, jak wiele można kupić za pieniądze - a nie zamierzałam ryzykować utraty syna.

- Ron, dlaczego się ze mną kłócisz? To już postanowione.

- Kłóć się, bo jestem twoim prawnikiem. Moja praca polega na tym, żebym robił to, co dla ciebie najlepsze, i żebym uświadamiał ci, do czego masz prawo.

- W porządku, zostałam poinformowana. A teraz przygotuj dokumenty zgodnie z tym, o co cię poprosiłam.

Podniósł ręce do góry i wstał.

- Dobrze - powiedział - ale musisz podpisać też pewien dokument dla mnie.

- Co to takiego?

- Oświadczenie, że próbowałem cię od tego odwieść. Na wypadek gdybyś za kilka lat,

kiedy zrozumiesz już swój błąd, nie pozwalała mi na postępowanie niezgodne z etyką adwokacką.

- Jasne, chętnie to podpiszę.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju, Georgia. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego jak ty - stwierdził, kręcąc głową.

- Tak, już to słyszałam.

Trzecie urodziny Dustina, które wypadały 12 sierpnia 1983 roku, miały być moim ostatnim dniem w dotychczasowym domu. Brat Joego Ronny, a także jego żona Nifa odwiedzali Joego w Solana Beach. Miałam pewne obawy o to, czy przeprowadzka przebiegnie bez problemów, więc oboje przyjechali do mnie, przenocowali i następnego dnia pomogli mi w przenosinach do nowego domu. Brat mojego byłego męża nocujący w domu mojego już wkrótce byłego męża to dość niezwykła sytuacja. Ale robiłam już dziwniejsze rzeczy.

Niewiele ze sobą zabrałam. Miałam tylko swoje ubrania i kilka drobiazgów, które wniosłam do małżeństwa z Richardem. Płułam sobie w brodę, że odsprzedałam Jimowi Alquistowi jego zestaw stereo - za połowę ceny, którą sama mu kiedyś zapłaciłam. Kto jednak mógł pomyśleć, że będzie mi jeszcze kiedyś potrzebny, skoro poślubiłam króla sprzętu gospodarstwa domowego z Los Angeles? Konieczność umeblowania nowego domu i przeprowadzenia w nim poważnego remontu spychały nowy zestaw stereo na sam dół mojej listy priorytetów.

Zdejmowałam właśnie zdjęcia ze ścian na korytarzu, kiedy Richard wyszedł ze swojej sypialni.

- Postanowiłem dać ci samochód - oznajmił takim tonem, jakby zdobywał się na wielkie poświęcenie.

- To wspaniały gest, Richard, zwłaszcza że włożyłam w jego zakup dziesięć tysięcy z własnych pieniędzy.

- Tak, cóż. Spłacę resztę rat, ale lepiej, żebyś o niego dbała. To ostatni porządny samochód w twoim życiu.

Roześmiałam się.

- Nie znasz mnie jednak zbyt dobrze, co, Richard? Naprawdę sądzisz, że odtąd zaczyna się dla mnie równia pochyła? Zawsze potrafiłam o siebie zadbać. Do niczego nie jesteś mi potrzebny. Nigdy nie byłeś. Jeśli zechcę, co roku będę kupować sobie nowy wóz. Nie lekceważ mnie, Richard. To niedobre dla twojego serca.

- Upewnij się, że zabrałaś wszystkie zdjęcia, na których jesteś - rzucił cierpko

i pomaszerował do kuchni.

Kiedy godzinę później wrócił, zobaczył, że wszystkie zdjęcia leżą spakowane na podłodze. Długie gołe ściany z powbijanymi w nie gwoździami przedstawiały niezły widok.

- Zabrałaś wszystkie zdjęcia! - wydyszał, patrząc na puste ściany.

Zostało na nich tylko jedno zdjęcie: przedstawiało Richarda pozującego obok jednego ze swoich kosztownych, egzotycznych wozów.

- Kazałeś mi zabrać wszystkie, na których jestem. Wiesz co? Te ściany całkiem dobrze opowiadają historię twojego życia. Masz piękne samochody, piękne domy, łodzie, konie i inne zabawki. Ale twoje życie jest takie jak te ściany: puste.

To ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszał... chwilę później zniknęłam z jego życia.

Rozdział czternasty

Wiele zawdzięczam małżeństwu z Richardem. Tamten czas nie był dla mnie kompletnie stracony. To wtedy uwolniłam się od obezwładniających mnie wcześniej lęków i poczucia wewnętrznego zamętu. W trakcie naszego flirtu, a także pierwszych dziewięciu miesięcy małżeństwa, jeszcze zanim wszystko między nami się rozpadło, zyskałam siłę potrzebną mi do odkrycia, kim naprawdę jestem.

Ze wszystkiego, co przydarza się nam w życiu, możemy wyciągnąć jakąś lekcję. Przy Richardzie nauczyłam się dostrzegać swoje mocne strony - pomogło mi to odbudować nadszarpnięte wcześniej poczucie własnej wartości. Każdy z moich mężów przyczynił się w jakiś sposób do tego, że stałam się osobą, którą jestem teraz. Przy Joem nauczyłam się, jak przetrwać. A co zawdzięczam Tomowi? Myślę, że to przy nim dowiedziałam się, czego nie chcę od życia. Zawsze uczyłam się na własnych doświadczeniach i starałam się robić z tej wiedzy użytek.

Z wyczekiwaniem spoglądałam w przyszłość i zaczęłam podążać za światłem. Spokój wydawał mi się do tej pory czymś dalekim. Teraz mogłam go wreszcie doświadczyć i cieszyć się tym stanem - poczułam, że jestem gotowa stawić czoła ukrytym niebezpieczeństwom, jakie niesie ze sobą życie.

Dziękowałam Bogu za swoją byłą szwagierkę Darlene. Wkrótce po tym, jak kupiłam dom, Darlene zamieszkała w nim razem ze mną. Łączącą nas przyjaźń była jedyną rzeczą, jaka ocalała z naszych małżeństw z braćmi Lamendola. To wtedy nasze zmartwienia zbliżyły nas do siebie i sprawiły, że między mną i Darlene narodziła się trwała więź. Jak dobrze było mieć przy sobie przyjaciółkę, która wiedziała dokładnie, co przeżyłam. Mogłam podzielić się z nią najskrytszymi myślami, nie obawiając się, że cokolwiek z tego, co powiem, pojawi się w plotkarskiej rubryce „Enquirer”. Ostatni rok spędziłam w odosobnieniu, całkowicie pochłonięta remontem nowego domu, a obecność Darlene wypełniła tę lukę i sprawiła, że nie czułam się tak bardzo odcięta od świata.

Mój styl życia zmienił się nagle i przystosowanie się do nowych warunków nie było dla mnie łatwe. Toni przeżywała to jednak jeszcze ciężiej. Jej świat się zawalił, chociaż nie zrobiła niczego, żeby sobie na to zasłużyć. O to, co się stało, obwiniała mnie - wprawdzie nigdy nie powiedziała tego głośno, ale swoim zachowaniem dawała do zrozumienia, że to właśnie mnie obarcza odpowiedzialnością. Toni zaczęła się buntować - co w wypadku czternastolatki nie było niczym niezwykłym - czas pokazał jednak, że za jej

autodestrukcyjnymi zachowaniami kryło się znacznie więcej niż tylko nastoletni bunt. Jeśli chodzi o Dustina, to nie zauważył żadnej zmiany, był na to po prostu za mały. Toni nadal chodziła do liceum w Beverly Hills: przynajmniej ta jedna część jej życia nie została wywrócona do góry nogami. Wożenie jej na drugą stronę kanionu Coldwater w godzinach szczytu zabierało nam jednak za każdym razem niemal godzinę. Ludzie przemieszczali się szybciej nawet w czasach, kiedy podróżowano wozami konnymi. Obie byłyśmy poirytowane.

Wypruwałam sobie żyły, starając się zapewnić swoim dzieciom dom i życie, do jakich zdążyły przywyknąć. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej byłam zdecydowana osiągnąć sukces wyłącznie własnymi siłami. Moje doświadczenia z mężczyznami, którzy pojawiali się dotychczas w moim życiu, wyzwoliły we mnie determinację, żeby się od nich uniezależnić. Najwyższy czas wyjść z cudzego cienia. Dość marzeń o rycerzu w lśniącej zbroi. Zasmakowałam życia na wysokim poziomie. Nie zamierzałam zadowalać się niczym gorszym i nie chciałam, żeby musiały to robić moje dzieci. I tylko ja mogłam sprawić, że dostaniemy to, czego pragniemy.

Dla chcącego...

O czwartej po południu bar Tippler pękał w szwach. Większość narciarzy zdążyła już zjechać ze stoków i teraz zajęta była sprawdzaniem, z kim można by umówić się na randkę i jakie imprezy planowane są wieczorem. Coroczne wizyty w Aspen w okresie Bożego Narodzenia powoli stawały się dla mnie nową tradycją. Po raz pierwszy wybrałam się tam rok wcześniej, dla uczczenia rozvodu z Richardem. Ale dopiero teraz, prawie półtora roku po rozwodzie, zaczęłam w końcu otrząsać się z nieszczęścia, w którym byłam pogrążona przez większość swojego życia.

Chociaż nasz apartament miał tylko jedną sypialnię, musiał pomieścić pięć dziewczyn. Świetnie się bawiłyśmy, szusując na nartach, ale prawdziwą atrakcją tego miejsca były imprezy. Zimą roku 1984 kostki lodu trzeba było dowozić aż z Denver. W Aspen trwała nieprzerwana balanga.

Gwiazdy filmu i milionerzy rywalizowali o to, kto zorganizuje „najlepszą imprezę roku”. Kto będzie mógł pochwalić się najlepszym zespołem i najlepszym jedzeniem? Kto ściągnie do siebie śmietankę towarzyską? Kto przyjmie gości w najokazalszej rezydencji z najpiękniejszym widokiem? W Aspen wszyscy nieustannie starali się jeden drugiego prześcignąć. Nigdzie na świecie nie odbywały się przyjęcia bardziej wystawne niż tutaj.

Wkraczając przez otwarte drzwi do tamtego świata, miałam poczucie, jakbym spędziła w nim całe życie - tyle tylko, że przez te wszystkie lata, które przeżyłam w cieniu, wiele zdążyło się zmienić. Na porządku dziennym były teraz narkotyki i seksualna swoboda. Kiedy

wyszłam spod parasola ochronnego, jakim były moje kolejne małżeństwa, stanęłam przed zupełnie nowymi dylematami. Oczywiście nie byłam aż tak naiwna, żeby kompletnie nie wiedzieć, co dzieje się dookoła, ale sama nie miałam z tym dotąd do czynienia.

Trudno było pogodzić życie w roli singielki z wartościami, którymi się kierowałam. Do rangi wyzwania urosło umówienie się na randkę przy kolacji i rozegranie tego w taki sposób, by nie stać się deserem. Byłam bardzo towarzyska, ale zachowywałam dystans. Dbałam o to, żeby moje życie osobiste pozostało moją prywatną sprawą. Nauczyłam się tego w czasie małżeństwa z Joem i teraz przychodziło mi to z naturalną łatwością.

W tamtym czasie nie do końca uświadamiałam sobie, kim jestem, a obronny mur, jaki wokół siebie zbudowałam, z pewnością mi tego nie ułatwiał. Każdy, kto próbował się do mnie zbliżyć, miał do czynienia z Georgią Black, która twardo broniła dostępu do mojego serca. Nie zostawiała żadnej luki, przez którą można by się prześlizgnąć. Mimo to powoli stawałam się na powrót tą samą osobą, którą przestałam być wiele lat temu. Ponownie zaczynałam traktować życie jak przygodę.

Siedząc przy stoliku obok okna, zauważyłam Darlene i resztę swoich przyjaciółek: stały rozbawione przy barze w towarzystwie kilku całkiem przystojnych mężczyzn. Postanowiłam do nich dołączyć. Kiedy przeciskałam się przez tłum wypełniający lokal, usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu. Rozejrzałam się i w otaczającym mnie morzu głów dostrzegłam wysoką, szczupłą kobietę, która machała do mnie dłonią w rękawiczce. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam Darrien Earle.

- Cześć, Darrien - powiedziałam, dosiadając się do jej stolika. - Jak się masz?

- Świetnie. W tym roku bawię się na nartach jak nigdy. Może to dlatego, że jestem zakochana - stwierdziła, spoglądając z zachwytem na swojego towarzysza. - Kochanie, to jest Georgia Durante. A to Dennis Krieger.

- Miło mi cię poznać, Dennis - przywitałam się i podałam mu rękę. Nie zrobił na mnie aż takiego wrażenia, jakie najwyraźniej wywarł na Darrien.

- Nie jesteś przypadkiem ojcem Jennifer z liceum Beverly Hills? - zapytałam.

- Zgadza się - odparł, uśmiechając się serdecznie.

- Od razu pomyślałam, że nazwisko Krieger brzmi znajomo. Nasze córki są koleżankami z klasy.

- A ty jesteś może tą Georgią, która przyjaźni się z Ann Feldner? - Teraz to Dennis próbował sobie przypomnieć, gdzie słyszał wcześniej moje imię.

- To ja. Skąd znasz Ann?

- Poznaliśmy się w Bistro Garden w Beverly Hills jakiś miesiąc temu - wyjaśnił. -

Opowiedziała mi o waszych przygodach w Nowym Jorku. Wasza dwójka spuszczone z oka potrafi nieźle narozrabiać.

Uśmiechnęłam się, czego nie można było powiedzieć o Darrien.

- Jutro wybieramy się na stok w Snowmass. Zarezerwowałem już stół w Krabloonik na trzynastą. Może wybierzesz się tam z nami? - zaproponował Dennis.

Czułam, że jest mną zainteresowany, a ja nie zamierzałam wchodzić przyjaciółce w paradę podczas ich wspólnego wypadu.

- Nie, dzięki - odparłam. - Dobrze wiem, jak by to się skończyło. Zamierzam pojeździć na nartach, a po wizycie w restauracji i paru butelkach wina nie miałabym już ochoty wracać na stok. Ale przed końcem tygodnia postaram się jeszcze z wami spotkać.

Tydzień minął jak z bicia strzelił. Kolejny niezapomniany wyjazd na narty dobiegł końca i nadeszła pora, by opuścić Aspen i ponownie zmierzyć się z realiami codziennego życia. Mniej więcej tydzień po tym, jak wróciłam do domu, zadzwonił telefon.

- Cześć, Georgia. Mówi Ann.

- Ann Feldner! Co knujesz tym razem, dziewczyno?

- Po prostu sprawdzam, co słychać w L.A.

- A jakże. Nowojorska szkoła nie poszła na marne. W Aspen wpadłam na jednego z twoich znajomych. Nie tracisz czasu, co?

- Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Dennis odezwał się do mnie po powrocie z Aspen. Pytał, czy mógłby dostać twój numer telefonu.

- Wykluczone. Co ci faceci sobie myślą? Przecież on spotyka się z moją przyjaciółką.

- No cóż, wygląda na to, że koniec ich związku to już tylko kwestia czasu. Dennis uważa, że ty jesteś inna. Już trzy razy do mnie dzwonił i dopytywał, czy z tobą rozmawiałam.

- Ann, jeśli Dennis naprawdę zamierza się rozstać z Darrien, to powiedz mu, żeby zrobił to, zanim zacznie umawiać się z innymi kobietami. Nienawidzę takiego postępowania.

- No więc, czy mogę dać mu ten numer?

- Nie!

Po trzech tygodniach Ann zadzwoniła do mnie ponownie.

- Cześć, Georgia. Jak tam twoja podróż?

- Która?

- Do Detroit. Wspominałaś, że wybierasz się tam na swoje coroczne tournée po agencjach reklamowych.

- Och, poszło mi całkiem nieźle. Znalazłam się we właściwym miejscu o właściwym czasie i dostałam angaż do reklamy Jeepa. Właśnie wróciłam do domu po pięciu dniach zdjęć

nad jeziorem Tahoe.

- Świetnie. Podreperujesz sobie budżet po wyjeździe do Aspen.

- Z pewnością.

- Słuchaj, Georgia, znowu dzwonił do mnie Dennis. Nie zamierza się poddać. Zerwał już z Darrien. Może umówiłabyś się z nim na lunch?

- Ann, on nie jest w moim typie.

- Przecież my i tak planowałyśmy zjeść razem lunch. Przy okazji mógłby się do nas przyłączyć Dennis. Co ty na to? - Ann nie zamierzała dać za wygraną.

- Od kiedy bawisz się w Kupidyna, Ann?

- Odkąd nie mogę opędzić się od Dennisa. Jestem jedyną osobą, przez którą może się z tobą skontaktować. Co powiesz na Bistro Garden w najbliższą środę?

Ann nie przyjmowała odmowy do wiadomości. W końcu niechętnie zgodziłam się na jej propozycję.

W środę wypadały akurat walentynki. Kiedy się ubierałam, usłyszałam dzwonek do drzwi: Dennis przysłał mi dwa tuziny długich czerwonych róż. Co takiego mają w sobie kwiaty, że obdarowanie nimi kobiety potrafi otworzyć drzwi do jej serca?

Kiedy dotarłam do restauracji, zastałam Dennisa i Ann siedzących przy stoliku na patio. Uwielbiałam Bistro Garden. Wszyscy goście, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, byli zawsze elegancko ubrani. Od dawna lubiłam przyglądać się ludziom i w Bistro mogłam liczyć na prawdziwą ucztę dla oczu. Siedzenie przy ocienionych parasolami stolikach i słuchanie fortepianowej muzyki w ciepły, słoneczny dzień było wspaniałym sposobem na spędzanie czasu. Nie było to miejsce, do którego wpadało się na szybki lunch. Zawsze mnie intrygowało, w jaki sposób ci wszyscy ludzie zarabiali na życie, skoro mieli dość czasu, by w środku dnia przesiadywać nad kieliszkiem wina.

Ann przywitała mnie, trzymając oburącz kieliszek i bawiąc się wymownie jego nóżką. Zastanawiałam się, dlaczego to nie Ann wzbudziła zainteresowanie Dennisa. Miała w sobie nieodparty urok i gorącą krew. Było w niej coś nieokiełznanego, a zarazem nieuchwytnego.

Dennis wstał od stołu i odsunął mi krzesło, potrącając przy okazji kobietę, która znajdowała się za jego plecami. Potrącona odwróciła się ku niemu z grymasem na zaciśniętych ustach, który zapewne miał być łaskawym uśmiechem bogatej damy. Dennis przeprosił ją grzecznie, po czym skierował całą uwagę na moją osobę i od pierwszej chwili oczarował mnie swoim wdziękiem.

Bez dwóch zdań, Dennis był ujmującą osobą. Spodobało mi się jego poczucie humoru - był zresztą znany ze swojego ciętego dowcipu. Pracował jako bankier inwestycyjny

i wyglądał, jak na bankiera przystało. Ani trochę nie przypominał mężczyzn, którzy zazwyczaj wpadali mi w oko. Nie mogłam powiedzieć, że nie jest przystojny; rzecz w tym, że akurat ten typ męskiej urody nigdy nie wydawał mi się specjalnie atrakcyjny. Dennis miał powierzchowność stuprocentowego Amerykanina, co pasowało do jego zawodu. Jego jasnobrązowe włosy były krótko -przystrzyżone - w takiej fryzurze było mu całkiem do twarzy.

Miał mnóstwo uroku, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Urzekło mnie zwłaszcza jego otwarte usposobienie, tak bardzo kontrastujące z wizerunkiem sztywnego bankiera. Ubierał się bez ostentacji, a mimo to otaczała go aura zamożności. Był pełen wigoru, a ja nie miałam wątpliwości, że jest osobą, która każdego dnia stara się maksymalnie cieszyć życiem. Właśnie tego szukałam w mężczyznach. W zatłoczonym Bistro Garden ludzie Ignęli do niego jak pszczoły do miodu. Do naszego stolika nieustannie podchodziły coraz to nowe osoby - ta procesja trwała przez cały lunch.

Dennis wywarł na mnie tak dobre wrażenie, że zgodziłam się umówić się z nim na randkę. Miałam wprawdzie pewne obiekcje związane z Darrien, ale przecież jej związek z Dennisem należał już definitywnie do przeszłości. Od mojego rozwodu minęły prawie dwa lata, a Dennis był najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego od dawna zdarzyło mi się poznać. Nie mogłam wprost uwierzyć, jak bardzo moja obecna opinia o Dennisie odbiegała od wrażenia, jakie zrobił na mnie przy naszym pierwszym spotkaniu.

Trudno o dwie bardziej różniące się od siebie osoby niż ja i Dennis. Wszyscy moi przyjaciele byli związani ze światem reklamy lub filmu (osobną kategorię stanowili oczywiście moi koledzy z branży kaskaderskiej). Tymczasem przyjaciółmi Dennisa byli głównie bogacze ze świata wielkiego biznesu. Na randki chodziliśmy z reguły na kolacje w towarzystwie biznesowych partnerów Dennisa lub na eleganckie przyjęcia, na których nie wypadało pokazać się bez smokingu. Jeśli mieliśmy dalej się spotykać, musiałam bezwzględnie uzupełnić swoją garderobę. Nie miałam pojęcia, skąd Dennis czerpie energię. Wyglądało na to, że ma jej znacznie więcej ode mnie, a przecież to ja byłam o dziesięć lat młodsza.

Dennis praktycznie nie rozstawał się z telefonem. Nieustannie robił interesy. Miał dom w Palm Springs, ale przy jego napiętym grafiku trudno było wygospodarować czas na to, żeby wyrwać się tam na weekend. Dzień roboczy Dennisa często przeciągał się tak bardzo, że zahaczał o wieczory, które spędzaliśmy razem, mimo to Dennis potrafił cieszyć się życiem. Lunche w Bistro Garden stały się naszym stałym rytuałem, celebrowanym w każde piątkowe popołudnie.

Mężczyzna taki jak on potrzebował kobiety, która potrafi dopasować się do jego stylu życia. Ku mojemu własnemu zaskoczeniu, z łatwością odnalazłam się w jego świecie. Do tamtej pory unikałam wszelkich związków i pozwalałam, by całkowicie pochłonęła mnie praca. Ale za sprawą Dennisa wszystko zaczęło się zmieniać. Teraz to on stał się dla mnie najważniejszy - o dziwo, ta zmiana moich priorytetów dokonała się bez najmniejszego wysiłku z mojej strony. Poczulałam, że znowu zaczynam kochać, i ta myśl wydała mi się intrygująca. Mój cień próbował sabotować rodzący się związek, ale jego starania spełzły na niczym. Dennis i ja okazaliśmy się dobraną parą. Potrafiliśmy się razem śmiać i to było sedno naszego związku.

Nie spodziewałam się, że mogę zakochać się w Dennisie. Na tamten niewinny lunch zgodziłam się tylko dlatego, że inaczej Ann nie dałaby mi spokoju. Na dodatek nigdy wcześniej nie spotykałam się z byłym chłopakiem którejkolwiek z moich przyjaciółek. Dręczyło mnie poczucie winy, bo zdawałam sobie sprawę, że Darrien nadal go kocha, on również czuł się z tego powodu winny.

Moje uporczywe nalegania odniosły wreszcie skutek: Dennis zadzwonił do Darrien i zaprosił ją na lunch; miałam nadzieję, że takie spotkanie pozwoli się zagoić wciąż otwartym ranom. Darrien zaczęła jednak nakłaniać Dennisa do powrotu, wykorzystując do tego jego poczucie winy. Georgia Black wyczuła, co się święci, i również zaczęła swoje podchody, ale tym razem Georgia White była zdecydowana walczyć o swoje. Nie pamiętałam już, kiedy po raz ostatni przeżywałam podobne uczucie, i nie zamierzałam łatwo z tego zrezygnować.

Darrien uwielbiała brylować na towarzyskich salonach. Potrzebowała mężczyzny, który zapewniłby jej odpowiedni status. Koniec końców osiągnęła to, na czym tak bardzo jej zależało. Poślubiła Lee Iacocę. U jego boku miała zapewnione wszystko, czego pragnęła od życia.

W pewną upalną lipcową niedzielę, mniej więcej na tydzień przed zaplanowaną przez Dennisa podróżą w interesach na Florydę, spędzaliśmy dzień w Jonathan Club - prywatnym klubie na plaży w Santa Monica. Siedząc na piasku pod parasolem, obserwowaliśmy fale przyboju, oboje pogrążeni we własnych myślach. Dennis wreszcie wyglądał na odprężonego. Chociaż raz nie miał słuchawki przyklejonej do ucha.

W pewnej chwili przerwał milczenie:

- Za każdym razem, kiedy mam gdzieś lecieć, przypomina mi się lot, z którego zrezygnowałem kiedyś w ostatniej chwili - powiedział. - Potem okazało się, że samolot się rozbił. Nigdy się z tego nie otrząsnąłem - ciągle nie mogę zapomnieć, że miałem wtedy być na pokładzie.

- Znam to uczucie. Przytrafiło mi się to samo.

- Naprawdę? Jak to się stało?

- Poleciałam do Nowego Jorku na sesję zdjęciową do reklamy papierosów. Kiedy dotarłam na miejsce, zadzwoniłam do mamy. Powiedziałam, że jestem w Nowym Jorku, a ona zaczęła nalegać, żebym przy okazji odwiedziła ją w Rochester. Chciałam jak najszybciej wrócić do Los Angeles, ale mama była strasznie rozżalona, że nie chcę się z nią zobaczyć, chociaż jestem tak blisko domu. W końcu się zgodziłam. Obiecałam, że oddzwonię i dam jej znać, którym lotem przylecę do Rochester. Ponieważ nie musiałam się już śpieszyć, skontaktowałam się z przyjaciółmi w Nowym Jorku i umówiłam się z nimi na lunch. Potem zrobiłam jeszcze drobne zakupy i wreszcie złapałam taksówkę na lotnisko. Nie miałam wtedy pojęcia, że samolot, którym miałam wracać do Los Angeles, rozbił się przy międzylądowaniu w Chicago...

- W Chicago! Czy to nie był przypadkiem lot American Airlines, numer sto dziewięćdziesiąt jeden?

- Właśnie ten. W samolocie wysiadł wtedy silnik; zdaje się, że to było w 1979 albo 1980.

- Niesamowite! - wykrzyknął Dennis. - To był ten sam samolot, którym ja miałem lecieć!

- Żartujesz! Co za zbieg okoliczności. Przecież nawet się wtedy nie znaliśmy, a mimo to mieliśmy zginąć w tym samym samolocie. Ciekawe, co to oznacza?

Może się myłę. Może był w tym palec Boży... Nie, chyba jednak nie. Nie ma sensu wyciągać pochopnych wniosków.

- Niewiarygodna historia - odparł oszołomiony Dennis.

Przenieśliśmy leżaki na słońce i kontynuowaliśmy naszą rozmowę.

- Naprawdę dziwna rzecz przydarzyła mi się, kiedy przyjechałam na lotnisko. Stałam w kolejce po bilet. Nie zdążyłam jeszcze zadzwonić do mamy, żeby podać jej numer lotu. Kasjer rozmawiał z kimś przez telefon i w pewnej chwili usłyszałam, jak wymienia moje nazwisko. Podeszłam do niego, przedstawiłam się, a on przekazał mi słuchawkę. Byłam zaskoczona - nie miałam pojęcia, kto mógłby mnie szukać na lotnisku. Okazało się, że to moja matka! Kiedy usłyszała mój głos, dostała ataku hysterii. Dowiedziała się o katastrofie, a ponieważ nie miała ode mnie żadnych wieści, pomyślała, że mogłam zrezygnować z podróży do Rochester i polecieć prosto do L.A. I wtedy udało się jej mnie znaleźć! Potrafisz w to uwierzyć?

- To naprawdę niesamowite. - Dennis pokręcił głową.

Żadne z nas nie mogło przestać myśleć o tym zbiegu okoliczności. Przegadaliśmy tak jeszcze kilka godzin, smażąc się w słońcu.

- Nie masz już dość opalania się? - zapytał wreszcie Dennis, ocierając ręcznikiem kropelki potu lśniące na jego twarzy.

- Jeśli chcesz, możemy się już zbierać - odparłam, podnosząc się leniwie z wygodnego leżaka.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział figlarnym tonem.

- O... Czy to coś do ubrania?

- Nie.

- Więc może coś do jedzenia?

- Nie.

- W takim razie ty mi powiedz.

- Wtedy to by nie była niespodzianka, prawda?

- Nienawidzę, kiedy tak robisz. Mów natychmiast! - zażądałam.

- Dowiesz się wszystkiego za kwadrans - zapewnił z nieśmiałym uśmiechem.

Pojechaliśmy autostradą Pacific Coast w kierunku Sunset Boulevard. Pamiętam, że kiedy mknęliśmy po krętej szosie, czułam się szczęśliwa i beztroska. Ciepła letnia bryza rozwiewała moje włosy, a w nozdrzach miałam zapach słonego powietrza i olejku do opalania. Na myśl o czekającej mnie niespodziance przechodził mnie dreszczyk emocji. Nigdy nie wiedziałam, co Dennis szykuje; zawsze potrafił zaskoczyć mnie czymś cudownym. Kiedy dotarliśmy do Bel Air, skręcił w Stone Canyon Road.

- Dokąd jedziemy, Dennis? Nie zniosę już tej niepewności.

Zerknął na mnie, uśmiechając się szeroko, ale nie powiedział ani słowa. W końcu wjechał na obszerny kolisty podjazd.

- Piękny dom. Do kogo należy? - zapytałam z podziwem, oglądając się na Dennisa.

- Do mnie.

- Co takiego? - zawołałam i gwałtownie odwróciłam głowę w kierunku domu, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Przypominał mi nieco mniejszą wersję okazałych europejskich pałaców.

- Tak, w zeszłym tygodniu złożyłem ofertę kupna. Dogadałem się z właścicielem i wpłaciłem już zaliczkę - oświadczył z dumą, przyglądając się rezydencji.

- Chyba żartujesz! Ten dom musiał kosztować przynajmniej cztery miliony.

- Masz rację, ale to i tak była prawdziwa okazja.

- Dennis, to naprawdę wspaniały dom. Właściwie to nie dom, to istny pałac!

- Poczekaj, aż zobaczysz go w środku - powiedział, po czym wziął mnie za rękę i poprowadził ku frontowym drzwiom.

Dennis oprowadzał mnie po kolejnych pomieszczeniach, a ja z otwartymi ustami podążałam za nim. Dom zapierał dech w piersiach.

- Jak sądzisz, co możemy zrobić z tym pokojem? - zapytał, wskazując ręką na ogromną salę.

My? Co on ma na myśli?

- Idealnie nadawałby się na pokój do ćwiczeń - odpowiedziałam, kiedy już otrząsnęłam się z zaskoczenia. - Na wszystkich ścianach zawiesiłabym lustra, a tutaj położyłabym ciemnozielony dywan.

- Podoba mi się ten pomysł - stwierdził, rozglądając się po pokoju i wyobrażając sobie, jak wyglądałby po tych zmianach.

- Naprawdę nie wierzę, że go kupiłeś - powiedziałam, ciągle osłupiała z wrażenia.

- Nie mogłem przepuścić takiej okazji.

Podekscytowana, dałam upust swojej kreatywności. Popuściłam wodze wyobraźni i zastanawiałam się, jak mogłabym urządzić to miejsce. Podeszłam do wielkiego panoramicznego okna i spojrzałam na szmat ziemi wokół domu.

- Zdajesz sobie sprawę, że kiedy twoi przyjaciele zobaczą ten kort, wprowadzą się tu na stałe?

- W końcu po to tu jest: żeby z niego korzystać.

- Czy to znaczy, że muszę nauczyć się grać w tenisa? - zapytałam.

- Myślę, że powinnaś. Spodoba ci się. Swoją drogą, to dziwne, że ktoś z takim talentem do sportu nie gra w tenisa.

- Kiedyś grywałam... z Joem, swoim byłym mężem. Ale granie z nim tylko obrzydziło mi tenis. Nigdy nie byłam dla niego dość dobra - powiedziałam, pogrążając się na krótką chwilę we wspomnieniach.

- Kiedy uznasz, że jesteś gotowa, załatwię ci prywatnego instruktora.

- Będę mogła sama go wybrać?

- Masz już kogoś na myśli?

- Tak... metr dziewięćdziesiąt wzrostu, opalony, z gęstymi ciemnymi włosami, cudownymi błękitnymi oczami...

- Ja wybiorę instruktora - powiedział.

Przyciągnął mnie do siebie i objął namiętnie silnymi ramionami. Żadne z nas nie chciało powiedzieć tego głośno, ale Dennis najwyraźniej kupił ten dom po to, by zamieszkać

w nim razem ze mną.

Wycofaj się, White! To nie może się udać. Wiesz, że jeśli coś wydaje się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, to zwykle tak właśnie jest.

Ale on jest inny!

A pamiętasz Richarda? On też był inny - tak ci się przynajmniej zdawało.

Wyszliśmy tylnym wyjściem, by podziwiać krajobraz na tyłach domu. Przez cały czas walczyłam ze sobą, usiłując wyrzucić z głowy negatywne myśli. Georgia Black zaczynała działać mi na nerwy.

Kiedy rozejrzałam się po okolicy, rozpoznałam rezydencję położoną obok posiadłości Richarda.

- Widzisz tamten dom? - zapytałam, wskazując na sąsiednią posesję. - Należy do Jamesa Caana. Jego ogród jest po prostu niesamowity.

- Skąd go znasz? - zainteresował się Dennis.

- To bliski przyjaciel jednego z moich znajomych. Powinieneś zatrudnić u siebie tego samego architekta krajobrazu co James. Przez całą jego ziemię przepływa strumień z przepięknymi wodospadami i mostkami. Wszystko razem przypomina bardziej park niż zwyczajny ogród. Tutaj można by urządzić coś podobnego, chociaż ten kort tenisowy zabiera sporo przestrzeni - stwierdziłam, lustrując wzrokiem otoczenie.

Dennis zrobił poważną minę i zmarszczył brwi.

- Tylko nie wpadnij na szalony pomysł, żeby się go pozbyć.

Roześmiałam się.

- Nie zamierzam zaorać twojego kortu. Myślę, że nawet bez tego znajdę tu sobie sporo do roboty.

Obeszliśmy budynek i znaleźliśmy się przed frontem domu.

- Wystarczy ci na to wszystko czasu? - spytał Dennis.

- Kochanie, ty masz pieniądze, a ja mam czas - odpowiedziałam z szelmowskim uśmiechem, kiedy otworzył mi drzwi do samochodu.

Pojechaliśmy do Beverly Hills po mojego syna, rozmawiając ze sobą po drodze.

- Czy to nie zabawne? Jeszcze siedem miesięcy temu w ogóle się nie znaliśmy, a nasze życie toczyło się tak podobnymi torami - zauważył Dennis.

- Co masz na myśli?

- Cóż, chociażby tę katastrofę lotniczą, no i to, że nasze córki przyjaźniły się ze sobą. Nie sądzisz, że to całkiem spory zbieg okoliczności?

- Może to dziwne, ale w moim życiu takie historie wydają się całkiem zwyczajne.

- A tak w ogóle, to co słyszeć u Toni?

- Ma coraz gorsze stopnie, a jej zachowanie zaczyna mi się wymykać spod kontroli. Ostatnio sama nie wiem, jak mam z nią postępować.

- Jennifer wspominała, że Toni zadaje się z dość nieciekawymi dzieciakami. Lepiej miej na nią oko.

Toni stała się tak niesforna, że nawet najszerszej otwarte oczy nie wystarczały do jej upilnowania.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, a ja rozmyślałam o transakcji, w której niedawno uczestniczył Dennis: chodziło o fuzję dwóch firm. Kupiłam pakiet akcji nowo powstałej spółki od razu po tym, jak trafiły na rynek publiczny. Firma nazywała się American Home Shield, a Dennis został jednym z jej dwóch głównych dyrektorów. To był kulminacyjny punkt w jego karierze. Całe przedsięwzięcie było jego ukochanym dzieckiem. Na dopracowanie skomplikowanych szczegółów fuzji poświęcił wiele lat pracy. Udział w tej transakcji miał uczynić go niewyobrażalnie wręcz bogatym, jednak dla Dennisa wartość większą niż pieniądze miała jego duma. Pochodził z zamożnej rodziny magnatów naftowych, ale całą fortunę, jaką posiadał, zdobył własnymi rękami. Pieniądze nigdy nie były dla niego bogiem - ubóstwiał natomiast je zarabiać.

Miało się wrażenie, że wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. W swojej dziedzinie był prawdziwym mistrzem. Posłuchałam jego rady i zainwestowałam w akcje nowej firmy każdego centa, jakiego zdołałam wysupłać. W rezultacie zostałam jednak z pustym kontem oszczędnościowym i bez żadnego planu awaryjnego. Pamiętałam swoją sytuację po przenosinach do Los Angeles i dlatego zapewnienie sobie bezpieczeństwa finansowego stało się moją obsesją. Bódcem do działania był dla mnie strach przed ponownym znalezieniem się w podobnym położeniu.

- Jak sądzisz, Dennis, ile czasu minie, zanim akcje pójdą w górę?

- W zeszłym tygodniu zwykowały codziennie o ćwierć procenta. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Martwisz się?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, żebym w razie potrzeby mogła sprzedać część swojego pakietu, najlepiej z zyskiem. W ten sposób zdobyłabym trochę wolnej gotówki.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Nie, tak tylko zapytałam.

- Na pewno? - zapytał i spojrzał na mnie nieprzekonany.

- Tak, na pewno - odparłam uspokajająco.

- Mam nadzieję, że powiesz mi, jeśli tylko czegoś będzie ci potrzeba. A jeśli chodzi

o akcje, postaraj się potrzymać cały swój pakiet jeszcze przez jakiś czas. Zarobisz na tym, i to bardzo dużo.

- Naprawdę tak uważasz?

- Ja to wiem. Mam przecież informacje z samego źródła, pamiętasz?

Po cudownej niedzieli spędzonej z Dennisem zaczęłam nowy tydzień w dobrym nastroju.

- Mamusiu, zabierz mnie do galerii handlowej. Proszę, proszę, proszę - domagał się Dustin.

- Przecież twój tata ciągle cię tam zbiera. Nigdy ci się to nie znudzi?

- Nie. Chcę jechać do galerii.

- A może zrobimy sobie rowerową wycieczkę do parku?

- Nie. Nie podoba mi się ten rower. Rower u taty jest fajniejszy. Możemy po niego pojechać?

- Nie, Dusty. Mam już dość jeżdżenia tam i z powrotem po każdą zabawkę oddzielnie. Poza tym rower jest całkiem w porządku.

- Ten, który kupił mi tata, jest lepszy. Chcę jechać do parku na tamtym albo w ogóle nigdzie nie jadę - jęknął i skrzyżował stanowczo ręce.

- No cóż, w takim razie nici z wycieczki. Nie możesz zawsze mieć wszystkiego, na co masz ochotę - odparłam, zdecydowana nie ustępować.

Nie lubiłam odgrywać roli tej „złej”, tym bardziej że spędzałam z synem tak niewiele czasu, jednak Richard najwyraźniej nigdy niczego Dustinowi nie odmawiał. Wiedziałam, że jeśli nie zburzę tej fasady życia, jaką stworzył mu Richard, mój syn nigdy nie poradzi sobie w prawdziwym świecie.

- Dlaczego nie? Tatuś daje mi wszystko, czego chcę - upierał się Dustin.

- Tak... a ty robisz się strasznie rozpuszczony. Może zadzwonisz po swojego kolegę Marka i pomożecie mi zrobić czekoladowe ciasteczka? Będzie niezła zabawa. Co ty na to?

- No... - mruknął Dustin, godząc się z faktem, że nie uda mu się postawić na swoim.

Kiedy Dustin i Mark posprzątali już panujący w kuchni bałagan, wyszli pobawić się w domku na drzewie. Kilka miesięcy wcześniej odwiedził mnie Frankie; jego wizyta zbiegła się z trwającą u nas budową tarasu. Frankie w tajemnicy przede mną zapłacił robotnikom i zgotował nam niespodziankę: zbudowany na drzewie domek.

- Każde dziecko powinno taki mieć - oświadczył, przypomniawszy sobie własne, mniej szczęśliwe dzieciństwo.

Chociaż Frankie się do tego nie przyznawał, domek dawał mu jeszcze więcej radości

niż dzieciom. Przesiadali tam wspólnie całymi godzinami, a ja musiałam zanosić im na górę lunch za każdym razem, gdy byli zbyt pochłonięci zabawą, by zjeść w domu. Kiedy Frankie bawił się z dziećmi, robił to z pełnym zaangażowaniem. Koniecznie chciał być Indianinem, bo dawało mu to pretekst do pomalowania sobie twarzy. Był z niego taki duży dzieciak. Zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. Uśmiechałam się na samą myśl o nim.

Chłopcy bawili się na dworze, a ja tymczasem siedziałam w kuchni, rozkoszując się chwilą ciszy. W smudze słonecznego światła wślizgującej się przez świetlik widać było unoszące się leniwie drobinki kurzu. Spokój tamtej chwili niespodziewanie zmaćcił przenikliwy dzwonek telefonu.

- Halo, czy to pani Durante?

- Tak? - odezwałam się, odstawiając kubek z kawą na kuchenny blat.

- Mówi pani Louis, z liceum w Beverly Hills.

- Czy coś się stało Toni? - zapytałam, czując nagłe ukłucie strachu.

- Ależ nie. Dzwonię tylko po to, żeby poinformować panią o nieobecnościach Toni w szkole.

Uspokoiliam się.

- Zwrócono mi uwagę, że w ciągu trzech ostatnich miesięcy Toni dość często uciekała z lekcji, a dzisiaj po raz kolejny nie pojawiła się na zajęciach letniego kursu.

- W ciągu trzech miesięcy? Dlaczego nie poinformowaliście mnie o tym wcześniej? Mamy teraz lipiec!

- Cóż, pani Durante, to bardzo dużo szkoła. Mamy tu mnóstwo uczniów. Zdarza się, że praca papierkowa zajmuje nam nieco więcej czasu - wyjaśniła moja rozmówczyni.

- Skoro szkoła nie potrafi sobie poradzić z takim problemem, to może nie jest właściwą szkołą dla mojej córki - stwierdziłam, rozczarowana ich zaniedbaniem. - Czy zna pani jakiegoś doradcę edukacyjnego, z którym mogłabym porozmawiać?

- Ależ naturalnie, nasza szkoła współpracuje ze świetnym doradcą, doktor Katherine Kendall. Doktor Kendall jest jednocześnie znakomitą terapeutką; wspominam o tym na wypadek, gdyby okazało się, że Toni potrzebuje tego rodzaju pomocy - dodała.

- Sugeruje pani, że taka pomoc może być potrzebna? - zapytałam, notując pośpiesznie na kartce numer telefonu do doradcy.

- No cóż, kiedy u dziecka pojawiają się tego rodzaju zachowania, dość często zdarza się, że przyczyną są narkotyki. Myślę, że rozsądnie byłoby przyjrzeć się takiej ewentualności. - Ton jej głosu potwierdził moje obawy.

Przypomniało mi się ostrzeżenie Dennisa dotyczące znajomych Toni. Byłam pełna

złych przeczuć.

- Dziękuję za zainteresowanie się tą sprawą, pani Louis - powiedziałam zaniepokojona. - Natychmiast skontaktuję się z doktor Kendall.

Umówiłam się z terapeutką na spotkanie jeszcze tego samego popołudnia. Zawiozłam Dustina do domu Marka, po czym pojechałam do gabinetu doktor Kendall.

Opowiedziałam doktor Kendall o zachowaniu Toni w ciągu minionych kilku miesięcy. Poza nieobecnościami w szkole, o których sama dopiero co się dowiedziałam, a także niepokojem, jaki budziły we mnie jej nowe znajomości, martwiło mnie coś jeszcze - stosunek Toni do mnie systematycznie się pogarszał. Jej nastawienie było bardziej buntownicze i nieprzyjazne niż u typowej nastolatki. Zdawałam sobie sprawę, że mój rozwód stanowił dla niej ciężkie przeżycie, ale w przeszłości zawsze udawało mi się jakoś do niej dotrzeć. Ostatnio zaś przecucie podpowiadało mi, że Toni mnie okłamuje, zrobiła się skryta nawet w najbardziej błahych sprawach. Poza tym zaczęła spać znacznie dłużej niż kiedyś.

Przez ponad godzinę rozmawiałam z doktor Kendall o naszej sytuacji.

- Pani Durante, mogłabym znaleźć prywatną szkołę dla pani córki, ale prawdopodobnie i tak zostałaby z niej wydalona - stwierdziła w końcu terapeutka. - Musi pani przyznać sama przed sobą, że Toni ma problem z narkotykami, dopiero wtedy będę mogła naprawdę pani pomóc. Po tym, co od pani usłyszałam, jestem pewna, że chodzi o narkotyki. Spotykam się z takimi dziećmi na co dzień i w każdym wypadku powtarza się ten sam wzorzec zachowań.

- Co więc pani proponuje?

- Przede wszystkim proszę przyprowadzić do mnie Toni - sprawdzimy, czy jest w stanie samodzielnie naprawić swoje postępowanie. Gdyby to się nie udało, sugeruję skorzystanie ze specjalnych programów, wiem z doświadczenia, że są bardzo skuteczne. Wymagałoby to jednak poważnego zaangażowania z pani strony. Może się zdarzyć, że organizatorzy zadzwonią do pani o trzeciej nad ranem i poproszą, żeby pierwszym możliwym samolotem poleciała pani do Montany. Jeśli pani tego nie zrobi, nic z tego nie będzie. W wypadku takich programów udział rodziców to kluczowy warunek sukcesu. Bez prawdziwego zaangażowania udział w programie będzie dla pani jedynie stratą pieniędzy.

- Ile kosztuje ten program, o którym pani mówi?

- Czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, ale organizatorzy oczekują zobowiązania do dwuletniego udziału - powiedziała to takim tonem, jakby każdy miał pod ręką taką kwotę.

- Czterdzieści tysięcy! A co robią ludzie, którzy nie dysponują takimi pieniędzmi?

- Wybierają się na pogrzeb.

Tym stwierdzeniem trafiła w czuły punkt. Skąd ja wezmę czterdzieści tysięcy - i to zaraz? W tamtym okresie z trudem utrzymywałam się na finansowej powierzchni, zmagając się z ogromnymi wydatkami, na jakie jest narażony każdy świeżo upieczony właściciel domu. Każdego zarobionego centa inwestowałam w dom.

Siedziałam zaszokowana, próbując wymyślić jakieś rozwiązanie.

- Cóż... myślę, że mogłabym sprzedać dom - odezwałam się wreszcie. Czułam się tak, jakby wbito mi nóż w samo serce. - Czy całą kwotę trzeba zapłacić z góry?

- Będą oczekiwali, że wpłaci pani przynajmniej dziesięć tysięcy, zanim jeszcze Toni przyjedzie na miejsce. Ale jestem pewna, że zgodzą się rozłożyć pozostałą kwotę na raty, powiedzmy, po pięć tysięcy miesięcznie.

Doktor Kendall wyjaśniła mi następnie zasady działania programu. Był to rodzaj szkoły przetrwania w dziczy, przypominający trochę Outward Bound - międzynarodową sieć zielonych szkół, w których młodzież uczy się współpracy i rozwiązywania problemów w bezpośrednim kontakcie z naturą. Gdyby Toni przystąpiła do programu, trafiłaby na pustkowie Montany i natychmiast zostałaby wysłana na ośmiodniową „samotną” eskapadę. Znalazłaby się w lesie, na pozór sama, jednak w rzeczywistości pozostawałaby pod dyskretnym nadzorem przeszkolonych opiekunów. Opiekunowie przez cały czas by ją obserwowali, ukryci jednak przed jej wzrokiem. Toni musiałaby samodzielnie zdobywać pożywienie, nocować w lesie i przetrwać w ten sposób osiem dni bez żadnej pomocy z zewnątrz.

Po ośmiu dniach spędzonych w lesie w pojedynkę czekałyby ją kolejne trzy tygodnie w leśnych ostępach - tym razem oprócz niej w wyprawie uczestniczyłaby także grupa innych nastolatków. Doktor Kendall zapewniła mnie, że opiekunowie nie dopuszczą do tego, by którykolwiek uczestnik programu zmarł z głodu, tym niemniej taka wyprawa to nie żaden piknik. Narkomania to poważny problem, a program oferował poważne rozwiązanie. Po zaliczeniu obu wypraw Toni zostałaby zakwaterowana wraz z innymi nastolatkami w siermiężnie urządzonym obozie. Brałaby tam udział w sesjach terapii grupowej, a także wypełniałaby codzienne obowiązki związane z życiem w takiej małej wspólnocie.

Za radą doktor Kendall porozmawiałam z rodzicami dzieci uczestniczących w programie, którzy z entuzjazmem wypowiadali się o jego rezultatach. Upewniłam się, że podejmuję właściwą decyzję. Umówiłam się z terapeutką na spotkanie następnego dnia, tym razem w już w towarzystwie Toni, po czym wyszłam z gabinetu z potężnym bólem głowy.

- Toni, twoja mama nie może już sobie z tobą poradzić - oznajmiła doktor Kendall, a następnie opisała, przed jakim wyborem stoi Toni.

Moja córka otrzymała zestaw reguł, których miała odtąd przestrzegać; gdyby je złamała, musiałaby natychmiast opuścić dom i wziąć udział w programie. Terapeutka wyjaśniła też szczegółowo, na czym ten program polega.

- Tutaj jest lista rzeczy, których oczekuje od ciebie twoja mama, jeśli chcesz dalej mieszkać w jej domu - powiedziała doktor Kendall, po czym zaczęła kolejno wymieniać: kończenie rozmowy telefonicznej, kiedy zostanie o to poproszona; ścielenie rano łóżka; zbieranie swoich naczyń ze stołu i wkładanie ich do zmywarki, i tak dalej. - Nie wygląda mi to na ciężkie warunki. Myślisz, że jesteś w stanie je spełnić, żeby móc nadal korzystać z przywileju mieszkania w domu?

- Tak.

- Jesteś tego całkowicie pewna?

Toni położyła łokieć na oparciu fotela i z wyrazem absolutnego znudzenia na twarzy przygryzała kosmyk swoich włosów.

- Tak, jestem pewna - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. Jej głos był cichy i pozbawiony emocji.

- Podpiszesz się pod tą listą i dotrzymasz danego słowa?

- Tak - odparła Toni, siląc się na nieznacznym uśmiech.

Doktor Kendall nachyliła się nad biurkiem i podała jej długopis. Toni przeczesła dłonią pofalowane blond włosy i odgarnęła je, odsłaniając szczupłą twarz. Następnie pochyliła się i obojętnie złożyła podpis, po czym ponownie zapadła się głęboko w fotelu, jakby chciała dać nam do zrozumienia: okej, zagrałam w waszą idiotyczną grę. Możemy wreszcie stąd iść?

- Ile masz lat, Toni? - zapytała doktor Kendall.

- Piętnaście - odparła Toni, podnosząc na terapeutkę swoje sarnie oczy, które wydawały się teraz jeszcze piękniejsze, niż kiedy była dzieckiem. Były ciemne, tajemnicze i uwodzicielskie.

Toni, tak samo jak ja w jej wieku, wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. W przeciwieństwie do mnie, Toni posiadała jednak typ urody, który od razu zdradzał jej włoskie pochodzenie. Podczas gdy ja wyglądałam na typową amerykańską dziewczynę z sąsiedztwa, w wyglądzie Toni było coś oszałamiającego i egzotycznego. Wiedziałam, że jeśli kiedyś dołoży do tego moje przebojowe usposobienie, będzie to doprawdy zabójcza kombinacja. Jej piękno miało w sobie dzikość, której większość starszych mężczyzn nie potrafiła się oprzeć. Kiedy miała piętnaście lat, musiałam już pilnować jej niczym żrenicy oka.

- Jeśli chcesz doczekać swoich szesnastych urodzi, to najwyższy czas się obudzić, młoda damo - stwierdziła doktor Kendall. - Wystarczy, że nie dotrzymasz słowa i złamiesz którąkolwiek z tych zasad, a natychmiast wylatujesz. Twoja mama nie zamierza ustąpić, więc niech ci się nie wydaje, że uda ci się wymigać. Czy rozumiesz, co mówię?

- Tak. - Toni przewróciła oczami.

Na złamanie przez Toni pierwszej zasady trzeba było czekać tylko do piątku. Nie była to co prawda żadna z zasad wymienionych na liście, ale z pewnością na tyle ważna, by nie lekceważyć jej naruszenia.

Sypialnia Toni mieściła się w domku gościnnym, oddzielnym od głównego budynku. Tamtego wieczoru Dustin i ja zasnęliśmy na sofie przed telewizorem. Obudziłam się tuż przed północą i zaniósłam Dustina do łóżka. Coś podkusiło mnie, żeby przed pójściem spać sprawdzić jeszcze, co u Toni.

W jej pokoju wciąż paliło się światło, poszłam więc do domku dla gości. Drzwi były zamknięte na klucz. Zapukałam, ale Toni nie odpowiedziała. Spróbowałam zapukać mocniej - wciąż bez odpowiedzi. Pobiegłam do siebie po klucze i otworzyłam drzwi. To, co zobaczyłam, zmroziło mnie do szpiku kości. Toni leżała na łóżku, pogrążona w twardym śnie, z zapalonym papierosem w dłoni. Sądząc po długim wałeczku popiołu, musiał palić się już od dłuższego czasu. Niczym w zwolnionym tempie patrzyłam, jak papieros wypada spomiędzy jej palców i łąduje na łóżku - dokładnie w tym momencie, w którym weszłam do pokoju.

- Toni! - wrzasnęłam i przestraszyłam się przeraźliwie wysokiego tonu własnego głosu.

Toni jednak ani drgnęła. Potrząsnęłam nią, próbując ją obudzić.

- Toni!

W dalszym ciągu leżała bez ruchu. Przemknęło mi przez myśl, że może nie żyć. Nie przestawałam jej szarpać, raz po raz wykrzykując jej imię:

- Proszę cię, Toni, obudź się! Boże, błagam, pozwól jej się zbudzić!

W końcu Toni wydała z siebie przeciągły jęk, a moje tłukące się w piersi serce zaczęło się uspokajać. Spojrzała na mnie szklistym, odurzonym wzrokiem i wybełkotała coś niezrozumiałe. Żyła! Musiała zażyć jakiś środek uspokajający. Dźwignęłam ją na równe nogi i zmusiłam, żeby zaczęła chodzić. Reagowała w zadowalający sposób. Dzięki Bogu, wszystko będzie dobrze. Co by się jednak stało, gdybym w tamtej chwili nie weszła do pokoju? Moja córka spłonęłaby żywcem!

- Podjęłaś decyzję, Georgia. Teraz musisz się jej trzymać - stwierdziła stanowczo doktor Kendall. - Ona musi wiedzieć, że podchodzisz do sprawy poważnie. Nauczysz się na

własnej skórze, co znaczy mądra miłość. Wiem, że to niełatwe.

Doktor Kendall zawahała się. Czułam, że próbuje wyczytać ze mnie, czy na pewno będę w stanie wytrzymać rozdzierającą serce podróż, którą miałyśmy rozpocząć.

- Zadzwoń do szkoły i wszystko z nimi ustalę. Zarezerwuję wam też bilety na samolot. A ty zajmij się w tym czasie kupowaniem rzeczy, które będą jej potrzebne - poinstruowała, wręczając mi gotową listę. - Przygotuj się na to, że jutro wyjeżdżacie. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę znała godzinę odlotu.

Myśli galopowały w mojej głowie. Wszystko działo się tak szybko!

- Georgia... Podjęłaś słuszną decyzję.

Rozdział piętnasty

Przytłaczała mnie myśl, że moja córka znajdzie się sama w dziczy. Czy na pewno podjęłam słuszną decyzję? Na myśl o tym skręcało mnie w żołądku. Musiałam wierzyć, że doktor Kendall wie, co mówi, i że to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić dla Toni. Ale było mi z tym strasznie ciężko.

Odwiozłam Dustina do jego ojca. Nasz samolot miał odlecieć o piątej po południu. Toni nic jeszcze nie wiedziała o czekającej ją podróży. Już wcześniej zaplanowałyśmy sobie, że nazajutrz rano wybierzemy się na targi ezoteryczne. Postanowiłam trzymać się tego planu - chciałam, żeby Toni zabrała ze sobą dobre wspomnienia z ostatniego dnia spędzonego w domu. Na targach weszłam wraz z Toni do prowizorycznego namiotu wróżki, która miała przepowiedzieć Toni przyszłość.

Wróżka powoli odwracała karty tarota, uważnie je studiując. Każdej kolejnej poświęcała chwilę i za każdym razem wracała do tej, którą odkryła jako pierwszą. W pewnej chwili podniosła głowę i spojrzała na Toni.

- Ogień... - powiedziała. - Widzę wokół ciebie ogień.

Hmm, interesujące.

Zapadło przyprawiające o gęsią skórę milczenie. W końcu kobieta skończyła taksować Toni spojrzeniem i ponownie się odezwała:

- To ogień wywołany przez wybuch: lotniczą katastrofę albo coś podobnego. Czy w najbliższej przyszłości planujesz jakąś podróż samolotem? - zapytała.

- Nie - odparła Toni, nieświadoma, że już za niecałe pięć godzin znajdzie się na pokładzie.

O Boże. Przecież lada chwila będziemy musiały wsiąść do samolotu. Czy powinnam odwołać podróż?

Daj spokój, przecież tak naprawdę nie wierzysz w takie rzeczy...

Po powrocie do domu niepostrzeżenie zaniiosłam nasze walizki do samochodu. Kiedy szłam do sypialni, minęłam drzwi prowadzące do ogrodu za domem. To właśnie wtedy zauważyłam olbrzymią białą sowę, siedzącą na drabince do basenu.

- Toni, spójrz na to, szybko!

Toni przybiegła z salonu i stanęła obok mnie przy oknie.

- O rany, skąd ona się tu wzięła? Zdawało mi się, że sowy latają wyłącznie w nocy - powiedziała; nie mogła oderwać oczu od tego niezwykłego widoku.

- Bo tak jest.

- Więc co ona tu robi?

- Nie mam pojęcia.

Siedząca sowa mierzyła sporo ponad pół metra wysokości i miała co najmniej trzydzieści centymetrów szerokości. Była ogromna i całkowicie biała. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego.

- Mamo, czy sowa nie oznacza, że ktoś umrze?

- Cóż, tak mówią. Jeśli chcesz w to wierzyć... - odparłam, ale sama poczułam niepokój. Miałam ochotę zlekceważyć to uczucie, ale przecież widziałam to na własne oczy. Nie mogłam tego tak po prostu zignorować.

- Co ona tu robi w samym środku dnia?

- Nie mam pojęcia, Toni.

Ucisk, który poczułam w dołku, nie ustępował. Myśl o podróży samolotem nie uśmiechała mi się już po tym, co usłyszałyśmy od wróżki - a teraz jeszcze to... Wszystko razem było po prostu zbyt dziwne. Nie zamierzałam jednak dopuścić, by o moim życiu decydowały przesady. Musiałyśmy wyjechać, a ja nie mogłam sobie pozwolić na wynajdywanie irracjonalnych powodów do tego, żeby się wycofać. Zadzwoił telefon. Zostawiłam Toni przy oknie, wpatrzoną z podziwem w sowę, i poszłam odebrać.

- Jak wygląda sytuacja?

- Za mniej więcej godzinę jadę na lotnisko, Dennis - powiedziałam, ścisząc głos do szeptu.

- Czy ona już wie?

- Nie, powiem jej po drodze.

- Wszystko w porządku?

- Tak, jakoś się z tym uporam. Mam tylko nadzieję, że Toni nie spróbuje uciec, kiedy już zda sobie sprawę, co się dzieje.

- Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział. - Na Florydę muszę wyjechać dopiero w środę. Zdasz do tej pory wrócić?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak tam będzie, i wszystkiego dowiem się dopiero na miejscu. Chcę zostać tam przez jakiś czas, żebym mogła sama się przekonać. Nie jestem pewna, ile to potrwa, zanim się z tym wszystkim oswoję.

- Znasz numer telefonu tego miejsca?

- Nie. Z tego, co zrozumiałam, mają tam problem nawet z elektrycznością. Spróbuję przynajmniej raz dziennie dzwonić do domu, żeby odsłuchać wiadomości z automatycznej

sekretarki. W razie gdybyś musiał się ze mną skontaktować, wyślij mi wiadomość na pager.

- Jeśli tylko będziesz mogła, to wolałbym, żebyś zadzwoniła do mnie dziś wieczorem.

Tamto miejsce nie wydaje się zbyt... sam nie wiem. Brzmi to dość dziwnie - stwierdził.

- Postaram się. Dennis, kiedy tylko wrócę, będę musiała sprzedać część akcji. W ciągu dwóch tygodni muszę zebrać dziesięć tysięcy dolarów.

- Nie sprzedawaj akcji. Pożyczę ci pieniądze.

- A jeśli kurs spadnie i nie będę miała z czego ci ich oddać? Nie, sprzedaję akcje.

- Kurs nie spadnie. Przestań się tym wreszcie zamartwiać!

- Dennis, sprzedaję akcje - upierałam się.

- Nie mówmy o tym teraz. Porozmawiamy, kiedy wrócę z Florydy.

Podróż na lotnisko przebiegła zaskakująco spokojnie. Wyglądało na to, że Toni spodziewała się tego, co ją miało czekać, i zdecydowała się poddać bez walki. Wydaje mi się, że znalazła się w takim punkcie, w którym nawet ona sama zdała sobie wreszcie sprawę, że potrzebuje pomocy. Pomimo wszystkich zapewnień ze strony doktor Kendall i rodziców, z którymi rozmawiałam, -byłam zdenerwowana i pełna wątpliwości co do kroku, który miałam podjąć. Sama nie wiem, czy gdyby Toni stawiała zdecydowany opór, znalazłabym w sobie dość siły, by przeprowadzić tę sprawę do końca.

Samolot wylądował w Spokane w stanie Waszyngton; tam też wynajęliśmy samochód. Od końca podróży dzielił nas jeszcze szmat drogi. Czekala nas trzygodzinna jazda, do czego trzeba było jeszcze doliczyć czas stracony na błądzenie po nieznannej okolicy. Nasza trasa prowadziła przez Idaho do Montany. Zanim zapadł zupełny mrok i ogarnęła nas noc, zdążyliśmy jeszcze nacieszyć się pięknem krajobrazu. Postrzępione chmury wisiały nisko nad bezkresnymi połaciami terenu. Po okolicy rozsiane były -urocze stare wiejskie domy. Pędziłyśmy naprzód, starając się nadrobić stracony czas.

Im dalej się posuwałyśmy, tym bardziej zagłębiałyśmy się w puszcze. Wkrótce przestałyśmy natykać się na jakiegokolwiek ludzkie siedziby. Pogrążyłyśmy się w całkowitych ciemnościach, z każdym kolejnym kilometrem rósł dystans dzielący nas od ostatnich rubieży cywilizacji.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała stąd prysnąć, co, Toni? - zagadnęłam, kiedy jechałyśmy przez gęsto porośnięte lasem tereny. - W promieniu wielu kilometrów nie ma miejsca, do którego można by uciec.

- Na to wygląda - odparła, spoglądając przez okno na ciągnący się bez końca czarny las.

- Toni, musisz zrozumieć jedną rzecz. To nie jest kara. Próbuję ci pomóc. Nie

potrafisz pomóc sobie sama albo nie chcesz tego zrobić.

- To i tak nic nie da. Stracisz tylko pieniądze - stwierdziła, wpatrzona obojętnie w okno.

- Zaryzykuję - powiedziałam. - Nie chcesz, żeby ktoś ci pomógł z twoim problemem?

- Ja nie mam żadnego problemu - odparła. - Nie rozumiem, o co robisz tyle hałasu.

- Więc twierdzisz, że nie masz problemu? W takim razie jak nazwiesz to, że omal nie spaliłaś się żywcem?

- Wzięłam po prostu parę pigułek na uspokojenie, żeby móc zasnąć. To wszystko.

- Toni, przed czym ty uciekasz? Co nie pozwala ci zasnąć? Wiem, że coś cię gryzie. Dlaczego nie możesz mi o tym opowiedzieć?

Sprawiła wrażenie, jakby chciała ze mną porozmawiać, ale naszły ją wątpliwości. Odwróciła głowę i ponownie utkwiała spojrzenie w gęstym lesie. Życie doświadczyło ją bardziej, niż wskazywał na to jej wiek. Ciężar, jaki dźwigała w sercu, był zbyt duży dla tak młodej osoby. Mnie również było ciężko na sercu: pragnęłam do niej dotrzeć, ale nie wiedziałam jak.

W końcu dotarliśmy do tablicy z napisem: „Wspólnota Spring Creek”. Kiedy skręciłyśmy w wąską nieutwardzoną drogę, prowadzącą do drewnianych domków, Toni zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie - po dwudziestu ośmiu dniach, które miała spędzić w lesie, to miejsce stanie się jej nowym domem. Na naszych twarzach malowało się niespokojne oczekiwanie na nieznaną.

Dostrzegłyśmy jarzące się w oddali blade światło i niepewnym krokiem zbliżyłyśmy się do przyczepy kempingowej, służącej za biuro. Drzwi przyczepy otworzyły się i na progu ukazała się sylwetka mężczyzny. Odsunął się na bok, jednocześnie przytrzymując dla nas drzwi. Nie wyglądał na trapera, jakiego spodziewałam się ujrzeć w tym miejscu - przypominał raczej profesora wyższej uczelni. Zbyt chudy jak na swój wzrost i wyprostowany jak struna, nosił okulary w rogowej oprawie i sprawiał bardzo poważne wrażenie. Ale łagodny wyraz jego oczu zdradzał, że stojący przed nami mężczyzna ma w sobie również delikatność i troskliwość.

- Witaj, Toni. Nazywam się Steve Cawdry i jestem tu dyrektorem. Jesteś w bezpiecznym miejscu - powiedział, obejmując ją na powitanie. Następnie dodał stanowczo: - Idź teraz do łazienki i zmyj makijaż.

Kiedy Toni była w łazience, Steve przedstawił mnie drugiemu, wyglądającemu na dwudziestokilkulatka, mężczyźnie. Ten przywitał się ze mną, po czym zaczął przeglądać bagaż Toni. Wyciągnął z niego kilka rzeczy i włożył je do marynarskiego worka. Kiedy Toni

wróciła z łazienki, jej duże oczy wyglądały na dwa razy większe niż zwykle.

- Możesz pocałować mamę na pożegnanie - powiedział dyrektor.

- Chwileczkę. Czy córka nie mogłaby przenocować tutaj i wyruszyć rano? - spytałam.

Czułam, jak ogarnia mnie panika.

- Nie. Musi wyruszyć jeszcze tej nocy - odparł zdecydowanie pan Cawdry.

Toni przytuliła się do mnie, powstrzymując łzy, a następnie podążyła za młodym mężczyzną. Obserwowałam, jak oboje znikają w ciemnościach.

- Kocham cię, Toni! - krzyknęłam za nią.

Odpowiedziała mi cisza, przerywana jedynie cykaniem świerszczy.

Odwróciłam się w stronę pana Cawdry'ego i spojrzałam na niego niepewnie. Czy wysłałam właśnie córkę niczym owieczkę na rzeź? Dyrektor delikatnie położył mi dłoń na ramieniu i poprosił, żebym usiadła.

- Co panią martwi, pani Durante? - zapytał łagodnym tonem.

- Czy widział pan, jak wygląda moja córka?

- Owszem, widziałem. To bardzo dojrzałe wyglądająca dziewczynka.

- Zgadza się. A teraz ta dziewczynka znalazła się na jakimś odludziu w towarzystwie tamtego młodego mężczyzny: zupełnie sama!

- Proszę posłuchać, pani Durante. Co roku mamy ponad trzystu chętnych na stanowisko, które zajmuje ten młody człowiek. Czy wie pani, ilu z nich zatrudniamy? Dwóch. Prześwietlamy ich na wylot. Mogę zapewnić, że pani córka jest bezpieczna.

- Przykro mi, że nie potrafię podzielić tej pewności. Po prostu nie czuję się z tym dobrze. Dlaczego nie mogła wyruszyć rano?

- Mamy tutaj ustalone zasady postępowania. To dlatego nasza skuteczność jest tak wysoka. W naszym programie jest wiele rzeczy, które mogą panią niepokoić, ale program działa. I to jest najważniejsze. Potrzebujemy pełnej swobody w podejmowaniu decyzji. Toni musi zostać odizolowana od reszty szkoły do momentu, gdy po dwudziestu jeden dniach wróci tu ze swoją grupą. Do tej grupy dołączy za osiem dni. To, co czeka ją teraz, nazywamy samotną wyprawą.

- A czemu ma służyć niedawanie im jedzenia przez trzy tygodnie? W wypadku Toni to będą właściwie aż cztery tygodnie.

- To nie do końca prawda. Nasi podopieczni muszą się nauczyć, jak przetrwać, polegając wyłącznie na sobie. Kiedy zrobią się wystarczająco głodni, znajdą sposób na to, żeby zdobyć pożywienie. Mogą złowić rybę zaostrzonym patykiem albo zastawić pułapkę na królika. Ale nie mają ze sobą niczego, co ułatwiłoby im przygotowanie posiłku: żadnych

zapalek i tego rodzaju rzeczy.

- W takim razie jak mają ugotować to, co uda im się złapać?

- Musi wystarczyć im krzemień albo pocieranie dwóch drewniek. Jeśli nie będą mieli na tyle szczęścia, żeby upolować jakieś zwierzę, będą jedli mrówki, jaszczurki albo cokolwiek innego, co uda im się znaleźć. Nie mogą tu liczyć na wygody, które mieli w domu. Codziennie czeka ich piętnaście kilometrów ciężkiego marszu po górach. Pod koniec dnia, kiedy są już zmęczeni i bezbronni, siadają wokół ogniska, a nasi terapeuci zaczynają ich przyciskać. To zadziwiające, jak wiele ci młodzi ludzie potrafią z siebie wyrzucić po męczącym dniu w lesie. Nawiasem mówiąc, nie mają też śpiworów, tylko brezentowe maty, które mogą rozłożyć na ziemi.

- A jeśli spadnie deszcz?

- Wtedy zmokną.

- A gdyby któreś z nich zachorowało albo złamało nogę?

- Przez cały czas utrzymujemy łączność radiową z terapeutami. W razie nagłego wypadku mamy w pobliskim miasteczku zespół ratunkowy z helikopterem.

- Był kiedyś potrzebny?

- Tak, chociaż rzadko. Bywało, że dzieciaki okaleczały się, byle tylko się stąd wydostać, ale to nie zdarza się często. Mieliśmy też kilka przypadków hipotermii. Zwracamy na to baczną uwagę.

Z każdym jego słowem czułam, jak coraz bardziej wiruje mi w głowie.

- Widzę, że nikogo tu nie oszczędzacie.

- To prawda. Przekona się pani o tym, kiedy zaprosimy panią do nas ponownie. To będzie okazja, żeby na własnej skórze doświadczyć tego, co nazywamy „gorącym krzesłem” podczas sesji grupowej. I proszę nie liczyć, że będziemy obchodzić się z panią w białych rękawiczkach - dodał z lekkim uśmiechem. - Gdzie się pani zatrzyma?

- Nie zarezerwowałam jeszcze nigdzie miejsca.

- W miasteczku jest całkiem przyjemny mały zajazd; to mniej więcej pięć kilometrów stąd. Mógłbym zadzwonić i...

- A gdybym zatrzymała się tutaj, w jednej sali z waszymi dziewczętami?

- No cóż, to...

- Panie Cawdry, ja naprawdę mam sporo wątpliwości. Chciałabym lepiej poznać to miejsce. Chcę się upewnić, że podjęłam właściwą decyzję. A jedyny sposób, żeby się o tym przekonać, to usłyszeć to od dzieciaków, które same przeżyły tę wyprawę do lasu.

- Właściwie to nie widzę przeszkód. Ale nie mogę zagwarantować, że solidnie się pani

wyśni. Jeśli jest pani gotowa, to od razu zaprowadzę panią do domku. Aha, i proszę mówić mi Steve. Nie jesteśmy tu aż tacy oficjalni.

Poszłam za Steve'em w kierunku położonego na pagórku skupiska domków kempingowych. Okolicę oświetlał jedynie rój gwiazd na bezkresnym niebie. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej widziała nocą tak rozświetlone niebo.

Steve zapukał do drzwi i trzy dziewczęce głosy krzyknęły jednocześnie:

- Proszę!

- Cześć, dziewczyny. To jest Georgia Durante. Przyjechała do nas dziś wieczorem ze swoją córką Toni. Toni jest teraz na samotnej wyprawie, a Georgia nie jest do końca przekonana do tego pomysłu. Zapytała, czy mogłaby tu zostać i porozmawiać z wami.

- Spoko - stwierdziła dziewczyna z drugiego końca sypialni.

- W takim razie zostawiam was, żebyście mogły sobie pogadać. Dobranoc paniom.

Przez moment patrzyłam, jak Steve znika w mroku, po czym odwróciłam się i spojrzałam na dziewczęta.

- No więc, za co trafiła tu twoja córka? - spytała jedna z nich, o wyglądzie małej twardzielki.

- Za to samo co każda z was. Za narkotyki - odparłam.

- Nie ja! Moja matka po prostu mnie nienawidzi, nie mogła ze mną wytrzymać. To dlatego tu wylądowałam - oznajmiła kolejna.

- Karen, przestań pieprzyć - rzuciła ostro jej koleżanka. - Myślałam, że skończyłaś już z tymi bzdetami w stylu „matka mnie nienawidzi”. Jesteś największą ćpunką z nas wszystkich! Kogo próbujesz oszukać?

- To nie jest miejsce dla twojej córki. Jeśli ją kochasz, zabierz ją stąd najszybciej, jak to możliwe - pisnęła Karen, ignorując zaczepkę.

- Daj spokój, Karen. Przez ciebie ta pani pomyśli sobie, że to jakieś więzienie.

- No... a nie jest tak?

- Wiesz dobrze, że to miejsce pomaga ci się poprawić. Wczoraj na terapii grupowej sama to przyznałaś, nie pamiętasz?

- Walka z nimi i tak nic by mi nie dała, no nie?

- Nie zwracaj na nią uwagi, Georgia - powiedziała inna dziewczyna. - Dzisiaj wszyscy na nią narzekali. Każdy ma tutaj obowiązki do wykonania. W tym tygodniu Karen miała gotować dla całej grupy. W sumie jest nas tutaj trzydzieści osiem osób, wliczając w to chłopaków. Karen nie zrobiła tego, co do niej należało, i przez to nikt z nas dziś nie jadł.

- Źle się czułam - powiedziała Karen.

- Gówno prawda. Ja miałam dzisiaj narąbać drewna. Co by było, gdybym się z tego nie wywiązała? Noce są zimne i nie leżałabyś sobie teraz w przyjemnym ciepłku.

- Właśnie, Karen. Nie powinniśmy cierpieć z powodu twojego cholernego lenistwa! - dodała inna. - Lepiej przyłóż się do pracy, jeśli chcesz tu mieć jakichkolwiek przyjaciół.

Pomyślałam, że dziewczyny nigdy nie skończą rozmawiać. Byłam wykończona. Leżałam na małym, ciasnym łóżku polowym i nie mogłam przestać myśleć o tym, czy Toni jest teraz zimno i czy się boi. Byłam tym tak przytłoczona, że zapomniałam zadzwonić do Dennisa.

Zdażyłam pospać zaledwie pięć minut - a przynajmniej tak mi się wydawało - kiedy rozległo się dzwonienie. Musiał to być jeden z tych trójkątnych dzwonów, jakimi na farmach zwołuje się członków rodziny na obiad. Półprzytomne dziewczęta zaczęły wychodzić na zewnątrz.

- Co się dzieje? - wymamrotałam, próbując zebrać myśli.

- Musiał pojawić się jakiś problem. Będziemy mieli grupową sesję i spróbujemy go rozwiązać - dobiegł z ciemności czyjś beznamiętny głos.

Zerknęłam na zegarek.

- O czwartej nad ranem?

- Godzina nie ma znaczenia. Musimy zmierzyć się z problemem od razu i nikt nie wróci do łóżka, dopóki nie znajdziemy rozwiązania.

Szybko naciągnęłam na siebie jeansy i poszłam za dziewczynami do największego domku. Wszyscy usiedli w kole i czekali, aż ktoś im powie, na czym polega problem. Nikt z obecnych nie wyglądał na specjalnie zadowolonego z faktu, że się tam znalazł.

W końcu pojawił się niski, przystojny mężczyzna o łagodnych oczach i obfitym zaroście. Wyglądał dokładnie jak ktoś, kogo spodziewalibyście się spotkać w leśnych ostępach. Właśnie takiego trapera oczekiwałam, kiedy poznałam Steve'a Cawdry'ego.

- Cześć, jestem Mały John. A ty musisz być mamą Toni - przywitał się miło.

- Tak, to ja. Bardzo mi miło - odparłam i uścisnęłam jego rękę.

Mały John przedstawił mnie chłopcom, po czym przystąpił do rzeczy.

- No dobrze, uporajmy się z tym szybko, żebyśmy wszyscy mogli pójść spać. Jeannie została przyłapana na zakradaniu się do sypialni chłopaków. To już drugi raz w tym miesiącu. - Mały John zerknął przygnębionym wzrokiem na wychudzoną dziewczynę. - Co możemy z tym fantem zrobić, Jeannie? - zapytał współczująco.

Jeannie tylko wzruszyła ramionami; wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

Mały John skierował teraz swoją uwagę na wysokiego, szczupłego chłopaka z blond

czupryną i niebieskimi oczami.

- Robbie, a co ty masz do powiedzenia?

- Cholera jasna - zaklął chłopak. - Co byś zrobił, gdybyś spał sobie smacznie i nagle jakaś dziewczyna zaczęłaby głaskać cię po twoim kutasie? Nie skorzystałbyś z okazji?

Oczy Jeannie zrobiły się okrągłe z oburzenia.

- Dobrze wiedziałeś, że przyjdę. Nie zgrywaj teraz niewiniątka! - krzyknęła.

- Jeannie - powiedział Mały John - porozmawiajmy o twojej potrzebie uprawiania seksu. Jak sądzisz, skąd się ona bierze?

- A czy ty nie masz ochoty na seks, Mały Johnie? - odpowiedziała pytaniem Jeannie.

- Tak, mam. Z kimś, kogo kocham. Dla ciebie nie ma znaczenia, z kim uprawiasz seks. Zanim stąd wyjedziesz, zaliczysz wszystkich tutaj.

- Ona już to zrobiła - skomentowała kwaśno jedna z dziewcząt.

Po tonie jej głosu domyśliłam się, że Jeannie przespała się z chłopakiem, który wpadł jej w oko.

- Pieprz się, Sandy! - wrzasnęła Jeannie.

- Jeannie, nie uważasz, że Sandy ma prawo być na ciebie zła? - wtrąciła inna dziewczyna, mniej oskarżycielskim tonem.

- Może...

- Może pocałuj mnie w dupę, mała szmaciaro! - wrzasnęła Sandy.

- Sandy, pomóżmy Jeannie uporać się z jej problemem - zaproponował spokojnie Mały John. - Wiem, że każde z was zмага się z jakimś własnym gównem. Ale teraz zastanówmy się nad problemem Jeannie i pomóżmy jej zrozumieć, dlaczego czuje potrzebę takiego zachowania.

- Może ona po prostu lubi to robić, nie przyszło ci to do głowy, Mały Johnie? - niewinnym głosem zapytał jeden z chłopaków.

- Sądzisz, że to może być prawda, Jeannie? Czy zachowujesz się tak dlatego, że tak bardzo uwielbiasz seks? - zapytał łagodnie Mały John.

- Nie - odparła cicho, skubiąc skarpetki.

- Więc dlaczego, Jeannie?

- Nie wiem.

- Ależ tak, wiesz - naciskał Mały John.

- Nie wiem!

- No dalej, Jeannie. Cokolwiek to jest, wyduś to wreszcie, żebyśmy mogli wrócić do łóżek! - wybuchnął zniecierpliwiony jeden z chłopaków.

- Jeannie, powiedz mi, co myślisz o swoim tacie - poprosił Mały John. Doskonale wiedział, na jakie tory należy skierować rozmowę.

Jeannie spojrzała na niego zaskoczona.

- O co ci chodzi?

- Myślę, że wiesz, o co mi chodzi, Jean...

- Ja też to wiem - przerwała mu niska, ciemnowłosa dziewczyna. - Twój ojciec cię molestował... zgadza się?

- NIE!

- Kogo bronisz, Jeannie? Po prostu powiedz prawdę. Wyrzuć to z siebie - zachęcał Mały John.

- TAK! TAK! Ojciec mnie molestował! - krzyknęła, zanosząc się płaczem. - To nie była moja wina!

- Wiemy, że to nie była twoja wina, Jeannie. Ale ty sama się za to obwiniasz. Robisz to za każdym razem, kiedy wślizgujesz się do sypialni chłopców. Karzesz się za coś, nad czym nie miałaś kontroli. Z tego samego powodu sięgasz po narkotyki. Wszyscy tutaj jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Jean. Jesteś z nami bezpieczna.

Wszyscy wstali, otoczyli Jeannie i po kolei zaczęli ją przytulać. Zrobiła to nawet Sandy.

- W porządku, dzieciaki, dobra robota. Jutro będziemy kontynuować tę sesję. A teraz idźcie trochę się przespać - polecił Mały John, tłumiąc ziewnięcie.

Grupa rozeszła się, wszyscy chcieli jak najszybciej wrócić do swoich łóżek. Ja jednak byłam zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. To było coś wspaniałego! Zaczynałam wreszcie rozumieć, jak to wszystko działa. Po tamtej nocy pozbyłam się wątpliwości co do programu. Mogłam wyjechać z poczuciem, że wszystko będzie dobrze, ale byłam tak zafascynowana całym tym procesem, że postanowiłam zostać jeszcze pięć dni dłużej.

Dostałam własny przydział obowiązków. Rąbałam drewno, a kiedy przyszła moja kolej, zajęłam się gotowaniem. W ciągu następnych dni zaliczyliśmy sporo pieszych wędrówek, a także wspinaczek na skałkach. Zabrałam też kilka dziewczyn do mojego wynajętego samochodu i na opustoszałej gruntowej drodze nauczyłam je, jak wykonywać nawroty o sto osiemdziesiąt stopni. Zanim wyjechałam, zdążyłam poznać wszystkie dzieciaki z obozu, a także ich problemy. Każdy z nich przyznawał, że pobyt w tym miejscu wychodził im na dobre. W trakcie sesji terapii grupowej parokrotnie wylądowałam nawet na „gorącym krześle”.

- Kiedy wreszcie zmierzysz się ze swoim bólem, Georgia? - zapytał mnie w obecności

grupy Mały John.

- Z jakim bólem? Nic mi nie dolega, jestem szczęśliwa.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zupełnie jakby wiedzieli o czymś, o czym ja nie wiedziałam. I tak też było.

- Co czujesz, kiedy myślisz o swoich trzech małżeństwach?

- Nic.

- I w tym rzecz. Nigdy nie uporałaś się ze swoim bólem. Jak możesz nauczyć córkę radzenia sobie z jej bólem, skoro nie masz pojęcia, jak poradzić sobie z własnym? Nie chciałabyś pozwolić swojej małej dziewczynce wyjść z cienia i wypłakać się? Kiedy ostatnio zdarzyło ci się płakać? - spytał Mały John.

- Nie pamiętam.

- Oczywiście, że nie pamiętasz. Nie pamiętasz wielu rzeczy. Nie sądzisz, że to już najwyższy czas?

Prowokowali mnie tak kolejno, jedno po drugim, dopóki w końcu się nie rozplakałam. Wtedy każdy z obecnych objął mnie i przytulił. Nie mogłam uwierzyć, jak dobrze było się wypłakać. Było to świetne ćwiczenie przed tym, co czekało mnie w niedalekiej przyszłości.

Dzień przed wyjazdem wybrałam się wraz z dziećmi na wycieczkę nad jezioro. Wrzuciliśmy na skrzynię sfatygowanego pick-upa dętki samochodowe, po czym sami zapakowaliśmy się do samochodu. Przypomniały mi się czasy młodości. Moje dzieciństwo było pełne takich przygód - to było proste, szczęśliwe życie. Pomyślałam o Toni i pożałowałam, że nie może dzielić ze mną tej chwili. Rozumiałam już jednak, że gdziekolwiek teraz jest i cokolwiek robi, rezultat może być wyłącznie pozytywny.

Dzieciaki wiedziały, że jestem kaskaderką, i rzuciły mi wyzwanie: miałam skoczyć z pobliskiego mostu. W dzieciństwie nigdy nie odrzucałam wyzwania; tyle tylko, że nie byłam już dzieckiem. Nastrój tamtego miejsca sprawił jednak, że cofnęłam się w czasie, a moje zachowanie przestało mieć cokolwiek wspólnego z dorosłością. Odezwało się we mnie moje wewnętrzne dziecko, które pragnęło się bawić - i nim się spostrzegłam, wspinałam się już po kamieniach na most.

Jezu, z dołu nie wyglądał na tak wysoki.

Kiedy znalazłam się na wysokości dwudziestu metrów, ogarnęły mnie wątpliwości. I wtedy poczułam najpierw słabe dudnienie, a chwilę później usłyszałam zbliżający się pociąg. Spojrzałam na wodę pod mostem, a potem na pociąg. Był coraz bliżej. Rozległ się gwizd lokomotywy. Trzeba stąd spadać. Skoczyłam.

Tamtego dnia zdobyłam szacunek i zaufanie dręczonych problemami dzieciaków.

Dzięki Ci, Boże, za ten pociąg.

Po tym jak miałam okazję odetchnąć świeżym powietrzem i na własne oczy zobaczyć piękno gór, niełatwo było mi ponownie przywyknąć do miejskiego życia w L.A. Ciepłe noce pod rozgwieżdżonym niebem Montany i chwile spędzone przy obozowym ognisku wryły mi się głęboko w pamięć. Dlaczego nasze życie odciąga nas od tego, co prawdziwe?

Odpowiedziałam sobie na to pytanie, kiedy szłam odebrać dzwoniący telefon - miałam nadzieję, że szybko trafi mi się praca, dzięki której zapłacę za udział Toni w programie. Małżeństwo z Richardem sprawiło, że nabrałam niechętnego stosunku do wielkich pieniędzy. Wielkie pieniądze zmieniają ludzi. Ale w tej chwili potrzebowałam przynajmniej tyle, żeby móc kupić swojej rodzinie wolność.

Czas wziąć się znowu do roboty.

- Co słyhać? - usłyszałam w słuchawce głos Dennisa.

- Dennis! Właśnie wróciłam do L.A.

- Tak, wiem. Codziennie do ciebie dzwoniłem. Jak poszło?

- Przepraszam, w tej głuszy ciężko było o telefon.

Opowiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło. Odniosłam wrażenie, że poczuł ulgę. Na początku oboje byliśmy przecież nastawieni dość sceptycznie.

- Moja transakcja też poszła wyśmienicie - oznajmił podekscytowany. - Dziś wieczorem zamierzam to oblać. A skoro tamto miejsce okazało się idealne dla Toni, mam dodatkowy powód do świętowania.

- Kiedy wracasz do domu, Dennis?

- Wylatuję jutro rano. Rozumiem, że jutro wieczorem jesteśmy umówieni na randkę?

- No jasne.

- Wybierz jakieś miejsce, a ja wpadnę po ciebie o siódmej. Tęsknię za tobą.

- Ja też się za tobą stęskniłam. Do zobaczenia jutro, Dennis.

Dennis zadzwonił do mnie rano, żeby poinformować o zmianie planów. Poprzedniego wieczoru trochę się zasiedział i nieco za dużo wypił, i w rezultacie spóźnił się na samolot. Zamierzał złapać kolejny, co oznaczało, że dotrze do domu później, niż planował.

Był piękny sierpniowy dzień. Siedziałyśmy z Darlene przy basenie, sącząc margerity i chłonąc słońce. Wspaniale było mieć obok siebie Darlene, gotową wysłuchać mnie za każdym razem, kiedy potrzebowałam się wygadać. Kiedy odezwał się telefon, żadnej z nas nie chciało się podnieść z naszych wygodnych foteli, ostatecznie jednak w Darlene zwyciężyła ciekawość. Zmusiła się do wstania i nieśpiesznie powędrowała w kierunku tarasu. Rozmawiała z kimś przez chwilę, po czym położyła słuchawkę na stojącym na tarasie stoliku

i podeszła do basenu.

- To Darrien! - wyszeptała.

- O Chryste, pewnie znowu chce pożalić się na Dennisa. Mam już tego serdecznie dosyć - stwierdziłam i pomaszerowałam do telefonu.

- Cześć, Darrien - rzuciłam zniecierpliwiona.

- Kim była ta kobieta, która odebrała telefon?

- To Darlene, moja eksszwagierka.

- Czy ona nadal tam jest?

- Tak, a bo co?

- Bo mam ci coś do powiedzenia i myślę, że nie powinnaś być teraz sama.

Przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy usłyszałam podobne słowa, i przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Co się stało, Darrien?

- Dennis... Dennis... On nie żyje, Georgia.

- O czym ty mówisz, Darrien? Dopiero co z nim rozmawiałam. Dlaczego wygadujesz takie rzeczy!

- Georgia... Jego samolot się rozbił. On nie żyje! - krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

- NIE! Kłamiesz! Darrien, powiedz, że to nieprawda! Proszę! O mój Boże... Powiedz, że to nieprawda! Nie! Nie, nie, nie, nie...

- Co się dzieje, Georgia? - dopytywała Darlene, zmierzając ku mnie szybkim krokiem.

Nie byłam w stanie jej odpowiedzieć - nie potrafiłam powiedzieć: on nie żyje. Powtarzałam w kółko tylko jedno słowo: NIE! Darlene wyjęła z mojej ręki słuchawkę. Dustin, który nigdy nie widział mnie w podobnym stanie, przestraszył się i zaczął płakać. Kiedy Dar usłyszała, co się wydarzyło, natychmiast zadzwoniła do Richarda i poprosiła, żeby przyjechał po Dustina.

Włączyłam telewizor i obie patrzyłyśmy na przerażające zdjęcia płonącego samolotu. Z wraku wyciągano ciała martwych pasażerów.

- Poczekaj... Tam ktoś żyje... Tamten człowiek żyje! To może być Dennis, Dar.

- Georgia, to nie jest relacja na żywo. Darrien mówiła, że zidentyfikowano już jego ciało. Rozmawiała z jego bratem.

- Mogli się przecież pomylić! - krzyknęłam. Nie chciałam porzucać nadziei.

Darlene chwyciła mnie mocno za ramiona i zmusiła, żebym na nią spojrzała.

- Georgia... Dennis odszedł, kochanie.

Czułam się oszołomiona. Odwróciłam zboląłą twarz w kierunku telewizora, próbując

zmierzyć się z prawdą.

- Słyszałaś to, Darlene?
- Co takiego?
- Dennis naprawdę nie żyje.
- Wymienili jego nazwisko?
- Nie.
- Co dokładnie usłyszałaś?
- Numer lotu.
- To wszystko?
- To był lot numer sto dziewięćdziesiąt jeden.
- No i co to znaczy?
- To znaczy, że... on nie żyje.

Darlene zmierzyła mnie niespokojnym spojrzeniem i zrobiła mi bardzo mocnego drinka. Pograżona w cierpieniu, nie byłam w stanie pozbierać myśli na tyle, by spróbować jej to wytłumaczyć. Przez głowę przemykały mi plastyczne obrazy: biała sowa, wróżka, która zobaczyła ogień po lotniczej katastrofie. Teraz to wszystko układało się w całość. Oboje mieliśmy zginąć w czasie lotu numer 191. Za pierwszym razem uciekliśmy przeznaczeniu, ale Dennis nie zdołał oszukać losu po raz drugi. To, co się stało, było mu pisane.

5 sierpnia 1985 roku, w dniu, w którym roztrzaskał się samolot Dennisa, rozpadła się także moja dusza. Sądziłam, że doświadczyłam już w swoim życiu największego możliwego smutku, ale okazało się, że się myliłam. Nie wiem, jak udało mi się przetrwać pogrzeb. Przez cały tamten tydzień byłam kompletnie otumaniona. To wszystko wydawało mi się nierealne. Byłam pewna, że lada moment obudzę się z koszmarne snu.

Wkrótce potem odebrałam jednak telefon, który przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Halo, Georgia?
- Tak?

- Mówi doktor Kendall. Przed chwilą miałam telefon z ośrodka Spring Creek. Twierdzą, że wciąż nie dotarło do nich dziesięć tysięcy dolarów, które mieli otrzymać w zeszły poniedziałek.

- Och, przepraszam, doktor Kendall. Zupełnie o tym zapomniałam. Mam za sobą trudny tydzień, nie miałam głowy do tamtej sprawy. Jeszcze dziś załatwię formalności i sprzedam akcje.

Kiedy zadzwoniłam do swojego maklera, dowiedziałam się, że informacja o śmierci Dennisa wywołała spadek kursu - cena akcji była obecnie tak niska, że ich sprzedanie

więzałoby się z ogromną stratą. Dotąd nie przyszło mi do głowy, że śmierć Dennisa może mieć wpływ na kurs akcji. Co miałam robić? Wiedziałam, że muszę zatrzymać Toni w tamtym miejscu. Sprzedaż domu traktowałam jako ostateczność. Otworzyłam kasetkę z biżuterią i zaczęłam szacować jej wartość. Z moich obliczeń wynikało, że biżuteria jest warta co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wiedziałam, że będę mogła mówić o szczęściu, jeśli uda mi się sprzedać ją za dziesięć tysięcy - tyle potrzebowałam. Rozpuściłam wieści i modliłam się, żeby szybko znalazł się kupiec.

Następnego dnia spotkałam się z doktor Kendall, by omówić postępy, jakie robiła Toni. Byłam poza domem przez godzinę. Po powrocie zorientowałam się, że doszło do włamania. Dywan był niedawno odkurzany, dzięki czemu widoczne były na nim świeże odciski stóp, prowadzące od wejścia prosto do kasetki z biżuterią, a następnie z powrotem w kierunku drzwi. Nic poza kosztownościami nie zginęło. Niestety, moja polisa ubezpieczeniowa domu nie obejmowała biżuterii. Usiadłam przy kuchennym stole i skryłam twarz w dłoniach. Co jeszcze może się wydarzyć?

Toni nadal nie wiedziała o śmierci Dennisa. W ośrodku uważano, że nie jest to odpowiednia pora na przekazanie jej takiej wiadomości - byli zdania, że niedługo może nastąpić przełom. Ponieważ Toni przebywała wówczas gdzieś na pustkowiu, nie mogłam z nią porozmawiać. Czułam się strasznie samotna. Tak bardzo pragnęłam ją przytulić.

Żadne ze znajomych Toni nie wiedziało, dokąd wyjechała. Wszystko potoczyło się zbyt szybko. Po jakimś czasie zadzwoniła do mnie Angie, najlepsza przyjaciółka Toni.

- Cześć, Georgia. Z tej strony Angie. Od tygodnia dzwonię do Toni na jej numer, ale ciągle nie odbiera. Czy jest w domu?

- Nie, Toni jest w Montanie, Angie.

- W Montanie? Co ona tam robi?

Opowiedziałam jej o ostatnich wydarzeniach i wyjaśniłam, na czym polega program w Spring Creek. Angie zaczęła płakać.

- Och, Georgia. Tak się cieszę, że ją tam wysłałaś. Wiem, że nie masz o niczym pojęcia. Jeśli ci powiem, Toni pewnie już nigdy się do mnie nie odezwie, ale myślę, że powinnaś się dowiedzieć...

- Dowiedzieć się o czym?

- Nie bardzo wiem, jak mam zacząć...

- Po prostu to powiedz, Angie! O co chodzi?

- Pamiętasz, że co jakiś czas Toni spędzała weekendy w Solana Beach?

- Oczywiście. Mów dalej.

- No więc Joe... on... on ją wtedy molestował.

Serce zamarło mi w piersi.

- Przykro mi, Georgia, ale w końcu musiałam ci o tym powiedzieć. Toni coraz bardziej wsiąkała w narkotyki, a ja zaczęłam się bać, że w końcu przedawkuje. Ona po prostu desperacko próbowała wyrzucić to z głowy - zaszlochała Angie.

Całe moje ciało zaczęło się trząść. Gdyby Joe był wtedy obok mnie, wyrwałabym nóż, który przebił moje serce, i wbiłabym go w niego.

- Angie, jak długo to trwało? - zapytałam, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

- Chyba jakiś rok.

- Rok! Dlaczego nic mi nie powiedziała?

- Ona nawet mnie zwierzyła się dopiero kilka miesięcy temu, a przecież zawsze mówi mi o wszystkim.

- Dziękuję, że starczyło ci odwagi, żeby mi o tym powiedzieć. Postąpiłaś właściwie i pomogłaś Toni bardziej, niż przypuszczasz. Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Angie. Zadzwoń zaraz do ośrodka i o wszystkim im opowiem. Dzięki temu nie będą tracić czasu na szukanie źródła jej problemów. Angie, muszę już kończyć. Czuję, że robi mi się niedobrze.

Odłożyłam słuchawkę i zwymiotowałam. Kręciło mi się w głowie. Zrozumiałam, dlaczego Toni nigdy mi o tym nie powiedziała. Joe stosował wobec niej tę samą metodę, którą wcześniej wypróbował na mnie: strach. Skurwysyn! Joe był, jaki był, ale nigdy, nawet w najgorszych wyobrażeniach, nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby posunąć się do czegoś takiego. Zrobił to mojej córce. Co za skurwiel!

Półprzytomna z wściekłości chwyciłam za telefon i z furią wciskałam klawisze.

- Ty skurwysynie! - ryknęłam na całe gardło.

- O co ci chodzi? - zapytał Joe.

- Cholernie dobrze wiesz, o co mi chodzi, skurwielu! Nie wystarczyło ci, że zniszczyłeś moje życie; musiałeś zniszczyć życie mojej córki! Ty chory skurwysynie. Nie mogę uwierzyć, że kiedy ja się nad tobą użalałam, ty dobierałeś się do Toni! Joe... Zabiję cię! Miej się na baczności, bo nie spocznę, dopóki nie zdechniesz. Rozsmaruję twój pierdolony mózg na ścianie. Już dawno powinnam była to zrobić. Wtedy się ciebie bałam, ale teraz to ty zacznij lepiej bać się mnie!

Usłyszałam, jak płacze.

- Georgia, czy ty nie rozumiesz? Wiem, że jestem chory, ale kiedy zamykałam oczy... ona była tobą. Była najbliższą ciębie -rzeczą...

- Nie waż się używać mnie jako swojej wymówki. Czy twój mózg jest aż tak

wynaturzony, że wydaje ci się, że to cię usprawiedliwia? Jeśli tak, to jesteś jeszcze bardziej chory, niż sądziłam. Udało ci się ostatecznie zniszczyć jedyne dwie istoty na tym świecie, które obchodziło, czy w ogóle żyjesz. Teraz nie masz już nikogo. Zostałeś sam! Może, zamiast narażać się na odsiadkę, powinnam pozwolić, żebyś zrobił to sam. Oboje wiemy, że to zrobisz. Już dawno przewidziałam, że zginiesz z własnej ręki jako stary, smutny, samotny człowiek. Kiedy w końcu odważysz się spojrzeć w lustro, zobaczysz, jak przeżyłeś swoje życie. Zobaczysz wszystkich ludzi, których tak okrutnie skrzywdziłeś. I wtedy to zrobisz. Może to będzie najlepsza zemsta. Wiem tylko, że cię nienawidzę. Nigdy więcej nie dzwoń do tego domu, rozumiałeś? Nie chcę już nigdy oglądać twojej gęby ani słyszeć twojego głosu.

- Georgia, proszę, wysłuchaj mnie - błagał.

- Nie masz do powiedzenia nic, co chciałabym usłyszeć. Nie dzwoń tu więcej, Joe. Jeśli to zrobisz, wsadzę cię za kraty. Właściwie to zrobię to tak czy inaczej. Gdzie ja miałam głowę! Do tego stopnia wyprałeś mi mózg, że wcześniej nawet o tym nie pomyślałam, żeby zgłosić to na policję. Zgwałciłeś moją córkę! Powędrujesz do pierdła, ty parszywy sukinsynu!

- Proszę cię, Georgia, spróbuj...

- Zobaczymy się w sądzie, Joe. O ile prędzej cię nie zabiję! - wrzasnęłam i rzuciłam słuchawkę na widełki.

Potrzebowałam kilku minut, żeby opanować drzenie i pozbierać się do kupy, a potem zadzwoniłam do ośrodka i odbyłam rozmowę ze Steve'em Cawdrym.

- Musisz go tu ściągnąć, Georgia. Toni musi się z nim skonfrontować. To bardzo ważne. Jeśli nie będzie miała szansy stanąć z nim twarzą w twarz i powiedzieć mu, jak się czuje po tym, co jej zrobił, to już zawsze będzie miała problemy w relacjach z mężczyznami. To jedyny sposób, żeby Toni naprawdę doszła do siebie. Dasz radę nakłonić go do przyjazdu?

- Sama nie wiem. To wyjątkowo skryty człowiek. Nigdy nie zgodzi się na „gorące krzesło”. Mówię ci to z góry. Ta jego duma któregoś dnia go zabije. Nie sądzę, żebym zdołała go do tego skłonić.

- Bez tego nie ma co liczyć na poprawę stanu psychicznego Toni. Powiedz mu, że jeśli zgodzi się tu przyjechać, nie powiadomisz policji. A potem i tak wyślesz drania za kratki.

- W porządku, Steve. Zrobię, co w mojej mocy, ale zadzwonię do niego dopiero jutro. Teraz nie byłabym w stanie nad sobą zapanować.

- Rozumiem.

- Odezwę się, kiedy już z nim porozmawiam.

- Spróbuj trochę odpocząć, a my zajmiemy się Toni. Georgia... myślę, że powinnaś porozmawiać z doktor Kendall. Ostatnio żyjesz w olbrzymim stresie. Biorąc pod uwagę

wszystkie okoliczności, nie mam pojęcia, jak ty to w ogóle wytrzymujesz.

- Nic mi nie jest.

- To nieprawda, popadłaś po prostu w odrętwienie. Porozmawiaj z doktor Kendall. A przy okazji: ciągle nie powiedzieliśmy Toni o Dennisie. Wiem, co czujesz, ale jesteśmy zdania, że na razie tak będzie lepiej.

- Myślę, że wiecie, co robicie.

Leżałam na łóżku, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Sceny, które widziałam oczami wyobraźni, były aż nazbyt plastyczne. Przypomniały mi się chwile, kiedy w obecności Joego ktoś podnosił temat molestowania seksualnego dzieci. Zawsze się wtedy wściekał, twierdził, że sprawców powinno się wieszać za jaja. Byłam przekonana, że molestowanie dzieci budzi jego sprzeciw. Teraz jednak dotarło do mnie, że w ten sposób manipulował moimi przekonaniem, żeby ukryć swoje własne występki. Jak mogłam być aż tak ślepa? Czułam się tak, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością.

Tak bardzo mu współczułam, kiedy stracił najpierw mnie, a potem swoją matkę. Jego życie wydawało mi się wtedy takie smutne i puste, że kiedy poprosił, bym wysłała Toni do Solana Beach, zgodziłam się. Miałam nadzieję, że wyjdzie to na dobre im obojgu. Wydawało się, że Joe zmienił się nie do poznania i wreszcie złagodniał - chciałam, żeby Toni miała szansę poznać go od tej lepszej strony. Joe twierdził, że pragnie wynagrodzić Toni traumę, jaką przeżywała przez niego w dzieciństwie, a ja pomyślałam, że jej wizyty wniosą w jego życie odrobinę światła. Jaka ja byłam głupia. Po raz kolejny płaciłam wysoką cenę za swoje miękkie serce - w dodatku tym razem zapłaciła ją także Toni.

Nie byłam w stanie znieść zdrady, jakiej dopuścił się Joe, to było ponad moje siły. Podeszłam do szafy i wyciągnęłam ze skrytki broń. Przyglądałam się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy nie pojechać do Solana Beach i nie wpakować Joemu kulki w łeb.

Nie możesz go zabić, White. Jest ci potrzebny. Wiem, że ta wizja jest kusząca, ale nie możesz tego zrobić. Poczekaj z tym, dopóki nie wróci z Montany.

A jeśli tam nie pojedzie?

Pojedzie... Już ja tego dopilnuję.

Odłożyłam broń z powrotem do skrytki, połknęłam dwie tabletki valium i czekałam, aż przyjdzie sen.

Nazajutrz rano zadzwonił Joe.

- Georgia, nie odkładaj słuchawki, proszę cię. Pozwól mi przynajmniej...

- Nie chcę słyhać twoich wymówek, Joe. Będziesz się tłumaczył przed policją.

Znowu się rozplakał.

- Wiem, że jestem chory, że potrzebuję pomocy. Nie mogę cię winić za to, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Straciłem wszystko: ciebie, Toni, matkę. Wszystko. Jeśli już nigdy nie będę mógł usłyszeć twojego głosu, nie zostanie mi nic. I będzie to wyłącznie moja wina. Nie chcę już dłużej żyć. Jak mogłem być takim głupcem? Boże, pomóż mi.

- Bóg ci nie pomoże, Joe. Ale ty, zanim się zabijesz, mógłbyś jeszcze pomóc Toni. Zanim odejdziesz z tego świata, powinienes spróbować naprawić to, co udało ci się zniszczyć.

- Co masz na myśli?

- Toni będzie potrzebować długiej terapii po tym, co jej zrobiłeś. Ale ta terapia nie przyniesie rezultatu, jeśli Toni nie spotka się z tobą i nie spojrzy ci w oczy. Musi powiedzieć ci prosto w twarz, co teraz czuje.

- Ja wiem, co ona czuje, nie musi mi tego mówić.

- Mylisz się. Musi.

- Więc co mam zrobić?

- Jedź do Montany. Staw czoła temu, co zrobiłeś.

- Co to da?

- Chociażby to, że unikniesz więzienia!

- Skąd mogę wiedzieć, że potem i tak nie wydasz mnie glinom?

- Nie możesz. Ale jeśli kiedykolwiek chciałeś zrobić w swoim życiu coś pożytecznego, to teraz masz szansę. Jeśli zależy ci na tym, żeby Toni wróciła do psychicznej równowagi, zrobisz to, co powiedziałam. Za jednym zamachem możesz pomóc Toni i ocalić siebie przed więzieniem. Wybór należy do ciebie.

Po długim milczeniu w końcu się zgodził.

- Kiedy mam tam jechać?

- Za dwa tygodnie, kiedy Toni wróci ze swojej survivalowej wyprawy

- Georgia... Wiem, że to będzie ostatni raz, kiedy was zobaczę. To będzie kara za zbrodnię, którą popełniłem. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz, że jestem chorym człowiekiem. Nie wiem, dlaczego ci to wszystko robiłem. Tyle razy tłułem głową o ścianę, próbując to zrozumieć. Przepraszam za całe cierpienie, jakiego wam przysporzyłem przez te wszystkie lata. Będzie wam lepiej, kiedy zniknę z waszego życia. Byłem samolubny i...

- Daj sobie spokój, Joe. W moim sercu nie ma już dla ciebie przebaczenia.

Joe kolejny raz zaniósł się szlochem.

- Przepraszam... Tak bardzo mi przykro... - zapewniał.

Odłożyłam słuchawkę i usiadłam na krawędzi łóżka. Co spotkało go w dzieciństwie,

że stał się taką osobą? Kiedy sobie popił, opowiadał mi czasem zatrważające historie. Jego ojciec zamykał go związanego w ciemnej, zimnej piwnicy. Bił go i więził tam całymi dniami. Joe drobniawo opisywał to, co wtedy czuł - opowiadał o strachu przed przemykającymi obok jego stóp szczurami i o tym, jak wołał matkę, błagając ją o ratunek. Ona potajemnie zanosila mu do piwnicy jedzenie i modliła się, żeby nie została przyłapana.

Już same te skąpe fragmenty historii jego dzieciństwa były wystarczająco przynębiające, przeczuwałam jednak, że za gniewem i nienawiścią towarzyszącym jego napadom agresji kryło się znacznie więcej doznanego w przeszłości bólu i cierpienia. Być może jego potrzeba kontroli i dominacji brała się z tego, że jako dziecko sam był bezbronną ofiarą podobnej kontroli. Nie wiem tego na pewno. Miałam świadomość, że dopóki Joe nie znajdzie w sobie odwagi, by otworzyć drzwi do swojej okropnej przeszłości, nikt się nie dowie, co tak naprawdę stało za wybuchami jego agresji. Ale nawet nie mając tej wiedzy, coś przecież jednak wiedziałam. Rozumiałam, nie do końca rozumiejąc.

Joe poleciał do Montany. Nie miał wyboru. Za sprawą jego chorobliwej dumy była to najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonał w całym swoim życiu. Mały John i terapeutka o imieniu Gay wzięli go w obroty, a kiedy skończyli, to, co z niego zostało, ani trochę nie przypominało już mężczyzny. Mimo to Toni wciąż się bała i nie potrafiła się zmusić, żeby w jego obecności ujawnić najgłębiej skrywane uczucia. Na widok jej zmagania z własnymi emocjami ogarniało mnie współczucie

W tamten parny dzień towarzyszyła mi Georgia Black. I wcale nie zamierzała ukrywać się w cieniu. Siedzieliśmy na otwartym powietrzu i drążąc, docieraliśmy do mrocznych zakamarków umysłu Joego. Bez Georgii Black nie byłabym w stanie poradzić sobie z ogromem cierpienia, jakie zostało wyciągnięte na powierzchnię podczas tej burzliwej sesji.

Przed końcem popołudnia nie sposób było już odróżnić potu od łez. Dowiedziałam się, że Joe groził Toni popełnieniem samobójstwa, jeśli to, co jej zrobił, wyjdzie kiedyś na jaw. Posługiwał się strachem, by manipulować jej młodym umysłem. Przypominałam sobie czasy, kiedy ja sama żyłam pogrążona w takim strachu. Wtedy też tak naprawdę zrozumiałam, na czym polegała prowadzona przez Joego gra.

Jego duma została złamana, a on sam nigdy do końca nie otrząsnął się po zawstydzającym doświadczeniu, jakim była dla niego tamta konfrontacja. Wkrótce po powrocie z Montany wyjechał do Rochester - z obawy przed moim gniewem porzucił życie w Kalifornii, które tak kochał. Koniec z codziennymi wypadami na kort tenisowy i podziwianiem cudownych zachodów słońca. Koniec Joego Lamendoli. Zabawna rzecz: po

tych wszystkich latach, kiedy to ja uciekałam, gnana strachem... teraz to on uciekał przede mną.

W tamtym czasie wciąż obracałam pieniędzmi, które powierzył mi Joe. Było to ponad sto tysięcy dolarów, zapisanych na moje nazwisko. Piętnaście tysięcy z tej kwoty było moją prawną własnością. Pozamykałam wszystkie rachunki inwestycyjne i po odjęciu swoich piętnastu tysięcy odesłałam resztę gotówki Joemu; w ten sposób zakończyłam z nim wszelkie kontakty. Z perspektywy czasu żałuję, że nie zatrzymałam całej sumy i nie przekazałam jej Toni jako rekompensaty za nieodwracalne szkody, jakie wyrządził jej Joe.

Dzięki swojej części pieniędzy mogłam wpłacić zaliczkę za udział Toni w programie.

Joe zdradził nas obie w najgorszy możliwy sposób. Nigdy więcej nie zamieniłam z nim słowa.

Po powrocie ze Spring Creek zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze lekcji ma dla mnie w zanadru los, zanim wreszcie pozwoli mi zaznać spokoju. Tymczasem posuwałam się krok za krokiem, nie mając pojęcia, dokąd właściwie zmierzam - wiedziałam tylko, że idę do przodu.

Rozdział szesnasty

W czasie pobytu Toni w Spring Creek desperacko usiłowałam związać koniec z końcem. Martwiłam się, że nie będę w stanie wpłacać na czas kolejnych rat za pobyt Toni w ośrodku. Potrzeba znalezienia pracy i zarabiania pieniędzy pozwoliła mi skupić się na czymś innym niż tylko na przeżywaniu smutku i żalu.

Musiałam też uporać się z przeszkodami na polu zawodowym. Wally Crowder zaczął spotykać się z nowo przyjętą do zespołu dziewczyną i podsuwał jej zlecenia, które powinny były przyspać mnie. Musiałam wziąć swój los we własne ręce.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Jim Harkess, żeby umówić się na nasz coroczny lunch. Nasze urodziny wypadały w zaledwie kilkudniowym odstępie i zawsze korzystaliśmy z tej okazji, żeby świętować przy wspólnym lunchu. Przyjechał po mnie o dziesiątej rano.

- Jesteś pewien, że to nie będzie śniadanie? - spytałam. - Skąd ta wczesna pora?

- Zobacysz - odpowiedział z uśmiechem.

Wjechaliśmy na małe prywatne lotnisko w Burbank. Pomyślałam, że widocznie musi coś stamtąd odebrać, zanim pojedziemy na lunch, Jim jednak zatrzymał się tuż obok pięknego granatowego learjeta, na którego boku namalowano napis „Two’s Company”.

- Czy to twój? - zapytałam, przyglądając się samolotowi z podziwem.

Jim wyglądał jak żywy relikwiarz lat sześćdziesiątych. Miał na sobie niebieskie jeansy, a przerzedzone włosy sięgały mu aż do ramion. Gęsta, oprószona siwizną broda zakrywała ślady, które odcisnął na jego twarzy wieloletni alkoholizm. Patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że tak dobrze powodzi mu się w interesach.

- Tak - odparł dumnie. - Rozszerzamy działalność i wchodzimy do branży lotniczej. W dolnej części samolotu wbudowana jest kamera, ale dzisiejszy lot jest dla czystej przyjemności. W którym miejscu na świecie chciałabyś zjeść lunch?

- Rety, trzeba było dać mi wcześniej dzień do namysłu. Może po prostu zrobisz mi niespodziankę?

Jim szepnął coś do ucha pilotowi, po czym włączył muzykę i wrócił do kabiny pasażerskiej z butelką szampana. Wznieśliśmy toast z okazji moich trzydziestych szóstych i jego trzydziestych ósmych urodzin.

- Nie wierzę, że siedzę we własnym samolocie w towarzystwie Georgii Durante. Masz pojęcie, jak długo marzyłem o takiej chwili?

- Nie.

- Odkąd poznałem cię na planie tamtej reklamy Toyoty, dziesięć lat temu. - Jim umilkł na chwilę. Gładząc placami brodę, patrzył w każdym kierunku, tylko nie na mnie. - Zakochałem się wtedy w tobie - wyznał wreszcie łagodnym głosem.

- Nigdy bym się nie domyśliła.

- Byłem żonaty, ale przez te wszystkie lata kochałem się w tobie potajemnie. W dniu, w którym wychodziłaś za Richarda, miałem ochotę zrobić to samo co Dustin Hoffman w *Absolwencie*. To dlatego nie przyszedłem na wasz ślub. Pamiętam, jak kiedyś przyjechałem do tego waszego wielkiego domu na wzgórzu, żeby podrzucić ci jakieś zdjęcia. Zdałem sobie sprawę, że nie będę miał u ciebie szansy, jeśli nie będę tak bogaty jak on. To wtedy zacząłem marzyć o własnym odrzutowcu. A teraz to się naprawdę dzieje. Ty naprawdę tu siedzisz, a z głośników leci *Georgia* Williego Nelsona. Wszystko jest dokładnie takie, jak sobie wymarzyłem.

- Jim, nie mogę uwierzyć, że przez te wszystkie lata czułeś coś takiego, a ja nie miałam o niczym pojęcia.

- Cóż, teraz już masz.

- Pochlebia mi, że miałam coś wspólnego z tym, że osiągnąłeś swoje cele - powiedziałam - ale to nie pieniądze mnie pociągają. Nauczyłam się unikać jak ognia ludzi, którzy przywiązują za dużą wagę do bogactwa. Nie pozwól, żeby sukces uderzył ci do głowy, Jim. Jesteś miłą osobą i byłaby wielka szkoda, gdyby zepsuły cię pieniądze. Poza tym, czy ty nie jesteś ciągle żonaty?

- Tak, ale już niedługo bierzemy rozwód.

- A czy ma to coś wspólnego z twoim parciem na sukces? - zapytałam.

- Nie, właściwie to nie - odparł. - Sama wiesz, jak to jest w tym biznesie. Wiecznie jesteśmy w rozjazdach. Dla związku to trudna próba. Trudno to zrozumieć komuś, kto nie siedzi w naszej branży.

- Co za wspaniałe urodziny - stwierdziłam, żeby zmienić temat. - To dokąd w końcu lecimy?

- Nad jezioro Tahoe. Chcesz usiąść w kabinie pilota w czasie lądowania?

- Byłoby super. Chciałabym kiedyś nauczyć się tym latać.

Samolot wylądował, a my pojechaliśmy do uroczej małej restauracyjki, gdzie kontynuowaliśmy nasze świętowanie.

- Dlaczego nie odejdziesz z Motion Research? - zagadnął Jim. - Wally Crowder nie jest ci do niczego potrzebny. Jezu, przecież i tak tych wszystkich klientów, dla których pracujesz, zdobyłaś na własną rękę. Jeśli odejdziesz, oni pójdą za tobą.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jasne, że tak, do cholery. Powtarzam ci to od lat. Masz w branży dobrą opinię. Ludzie wiedzą, że jeśli zadzwonią po Georgię Durante, to robota zostanie wykonana jak trzeba. Kiedy dzwonią do Wally'ego, nigdy nie mają pewności, co za lalunię im przyśle. Nie mogę się nadziwić, jakim cudem ten facet od tylu lat utrzymuje się na rynku, skoro wciska klientom taki kit.

- Wiesz, czego się dowiedziałam w zeszłym tygodniu? Przez przypadek wpadłam na producenta z Detroit. Powiedział mi, że kiedy zadzwonił z propozycją pracy dla mnie, Wally oznajmił mi, że wszystkie terminy mam już zajęte. I zamiast mnie wysłał do tej pracy dziewczynę, z którą niedawno zaczął się spotykać. -Laska w życiu nie prowadziła samochodu przed kamerą. Gdyby nie rozbiła samochodu, pewnie nigdy bym się o tym wszystkim nie dowiedziała. Zastanawiam się, ilu klientów straciłam z powodu gierki Wally'ego.

- Mnóstwo. Myślę, że już pora, żebyś się z nim rozstała.

- Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Wydaję własne pieniądze na podróże do Detroit. Zapraszam klientów na kolacje i płacę za nie z własnej kieszeni, żeby wypromować firmę Wally'ego. A kiedy dzięki moim staraniom przychodzi jakieś zlecenie, on oddaje jej jakiejś podfruwajce, którą chce zaciągnąć do łóżka.

- No więc, co zamierzasz z tym zrobić?

- Zastanawiałam się już nad tym. Zespół kierowców złożony z samych kobiet byłby czymś wyjątkowym. Jest zapotrzebowanie na kobiety, które dobrze radzą sobie za kółkiem. Gdybym się trochę rozejrzała i znalazła sześć czy siedem wystrzałowych dziewczyn, które potrafią prowadzić jak szatan, a potem podszkoliła je w jeździe precyzyjnej, mogłoby mi się udać.

- Jeśli potrzebujesz biura, to mam wolne pomieszczenia w swoim budynku. - Jim zamyślił się przez chwilę. - Wiesz co, to wcale nie jest zły pomysł. Gdybyś przeniosła się do mojego budynku, moglibyśmy zaoferować klientom pełną gamę usług. Działalibyśmy jako dwie odrębne firmy, ale w razie potrzeby korzystali-byśmy nawzajem ze swoich usług.

- Hmm, niech no się zastanowię - powiedziałam. - To faktycznie mogłoby być interesujące.

- Ty i ja mamy tych samych klientów. Mając u nas biuro, będziesz widywała wszystkich klientów, którzy przychodzą do nas w sprawie różnych projektów, ale jeszcze ważniejsze jest to, że oni będą mieli okazję zobaczyć ciebie. Dzięki temu masz szansę zdobyć zlecenie, zanim jeszcze dana firma zdąży pomyśleć o ogłoszeniu przetargu.

Moje palce zaczęły wystukiwać perkusyjną solówkę na kolanie.

- Słuszna uwaga - stwierdziłam. - Jeśli tylko jesteś naprawdę zdecydowany, to od razu biorę się do dzieła.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam do Tony'ego Santoro, który był współnikiem Wally'ego w Motion Research. Powiedziałam mu, że zamierzam odejść z zespołu.

- W takim razie chciałbym się do ciebie przyłączyć - oznajmił. - Ja też mam już dosyć Wally'ego i jego głupot.

- Prawdę mówiąc, myślałam o założeniu zespołu złożonego wyłącznie z dziewczyn. Nie do końca pasujesz do tego planu - odparłam; byłam zaskoczona, że miał o Wallym takie samo zdanie.

- Przecież możesz mieć oddzielną sekcję złożoną z kobiet. Wiesz dobrze, że klienci i tak znacznie częściej potrzebują męskich kierowców. Mając w zespole i dziewczyny, i facetów, lepiej byś na tym wyszła. Razem tworzylibyśmy świetną drużynę. W czasie zdjęć zawsze łączą nas w parę. To mogłoby się udać, a jeśli Harkess traktuje swoją propozycję poważnie, to jest szansa na prawdziwy sukces. Naprawdę chciałbym zostać twoim współnikiem, Georgia. Co ty na to?

- Brzmi nieźle - powiedziałam - ale trzeba będzie działać szybko. Jesteśmy w samym środku sezonu. To idealna pora. Musimy wymyślić nazwę, żebyśmy mogła zabrać się do projektowania logo, zamówienia firmowej papeterii, wizytówek, T-shirtów...

- Powoli, Georgia. Możemy zrobić to wszystko za jakiś czas.

- Tony, trzeba to zrobić od razu. Musimy wysłać do naszych klientów listy i powiadomić ich, że otworzyliśmy nową firmę. Nie możemy do nich napisać na zwykłej kartce papieru. Musimy wywrzeć odpowiednie wrażenie.

- Jak sądzisz, ile to będzie kosztować?

- Mniej więcej po pięć tysięcy na głowę.

- To sporo pieniędzy.

- Wcale nie, jeśli zamierzasz rozkręcić własny interes. Jeśli chce się zarabiać, najpierw trzeba trochę wydać.

- Chyba masz rację.

- Co do nazwy, to myślę, że powinna zawierać słowo „performance”.

- Tak, to brzmi dobrze. A skoro nasza firma ma się składać z ciebie i ze mnie, to co myślisz o Performance Two? - zapytał Tony.

- Tak... Do tego taka nazwa pasuje do Two's Company, a to się może przydać, jeśli w przyszłości będziemy z nimi współpracować. Zaraz pomyślę nad logo. Ty zastanów się nad

jakimiś dobrymi kierowcami, których moglibyśmy do siebie ściągnąć. Zaplanuj spotkanie z kandydatami za dwa tygodnie w moim domu, wtedy przekonamy się, na czym stoimy, i zrobimy selekcję. Ja poszukam odpowiednich dziewczyn. W tej kwestii nie jesteś lepszy od Wally'ego - dodałam ze śmiechem, ale Tony wiedział, że wcale nie żartuję.

- Dopóki nie przeniesiemy się do nowego biura, nie powinniśmy nic mówić Wally'emu - zasugerował Tony. - Nie ma sensu tracić zleceń, jakie mogą się nam w tym czasie trafić.

- Jeśli o mnie chodzi, to i tak całe lato mam wypełnione pracą dla własnych klientów - powiedziałam. - Ale w twoim wypadku to faktycznie ma sens.

Tydzień później Tony i ja pojechaliśmy do Moab w stanie Utah, gdzie mieliśmy wziąć udział w kręceniu reklamówki dla Chevroleta, której budżet wynosił sześć milionów dolarów. Dobrze nam się razem pracowało. Poza tym dobrze razem wyglądaliśmy, co było powodem, dla którego agencje reklamowe chętnie łączyły nas na planie filmowym w parę. Tony miał około metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Przyprószone siwizną włosy nie stanowiły w jego wypadku przeszkody w zdobywaniu zleceń - nadrabiał ten mankament wyrazistymi, męskimi rysami twarzy. Inni mężczyźni świetnie się czuli w jego towarzystwie, ale wyjątkowa charyzma przyciągała do niego także kobiety. Jego telefon nigdy nie przestawał dzwonić.

Tony był Sycylijczykiem - nasze włoskie pochodzenie sprawiło, że od pierwszej chwili poczuliśmy ze sobą więź. Jego typ męskiej urody wydawał mi się pociągający, ale nigdy nie patrzyłam na niego w taki sposób. Nasze relacje zawsze miały czysto zawodowy charakter. Miałam za sobą małżeństwa z dwoma Sycylijczykami i aż trudno mi było uwierzyć, że teraz poważnie rozważam kandydaturę Sycylijczyka na partnera w interesach. A przecież wejście z kimś w spółkę to prawie to samo, co zawarcie z nim małżeństwa.

Po zakończeniu zdjęć w Moab mieliśmy kontynuować filmowanie na górze Pikes Peak w Kolorado. Tony i ja przylecieliśmy na miejsce dzień wcześniej niż pozostali członkowie ekipy, żeby przeprowadzić jazdę testową przed rozpoczęciem zdjęć. Popelniliśmy błąd i prosto z samolotu pojechaliśmy na szczyt Pikes Peak, zapominając o tym, że powinniśmy dać sobie czas na aklimatyzację na tej wysokości. Góra miała ponad 4300 metrów. Na wysokości mniej więcej 3500 metrów Tony zjechał na pobocze, jego przystojna twarz zrobiła się blada jak ściana.

- Dalej prowadź ty. Ja nie mogę oddychać. Czuję się, jakbym miał dostać zawału. Nie wiem, czy dam radę to zrobić, George.

Obszedł samochód, żeby przesiąść się na fotel pasażera. Obserwowałam go

z rozbawieniem, choć sama miałam lekkie zawroty głowy.

- Masz szczęście; ty musiałas zrobić tylko kilka poślizgów - powiedział, opadając na fotel i z trudem łapiąc oddech. - Znam jednego kierowcę, który mieszka w Colorado Springs. Poproszę, żeby zastąpił mnie przy tej robocie.

- Tony, weź się w garść. Dasz radę. Nie powinniśmy byli pchać się na górę bez aklimatyzacji. Poza tym powiedzieli, że jutro będziemy mieli w samochodach tlen. Z tlenem nie będzie tak źle. Poradzisz sobie.

- Tobie nie kręci się w głowie?

- Tak, ale w przeciwieństwie do ciebie nie panikuję. Uspokój się i oddychaj powoli.

- Nie sądzę, żebym był w stanie - upierał się.

- No dalej, Tony. Musisz się pozbierać. To ja poleciłam cię do tej pracy. Jeśli skrewisz, wyjdę na idiotkę. To jedno z moich największych zleceń. Nie schrzaj mi tego.

- Nie płacą nam wystarczająco dobrze za tę robotę.

- Wprost przeciwnie, Tony. Płacą nam więcej niż podwójną stawkę zapisaną w kontrakcie.

- Za jazdę po tamtych wąskich gruntowych drogach w Moab, ze stumetrowymi skarpami na krawędzi, powinniśmy dostać jeszcze więcej.

Większość życia przeżyłam na krawędzi. Skarpa na skraju drogi nie była w stanie mnie przestraszyć - w każdym razie nie tak, jak groźba gwałtownej śmierci w wyniku morderstwa, o którą ocierałam się już wiele razy.

- Po prostu połóż się i spróbuj się odprężyć - poleciłam. - Wjadę na szczyt, a potem damy sobie na dziś spokój. Kiedy wrócimy do hotelu, sam przyznasz, że wcale nie jest tak źle.

- No nie wiem... - powiedział, odchylając oparcie fotela i koncentrując się na tym, by oddychać normalnie.

Kręcenie tej sceny okazało się trudne, nawet z pomocą tlenu. Rozrzedzone powietrze spowalniało czas naszych reakcji, kiedy Tony i ja ścigaliśmy się na szczyt - on w beretcie rocznik 1986, a ja w chevrolecie z 1955. Przeniesienie stopy z pedału gazu na hamulec wydawało się trwać całą wieczność. To było dziwne uczucie, zupełnie jakbyśmy poruszali się w zwolnionym tempie.

W tym samym czasie na Pikes Peak kręcono reklamę Audi. W ciągu dnia musieliśmy kilka razy zjeżdżać z drogi, żeby mogła z niej skorzystać druga ekipa. Tony był z tego powodu bardzo szczęśliwy: dawało mu to szansę, żeby pooddychać. Przerwa na lunch wypadła w tym samym czasie dla obu ekip.

Kierowcą w reklamie Audi był Bobby Unser senior. W czasie lunchu przysiadł się do mnie, stawiając swoją tacę z jedzeniem obok mojej. Odezwała się we mnie moja żyłka do interesów, z której istnienia nie zdawałam sobie jeszcze wówczas sprawy. Nazwisko Unser, kojarzące się z wieloma latami spędzonymi na torach wyścigowych, z pewnością sprawiłoby, że cała branża samochodowa od razu zwróciłaby uwagę na Performance Two - skracając przynajmniej o połowę czas potrzebny na zbudowanie renomy takiej firmy jak moja.

Opowiedziałam Bobby'emu o kilku swoich pomysłach i udało mi się zdobyć jego zainteresowanie. Zaprosił mnie na tor Phoenix Raceway, gdzie w następnym tygodniu miał komentować dla telewizji wyścig Indy Car. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o moich propozycjach.

Bobby Unser czekał na mnie przy wyjściu na lotnisku w Phoenix. Zjedliśmy razem kolację i przedyskutowaliśmy możliwości, jakie jego zaangażowanie w Performance Two mogło otworzyć zarówno przed nim, jak i przed moją firmą. Nazajutrz Bobby przyjechał po mnie do hotelu i pojechaliśmy na tor wyścigowy. Przez wszystkie lata, jakie przepracowałam w branży kaskaderskiej, ani razu nie zdarzyło mi się odbyć podobnej przejażdżki. Byłam w rękach jednego z najlepszych kierowców świata, ale wokół nas odbywał się normalny ruch uliczny. Na naszej trasie nie było żadnych radiowozów, mogliśmy więc pędzić naprzód, przekraczając granice bezpieczeństwa. Tym razem nikt mi nie płacił za narażenie życia na niebezpieczeństwo. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Bobby przedstawił mi swojemu synowi, Bobby'emu Unserowi juniorowi.

- Spotkamy się tu po wyścigu. Podrzucę cię do Los Angeles moim samolotem - zaoferował się Bobby senior.

- Ech, dzięki, Bobby, ale nie skorzystam. Jeśli pilotujesz tak samo, jak prowadzisz, to wolę polecieć rejsowym samolotem.

- Jesteś pewna? I tak wybieram się do L.A.

- Jestem pewna.

- W takim razie zadzwonię do ciebie, kiedy będę już w L.A. - powiedział i oddalił się szybkim krokiem.

- To była słuszna decyzja - stwierdził Bobby junior. - Nawet ja z nim nie latam. Jeśli zdaje ci się, że jest nie do zniesienia na drodze, to powinnaś zobaczyć, co wyczynia za sterami swojego samolotu.

Bobby junior okazał się bardzo zainteresowany biznesem, o którym rozmawiałam z jego ojcem.

- Brzmi to jak coś, co ja chciałbym robić - powiedział.

- To interesujący biznes, bez dwóch zdań. Wielu ludzi chciałoby się tym zajmować, ale niewielu się do tego nadaje.

- A czy ja się nadaję?

- Jeśli prowadzisz tak dobrze jak twój ojciec (mam na myśli to, jak prowadzi na torze), to owszem. Ale precyzyjna jazda wymaga praktyki, Bobby. To coś zupełnie innego od tego, do czego jesteś przyzwyczajony. Do takiej jazdy potrzeba mnóstwo samodyscypliny i koncentracji; oczywiście, kiedy już załapiesz, o co w tym chodzi, odpowiednia koncentracja przyjdzie z czasem sama. Musiałbyś raz na miesiąc przylatywać do Los Angeles, żeby poćwiczyć z resztą zespołu. Nie możesz liczyć na taryfę ulgową tylko dlatego, że nazywasz się Unser. Jeśli mamy stworzyć taki zespół, na jakim mi zależy, wszyscy kierowcy będą musieli ciężko pracować.

- Będę latał do L.A. Zrobię wszystko, co będzie trzeba - zapewnił gorliwie.

Bobby junior odwiózł mnie na lotnisko i było to niemal tak samo okropne doświadczenie jak przejażdżka z jego ojcem. Złożyłam to karb jego młodego wieku, ale jego ojca trudno było w ten sposób tłumaczyć. Jeśli Bobby chciał dostać się do mojego zespołu, musiał się wiele nauczyć - i to szybko.

- Zadzwoń w ciągu tygodnia i dam ci znać, kiedy powinieneś przyjechać na pierwsze ćwiczenia. Będziesz musiał wynająć na lotnisku samochód. I nie zapomnij o ubezpieczeniu.

- Och... to może być pewien problem.

- Co masz na myśli?

- Oni nie wypożyczają samochodów Unserom.

- Nie mogę powiedzieć, że bym była zaskoczona. - Roześmiałam się. - Coś wymyślimy. Zadzwoń do ciebie.

Misja wykonana. Wracalam do Los Angeles, zwerbowałam do zespołu Unsera. Na spotkaniu kierowców, które odbyło się w moim domu, do zespołu dołączył także Dar Robinson, najlepszy kierowca kaskaderski na świecie. Po przejrzaniu magazynów o samochodach skontaktowałam się z najatrakcyjniejszymi zawodniczkami startującymi w wyścigach samochodowych, wybierając te, które osiągały w nich dobre wyniki. One również do nas dołączyły. Teraz pozostawało już tylko nauczyć wszystkich współpracy, która zrobi z nas najlepszy zespół kierowców w kraju.

W sierpniu 1986 roku, rok po śmierci Dennisa, narodziła się firma Performance Two Inc. Od samego początku znaleźliśmy się w ścisłej czołówce. Zaczęliśmy z szesnastoma kierowcami, zarówno kobietami, jak i mężczyznami, i przez chwilę wyglądało nawet na to, że

nie starczy nam ludzi, żeby zaspokoić popyt na nasze usługi.

Dużą część pracy wzięłam na siebie, chcąc zapewnić firmie dobry start. Tony zawsze wydawał się zbyt zajęty, żeby pomóc mi w nużących obowiązkach związanych z prowadzeniem biznesu, bo większość jego czasu pochłaniały kobiety - w rezultacie to ja musiałam być siłą napędową naszej firmy. Tony nie był zadowolony z obecności w zespole Bobby'ego Unsera juniora. Bobby radził sobie za kółkiem, jakby był urodzony do tej pracy, a Tony postrzegał go jako zagrożenie. Musiałam walczyć z nim o to, by Bobby został w zespole. Koniec końców Tony polubił jednak Bobby'ego. Mieli zresztą ze sobą wiele wspólnego. Tony co prawda dobiegał już pięćdziesiątki, ale tak naprawdę obaj byli nie do końca dorośli. Nie minęło wiele czasu i zaczęli spędzać wspólnie czas także poza pracą.

Interesy szły dobrze, ale kiedy firma zaczęła przynosić zyski, Tony chciał chować je do kieszeni, podczas gdy ja - inwestować je w nasz biznes. Pojawiał się w biurze wyłącznie wtedy, kiedy chciał się na coś poskarżyć. Bardzo go lubiałam, ale nie miał zielonego pojęcia o interesach. Nigdy nie było go w pobliżu, żeby mógł na własne oczy przekonać się, jak ciężko jest prowadzić firmę.

To na moich barkach spoczywało ustalenie grafiku dla kierowców, zamawianie artykułów biurowych i zabieranie klientów na kolacje. Odbierałam telefony i rozwiązywałam problemy, które pojawiały się na planie zdjęciowym. Tony był po prostu jednym z moich kierowców, kompletnie nieświadomym tego, ile wysiłku trzeba było włożyć, by firma nie straciła rozpędu. Nie miałam nic przeciwko temu, że musiałam sama wykonywać całą pracę, ale wysłuchiwanie słów krytyki było denerwujące, zwłaszcza jeśli zasługiwało się raczej na pochwałę. Sprzeczki, jakie między nami wybuchały, zaczęły stawać się naprawdę nieprzyjemne. Żadne z nas nie zamierzało ustępować. Czasami niewiele brakowało, by doszło do rękoczynów.

Któregoś dnia Tony zjawił się w biurze, żeby wziąć udział w spotkaniu, na które zaprosiłam klientów z Detroit. Celem było przedyskutowanie warunków kontraktu, który dałby naszej firmie wyłączność na obsługę wszystkich ich reklam. Przyjechałam wcześniej, żeby przygotować się do spotkania. Kiedy strażnik zauważył, że nadjeżdżam, otworzył bramę przed budynkiem.

Wjeżdżając na parking, dostrzegłam we wstecznym lusterku samochód Tony'ego; strażnik zamknął mu jednak bramę przed nosem. Wystawiłam głowę przez okno i krzyknęłam do strażnika:

- W porządku, to mój współnik.

Brama się otworzyła i strażnik gestem nakazał Tony'emu wjechać. Otwierając drzwi

do biura, pomyślałam, że jeśli spotkanie przebiegnie pomyślnie, będziemy musieli zatrudnić więcej kierowców. W ślad za mną do biura wszedł Tony, utyskując na strażnika.

- Tony, skoro nawet strażnik cię nie poznaje, może rozsądnie byłoby przemyśleć twoją rezygnację z bycia współnikiem?

- Chcę pięćdziesiąt tysięcy, jeśli mam odejść.

- Bądź poważny, Tony. Dam ci tyle, ile włożyłeś w tę firmę.

- Teraz jest warta więcej.

- Jeśli tak jest, to dzięki moim wysiłkom, a nie twoim. Próbuję zachować się wobec ciebie fair. Jeśli nie przyjmujesz mojej oferty, po prostu rozwiążę spółkę i założę kolejną. A ty skończysz z niczym.

- Ale wtedy musiałabyś zrezygnować z nazwy. Co z tymi wszystkimi materiałami promocyjnymi, na które wydałaś małą fortunę?

- Performance Two zmieni się w Performance One. Zmiana nazwy i tak jest w tej sytuacji sensowna. Nie bądź niemądry, Tony. Weź, co ci oferuję.

- Przemyślę to.

- Nie podoba mi się to, co stało się z naszą przyjaźnią, Tony. Kłócimy się gorzej, niż gdybyśmy byli małżeństwem. Wiem, że się martwisz, co będzie, jeśli zostaniesz bez macierzystego zespołu. Ale możesz tu przecież zostać jako kierowca. Tak naprawdę to nikt nie musi wiedzieć, że nie jesteś już współwłaścicielem firmy. Chodzi mi tylko o to, żebym mogła swobodnie podejmować decyzje, bez naszych ciągłych kłótni.

Nie wiem, czy Tony specjalnie sabotował spotkanie, czy po prostu dał o sobie znać jego kompletny brak orientacji w kwestiach biznesowych, w każdym razie nie dostaliśmy tamtego kontraktu. Tony zdawał sobie sprawę, że dla niego kurtyna już zapada, i nie zrobił nic, by pomóc w zawarciu umowy. Czekala nas jeszcze jedna wspólna praca dla Oldsobile'a; potem zostało już tylko spotkanie u adwokata. Nasza spółka przetrwała zaledwie rok. Tony przepisał na mnie swoje udziały w firmie. Pozostałam przy naszej oryginalnej nazwie i wypisałam Tony'emu czek na sumę, którą zainwestował w firmę.

Sycylijska duma Tony'ego dała o sobie znać - nie mógł znieść myśli, że mogłabym odnieść sukces bez niego. Napakował głowę Bobby'ego Unsera kłamstwami o tym, że opowiadałam ludziom z branży, jakoby Bobby był alkoholikiem. Tony był wyśmianym kierowcą, ale nie potrafił radzić sobie w branży w pojedynkę. Niestety, to samo dotyczyło Bobby'ego.

Wally wykorzystał okazję i dołączył do nagonki, mającej zniszczyć Performance Two; w tym celu nawet schował swoją dumę do kieszeni i ponownie zaprzyjaźnił się z Tonym.

Uznali, że to ja jestem siłą, którą trzeba zniszczyć, żeby nie stracić tych klientów, którzy im jeszcze zostali. Byli zdecydowani wyeliminować mnie z interesu. Moi pozostali konkurenci także robili co w ich mocy, by podkopać moją pozycję. Byłam samotną kobietą w męskim świecie, próbującą utorować sobie drogę przez tę zdradliwą dżunglę.

Ostatecznie moi konkurenci uciekli się do jedynej środka, jaki im pozostał - i przypuścili na mnie osobisty atak. Twierdzili, że zdobywam zlecenia, sypiając z klientami. Kobiety zawsze są wrażliwe na tego rodzaju oskarżenia, a z jadowitymi językami niełatwo jest walczyć. Ale ja parłam przed siebie, wyrabiając sobie markę we wspaniałym świecie reklamy samochodowej.

Drzwi, które otwierają się przed pięknymi kobietami, bywają zwodnicze. A ja byłam piękną kobietą w świecie zdominowanym przez mężczyzn, w którym drzwi otwierały się przede mną na każdym kroku. Nie były to drzwi prowadzące do prawdy, wiedzy czy świadomości - takie drzwi trzeba było wyważać, płacąc za to wielką cenę. Drzwi, przez które przechodziłam, były łatwiejsze do otwarcia, bardziej kuszące, eleganckie i niebezpieczne. Były to drzwi jakby stworzone dla kogoś, kto miał moje upodobanie do przygody. Drzwi do bogactwa, władzy i blichtru. Każdy mężczyzna, którego spotykałam, uśmiechał się szeroko i pragnął mi pomóc. Z biegiem czasu miałam się nauczyć, co kryje się za tymi uśmiechami.

Zanim założyłam własną firmę, moje kontakty z mężczyznami nigdy nie przebiegały na takiej płaszczyźnie. Idąc na spotkanie w interesach, za każdym razem byłam przekonana, że moi rozmówcy dostrzegają mnie - osobę, która istnieje w środku. Ale mężczyźni w świecie reklamy przez cały czas widywali kobiety, które wyglądały tak jak ja. Tamte kobiety kusily i manipulowały. I chociaż ja sama nigdy nie próbowałam tego robić, to oni postrzegali mnie przez pryzmat swoich doświadczeń z tamtymi kobietami - i karali mnie za ich winy.

Karą była odmowa współpracy. Początkowo nie mogłam tego zrozumieć, ale pewien producent wyjaśnił mi w końcu, jak postrzegają mnie mężczyźni w świecie reklamy: „Nie zdajesz sobie sprawy, jaki żar z ciebie emanuje; jak bardzo prowokujące potrafi być spojrzenie twoich oczu. Nie doceniasz swojej siły. Ci mężczyźni często mają okazję spoglądać w oczy takie jak twoje i nauczyli się im nie ufać”. Przyznał, że sam postrzegał mnie w taki sposób, zanim w końcu mnie lepiej nie poznał.

Z kobietami producentami wiązał się odmienny problem, ale ten przynajmniej byłam w stanie zrozumieć. Przez całe życie zmagalam się z ludzką zazdrością, jednak w tym wypadku kobiety te miały w swoich rękach władzę, która pozwalała im karać mnie za mój wygląd. To, jak bywam postrzegana przez innych, nigdy nie przestaje mnie zadziwiać - przede wszystkim dlatego, że sama postrzegam siebie zupełnie inaczej.

Z niektórymi producentami i dyrektorami zdołałam nawiązać normalną, ludzką nić porozumienia. Z tymi ludźmi współpracuję do dzisiaj. To osoby, które są w stanie wznieść się ponad egotyzm i potrafią zajrzeć w głąb duszy.

A więc tak: kiedy jest się piękną kobietą, drzwi otwierają się na oścież. Uważałam to za rzecz oczywistą - skoro zawsze były otwarte, nie było się nad czym zastanawiać. Nie wiedziałam, że może być inaczej, bo nigdy nie doświadczyłam tego na własnej skórze. Tymczasem cała sztuka polegała na tym, by sprawić, żeby te otwarte drzwi nie zatrzasnęły się z hukiem.

Z biegiem czasu stawałam się coraz twardszą kobietą i z uporem dążyłam do osiągnięcia sukcesu - aż wreszcie wrażliwa, pełna obaw strona mojej osobowości zupełnie zniknęła. Nauczyłam się korzystać z pozytywnych rzeczy, które miał do zaoferowania mój wewnętrzny cień: z siły, energii i instynktu samozachowawczego. Kiedy zaczęłam śmiało walczyć o swoje w biznesowym świecie, zaczęli lgnąć do mnie ludzie, których przyciągała moja siła.

Dzięki determinacji osiągałam to, czego pragnęłam; ztracałam przy tym jednak własną duszę, której zawdzięczałam swoje wewnętrzne piękno. Żeby osiągnąć cel, musiałam iść po trupach.

Odkryłam nowy świat i prac do przodu, dowiadywałam się coraz więcej o sobie samej. Z każdą przeszkodą, którą forsowałam, byłam coraz bardziej świadoma własnej siły. Strach nie miał już nade mną władzy. Śmiałam mu się prosto w twarz. Nawet dziś, choć moja reputacja już mnie wyprzedza, zdarza mi się natknąć na mężczyzn tkwiących w epoce kamienia łupanego. Dyskryminacja kobiet będzie istnieć zawsze, ale ja nie zamierzam jej tolerować. Mój cień mi na to nie pozwoli.

W czasie pobytu Toni w Spring Creek moje życie kręciło się wokół mojego sześciolatniego syna. Nikt nie miał prawa zakłócać nam cennego czasu, jaki mieliśmy dla siebie. Mogliśmy spędzać ze sobą tylko co drugi tydzień, więc zawsze starałam się sprawić, żeby nasze wspólne chwile były wyjątkowe. Miałam za mało czasu, by skutecznie wpoić synowi wartości, których tak bardzo potrzebował, ale mimo to próbowałam.

Przesunęłam kilka terminów w swoim wypełnionym po brzegi grafiku i zaplanowałam dla nas wyjazd pod namiot w góry Big Bear w towarzystwie Jima Alquista i jego dwóch synów. Jim był teraz członkiem mojego zespołu kierowców. W ciągu pierwszego roku ze mną zarobił więcej niż przez te wszystkie lata, kiedy z trudem wiązał koniec z końcem jako aktor. Nikt nie powie, że nie spłacam swoich długów.

Jim i ja wybraliśmy się w podróż dwoma jeepami, dzięki czemu mogliśmy urządzić

sobie w górach terenowe wyścigi. Dustin z szeroko otwartymi oczami rozkoszował się każdą chwilą. W przeciwieństwie do Toni, odziedziczył po mnie odważne usposobienie. Jego ojciec nieźle by się wkurzył, gdyby nas wtedy zobaczył. Był do tego stopnia nadopiekuńczy, że nawet nie pozwalał Dustinowi grać w baseball. Jeśli nie chciałam, by mój syn wyrósł na oferme, musiałam sama zadbać o to, żeby mógł zdobyć różne doświadczenia.

Następnego dnia rano Dustin i ja spakowaliśmy lunch i wyruszyliśmy na długą pieszą wycieczkę. Cisza panująca w lesie sprzyjała rozmowie.

- Dlaczego tata nigdy nie robi ze mną takich rzeczy?

- Twój tata zna tylko taką zabawę, którą można kupić za pieniądze. Ale to nie jego wina, kochanie. Po prostu nikt mu nie pokazał, jak można się dobrze bawić.

Twarz Dustina przybrała zagniewany wyraz.

- Zawsze mówi tylko: „tak, tak, tak!” - rzucił oskarżycielsko, marszcząc brwi. - Nigdy nie umie powiedzieć: „nie!”.

- Myślałam, że lubisz, kiedy kupuje ci wszystko, co zechcesz.

Jego twarz złagodniała.

- No, lubię... ale chciałbym, żeby czasem powiedział „nie”. Ty zawsze mówisz.

- Nieprawda.

- A właśnie, że tak - zaperzył się z nadąsaną miną.

- Mówię „nie” tylko wtedy, kiedy próbuję cię nauczyć, że nie zawsze możesz mieć wszystko, na co masz ochotę. W życiu jest inaczej, Dustin. Nie chcę, żeby któregoś dnia spotkał cię zimny prysznic. Próbuję cię po prostu przygotować, to wszystko.

- Tata mówi, że to dlatego, że jesteś skąpa.

- Tak, to do niego podobne. Twój tata nie rozumie pewnych rzeczy, Dusty. Mam nadzieję, że pewnego dnia okażesz się od niego mądrzejszy.

- Możemy teraz powędkować? - zapytał.

- Dobrze, ale pod warunkiem że nadziejesz robaka na haczyk.

- Jak to możliwe, że umiesz tak dobrze jeździć, a przy głupich robakach zachowujesz się jak niemądra dziewczynka?

- Brrr, one są takie oślizgłe! - Wzdrygnęłam się, wykrzywiając usta.

- Jesteś zabawna, mamó. - Dustin uśmiechnął się szeroko, po czym wsadził rękę do pojemnika z robakami, żeby zademonstrować swoje męstwo.

- Kocham cię, Dusty - powiedziałam i zmierzwiłam mu włosy.

- Ja kocham cię bardziej - oświadczył, wbijając jednocześnie na haczyk wielkiego robaka.

- Jak bardzo?

- Tak bardzo, jak bardzo daleko jest do nieba. Jeszcze dalej niż Księżyc, gwiazdy i dom E.T. - odparł, rozkładając szeroko ramiona. - Właśnie tak bardzo.

- A wiesz co?

- Co?

- Ja kocham cię jeszcze, jeszcze bardziej.

- Nie ma mowy - odparł, nie zamierzając dać się prześcignąć.

Kiedy czas, który mieliśmy dla siebie, dobiegł końca, odwiozłam Dustina do jego ojca, a gdy przejeżdżałam w drodze powrotnej przez bramę, poczułam jak zwykle ucisk w sercu. Sześć lat to wyjątkowy wiek. Tymczasem Dustin i ja byliśmy pozbawieni tego codziennego kontaktu, który większość matek ma ze swoimi dziećmi. Co jednak mogłam na to poradzić?

Po powrocie do domu zastałam w salonie Darlene w towarzystwie przyjaciela. Oboje siedzieli na podłodze, sącząc wino, a Jay stawiał jej tarota. Darlene bardzo interesowały takie parapsychologiczne historie. Jay był muzykiem i, jak na muzyka przystało, -nosił długie włosy. Były one jednak zbyt rzadkie i w rezultacie tylko odciągały uwagę od jego całkiem przystojnej twarzy. Jay dobrze prezentował się na scenie, kiedy w rytm muzyki poruszał swoim długim, smukłym ciałem, ale głos miał dość przeciętny. O sukcesie w muzycznym świecie mógł co najwyżej pomarzyć. Jay był jednak marzycielem i nigdy nie przestał terkotać o swojej karierze. Z czasem stał się w naszym domu częstym gościem i blisko się ze sobą zaprzyjaźniliśmy.

Był łagodny i troskliwy. Kiedy wpadał z wizytą, potrafiliśmy przegadać ze sobą wiele godzin. Pociągała mnie w nim jego wrażliwość - sposobem myślenia przypominał bardziej kobietę niż mężczyznę. Ponieważ był ode mnie dziesięć lat młodszy, dorastał w innym systemie przekonań niż kobiety i mężczyźni w moim wieku. Sposób, w jaki myślało młodsze pokolenie, wydawał mi się czymś odświeżającym.

Obecność Jaya w moim życiu, z jego ożywczą, młodzieńczą niewinnością, pozwoliła mi stopniowo otwierać zamknięte dotąd drzwi do mojego wewnętrznego ja. Ku własnemu zaskoczeniu, zaczęłam dzielić się z Jayem bolesnymi wydarzeniami ze swojego życia. W przeszłości zawsze starałam się ukrywać uczucia, ale dzięki sesjom terapii grupowej w Spring Creek łatwiej było mi stawiać czoła niektórym z głęboko skrywanych urazów. Jay i ja rozmawialiśmy też wiele o problemach Toni związanych z Joem. Dzieląc się z nim obawami dotyczącymi psychicznej kondycji Toni, nie czułam żadnego zakłopotania. Jego wyrozumiałość dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Stopniowo nasza przyjaźń przerodziła się w związek. Byłam tym zaskoczona nawet bardziej niż ludzie, którzy mnie znali. To było do mnie zupełnie niepodobne. Ale biorąc pod uwagę mój ówczesny stan, był to właściwy moment na taką relację.

Georgia Black nie sprzeciwiała się, bo wiedziała, że potrzebuję kogoś, kto zrozumie moje emocjonalne traumy. Poza tym z jej punktu widzenia ten związek był bezpieczny. Nie było mowy, żeby mężczyzna taki jak Jay zdołał przebić gruby mur otaczający moje serce; na dłuższą metę to się nie mogło udać. Co innego na krótko. W tamtym czasie potrzebowałam tej bliskości, która łączyła mnie z Jayem; był jednak zbyt młody i niedoświadczony, żebym myślała o jakiegokolwiek wspólnej przyszłości.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz związek jest tymczasowy. Od samego początku mieliśmy co do tego jasność. Kiedy nadszedł czas, rozstaliśmy się, pozostając przyjaciółmi. Jay nadal wpadał się przywitać albo zabrać Dustina na lody. Obaj zresztą bardzo się ze sobą zżyli. Jay jeszcze przez wiele miesięcy pozostawał obecny w moim życiu, choć teraz bardziej na jego obrzeżach.

W końcu nadszedł długo oczekiwany moment: Toni była gotowa, by opuścić Spring Creek.

- Georgia, przed chwilą rozmawiałam z Małym Johnem - poinformowała doktor Kendall. - Jego zdaniem Toni przezwyciężyła już swój problem narkotykowy, ale wciąż nie uporała się w pełni z tym, co zrobił jej Joe. Mały John ostrzegł mnie, że dopóki Toni nie rozwiąże tego problemu, prawdopodobnie będzie powtarzała niezdrowy wzór relacji z mężczyznami.

- Co to znaczy: wzór relacji?

- To sposób, w jaki Toni będzie podświadomie układała swoje przyszłe kontakty z mężczyznami na skutek traumy po przejściach z Joem. Prawdopodobnie Toni nie zdoła zbudować zdrowego związku i ciągle będzie powtarzała te same błędy. Jej sposób postrzegania mężczyzn może być wypaczony i w przyszłości może przysparzać jej poważnego psychicznego cierpienia.

- Co więc powinniśmy robić dalej, doktor Kendall?

- W ośrodku mają świadomość, jaka jest twoja sytuacja finansowa. Dlatego chcą pozwolić Toni na powrót do domu, pod warunkiem że będzie kontynuować tutaj terapię. Ze względu na narkotyki stanowczo odradzają jej powrót do liceum w Beverly Hills. Moim zdaniem, najlepsza byłaby jakaś niewielka szkoła z internatem, niedaleko od domu.

- Może szkoła w Ojai? - zaproponowałam. - Chodziła tam na letnie kursy i bardzo jej się podobało.

- Sama nie wymyśliłabym nic lepszego. Tak, to byłoby idealne rozwiązanie. Toni będzie mogła co weekend przyjeżdżać do domu, bo szkoła mieści się zaledwie godzinę drogi stąd. A poza tym jest na tyle mała, żeby można było mieć Toni na oku. W soboty mogłaby przychodzić do mnie na terapię. Mam zadzwonić do Ojai i zapytać, czy zgodzą się ją przyjąć?

- Tak - odparłam podekscytowana tym, że moja córka wraca wreszcie do domu.

Toni została przyjęta do szkoły Happy Valley w Ojai. Zaczęła nawet pomagać doktor Kendall w rozpoznawaniu problemów z narkotykami u innych dzieciaków. Byłam dumna z postępów, jakie udało jej się osiągnąć.

W czasie weekendowych wizyt Toni w domu, między nią a -Jayem coś zaiskrzyło. Zaczęli potajemnie się spotykać. Kiedy to odkryłam, byłam wściekła. Toni uznała to za przejaw zazdrości. Tak naprawdę niepokoiła mnie myśl o wzorze relacji z mężczyznami, przed którym ostrzegała mnie doktor Kendall. Ale Toni była zakochana i potrafiła patrzeć na sytuację wyłącznie z własnej perspektywy. Skupiłam swoją złość na Jayu, który nie dość, że był od Toni o dziesięć lat starszy, to zdawał sobie sprawę z jej emocjonalnych problemów. Godzinami rozmawialiśmy przecież o moich obawach związanych z tą kwestią - wyglądało jednak na to, że to wszystko nie miało dla niego znaczenia. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zachować się w taki sposób? Czy pomyliłam się w ocenie jego charakteru? Najwyraźniej tak.

Do głosu doszła Georgia Black, która werbalnie rozerwała Jaya na strzępy. Jedyny skutek był taki, że Joe poczuł się urażony, a Toni jeszcze bardziej się ode mnie odsunęła. Kilkakrotnie doszło między nami do scysji, w czasie których padło wiele jadowitych słów - a ja stałam się dla niej wrogiem. Jay zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie, doprowadzając do takiego kryzysu w moich stosunkach z Toni. Poczulałam się przez niego zdradzona, i to w najgorszy możliwy sposób. Czułam się też zdradzona przez Toni - nie mogłam nic na to poradzić, chociaż wiedziałam przecież, jaki jest stan jej umysłu. Jak się to wszystko mogło stać? Obwinałam się za to, że popełniłam głupstwo i wdałam się w związek z osobą w wieku Jaya - była to kolejna z wielu błędnych decyzji życiowych, które podjęłam.

Postanowiłam, że nie będę utrzymywać z Toni żadnych kontaktów, dopóki Jay nie zniknie z jej życia. Toni musiała wziąć moralną odpowiedzialność za swoje czyny. Gdybym nie obstawała stanowczo przy swoim, oznaczałoby to, że akceptuję jej zachowanie. Być może źle zabrałam się do rozwiązywania tej sytuacji, ale to, co się wydarzyło, wydawało mi się po prostu głęboko niewłaściwe.

Jednym z moich sposobów na ukaranie Toni było odebranie jej samochodu. Jim Harkess podrzucił mnie do Ojai swoim helikopterem. Wylądowałam niezapowiedziana na

środku szkolnego boiska piłkarskiego. Wyglądało to dość widowiskowo, ale dopięłam swego. Ostatecznie jednak na nic się to nie zdało - okazało się, że nie doceniłam siły miłości.

- Mamo, jak mogłaś zabrać mi samochód? - zaprotestowała Toni, kiedy kilka godzin później zadzwoniła do mnie z internatu.

- Jak mogłam? Skoro wbrew mojej woli zamierzasz dalej spotykać się z Jayem, to dlaczego miałabym zostawić ci samochód i ułatwiać ci te spotkania?

- To mnie nie powstrzyma. Kocham Jaya.

- No cóż, przekonamy się, jak daleko zajedziesz na tej miłości, Toni.

- Dlaczego nie pozwolisz mi być szczęśliwą? Jesteś zwyczajnie zazdrosna! - krzyknęła.

- Zazdrosna? Toni, nie widzisz, jak bardzo niewłaściwe jest to, co robisz? Nie zależy mi na Jayu! Chodzi mi o ciebie.

- Kocham go, mamo. I nadal będę się z nim spotykać - oznajmiła z przekonaniem.

- To twoja decyzja, Toni, ale popełniasz poważny błąd. Zawsze możesz znaleźć sobie innego chłopaka, ale nie znajdziesz sobie innej matki.

Tymczasem wciąż miałam Dustina, przynajmniej co drugi tydzień. Wielokrotnie tłumaczyłam Richardowi, że układ, w którym nasz syn spędza tydzień w jednym domu, a potem tydzień w drugim, nie sprawdza się. Kiedy Dustin był mały, to zdawało egzamin, ale odkąd zaczął chodzić do szkoły, nieustanne podróżowanie tam i z powrotem zaczęło go rozpraszać. Chciałam, żeby mieszkał u każdego z nas po trzy albo po sześć miesięcy, w czasie których odwiedzałby drugiego rodzica w weekendy. Richard nie wyraził na to zgody. Tak bardzo zależało mu na tym, żeby mi dopiec, że nie dostrzegał, co dzieje się z Dustinem.

W końcu zadzwoniono do nas z Buckley School i zaproszono na spotkanie.

- Dustin to bardzo inteligentne dziecko, ale odnosimy wrażenie, że nie wykorzystuje całego swojego potencjału - powiedziała pani Tabocco. - Zauważyliśmy, że jest zdezorientowany. Często nie wie, do którego autobusu powinien wsiąść i gdzie danego dnia ma jechać: do matki czy do ojca. To powoduje stres i utrudnia Dustinowi skoncentrowanie się na nauce.

Spojrzałam na Richarda, żeby sprawdzić, czy cokolwiek z tego do niego dociera. Pewnie sądził, że to ja podpuściłam nauczycielkę, żeby to powiedziała, ale mimo to słuchał uważnie.

- Czy mogliby państwo wypracować jakieś rozwiązanie, żeby Dustin mógł spędzać cały rok szkolny w jednym domu?

Teraz, kiedy szkoła potwierdziła moje obawy, Richard zgodził się na zmiany, które

przyniosłyby korzyść Dustinowi. Postanowiliśmy, że będzie mieszkał sześć miesięcy u mnie i sześć u Richarda. Zbliżał się czerwiec, a wraz z nim najbardziej pracowity dla mnie okres w samochodowym sezonie reklamowym - większość czasu spędzałam wtedy na planie filmowym w plenerze. Richard zabrał więc Dustina na pierwsze sześć miesięcy do siebie - u mnie miał spędzać weekendy.

Uzgodniliśmy, że zamienimy się w styczniu; był to dobry termin, ponieważ Dustin zaczynał wtedy nowy semestr, a ja mogłam spędzać więcej czasu w domu. Ale kiedy nadszedł styczeń, Richard nie chciał słyszeć o żadnych zamianach.

- Podoba nam się tak, jak jest. Nie zamierzam ci go oddawać - oświadczył swoim pełnym wyższości głosem. - Jeśli chcesz, podaj mnie do sądu.

Wiedział o moich problemach finansowych i zapewne nie sądził, że się na to zdecyduję. Ja jednak już następnego dnia rano poszłam do prawnika. Koszmar, jaki z tego wyniknął, zatruwał moje życie przez następne półtora roku.

Rozdział siedemnasty

Richard, który przeszedł na wcześniejszą emeryturę i nudził się śmiertelnie, miał teraz nową rozrywkę. Zapragnął za wszelką cenę wygrać sądową batalię. Posunął się nawet do tego, że poślubił poznaną we Francji zaledwie sześć dni wcześniej dziewczynę, byle tylko wypaść przed sądem na lepszego rodzica. Jego nowa żona nie mówiła nawet po angielsku. Po procesie zapłacił jej trzydzieści tysięcy dolarów i odesłał z powrotem do Francji. Biedna dziewczyna nie miała pojęcia, co się właściwie dzieje. Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że Richard wypaczył młody umysł Dustina i nastawił go przeciwko mnie - zrobił to tylko po to, żeby osiągnąć swój ostateczny cel: zwycięstwo. Jego motywy doprowadzały mnie do wściekłości.

Richard nie cofał się przed niczym. Podsycił niesnaski pomiędzy mną a moją córką i wykorzystał nasze napięte stosunki do własnych celów. Zaaprobował związek Toni i Jaya i przekonał ich, że stoi po ich stronie - u niego mogli liczyć na schronienie i nie musieli czuć się winni. Zabierał ich na wycieczki i kupował im prezenty. Był ekspertem w manipulowaniu ludźmi i wykorzystywaniu ich do swoich nieczystych zagrywek. Przekazał hojne darowizny na rzecz szkoły Dustina i obsypywał podarunkami dyrekcję.

Ogarniała mnie rozpacz na widok tego, jak Richard odciąga ode mnie syna. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej samotna. Richard dobrze się spisał, sącząc truciznę do wrażliwego umysłu Dustina. Kiedy pewnego razu po niego przyjechałam, wyglądał tak, jakby bał się ucieszyć na mój widok.

- Co się dzieje, Dusty? Nie kochasz już mamusi? - zapytałam.

Spojrzał przez okno samochodu i czekał, dopóki nie stracił z oczu domu swojego ojca.

- Kocham cię, mamusiu - powiedział i objął ramionami moją szyję. Przyłgnął do mnie najbliżej, jak tylko mógł, i oparł o mnie głowę. Po chwili jednak poderwał ją nagle i spojrzał na mnie. - Tylko nie mów tatusiowi, że cię pocałowałem... Będzie wściekły.

Poczułam, jak kraje mi się serce.

- Nie ma nic złego w tym, że kochasz swoją mamę, Dusty.

- Ale nie mów mu, nic mu nie mów - prosił.

- W porządku, nie powiem... ale czemu tak się boisz?

- Bo tak.

- Bo co?

- Bo tata nie kupi mi zdalnie sterowanej ciężarówki.

- To niezbyt dobry powód, żeby udawać, że nie kocha się własnej mamy.

- Wiem, ale jemu się nie podoba, kiedy cię Kocham. Ciągłe powtarza o tobie złe rzeczy. Kiedy mówię mu, że kłamie, wścieka się i niczego mi nie kupuje.

- Nigdy nie powinieneś tak udawać, Dusty.

- Czasami nie udaję.

- Co masz na myśli? - Poczulałam w sercu kolejne bolesne -ukłucie.

- Dlaczego zawsze zabierasz mnie do siebie w weekendy? Wtedy tata robi różne fajne rzeczy, a mnie nigdy nie ma.

- Twój tata nie powinien robić planów na czas naszych wspólnych weekendów. Robi to specjalnie, Dusty, żebyś nie chciał do mnie przyjeżdżać. A przecież u mnie w domu też się dobrze bawimy, prawda?

- Tak, ale u ciebie nie ma tylu fajnych zabawek co u taty.

Kiedy przyjechaliśmy do mnie, zadzwonił jak zwykle Richard, niestrudzenie nastawiając Dustina przeciw mnie.

- Daj do telefonu mojego syna - zażądał.

Podalam słuchawkę Dustinowi, a sama poszłam do sypialni i podniosłam słuchawkę drugiego aparatu. Usłyszałam głos Richarda:

- Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

- Hej, Dustin, mówi Patrick. Właśnie przyjechałem do was z tatą. Pojedziesz jutro z nami popływać łódką?

- Nie, muszę zostać u mamy - odparł smętnie Dustin.

- Dobra, daję ci twojego tatę...

- Dust, nie masz nic przeciwko, żeby Patrick i jego kolega pobawili się twoim Nintendo? Bardzo żałują, że cię tu nie ma. Bez ciebie to żadna zabawa; ale za to jutro wszyscy będziemy się świetnie bawili. Gdybyś nie musiał zostać u swojej matki, mógłbyś z nami jechać.

- Ja chcę jechać - jęknął Dustin.

- Gdyby to tylko było możliwe... No, muszę lecieć. Chłopcy czekają, żeby podłączyć im Nintendo.

Po tej rozmowie Dustin dostał napadu złości. Dokładnie to chciał osiągnąć jego ojciec. Przeklęty Richard! Robił to przez cały czas i za każdym razem Dustin czuł do mnie coraz większą urazę. Jak można bawić się w tak okrutny sposób umysłem małego dziec-ka - a to wszystko w imię wygranej. W końcu zdobyłam sądowe postanowienie zakazujące Richardowi telefonowania do mojego domu w czasie, kiedy przebywał w nim Dustin.

Na swoje urodziny Dustin zażyczył sobie gokarta, którego wystawiła na sprzedaż jedna z moich znajomych. Zgodziłam się na ustaloną przez nią cenę pięćdziesięciu dolarów. Richard jednak dowiedział się o moich planach i kiedy przyjechałam odebrać gokarta, już go nie było. Richard dotarł tam przede mną i kupił go za sto dolarów. Nie chciał, żebym miała u siebie cokolwiek, co mogłoby stanowić pokusę dla Dustina. Najsmutniejsze było to, że u Richarda nie było nawet gdzie pojeździć tym gokartem. Dom stał na wzgórzu i Dustin mógł jeździć wyłącznie po podjeździe.

Wiedzieliśmy, że na pewnym etapie procesu nasz syn będzie musiał porozmawiać z sędzią i powiedzieć, z kim wolałby mieszkać. Richard przez cały rok urabiał podatny na manipulację umysł dziecka. Na niezliczone sposoby skutecznie podsycił w Dustinie pretensje do mnie.

Richard twierdził, że najpierw sama dobrowolnie zrzekłam się opieki nad Dustinem, a następnie sześć miesięcy później zmieniłam zdanie. Kiedy poszłam do szkoły syna i poprosiłam, żeby pomogli ustalić, co naprawdę się wtedy stało, odwrócili się plecami i oświadczyli, że nie chcą się angażować. Rzecz jasna, zaangażowanie oznaczałoby utratę dochodów.

Całe to zamieszanie rozgrywało się akurat wtedy, kiedy rozkręcałam swoją firmę. Byłam bardziej zapracowana niż kiedykolwiek wcześniej. Odpowiadałam za szesnastu kierowców, ich szkolenie, a także przygotowanie pakietów informacyjnych dla prasy, które miały pomóc w zapewnianiu nam wszystkim pracy. Wszystko wymagało mojego czasu: wlokące się nieskończoność rozmowy telefoniczne, kolacje z klientami i rozwiązywanie coraz to nowych problemów. W tamtym czasie częściej sypiałam w samolocie niż we własnym łóżku. W przerwach między pracą na planie latałam do Detroit, Chicago i Nowego Jorku, żeby promować usługi mojej firmy. Biznes kwitł, ale pieniądze wracały z powrotem do firmy na pokrycie kosztów promocji i reklamy. Jeśli dodało się do tego niebotyczne koszty związane z utrzymaniem domu oraz wydatki na prawników, nie zostawało mi już nic.

Na skutek moich gorliwych zabiegów do listy naszych klientów dołączył Oldsmobile, co oznaczało udział przy kręceniu wielu reklam i pracę dla całego naszego zespołu. W pierwszym z całej serii spotów dublowałam Priscillę Presley, grając u boku jej córki Lisy. W wypadku tej kampanii ludzie z Oldsmobile'a postanowili pójść na całość i nie liczyli się z kosztami. Wynajęli nawet odrzutowiec Learjet, żeby przetransportować aktorów na plan zdjęciowy w Waszyngtonie. Byłam przyzwyczajona do podróżowania pierwszą klasą, ale to było coś więcej.

Priscilla okazała się strasznie upierdliwa i stwierdziła, że poleci wyłącznie

gulfstreamem. Producenci niechętnie spełnili jej żądanie. Kiedy Priscilla dostała palec, postanowiła powalczyć o całą rękę i zażyczyła sobie samochodu: najwyższego modelu, takiego samego, jaki otrzymała wcześniej Lisa Marie. Ludzie z agencji reklamowej postanowili wytyczyć granicę. Priscilla dostała samochód, ale był to model o klasę niższy od tego, którym jeździła jej córka. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego gwiazdy muszą zachowywać się w taki sposób; jeszcze bardziej nurtuje mnie jednak, dlaczego godzą się na to ludzie, którzy za to wszystko płacą. Tak czy owak, taka ucieczka od mojego prywatnego życia okazała się odświeżającym doświadczeniem.

Na planie nie miałam zbyt wiele do czynienia z Priscillą. Pracowałam przede wszystkim w samochodzie razem z jej córką. Wjeżdżałyśmy raz po raz w morskie fale, a helikopter filmował nas z bliskiej odległości, unosząc się to z przodu, to z tyłu, to znowu nad naszymi głowami. Jazda po plaży potrafi być skomplikowana. Bycie tam, gdzie oczekiwała tego ekipa z helikoptera, a jednocześnie koncentrowanie się na tym, by samochodem nie pochłonęły fale, było dla mnie prawdziwym sprawdzianem umiejętności. Fale przyboju, zdradliwe i nieprzewidywalne, wielokrotnie zmuszały mnie do nagłych zmian kierunku jazdy. Wykonując te gwałtowne manewry, musiałam nieustannie uważać na helikopter, który dzieliło od samochodu kilkadziesiąt centymetrów. Lisa początkowo była zdenerwowana, ale po pierwszym dniu odprężyła się i zaczęła nawet nieźle się bawić.

Kiedy zdjęcia się skończyły, ponownie skupiłam się na obmyśleniu strategii, która pozwoliłaby na trwale uczynić mojego syna częścią mojego codziennego życia.

Minęło szesnaście miesięcy, zanim sprawa o opiekę nad Dustinem trafiła na wokandę. Był to jeden z najboleśniejzych okresów w moim życiu. Na każdym kroku natrafiałam na ścianę - Richard ze swoim portfelem wszędzie docierał pierwszy. Dustin z każdym kolejnym dniem był odpychany coraz dalej i dalej ode mnie. Jediną bronią, jaka mi została, była moja miłość do niego.

Po ukończeniu liceum Toni zamieszkała razem z Jayem. Nie odzywałyśmy się do siebie, ale Dustin powiedział mi, że ciągle widuje ją oraz Jaya w domu swojego ojca. Richardowi udało się ukraść mi oboje dzieci. Chociaż miałam złamane serce, to wkładałam oficjalną maskę i mechanicznie jak robot wykonywałam swoje obowiązki.

Wreszcie wyznaczono datę pierwszej rozprawy. Oczywiście pod warunkiem że Richard nie złoży wniosku o kolejne odroczenie procesu. Straciłam już mnóstwo pieniędzy, odrzucając oferty pracy w przekonaniu, że kolejne daty rozpoczęcia procesu okażą się wiążące.

Zanim proces się rozpoczął, odebrałam telefon z przeszłości.

- Cześć, Georgia. Poznajesz mnie?

- Salvatore Reale! Co słyhać?

- Świetnie. Jak tam interesy? - zapytał Sal.

- Całkiem nieźle.

- To dobrze. Zawsze wiedziałem, że to będzie twoja przepustka do wielkiej kariery.

Całkiem dobrze radzisz sobie za kółkiem. Jak na kobietę - dodał ze śmiechem.

- Widzę, że wciąż jesteś męskim szowinistą, Sal.

- Właśnie, że nie. Dzwonię, bo muszę skorzystać z twojego doświadczenia za kierownicą.

- Och? - wydusiłam z siebie i natychmiast pożałowałam, że podniosłam słuchawkę, zamiast zdać się na automatyczną sekretarkę.

- Chcę, żebyś przewiozła coś dla mnie z Vegas do Nowego Jorku. Do zarobienia jest pięćdziesiąt kawałków.

- Reale, przestałam wozić trupy już w latach sześćdziesiątych.

Roześmiał się.

- Nie, to nic w tym rodzaju.

- Co innego mogłoby być warte pięćdziesięciu tysięcy?

- Wysyłam ci bilet. Spotkamy się w Vegas w przyszły wtorek. Nazwę hotelu dostaniesz z biletem. Wiesz, pod jakim nazwiskiem się zamelduję.

- Sal, w przyszły wtorek mam pracę i...

- Ale nie taką, za którą płacą ci pięćdziesiąt kawałków. Bądź tam.

Rozłączył się.

Bilet dostałam już następnego dnia. Musiałam tam polecieć. Rozwiązywanie tej sprawy przez telefon nie wchodziło w grę. Pięćdziesiąt tysięcy pomogłoby mi opłacić adwokata, z drugiej strony nie warto było ryzykować utraty syna. Pozostaje tylko pytanie, jak mam przekonać Sala.

Dotarłam na miejsce spotkania i zapukałam do drzwi. Dobiegły zza nich odgłosy szurania, po czym czyjś szorstki głos zapytał:

- Kto tam?

- To ja, Georgia.

Drzwi uchyliły się lekko, na tyle, by Jerry Pitzitello zdołał wysunąć głowę i rozejrzeć się po hotelowym korytarzu. Był jednym z moich strach znajomych z czasów, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku. Był nieogolony, a pod oczami miał ciemne sińce. Otworzył drzwi nieco szerzej, żebym mogła wcisnąć się do środka.

Jerry był uzbrojony w uzi i ubrany w ciuchy, które wyglądały, jakby w nich spał.

- Te dziesięć lat ani trochę ci nie zaszkodziło - powiedział. - Cholernie dobrze wyglądasz.

- A ty wyglądasz jak gówno.

- Dzięki - odparł, a sądząc po tonie jego głosu, nie poczuł się ani trochę urażony.

- Jezu, Jerry, czego ty tutaj pilnujesz? Fort Knox?

- Sal jest w pokoju obok, czeka na ciebie.

Kiedy Jerry otworzył drzwi do drugiego pokoju, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Oni naprawdę pilnowali Fort Knox. Na dwóch podwójnych łóżkach leżały wysokie prawie na metr sterty gotówki, w sumie cztery i pół miliona dolarów. Studolarowe banknoty były spięte gumką w pliki po dziesięć tysięcy dolarów każdy.

Sal stał obok łóżka, jak zwykle nieskazitelnie ubrany i najwyraźniej ubawiony moją miną.

- Skąd się tu wzięła ta cała forsa? - wyrwało mi się, chociaż wiedziałam, że to głupie pytanie.

Sal podejrzliwie uniósł brwi i nie udzielił odpowiedzi.

- Wynajęliśmy ci samochód - powiedział tylko. - Jutro...

- Zaczekaj chwilę, Sal - przerwałam. - Najpierw mi powiedz, o co chodzi z tą forszą.

- Jest czysta. Nie musisz wiedzieć nic poza tym.

- Jak bardzo może być czysta, skoro płacicie mi pięćdziesiąt tysięcy za jej przewiezienie? Daj spokój, Sal.

- No dobra, pieniądze są moje. Chcę, żebyś je dla mnie przewiozła, bo sam nie mogę ryzykować, że mnie z nimi przyłapią. Mam na myśli skarbówkę. Wiesz, o co chodzi.

- Tak, ale gdzie jest ryzyko, Sal? Za pięćdziesiąt patyków musi być jakieś ryzyko.

- Możesz mieć problem z przejechaniem przez punkty kontrolne na granicy z Teksasem. Ale z twarzą taką jak twoja kto by coś podejrzewał? Zresztą zrobiliśmy już rozpoznanie. O północy przychodzi nowa zmiana. Strażnicy są wtedy zajęci, jedni przychodzą, inni zbierają się do wyjścia. Przepuszczają wszystkie wozy jak leci. Musisz tylko pojawić się tam dokładnie o tej porze. Ale gdybyś napotkała jakieś problemy... wtedy przydadzą się twoje umiejętności za kierownicą. Sama widzisz, że tu nie chodzi o jakieś drobne na waciki. Ufamy ci.

Sal nie był typowym gangsterem. W 1978 wybrano go na Człowieka Roku Hrabstwa Queens, pełnił także funkcję szefa sztabu wyborczego Geraldine Ferraro, kiedy ubiegała się o fotel wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. W jego kieszeni siedziało wielu nowojorskich

polityków, od biura gubernatora w dół. Miał nosa do interesów i przez wiele lat mądrze inwestował zdobywane pieniądze. Nie było wykluczone, że ta forsa naprawdę należała do niego, ale podskórnie czułam, że kryje się za tym coś więcej, niż mi powiedział. To fakt, że im mniej wiedziałam, tym dla mnie lepiej - ale to już nie były stare czasy. Teraz byłam mądrzejsza.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Sal. Ale ta historia niesie ze sobą ryzyko, a ja nie mogę go teraz podejmować.

Twarz Sala stężała, a mnie na ten widok przebiegł dreszcz po kręgosłupie. Sal potrafił być śmiertelnie niebezpieczny, kiedy ktoś próbował mu się sprzeciwić. W przeszłości popełniłam błąd, kilkakrotnie prosząc go o różne przysługi. W wypadku kogoś takiego jak Sal nie było to rozsądne. Teraz on przyszedł do mnie i oczekiwał, że spłacę dług wdzięczności.

Dopóki mogłam, ciągnęłam:

- To naprawdę najgorszy możliwy moment. Niedługo zaczyna się proces o opiekę nad moim synem. Jeśli coś poszłoby nie tak, drogo bym za to zapłaciła. Chociaż ta forsa naprawdę by mi się przydała, to żadne pieniądze nie są warte utraty syna. Przepraszam, Salvatore, ale po prostu nie mogę tak ryzykować.

- Ten problem można akurat łatwo wyeliminować. Powinno się rąbnąć tego pieprzonego arabskiego brudasasa...

Wzdrygnęłam się. Pod tą powierzchownością gentlemana krył się bezwzględny zabójca.

- Tak, no cóż... Nienawidzę tego faceta bardziej niż ktokolwiek inny, ale mimo wszystko jest ojcem mojego dziecka.

Sal zaczął krążyć nerwowo po pokoju, mamrocząc pod nosem włoskie przekleństwa.

- Co się z tobą stało? Hollywood aż tak cię zmiękczyło?

- Daj spokój, Sal. Jezu, tylko tego teraz mi potrzeba: trochę spokoju.

- Naprawdę nie jestem zadowolony, Georgia... - Sal namyślał się przez chwilę. - Ech, cholera. W porządku, dam ci ten twój święty spokój. Ale lepiej pamiętaj: wciąż wisisz mi przysługę.

Odetchnęłam z ulgą i kilka godzin później poleciałam z powrotem do L.A. Następnej nocy z głębokiego snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Świecące na zielono cyfry na budziku pokazywały godzinę drugą trzydzieści trzy.

Odszukałam po omacku słuchawkę i wymamrotałam sennie:

- Halo...

- Georgia... Mam poważny problem - oznajmił Sal. Jego głos brzmiał tak, jakby

właśnie ukończył bieg na dziesięć kilometrów.

- O cholera... - Usiadłam na łóżku i zapaliłam światło. - Co się stało?

- Złapali nas na posterunku Sierra Blanca niedaleko El Paso.

- O mój Boże.

- Tak. Przyjechaliśmy za wcześnie i do północnej zmiany zostało nam jeszcze trochę czasu. Zatrzymaliśmy się więc na kawę jakieś dwadzieścia minut drogi od posterunku - wyjaśniał, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Kiedy wjechaliśmy z powrotem na autostradę, uchyliłem lekko okno, żeby wypuścić dym z papierosów. Usłyszałem helikopter, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Podjechaliśmy do posterunku. Przed naszym wozem stanął strażnik. Wokół było kompletnie ciemno, ale nasze światła oświetlały dość dobrze twarz tego gościa. Popatrzył na naszą rejestrację, a potem powoli podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy. I od razu wiedziałem, że już po nas. Żołądek podjechał mi do gardła.

- O Boże, wyobrażam sobie, co musiałeś czuć.

- Nie, nie wyobrażasz sobie. Pomyślałem, czy by nie rozjechać tego gościa, ale wtedy jak spod ziemi wyrosli oni. Dziesięciu agentów DEA i celników, każdy ze strzelbą, w kuloodpornej kamizelce. Znali nasze nazwiska. Jak sądzisz, Georgia, skąd to wiedzieli? - zapytał podejrzliwym tonem.

Czy ja wciąż śnię? Czy on powiedział to, co mi się wydaje? Moje serce zaczęło bić jak oszalałe.

- Co ty mówisz, Sal? Myślisz, że to ja was zakapowałam?

- Mam nadzieję, że nie, dla twojego dobra. Poza mną, Jerrym i tobą o wszystkim wiedziały tylko trzy osoby. Ufam ci, ale w tej chwili jesteś na liście podejrzanych. Mam nadzieję, że J.G. z nikim o tym nie rozmawiał. Może to sprawa podsłuchów w telefonach, sam nie wiem. Nie mogę na razie skontaktować się z kim trzeba, więc dopóki ta sprawa się nie wyjaśni, lepiej bądź ostrożna.

- Gdzie teraz jesteś, Sal?

- Na stacji benzynowej, jakieś trzydzieści kilometrów od posterunku.

- A gdzie są pieniądze?

- Trzymają je w drewnianej budzie na posterunku. Facet, John Hopkins, jakaś szycha z DEA, dał mi swoją wizytówkę i kazał zadzwonić za kilka dni. Powiedział, że potrzebują czasu, żeby tę forszę przeliczyć. Ha! Będą tam siedzieć przez pieprzony tydzień. Mamy szczęście, że nas nie zgarnęli.

- Sal, to się nie trzyma kupy. Nie zamknęli cię. Puścili cię wolno. Gdzie tu przestępstwo? Zaczynam się bać, Sal. Mam przeczucie, że jeśli pojedziesz dalej tą szosą, to

piętnaście kilometrów natkniesz się na blokadę. I wiesz co? Nie pozwolą ci wyjść z tego żywym. Powiedzą, że próbowałeś uciekać. Zostawiłeś tam cztery i pół miliona. Myślisz, że teraz, kiedy oni położyli już na nich łapy, zobaczysz jeszcze tę forszę? Nie wiem, co sobie myślałeś, ale teraz lepiej bierz dupę w troki i wracaj na tamten posterunek, pronto!

W słuchawce zapadła martwa cisza. Wreszcie Sal powiedział:

- Jezu Chryste, jak na kobitkę to jesteś całkiem niegłupia. Chyba masz rację. Zadzwoń jeszcze.

Gwałtownie odwiesił słuchawkę.

Poczułam wzbierającą we mnie mieszankę różnych emocji. Czułam ulgę, że udało mi się wykręcić od tamtej roboty. Byłam także pełna obaw o Sala i Jerry'ego, a także śmiertelnie przerażona tym, że mogę nie mieć szansy udowodnić swojej niewinności. Miałam ochotę wziąć nogi za pas, ale gdybym teraz uciekła, sprawiałabym wrażenie winnej. Wytarłam rewolwer z kurzu i schowałam go pod poduszkę. Jak mogłam myśleć, że tamten rozdział mojego życia kiedykolwiek się zakończy?

Następnego dnia złożyli mi wizytę niezapowiedziani goście. Dzięki Bogu, byli to ci dobrzy. Do moich frontowych drzwi zbliżało się trzech agentów: z FBI, z urzędu celnego i z urzędu skarbowego - wszyscy mieli na sobie garnitury z JCPenney za trzydzieści dziewięć dolarów i mokasyny, które wyglądały tak, jakby już niejedną raz wymieniano w nich zelówki. Wszyscy trzej wyglądali na steranych weteranów.

Teraz znałam już swoje prawa. Nie miałam obowiązku z nimi rozmawiać. Ale agenci odrobili zadanie domowe i przyszli przygotowani. Już na wstępie nawiązali do czekającego mnie procesu o opiekę nad dzieckiem. Zagrozili, że jeśli nie zgodzę się z nimi porozmawiać, to nie tylko powiadomią sędziego o tym, że byłam zamieszana w sprawę przechwyconych pieniędzy, ale na dodatek podadzą tę informację do wiadomości publicznej. Jeśli jednak będę współpracowała, to nikt się o niczym nie dowie. Nie miałam nic do ukrycia, a poza tym naprawdę nie wiedziałam, skąd pochodziła tamta forsa. Wpuściłam ich do środka.

Agent skarbówki klapnął na moją sofę i siedzisko zapadło się pod nim o dobre dziesięć centymetrów. Błady jak kreda agent FBI usiadł obok mnie przy stole i położył na nim fotografię.

- Wygląda znajomo? - zapytał i odczekał, aż przyjrzę się fotografii. Góra forsy nawet na zdjęciu przedstawiała cudowny widok. - Co może nam pani powiedzieć o tych pieniądzach?

- Nic nie mogę wam powiedzieć. Wiem mniej więcej tyle co wy. Czyli nic.

- Wiemy, że za przewiezienie tych pieniędzy zaproponowano pani pięćdziesiąt

tysięcy. Mamy to na taśmie. Chcemy wiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą i dlaczego nie zgodziła się pani tego zrobić, co, nawiasem mówiąc, było rozsądną decyzją. Mieliśmy nadajnik w samochodzie pana Realego. Śledziliśmy go, odkąd wraz z Pitzitello opuścili Nowy Jork.

- Nie zrobiłam tego, bo nie chciałam - odparłam beznamiętnym tonem.

Agent FBI postanowił w pojedynkę odegrać rolę dobrego oraz złego gliniarza.

- Wiesz dobrze, że to lewa forsa z Vegas dla Johna Gottiego i rodziny Gambino! A my dobrze wiemy, że od końca lat sześćdziesiątych miałaś powiązania z tą rodziną. Więc nie próbuj wciskać nam kitu.

- To ich tygodniowy czy miesięczny zysk? - indagował agent urzędu skarbowego.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- A może to zaginiona forsa ze skoku na biuro Lufthansy? Twój przyjaciel Salvatore zakładał w tym czasie związki zawodowe na lotnisku JFK. Pamiętasz, prawda?

Pytania, które zadawał, upewniły mnie, że agenci mają do ułożenia więcej fragmentów układanki, niż zamierzali wyjawić.

- Tamtych pieniędzy nigdy nie odzyskano - dodał agent urzędu celnego.

Zaczęłam się już zastanawiać, czy w ogóle potrafi mówić. Do tej pory przez cały czas milczał i tylko przyglądał mi się wyrobionym okiem, studiując mój język ciała. Działał mi na nerwy.

Podeszłam do lodówki i wyjęłam puszkę gazowanego napoju.

- Wiecie co? - powiedziałam, poirytowana faktem, że zostałam wciągnięta w ten bajzel. - Skoro wciąż macie mnie na oku, to powinniście wiedzieć, czym się zajmowałam przez ostatnie dziesięć lat. A jeśli naprawdę chcecie poznać odpowiedzi, to spróbujcie przeprowadzić śledztwo w swoich własnych agencjach. Chciałabym, żebyście wszyscy dali mi spokój i pozwolili zająć się moim życiem.

- No cóż, sprawdźmy... W 1985 zrobiliśmy ci zdjęcia w Sparks Steak House na Czterdziestej Szóstej Wschodniej, byłaś tam w towarzystwie Johna Gottiego i dwóch innych kapitanów rodziny Gambino. To w tamtym tygodniu mafiosi urządzili sobie zabawę w "gorące krzesła" i zastrzelili „pianistę”, Paula Castalano. Jeszcze wcześniej namierzaliśmy cię w trakcie niesławnego czternastogodzinnego lunchu w restauracji Altadonna na Queensie. Wciąż piszą o tym w "New York Timesie". Twoja obecność w tym światku długo była dla nas tajemnicą. Może i nie pojawiaasz się tam specjalnie często, ale kiedy już się zjawiasz, zawsze dzieje się coś poważnego.

Dobrze pamiętałam tamten wieczór. Umówiłam się z Salem, z którym miałam się wybrać do nocnego klubu. Kiedy przyjechałam do Altadonny około drugiej nad ranem, zauważyłam, że po przeciwnej stronie ulicy stoi niebieska furgonetka z włączonym silnikiem. Kiedy powiedziałam o tym Salowi, spotkanie, w którym uczestniczył, natychmiast się zakończyło.

Tej nocy, kiedy zamordowano Paula Castalano, byłam z Salem w barze na Manhattanie. W telewizji leciał akurat program informacyjny, w którym podano wiadomość o śmierci Castalano. Sal z szerokim uśmiechem słuchał relacji dziennikarza. Wcześniej zachowywał się trochę nerwowo i nalegał, żebym spędziła w jego towarzystwie cały dzień. Teraz zrozumiałam dlaczego. Wiedział, co się wydarzy, i potrzebował alibi. Poprosił, żebym wyjechała z nim na farmę w Vermont - było to miejsce, w którym członkowie mafii często szukali schronienia po szeroko nagłośnionych morderstwach. Odmówiłam. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Leżąca na pustkowiu farma, w sumie trzydzieści pięć hektarów ziemi, była własnością pewnego porucznika nowojorskiej policji. Był on odpowiedzialny za zapewnienie mafii bezpiecznej przystani. Współpracował w tym zakresie z niejakim Donnelleyem, szeryfem z małego miasteczka w Vermont. Będący na mafijnej liście płac Donnelley ostrzegał gangsterów za każdym razem, kiedy w okolicy zaczynali węszyć federalni. To był interesujący tydzień.

Zignorowałam sarkazm agenta i rozsiadłam się w wielkim skórzanym fotelu obok kominka.

- Moja obecność na tych spotkaniach miała absolutnie niewinny charakter - oznajmiłam niewzruszona.

- Ależ oczywiście. A o czym taki gość jak Salvatore Reale rozmawiał przez czternaście godzin z komisarzem Sedowskim z komisji wyborczej, Petem Presioso, szefem wywiadu, Johnem Santuccim, prokuratorem okręgowym z Queensu, i porucznikiem Doyle'em ze 116. komisariatu?

- Skoro nie zdołały tego ustalić trzy ławy przysięgłych, to dlaczego sądzicie, że ja znam odpowiedź?

W rzeczywistości dobrze ją znałam. Ta informacja nigdy nie została upubliczniona, ale celem tamtego spotkania było wykorzystanie wpływów mafii do tego, by Pete Presioso został wybrany na nowego komisarza policji.

Siedzący na sofie agent FBI odchylił się do tyłu i przeczesał dłonią swoje krótko przystrzyżone rudawe włosy.

- Wciąż nas to zastanawia. W ciągu tego spotkania wykonano tylko dwa telefony. Po

co dzwonił do Tipa O'Neill w Waszyngtonie i na domowy numer burmistrza Kocha? - Agent wydawał się pytać o to bardziej siebie niż mnie.

Z trudem powstrzymałam się od uśmiechu.

- Nie mam zielonego pojęcia - stwierdziłam. Otworzyłam puszkę i pociągnęłam z niej duży łyk.

- Jesteśmy pewni, że wiesz więcej, niż nam mówisz. Jeśli zależy ci na wygraniu sprawy o opiekę nad dzieckiem, to lepiej zacznij gadać.

- Co jest takiego niezwykłego w tym, że Sal spotkał się z kilkoma politykami? Przecież ten facet został wybrany na delegata z trzydziestego ósmego okręgu wyborczego na krajową konwencję wyborczą Nixona, na miłość boską! - odparowałam.

- Tak, wiemy o tym. Tak samo jak o tym, że pod przywództwem Realego tamten okręg stał się największym siedliskiem korupcji w historii. Może nawet na większą skalę niż Tammany Hall pod rządami Carmine'a DeSapio.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Twój przyjaciel Salvatore to całkiem barwna postać, prawdziwy gentleman. A teraz opowiedz nam o tych pieniądzach - naciskał.

Maglowali mnie tak jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie agent FBI wstał i szykując się do wyjścia, posłał mi pełen dezaprobaty uśmiech. Poszłam przodem i otworzyłam im drzwi. Wszyscy trzej wyszli na zewnątrz.

- Będziemy w kontakcie...

Przez kolejny tydzień nie miałam żadnych wieści od Sala. Cała historia wyciekła do telewizji i prasy, więc przynajmniej wiedziałam, że on i Jerry żyją. Jeden z nagłówków głosił: „Kumpel Gottiego, Sal, zatrzymany z 3,8 miliona dolarów”. 3,8 miliona? Pomyłka? Nie wydaje mi się. Boże, jak niewiele brakowało, by w tych nagłówkach pojawiło się moje nazwisko. Sal opowiedział mi z szokującymi szczegółami, co się wówczas wydarzyło. Dla mnie może i nie było to aż tak szokujące - w końcu miałam już do czynienia ze skorumpowanymi ludźmi władzy - ale skala tej korupcji była naprawdę niesamowita...

Kiedy Sal i Jerry weszli do budki strażników, zastali tam tylko siedmiu z dziesięciu mężczyzn, który wcześniej ich zatrzymali. Agenci, wciąż zajęci liczeniem pieniędzy, byli bardzo zdziwieni powrotem dwóch gangsterów. Zapadła niezręczna cisza, a agenci zerkali na siebie nawzajem z niepokojem.

Starannie ułożone pieniądze leżały na dwóch długich na ponad dwa metry stołach. Na jednym z nich widoczna była jednak pusta przestrzeń o wymiarach mniej więcej metr na metr - znak, że miało tu miejsce jakieś nieczyste zagranie. Sal obrzucił pieniądze niedbałym

spojrzeniem i wykonał w pamięci kilka szybkich obliczeń. Dziesięć pakietów na stosik, po sto tysięcy na rząd... wychodziło na to, że oprócz trzech agentów w pomieszczeniu brakowało także siedmiuset tysięcy dolarów. W oczach federalnych Sal dostrzegł chciwość i zrozumiał, że jeśli ich oskarży, on i Jerry pożegnają się z życiem. Postanowił, że pozwoli im zatrzymać tamte siedemset tysięcy, i wyszedł z budki. Ale to wszystko nie było takie proste.

Następnego dnia o świcie agenci i funkcjonariusze straży granicznej ciągle przeliczali forszę. To była długa, wyczerpująca noc. Sal zaczynał wyglądać nieco nieświeżo, a wygląd Jerry'ego nie uległ zmianie. Obaj siedzieli na ławeczce przed budką strażniczą i wypalali piątą już paczkę papierosów. Nagle usłyszeli z oddali warkot zbliżających się helikopterów. Dźwięk stopniowo narastał, aż w końcu dostrzegli na niebie trzy maszyny, lecące w równym szyku. Blżej. Fale gorąca nad rozgrzaną pustynną drogą tworzyły surrealistyczne mirażę, a sylwetki nadlatujących śmigłowców nabierały ostrości. Blżej.

Wojskowe helikoptery zataczały w powietrzu kręgi, szykując się do lądowania. Sal i Jerry poczuli, jak skacze im adrenalina. Maszyny usiadły na ziemi, wzbijając tuman pyłu, przed którym nie było ucieczki. Sal powiedział mi, że przeszła mu wtedy przez głowę dziwna myśl: czy w pralni chemicznej uda się usunąć ten pył z jego jedwabnej koszuli za czterysta dolarów? Znałam Sala i w jego wypadku ta myśl wcale nie wydała mi się taka dziwna.

Wirniki wciąż jeszcze się obracały, kiedy przesuwane drzwi helikopterów otworzyły się i wyskoczyli z nich mężczyźni w czarnych jednoczęściowych kombinezonach, uzbrojeni w broń maszynową. Dopiero kiedy opadł kurz, Sal i Jerry byli w stanie oszacować ich liczbę. W sumie była to mała armia: około czterdziestu ludzi, którzy przybyli na miejsce helikopterami, samochodami służb federalnych i radiowozami policji stanowej.

Nocą przylecieli prywatnym odrzutowcem z Nowego Jorku John Gleason i George Stamboulitis z tamtejszej Jednostki do spraw Zwalczenia Przeszłości Zorganizowanej. Zjawił się także prokurator federalny, który przyjechał z Teksasu samochodem na sygnale. Z Waszyngtonu przybył siwowłosy mężczyzna o okrągłej twarzy, czyli agent FBI Reynolds, a także sam komendant straży granicznej.

Między tymi wszystkimi oficjelami nie było bynajmniej poczucia koleżeństwa. Każdy podążał własną ścieżką do sławy. Uśmiechnięci dumnie, pozowali kolejno do zdjęć obok stołów pełnych pieniędzy. Nie minęło wiele czasu i wybuchły między nimi kłótnie o to, komu przypadnie ta forsa. FBI twierdziło, że to oni zapoczątkowali śledztwo. Przedstawiciele urzędu celnego argumentowali, że pieniądze skonfiskowano na ich posterunku do wyłapywania nielegalnych imigrantów. Agenci DEA zamierzali udowodnić, że pieniądze pochodzą z handlu narkotykami i dlatego powinny przapaść właśnie im.

Kiedy urzędnicy byli zajęci swoimi sporami, nadjechał jeszcze jeden samochód. Wysiadło z niego czterech mężczyzn w garniturach. Jeden z nich, trzymający w dłoni białą kartkę papieru, podszedł do pieniędzy i z rozmachem umieścił na nich kartkę, po czym oznajmił: „To sprawa urzędu skarbowego”. Okazało się, że facet jest szefem departamentu informacji skarbowki. Sal zauważył, że na twarzach pozostałych odmalowało się identyczne bolesne rozczarowanie, jakie on sam przeżył osiem godzin wcześniej.

Reynolds z FBI podszedł w końcu do Sala i dał mu do podpisania dokument poświadczający zatrzymanie pieniędzy. Sal spojrział na kartkę, na której widniała kwota 3,8 miliona dolarów. Zwrócił ją agentowi i stwierdził:

- Nie podpiszę tego, kwota się nie zgadza. Powinno być cztery i pół miliona. Ukradli siedemset tysięcy po tym, jak nas wypuścili.

Reynolds ryknął śmiechem i zawołał do Johna Hopkinsa:

- Hej, Hopkins, chcesz usłyszeć coś śmiesznego? Ten makaroniarz twierdzi, że go wypuściliście.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Hopkins rzucał nerwowe spojrzenia na twarze zebranych.

- Hej, przecież tak właściwie to nie było przestępstwa. Nie znaleźliśmy żadnych narkotyków. A pieniądze teoretycznie mogły należeć do nich. Na jakiej podstawie mieliśmy ich zatrzymać?

Reynolds zmrużył oczy.

- Wiesz dobrze, że to jeden z najważniejszych ludzi w mafii. My to wiedzieliśmy i wy to wiedzieliście, z kogo ty sobie robisz jaja?

Reynoldswi nie mieściło się w głowie, że funkcjonariusz organu ochrony porządku publicznego mógł być tak głupi, by pozwolić podejrzanym się oddalić.

- Czy opuszczałeś to miejsce? - zwrócił się do Jerry'ego.

- Razem weszliśmy, razem wyszliśmy.

- Dokąd pojechaliście? - zapytał mocno zaniepokojony Reynolds.

- Na stację benzynową.

Reynolds spojrział zdegustowany na Hopkinsa, po czym ponownie odwrócił się ku Jerry'emu.

- Korzystaliście tam z telefonu?

- Tak.

Reynolds wpadł w panikę.

- Będą próbowali nas załatwić! - wrzasnął do pozostałych agentów. - Zabierajcie stąd

forse, JUŻ!

Helikoptery włączyły silniki. Mężczyźni zniknęli w tumanach kurzu, taszcząc torby pełne gotówki. Helikoptery wystartowały: każdy unosił milion dolarów oraz po jednym przedstawicielu każdej z agencji rządowych. Pozostałe osiemset tysięcy rozparcelowano między siedem samochodów. W ciągu pięciu minut ewakuacja gotówki została zakończona.

Pozostali stróże prawa wskoczyli do czekających samochodów i włączyli koguty. Z rykiem syren popędzili grubo ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę do rządowego biurowca w odległym o sto kilometrów El Paso.

- Jezu, teraz już wiem, jak musiał się czuć John Dillinger - stwierdził Jerry po tym, jak wraz z Salem wsadzono go do jednego z wozów.

Kiedy dotarli na miejsce, zabrano ich na piąte piętro rządowego biurowca. Czekali już tam na nich agenci Secret Service, którzy przylecieli wcześniej z Waszyngtonu. Mieli za zadanie sprawdzić, czy wśród pieniędzy nie ma fałszywych banknotów. Do tamtej pory Jerry'emu i Salowi trudno było postawić jakiegokolwiek zarzutu, może z wyjątkiem unikania podatków.

Sal wyczuł, co się święci. Odciągnął Reynoldsa na stronę i wyszeptał:

- Słuchaj, tłusta gębo. Podrzuc choć jeden fałszywy banknot, a przekonasz się, jak głośno potrafię śpiewać. Zacznę od prezydenta i dojadę do samego dołu. Amerykańską opinię publiczną na pewno zainteresuje, dlaczego CIA pozwoliła, żeby członkowie rodziny Gambino stali sobie niedaleko prezydenta Busha, kiedy spotkał się we Francji z Olliem Northem w sprawie Iran-contras. A to będzie dopiero początek.

Reynolds zrozumiał.

Sala oskarżono ostatecznie o naruszenie warunków zwolnienia warunkowego przez samowolną podróż; odsiedział pięć lat. Jerry'ego wypuszczono na wolność. Sal nigdy nie odzyskał pieniędzy ani nie upominał się o ich zwrot. Ja zaś wróciłam do problemu, który miałam na miejscu.

W tamtym tygodniu wydarzyła się jedna pomyślna rzecz. Kurs akcji, które kupiłam od Dennisa, gwałtownie poszedł w górę. Sprzedałam je z takim zyskiem, jaki obiecywał Dennis. Teraz miałam już w ręku amunicję, która umożliwiała mi podjęcie walki z Richardem. Bóg nigdy nie zostawia nas w potrzebie. Smutno mi było, że Dennis nie może zobaczyć, jak realizuje się jego wizja. Zysk ze sprzedaży akcji zainwestowałam w wysokooprocentowany fundusz prowadzony przez człowieka, który był właścicielem pięciu banków. Byłam gotowa poświęcić każdego centa, byle tylko odzyskać syna.

Rozdział osiemnasty

Zaczął się proces. Na korzyść Richarda złożyła zeznania kobieta ciesząca się uznaniem w środowisku psychologów. Chociaż nigdy wcześniej nie widziałam jej na oczy, zeznała, że była w moim domu. Z jej obserwacji wynikało, że to Richard był lepszym rodzicem. Byłam wstrząśnięta tym, jak wiele można kupić za pieniądze. Każdy drobiazg był pokrętnie przedstawiany, tak by sprawiać wrażenie olbrzymiej skazy na mojej osobowości. Nie dopuszczano argumentów, które mogłabym przywołać na swoją obronę. Mogłam odpowiadać tylko „tak” lub „nie”, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Dni zamieniały się w tygodnie; przesłuchania były wyczerpujące.

- Czy zna pani mężczyznę o nazwisku Dan Whitman? - zapytał pan Anton, adwokat Richarda.

- Tak, Dan to mój przyjaciel.

- Gdzie przebywa obecnie Dan?

- Dan jest obecnie w więzieniu - odparłam, wiedząc już, do czego zamierza adwokat.

- A za co pan Whitman tam trafił?

- Nie wiem. To miało coś wspólnego ze spekulowaniem biletami albo czymś w tym rodzaju.

- A czy nie jest przypadkiem tak, że pan Whitman trafił do więzienia za współudział w przygotowywaniu morderstwa?

- Sprzeciw! - zainterweniował mój adwokat. - Nie zgadzam się, żeby moja klientka odpowiadała na to pytanie. To nie ma nic wspólnego ze sprawą opieki nad dzieckiem!

Moim prawnikiem był Seymour Winston. Zwróciłam się do niego za radą Dana Whitmana, który znał go od wielu lat. Darzył go takim samym szacunkiem jak ja. Jeśli chodzi o Dana, to nie był kryminalistą, jakiego próbowano z niego zrobić - a przynajmniej nie ten Dan, którego ja znałam. Wspólnie z mężem właścicielki drużyny Rams sprzedawał bilety na finał Super Bowl. Aresztowano go za niepłacenie podatków; do tego doszło jeszcze kilka innych zarzutów. Nie znam szczegółów tamtej sprawy, ale najwyraźniej mieli przeciwko niemu dość dowodów, skoro zdołali go skazać.

- Uważam, że to ma bardzo wiele wspólnego z tą sprawą, mecenasie. Pokazuje, z jakimi osobami zadaje się pańska klientka - odparł Anton.

- Przepraszam bardzo - wtrąciłam się. - Tak się składa, że Dan Whitman jest bardzo bliskim przyjacielem Ronalda Reagana. Skoro jest dość dobry dla Ronniego, to myślę, że

także i dla mnie.

Wyglądało na to, że panu Antonowi zabrakło słów. Seymour natomiast sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale także zadowolonego z siebie. Kiedy czekał na odpowiedź swojego kolegi po fachu, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiezek. Ale pan Anton nie był przygotowany na to, co usłyszał; umilkł na chwilę i zbierał myśli.

- Cóż, to dyskusyjna sprawa - stwierdził wreszcie, po czym natychmiast zmienił temat.

Kiedy kilka godzin później ogłoszono przerwę na lunch, wyglądało na to, że jesteśmy na prowadzeniu. Siedzieliśmy z Seymourem w sądowej kafeterii, kilka stolików dalej usiedli Richard oraz jego prawnik.

- Czy Dan naprawdę zna Reagana? - spytał szeptem Seymour.

- Nie, ale co niby robią? Wezwą Reagana na świadka? - odparłam ze skromnym uśmiechem.

Seymour roześmiał się głośno. Richard i jego łysy adwokat zerknęli zaintrygowani w kierunku naszego stolika.

- Naprawdę zbiłaś go z tropu. Jak ci to przyszło do głowy?

- Po prostu pomyślałam sobie o Danie. O tym, jakie wywiera wrażenie. Tylko pomyśl o tych wszystkich ludziach, z którymi się zadaje. Zna świetnie wiele gwiazd z czasów, kiedy był producentem filmowym. Jest wykształcony i powszechnie szanowany. A ten dupek próbował przekonać sędziego, że Dan to jakaś szumowina z przestępczego półświatka. I wtedy przyszło mi to do głowy. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że wcale nie chodziło o to, kim jest Dan, tylko o to, co pomyśli o nim sędzia. Sama nie wiem, Seymour. Po prostu jakoś tak wyszło.

- No cóż, tak trzymaj, a wygramy tę sprawę.

- Naprawdę tak uważasz?

- Dzisiaj sytuacja jest inna niż kiedyś. W przeszłości sądy zawsze skłaniały się ku matkom, ale dzisiaj patrzą na sprawę bardziej całościowo. Sędzia przeanalizuje wasze style życia. Richard jest żonaty. Jest na emeryturze, co oznacza, że może cały czas być w domu. Stać go na opłacenie prywatnych szkół i korepetytorów. Ty za to często przebywasz na planie. Jesteś niezamężna. Póki co, z was dwojga to Richard wydaje się bardziej stabilnym rozwiązaniem. Musimy udowodnić, że jest inaczej.

- Seymour, przecież wiele samotnych matek pracuje. Musimy pracować. Nie mam nikogo, kto zapłaci za mnie rachunki. Jak mogę zapewnić synowi normalny dom, jeśli nie będę pracować? Sędzia musi przecież wziąć to pod uwagę.

- Powinnaś była iść do sądu, kiedy rozwodziłaś się z Richardem. Nie mogę uwierzyć,

że wyszłaś z tego z pustymi rękami. Zdajesz sobie sprawę, że dostawałabyś co miesiąc przynajmniej dziesięć tysięcy dolarów samych alimentów? Nie musiałabyś być teraz pracującą matką. Byłem zdumiony, że nie zdecydowałaś się walczyć.

- Seymour, już to przerabialiśmy. Chciałam po prostu być szczęśliwa. Sądowa batalia sparaliżowałaby moje życie. Nie zależało mi na pieniądzech Richarda. Wiedziałam, że sobie poradzę, zawsze sobie radziłam. Nie był mi potrzebny ani on, ani jego forsa.

- Ale popatrz tylko, jaką cenę teraz za to płacisz. Jesteśmy w trudnej sytuacji. Sam nie wiem, co z tego wyniknie. Mówię tylko, że sądy coraz przychylniej patrzą na ojców, zwłaszcza w Kalifornii. Chciałbym, żebyś przygotowała się psychicznie na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się w taki właśnie sposób. A tymczasem powinnaś zastanowić się nad historią jego przygód z narkotykami.

- Czemu w takich procesach zawsze trzeba wywlekać brudy? Już samo to, że Richard ma zwichrowaną psychikę, powinno dać sędziemu do zrozumienia, że mojemu synowi lepiej będzie ze mną. Richard po prostu daje Dustinowi pieniądze i pozwala mu robić wszystko, na co tylko ma ochotę. W ogóle nie poświęca mu czasu. Tymczasem ja jeżdżę z nim na biwaki, zabieram go na ryby, zachęcam do uprawiania sportu. To wszystko rzeczy, które zwykle robią ojcowie. Mogę pracować, ale przynajmniej czas, który spędzam z Dustinem, jest coś wart. Ja daję mu siebie. Richard daje mu pieniądze. Ten człowiek nie wie, co to znaczy kochać. On po prostu kupuje sobie ludzi; kupuje sobie ich miłość. Tylko tyle potrafi. Sędzia musi to dostrzec.

- Wiem, że chciałabyś rozegrać to czysto, ale tak się po prostu nie da. Sama widziałaś, do czego się uciekają, żeby tylko cię zdyskredytować. Sugerowali, że jesteś alkoholiczką i narkomanką; Richard użyje tych argumentów, żeby odwrócić uwagę od własnych problemów. Czy Richard może wyciągnąć na wierzch coś, co uprawdopodobniłoby te oskarżenia?

- Nie. Nie mogłabym pracować w swoim zawodzie, zażywając narkotyki! Uwielbiam życie na krawędzi, ale narkotyki to prosta droga do tego, żeby z niej spaść. Kiedy jestem na planie filmowym, rzadko zdarza mi się wypić choćby jeden kieliszek wina. To jakiś absurd!

- Cóż, branża filmowa słynie z tego, że sporo tam narkomanów. Zdarzało ci się przebywać w towarzystwie takich osób, kiedy zażywały narkotyki?

- Nie... No, raz się coś takiego zdarzyło.

- Kiedy to było? Muszę znać wszystkie szczegóły. Nie chcę, żeby zaskoczyli mnie czymś na sali.

- To było około północy, kiedy przyjechałam na lotnisko w Santa Monica. Producenci

wyczarterowali samolot, żeby przetransportować nas na słoną pustynię Bonneville w Utah...

- Co tam nagrywaliście?

- Reklamówkę dla Volkswagena.

- Tę, w której samochód przebija barierę z papieru i robi obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni?

- Tak.

- Pamiętam ją. I co się wtedy wydarzyło?

- Było nas tam chyba dziewięć osób, reszta ekipy poleciała lotem rejsowym. Czekaliśmy w samolocie aż do drugiej nad ranem, zanim w końcu pojawił się nasz reżyser. Zaczynałam się już niecierpliwić. Przez cały dzień pracowałam i planowałam przespać się w samolocie. O świcie mieliśmy zacząć filmowanie.

- Masz dość niezwykły zawód. Dlaczego odlatywaliście o tak późnej porze?

- Niektórzy kluczowi członkowie naszej ekipy, łącznie ze mną, mieli różne inne zobowiązania. A ponieważ nie udało się dopasować naszych grafików, nie mogliśmy złapać żadnego rejsowego samolotu, żeby w porę dotrzeć na plan. Na dodatek naszemu reżyserowi przeciągnęły się zdjęcia i nie mieliśmy już czasu na odpoczynek przed kolejnym dniem pracy. Mimo wszystko zamierzałam spróbować zdrzemnąć się przynajmniej przez godzinkę. Nic z tego nie wyszło.

- Tutaj zaczyna się obciążająca część historii?

- Cóż, tak naprawdę nie jest specjalnie obciążająca, ale chciałeś usłyszeć o każdej branżowej historii związanej z narkotykami.

- Czy Richard wie o tym incydencie albo zna kogoś, kto w nim uczestniczył?

- Nie wiem. Możliwe.

- W porządku, opowiadaj dalej.

- Kiedy tylko reżyser wszedł na pokład, od razu puścił muzykę na cały regulator. W takim hałasie nie dało się spać. Potem wyciągnął z torby flaszkę wódki i zaczął nalewać wszystkim drinki. Gość miał w sobie coś z buntownika, nie przypominał typowego reżysera. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nigdy wcześniej nie zetknęłam się z takim zachowaniem w branży filmowej; przynajmniej nie w takim stopniu.

- Mów dalej.

- Cóż, kiedy wszyscy mieli już nieźle w czubie, pojawiła się kokaina. Patrzyłam na nich i nie wierzyłam własnym oczom: z takim zapamiętaniem i w takich ilościach wciągali ten towar. To był prawdziwy obłąd. Potem zaczęli tańczyć w przejściu między fotelami.

- A co ty w tym czasie robiłaś?

- Nie byłam w stanie spać ani ich uciszyć, więc się do nich przyłączyłam.

- Zażywałaś kokainę?

- Kokainę nie, ale w kwestii wódki reżyser nie przyjmował do wiadomości odmowy.

Nalał mi drinka, a ja sączyłam go przez cały lot. I to już w sumie wszystko, Seymour.

- Jak, do diabła, ci ludzie mogli po czymś takim pracować?

- Nie mogli. To była katastrofa. Wyszliśmy z samolotu i pojechaliśmy prosto na plan zdjęciowy. Kiedy wzeszło słońce, zaczął się upał i ich kac się nasilił. Nawet nie włączyliśmy kamery. Następnego dnia musieliśmy się uwijać w ukropie, żeby nadrobić stracony czas. Ale i tak kilku ujęć nigdy nie udało się nam nakręcić.

Seymour spojrzał na zegarek.

- Lepiej już wracajmy.

- Pani Durante, czy zażywa pani narkotyki? - zapytał Anton.

- Nie.

- A czy w przeszłości zdarzyło się pani je zażywać?

- Tak.

- Kiedy zażywała je pani po raz ostatni?

- Nie potrafię podać dokładnej daty, ale to było, jeszcze zanim urodziłam Dustina, a on ma teraz osiem lat.

- Nigdy nie zażywała pani narkotyków z Jayem Willardem?

- Absolutnie nie! Nie dotykam narkotyków - odparłam.

- Pani Durante, czy pracuje pani z helikopterami?

- Tak.

- Czy uważa pani to za niebezpieczne?

- Nie.

- Więc nie uważa pani, że zawód, który pani wykonuje, jest niebezpieczny?

- Nie, nie uważam tak.

- Czy Dar Robinson to jeden z pani kierowców?

- Tak, był moim kierowcą.

- Był? W takim razie może zechce pani opowiedzieć wysokiemu sądowi, co przydarzyło się panu Robinsonowi?

- Sprzeciw! To nieistotne dla sprawy - przerwał Seymour.

- Wysoki Sądzie, staram się tutaj wykazać, że pani Durante nie dba o własne życie i z tego względu nie byłaby w stanie właściwie troszczyć się o dziecko w sytuacji...

- To niedorzeczne! - krzyknął Seymour.

- Oddalam. Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Może pan je powtórzyć? - powiedziałam, starając się grać na zwłokę i domyślić się, do czego właściwie zmierza.
- Stwierdziła pani, że Dar Robinson był jednym z pani kierowców. Czy to oznacza, że nie żyje?
- Tak, Dar nie żyje.
- W jakich okolicznościach zmarł?
- Zginął w wypadku motocyklowym.
- Czy w doszło do niego w trakcie pracy?
- Tak.
- Nad czym pracował wtedy pan Robinson?
- Pracował przy kręceniu filmu *Magia pieniędzy*.
- Czy zechce pani przybliżyć okoliczności jego śmierci?
- Cóż, nie było mnie na miejscu, ale z tego, co mówił Pat...
- Kim jest Pat?
- Pat McGroarty, to inny mój kierowca, który pracował wtedy z Darem.
- Rozumiem. Więc co powiedział pani pan McGroarty?
- Powiedział, że skończyli nagrywać scenę i...
- Co dokładnie ma pani na myśli? Jaka to była scena?
- Scena pościgu.
- Czy wymagała jazdy ze znaczną prędkością?
- Niekoniecznie. Operatorzy potrafią ustawić kamery w taki sposób, że wydaje się, że kierowcy jadą szybciej niż w rzeczywistości.
- Czy tak było w tym przypadku?
- Nie wiem. Nie było mnie tam.
- W porządku, proszę kontynuować.
- Z tego, co zrozumiałam, zdążyli już minąć kamerę. Zwalniali, żeby zawrócić do punktu wyjścia i nakręcić dubel. Dar z jakiegoś powodu musiał zahaczyć o nieutwardzone pobocze i stracił panowanie nad motocyklem. Nie ma co do tego pewności, bo jechał jako ostatni. Nikt tak naprawdę nie widział, co się stało. Dar przeleciał nad nasypem i nadział się na konar drzewa.
- Czy na planie była karetka pogotowia?
- Była wcześniej, ale została odesłana.
- Dlaczego tak się stało?

- Bo tego dnia rano zdążyli już nakręcić sceny kaskaderskie i nie sądzili, by karetka była potrzebna podczas pracy nad pozostałymi ujęciami. Dar nie zginął podczas wykonywania numeru kaskaderskiego. To była prosta scena.

- Czy karetki często są obecne na planie?

- Tak, ale nie przez cały czas.

- Po co właściwie są te karetki, skoro według pani ten zawód nie jest niebezpieczny?

- To element kontraktu. Obecność karetki jest obowiązkowa.

- No cóż, pan Robinson zginął podczas prostej sceny. Trudno mi uwierzyć, że robienie czegoś tak prostego może kosztować panią życie. Czy dba pani o swoje życie, pani Durante?

- Tak.

- Czy może pani wyjaśnić, dlaczego wybrała pani taki właśnie zawód?

- Nie. Po prostu tym się zajmuję.

- Czy pani firma została zatrudniona przez japoński koncern naftowy do nakręcenia reklamy?

- Pracowaliśmy dla wielu japońskich firm. O którą reklamę panu chodzi?

- O tę, podczas kręcenia której odrzutowiec A-4 rozbił się pięćset metrów od ekipy filmowej i filmowanego samochodu.

- Tak.

- Czy pilot samolotu zginął wówczas w czasie pracy?

- Tak.

- Nie mam więcej pytań.

Pod koniec pierwszego tygodnia byłam kompletnie wyczerpana. niesprawiedliwe oczernianie mnie przez Richarda i jego adwokata, przed którym nie byłam w stanie się bronić, było nie do zniesienia. Każdy szczegół dotyczący mnie i mojego życia był zniekształcany, co doprowadzało mnie do rozpacz. Źródłem największej frustracji były jednak dla mnie reguły, do których trzeba się było stosować. Nie mogłam wyciągnąć fascynacji Richarda prostytutkami ani jego problemów narkotykowych. Nie, to wszystko było pięć lat temu. Sędzia był zainteresowany tylko dniem dzisiejszym.

To, co mogłam powiedzieć o dniu dzisiejszym, zbywane było jako pogłoski. Wiedziałam, że Richard nadal sięga po narkotyki; żyłam z nim wystarczająco długo, by umieć rozpoznać objawy. Ale to nie miało znaczenia - musiałabym to najpierw udowodnić. Nie interesowałam się na bieżąco jego życiem i nie utrzymywałam kontaktów z jego przyjaciółmi, nie byłam więc w stanie rzucić światła na jego wyczyny. Pięć lat wcześniej mogłabym bez trudu wszystko udowodnić. Dopiero teraz zaczynałam żałować, że nie poszłam do sądu

w trakcie naszego rozwodu.

- Pani Durante, czy kiedy pani syn miał ledwie kilka miesięcy, porzuciła go pani i uciekła do Nowej Zelandii?

- Sprzeciw! - wybuchnął Seymour.

- Podtrzymany. Proszę przeformułować pytanie, mecenasie.

- Czy zostawiła pani Dustina i wyjechała pracować do Nowej Zelandii, kiedy miał kilka miesięcy?

- Tak, ale mój syn miał zapewnioną dobrą opiekę.

- Ach tak? A kto się nim opiekował podczas pani dwutygodniowej nieobecności?

- Richard i nasza gosposia Marina.

- W takim razie czy może mi pani wyjaśnić, pani Durante, dlaczego uważa pani, że Richard nie nadaje się do roli ojca, skoro mogła pani wyjechać na dwa tygodnie i zostawić Dustina pod jego opieką? Czy nie utrzymywała pani, że w tym czasie był ciężko uzależniony od narkotyków?

- Marina świetnie sobie radziła. Nie miałam powodów do obaw.

- Wysoki Sądzie, chciałbym teraz wezwać kolejnego świadka - oznajmił Anton.

Serce mi krwawiło, kiedy w sali sądowej pojawiła się Toni. Siedząc na miejscu dla świadków, unikała kontaktu wzrokowego ze mną. Skubała wargi - nerwowy nawyk, którego nabawiła się w dzieciństwie - w oczekiwaniu na pierwsze pytanie Antona.

Boże! Richard jest tak niewiarygodnie płytki. Byle wygrać, za wszelką cenę! Czy sędzia tego nie widzi?

Toni, mająca w swoim najbliższym otoczeniu Jaya i Richarda - dwóch mężczyzn, których łączyła pogarda dla mnie - stała się ofiarą okropnej manipulacji z ich strony. Jay siedział z tyłu sali, dodając Toni otuchy. Seymour zwrócił sędziemu uwagę, że Jay ma później zeznawać, i sędzia nakazał mu opuścić salę. Toni zeszywniała i nerwowo poruszyła się na krześle. Nie wiedziała, na czym teraz skupić wzrok; jej rozbiegane oczy miotały się po całej sali.

Musiałam wybrać: które z moich dzieci mam ratować? Żadna matka nie powinna nigdy stawać przed takim wyborem. Zdawałam sobie sprawę, że Seymour może rozerwać zeznającą Toni na strzępy, ale jak mogłabym do tego dopuścić? Wróciłam myślami do dnia, kiedy sama siedziałam na miejscu dla świadków, po tym jak zostałam zgwałcona. Tamci ludzie próbowali przeinaczać wszystko w taki sposób, by pokazać, że to ja byłam winna - nie różniło się to zresztą aż tak bardzo od tego, co działo się na tej sali teraz. Nie mogłam pozwolić, by Toni doświadczyła tego samego. Jej psychika i tak doznała już zbyt wielu

urazów. Niech mówi wszystko, do czego ją nakłonili - niech tak będzie. Mogłam tylko mieć nadzieję, że te szkody uda się jakoś naprawić. Ból, jaki w tamtej chwili czułam, był nie do zniesienia. Ukryłam się w swoim cieniu. To wszystko spotykało nie mnie, lecz Georgię Black. Ja byłam bezpieczna.

- Toni, kiedy Richard cię adoptował i został twoim ojcem?

- Kiedy miałam dziewięć lub dziesięć lat.

- A ile lat masz teraz, Toni?

- W październiku skończę osiemnaście.

- Czy Richard jest dla ciebie dobrym ojcem?

- Tak.

- A czy jest dobrym ojcem dla Dustina?

- Tak.

- Czy kiedykolwiek widziałaś, by Richard zażywał narkotyki?

Toni spojrzała na Richarda.

- Nie.

- To kłamstwo, Seymour - wyszeptalam do mojego adwokata. - Sama podkradala kokainę z jego szuflady. Od tego zaczęły się jej własne problemy! Nie mogę uwierzyć, że to mówi.

Toni w dalszym ciągu ani razu nie spojrzała w moją stronę. Zerknęłam na Richarda i zauważyłam, jak zachęcająco kiwa do niej głową.

- Ile lat ma twój chłopak Jay? - pytał dalej Anton.

- Dwadzieścia siedem.

- Czy to prawda, że w przeszłości był chłopakiem twojej matki?

- Tak.

- Wiesz może, czy Jay spędzał kiedykolwiek noc w domu twojej matki wtedy, kiedy przebywał tam także Dustin?

- Sprzeciw! To sugestie oparte na pogłoskach - stwierdził Seymour.

- Podtrzymuję.

- Toni, czy to prawda, że drugi mąż twojej matki... a może to był ten pierwszy? Ile właściwie razy twoja matka wychodziła za mąż?

- Sprzeciw. Na to pytanie odpowiedź już padła i została zaprotokołowana.

- Podtrzymany.

- Czy twój ojczym, drugi mąż twojej matki, molestował cię, Toni?

- Tak...

Jej oczy zaczęły zachodzić łzami. Już miałam zareagować, gdy Georgia Black przejęła stery i szybko się opanowałam.

- Ile lat miałaś, kiedy do tego doszło?

- Czternaście.

- Czy twoja matka była wtedy żoną Richarda?

- Ich małżeństwo miało się już ku końcowi. Nadal ze sobą mieszkali... ale nie wiem, czy nazwałabym to małżeństwem.

- W jakich okolicznościach widywałaś się z Joem, swoim ojczymem? Czy matka cię do niego zawoziła?

- Wysyłała mnie do niego pociągiem.

- Czy Richard wiedział o twoich wizytach u ojczyma?

- Nie, Richard nie chciał, żebym widywała się z Joem.

- Czy sądzisz, że Richard próbował cię chronić, nie zgadzając się na twoje wyjazdy do San Diego?

Toni milczała przez moment, wpatrując się w sufit.

- Nie wiem - odparła wreszcie, wzruszając ramionami.

- Jak ci się wydaje, dlaczego matka wysyłała cię tam wbrew woli Richarda?

- Mówiła, że Joe jest zupełnie sam, odkąd zmarła jego matka... chyba było jej go żal.

- Czy mówiłaś jej kiedyś, że nie chcesz tam jechać?

- Tak.

- A ona mimo to cię tam wysyłała?

- Tak.

- Czy czujesz, że matka cię nie chroniła, Toni?

- Tak - odpowiedziała ze szlochem.

- To wszystko z mojej strony. Świadek jest do pańskiej dyspozycji - powiedział do Seymoura Anton.

Seymour wstał i, zamyślony, powoli podszedł do miejsca dla świadka. Przypominał mi wielkiego pluszowego misia. Wydaje mi się, że mógł mieć około siedemdziesięciu lat; był niski, krępy, a jego głowę pokrywały gęste białe włosy. Sprawiał wrażenie łagodnego, ale ja wiedziałam, że w środku czaił się zażarty lew.

- Witaj, Toni. Nazywam się Winston. Rozumiem, jakie to dla ciebie ciężkie - zapewnił współczującym tonem i podał Toni papierową chusteczkę. - Chciałabyś może szklanek wody?

- Tak - odparła, ocierając załzawioną twarz.

- Toni, muszę ci zadać kilka pytań, które mogą być dla ciebie trudne. Ale zrobię, co

mogę, żeby ci to ułatwić. - Seymour zawahał się przez moment. - Powiedziałaś, że kiedy jeździłaś do San Diego w odwiedziny do swojego ojczyma, miałaś czternaście lat, tak?

- Tak.

- Jak często odwiedzałaś Joego?

- Raz na kilka miesięcy. Czasem trochę częściej, czasem rzadziej.

- Czy kiedy mówiłaś mamie, że nie chcesz tam jechać, powiedziałaś jej dlaczego?

- Nie.

- Dlaczego nie? Nie byłaś już małym dzieckiem. Potrafiłaś odróżniać dobre od złego, prawda? - zapytał łagodnie Seymour.

- Tak sędzę - odparła Toni. Na jej twarzy malowało się cierpienie.

- A czy czasem nie zdarzało się, że chciałaś tam jechać?

- NIGDY NIE CHCIAŁAM MU OBCIĄGAĆ! - krzyknęła Toni; ten wybuch zaskoczył nawet ją samą.

W sali zapadła nagle cisza. Poczułam się tak, jakby moje serce przeszło tysiąc strzał; ogarnął mnie szok wywołany bólem Toni oraz gniew. Miałam ochotę do niej podbiec. Chciałam ją objąć i pocieszyć tak jak wtedy, kiedy była maleńka. Jej ból był moim bólem. Ale byliśmy w sali sądowej, a nie w naszym salonie.

Kiedy sędzia przyjrzał się chwilę później mojej twarzy, dostrzegł jedynie Georgię Black, która ukryła moje emocje i uczyniła je niewidocznymi. Na tym polegało jej zadanie. To był ten moment, w którym moja uczuciowa strona powinna była się odsłonić, żeby ratować mojego syna. Ale Georgia Black już zbyt długo trzymała wodze - nie potrafiłam już działać sama.

- Seymour, skończ już - poprosiłam. - Ona jest na to zbyt delikatna.

- Musimy jakoś odpowiedzieć na to, co się stało. To nie wygląda dobrze.

- Jest, jak jest. Nie mogę stracić ich obojga.

Seymour dumiał przez chwilę nad moją prośbą. Wreszcie, zrezygnowany, ponownie podszedł do miejsca dla świadka.

- Nie mam więcej pytań. Możesz już iść, Toni.

Wstając z miejsca, Toni spojrzała przelotnie w moją stronę. Jej dusza była tak samo zmaltretowana jak moja. Czułam, jak buzuje we mnie mieszanina różnych emocji: bólu, złości i nienawiści. Bólu z powodu Toni. Złości na Richarda. Nienawiści do Joego.

Joe odwalił kawał cholernie dobrej roboty, niszcząc moje życie - nie przestawał tego robić nawet długo po tym, jak sam z niego zniknął. Kiedyś mieszał w mojej głowie, a teraz uwięził w tym złowrogim kręgu Toni. Na dodatek mogłam stracić jeszcze syna.

Po lunchu obrona wyciągnęła kolejnego asa z rękawa. Na salę wniesiono telewizor i magnetowid; kiedy je podłączano, Seymour spojrział na mnie pytająco.

- Jak myślisz, co zamierzają pokazać?

- Nie mam pojęcia, Seymour.

- Jeśli przychodzi ci do głowy coś, o czym mi nie powiedziałaś, to teraz jest najwyższa pora.

O Boże, czy FBI mnie nagrało? Nie, przecież nie rzucali na odchodnym żadnych gróźb. Co to może być?

Kiedy kasetą została włączona, na sali rozległ się stłumiony okrzyk. To ja go z siebie wydałam. Zobaczyłam scenę z imprezy dla ekipy z Nowej Zelandii. Oczy wszystkich zebranych wlepione były w ekran, na którym pojawiło się zbliżenie mojej twarzy. Patrzyłam na siebie: większą niż w rzeczywistości i wciągającą do nozdrzy kokainę. Kompletnie zapomniałam o tym incydencie. Poczulałam na sobie wzrok każdej osoby obecnej na sali. Cisza.

„Kiedy zażywała je pani po raz ostatni?”

„Nie potrafię podać dokładnej daty, ale to było, jeszcze zanim urodziłam Dustina, a on ma teraz osiem lat”.

„Czy zostawiła pani Dustina i wyjechała pracować do Nowej Zelandii, kiedy miał kilka miesięcy?”

Adwokat Richarda pisał się bez zarzutu. Wygląda na to, że zawsze dostaje się to, za co się zapłaci. Richard Adray zawsze dostawał wyłącznie to, co najlepsze.

Sędzia spojrział mi prosto w oczy i zrobił to, co robią sędziowie: osądził mnie. Twarz Seymoura wyrażała rozczarowanie zmieszane z poczuciem porażki. Nie starałam się zataić tamtego wydarzenia; zwyczajnie o nim zapomniałam. Ale co mogłam teraz powiedzieć na swoją obronę? Nic. Kto by mi teraz uwierzył? Nikt. Moja wiarygodność legła w gruzach. Mina sędziego mówiła wszystko: skoro skłamała w tej sprawie, to zapewne skłamała we wszystkich innych.

Richard odchylił się na krześle i posłał mi triumfalny uśmiech. Jego prawnik stał obok telewizora ze skrzyżowanymi ramionami i z odrażającym uśmieszkiem na twarzy. Nie wiem, co ja wtedy robiłam, zajmowała się tym Black.

Tamtego dnia na sali sądowej wszyscy straciliśmy część swojego życia. Richardowi mogło się zdawać, że wychodzi stamtąd jako zwycięzca, ale czas pokazał, jak bardzo się mylił. Tam, gdzie gra się emocjami dzieci, tam nie ma zwycięzców - są tylko przegrani.

Rozdział dziewiętnasty

Minęły cztery długie lata, odkąd po raz ostatni miałam kontakt z córką, a syna widywałam jedynie co drugi weekend. Za każdym razem, gdy przypominałam sobie rozpaczliwy wybuch Toni na sali sądowej, bolało mnie serce, ale to nie zmieniało w żaden sposób faktu, że zdradziła mnie, składając wówczas zeznania. Jej kłamstwa chroniły Richarda i przyczyniły się do tego, że straciłam syna. Pomimo przeżytego cierpienia Toni musiała wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Moje drzwi stały przed nią otworem, ale nie zamierzałam jej w nich witać, dopóki częścią jej życia pozostawał Jay. Mimo bólu, jaki mi to sprawiało, przez te cztery lata ani razu do niej nie zadzwoniłam.

W tym czasie zajrzałam w głąb siebie i sporo rzeczy gruntownie przemyślałam. Może nie byłam zbyt dobrą matką. Toni zawsze była cichym dzieckiem, które nie dzieliło się z nikim swoimi lękami i obawami. Może ona również ukrywała się w swoim cieniu. Towarzyszyła mi w moich ucieczkach, ukrywała się razem ze mną, ale nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Nigdy nie opowiedziałam jej o swoich lękach ani o niewyobrażalnym bólu, zawsze zakładałam, że ona to po prostu wie. Próbowalam ją przed tym wszystkim chronić - skąd więc mogła wiedzieć, co się wokół niej dzieje? Wiedziała tylko tyle, że mnie przy niej nie ma. Dlaczego nigdy wcześniej nie spojrzałam na nasze życie z jej perspektywy? To oczywiste, że żywiła urazę - nie mogło być inaczej, skoro mnie nie rozumiała.

Kiedy w końcu uciekłam od Joego, próbowałam odbić sobie to wszystko, co mnie przez ten czas omijało. Zawsze prześladowało mnie poczucie, że umrę, zanim będę miała szansę naprawdę coś przeżyć. Czułam się taka oszukana. Dlaczego nie pomyślałam o tym, jak oszukana została moja córka? Byłam tak zaprzętnięta własnym cierpieniem, że nie pomyślałam o tym, jak musi cierpieć ona. Żadna dobra matka by tak nie postąpiła. Być może zbyt pochopnie obarczałam Joego całą winą za narkotykowy nałóg Toni. Nadeszła pora, żebym wzięła odpowiedzialność za bałagan, którego sama narobiłam w swoim życiu.

Najsmutniejszy był w tym wszystkim fakt, że Bóg dał mi drugą szansę. Dał mi Dustina. Kiedy mój syn przyszedł na świat, miałam trzydzieści lat i byłam gotowa na to, by być matką - ale nie miałam szansy w pełni się nią stać, ponieważ tak wcześnie mi go ukradziono. Czy to była jedna z lekcji, jakich udzielał mi Bóg? Czy była to moja kara za stracone dzieciństwo Toni?

Ponownie skoncentrowałam całą swoją energię na pracy. Nie pragnęłam związku. I tak skończyłby się tym samym co zawsze: zdradą, bólem i cierpieniem. Jedyny romans, na

jaki sobie pozwoliłam, połączył mnie i maca - mój komputer Macintosh. Georgia Black przejęła władzę, chroniąc moje serce przed ponownym złamaniem. W tej samej chwili, w której pojawiał się cień szansy na poważny związek, pojawiała się też panna Black i niczym wampir wysysała z niego życie. Zredukowała moje uczucia do emocjonalnego zera. Stworzyła dystans i pilnowała, by został zachowany. Dystans oznaczał bezpieczeństwo.

Moje serce stwardniało, pociągało mnie tylko odnoszenie sukcesów. Pełna miłości Georgia zniknęła gdzieś bez śladu. Ale to wszystko nie poszło na marne. Poznałam swoje możliwości, nauczyłam się rozumieć swoje mocne strony, a moja determinacja stała się ogromna. Wreszcie uwierzyłam w to, kim jestem.

W okresie naszej rozłąki Toni mieszkała z Jayem. Obie czułyśmy przez ten czas pokusę, by się do siebie odezwać. Moja mama, osoba o prawdziwie gołęmbim sercu, nie mogła znieść tego, co się pomiędzy nami działo. Kiedy tylko Toni zerwała z Jayem, moja matka, nie mówiąc mi ani słowa, zaprosiła wnuczkę na wigilię -zorganizowaną u mnie w domu. Cztery lata niemożliwego do opisanego bólu zniknęły momentalnie, gdy padłyśmy sobie w ramiona i płakałyśmy, tuląc się do siebie. Z czasem jednak urazy, które obie nadal chowałyśmy w sercu, miały ponownie położyć się cieniem na naszej miłości.

Toni wie, że ją kocham, a ja wiem, że ona kocha mnie, jednak proces gojenia się ran tak głębokich jak nasze wymaga czasu. Poza śmiercią dziecka nie ma nic bardziej bolesnego, niż być przez własne dziecko zdradzonym. Staram się jednak wznieść ponad wciąż odczuwaną niechęć, by lepiej zrozumieć motywy, którymi kierowała się Toni. Obie pracujemy nad tym, by wreszcie wziąć pełną odpowiedzialność za nasze minione zachowania i spróbować ponownie poukładać rozsypane fragmenty naszego życia.

Mniej więcej pół roku po naszym wigilijnym spotkaniu Toni zaprosiła do domu na kolację młodego mężczyznę o imieniu Barry. Siedzieliśmy na tarasie na tyłach mojego domu, rozkoszując się ciepłym letnim wieczorem. Dostrzegłam w Barrym dziwne podobieństwo do Joego, ale przynajmniej jego nazwisko nie kończyło się na samogłoskę. Był o siedem lat starszy od Toni, a ja widziałam w jej oczach takie same iskierki, jakie pojawiały się w moich, kiedy patrzyłam na Frankiego. Toni i Barry, trzymając się za ręce, wspięli się do rzadko teraz używanego przez Dustina domku na drzewie. To tam po raz pierwszy się pocałowali.

- Co o nim myślisz, mamo? - zapytała Toni, kiedy Barry wszedł do domu.

- Polubiłam go.

- Och, to dobrze. Więc mogę go zatrzymać?

Uśmiechnęłam się. Jak wspaniale byłoby móc znowu poczuć się w taki sposób. Ale tylko w młodości nasze serca potrafią być tak wrażliwe.

Toni i Barry wzięli ślub w maju 1992 roku. Wybrali datę, która nie kolidowała z moim wypełnionym po brzegi grafikiem. Nasze wypadki na targi ślubne okazały się świetną zabawą, a ja cieszyłam się, mogąc doradzać dzieciakom w sprawach tradycji, obyczajów i dobrego smaku. Toni poprosiła Toma, swojego biologicznego ojca, by poprowadził ją do ołtarza. Chociaż Richard ją adoptował, zdawała sobie sprawę, że nic dla niego nie znaczy - była to kolejna smutna prawda, z którą musiała się pogodzić.

Toni po raz ostatni widziała Toma, kiedy miała siedem lat, a on nigdy nie zadał sobie nawet tyle trudu, by wysłać jej kartę z urodzinowymi życzeniami. Mimo to na rok przed ślubem Toni skontaktowała się z nim i udało im się nawiązać ze sobą więź. Kiedy zaproponowała mu, by poprowadził ją do ołtarza, Tom odparł, że się zastanowi. Zauważyłam jej rozczerowanie, więc sama do niego zadzwoniłam.

Nie widzieliśmy się i nie rozmawialiśmy ze sobą od lat. Kiedy już otrząsnął się z pierwszego szoku, jakiego doznał po usłyszeniu mojego głosu, zapytałam, czy zamierza zaprowadzić Toni do ołtarza.

- Sam nie wiem - powiedział. - To strasznie kosztowna impreza. Nie wydaje mi się, żeby było mnie na to stać.

- To dopiero za sześć miesięcy. Nie zdołasz do tego czasu odłożyć czterystu dolarów?

- No nie wiem. Gdybyś zobaczyła, w jakich warunkach ja żyję, padłabyś trupem.

- Co przez to rozumiesz?

- Mieszkam w maleńkim pokoiku we wszawym motelu.

- Ile cię to miesięcznie kosztuje?

- Czteryście dolarów.

- To wariatwo - stwierdziłam. - W Rochester możesz wynająć całkiem ładne mieszkanie za osiemset. Dlaczego nie poszukasz sobie współlokatora i nie podzielicie się kosztami? Za te same pieniądze mógłbyś żyć jak człowiek.

- Niby tak... ale nie mam żadnych mebli.

- Jezu, Tom, jak możesz żyć w taki sposób?

- Georgia, odpowiesz mi na jedno pytanie?

- Co takiego?

- Dlaczego ode mnie odeszłaś? Zastanawiam się nad tym od dwudziestu dwóch lat. Naprawdę chciałbym się tego dowiedzieć.

- Hm, byłam wtedy dość młoda, ale wydaje mi się... chyba już wtedy wiedziałam, że nie chcę mieszkać w motelu, kiedy będę miała czterdziestkę.

- Na początku sądziłem, że zostawiłaś mnie dla tego typka z Nowego Jorku,

Frankiego. Ale kiedy za niego nie wyszłaś, nie mogłem wykombinować, dlaczego to zrobiłaś. Teraz w końcu wiem.

- Posłuchaj, Tom - powiedziałam, zdecydowana wrócić do sedna - jeśli zaczniesz odkładać już teraz, na pewno uda ci się zaoszczędzić przynajmniej na bilet na samolot. Mam domek dla gości, w którym możesz się zatrzymać, więc mieszkanie i jedzenie nie będzie cię kosztować ani centa. To ważne dla Toni. Nigdy nie wysłałaś jej choćby kartki z okazji świąt, urodzin czy skończenia szkoły. Nie zauważyłaś żadnego z wyjątkowych wydarzeń w jej życiu. Więc myślę, że jesteś jej to winien.

- Tak, masz rację - przyznał. - Zobaczę, co dam radę zrobić.

Pora rozmówić się z Richardem. Wzięłam głęboki oddech i wykręciłam jego numer telefonu.

- Toni mówiła mi, że zaoferowałaś się zapłacić za jej miesiąc miodowy - powiedziałam. - Mam dla ciebie propozycję.

- Już się nie mogę doczekać - mruknął znużonym tonem.

- O tej porze roku bilety lotnicze do Meksyku są dość drogie. Razem z hotelem i wynajęciem samochodu kosztowałyby cię to około czterech tysięcy. Byłoby mi łatwiej, gdybyś dołożył taką kwotę do wydatków weselnych, a ja zafundowałabym im miesiąc miodowy. Mam do wykorzystania trochę darmowych mil lotniczych i kuponów do wypożyczalni samochodów. Poza tym mogę dostać pięćdziesiąt procent zniżki na hotel. Co o tym myślisz?

- Cóż, przemyślałem to od czasu, kiedy jej to zaproponowałem. Toni jest mi winna tysiąc dolarów. Dam jej kartkę, na której napiszę, że nie musi mi ich oddawać.

- To bardzo hojny gest, Richard.

- Hej, nie mam obowiązku się nią zajmować. Poza tym w czasie jej ślubu mogę być w Europie.

- To znaczy, że nie przyjdiesz? Jak możesz jej to robić?

- Moja matka się pojawi.

- Wielka rzecz! Wiesz co, Richard? Naprawdę kawał dupka z ciebie...

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam dokończyć.

W końcu nadszedł dzień ślubu. Toni wyglądała olśniewająco. Nigdy nie widziałam jej równie szczęśliwej. Pękałam z dumy. Dustin wskazywał gościom miejsca i wyglądał bardzo dorośle. Jak ten czas leci. Tom ostatecznie nie tylko przyjechał, ale nawet dał Toni tysiąc dolarów w prezencie. Zdążył już niemal zupełnie posiwieć, ale nadal był przystojnym mężczyzną.

Ceremonia ślubna odbyła się we francuskim ogrodzie w posiadłości Greystone Mansion w Beverly Hills. Rezydencja, przypominająca elegancki europejski zameczek, położona była na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na całe miasto. Temperatura była idealna, ale w południowej Kalifornii to nic niezwykłego. Kiedy goście zajmowali swoje miejsca, w tle pobrzmiwały dźwięki harfy.

Byłam zajęta sprawdzaniem, czy wszystko idzie zgodnie z planem i czy fotograf robi, co do niego należy, kiedy nagle usłyszałam...

- Cześć, maleńka.

- Frankie! Przyjechałeś!

- Jasna sprawa. Za nic w świecie nie przegapiłbym ślubu małej Toni Lee - oświadczył, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Tak się cieszę, że tu jesteś.

- A gdzie jest mały potwór?

- Jest razem z gośćmi. Poczekaj, aż zobaczysz, jaki się zrobił duży. Strasznie się ucieszy na twój widok. Tak samo jak Toni. Pytała, czy odpowiedziałeś na zaproszenie.

- Chciałem zrobić jej niespodziankę. Czy Dustin jest już za duży, żeby zabrać go do Zaginionego Świata?

- Uwielbiam, jak działasz na wyobraźnię dzieciaków, Frankie - powiedziałam, mając w pamięci to, w jaki sposób poszerzył moje własne horyzonty, kiedy byłam młoda. - Tylko ty mogłeś zamienić nasz ogród w Zaginiony Świat. A co do twojego pytania... Mam wątpliwości, czy Dustin aby na pewno jest ciągle prawiczkiem.

- Żartujesz.

- Ani trochę.

- A to mały skubaniec! - wykrzyknął i oboje wybuchliśmy śmiechem.

- Nigdy nie zgadniesz, kto się zjawił, Frankie.

- Kto, maleńka.

- Tom.

- Robisz mnie w konia. Poważnie? To znaczy, że po tych wszystkich latach w końcu się spotkamy? Hej, mam nadzieję, że nie oddałaś mu mojego pokoju, co? Naprawdę bym się wtedy wkurzył, Mała Georgie.

- Właściwie to tak, ale potem przyjechali moi krewni, więc przeniosłam go na sofę.

- Po prostu nie wierzę. Pozwoliłaś mu spać w moim pokoju!

Oboje zaczęliśmy się wygłupiać. Nigdy nie straciliśmy tej magicznej umiejętności odnajdywania wspólnych powodów do śmiechu.

Frankie siedział przy moim boku, kiedy Tom uroczyście prowadził Toni do ołtarza. Toni promieniała, a ja miałam łzy w oczach, widząc ją tak szczęśliwą po tylu smutnych chwilach, które dotąd przeżyła. Przypomniałam sobie, jak dwadzieścia cztery lata temu sama kroczyłam główną nawą z Tomem i żałowałam, że to nie Frankie. Frankie, jakby czytając w moich myślach, ścisnął mocno moją dłoń, a ja po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że chwile, które przeżyliśmy razem, były tak naprawdę warte tyle, co całe życie.

Wszyscy tam byli. Nawet moja siostra zdobyła się na odwagę i wsiadła do samolotu. Byłam taka szczęśliwa.

- Kochanie, nigdy nie przypuszczałam, że twój tata i ja dożyjemy tego dnia - powiedziała moja mama, spoglądając na mnie przez łzy.

- Wychowywanie ciebie mogłoby każdego przedwcześnie wpędzić do grobu - dodał z uroczym uśmiechem tata. - Interesy muszą iść nieźle... wyprawiłaś wesele jak się patrzy. Nie sądzisz, że powinnaś odpalać swojemu staremu ojcu procent od wszystkich swoich zleceń? Nie wiem, czy pamiętasz, ale twoja edukacja za kierownicą drogo mnie kosztowała.

- Jak mogłabym zapomnieć? Naprawdę nie mam pojęcia, jak ty ze mną wytrzymałaś, tato.

- Każda minuta była tego warta. Spójrz tylko na siebie. Nie wiem, skąd bierze się twoja odwaga, ale jesteśmy bardzo dumni z tego, jak poradziłaś sobie w życiu, kochanie.

- Dziękuję, tatusiu. Nigdy by mi się to nie udało, gdyby nie wasza miłość i wsparcie. Kocham was.

Przyjęcie weselne odbyło się w Marina City Club. Pozycja Richarda otworzyła nam dostęp do klubowej sali, zupełnie jakbyśmy byli długoletnimi członkami klubu. Po przyjęciu wróciliśmy do mnie. Opadłam na kanapę, wyczerpana miesiącami przygotowań. Ale było warto; ślub Toni okazał się przepięknym, niezapomnianym wydarzeniem. Frankie nalał sobie kieliszek wina i usiadł obok mnie. Tom także zrobił sobie drinka i zajął miejsce na sofie naprzeciw nas.

- Georgie, jesteś absolutnie pewna, że Toni nie jest moja? - wypalił Frankie. - Bo widzę, że ma moje brwi.

Nie wierzyłam własnym uszom. Do tej pory wszystko przebiegało tak spokojnie.

- Akurat o to nigdy się nie martwiłem, Frankie - odparł Tom. - Zawsze sądziłem, że jest dzieckiem mojego brata, Babe'a.

- Co takiego?! Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy coś podobnego! - Zszokowało mnie to bardziej niż uwaga rzucona przez Frankiego. Frankie żartował, a Tom mówił zupełnie poważnie.

- Mój brat mnie nienawidził. To byłoby w jego stylu. Ale teraz wiem, że Toni jest moja.

- Skąd ta pewność? - podpuszczał go Frankie.

Jezu, Frankie, przestaniesz wreszcie?

- Chyba powinniśmy zmienić temat - wtrąciłam, ale oni nie zwracali na mnie uwagi. Grzecznie dawali upust żywionej od dwudziestu czterech lat wzajemnej niechęci.

- Tak, tak, Tom. Ze wszystkich lokali na świecie musiała wejść właśnie do mojego.

- Wiesz co, Frankie? Kiedyś nawet pojechałem do Nowego Jorku, żeby cię poszukać. Frankie uniósł brwi z ironicznym podziwem.

- Naprawdę? W takim razie miałeś szczęście, że mnie nie znalazłeś - odparł pół żartem, pół serio.

- Czy to nie był piękny ślub? - przerwałam im, czując się jak sędzia na boisku.

- To prawda, był piękny. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Georgia - powiedział Tom. - A przy okazji, dlaczego nie było tego dupka, twojego byłego męża?

- Jest w Europie. To najwyraźniej było dla niego ważniejsze.

- Nie tego dupka. Chodziło mi o tego drugiego.

- Jestem zmęczona, chłopcy. Chyba pójdę się położyć - powiedziałam, unikając tamtego tematu.

- Gdzie ja mam spać? - zapytał Frankie.

- Obaj śpicie tam, gdzie siedzicie - oznajmiłam i przyniosłam im koce oraz poduszki. - Dobranoc, chłopaki. Tylko nie przegadajcie całej nocy.

Poszłam do łazienki i zmyłam makijaż. Popatrzyłam w lustro i przyjrzałam się uważnie swojej twarzy, rozmyślając o tym, jak niepostrzeżenie upłynęły te wszystkie lata. Delikatne zmarszczki wokół oczu były oznaką mądrości, która przychodzi wraz z uciekającym czasem. I ten uśmiech - ten sam, co w młodości; ten, który otwierał drzwi do kłopotów, kiedy jeszcze nie byłam świadoma jego mocy; ten, który przyniósł mi tyle bólu i tyle radości. I tylko ja, ukryta pod tym zwodniczym uśmiechem, wiedziałam o tym, że nigdy nie byłam ani szczęśliwa, ani wolna.

Tamtej nocy leżałam w łóżku, rozmyślając o tym, co spotkało mnie w życiu, i cofając się myślami aż do narodzin Toni. Wiele się wydarzyło w ciągu tych krótkich czterdziestu dwóch lat. Zastanawiałam się: gdybym miała szansę przeżyć to wszystko od nowa, co zrobiłabym inaczej? Nic. No... Prawie nic. Życie jest takie, jakie jest. Liczy się to, jak sobie z nim radzimy. Wszyscy mamy swoje wzloty i upadki. Ja upadałam bardzo boleśnie, ale też wzlatywałam wyjątkowo wysoko. Jeśli chodzi o te wzloty, to życie szczerze mnie

obdarowało. Większość ludzi nigdy nie zbliża się nawet tam, gdzie mnie dane było dotrzeć - więc chyba moje upadki musiałyby być bardziej bolesne, by to wszystko zrównoważyć.

Wciąż są lekcje, które muszę jeszcze odrobić - i nigdy ich nie zabraknie. Nie opisuję swojego życia z punktu widzenia tego, co straciłam - nauczyłam się mierzyć korzyści płynące z każdej straty. Nigdy nie traktowałam życia jako niezасłużonej kary. Nauczyłam się, jak przetrwać. Przetrwanie wymaga odpowiedniej postawy, determinacji i, co najważniejsze, wiary w siebie. Zawsze wiedziałam, czego nie chcę, ale teraz mam odwagę głośno to powiedzieć.

Jeśli chodzi o sferę osobistą, nie potrafiłam ruszyć do przodu ze swoim życiem. Jednak dziesięć miesięcy po ślubie Toni coś drgnęło.

Richard ożenił się i rozwiódł po raz trzeci. Potem, zamiast zenić się z kobietami, zaczął po prostu sprowadzać je do swojego domu, a później się ich pozbywać, i robił to coraz częściej. Z każdą kolejną przygodą jego wybranki stawały się coraz młodsze. Ostatnia miała zaledwie dziewiętnaście lat. Właśnie tego rodzaju atmosfery obawiałam się z myślą o Dustinie. Byłam pewna, że jeśli będzie wystawiony na kontakty z tak odpychającymi kobietami i z negatywnymi aspektami bogactwa, to jego wartości zostaną wypaczone. Pewnego razu, kiedy on i jego kolega jedli śniadanie w mojej kuchni, zażartowałam:

- Rety, Dustin, niedługo będziesz zabiegał o względy tych samych dziewczyn co twój tata.

- Dlaczego nie już teraz? - odparł jego kolega.

Roześmiałam się na widok poważnej miny, z jaką to powiedział, i równocześnie zdałam sobie sprawę, że mój syn nie jest już dzieckiem. Nie, Dustin stawał się młodym mężczyzną. Jego tyczkowate ciało zaczynało górować nade mną wzrostem. Był do mnie bardziej podobny niż Toni. Miał delikatne rysy twarzy, wrażliwe brązowe oczy i rudawozłote włosy.

Dustin wywrócił jednak oczami i głosem, który właśnie zmieniał się z chłopięcego w męski, powiedział:

- Mam nadzieję, że nigdy nie zamienię się w kogoś takiego jak mój tata.

W tamtej chwili poczułam, że moje gorliwe wysiłki zostały wynagrodzone. Zdołałam zaszcześcić w moim synu pewne wartości. Pomimo wszystkich przeszkód Dustin wyrastał na przyzwoitego człowieka. Cuda się zdarzają. Dustin, zupełnie jak ja, był uparty i niezależny i miał własne zdanie.

Joe stał się odludkiem. Okazał się własnym sędzią oraz ławą przysięgłych i skazał się na życie więźnia. Samochód, który pewnego dnia zaparkował na podjeździe przed domem

swojego brata Ronny'ego, stał w tym samym miejscu przez siedem kolejnych lat. Joe na własne życzenie wpędził się w fizyczną chorobę. W jego ciele rozwinęła się jakaś choroba kości, która utrudniała mu poruszanie się, a potem zdiagnozowano u niego także rozedmę płuc. Dał za wygraną i czekał niecierpliwie na śmierć. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat ledwo mógł chodzić i oddychać, a demony w jego głowie nie przestawały go prześladować. W tych wlokących się w nieskończoność dniach, które spędzał sam ze sobą, w jego uszach z pewnością rozbrzmiewała moja przepowiednia odnośnie do tego, jak będzie wyglądać koniec jego życia.

W końcu staniesz się smutnym, samotnym człowiekiem i nie zostanie ci nikt, kto by się kochał - i kogo by obchodziło, czy jesteś żywy, czy martwy.

Kiedy śmierć nie chciała przyjść w sposób naturalny, sięgnął w końcu po rewolwer, który w tajemniczy sposób zniknął z mojego domu, i przystawiwszy sobie broń do głowy, raz na zawsze wygnał z niej wszystkie swoje demony.

Niewiele dobrych wspomnień zostało przywołanych i niewiele miłych słów zostało wypowiedzianych po jego odejściu. Świat nie poniósł wielkiej straty. Toni i ja siedziałyśmy naprzeciw siebie przy stole i w ciszy, ze łzami w oczach wspominałyśmy naszą przeszłość.

- Czy to nie zabawne, mamó? To właśnie nas skrzywdził najbardziej, a jednak tylko my opłakujemy jego śmierć.

- Chyba już czas, żebyśmy obie poszły na terapię, Toni.

- Chyba masz rację, mamó.

Do dnia śmierci Joego, która nastąpiła 31 marca 1993 roku, wciąż pozostawałam więźniem, bo wciąż trzymałam stare negatywy. Jego śmierć mnie wyzwoliła i pozwoliła wywołać te negatywy w moim umyśle. Moje życie przeżywała za mnie Georgia Black. Gdzieś po drodze panna Black zupełnie mną zawładnęła i to ona kierowała moją firmą oraz moim życiem osobistym. W końcu ukradła także moją duszę. Maską, którą przywdziewałam, stała się mną.

Życie zabrało mnie na niezłą przejażdżkę. Teraz odzyskuję kontrolę nad kierownicą i skupiam się na tym, by jechać prosto przed siebie. W porównaniu z tym, co przeżyłam w przeszłości, życie na pełnych obrotach w Hollywood jest dla mnie jak tańczenie powolnego walca. Dojrzałam i wiele osiągnęłam. Tak, jestem uparta. Tak, jestem niezależna. I tak, zawsze mam własne zdanie. Naprawdę stałam się wolna. Tylko jakim kosztem?

Kontynuując wewnętrzną pracę nad sobą, którą muszę -ukończyć, by ponownie stać się jedną całością, coraz lepiej zdaję sobie -sprawę z tego, że wcale nie muszę rezygnować ze swojego cienia, by być kochającą i wrażliwą istotą ludzką. Mogę zdobywać i walczyć o swoje

nienawiścią, ale wolę robić to miłością. Ten proces ciągle trwa, ale już widzę, że zarówno obecne w mojej psychice światło, jak i cień mają mi coś do zaoferowania i że razem składają się na to, kim jestem. W miłości i intymności, jakie daje mi moje wewnętrzne światło, odnajduję radość. A w sile, determinacji i samozachowawczym instynkcie, jakie zapewnia mi mój wewnętrzny cień, odnajduję bezpieczeństwo. Są chwile, w których osiągam zrozumienie tego, że w tej syntezie - w tym pięknym paradoksie, jakim jest poczucie bycia chronionym dzięki życiu z otwartym sercem - tkwi prawdziwa siła. To właśnie jest ścieżka, po której podążam, i to właśnie jest ostateczna wolność, której szukam.

Wspominając swoje dzieciństwo, tamten szczęśliwy czas, zanim jeszcze życie stało się okrutne, widzę swoją twarz taką, jaka kiedyś była. Pamiętam wyraz swoich oczu. Byłam takim wolnym duchem, głodnym przygód i odkrywania świata. Była we mnie miłość i zwyczajne ludzkie marzenia. Nie były to marzenia o bogactwie czy władzy. Nie - tym, czego wtedy szukałam, były bliskość, rodzina, bezpieczeństwo i pokój. To właśnie jestem ja, którą nigdy do końca nie byłam i którą powinnam się stać - sobą kochającą i całkowicie wolną.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić, zanim będę mogła osiągnąć swój cel...

Drogi Joe,

przez ostatnie lata moje życie wypełnione było gniewem i nienawiścią do ciebie. Teraz odszedłeś. Cierpiałeś u kresu swojego życia. Wiedziałam, że będziesz cierpiał, ale nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Przykro mi, że cierpiałeś, a zarazem wiem, że to cierpienie było twoją pokutą za ból, który nam zadawałeś. Wszyscy musimy płacić cenę... taki jest nasz los. Wiem, że nie otrzymałeś dość siły, by móc zmienić swoje życie. Diabeł naprawdę trzymał cię w garści, prawda? Wreszcie znalazłam w sercu przebaczenie dla ciebie. Być może teraz jest mi łatwiej, bo nie ma cię już wśród nas. Opuściłam i dzięki temu mogę zacząć nowe życie. Mam nadzieję, że Bóg też ci wybaczy i że znajdziesz spokój. Aha, Joe - proszę, przestań mnie już odwiedzać. Wierzę, że jest ci przykro, w porządku? Niech Bóg się zlituje nad twoją umęczoną duszą...

Georgia

To, co teraz jest ważne, to, jak pokieruję swoim życiem od tego miejsca. Karuzela zwalnia, a kiedy zupełnie się zatrzyma... czy coś będzie na mnie czekało?

Już czas. Czas spalić negatywy. Błyskają światła. Przede mną jest wiraż i spadnę z klifu, jeśli nie zwolnię i nie włączę świateł...

Ferrari weszło w zakręt. Zredukowałam bieg, ale wciąż miałam zbyt dużą prędkość, żeby pokonać wiraż. Samochód spadł z klifu i przeokoziółkował trzy razy, zanim wreszcie znieruchomiał, leżąc kołami do góry na stromym zboczu.

Moje światła powinny wtedy zgasnąć raz na zawsze. To powinien być koniec.

A jednak - światła się zapaliły... A moje życie dopiero się zaczynało.

Sagi ciąg dalszy

15 lutego 2008

Od pierwszego wydania tej książki minęło dziesięć lat. Przez ten czas wiele się wydarzyło. To opowieść na kolejną książkę. Napisanie wspomnień zmieniło nie tylko moje życie, ale także życie bardzo wielu ludzi, którzy je przeczytali, a następnie skontaktowali się ze mną, dzieląc się swoimi doświadczeniami. Zapewniali, że na kartach mojej książki znaleźli siebie. Każda z ich historii była inna, a jednocześnie wszystkie były identyczne. Wszyscy podkreślali, że to, czego dokonałam, mierząc się z takimi przeciwnościami, przekonało ich, że im również się uda. Nie miałam pojęcia, że moja książka niesie taki przekaz. Za moimi słowami nie krył się żaden cel. Po prostu opowiadałam swoją historię. Pokrzepiające świadectwa czytelników skierowały mnie na nową ścieżkę w moim życiu. Zaczęłam wygłaszać przemówienia motywacyjne w przytułkach i więzieniach w nadziei, że uda mi się zainspirować jeszcze więcej ludzi do tego, by dokonali pozytywnych zmian w swoim życiu. Nabrałam przekonania, że to właśnie jest plan, który przygotował dla mnie Bóg. Miałam przeżyć moje życie tak, jak je przeżyłam - po to, by na tym etapie pomagać innym ludziom w odnalezieniu ich własnej drogi.

Moje życie uczuciowe nie uległo wielkiej zmianie, za to ja sama zmieniałam się dzięki tym, których darzę uczuciem. Moja przyjaciółka Susan Stafford, która była pierwszą hostessą w amerykańskim *Kole fortuny* (zanim zastąpiła ją Vanna White), mieszkała przez jakiś czas w moim domku dla gości. Z okazji urodzin Susan odbyła się w Bel Air wielka urodzinowa prywatka. To właśnie tam poznałam Chucka Woolery'ego. Wkrótce potem Susan się wyprowadziła, za to wprowadził się Chuck. To było dla mnie prawdziwe *Love Connection*, i to z dawnym gospodarzem tego programu. Popłynęliśmy z Chuckiem w romantyczny rejs na Wyspy Dziewicze, poleciliśmy na gonitwę Kentucky Derby i byliśmy wspólnie na wielu galach, bankietach i innych oficjalnych przyjęciach. W tamtym czasie zostałam przewodniczącą Safe Passage, organizacji pomagającej kobietom będącym ofiarami przemocy; Chuck towarzyszył mi także i tam, udzielając swojego wsparcia dla tej sprawy.

Wierzę, że inni ludzie pojawiają się w naszym życiu nie bez przyczyny. Rolą Chucka było obudzenie we mnie mojej duchowej strony. Zawsze wierzyłam w Boga i byłam świadoma obecności przy mnie mojego Anioła Stróża, ale nie wcielałam wiary w czyn. Chuck i ja często zasiadaliśmy na tarasie mojego domu i przy porannej kawie czytaliśmy

wspólnie Biblię. Moje spojrzenie na życie zaczęło ulegać zmianie. Poczułam, że Bóg ma wobec mnie plany i że przetrwałam nie bez powodu. Zaczęłam podążać ścieżką, która, jak wierzyłam, była mi przeznaczona; w tę drogę wyruszyłam już bez Chucka. Wiedziałam, że wybrany przeze mnie kierunek jest właściwy, bo życie układało się w sposób, który każdego dnia potwierdzał słuszność mojego wyboru. Jedno z takich doświadczeń miało miejsce, kiedy zaproszono mnie do Waszyngtonu na śniadanie modlitewne z prezydentem. Wyszłam stamtąd pełna zapału i z przemożnym pragnieniem niesienia pomocy ludziom przeżywającym kryzys.

Miałam poczucie, że każdy zakręt prowadzi mnie ku mojemu przeznaczeniu. Poproszono mnie o przyjazd do bazy Sił Powietrznych Canon w Nowym Meksyku i wygłoszenie do grupy oficerów pogadanki na temat przemocy domowej. W tamtym czasie żołnierze wracali do domów z Iraku; niektórzy z nich po powrocie zabijali swoje żony. Wojskowi chcieli poznać mój punkt widzenia na to, jak i dlaczego dochodzi do tego rodzaju wypadków, a także jakich oznak zbliżającego się kryzysu należy wypatrywać. Kiedy zakończyłam wystąpienie, zostałam nagrodzona owacją na stojąco. Pułkownik John Posner wręczył mi pamiątkowy medal od dowódcy bazy. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy ze znaczenia tego gestu; potem jednak dowiedziałam się, że zaszczytu otrzymania takiego medalu dostępują zwykle jedynie najwyżsi rangą dygnitarze. Zadawałam sobie milczące pytanie: „Jak mi się to udało?”. Oprowadzono mnie po bazie, a nawet zaproponowano przelot myśliwcem F-16. Niestety, niedługo przed wizytą w bazie przeszłam operację zespolenia czterech kręgów szyjnych - skutek czołowego zderzenia przy prędkości stu kilometrów na godzinę w czasie filmowania z Bobbym Unserem juniorem sceny pościgu w centrum Los Angeles. Moja niedawno zoperowana szyja mogłaby nie wytrzymać przeciążeń w samolocie. Zaproszenie jednak jest wciąż aktualne i planuję wkrótce z niego skorzystać.

Najwyraźniej pułkownik Posner uznał, że jestem dobrym kandydatem do konferencji Joint Civilian Orientation, a także nominował mnie do udziału w wyjątkowej podróży po Europie, organizowanej przez amerykańską armię. Z dwóch i pół tysiąca nominowanych wybrano ostatecznie jedynie czterdzieści pięć osób. Jakim cudem w tak elitarnym gronie znalazła się kobieta, która w przeszłości była kierownicą mafii, nie mam pojęcia. Otrzymałam nawet oficjalne zaproszenie do udziału wystawione przez Donalda Rumsfelda. Organizowany przez Departament Obrony program dawał wyjątkową okazję do przyjrzenia się z bliska pracy amerykańskiego personelu wojskowego, jego wyposażeniu i umiejętnościom, a także do zapoznania się ze strategiami obronnymi.

Zaczęliśmy od Pentagonu, gdzie oprowadzono nas między innymi po ściśle tajnym Wojskowym Centrum Dowodzenia - do tego miejsca nie ma wstępu większość wojskowych,

nie mówiąc już o cywilach. Następnie generał Pace poinformował nas, co czeka nas w dalszej części podróży. Do tego momentu ze względów bezpieczeństwa nie mieliśmy pojęcia, dokąd właściwie się udamy. Uprzedzono nas też, że będziemy potencjalnym celem dla terrorystów. Nie spieszyło mnie to. Miałam w końcu doświadczenie z terrorystami. Właściwie to po tej informacji byłam jeszcze bardziej podekscytowana tą wyprawą w nieznaną. Nigdy nie straciłam apetytu na przygodę, a to była zdecydowanie największa ze wszystkich. Wiele razy zdarzało się, że kiedy wyjeżdżaliśmy z którejś z baz w Europie, otrzymywaliśmy pełną policyjną eskortę do hotelu - podróżowaliśmy niczym sam prezydent.

Z Pentagonu przewieziono nas do bazy Piechoty Morskiej w Quantico, gdzie mieliśmy okazję sprawdzić się na wojskowym torze przeszkód. Straciliśmy przy tej okazji jednego z kolegów, który naciągnął sobie ścięgno i nie mógł uczestniczyć w dalszej podróży. Po przyjemnej kolacji w klubie oficerskim przenieśliśmy się do bazy Sił Powietrznych Andrews, skąd na pokładzie samolotu transportowego C-17 poleciliśmy do Stuttgartu w Niemczech. Miałam szczęście i zostałam wybrana do tego, by w czasie startu usiąść w kabinie pilotów. Byłam zaskoczona, jak krótkiego pasa startowego potrzebuje ten samolot i z jaką lekkością wzbija się w powietrze. C-17 to olbrzymia maszyna, zaprojektowana do transportu czołgów i ciężkiego sprzętu w rejonach działań wojennych. W środku nie było zbyt wiele foteli. Właściwie to wielu z nas musiało zadowolić się siedzeniami wzdłuż kadłuba samolotu. Mnie przypadło jedno z sześciu dostępnych łóżek. Czasami bycie kobietą ma swoje zalety. Kiedy spałam, piloci przeprowadzili nad Islandią tankowanie w powietrzu. W Stuttgarcie odwiedziliśmy kwaterę główną Dowództwa Europejskiego Stanów Zjednoczonych i spotkaliśmy się z najwyższymi rangą oficerami, którzy zapoznali nas z operacjami prowadzonymi aktualnie w ramach światowej wojny z terroryzmem. Potem uczestniczyliśmy w przyjęciu wydanym przez generała Walda.

Podróżując po Europie, przemieszczaliśmy się z kraju do kraju na pokładzie samolotu transportowego C-130. Po lądowaniu zawsze rozwijano dla nas czerwony dywan, a szpaler stojących na baczność żołnierzy salutował, kiedy wysiadaliśmy z samolotu. Żadna z tych maszyn nie była zbudowana z myślą o komforcie pasażerów. Zresztą, nie byliśmy już traktowani jak cywile. Byliśmy członkami personelu wojskowego. W samolocie nosiliśmy zatyczki do uszu; wydano nam także hełmy, kamizelki kuloodporne i inne elementy wojskowego wyposażenia. Odbiliśmy przejażdżkę czołgami, nad którymi krążyły strzelające ostrą amunicją śmigłowce Apache; mieliśmy też okazję postrzelać z każdej broni będącej na wyposażeniu naszych żołnierzy.

Po długim, męczącym dniu w bazie zawsze czekało nas przyjęcie, którego

gospodarzem był zwykle czterogwiazdkowy generał albo inny najwyższy rangą oficer, w zależności od tego, jaką bazę wojskową akurat odwiedzaliśmy. Nasze dni były wyjątkowo długie: zaczynały się o czwartej nad ranem, a kończyły godzinę przed północą. Wszyscy szybko pojęliśmy, jak spędza się w wojsku czas. Nasi gospodarze podchodzili do sprawy bardzo poważnie. Często nie mieliśmy nawet czasu, żeby wziąć prysznic przed pojawieniem się na wydanej na naszą cześć kolacji. W Neapolu wsiedliśmy na okręt USS Mount Whitney i wypłynęliśmy na morze. Na pokładzie powitał nas admirał Harry Ulrich, będący dowódcą amerykańskiej floty w Europie, a także szefem sił morskich NATO. Marynarka Wojenna zorganizowała dla nas ekscytujący i pouczający pokaz. Mogliśmy obserwować starty i lądowania samolotów, desanty przy użyciu amfibii i inne operacje militarne na morzu. Podczas naszego pobytu w Anglii Siły Powietrzne urządziły imponujący pokaz lotniczy, w którym udział brały między innymi jeden C-135, dwa F-15 i dwa F-16. Piloci zademonstrowali na przykład ataki z powietrza, wysadzając cel na pasie startowym. Pokazali również, jak wygląda tankowanie w powietrzu.

Byliśmy między innymi w ściśle tajnych pomieszczeniach, z olbrzymią ilością ekranów na ścianach, za pomocą których monitoruje się aktywność terrorystów w szczególnie zagrożonych terrorem punktach świata. Jeśli gdzieś na świecie wybucha albo szykuje się kryzys, to w tym miejscu zostanie on wykryty najpierw. Misją pracujących tam ludzi jest dostarczanie danych wywiadowczych Stanom Zjednoczonym, NATO i siłom koalicyjnym. Miejsce to było tak tajne, że kiedy musiałam odwiedzić toaletę, eskortowało mnie do niej dwóch żołnierzy, którzy cierpliwie poczekali pod drzwiami, a następnie odprowadzili mnie z powrotem. Mogłabym tak wymieniać w nieskończoność, ale gdzieś trzeba postawić kropkę.

Miałam olbrzymie szczęście, że mogłam tego wszystkiego doświadczyć. Bardzo niewielu ludzi, nawet spośród tych zatrudnionych w Departamencie Obrony, ma okazję zetknąć się z tak wieloma dowódcami i żołnierzami wszystkich rang, reprezentującymi pełny przekrój różnych rodzajów sił zbrojnych. Najbardziej utkwiły mi jednak w pamięci odwiedziny u rannych żołnierzy w centrum medycznym w bazie Rammstein w Niemczech. Cena, jaką ponieśli, broniąc naszej wolności, sprawiała, że łzy same napływały mi do oczu; a jednak ci młodzi mężczyźni i młode kobiety, mimo brakujących kończyn, mają niesłychanie wysokie morale i pozytywne nastawienie do życia, które zresztą widoczne było u wszystkich żołnierzy podczas całej naszej podróży. Ich męstwo zapisało się w mojej pamięci. Ta wyjątkowa podróż sprawiła, że nabrałam głębokiego szacunku do naszej armii. Powiedzieć, że czuję się dumna z bycia Amerykanką, to zbyt mało.

Kiedy już myślałam, że wszystko mam pod kontrolą, ktoś z góry rzucił mi podkręconą

piłkę. Okazało się, że mój dwudziestosiedmioletni syn, Dustin, będzie ojcem dziecka czterdziestoletniej narkomanki. Podobno w przeszłości miała ona już dwójkę dzieci, które zostały oddane do rodziny zastępczej, a następnie adoptowane. Wtedy jednak nie miałam o tym wiedzy; przed długi czas nie miałam pojęcia nawet o tym, że w ogóle jest w ciąży - dowiedziałam się o tym dopiero na dwa tygodnie przed porodem. Pojechałam do szpitala, żeby obejrzeć moją piękną wnuczkę Angelę. Imię otrzymała po mojej matce. Od pierwszej chwili poczułam z nią więź. Miałam przeczucie, że ten mały aniołek będzie w przyszłości wyjątkową osobą, która da światu coś wielkiego. Kiedy przyjechałam odwiedzić ją dzień później... już jej nie było. Została zabrana przez państwo i umieszczona w rodzinie zastępczej. Zadzwoiłam do matki z tej rodziny i zapytałam, czy mogę do niej przyjechać i zobaczyć małą. Cierpkim tonem zakomunikowała mi: „Nie. Tylko jej matka może ją odwiedzać. Poza tym jest chora”. Zaniepokojona zapytałam, co jej dolega. „Mocno wymiotuje. Dzieci narkomanek tak mają” - odpowiedziała ostro. Nie muszę chyba mówić, że przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka. Nie do końca rozumiałam całą tę sytuację, a zwłaszcza powody, dla których tak szybko zabrano moją wnuczkę ze szpitala. Nazajutrz ponownie zadzwoniłam do rodziny zastępczej, żeby sprawdzić, jak czuje się mała. Telefon odebrał piętnastoletni chłopak; okazało się, że został w domu sam z Angelą i nie wiedział ani gdzie jest, ani kiedy wróci matka zastępcza. Wpadłam w panikę. Natychmiast zadzwoniłam do opieki społecznej i poinformowałam, że jestem babcią Angeli ze strony ojca i chcę zabrać dziecko do siebie. Musiało minąć pięć dni, zanim wreszcie trafiła do mnie. Przez ten czas nieustannie wyobrażałam sobie, jak płacze i jak nie ma jej kto pocieszyć. Doprowadzało mnie to do szału.

Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, że to właśnie będzie moje przeznaczenie. Byłam pewna, że podążam wytyczoną dla mnie drogą. Było to tylko kolejne przypomnienie, że odkąd powierzyłam swoje życie wyższej sile, to już nie ja siedziałam za kierownicą. Adoptowałam Angelę 17 grudnia 2007, po dwudziestu miesiącach emocjonalnej huśtawki w sądach.

Jeśli chodzi o moje dzieci, to Toni i Barry się rozwiedli. Toni jest teraz szczęśliwą żoną cudownego mężczyzny (Rona Andersa); dali mi już dwoje pięknych wnucząt: Skye oraz Jimmy'ego. Toni jest fantastyczną matką. Wspólne wychowywanie naszych małych skrzatów to coś cudownego. Kto by się spodziewał? Życie nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. Dustin wciąż musi jeszcze dorosnąć, zanim zacznie być odpowiedzialnym tatą. Modłę się, żeby stało się to jak najszybciej, bo teraz traci najpiękniejsze lata życia Angeli. Richard oczywiście utrudnił Dustinowi nawiązanie więzi z córką. Wykreślił go ze swojego testamentu, obawiając się, że matce Angeli chodzi o jego pieniądze. Na ulicach w narkotykowym światku krąży

opinia, że jeśli ktoś zwiąże się z Dustinem, to będzie albo bardzo, bardzo bogaty... albo bardzo, bardzo martwy. Dustin był rozdarty pomiędzy miłością do Angeli a urazą do niej, jaką odczuwał po tym, jak z jej powodu został wydziedziczony. Kiedy zabrałam Angelę z systemu opieki zastępczej, Richard powiedział Dustinowi, że jeśli Angela wróci do systemu, to on ponownie uwzględni go w testamencie. Wtedy do akcji wkroczyła Georgia Black: oznajmiła Richardowi, że dziecko to nie śmieć, którego można się w ten sposób pozbyć. Zapewniłam go też, że jego pieniądze są bezpieczne; że zamierzam adoptować małą i wszelkie finansowe zobowiązania spoczywać będą na mnie.

Nieudany numer kaskaderski wysłał mnie na wcześniejszą pół-emeryturę. Jestem pewna, że to również była część boskiego planu. Jak mogłabym zajmować się dzieckiem, spędzając większość czasu na planie? Wciąż prowadzę firmę kaskaderską i biorę lokalne zlecenia, pod warunkiem że praca nie nadwyręży mojej szyi, ale to Angela jest moim priorytetem. Nie bywam już na przyjęciach i nie podróżuję z przyjaciółmi odrzutowcem, gdy najdzie nas taki kaprys. Jestem wdzięczna za te doświadczenia. Żyłam pełnią życia. Ale szczęście nigdy nie wydawało mi się tak pełne jak dzisiaj. Angela SofiaBella to dar od Boga. Zupełnie tak, jakbym otrzymała jeszcze jedną szansę, by wyciągnąć nauczkę z poprzednich błędów, jakie popełniłam jako matka, i tym razem zrobić wszystko jak należy. Może pewnego dnia mój mały aniołek podejmie to, czego ja nie skończyłam. Wiem, że jest tutaj z jakiegoś powodu.

Tak jak wspomniałam, to już historia na kolejną książkę. Planuję napisać ją już niedługo (w chwilach, gdy Angela ucina sobie drzemki). Zagłądajcie często na moją stronę www.thecompanyshekeeps.com i sprawdzajcie nowe informacje o postępach. Nie krępujcie się też i piszcie do mnie na stuntlady@aol.com Z przyjemnością czytam listy od czytelników i pomagam, jeśli tylko mogę. Saga trwa...



Trening od malego
(dzięki uprzejmości autorki)



Georgia za kółkiem na wyścigu SCCA Onatio Motor Speedway,
1986 *(dzięki uprzejmości autorki)*



Wypadek z ferrari (podczas kręcenia reklamy jeansów Buggle Boy).
Georgia jest uwięziona w środku *(Brent Fletcher)*

Mama i tata (Tony
i Angela Durante), 1955
(Angela i Anthony Durante)



Georgia z dziećmi podczas wakacji na Hawajach, 1989
(dzięki uprzejmości autorki)



Georgia z synem Dustinem
(Neil Montanus)



Kartonowa sylwetka Wakacyjnej Dziewczyny Kodaka, 1969
(Neil Montanus)



Joe i Georgia pozują, za obiektywem Don Maggio. Joe wyciągnął pistolet, co pasowało do atmosfery sesji, ale zszokowało fotografa. Don uchwycił ten moment, bo jest prawdziwym zawodowcem (*Don Maggio*)



Córka Georgii Toni
i Joe Lamendola
w szczęśliwszych
czasach (*Don Maggio*)



Spotkanie z nowojorskim gangiem w trakcie ceremonii ślubnej na
Manhattanie, 1980. Od lewej: Flip, Frankie, Georgia, Billy i Tommy Red
(dzięki uprzejmości autorki)



Caesar's II – nocny klub Joego Lamendoli w Rochester, 1970
(dzięki uprzejmości autorki)

Henry Hill testujący na Georgii
nowy przepis do swojej książki kucharskiej
(dzięki uprzejmości autorki)



Georgia i Henry Hill w kuchni
Georgii po nakręceniu
fragmentu reklamy dla A&E
(dzięki uprzejmości autorki)



Mroczna strona Joego
(dzięki uprzejmości autorki)



Toni i Joe na osiedlu Solana
Beach, zdjęcie zrobione tydzień
przed ucieczką, 1976
(dzięki uprzejmości autorki)



Georgia i jej przyjaciel Dennis Krieger, który zginął w katastrofie lotniczej w Dallas w 1985 roku
(dzięki uprzejmości autorki)

Frankie Conti i Georgia w nowojorskiej Copa Cabana, zdjęcie zrobione po strzelaninie w Sundowner i wypuszczeniu Frankiego z więzienia, 1968
(Sue Michaelsen)



Toni i Georgia na schodach Greystone Masion w Beverly Hills, gdzie odbył się ślub Toni
(Ron Sorrensen)



Sammy G na ślubie Jimmiego Cisto
(dzięki uprzejmości autorki)



Na ślubie Jimmiego Cristo pojawiła się śmietanka przestępczego świata Rochester. Od lewej: Rene Piccarreto (plecami do aparatu), Joey Tiraborelli, Frankie Valenti, Red Russotti, po jego prawej Sammy Gingello. Na zdjęciu uwiecznieni są również inni weselni goście: Norm Assito z żoną Rachel oraz żona Sammy'ego G Maryann *(dzięki uprzejmości autorki)*

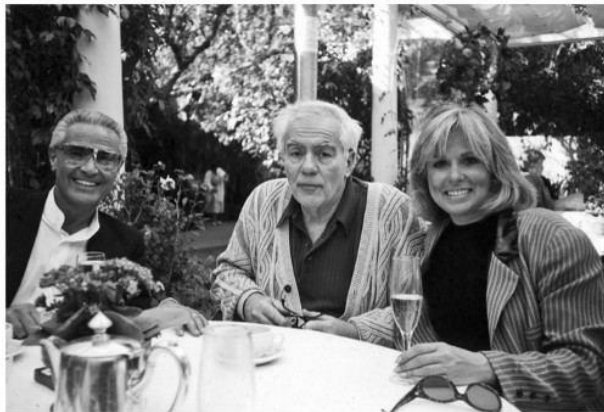
Była szwagierka Darlene (żona Jimmy'ego – brata Joego), Georgia i Richard Adray na ich ślubie w 1979 roku *(Neil Montanus)*



Weselny przekręt: Joey Tiraborelli, Georgia i Tommy Taylor. Zdjęcie zrobione tuż przed tym, jak Joey próbował wymusić pożyczkę pieniędzy *(Neil Montanus)*



Szwagierka Billy (w ciąży ze swoim ostatnim dzieckiem) trzymająca Toni.
W pierwszym rzędzie: David, Karen, Michelle (dzięki uprzejmości autorki)



Salvatore Reale, Jimmy Breslin i Georgia w Bel Air Hotel w Los Angeles,
1997 (dzięki uprzejmości autorki)

Georgia z Bobbym Unserem
seniorem w trakcie kręcenia reklamy
samochodowej w Pikes Peak
w Kolorado, 1986. Po tym spotkaniu
Bobby junior został członkiem zespołu
kierowców Performance Two
(dzięki uprzejmości autorki)



Bobby Unser junior, Georgia
i Dar Robinson, „najlepszy
na świecie kaskader”,
w trakcie ćwiczeń zespołu
sześć tygodni przed śmiercią
Robinsona w wypadku
motocyklowym podczas
kręcenia *A Million Dollar
Mystery*, 1986
(dzięki uprzejmości autorki)

Georgia i Cindy Crawford
odpoczywające w przyczepie
kempingowej przed zdjęciami
do reklamy Pepsi
(dzięki uprzejmości autorki)





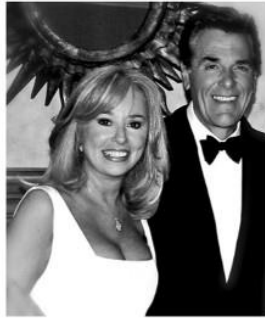
Ekipa Performance Two w trakcie kręcenia programu telewizyjnego *The Exciting Word of Speed and Beauty*, w którym wzięli udział Georgia i jej zespół kierowców, 1994. W pierwszym rzędzie, druga od lewej: córka Toni. Na prawo od Toni: kuzynka Debbie Ulrich. Georgia – trzecia od prawej *(dzięki uprzejmości autorki)*



Georgia w trakcie pracy z reżyserem i operatorem Johnnym Stevenssem *(dzięki uprzejmości autorki)*



Sharon (siostra Georgii), Georgia i Joe Lamendola podczas drugiego ślubu Sharon, 1975 *(dzięki uprzejmości autorki)*



Georgia i Chuck Woolery na przyjęciu z okazji Derby Kentucky, 2004
(doktor Donald Insert)



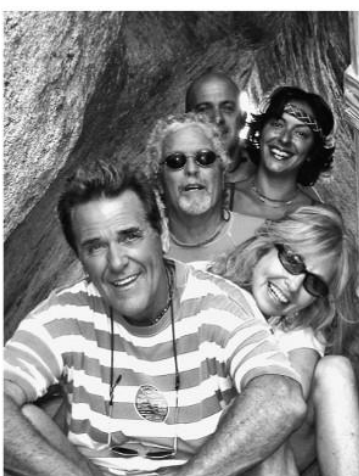
Georgia na Derby Kentucky
(doktor Donald Insert)



Georgia i Michael Nathanson (były prezes i dyrektor ds. operacyjnych MGM Pictures) w bazie wojskowej w Niemczech
(major Angela Hutcherson)



Georgia i Chuck na kolacji z okazji rozdania Movie Awards
(dzięki uprzejmości autorki)



Chuck, Georgia
i ich przyjaciele
zwiedzający
jaskinię w trakcie
żeglowania
po Brytyjskich
Wyspach
Dziewiczych,
2004
*(dzięki uprzejmości
autorki)*

Angela zadomawia się u Georgii, po tym jak Georgia wydstała ją z systemu opieki zastępczej
(Jimmy Hawkins)



Georgia z Angełą odwiedza Rochester w październiku 2007
(Sue Michaelsen)

Dzień na plaży z Angełą
(Jimmy Hawkins)





Przeszłość: Georgia
wspomina mroczne czasy
(*Neil Montanus*)



Przyszłość: Angela jest
światłem Georgii
(*dzięki uprzejmości autorki*)



Dom Georgii w południowej Kalifornii
(dzięki uprzejmości autorki)

Domek do zabawy,
który Georgia zbudowała
dla Angeli, będący
miniaturową wersją
jej domu
(dzięki uprzejmości autorki)



Angela w Disneylandzie świętuje swoje pierwsze urodziny, 2007
(Jimmy Hawkins)